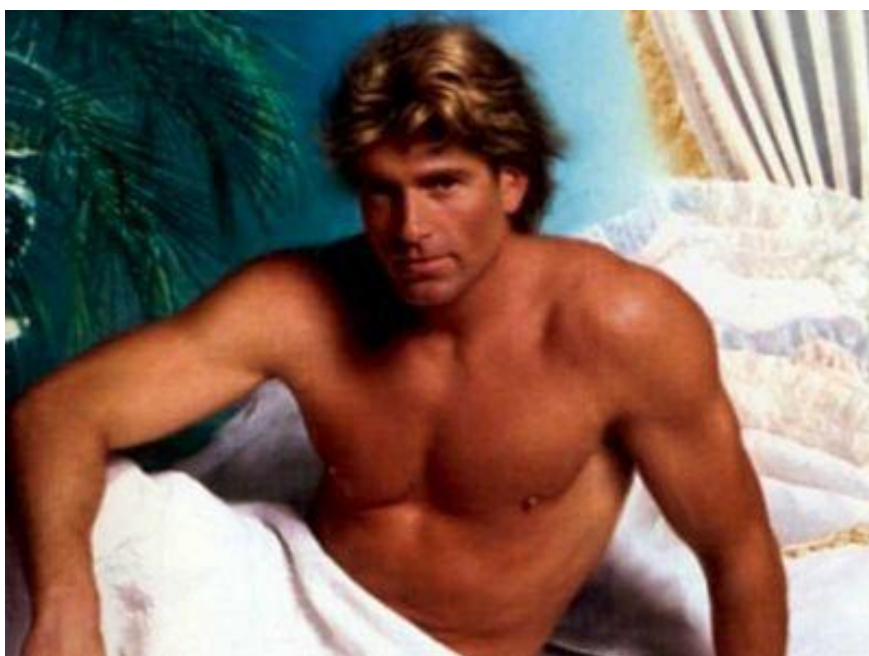




Pat Both

Malibu

Tytuł oryginalu Malibu



RS

*Anselmowi Adamsowi, Robertowi Mapplethorpe'owi i
Manowi Rayowi — w podziękę za wspomnienia*

Prolog

Reflektory porsche sondowały krętą drogę, a w kanionie Malibu zawodził gorący wiatr. W nocnej ciszy rozlegały się też inne dźwięki, których nie zagłuszyło mruczenie silnika — wycie kojota, pulsujące staccato helikoptera straży pożarnej, patrolującego góry Santa Monica, odległy łoskot przybrzeżnych fal. Kierowca nosił rękawiczki z miękkiej czerwonej skóry, a kierownica kręciła się i obracała w miarę, jak samochód wdzierał się wyżej między pagórki, zostawiając w dole autostradę Wybrzeża Pacyfiku, świetlistą wstęgę pojazdów wzdłuż oblanej księżycowym światłem plaży.

Ręka sięgnęła do blaupunktu i jedwabisty głos Gladys Knight zaczął śpiewać o mężczyźnie, który opuszczał Los Angeles na rzecz miejsca byle jakiego, odjeżdżając pociągiem o północy, by nigdy nie wrócić. Teraz kierowca roześmiał się — okrutnym śmiechem, pozbawionym krzty wesołości. Piosenka zabrzmiała jak omen. Dziś wieczorem bowiem w hrabstwie Los Angeles dojdzie do rozstania, zostanie złamane serce, zapanuje strach, wstręt i straszliwe zniszczenie.

Kierowca spojrział w górę i utkwiał wzrok w sylwetce orła spadającego w księżycowym świetle; jego skrzydła olbrzymiały na srebrzystym tle. Po chwili złowieszcze oczy znów spojrzały na drogę. Przejmujące dreszczem westchnienie zlało się z dźwiękami muzyki. Był to odgłos adrenaliny, pełen podniecenia i napięcia, po czym stopa nacisnęła na sprzęgło, a kierowca, samochód i jego morderczy ładunek pognali ku swemu przeznaczeniu.

Na autostradzie Mulholland porsche zwolnił. Z boku drogi rozciągała się posypana żwirem platforma widokowa. Lśniący samochód wjechał na nią z chrzęstem opon, światła reflektorów śmignęły po majaczącym w dole wąwozie. Dłoń w rękawiczce zdusiła silnik, dźwięk ciszy przerywał tylko ciężki oddech. Następnie ręce chwyciły pusty kanister. Wyleciał z samochodu, objając się z łoskotem o

skały, aż wylądował w rozpadlinie, gdzie go jutro odnajdą. Objęły go promienie księżycyca i ponownie z gardła kierowcy wydarł się szaleńczy chichot. To tylko kanister, ale też i wyrok śmierci. A także droga do władzy, miliardów i straszliwej zemsty.

Teraz kierowca poruszał się szybko. Ręce sięgnęły po ogrodowy wąż, leżący na czerwonej skórze tylnego siedzenia. Drzwi otworzyły się i zamknęły. Jeden z końców węża został wrzucony do baku porsche, a drugi wkrótce wił się w dół do przepaści. Gryzący zapach wysokooktanowego paliwa mieszał się w nocnym powietrzu z wonią szaławii i eukaliptusa, a odgłos sączącego się płynu — narzędzia mordy brzmiał tak niewinnie, gdy strużki benzyny ściekały między suchymi jak huba zaroślami kanionu. Od dawna nie padało. Ziemia była wyschnięta. Krzewy umierały z pragnienia pod jakże niebezpieczny koniec lata w Malibu, gdy pustynne wiatry dmą przez kaniony do morza.

Kierowca powrócił do samochodu, błyskawicznie przekręcił zapłon i wbił wzrok we wskaźnik paliwa, benzyna zaś śliskim strumieniem chlustała w dół wzgórza. Gdy bak był niemal opróżniony, kierowca zatrzymał wypływ, zwinął wąż i schował go do bagażnika. Potem podszedł do krawędzi kanionu i uważnie przepatrzył dolinę w poszukiwaniu domu. Stał tam — przycupnięty między skałami, cichy budynek, wzniesiony z suszonej na słońcu cegły, po sztukaterii mallowniczo piął się jaśmin. Spała w nim ofiara, a wiatr dał w gwałtownych porywach, szukając płomieni, które pragnął przenieść dalej.

Zwykła zapalniczka „Bic”, zagłębiona w okrytej rękawiczką dłoni w ochronie przed gorącym powiewem, płonęła nierównym płomieniem w fosforyzującym świetle księżycyca. Płomień zbiegł w dół, ku ziemi już mokrej i pociemniałej od benzyny. Wybuchnął nagle, a wiatr przylgnął do ognia i nim zawładnął.

Kierowca cofnął się przed gorącym, po czym drzwi porsche otworzyły się, zamknęły, silnik strzelił, opony zapiszczały, rzygając żwirem do płonącego już kanionu. W ciągu paru sekund samochód zniknął, mknąc ku bezpieczeństwu wybrzeża, pozostawiając za sobą kataklizm, który rozpętał kierowca.

Pomarańczowa kula stoczyła się ze zbocza, a niebo rozbłysło marmoladowymi płomieniami. Dym wił się wokół okrągłego jak piłka księżycyca i zarośla zniknęły, ich płonące popioły unosiły się na oszalałym wietrze. Huk płomieni i osmalający żar stanowiły jedyne sygnały ostrzegające przed burzą ognistą, która gnała z szyb-

kością siedemdziesięciu mil na godzinę ku nie zabezpieczonemu domowi i znajdującej się w nim osobie.

Płomienie pochłoneły budynek. Sięgnęły do otwartych okien i zapuściły się w podwórza. Strawiły pnącza i pohulały na belkach wystających ze sztukaterii. Wyszły płaskie szkło z panoramicznych okien i po szerokich drewnianych schodach pomknęły do sypialni. Ofiara obudziła się na króciutką chwilę przed najdłuższym snem — z plecami przywartymi do ściany, oczyma szeroko otwartymi na wizję nieskończoności, rękoma uniesionymi z przerażenia, by zapobiec nieuniknionemu. Nie było czasu na modły do Boga za matkę, o litość i odwrócenie śmierci od ognia. Doszło do morderstwa w Malibu, niebie, które tak nagle spłonęło w piekielnych ogniach.

1.

Pat Parker pełzła między najwyżej notowanymi na towarzyskiej giełdzie nowojorczykami, doskonale świadoma faktu, że tylko ona jedna wśród całej tej rozedrganej publiczności ma zezwolenie na używanie aparatu fotograficznego. Kuląc się nisko tuż przy krawędzi sceny wiedziała, że czarna dżersejowa mikrosukienka podjechała jej wysoko na długich nogach do miejsca, gdzie toczone udo przechodzi w wypięte pośladki, ale nie zawracała sobie tym głowy. Zależało jej wyłącznie na zrobieniu zdjęcia. Panował ruch jak zawsze. Magiczna chwila nie będzie chciała zaczekać. Nie ma czasu na poprawienie stroju, na powolne nastawianie ostrości czy na pomiar szybko zmieniającego się światła. Tu, na pierwszej linii fotoreportażu, wyłaziła z majteczek z czystego jedwabiu, kierując się jedynie długoletnim doświadczeniem i nie kończącą się praktyką. Zmaltretowany nikon zwijał się w jej palcach, jakby był z nimi złączony ciałem, krwią i włóknami nerwowymi, i wspaniałały obraz wypełnił matówkę, gdy jej wskazujący palec zwolnił wyzwalacz migawki.

W Brooklyńskiej Akademii Muzycznej, na imprezie zatytułowanej: „Nie będzie nas, będzie las”, z której cały dochód przeznaczono na ten szlachetny cel, Madonna i Sandra Bernhard odgrywały scenkę, w której wychodziły z klozetu, a

olympus pearlorder na biodrze Pat Parker oraz film „Pan-X” we wnętrznościach czarnego nikona uwieczniały to wydarzenie dla potomności. Pat czuła, jak wali jej serce, a jędrne piersi pod wełnianą sukienką były lepkie od potu i podniecenia. Jak zawsze w takich chwilach modliła się, by obraz dotarł na celuloid oraz by żaden błąd nie zrujnował zdjęcia.

W środku, za oczyma koloru akwamaryny i idealnie ukształtowanym nosem o rozszerzonych nozdrzach, Pat Parker, czyniąc kalkulacje, była chłodna jak komputer. Miała trzydzieści sześć zdjęć. Szybka wymiana filmu potrwa trzydzieści sekund. Ile dzieliło jeszcze dziewczyny na scenie od punktu kulminacyjnego? Pstrykać czy nie pstrykać? — oto jest pytanie. Czy lepiej zużyć cały film teraz ryzykując, że później, w czasie wymiany błony, może jej przepaść rewelacyjne ujęcie — czy też zdecydować się na pojedyncze zdjęcia, niczym przyczajony w trawie strzelec wyborowy, liczący każdą kulę, która trafia w cel?

— Siadaj na tyłku — syknął posiadacz pięćsetdolarowego biletu z pierwszych rzędów.

Nie odwróciła się. Nawet nie przyszło jej do głowy, by usłuchać. Nic nie może stanąć między nią i obiektywem, zdjęciem w puszcze. Nic nigdy nie stało. I nie stanie. Czekając, jej prężne ciało zawisło nad ostrą krawędzią sceny, a oczy posuwały się wzdłuż nie kończących się nóg Sandry Bernhard aż do miejsca, w którym jej tyłek uderzał i wbijał się w tyłek Madonny.

„Wyczuwam cię... dziecino” — śpiewały do magnetofonu Pat i rozedrganej publiczności, a wiele spośród słuchających je osób myślało, że artystki doskonale wiedzą, o co im chodzi.

Pat Parker schwyciła oddech. Temperatura przedstawienia sięgnęła zenitu. Ciśnienie rosło. Takich hec nie widziano od czasu dobroczynnego występu Micka Jaggera i Tiny Turner. Niespodziewanego duetu nie było w programie i co bardziej niecierpliwi z tłumu artystów, projektantów mody i modelek udali się już do „Indo-” i „Pindochin”, gdzie miał być wydany obiad. Lecz Pat Parker słyszała pogłoski. Jak zawsze zresztą. A więc trwała do gorzkiego końca, który zmieniał się w najsmakowitsze wydarzenie artystyczne, jakie miała okazję oglądać. Madonna i Sandra były prowokujące już na poprzednim występie, a w wywiadzie dla pisma *Interview* megagwiazda napomknęła, iż osiągnęła nową fazę rozwoju seksualnego.

W czasie przekomarzań przed występem Sonny i Cher przedstawiły się jako para les... ciężka, brzemienna cisza ...serek. A gdy Madonna, uśmiechając się sze-

roko, oznajmiła publiczności, by nie wierzyła plotkom na temat ich stosunku, Sandra zakasowała ją płynącym z głębi serca: „Wierzcie im”.

A teraz, przed wszystkowiedzącym teleobiektywem „Nikon” 105 mm, audio-wizualne wydarzenie sięgnęło szczytu.

Dziewczęta zmieniły słowa piosenki.

Choć kutasów nie mamy...

Ale wiemy, w co gramy...

W zgodnym rytmie przyciskały prawe dłonie do kroku identycznie skrojonych kwiecistych džinsów, a gdy to czyniły, wysuwając biodra, z głowami odrzuconymi do tyłu we wspaniałym buncie przeciw konwencji, czekający w gotowości palec Pat Parker miotał się na przycisku.

Wyrafinowana wielkowiejska publiczność, złożona głównie z przedstawicieli świata artystycznego, wybuchnęła entuzjazmem. Koncert na rzecz ochrony lasów, odbywający się w najmodniejszej obecnie Brook-lyńskiej Akademii Muzycznej, miał charakter zdecydowanie odmienny od zwykłych nowojorskich imprez dobroczynnych, a więc towarzyskie beniaminki w rodzaju multimilionera Trumpa, europejskich milionerów wszelkiej maści, a także patrycjuszowskie rody wielkiej fmansjery szczęśliwie wyniosło na bal do Tiffany'ego na Plaża. Na miejscu pozostały długonogie modelki: Iman, czarna i gorąca jak majowa noc, Elle MacPherson, prezentująca najlepsze ciało na świecie — w tej dziedzinie nie miała rywalki i o całe niebo przewyższała dziesięć najpiękniejszych kobiet wszystkich kontynentów; urzekająca Christie Brinkley — w promieniach jej uśmiechu topniały umysły. Ludzie ci, stanowiący źródło słynnej nowojorskiej energii, niepokoił się tym, że co sekunda świat traci zadrzewiony obszar wielkości boiska do piłki nożnej. Sama Madonna opowiedziała im o zabójczym działaniu dwutlenku węgla, unicestwowianego jedynie przez rośliny, i wyjaśniła, jak tworzy on nad światem cieplarnię, która pewnego dnia podniesie temperaturę globu, stopi góry lodowe i spali ich wnuki.

Lecz teraz Clementowie, Haringowie, Lichtensteinowie i Schnabelowie, Oldenburgowie, Mardenowie i Ruschasowie myśleli o czymś innym. Wiwatowali, krzyczeli i wymachiwali rękoma z zachwytem nad zuchwałym lekceważeniem

konwenansów i śmiałą uczuciowością tej niegdyś dziewiczej, niegdyś rozmodłonej, a także zainteresowanej sprawami materialnymi dziewczyny.

Pat Parker obejmowała aparat, przyciskając go do piersi i pośpiesznie zerkając na zegarek. Było po jedenastej. Wydarzyło się to później, niż oczekiwała. Cholera! Nie znajdzie się w porannych gazetach. To znaczy, że trafi do ziemi niczyjej, jaką stanowią wiadomości późniejszych wydali. Ale rozumowała kategoriami Nowego Jorku, dzienników *New* i *Post*. Ukazujący się w całych Stanach *USA Today* zrobi z tego w czwartek sensację dnia, no i zawsze pozostaje jeszcze telewizja. „W świecie rozrywki” może pokazać zdjęcia jako ilustrację sprawozdania i naturalnie popularne programy, jak „Co słyhać”, będą zachwycone. Do tego zawsze miała w odwodzie bardziej nastawione na sensację pisma, jak *US* i *Details*. Teraz musi oddać film do wywołania, by przekonać się, czy zdjęcia wyszły. Żaden fotograf, bez względu na osiągnięty stopień mistrzostwa zawodowego i artystycznego, nie uważał tego za oczywiste.

Tłum płynął w kierunku wyjścia, w którym tłoczyli się natarczywi reporterzy; elita towarzyska przedstawiała sobą barwne morze psychodelicznych podkoszulków, więziennych uniformów, workowatych spodni i wąziutkich krawatów we wszystkich kolorach tęczy, wszystko to razem w interpretacji elegantów dotrzymujących kroku modzie miało stanowić „nieobowiązujący strój wieczorowy”. Teraz twarze podjęły wyzwanie, rzucone im przez kamery „Sony” i falliczne mikrofony kierunkowe, mamrocząc banały dla migawek dźwiękowych. Nikt nie otrzyma więcej niż siedem sekund. Badania, przeprowadzone przez sieć telewizyjną wykazały, że przez tyleż czasu przeciętny widz jest w stanie skupić uwagę na jednym przedmiocie. Pat Parker ominęła jednak fotografów i zbiegając ze schodów szukała Jeda, swego kierowcy, oraz rangę rovera, zaparkowanego gdzieś w połyskliwym morzu limuzyn. Ujrawszy chłopaka, głośno go zawołała po imieniu i wtedy właśnie wpadła prosto na Kenny'ego Scharfa.

Wysoki i przystojny artysta od graffiti miał krótko obcięte włosy i był zdenerwowany jak diabli. Wieczór poświęcony ochronie lasów to jego dzieło. Tak długo zadreślał Madonnę, aż ta zgodziła się wziąć w nim udział, cała reszta zaś świetnie z nią współgrała: Bob Weir z legendarnego zespołu „Grateful Dead”, „B-25” i, naturalnie, Sandra Bernhard, kusicielka o ostrym języku, której duet z Madonną wyniósł godny zapamiętania wieczór na wyżyny legendy. Na scenie Scharf wygłosił chaotyczne przemówienie. Ręka mu się trzęsła i napięcie związane z całym tym

przedsięwzięciem najwyraźniej dawało o sobie znać. Teraz musiał się martwić czymś jeszcze. Kto, do diabła, zezwolił tej Parker na robienie zdjęć? Przecież nie on, a Madonna nalegała, by nie było „żadnych aparatów”. Napisami tej treści obwieszona była cała sala.

Scharf patrzył na podnieconą twarz Pat. Jego wzrok padł na nikona, którego ściskała w dłoni.

—Nie robiłaś... zdjęć duetu Madonny... prawda? — wymamrotał beznadziejnie.

—Poniekąd tak, Kenny — odparła Pat po prostu.

Kenny sprawiał wrażenie zrozpaczonego. Pat Parker trzymała się twardo. Był o wiele za delikatny, by wyrwać jej aparat. Gdyby to uczynił, walczyłyby o niego i prawdopodobnie zwyciężyła.

— Pat, proszę, nie rób mi tego. Nie publikuj tych zdjęć. Widzisz, obiecałem Madonnie, i ona zrobiła to wszystko dla ochrony środowiska... i... i...

Pat Parker zaczerpnęła głęboko oddechu. Tylko w ten sposób dawało się wziąć ją pod włos. Przez całe życie była twarda jak stal. Musiała. Jakże inaczej zdołałaby przeżyć lata dzieciństwa, dorastania i dojrzewania w bezwzględnym mieście? I musiała dojść tam, gdzie się właśnie znajduje jako rzutka reporterka, której nie należy lekceważyć, piękna, wyglądająca o niebo lepiej od tych wszystkich twardzieli, którzy pozują jej do portretów. Stuprocentowych samców zjadała na śniadanie. Wrażliwcy mieli przynajmniej szansę.

— Nie wiem, Kenny. W końcu nie zakradłam się tu jak złodziejka. Medina dał mi zgodę na zdjęcia. Mam to nawet na piśmie.

Zrozpaczony Kenny przemienił się w zdruzgotanego Kenny'ego.

— Nie miał prawa. Uzgodniliśmy, że ma nie być „żadnych zdjęć”. To była część umowy.

— No tak...

Pat Parker potrząsnęła głową i jej jasne loki rozburzyły się w ciepłym powietrzu nowojorskiego wieczoru. Nie miały dla niej tajemnic dwuznaczności show biznesu, stosunek do reklamy, do której miłość przeplatała się z nienawiścią. Z ludźmi od reklamy trzeba żyć w zgodzie, gdyż inaczej iskierka sławy zgaśnie, nim zdąży rozblysnąć w walce o sukces. Lecz człowiek wzdraga się przed naruszeniem swej prywatności wieczną szarpaniną, uciążliwymi kontaktami z prasą, którą się pogardzają a która jest niezbędna do osiągnięcia wymarzonych celów. Dlaczego

Madonna poszła na ten duet? Czy miało to być tajemne objawienie dla grupki przyjaciół, ograniczone na mocy wzajemnego porozumienia do czterech ścian sali widowiskowej? Nie, do licha! Jest głęboko oddaną sztuce zawodową artystką, zmieniającą swój obraz w wyniku drobiazgowych kalkulacji, a jej posunięcia zsynchronizowane są co do ułamka sekundy z wyczuciem dyrygenta orkiestry symfonicznej. Czy miało to być odsłonięcie nowej Madonny, cichaczem przeprowadzona próba wykreowania zupełnie innej osobowości, by zobaczyć, jak się przyjmie? To wysoce prawdopodobne. A jednak... a jednak... Madonna popełniała omyłki natury emocjonalnej. Być może, znajdujący się we wnętrzu nikonu film uwiecznił jeden z takich lapsusów — wylew autentycznego uczucia, całkowicie spontanicznego, którego później będzie żałować.

Pat Parker westchnęła.

— Kenny, chciała, żeby wszyscy wiedzieli. Kenny przeczesał palcami włosy.

— To był żart, Pat. Zgrywała się.

Brwi dziewczyny wygięły się w łuk, a usta rozluźniły się w szerokim uśmiechu.

— Daj spokój, Kenny!

— Pat, proszę cię jak przyjaciel. Jeśli tego nie rozdmuchasz, sprawa przyschnie. Znasz nowojorczyków. Są tak wpatrzeni we własny pepek, że mało co ich poza tym obchodzi. Nie będą pamiętali o tej historii, nawet gdyby ciągnęli ich za to po sądach.

Pat roześmiała się niewesołym śmiechem. Miał rację. Publiczność tak bardzo obawiała się popełnienia kardynalnego grzechu imprez filantropijnych — tego, że znajdzie się wśród ostatnich opuszczających salę gości — iż wiele osób wyszło przed kulminacyjnym duetem. Ci, co pozostali, już zastanawiali się, gdzie zostaną usadowieni w czasie obiadu. Na górze, w „Indochinach”, czy też upchną ich w piwnicy? Czy zasiądą przy najlepszym stole wespół z Joelami, Wennerami, Kleinami, czy też utkną gdzieś na krańcach towarzyskiej „Syberii”, na zapleczu restauracji, z dala od ciepła uśmiechu Briana McNally'ego? Będą mieli kłopoty z parkowaniem i jak, do diabła, wy dostać się z Brooklynu, i czy starczy im pary, by nad ranem pojawić się u Rudolfa Marsa? Żadna z miejskich gazet nie przyśle tam reportera... Zostawią to licencjonowanym felietonistom. Cenne szpalty lepiej poświęcić przyjęciu na Plaża, a nie temu całemu kramowi. W najlepszym razie auto-

rzy kroniki towarzyskiej z informacji agencyjnych wyciągną parę nazwisk oświadczając, że też tam byli. A więc Amerykę Środkową ominie ten smakowity kąsek i całkiem niespodziewanie Pat Parker przyszło do głowy, że może to i wcale nie tak źle.

Wzruszyła szerokimi ramionami. Do diabła z tym. Kogo to obchodzi?

—Nich ci będzie, Kenny — powiedziała wreszcie ze znużonym uśmiechem.

— Wygrałeś. Zakopię je.

—Kochana jesteś — oznajmił, a na jego twarzy malowała się ulga. Szybko uścisnął dziewczynę i zniknął w tłumie żywych graffiti.

Pat Parker poruszała się coraz wolniej, w miarę jak słabł strumień adrenaliny. Kurczę! Miała w ręku bombę i wypuściła ją. Co to ma

znaczyć? W zeszłym roku od takiej historii musiałoby ją odrywać stado wilczurów. A jednak zwyczajnie ją oddała, gdy ładnie poprosił o to ładny chłopiec. Czy zaczynała tracić grunt? Słabnąć? Przygryzła wargę, żując ją lekko pośród rozgrzowanego tłumy. Lecz знаła już odpowiedź. Nudziło ją to życie. Na początku kariery chciała coś udowodnić, gdy goniły ją terminy, gdy uganiała się po niebezpiecznych ulicach za robotą, podjęła rękawicę, rzuconą jej przez męski sarkazm i niedowierzanie, że kobieta — piękna kobieta — może być lepsza od starych wyg reporterskich. Wówczas nie miała czasu, a tym mniej chęci, by podważać wartość tego, co robiła, ponieważ póki nie odniosła sukcesu, jej praca miała sens, nikt bowiem jeszcze w taki sposób tego nie robił. A teraz już zrobił. Nie była najlepszym fotografem wśród nowojorskich kobiet, lecz miała już swoją wystawę w Stanley-Wise, Crown prowadził z nią rozmowy o wydaniu książki, a sieć jej kontaktów wśród śmietanki artystycznej oraz znajomość nocnego życia były do prawdy godne pozazdroszczenia. Znała miasto, Nowy Jork znał ją i osiągnęła już to stadium doskonałości warsztatowej, dzięki któremu mogła zapomnieć o technice fotografowania i skoncentrować się wyłącznie na sztuce. Sztuka. To było to. W tym miejscu chciała się znaleźć. Tak łatwo oddała swą reporterską bombę, bo wygrywanie już jej nie wystarczało. Teraz chciała tworzyć piękno.

Jed schylił się i otworzył drzwi range rovera. Z jego oczu biło uwielbienie.

— Jak poszło?

Pat Parker wgramoliła się do środka niczym kierowca tira do szoferki. Rajstopy, majtki, wszystko z niej zwisało. Cisnęła na tylne siedzenie nikona wraz z drogocennym niegdyś filmem, jakby otrzymała go w charakterze premii za spożycie

posiłku u McDonalda. Wydała głębokie westchnienie żalu i satysfakcji, kręciła głową z boku na bok, jakby chciała wypuścić powietrze z przegrzanej czaszki.

—Tylko rewelacyjnie i wszystko spieprzyłam.

—Bob Weir był aż tak dobry? Ludzie szaleli za „Deadheads”.

— Nie, głuptasie. Madonna już prawie poszła na całość z Sandrą na scenie. Mam to... — Machnęła przez ramię kciukiem w kierunku nikona, a Jed tymczasem wyprowadzał samochód z gęstwy limuzyn.

—Wspaniale, Pat. Chcesz, żebyśmy pojechali do pracowni i od razu je wywołali? Dokąd pójdą? Do *Post*?

Pat wzruszyła ramionami.

— Do akt. Na papier toaletowy. Do ciebie pod poduszkę, stuprocentowy samcu.

Uśmiechnęła się do asystenta, ten zaś rozjaśnił się w blasku ulicznych latarni. Biedny Jed jak zwykle wyglądał niby półtora nieszczęścia — druciane okulary, włosy jak z drutu, nie skoordynowana paplanina, ubranie ze starszego brata łapserdaka, ale odwzajemnił uśmiech, zadowolony, że szefowa, którą kochał, jest z niego zadowolona.

—To znaczy, że ich nie wykorzystamy?

—Właśnie obiecałam, że nie. Może mam źle w głowie.

—Naciskali na ciebie?

W głosie Jeda brzmiało niedowierzanie, które już, już miało przejść w oburzenie. Nikt nie będzie rozkazywał Pat Parker. W szczególności wtedy, kiedy jej zespół dopinguje jakieś pięć stóp nieporadnego fafuły.

—Bardzo milutko. Kenny nadawał o swojej przyjaźni z Madonną. Obiecał, że nie będzie żadnych fotek. Ktoś skrewił, wydając mi zezwolenie.

—Jezusie! — Tyle wydobył z siebie Jed. Czy to mówiła Pat Parker, która chodliwe zdjęcia okupiłaby własną krwią, gdyby taka była cena?

Pat przeciągnęła się jak kot o lśniącej sierści, śpiący gdzieś w dżungli, którą właśnie będzie się ratować.

—Jed, chyba znalazłam się na jakimś zakręcie kariery. Czuję, jak weń wchodzi. Bo, na przykład, komu jeszcze zależy na reportażu? W życiu chodzi chyba o coś więcej niż ilustrowanie plotek. Może gdybym zrobiła kilka ujęć ginącej dżungli, miałyby to jakieś znaczenie, ale Madonna i Sandra ocierające się o siebie tyłkami... rozumiesz... to chyba nie jest takie ważne?

—Może i nieważne, ale dość ciekawe.

—Fakt, mężczyźni to lubią. Kobiety chyba też.

Jasne oczy Pat Parker przybrały rozmarzony wyraz, ale w istocie nie myślała wcale o seksownym duecie dwóch dziewcząt. Zastanawiała się nad swoją przyszłością. Czy Nowy Jork się dla niej skończył? Czy wdarła się do jego wnętrza? Czy nic już nie znajdzie, niczego więcej nie udowodni? A skoro wyrwała łup ze szponów najbardziej zawiązanego miasta na świecie, co pozostało jej na bis? Jedno nie ulegało wątpliwości — wyzwanie musi nadejść skądinąd. Z roztargnieniem podrapała się w krocze, nie bacząc na podskakujące jabłko Adama swego Piętaszka.

—„Indochiny”? — wydusił ze ściśniętego gardła.

—Chyba tak.

—Proszę, tu masz bilet. Musisz coś zjeść. Stolik dwudziesty dziewiąty — powiedział Jed. Był też sekretarzem, a jego informacje miały dla Pat istotne znaczenie. Musiała wiedzieć, jaką zajmuje pozycję w niebezpiecznym gąszczu nowojorskiej nocy. Czy jest tylko foto-reporterką? A może gościem? W tym ostatnim przypadku sławy będą się przy niej czuły swobodnie. Jej rola stanie się łatwiejsza. Brian i Anne McNally'owie, wynalazcy „Odeonu”, „Indochin” i baru „Canal”, to dobrzy przyjaciele Pat, ale muszą tak lawirować, by z jednej strony stać na straży prywatnego życia swej gwiazdzistej publiczności, a z drugiej zapewnić reklamę tak żywotną dla jej kariery.

Jed śmigał przez wyludnione ulice jak tubylec, którym zresztą był. Niewielu ludzi potrafiło przedostać się z Brooklynu do „Indochin” bez wskazówek przez telefon komórkowy.

— Będę na zewnątrz. Nie ma pośpiechu. Potrzebna ci będzie trzydziestka piątka i szeroki kąt, żeby zrobić wnętrza? 400 asa powinna

mieć wystarczającą czułość bez flesza. Zdaje mi się, że jest tam światło, przynajmniej na górze,

— Tak. Dzięki, Jed. Jutro masz wolne. Przyjdź w piątek. Jesteś rewelacyjny.

— Pochyliła się, szybko pocałowała go w policzek, zgarnęła kilka nikonów, które wyciągnął ze skrytki, i otworzyła drzwi, gdyż samochód akurat zahamował przed restauracją.

Przedarła się przez grupkę fotoreporterów, machając do paru, których знаła, nie zwracając uwagi na chmurne miny wielu, którzy ją znali. Nowojorscy szowi-

niści udoskonalili swą sztukę. Zazdrościli jej kontaktów, których im z braku wdzięku bądź inteligencji nie udało się nawiązać, i usprawiedliwiali fiasko swej kariery oraz sławę Pat Parker jej urodą. Dziwka każdą sprawę załatwi przez łóżko — jęczeli. Wiadomo, jak to kobieta. Na początku jej kariery, w strefie wojennej między pracą a legitymacją związku zawodowego, jakiś spryciulek całe wnętrze samochodu dziewczyny zasypał ściętą trawą, by odpłacić się za to, że zamieszczono zdjęcie przez nią zrobione. Znalezienie takiej ilości trawy było prawdopodobnie najbardziej twórczym wyczynem faceta. Przez jakiś czas co złośliwsi i bardziej zawistni koledzy nazywali ją „trawnikiem”. Przestali potem, gdyż nawet najbardziej krótkowzroczni spostrzegli, że oszałamiająca uroda nie gwarantuje oszałamiającego sukcesu.

Pat machnęła bramkarzom i niebawem była już w środku, wyćwiczonym okiem prześlizgując się po długiej, wąskiej restauracji, oceniając sytuację, rejestrując to, co najważniejsze.

Stół honorowy rozciągał się pod ścianą i wszystkie gwiazdy sezonu już za nim siedziały. Billy Joel i świetlista Christie usadowili się obok Micka Jonesa z „Foreignera”, a Pat wiedziała, że Jones jest producentem nowego longplaya Joela. Wydawca „Rolling Stonesów” Jann Wenner wchodził w niebezpieczne związki z krótko ostrzyżoną Glenn Close oraz urodziwą, swobodną w obejściu Lori Singer. Słodka Kelly Klein miała na palcu wart milion dwieście tysięcy dolców pierścień księżnej Windsoru, a Calvin, mężczyzna, który go dla niej kupił, siedział obok, schludny i starannie ubrany w nieskazitelną garnitur o staromodnym kroju, garnitur mogący wchodzić w skład garderoby księcia. Świat artystyczny reprezentował twardy zawodnik Brice Marden, aktualnie wystawiający na biennale w Whitney. Modelka, muzyk, wydawca, słynny krawiec, gwiazda filmowa. Była to interesująca mieszanka arystokracji zawodowej. Arystokracja rodowa poszła w całości na nudne przyjęcie na Plaża, i tylko jej brakowało. Prócz Lee Radziwiłł i Tatum O’Neal większość twarzy z okładek objawiła, się tutaj.

Ludzie odbijali się od Pat Parker jak piłeczki pingpongowe w tunelu aerodynamicznym. Nie mogli ustać w miejscu. Wypowiedzenie połowy zdania to ciężki obowiązek towarzyski dla zawodowego bywalca w tym mieście. Może to kokaina. Może impuls ciśnienia w szybkowarze miasta. Tak mało czasu, a tak wiele do powiedzenia. A może tak dużo czasu, a tak mało do powiedzenia. W każdym razie zapal pokazowych serdeczności niezawodnie zawodził, gdyż wygłodniałe oczy w

poszukiwaniu nowej ofiary penetrowały salę, prześlizgując się ponad poduszkami Pat.

— Poduszki, kochanie? Wiem, że ciężko tak od razu z nich zrezygnować, ale wszystkie musimy podjąć próbę... Właśnie mówiłam... O, jak się masz, kochanie, czy wynajmujesz Bridgehampton w tym...

Żona arbitra atakowała dalej, rzuciwszy Pat bezdźwięczny pocałunek przyłgnęła do Di Cummin, niezwykle efektownej dziewczyny w wielobarwnym stroju od Rifata Ozbeka; domy Di w Hamtons, Sun Valley, przy Piątej Alei i na Wyspach Dziewiczych regularnie prezentowano na łamach *Architectural Digest*.

— Pat Parker? Pracujesz? W Alaïa? To niedozwolone.

Jacqueline Schnabel, olśniewająca była żona malarza Juliana (płótno), opuściła męża dla malarza uprawiającego inny rodzaj działalności (domy, miasto). Impulsywna właścicielka sklepu w Alaïa wyglądała zachwycająco w głęboko dekoltowanej sukni w lamparcie cętki, również od Ozbeka, projektanta rozrywanego przez modne damy. Pat schyliła się i zrobiła przyjaciółce zdjęcie.

— No, zarobiłam na tobie. — Roześmiała się. — Chodźmy coś zjeść, Jacqueline. Usiądź przy moim stole, gdziekolwiek on się znajduje.

Numer dwadzieścia dziewięć to było dobre miejsce, zestawione w podkowę ze stołem głównym. Pat wcisnęła się na siedzenie, z którego miała widok na hol wypełniony znakomitościami jedzącymi krewetki i sączącymi mrożone chablis. Zabawne. Na wschodnim wybrzeżu sławy piły. Na zachodnim nie. Ale oczywiście tu dużo nie jedzono, natomiast po drugiej stronie Ameryki bez przerwy wpychano w siebie paliwo do nie kończących się sesji aerobiku. Rozejrzała się po swoim stole, ściskając Jacqueline, by dać jej poznać, jak lubi przyjaciółkę. Hm! Głównie pedały. Dawniej homoseksualiści ubierali się jak kobiety. Teraz już nie. Heteroseksualni samcy stroili się w coś, co mocno przypominało damskie szatki. Cioty jeden w drugiego odziani byli jak biznesmeni z Wall Street. Nad wytwornymi garniturami w angielskim stylu świeciły różowe, wypucowane do połysku buzie, nie sterczał żaden włos, najmniejszy uśmiech nie błąkał się wokół wyszczotkowanych, wybielonych, wyszprycowanych wodą zębów. Z początku odstrzelona brygada udawała wyniosłą pogardę dla dwóch wspaniałych dziewczyn, które wdarły się za ich stół. Zmiękli nieco, gdy do dziewcząt zamachała Kelly Klein, jeszcze bardziej, kiedy podszedł Brian McNally i opowiedział parę kawałów, a potem skręcali się z nogami w górze, gdy Lauren Hutton przesłała im namiętne pocałunki. Stopniowo

zaczęły do nich przenikać indochińskie potrawy, na które nałożono embargo na drugim końcu stołu. Strzelały cięte odzywki. Rozkręcał się nowojorski wieczór.

Pat Parker wypstrykała rolkę „Kodaka” na roześmiane twarze, zamówiła dużą puszkę „Sapporo” — najmodniejszego japońskiego piwa, i zaczęła się zastanawiać, dlaczego w Nowym Jorku sławy mogą się bawić, a w Los Angeles to nie uchodzi. Powinna powstać dysertacja na ten temat i w obfitującej w rozprawy doktorskie Ameryce parę osób bez wątpienia już się tym zajęło. Nagle zaczęła się dobrze bawić, w miarę jak zanikały egzystencjalne wątpiwości co do własnej kariery, które tak silnie odczuwała wcześniej. Iman oraz dziewczyna Bona Talisa Soto, ciągnące za sobą sznur czarno odzianych piękności o czarnych oczach i niesamowicie długich nogach, okrytych nieprawdopodobnie krótkimi spódnickami, przystanąły, by wymienić powitalne całusy. Podeszła też szykowna Anna Wintour, redaktorka nowego, „modniejszego” *Vogue*, opuszczając na parę centymetrów lodowatą maskę z twarzy w dowód uznania dla podziwianej przez siebie fotograficzki. Przy jej stoie przystanąła też Jean Pagliuso — Pat Parker w dziedzinie fotografowania mody, przybyła tu prosto od ołtarza w hotelu „Bel Air”. Za nią kroczył Peter Beard, uznany apostoł ochrony środowiska w Kenii; noszony przezeń znaczek z napisem: „Odkryła mnie Iman” pozwalał wyrobić sobie pogląd co do jego poczucia humoru. W ciągu kilku ważkich chwili towarzyski środek ciężkości zaczął się niedostrzegalnie przesuwac w kierunku stolika Pat Parker, i to tak dalece, że Ian Schrager, partner Steve'a Rubella, który całe życie wysilał się, by w porę uchwycić takie zjawiska, poczuł istotną potrzebę skomentowania tego wydarzenia.

A potem nagle go ujrzala. Palce niepokoju przebiegły jej po plecach z zapamiętaniem Jerry Lee Lewisa. Odetchnęła głębiej. Popatrzyła ponownie i coś ściśnęło ją w dołku. Z drugiego końca sali, częściowo ukryty za kolumną, obserwował ją mężczyzna. Jego bladość nie stanowiła pozostałości długiej zimy na Manhattanie. To wymizerowanie śmiertelnie chorych, a jego wyniszczona, przystojna niegdyś twarz, teraz pomarszczona i apatyczna, szydziła z pamięci człowieka, którym był niegdyś. Ale nie żył. W marcu uczestniczyła w jego pogrzebie. Gorzko oplakiwała zmarłego przyjaciela. Co on tu robi, ten duch na uczie? Wstała. Drżącymi palcami uchwyciła krawędź stołu, by go odepchnąć, wydostać się z tłoku. Ani na chwilę nie oderwała wzroku od oczu obserwującego ją mężczyzny. Kieliszek wina przewrócił się na biały obrus, lecz Pat Parker nie przystanąła. Ciało poruszało się, ale cała jej istota zastygła. Czula się zlodowaciała w środku. Roz-

brzmiewający wokół towarzyski gwar owiała mgła nierzeczywistości, twarze stały się obliczami z Magritte'a, nierealnymi symbolami, stereotypami, pozbawionymi własnej krwi i ciała. Poczwała dłoń na ramieniu, lecz ją straciła. Musi do niego podejść. Wyssała ją z miejsca przerażająca, nadprzyrodzona siła, tak że nie władała już sobą. Jak uszedł zimna grobu? Co robił w „Indochinach”, pośród burżuazji, której z lubością nienawidził? Dlaczego się jej przypatrywał, rękami chwytając się fotela, ukochaną głowę trzymając wysoko, gdy badał jej duszę wśród morza frywolnego śmiechu, z twarzą zakłopotaną, kpiarską... drwiącą? Przeciskała się przez fale krążących gości i wizja zniknęła jej z oczu. Był za kolumną. Prawie już tam doszła. Zebrała wszystkie siły. Obeszła kolumnę dookoła.

— Robercie — rzekła bez tchu.

Ale to nie Robert. Oczywiście, że ten człowiek musiał być kimś innym. Kimś bardzo do niego podobnym.

Mgła odpłynęła z jej oczu, gdy pojawił się zdrowy rozsądek, by odegnąć emocje. Mężczyzna na wózku inwalidzkim, najwyraźniej bardzo chory, był sobowtórem Roberta. Stała z niemądrym wyrazem twarzy, patrząc nań z góry, a on przyglądał się, jak usiłowała wyrazić swe uczucia słowami.

— Przepraszam — wykrztusiła — ja... — Wykręciła ręce, by przekazać to, czego nie da się powiedzieć. Schorowany mężczyzna wpatrywał się w jej twarz, a ona w jego, widząc coraz więcej różnic, uświadamiając sobie, że to nie Mapplethorpe, naprawdę nie on, i że nawet go nie przypomina. Podobieństwo było dziełem jej wyobraźni. Pośród zabawy przemówiła podświadomość. Przypomniała jej, jakiego widziała go po raz ostatni, wyniszczonego i tak bliskiego śmierci.

— Pat — wyszeptał, wyciągając do niej drżącą rękę.

— Och, Robercie, nic ci nie jest? — Zadała to beznadziejne pytanie, opadając obok jego krzesła, wzięła go za rękę, a jej oczy wypełniły się łzami na widok tego cierpiącego piękna.

— Miewałem lepsze dni — odparł z ponurym, zażawionym uśmiechem. A potem zapytał, czy pamięta Bond Street.

Jakże mogłaby o niej zapomnieć?

Zdarzyło się to pięć długich lat temu, gdy znalazła się na dnie w dużym mieście. Nie wiedziała, co robić, nic nie umiała, nie miała środków do życia, jej atuty stanowiły: silna osobowość, uroda, lodowa góra talentu. Zdawało się, jakby to było wczoraj — bar na przedmieściu, czarny facet, który ją rozśmieszył, przyjęte za-

proszenie do jakiegoś mieszkającego w pobliżu fotografa. Wcisnęła się do rozklekotanej windy i jadąc w górę miała wrażenie, że jest w ruchomym więzieniu, gdyż przez kraty klatki przeświecało niepewne światelko. W siedemnastej wiośnie życia wiedziała, że nie postępuje mądrze, lecz w dzieciństwie nauczyła się, iż mądrość to luksus, na który pozwolić sobie mogą tylko bogaci. Jej nowy przyjaciel — tancerz, jak się przedstawił — zapukał do drzwi, które otworzył odziany w skórę facet, niski, lecz doskonale zbudowany; ucieszył się z ich przybycia w naturalny, niewymuszony sposób. Pat opadła na czarną skórzaną kanapę, rzucając nogi na pokryty szkłem stół z lat pięćdziesiątych z arogancją właściwą ludziom bardzo młodym i bardzo pięknym, po czym rozejrzała się po małej pracowni, obejmując wzrokiem dębową komodę, krucyfiksy, samotną lilię w smukłym wazonie.

— Jezu, tu jest jak w kościele — powiedziała z wyraźnym brakiem szacunku, a facet w skórzanych spodniach roześmiał się i przyznał jej rację.

— Cały czas robię ołtarze. Odbija mi się katolicka przeszłość. Tak to się zaczęło. Podziwiała kwietne ryciny na ścianach i ramy,

które sam wykonał i zaprojektował, a on obserwował Pat z zawodowym dystansem mężczyzny, który pożąda tylko mężczyzn. Nie doznała wstrząsu, gdy wyciągnął piękne zdjęcia, które z uporem nazywał pornografią, mimo iż bezsprzecznie sięgały wyżyn sztuki, i choć sama nie zapaliła, nie miała nic przeciw temu, że wyciągnął trawkę i opowiadał jeżące włos na głowie historie o tym, jak zrobiono owe fotografie i jak ważne było dlań uczestnictwo w tym szalonym świecie seksualnej mniejszości, nie tylko jego podglądanie. Tak wysłuchiwała pierwszego wykładu dotyczącego niezależności artystycznej i mimo osobliwego tematu dobrze się tej lekcji wyuczyła. By to utrwalić, trzeba się tym stać, być tym. W przeciwnym razie zostanie się w tym mieście jeszcze jednym turystą, napalonym na to, by zgarnąć szybką forszę i żyć zastępczo z doświadczeń innych. Rozmawiali długo w noc, polubił ją i od razu następnego ranka zaproponował pracę asystentki, a ona zgodziła się w chwili natchnienia. W tym miejscu i czasie rozpoczęło się jej nowe życie. Podczas ich ostatniego spotkania, umierając na AIDS, nie mógł oddychać bez tlenu, lecz za wszelką cenę starał się z nią rozmawiać.

— Stale oglądam twoje zdjęcia. Dobra robota, Patti. Bardzo dobra — wyszeptał.

Nazywał ją Patti, a ona zastanawiała się, czy nie pociągała go przede wszystkim swym imieniem. W latach sześćdziesiątych Patti Smith napędzała mu wiatr w skrzydła.

— To gówno, Robercie. Dobrze wiesz. Skończone gówno. Zdumiała ją gwałtowność, z jaką sama siebie potępiała. Jakby po raz pierwszy zdała sobie z tego sprawę. Chmury hipokryzji rozwiały się tak samo jak wokół Roberta i została z szorstką prawdą o swej artystycznej niedoskonałości.

— To okres przejściowy — powiedział miękko. Spokój dźwięczał w jego słowach, które pełne były mądrości kończącego się życia. Z uczuciem smutku mówił o nich obojgu, podróżnikach do doskonalszego piękna, o wszystkich nie zakończonych sprawach, a także o radości i strachu, jakie niosą ze sobą wszelkie przyszłe nie zakończone sprawy. Trzeba tylko zachować wiarę. Trzeba tylko walczyć i nie poddawać się, a ze słabości zrodzi się siła, z kłamstwa zrodzi się prawda.

Pat czuła, że jej oczy napęniają się łzami. Ten umierający przyjaciel z dawnych lat był jak wyrzut sumienia. Odsunęła się od jego świata, by szukać własnego, do czego ją zachęcał. Rzuciła się w półświatek nowojorskiej nocy i posłuchawszy rady przyjaciela, zanurzyła się w twórczą frywolność, ciemny blichtr satyry społecznej. To miękkie podbrzusze wielkiego amerykańskiego imperium było tak samo rzeczywiste i żywotne, jak gleba księżycowa, i wiernie je uwieczniała, dając z siebie wszystko co najlepsze, oddzielając piękno od plew i wydobywając sztukę z ciężkiego, stojącego powietrza przesyconego narkotykami i potem. Niegdyś wydawało jej się to najważniejszym zadaniem na świecie. W czasie ostatniego spotkania z Robertem zdała sobie sprawę, że marnuje życie.

—Co mam zrobić, Robercie? — spytała. Roześmiał się serdecznie, lecz niewesoło.

—Och, Patti, żebym to ja wiedział.

Uśmiechnęła się teraz, przypominając sobie jego słowa. Robert nie proponował łatwych odpowiedzi. Znał udękę i ekstazę, których nie chciał oddzielać od swej sztuki. Artysta musi znaleźć własną drogę. To żywotny składnik jego sztuki, być może najważniejszy.

—Czy jeszcze możesz pracować, Robercie?

—Koncepcyjnie.

Uśmiechnął się do dziewczyny, którą zawsze kochał i podziwiał. Po czym poprosił ją o przysługę.

— Patti — rzekł — zrobisz coś dla mnie? Przez pamięć na dawne dni.

Pat Parker czuła, jak łza spływa jej po policzku. Przez pamięć na pamięć na dawne dni. Przez pamięć nu cudowne, tak twórcze dla umysłu dawne dni, gdy poczuła śliski film w dłoniach, poznała trzask przymocowy-

wanego do aparatu obiektywu, zmysłowy dotyk przesłony pod palcami. Potem nurzała się w ciepłym blasku wolframu i chwyciła obrazy wycięte Ostrzem flesza, błędząc z rozkoszą w mroku ciemni, warząc chemikalia aż do magicznego momentu narodzin obrazu. Żyli w nocy, posypiając za dnia, a człowiek, którego świat uzna kiedyś za najoryginalniejszego artystę fotografika, odkrył przed nią wszystkie sekrety, jakie można przekazać. Przez pamięć na dawne dni? Zrobi wszystko.

Pochyliła się niżej, by się dowiedzieć, o co chce ją poprosić.

— Jedź do Kalifornii — wyszeptał. — Jedź do Malibu, Patti. Zobacz się z Alabamą. Zrób to dla mnie.

Twarz Pat Parker skurczyła się na to wspomnienie. Szloch wydarł się prosto z jej serca. Pod jasnymi światłami wielkiego miasta opłakiwała zmarłego przyjaciela i wszystko, co dla niej znaczył. Stała tam, zupełnie rozbita, na wpół uświadamiając sobie, że mężczyzna, który wywołał to wszystko, patrzy na nią ze zdumieniem, zmartwiony wyraz twarzy zaś marszczy mu pergaminową skórę.

Zaczęła się oddalać od nieznajomego; ze łzami żalu w oczach przez rozbawiony tłum przedzierała się ku wyjściu. Zarazem zdawała sobie sprawę, że doszła w życiu do punktu zwrotnego. W „Indochinach” odkryła własną drogę do Damaszku. Dawne życie dobiegło końca. Niebawem zacznie się nowe. Pojedzie do Bena Alabamy. Poszuka dla siebie przyszłości w Malibu.

2.

Nutki z błękitnego pianina wisiały w upale nowoorleańskiego wieczoru, osiadając wdzięcznie na lepkim wietrze. Naprzeciw budynku tory tramwajowe roz-

brzmiewały jeszcze wspomnieniem przejeżdżających wagonów, a Stanley, spocyny, drapał się po nie golonej od kilku dni brodzie. Był uwięzionym zwierzęciem, umierającym z nudy i upału, wpatrującym się w przeciwną stronę pokoju, gdzie siedziała kobieta, która go mierzyła i której nagle zapragnął.

Ta dwuznaczność uczuć odbijała się w nim jak księżyc w błotnistej rzece. Chciał ranić. Chciał kochać. I pragnął zemsty za wszelkie zniewagi i wyniosłe miny, zemsty za wszystkie bezczelne kłamstwa. W erotycznym tańcu będzie tak przemożny jak barczyste ramiona, wystrzelające z muskularnej klatki piersiowej, tak silny jak szczupłe, wygłodniałe nogi w wyplamionych tłuszczem spodniach, triumfujący jak napięte, wyprężone pośladki, które ukarzą tę próżną stojącą przed nim kobietę.

Zwiędła południowa piękność usiłowała nań nie patrzeć, ale nie mogła uniknąć jego oczu. To nieprzyzwoite, a jednak musiała mu się przypatrywać, gdyż wyczuwała jego pragnienie, które łączyło się z jej własnym. Boże, czuła jego seks. Skapywał zeń, zmysłowe krople paliły jej mózg, gdy letni nocny wietrzyk powiewał jej wilgotnym ubraniem, a błękitne pianino kłamało, że jest wspaniale. Chciała podejść doń i ocierać się o to barbarzyńskie ciało. Chciała usłyszeć, jak obrzuca ją potokiem wulgarnych przekleństw. Śliczna żółta sukienka poplamiona jego potem — tego tylko pragnęła. Ale nic mu nie powie. On nie może o tym wiedzieć. Nie wolno dopuścić, by zatriumfował, by powziął najmniejsze podejrzenie, że ktoś tak pospolity i nieokrzesany może rozpalić damę.

Oderwała się zatem od jego płonących oczu, przytknęła do skroni perfumowaną chusteczkę i usiłowała uciec od swego pożądania w świat uludy.

W pierwszy rzędzie sali teatralnej szkoły aktorskiej Juilliarda dylemat Blunche DuBois przeżywała Emma Guinness. Siedziała na brzeżku krzesła, a na jej imperyenneckim obliczu igrał uśmiech niesamowitej radości. Boże, ale *fantastyczny!* Ten nachmurzony chłopiec jest jak marzenie. Czarne proste włosy rozwichrzyły mu się wokół całej twarzy, a wysmarowana skóra lśniła w gorącym świetle reflektorów. Miał twarz upadłego anioła. Długą, orlą, daleką od prototypu Marlona Brando, a prosty nos rozszerzał się rozkosznie spod wysoko zarysowanych brwi ku najpełniejszym wargom, jakie Emma w życiu widziała. Wygląda tak niebezpiecznie. Fizycznie i emocjonalnie ten chłopiec może ranić serca i ciała, niszczyć

spokój ducha. Nie będzie przy nim chwili wytchnienia, tylko miłość i strach, napiętność i błaganie, gorączkowe podniecenie niesłychanej rozkoszy i bólu. Odwróciła się w prawo, ku kobiecie o płomienistych włosach.

— Kto to, Dawn? — wysyczała.

Dawn Steel, niegdyś projektantka wzorów na papierze toaletowym, obecnie, po nagłym zwrocie kariery, najpotężniejsza kobieta w Hollywoodzie, szefowa studia Columbia, nie wiedziała. Ale się dowie. Odchyliła się na krześle i spytała siedzącą z tyłu asystentkę.

— Podobno nazywa się Tony Valentino. Nie dość tego, że niesamowicie przystojny, sądząc z nazwiska, ma też poczucie humoru — śmiejąc się powiedziała do Emmy.

Emma pozwoliła sobie na sztywny uśmiezek. Rany boskie, myślała, że zwaruje z nudów na tym szkolnym przedstawieniu dla agentów i ludzi zajmujących się obsadzaniem aktorów w teatrze i filmie. Tymczasem ktoś ich wszystkich zelektryzował. Nikomu nie znany absolwent Juilliarda ustawił palce na jej regulatrze seksualnym i, Boże drogi, obracał nim we właściwym kierunku. Odwróciła się w drugą stronę. Siedząca obok niej dziewczyna wyprostowała się służbiście.

— Świetnie się nada do działu „Gwiazdy przyszłości”, nie uważasz? — oznajmiła Emma. To nie było pytanie. Choć naprawdę nie nazywała się Guinness, przybierała równie władcze tony, jakimi, jej zdaniem, przemawiałaby dziedziczka brytyjskiego browaru. Dyskusja z redaktorką mającego się ponownie ukazać na rynku magazynu *New Celebrity* po prostu nie wchodziła w rachubę. Samantha du Pont, prowadząca dział obyczajowy, pośpiesznie zgodziła się, że Tony Valentino będzie znakomity w każdej roli, jaką zaproponuje Emma.

— Czy porozmawiać z nim o tym później na przyjęciu? — spytała usłużna Samantha.

— Nie — odezwała się dość głośno Emma Guinness na ucichłej sali. — Sama to zrobię.

Gdy tak mówiła, wszystko swędziało ją w środku. Boże, ale ciało! Czegoś takiego nie ma w Anglii. Wysoki, koło sześciu stóp, i musiał cały wiek ćwiczyć na ekspanderach, czy jak to się tu nazywa. Ale to nie tylko kwestia mięśni czy twarzy, tu chodzi o całość. Jest w nim zuchwałość, zaduma, fluidy, jakie emanował James Dean, oznajmiające: mam cię gdzieś! — które musiały wykroczyć poza odgrywaną rolę i wniknąć do prywatnego życia. To znaczy, że Tony Valentino jest

człowiekiem z Tennessee Williamsa, pełnym sprzeczności i fascynujących ślepych zaułków, agresywnej z pozoru męskości, podstawowych kolorów, zewnętrznego seksualizmu, skrywającego rozkoszne pokłady subtelnych zawiłości.

Emma pragnęła go posiąść. Chciała go okiełznać. Ujeździć jak dzikiego, niebezpiecznego mustanga, a potem pokazywać na jakimś bezpiecznym corralu, przeprowadzać go mówiąc: Och, to mój.

Rozejrzała się, by sprawdzić, czy publiczność widzi to samo co ona. Tak, widzieli to samo. A podbić ten tłum to najtrudniejsza rzecz na świecie. Co roku w maju studenci czwartego roku prestiżowej szkoły aktorskiej Juilliarda w liczącej dwieście sześć miejsc sali wystawiają sztukę dla śmietanki Broadwayu i Hollywoodu. Bilety były po dwieście dolarów sztuka, wyłącznie za zaproszeniami, tak by najlepsi w branży łowcy talentów mieli okazję obejrzeć surowiec. Teraz agenci i ludzie od obsady siedzieli oczarowani pojawieniem się na scenie genialnego nowicjusza w roli Stanleya w „Tramwaju zwanym pożądaniem” — roli, od której zaczęła się kariera Marlona Brando.

Przez parę chwil Emma Guinness żałowała, że wybredna publiczność tak zdecydowanie potwierdza jej własne odczucia. Wolałaby raczej sama go odkryć. Nie miała ochoty przepychać się przez tłum zaopatrzonych w książeczki czekowe przedsiębiorczych przedstawicieli przemysłu rozrywkowego i teatru, by poznać cudowne dziecko na przyjęciu. Ale natychmiast odetchnęła z ulgą. To jest teatr. Nie ma tu miejsca dla ludzi bez nazwiska. A bezsprzecznie nie ma dla nich pieniędzy. Zawzięci gracze może nawet i dobrze się teraz bawią, ale nie zaryzykują ani dolara na niezawodowca w sytuacji, gdy dziewięćdziesiąt procent uznanych aktorów jest bez pracy. Uśmiechnęła się. Bez dwóch zdań — może go mieć. Współczesny Valentino rozplómił ją całą jak wysypka od słońca w letni dzień, kiedy mu powie, kim jest i co, jeśli to dobrze rozegra, mogłaby dla niego zrobić. Mmm! To była rozkoszna myśl.

Tony zatopił się w świecie swego bohatera, lecz zachował wystarczający dystans, by zorientować się, że odniósł ogromny sukces. Udało mu się. Wszystko zaskoczyło, tak jak zawsze wiedział, że zaskoczy w tę najważniejszą noc jego życia. Gulasz z adrenaliny był akurat taki, jak trzeba — dusi się, mocno przyprawiony, bulgocząc na krawędzi garnka, ale nie kipiąc. W nadržeczywistości odczuwał emocje Stanleya Kowalskiego, lecz wysoko ponad nimi. Na właściwym miejscu, znajdowały się jego własne. Dokładnie wiedział, co czuje do podmiejskiej Allison

Vanderbilt — Blanche DuBois, tak poważnej i ślicznej w żółtej sukience, ponieważ w prawdziwym życiu zadał sobie trud, by możliwie najdokładniej poznać jej ukryte walory. Uwiódł tę patrycjuszowską córkę milionera dlatego jedynie, iż wiedział, że razem wystąpią w tej scenie, i chciał, żeby wszystko grało. Chciał, by go pragnęła tak bardzo, żeby to było widać na scenie, jedynym miejscu, które się liczy. To była jego wersja metody aktorskiej. Gdy pozostałych dwadzieścioro studentów tego rocznika poszło wcześniej spać, rzucając się i przewracając na łóżkach pośród parnej nowojorskiej nocy, on wziął Allison Vanderbilt, której drzewo genealogiczne sięgało Komandorii sprzed wojny secesyjnej, tak jak wzięłby Blanche — okrutnie, zachłannie, miotając sprośne przekleństwa i zostawiając sine ślady palców na gładkiej białej skórze jej pośladków.

Teraz otrzymywał zapłatę. Widział, jak dziewczyna drży, gdy zbliżał się do niej zuchwałym krokiem. Widział nagie pragnienie w jej przestraszonych oczach. Ciało miał napięte jak struna i przez moment precyzyjnego zamysłu zagroziła katastrofą własna żądza Tony'ego. A więc powściągnął ją i nakazał sobie widzieć nie piękną, pełną rezerwy Allison Vanderbilt, lecz pokonaną Allison-Blanche z poprzedniej nocy, gdy jej długie nogi borykały się z płynnymi pozostałościami jego szorstkiego wtargnięcia. Łkała w ciszy po burzy ciała, usiłując porozumieć się z Tonym, który bez słowa wyjaśnienia stał się Stanleyem ze sztuki. Ale krótko uciał jej wyznania, jak uczyniłby to Stanley. Nie miał nic przeciw niewiniątku z wyższych sfer, usiłującemu mówić o miłości. Nie było w tym nic osobistego. To kwestia czysto zawodowa. Ponieważ Tony Valentino wystartował do miejsca, które musiał zająć. Do centrum uwagi. Na świecznik. Do sławy, którą może mu dać tylko gwiazdorstwo filmowe.

Dawn Steel pochyliła się ku Emmie Guinness.

— Niezłe, co? — powiedziała.

Emma Guinness przytaknęła gburowato, gdyż, nie do wiary, była zazdrosna. Valentino kochał się z dziewczyną grającą Blanche. Co do tego nie miała wątpliwości. Mniejszą żywiła pewność, że słońce jutro wzejdzie. Tak, byli kochankami i dziś w nocy Emma Guinness. śpiąc samotnie w wytwornej pościeli w potrójnym łóżu przy Piątej Alei, będzie snić o młodym nieznanym w objęciach bladej dziewczyny. Nie mogła uwierzyć, że coś takiego się jej przytrafiło. Czy to z powodu różnicy czasu? Czy też władza i prestiż nowego stanowiska w Nowym Świecie wytrąciły ją z równowagi? Seksu, owszem, nie zaniedbywała. A teraz ta

kwestia wyskakuje, niczym grom z jasnego nieba, bez żadnej wyraźnej przyczyny. To głęboko, rozkosznie niepokojące.

Tony wyciągnął rękę do Allison, a ona oparła się o jego pierś, jakby całe jej życie stanowiło długą podróż do tego miejsca przeznaczenia. Czowała jego rozgoryczowanie. Słyszała bicie jego serca, walącego przy jej sercu. W nozdrzach czuła jeszcze ostry zapach Tony'ego. a w pamięci żywe było jeszcze ciepło okrutnego, pięknego ciała. Usiłowała myśleć o postaci, którą właśnie grała, ale udawane uczucia kłóciły się z prawdziwymi. Blanche pociągało to ubogie życie, tak jak flirciarę ciągnie do płomienia męskości. Blanche nie знаła miłości, czułości ani głębokiego oddania. Zbyt była wplątana w histeryczną iluzję, by mieć czas na tak znaczące uczucia. Teraz miała osunąć się w południowym stylu w ramiona macho. Ale Allison Vanderbilt nie chciała się osuwać. Chciała sobie popłakać. Całe życie ją osłaniano. Od tego miała tatusia i fundusze z zysków. Tu, w środku szalejącego dramatu zwanego miłością, zaczynała tracić wątek. Ręce Tony'ego były tak szorstkie i nieczułe na jej ramionach, jak i na jej nagim ciele podczas ostatniej straszliwej, cudownej nocy. Przez cztery długie lata paliła się do obojętnego Tony'ego. Tak jak wszystkie. Był to tajemny studencki żart. Żadna z dziewcząt nie zdołała przedrzeć się przez otaczający Tony'ego mur lodowatej uprzejmości. W bezpiecznej odeń odległości uczucia rosły, aż każda dziewczyna na roku stała się dojrzałym owocem na drzewie pożądania. Lecz Tony, nieugięcie dążący do artystycznej doskonałości i tylko tym zaabsorbowany, żadnej nie widział. Po czym przed trzema tygodniami dostrzegł Allison Vanderbilt. Gdy skinął, przybiegła natychmiast i w szaleństwie, które potem nastąpiło, zakochała się w nim. Jednak ostatniej nocy, pośród cielesnego, szału, wszystko to wydało się nie tyle końcem błęgiego początku, ile początkiem straszliwego końca. A więc teraz przywarła doń jak pijawka wiedząc, że być może to ostatnia szansa, by go objąć. Uwielbienie było z jej oczu. Od niego cięła jak laserem beztroska obojętność. Jego głos zabrzmiał chrapliwie pośród magii tego wspaniałego teatralnego momentu.

„Od początku byliśmy umówieni na to spotkanie” — wyszeptał, gdy łkająca Allison upadła przed nim na kolana. Kurtyna wysunęła się z kulis, a publiczność wyraziła swoje uczucia w potężnej fali oklasków.

W sali recepcyjnej Juilliarda obok popiersia Dworzaka stał Tony Valentino, a wokół niego gromadził się tłum. Tony wiedział, co się stało. Odniósł triumf. Spek-

takl przeszedł w zamgleniu, które dla wykonawców stanowiło niechybną oznakę sukcesu. Publiczność szumiała w harmonii z jego grą, jak drut wysokiego napięcia w rześkim wietrze, ponadto zdawał sobie sprawę z własnych odczuć: lekkości, unoszącej mu stopy z podłogi, niemal seksualnych sensacji poniżej pasa, świerzbienia w końcach palców. Był wspaniały i wszyscy poznali się na jego wspaniałości. Począwszy od tego cennego momentu świat będzie mu dawał to, co Tony musi mieć. Wpatrywał się w uśmiechnięte twarze. Które opakowanie ludzkiej skóry i kości ofiaruje mu pierwszy dar? Kto zaproponuje pracę? Czy powinien jeszcze przez jakiś czas pozostać „nieskalany”, w teatrze doskonalać swą sztukę z myślą o srebrnym ekranie, który był jego prawdziwym celem? Czy też należy zdecydować się na stanowczy krok i podpisać umowę z agentem z Hollywoodu? Rozpoznał graczy z Hollywoodu. Mieli opaleniznę. Trzymali się na uboczu, z rozkoszą przebywając w polu przyciągania człowieka chwili, lecz czekali na stosowny moment. Ludzie z Broadwayu nie mieli takich skrupułów. Parli naprzód, gotowi dać szturchańca, chętnie torując sobie drogę ramieniem. Tony zrozumiał. W Nowym Jorku, będącym jego domem przez ostatnie cztery lata, życie nie czeka. Podobnie jak w Kalifornii.

Po czym zdał sobie sprawę, że kogoś tu brak. Odwrócił się do Allison, stojącej obok w zbitym tłumie.

— Allison, czy widziałaś moją matkę? Nie było jej tu, gdy kurtyna poszła w górę.

Allison potrząsnęła głową. Byłoby dziwne, gdyby Maria nie przyszła na przedstawienie. Matka Tony'ego, Maria Valentino, oglądała wszystkie sztuki. Sama była w pewnym sensie aktorką, a młodych adeptów pociągało jej żarliwe poczucie niezależności, beztroski humor i wzruszający stosunek do zgryźliwego syna. Allison często pragnęła, by jej własna matka, nudna i głupia patrycjuszka, która szła przez życie, jakby to był czyściec, zesłany specjalnie po to, by ją trapić, miała więcej tej niefrasobliwości, jaką odznaczała się matka Tony'ego.

Oczy Tony'ego przeszukiwały tłum. Jeśli w całym tym zamieszaniu mógł jeszcze doświadczać jakichś uczuć, to trochę się martwił. Dziś był jego wielki wieczór. Matka na pewno by go nie opuściła. Miała zamiar przyjść. Tak powiedziała. Lecz nie grzeszyła punktualnością. I skoro już o tym mowa, potrafiła zachowywać się dość nieobliczalnie. Czasami doprowadzało go to do szału, lecz między innymi dlatego ją kochał. Dotychczas wędrowali po śliskiej powierzchni Ameryki, spo-

czywając na krótko w wynajętych mieszkaniach, w zależności od szkół i otrzymywanych posad. Jedynym stałym czynnikiem był ciągły ruch. Dziecię--kwiat z lat sześćdziesiątych, jego matka wierzyła wraz z Donnem, że zmiana rodzi ruch, radość, życie i wieczność, a zatem ich dom stanowiła otwarta droga, lepkie pokoje z postrzępionymi książkami metafizycznymi i podartymi plakatami Beatlesów, zupa z błota i karaluchów, zawsze za gorąca, zawsze za zimna, zawsze o miliard mil odległa od bezpieczeństwa, za którym tęsknił. Ojcu nie chciało się czekać, aż syn się urodzi. — Nie dość dobra na żonę — mówiła dzielnie jego matka z lekceważącym ruchem ręki i żywym uśmiechem, ale Tony się nie uśmiechał, a ręce zaciskały mu się z gniewu na myśl o zdradzie ojca. Trudno to pojąć. Matka była taka piękna. Świadczyły o tym zdjęcia. Co ważniejsze, miała urok, tę nieuchwytną cechę, której nie wykazywały testy na inteligencję, tyleż żywotną, co wyjątkową w zazartej wojnie zwanej życiem. Jak, do diabła, można było zostawić taką kobietę?

Tony zwrócił się do studentki pierwszego roku, która krążyła w pobliżu, a przedtem służyła mu jako garderobiana:

— Tino, czy byłabyś taka kochana i poszukała mojej matki? Powiedz jej, gdzie jestem. Dzięki.

Dziewczyna pobiegła, szczęśliwa, że poprosił ją o przysługę człowiek, którego czciła w sekrecie, a tłum tłoczył się wokół Tony'ego Valentina.

Z drugiego końca sali obserwowała go Emma Guinness, z błyszczącymi oczami czekając na właściwy moment. Już prawie nadszedł. Beniaminek puszył się, jakby chwilowi wielbicieli mieli otaczać go zawsze. Ileż to razy trzeba przerabiać tę lekcję? Przez chwilę stapał dumnie po scenie i pierwsze tchnienie sukcesu uderzyło mu do głowy jak wódka nastolatkowi. Boże drogi, dlaczego to ludzie nie mogą sobie uświadomić, że ta walka nigdy się nie kończy, że im wyżej się zajdzie, tym ważniejsze jest to, by starać się jeszcze usilniej, by wydawać się jeszcze skromniejszym, by ignorować coraz wylewniejsze środki przekazu? Bez wątplenia jakiś konował napisał o tym książkę. Pisali przecież o wszystkim. Zaczerpnęła głęboko oddechu. Mała i przysadzista, wypięła pierś i przepchnęła się na skraj tłumy, ciągnąc za sobą swój orszak.

Dawn Steel została z tyłu. Nie należała do świty, a choć lubiła Angielkę o ciętym języku, szósty zmysł powiedział jej, że zaraz wydarzy się coś nieoczekiwanego. Nie można kierować studiem, nie mając przynajmniej sześciu zmysłów. Jednakże trzy pracownice *New Celebrity* kurczowo trzymały się swojej perypatetycz-

nej szefowej. Przekonały się już, że przy dworze Guinness siedziba Borgiów wyglądała jak klasztor. Miecze i darowane konie rozdzielano z makiaweliczną przebiegłością, tak że trudno było odróżnić jedno od drugiego. Należało być blisko szefowej. Emma Guinness rzuciła przez ramię:

— Ja będę mówić. — Komentarz był zbyteczny. Zawsze mówiła ona. Tony Valentino spostrzegł, że tłum wokół niego całkiem nieźle naśladował Morze Czerwone, gdy przechodziła przez niego kobieta. Wrażenie robiła ciut zbyt silne, a cała jej postać krzyczała: „władza!”, lecz uwagę Tony'ego przede wszystkim przykuł jej niesamowity strój. To była absolutna tragedia ubraniowa na niesłychaną skalę. Stanowiła wielopiętrowy dowcip, estetyczny afront, przeraźliwy, zatrważający akt terroryzmu wobec dobrego smaku. Kimkolwiek była, zdołała się przebrać za skrzyżowanie Kopciuszka ze starą, dobrą wróżką. Wielki biust wylewał się jej z tiulów, talia walczyła z żółtym satynowym pasem, upstrzonym kokardkami, tuniczka otaczała krótkie, grube nogi niby papierowe papiloty szynkę z kością. Tony uczył, jak z płuc dobywa mu się świst. Akurat na ubrania zwracał uwagę. W całym życiu nie widział czegoś tak koszmarnego. Śmiech i łzy, łzy śmiechu cisnęły mu się do oczu. Nie miał pojęcia, kim ona jest. Nie wiedział, że ubrania zawsze sprawiały Emmie Guinness największy kłopot. Nigdy nie domyśliłby się, że paradoksalnym obrotem rzeczy ostatnia ofiara mody została szefem pisma, poświęconego najnowszemu prądom w tej dziedzinie. Ale umiał rozpoznawać nadciągającą katastrofę.

— Jak się masz, Tony. Jestem Emma Guinness — powiedziała, wyciągając ku niemu rękę i uśmiechając się zmysłowo. Tony ujął dłoń ostrożnie, z minimalnym entuzjazmem. Wyraz jego twarzy mówił, że chętniej dotknąłby ryby.

Na sekundę uśmiech przygasł. Nazwisko Guinness nie wywołało reakcji. Szlag by to trafił. To stały kłopot z ludźmi bez nazwiska. Są nikim. I nikogo nie znają. Wszystko trzeba im wyłożyć.

— Jestem redaktorką pisma *New Celebrity*. — Machnęła lekceważąco ręką ku trzem otaczającym ją asystantkom. — One pracują u mnie. — „Na razie” wisiało w powietrzu.

Tony biedził się, by powiedzieć coś stosownego. Mógł myśleć tylko o sukience. Czy to było zamierzone? A może to kicz? Czy to dobry kicz? Zajrzał w twarz kobiety. Nie była brzydka, miała nawet pewne

ślady urody, ale nie była też ładna. Okrągłe, brązowe sowe oczy, nos duży i prosty, podbródek mało że zdecydowany — absolutnie pewny siebie. Usta miała jednak małe i zaciśnięte, a dwoje ostro zakończonych uszu sterczało prosto z boków głowy, nadając jej wygląd denerwująco podobny do doktora Spocka, jakby geny z nadprzyrodzonego świata rozpląnęły się w kilku ziemskich pokoleniach. Główny atut stanowiły jej piersi. Były potężne, dość ładne i przewiązane paskami straszliwej sukni wizytowej w stylu „Niebezpiecznych związków”, przy czym nasuwała się odległa możliwość, że wyskoczą jak króliki z kapelusza iluzjonisty.

— Słyszałeś o moim piśmie — warknęła.

Tony rozłożył ręce i roześmiał się. Jego gest oznaczał, że nie wie, co powiedzieć. Nieznajoma atakowała na wszystkich frontach. Co się mówi piorunom, tornadom i innym wysokoenergetycznym klęskom żywiołowym?

Kobieta znowu się uśmiechała. Jej oczy wwierały się w niego. Najpierw w twarz, potem klatkę piersiową, a następnie, nie do wiary, w całą resztę. Oglądała go z góry na dół. To wszystko było nierealne.

—Umie pan grać — stwierdziła Emma Guinness. W jej głosie, pełnym wyższości, dźwięczały nuty nieco nieprzyzwoite. Tony odniósł nieodparte wrażenie, że chciała zapytać: „Co jeszcze potrafisz?”

—Dziękuję — odparł chłodno. Z jakiegoś powodu wyczuł, że tłum przysłuchuje się dialogowi. Czy znają tę dziewczynę ze szczytu choinki? Czy prenumerują jej nudny magazyn? *New Celebrity*? *New Celebrity*? Zaraz, zaraz. Czy to nie ten, który Dick Latham ma lansować w obłędnej kampanii reklamowej? W gazecie nowojorskiej był artykuł na ten temat. To ta Brytyjka, którą importował na szefową. W porządku. To ważny magazyn, jeden z głównych w branży. Usiłował stłumić wibrujące w nim uczucia, by z twarzy nie odczytała: mam cię gdzieś.

—Może uda nam się coś z panem zrobić. — Emma Guinness zaśmiała się jak kokietka, dyndając przynętą przed frajerem. Przez przejrzyste tafle oczu Valentina zajrzała w rwące się do kariery serce. Valentino! Rzeczywiście! A jak dano mu na chrzcie? Pewnie Fellatio. Myślałam, że Fellatio to włoski piłkarz, póki nie odkryłam Smirnoffa. Cha. Cha. Cha. Emma bawiła się świetnie. O to chodziło. Dla tego warto było znieść wszelkie zniewagi, włożyć bez wazeliny, wspinać się na kolejne szczeble. I oto, wykorzystując swą pozycję, ustrzeli najlepszy kawałek, jaki kiedykolwiek widziała w branży. Miała też publiczność, i to nie była jaką. Dawn Ste-el, najnowsza, najlepsza przyjaciółka, była gdzieś w pobliżu. A także różne

dziewczyny z redakcji *New Celebrity*, którym wspaniałomyślnie pozwoliła używać nic nie znaczących tytułów, jak redaktorka działu mody czy działu sztuki. Z obu stron stali ludzie, mieszkający w najelegantszych apartamentach. Robiła wrażenie, i to nie na byle kim. Jutro wytworne ozory będą miały co mleć. A dziś z wyciągniętym ozorkiem będzie koło niej biegał Valentino.

Tony'emu Valentinowi to się nie podobało. Nie należał do ludzi, „z” którymi ani „dla” których coś się robi. To on robił. Zawsze, przedtem i później. Jeszcze raz go nie doceniono. I jeszcze raz niedoceniającemu trzeba będzie dać nauczkę. Trochę się pomęczycy, ale to konieczne. Teraz czuł, że tym razem sprawi mu to pewną przyjemność. Nadęta niedoszła kusicielka w katastrofalnej sukni stanowi przypadek, który musiał się zdarzyć.

Zakołysał się, zuchwała dłoń znalazła kość zuchwałego biodra.

— A o co pani właściwie chodzi? — spytał cedząc słowa. Pochylili się, by dokładniej słyszeć. Próba łózkowa? A jaki jest światowy ekwiwalent nowojorskiego pisma? Chyba nie forsa?

Emma Guinness doskonale wiedziała, o co jej chodzi. Ale jak to wyrazić wobec tych wszystkich ludzi? Zasadniczo pragnęła zabrać toto do domu. Nawet szminka mogłaby zostać, jeśli polecą ciuchy. Potem chciałyby bawić się jego ciałem, z pewnością bardziej wolałyby bawić się jego ciałem, niż dopuścić do tego, by to on bawił się jej ciałem. Naturalnie, zanim do tego dojdzie, będzie musiała ścierpieć słowną grę wstępną, w której zasadniczo obieca mu, że zrobi zeń gwiazdę w nagrodę za wyświadczone usługi. To wcale nie taka przestarzała transakcja ani taka niezwykła. Jedyna rewolucja to zmiana płci.

—Dżentelmen nigdy nie pyta, co dama ma na myśli — oświadczyła i skierowała nań pełną siłę swego uśmiechu, wypinając piersi, prostując się, by dodać sobie tych parę niezbędnych centymetrów, i przesuwając językiem po szkarłatnych wargach tak, aby nie było wątpliwości, co chce w ten sposób zasugerować. Przez cały czas jej oczy zdzierały z niego ubranie. Miłośnie błędziły po żółtawej, nie oczyszczonej ze szminki skórze, po zachwycających kropelkach potu na górnej wardze, po ustach stworzonych do dawania rozkoszy. U jej boku kohorty personelu *New Celebrity* kręciły się z wyraźnym zakłopotaniem. Szefowa z zapalem dołowała — od pasa. Przeczuwały nadchodzącą katastrofę, wymieniając między sobą spojrzenia w nadziei na towarzyską tragedię.

—A więc chce pani umieścić mnie w swoim piśmie? — zapytał Tony. Ton nadal miał drwiący, lecz przebijał w nim odcień zainteresowania, zawołowane przekonanie, że mimo pewności siebie i dumy pojawienie się w jej magazynie byłoby sprytnym manewrem na drodze do kariery.

Emma Guinness uśmiechnęła się pobłaźliwie. Ależ jest z siebie zadowolony! Tyle że to Ameryka, a on jest aktorem, co prawda nie znanym. W Anglii aktorstwo uznawane jest za profesję beznadziejnie pospolitą, domenę pedałów. A także nieudaczników. Tu, naturalnie, aktorzy stanowią arystokrację w społeczeństwie, którego kości, mięśnie i stawy składają się z filmowego celulozoidu. Musi pamiętać o tej różnicy.

—Tak, prowadzimy dział „Gwiazdy jutra”. Z przyjemnością muszę powiedzieć, że ta przepowiednia się spełnia. — Zastanawiała się, czy ma to przeliterować temu matołowatemu prostakowi. „Dmuchaj mnie, wydmuchasz sławę” — bez problemów przedarłoby się przez jego zabałaganione neurony, ale nie zabrzmiałoby zbyt dobrze w przypadku agentów, personelu i pocziwej starej Dawn.

—A więc napisze pani o mnie w swoim piśmie i zrobi ze mnie gwiazdora — powiedział, jakby śledzenie toku jej rozumowania przychodziło mu z niejaką trudnością, ale zdołał dotrzeć samodzielnie do końca. Podprowadzał ją. Nic nie mógł na to poradzić. Ciekawość była silniejsza.

Z ust Emmy wydarł się śmiech, który ona sama opisałaaby jako dźwięk dzwoneczków, lecz który w istocie brzmiał jak rozdzierana folia aluminiowa. Już go ma. Pewnie nosi krótkie kalesonki. Nie spodenki bokserskie. A może te straszliwe gatki w stylu francuskim, które nosiły te wszystkie wysmarowane tłuszczem ogierzy na plażach południowej Francji. Tak, w dziale bielizny będzie to zdecydowanie „Club Méditerranée”. Kolorowe? Czerwone! Boże! Z pewnością nie czarne! Tłum zaczął się cofać. Przysunęła się bliżej. Tak, teraz czuje jego zapach. Zdecydowanie męski. Spocony z wysiłku. Absolutnie różny od ostrego potu strachu i podniecenia. Chciała wyciągnąć rękę i dotknąć jego ramienia. To byłby rozsądny gest. Ujrzyć to uwierzyć, ale prawda kryje się w dotknięciu. Położyła mu palce na ramieniu, macając towar. Nie wycofało się. Było ciepłe, brutalne i bardzo, bardzo silne.

— A co miałbym zrobić w zamian?

W jego słowach dźwięczał flirt jak burczenie w napiętym żołądku. Uśmiech z wolna rozszerzył mu wargi, rozjaśnił oczy, zmarszczył pokryte szminką czoło. Czy ramię Tony'ego napręża się pod jej palcami?

Emma Guinness otworzyła się jak kwiat w słońcu. O rany, a przez chwilę już się martwiła. W jego bezpośredniej obecności przyszło jej naraz do głowy, że być może przeceniła nieco swe siły. Faceta otaczała jakaś aura, urocze, lecz zniechęcające tchnienie charyzmatu, trzymające wszystkich na dystans. Teraz jednak skłonna była myśleć, że to wszystko razem to ni mniej, ni więcej tylko chytrze zamaskowana głupota. No i dobrze. Wspaniale! Im głupszy, tym lepsi. W każdym razie kontrakt został już sporządzony. Trzeba go tylko podpisać.

Wypuściła powietrze z płuc w sugestywnym westchnieniu i zapaliła ogień w, jak jej się wydawało, żarzących się oczach. Chwyciła go za skórę przedramienia, mając nadzieję, że go nie uszczypnęła i przyciągnęła do siebie kołysząc się, czy też podchodząc ku niemu na chwiejnych nogach.

— Co byś powiedział na obiad przy świecach? Tylko my dwoje! — Zaśmiała się, by okazać, iż wie, że to banał. Zaśmiała się, by dać mu do zrozumienia, że są dorośli i że owijanie w bawełnę to zabawa dla zwykłych śmiertelników, nie dla bogów i bogiń pożądania. Zaśmiała się, by okazać, że umie pożartować, by cienką zasłoną przyzwoitości okryć otwarte zaproszenie do łóżka.

Tony ledwo mógł uwierzyć własnym uszom, lecz wiedział, że mówiła poważnie. Podpuszczał ją, by się przekonać, jak daleko się posunie, ale tego nie oczekiwał. Teraz był zirytowany, lecz to nie on zareagował pierwszy. Pierwsza była Allison. Cały czas stała obok niego.

Kiedy się odezwała, jej głos drżał z lodowatego gniewu.

— Tony będzie gwiazdą bez pani pisma i obiadu przy świecach tylko dla was dwojga — powiedziała. Reprimenda dźwięczała w słowach, lecz także i w akcencie, wyniosłych tonach, w gestach dziewczyny z wyższych sfer. Dwieście lat historii i dawnej fortuny spozierało znad nosa Vanderbilców na parweniuszkę, która odważyła się wyciągnąć rękę po człowieka kochanego przez Allison. Patrycjuszowskie oczy wwierały się w duszę Emmy, nie dając się wprowadzić w błąd jej towarzyskim pretensjom i widząc w niej klasową oszustkę, którą w istocie była. Wysoko na alabastrowych policzkach Allison Vanderbilt płonęły czerwienią dwie bliźniacze plamy.

Emma zwróciła się ku rywalce. Oczy jej się zwęziły. Zaciśnęła usta.

— Słuchaj, dziecinko, zrób sobie transfuzję, zanim zaczniesz się wtrącać w sprawy dorosłych. Wyglądasz tak, jakbyś oddała ostatnią kroplę krwi. Gdybym cię przedtem nie widziała, powiedziałabym, że grałaś trupa.

Tony Valentino postąpił krok naprzód.

— Nie waż się tak odzywać do Allison! — wybuchnął. — Kim ty w ogóle jesteś? Harcujesz tu jak jakaś żywa ozdoba choinkowa i robisz najwstrętniejszą nieprofesjonalną propozycję na świecie. Chcesz zrobić jakąś podpuchę? Jeżeli tak, to, na miłość boską, niech ci ktoś pomoże.

Emma Guinness zrobiła drobny, szybki krok do tyłu. Głowa zakołysała się jej na ramionach, pozbawiona wyrazu twarz przez parę sekund po prostu bujała w powietrzu jak naleśnik, przygotowując różne sposoby wyrażenia szoku. Ręka poleciała ku otwartym ustom. Powietrze napłynęło do płuc. — Och! — Usłyszała swój głos. — Uuuuch! — przytaknął przysłuchujący się tłum. Otwarły się w niej śluzy adrenaliny. Tonęła. Opadała. Jej wnętrzości były wiatrą w ruchu. Słowa wciąż waliły w cel, ale nie nabrały jeszcze znaczenia sprawiającego ból. Lecz odrętwienie już mijało. Nieprofesjonalną!. W Ameryce to najgorsza zniewaga. Ozdoba choinkowa! Mówił grubiaństwa o jej sukni. Dotknął jej pięty achillesowej. Zdawał sobie sprawę, że była dyktatorką mody, która nie umie się u b r a ć! Sugerował, że bierze narkotyki, że powinna iść do psychiatry. Myśli kotłowały się w jej głowie, aż złożyły się w jedno słowo. Upokorzenie. Została publicznie upokorzona przed publicznością, która tego nie zapomni. Jutro, dziś wieczór o tej historii będą wiedzieli wszyscy co do jednego pracownicy *New Celebrity*. W Hollywoodzie stanie się żartem tygodnia. W Nowym Jorku, gdzie wszystko toczy się szybciej, żartem dnia. Była to zdecydowanie najgorsza chwila w jej życiu, które w takie chwile obfitowało, i Emma Guinness, usiłując nie płakać, zaczynała już nienawidzić.

Przed nią stał chłopak, który jej to wyrządził. Na jego zniewagi nie ma odpowiedzi. Jest czas słów i czas odwrotu. Zdawała sobie sprawę, że twarz jej płonie. Nie łudziła się, że nikt nie dojrzy przesłaniających jej oczy łez. Czowała, jak opadają jej ramiona. Ale musi się stąd zbierać. Ze spuszczonego oczyma, z walącym sercem, z umysłem już opętanym myślą o zemście odwróciła się do swego dręczyciela plecami i przez tłum przepychała się ku wyjściu, mamrocząc przy tym swą obietnicę. Cicho, niedosłyszalnie, lecz dla niej były to najważniejsze słowa w życiu.

— Zniszczę cię, Tony Valentino, za to, co mi zrobiłeś. Zniszczę cię... zniszczę... zniszczę...

Jak przez mgłę dojrzała dziewczynę, przedzierającą się przez tłum w przeciwnym kierunku, lecz tak była pochłonięta gwałtownością swej obietnicy, solennością straszliwej groźby, iż nie zauważyła, że dziewczyna również znajduje się na krawędzi łez, że spowija ją atmosfera nieszczęścia i porażki, że ją również trawi niezmierny smutek.

Uśmiech triumfu zamarł na wargach Tony'ego, który patrzył, jak dróżka Tiny przecina tor odwrotu Emmy Guinness. Gesty wyrażające uczucia rozpoznawał z taką samą łatwością, z jaką potrafił je prezentować, a zarówno plecy oddalającej się dziewczyny, jak i zbliżającą się postać mówiły o tym samym. O udreće.

— O co chodzi, Tino?! — krzyknął, by usłyszała go z odległości tych kilku dzielących ich stóp. Ale już wiedział. Tina poszła poszukać jego matki.

A matka nie żyła.

Tony potrafił naśladować każdą z katalogu emocji, nie umiał tylko płakać. Teraz się uczył. Łzy spływały mu po dumnych policzkach, a pierś unosiła się westchnieniami smutku. Siedział z głową ukrytą w dłoniach, kołysząc się w przód i w tył, a potem z boku na bok, jakby chciał strząsnąć z siebie żal. Twarde deski sceny uwierały go w jeszcze twardsze siedzenie, lecz świat zewnętrzny przestał istnieć. Wszystko znajdowało się w środku, gdzie tkwiły wspomnienia, wspomnienia o jedynej osobie, którą kochał.

—Nie. Tony, proszę, nie... — powiedziała Allison. Wyciągnęła rękę, by dotknąć jego ramienia, by mu powiedzieć, że jest z nim, że jest przejęta. Miłość sprawia, że ukochana osoba staje się tobą. Więcej niż tobą. Przez zapłakane oczy widziała jego smutek i modliła się, by zdołała powiedzieć coś takiego, co go pocieszy. Ale mogła myśleć tylko o tym, co widziała przed teatrem. Gdy Tina przyniosła wiadomość o wypadku, Allison i Tony pognali na chodnik przed przejściem podziemnym. Maria Valentino wydawała się tak krucha, białą suknię miała poplamioną krwią, zmiażdżona na śmierć, gdy pędziła jak zwykle beznadziejnie spóźniona, by zdążyć na triumf syna. Przypominała teraz gałgankową lalkę. Allison stała tam wstrząśnięta i przepełniona współczuciem dla ukochanego chłopca, który mocno obejmował zmarłą matkę, oblewając ją łzami i bezradnie mamrocząc to wszystko, co pragnął jej powiedzieć, ale nigdy nie powiedział. W końcu odciągnęła go od miejsca tragedii i zaprowadziła do opuszczonego teatru. Kroczył obok

niej w oszołomieniu. A teraz głęboki głos Tony'ego ledwo było słychać wśród łkań.

—Byliśmy zawsze razem — powiedział. — My przeciw światu, zawsze. Stała po mojej stronie. Cokolwiek się zdarzyło. Gdy byłem zły, gdy byłem dobry, gdy byłem okrutny, cokolwiek...

Połykał wielkie hausty powietrza i wypuszczał je w drżących westchnieniach; całym jego ciałem, tak silnym i potężnym, owładnęło uczucie, które świat uważał za słabość.

—Wiem, wiem — mówiła Allison Vanderbilt, która nie mogła mieć o tym pojęcia. Gdy jako dziecko bywała niegrzeczna, karano ją przeważnie wygnaniem do tych skrzydeł domu, gdzie rządziły nianie. Jej rodzice uśmiechali się dalekim uśmiechem i mówili: „Allison jest chyba zmęczona... może do łóżeczka...” i następnego dnia wyjeżdżali do Kentucky na konie, do Virginii na ryby, do Palm Beach.

—Była szalona i wolna i pragnęła tego, czego ja chciałem, nie tego, czego ona chciałaby dla mnie. Mówiła, że gdybym zabił, ukrywałaby mnie, a gdybym chciał zostać jakimś cholernym księgowym, byłaby ze mnie dumna, ponieważ mnie kochała. Kochała mnie...

Znów wstrząsnęła nim fala smutku. Przez całe życie był biedny. Nigdy nie miał prawdziwego domu. Na dyplomie ogólniaka w Tennessee były błędy ortograficzne. Ojciec porzucił ich. A jednak Tony nigdy nie zaznał chłodu uczuciowego. Jego matka stanowiła fundament, na którym zbudował potężny gmach swych ambicji, i w burzach życiowych była dlań mocnym oparciem. Zawsze.

— Też chciała być aktorką... rozmawiała ze mną o tym, i jak te sukinsyny chciały ją zaliczyć, ona śmiała im się w nos i nie chciała się w to bawić... nigdy. Była lepsza niż inne. Była taka dobra... i tylko z nią mogłem się naprawdę pośmiać.

Tony uderzył ręką w zakurzone deski pustej sceny. Dziwnym trafem wspomnienie śmiechu jeszcze bardziej pogłębiło jego smutek. Czy radość zniknie na zawsze? Czy walka o wielkość toczyć się teraz będzie w wiecznie ponurej scenerii przyciemnionego audytorium, gdzie jak skazaniec ma zdążyć do realizacji swego marzenia? Nie opierał się, gdy uściskała go Allison, solidaryzując się z jego smutkiem. Ona też знаła Marię Valentino. Stanowiła łącznik. Znany jej był ułamek rzeczy, o których mówił.

—Wszystko, co robiła, czym była, uważałem za naturalne. Nigdy jej nie powiedziałem, jak bardzo ją kocham, jak jej potrzebuję. Poświęciła mi całe życie. Mnie, skurwysynowi i synowi skurwysyna, który ją zostawił, choć mogła wyrzucić mnie na śmietnik i zrobić coś ze swym życiem.

—Nie. Nie. — Allison nie mogła się z tym zgodzić, nie mogła też dopuścić do tego, by Tony tak myślał. Maria Valentino stworzyła go, a on stał się najcudowniejszym zjawiskiem, na jakie Allison natrafiła w swym bezpiecznym życiu. Był jej bohaterem. Jego zuchwałość, wytrwałe dążenie do celu i ambicja stanowiły też aspiracje Allison, choć urodziła się na dobrowolnej pustyni bogactwa. Przewinęła się przez najlepsze szkoły, przez przyjazny, bogaty, zapatrzony w starą Anglię amerykański świat, spoczywający na obłoku gotówki i bez troski. Gdy odkryła swój talent aktorski, rodzina zamkłała, uśmiechnęła się protekcjonalnie i robiła, co mogła, by ukryć wrażenie, jakie wywarło na nich przyjęcie Allison na pierwszy rok szkoły aktorskiej Juilliarda, ponieważ zaledwie dwa procent kandydatów znajdowało się później w gronie studentów. Lecz Tony chciał. Tony był swym pragnieniem, a jego ambicja jak laser topiła wszystko, co stało mu na drodze, tak jak stopił czułe serce Allison Vanderbilt.

—Jesteś jej pomnikiem, Tony — łkała, zalewana własnymi łzami. — Była taka cudowna i pragnęła tylko, żebyś ty też był cudowny. Kochałam ją. Szkoda, że nie była moją matką. Szkoda... Szkoda!

Tony rozrzewnił się, czując obok siebie ciało, którym posłużył się tak okrutnie. Jego triumf był pusty. Wszyscy macherzy i wielkie szychy mogli go oglądać, zabrakło tylko jednej osoby. Matka nie widziała jego wielkości. I to cholernie bolało w miejscach, których istnienia nigdy u siebie nie podejrzewał: w sercu, w duszy, w głębi całego jestestwa.

— Nie mogę uwierzyć... Po co to ciągnąć...

Lecz Allison nie pozwoliła na to rozczulanie się nad sobą. Nie Tony'emu. Nigdy. Był silny. Był brutalny. Był okrutny, a ona kochała te jego cechy, gdyż obnosił się z nimi, demonstrując je całemu światu. Przyjmij mnie takim, jakim jestem. Nie wplątuj się ze mną w romans, jeśli nie możesz znieść żaru mego ognia. Miał w sobie uczciwość, przy której wszystko inne zdawało się nieistotne. Czymże były zwykłe uczucia zwykłych śmiertelników w rozgrzanym do białości tygłu dążenia? W krainie chwały, która stanowiła jego cel, znajdowały się zadośćuczynienia, odsuwające w cień przyziemne dążności do spokoju, ciszy, wygody, poczucia bez-

pieczeństwa, szacunku dla siebie, normalnego życia. Chytra złośliwość jej własnej rodziny to zupełnie odrębna sprawa. Wokół niej słowa były kłamcami. „Kocham cię” — używano tak często, że zwrot ten stał się najtańszą monetą, za którą nie można było kupić zadowolenia, skoro służyła jako namiastka płynących z serca czynów, gdyż tylko one mogły czułym słowom nadać znaczenie.

— Tony, nigdy tak nie mów. Będiesz szedł naprzód, coraz dalej i dalej, ponieważ jesteś sobą, sobą, którego stworzyła twoja matka, a ona była najpiękniejszym człowiekiem na świecie.

Ścisnęła go mocno i w tych chwilach najgłębszego smutku czuł się jak mały chłopiec, którym nigdy nie był. Przez czarne chmury usiłował dojrzeć przyszłość, ale nic nie widział.

— Nie wiem, co robić — rzekł.

To był problem. Po raz pierwszy w życiu potrzebował pomocy. Allison Vanderbilt głęboko zaczerpnęła oddechu. Czy ośmieli się wypowiedzieć to, o czym marzyła? Był maj. Skończył się ostatni semestr. Żegnają Juilliarda na zawsze.

— Tony, wyjedźmy razem. Wyjedźmy jak najdalej, póki nie dojdiesz do siebie. Może będę mogła ci pomóc. Tak bym chciała... tak bardzo...

Wówczas spojrzał na nią ze ściągniętą smutkiem twarzą, na której łyzy wyłobiły ścieżki wśród brudu i szminki. Zdawało mu się, że ujrzał ją po raz pierwszy, jej urodę, błękit oczu, zdecydowany kształt podbródka. Nie odezwał się, a jego milczenie zachęciło Allison, by mówić dalej:

— Moglibyśmy pojechać do Kalifornii — jzekała. — Moja rodzina ma tam zupełnie nie używany letni domek. Moglibyśmy pojechać do Malibu.

3.

Jaskrawe słońce Malibu lało się z plaży przez drzwi balkonowe. Silnie wybijające, rozbłysło na wypłowiałych już, ciężkich stylowych meblach, wysysając brąz z drewna. Łapczywie wgryzało się w wytworne perkale, pokrywające kanapy i krzesła, głodne ich jeszcze ostrych kolorów. Zagroziło nawet wibrującym cieniem obrazów Miro i Kan-dinsky'ego, a także zakorzenionego tam Egona Schiele,

którego na nieszczęście zawieszono zbyt blisko piasku. Przede wszystkim słoneczny blask opromieniał jednak twarz Richarda Lathama, a on skłaniał ku niemu głowę, wygrzewając się w świetlistych promieniach, jakby ładował baterie słoneczne.

Przesunął się lekko na złotym krześle i pomacał jedyny krawat w pokoju. Jeszcze nie przywykł do luzu Malibu. Ale w ogóle w życiu nie musiał się do niczego przyzwyczajać. Inni owszem. Rozejrzał się po salonie, urządzonego przez słynnego projektanta wnętrz, i zatrzymał wzrok na grupie swych gości, obejmującej same sławy. Znajdowało się tu około pięćdziesięciu twarzy, opatrzonych znanymi nazwiskami — prawie wszystkich na ulicy poproszono by o autografy. Pochlebiali mu, że się tu zgromadzili. Ale wkrótce zrozumieją, że to oni i winni czuć się mile połączani.

Krzesła ustawiono w półkole wokół pulpitu, by uniknąć sytuacji, w której ktoś mógłby się poczuć niedostatecznie uhonorowany, co wytrąciłoby z równowagi wrażliwe osobowości show biznesu. Martin Sheen, nowy honorowy burmistrz Malibu, wygłaszał mowę, a wszyscy obecni żalowali, że jego poprzedniczka, Ali McGraw, zdecydowała się zamienić Malibu na Pacific Palisades. Mowa była nieskładna, pełna antywojennych sloganów z lat sześćdziesiątych, okraszonych pseudomiłością, idealizmem dzieci-kwiatów i luźnych skojarzeń intelektualnych. Akcent optymistyczny krył się w tym, że już prawie dobiegała końca.

— A zatem ogłaszam Malibu strefą bezatomową, azylem dla cudzoziemców i bezdomnych, sanktuarium wszelkich stworzeń, dzikich i domowych.

Obdarzył wszystkich agresywnym uśmiechem wiedząc, że jego hippisowskie ziarna padają na kamienistą glebę, ale nic a nic się tym nie przejmując. Stłumione, uprzejme oklaski trwały poty, póki nie wrócił na swoje miejsce. Wstał Latham. Spokojnie podszedł do pustego pulpitu, wolno i niespiesznie, by dać wszystkim do zrozumienia, że ta świetna publiczność absolutnie nie wytrąca go z równowagi.

— Dzięki, Martin — rzekł Richard Latham. Uśmiech miał nieprzekonujący, lecz całym swym zachowaniem nalegał, by nic nie zakłóciło zewnętrznej harmonii zebrania. — Jestem przekonany, że nikt z nas w Malibu nie chce wylecieć w powietrze, i szczęśliwie nie słyszałem o żadnych planach budowy bazy pocisków nuklearnych w miasteczku uniwersyteckim... wszystko inne tak, ale jestem pewien, że nic nuklearnego...

Urwał, słysząc pełen ulgi śmiech. Miliarder śmiał się z aktora i działacza, lecz nie wzbudziło to urazy. Podobał im się żart z miasteczkiem uniwersyteckim. Malibu zawsze walczyło ze swym uniwersytetem. Siedziba wiedzy pragnęła większych przestrzeni, posesjonaci zaś chcieli, by wszystko zostało po staremu. W ostatniej utarczce plan rozwoju uniwersyteckiego Pepperdine został zatwierdzony mimo żarliwych skarg właścicieli domów, którzy zgłaszali zastrzeżenia co do rozkwitu gajów akademii na intelektualnej pustyni piasków plaży. Rozejrzał się po nieskazitelnym salonie. Czy Hockney będzie dobrze wyglądał na ścianie przy kominku? Czy będzie mu dobrze tak blisko malarzy BAUHAUSU?

Ponownie zawahał się. Wkroczył na śliski grunt. Republikanów takich jak on było w Malibu niewiele, a rekrutujący się spośród śmietanki towarzyskiej działacze, którzy w tej chwili tłoczyli się w jego pokoju, jak jeden mąż głosowali na demokratów. Jak najbardziej współczuli bezdomnym, nie chcieli jednak, by zawalił plażę, powodując wypadki na i tak niebezpiecznej dla życia autostradzie, albo ostudzili chęci nabywców posiadłości w tej chwili napalonych do interesu. Cudzoziemcy zaś to naturalnie Meksykanie. Byli irytujący, gdy przybywali ze wschodniego Los Angeles, wymachiwali sztyletami na plaży i wymiotowali coroną i teca-te, kołysząc się w getcie ogłuszających rytmów salsy. Trzeba jednak ludzi do porządkowania ogrodu, sprzątania kuchni i mycia luksusowych samochodów. Ktoś musi polewać dach z węża, gdy późnym latem zaczną płonąć trawy i krzewy, pilnować domu i wlec worki z piaskiem w czasie burz, gdy morze staje się groźne, gotować i podawać quesadillas w zaprojektowanej przez Ali McGraw restauracji „Adobe”, gdzie sztywnie było umówić się na lunch.

— Lecz chyba zgodzimy się wszyscy, że jest to problem na skalę kraju i samo Malibu go nie rozwiąże. Chyba nikt z nas nie chciałby, żeby środki masowego przekazu zachęcały bezdomnych cudzoziemców do masowego osiedlania się w naszym leśnym zakątku. Jeśli, naturalnie, Martin, Charlie i Emilio nie znajdą dla nich miejsca w Point Durne...

Charlie Sheen roześmiał się głośno. Kochał i szanował ojca, lecz nie w pełni podzielał jego ideały. Emilio Estevez, powściągliwy z natury, pozwolił sobie na enigmatyczny uśmiech. Najciężej chyba pracujący człowiek w Hollywoodzie zastanawiał się, jak znalazł czas na to zebranie.

— Ale bez wątpienia wszyscy przykłaśniemy ostatniej opinii Martina. Tu święte musi być życie każdego stworzenia, dzikiego czy oswojonego, włączając w to kojota, który właśnie pożarł naszego psa.

Teraz Dick Latham roześmiał się, a był to naprawdę cudowny widok. Jego opalona twarz rozplynęła się w morzu charyzmatycznego uroku. Błękitne oczy roziskrzyły się jak ocean, który zgromadzeni mogli ujrzeć nad jego lewym ramieniem, a białe jak mewa zęby — dentystyczne marzenie — lśniły w słońcu promieniującym na wydmach. Włosy, z pomocą brylantyny połyskujące jak lakierowana skóra, srebrzyły się siwizną pięćdziesięciu lat, a ogorzały mahoń twarzy, młodej i napiętej, marszczył się tylko z powodu wylewnego uśmiechu. Nawet dźwięk, który wydawał, był podniecający. Jego śmiech brał każdego w ramiona. Był bliski, cichy, lecz męski. Był to śmiech współdziałającego z kimś konspiratora, człowieka, który w sekrecie pragnął zdobyć czyjeś serce. Kobiety uwielbiały to, a i mężczyźni odpowiadali szczerą sympatią, tak że szczególne uczucia, które okazywał, wracały doń jak na skrzydłach, wzmocnione, w zgęszczonej dobroduszości, która tworzyła teraz atmosferę w pokoju. Nawet Martin Sheen, łagodnie napomniany, nie mógł żywić urazy.

Oczywiście Dick Latham przedstawiał sobą coś więcej niż pociągającą powierzchność. Na jego atrakcyjność składały się nie tylko nieskazitelnie skrojony niebieski kaszmirowy żakiet z oślepiająco błyszczącymi guzikami, szare wełniane spodnie o kancie ostrym jak żyłotka, najlepszej firmy i wypolerowane do połysku, zdobne chwastami, mokasyny. Był on najbogatszym, najbardziej rajcowym mężczyzną w Ameryce — Rhettem Butlerem wśród wielkich rozbójników, mającym dość ikry, by odziedziczoną fortunę powiększyć do megaforsy. I był kawalerem. Ten czynnik również brano pod uwagę, gdy salon podchwycił z kalifornijskim entuzjazmem żart miliardera, a jego wybielone, starannie pielęgnowane zęby obnażyły się w wybuchu wesołości, która wczesnym latem ogarniała krezusów Malibu.

Dick Latham zmienił ton na „mówiąc poważnie”, co ucięło śmiech, jakby przekreślił kurek.

— Tak naprawdę, prócz uznania dla szlachetnych i niewątpliwie z serca płynących uczuć Martina, chciałem wyrazić podziękowanie wszystkim za to, że zechcieliście być dziś moimi gośćmi. Wielu z was nie znam osobiście, ale naturalnie wasza sława i talent, a także wasze gorące serca sprawiły, że w pewnym stop-

niu staliście się własnością publiczną, a zatem, w jakimś sensie, znam was wszystkich.

Weź ich pod włos. Zaatakuj. Zdobądź. Sławy nigdy nie mają tego za wiele. By osiągnąć sukces w przemyśle filmowym, musiałeś w siebie wierzyć przez te wszystkie lata porażek, kiedy poza tobą nie wierzył w ciebie nikt. Jeśli nie masz osobowości, nie masz szans.

—Nikt jeszcze nie oskarżył J.R. o „gorące serce” — roześmiał się Larry Hagman z tyłu pokoju. Hagman mieszkał w okolicy od zawsze i nikt w Malibu nie zrobił więcej dla miejscowej społeczności ani nie śmiał się głośniejsze sprawiedliwości nadętych sąsiadów.

—No więc, j'accuse — zaśmiał się Latham. — Niedawno widziałem, jak wypruwacie sobie żyły, by zdobyć fundusze dla pogotowia ratunkowego, i nie wierzę, byście robili to ze strachu przed zawałem kamiennego serca.

Jego słowa utonęły w burzy oklasków. Pogotowiu w Malibu ciągle groziło zamknięcie. Mieszkający tu na stałe Johnny Carson, Dyan Cannon, Olivia Newton-John i Michel Landon pomagali Hagmanowi zdobyć pieniądze na fundusz Całodobowej Pomocy Medycznej.

Latham nieśmiało uniósł dłoń, młodzieńcza wstydlivość była najwyraźniej tylko uroczą zagrywką. Miał ich. Co do jednego. Byli po jego stronie.

— Jestem nowy w Malibu, ale już je kocham i podzielam waszą troskę o jego przyszłość. Chciałem się z wami dzisiaj spotkać, by wszystkich poinformować, że moje... środki... wszystko, co posiadam... i wszystkie ekspertyzy, jakimi mogę rozporządzać, są do waszej dyspozycji w walce o nadanie Malibu praw miejskich oraz o uchronienie go przed tymi, którzy chcą zarobić pieniądze tylko dla siebie, niszcząc jeden z najpiękniejszych zakątków na ziemi.

Było to popisowe niedomówienie. Aktywa Lathama, „wszystko, co posiadam”, Forbes oceniał na mniej więcej dziesięć miliardów dolarów. Prawnicy Lathama, działając ręką w rękę, mogliby rozszerzyć granice Malibu od Bulwaru Zachodzącego Słońca do granic hrabstwa Ventura. Należące do Lathama imperium środków przekazu: gazety, pisma, książki, telewizja i rozgłośnie radiowe, dysponowało wpływami, jakich zazdrościli prezydenci. A tu, przed oczyma zgromadzonych, góra pieniędzy zobowiązywała się do walki po ich stronie w wojnie, którą teraz wygryją. Była to czarodziejska chwila, a miała stać się jeszcze wspanialsza.

— I chciałem was poinformować, że na dowód swego zaangażowania się w sprawę Malibu, prócz tego domku — urwał, a znający się na rzeczy słuchacze wycenili posiadłość na około sześć i pół miliona dolarów — prowadzę rozmowy w sprawie zakupu tysiąca akrów, na różnych parcelach w górach Santa Monica, z których większość, co tu uroczyście przyrzekam, będzie stanowiła część miasta Malibu. Rozumie się samo przez się, że ta ziemia będzie wykorzystywana zgodnie z wymogami ochrony, zachowania i głębokiego poszanowania środowiska. O ziemię musimy dbać z takim samym oddaniem, z jakim dbamy o ciało.

Rozebrali go oczami. Jak wygląda ciało tego zesłanego z nieba plutokraty, który ochroni ich zacisze przed motłochem? To właśnie dlatego tu się wszyscy zgromadzili, całe uciążliwe mile od miejsca pracy, gdyż mogli się skryć przed wścibskimi oczami turystów, którzy zniszczyli Beverly Hills i Bel Air. W Malibu nie ma map z oznakowanymi domami gwiazd, nie ma autobusów wypełnionych ciekawskimi gapiami, ciżby zakłócającej błogą samotność. Dziewięć milionów turystów, którzy co roku tłoczyli się w Zumie, Topandze i Leo Carillo. było zbyt zajętych łapaniem raka skóry, by zatruwać życie Shirley MacLaine, Benatarom i van Halenom, Stingom i Robom Lowe, którzy czynili Malibu stolicą gwiazd zachodniej półkuli.

Grupowy rentgen zadowolony był z wyników badania. Jeśli Dick Latham podejdzie do wzgórz Malibu z taką samą czułą troską, jaką otacza siebie, o niczym więcej nie mogą marzyć. Ramiona miał szerokie, barczyste, trójkątny tors kończył się twardym, płaskim brzuchem. Był wysoki, miał dobrą atletyczną postawę, wspaniała brązowa skóra wyrazistych rąk harmonijnie łączyła się ze schludnymi, starannie wypielęgnowanymi paznokciami. Czy w płótkach coś jest? Czy istotnie kocha wszystkie kobiety świata, czy pragnie tylko łamać im serca? Czy jest żdźbło prawdy w opowieściach o jego bezwzględnym, okrutnym obchodzeniu się z kobietami, o bezlitosnych zerwaniach, o samobójstwach i załamaniach nerwowych dziewcząt, które podleciały zbyt blisko do Lathamowego płomienia? Rozkoszne domysły krążyły po salonie. Zastanawiali się nad tym Goldie Hawn, Kurt Russell, podobnie jak Robert Redford, sąsiedzi miliardera z Broad Beach. Za rogiem, pielęgnując samotniczy talent Jamesa Deana, zechciał zaprzątnąć sobie tym głowę Sean Penn. Steven Spielberg i Kate Capshaw zaś, którzy przeszli spacerkiem przez wydmy z wynajmowanego przez siebie domu, dumali, jakim też Latham może być kochankiem.

Lecz Latham nie skończył. Z wyczuciem zawodowego estradowca najlepsze zostawił na koniec.

— I jeszcze jedno, zanim przejdziemy do szampana i calistogi. Zrobiłem też małą inwestycję na południu i pragnąłbym, abyście pierwsi się o niej dowiedzieli, gdyż mam nadzieję, że wielu z was będzie kiedyś ze mną współpracować.

Pracować z nim? Dla niego? A prawie każdy w tym pokoju związany jest z filmem. To niemożliwe. A jednak.

— Przed dwoma dniami kupiłem studia Cosmosu. Jak wiecie, nie bardzo to tu szło. Mam nadzieję, że przy waszej pomocy ponownie zrobię z tego najlepsze studio w Hollywoodzie. Dziękuję bardzo.

Rozpostarł ręce gestem świadczącym, że zakończyła się część oficjalna. Na ten sygnał kelnerzy w czerwonych kurtkach wkroczyli przez balkonowe drzwi z tarasu wyłożonego terakotą, zlewającą się z białym piaskiem plaży.

W salonie wszyscy goście wstali. Gdyby otworzyły się niebiosy i duch Lathama zasiadł po prawicy Najwyższego, finał jego przemówienia nie mógłby wywrzeć potężniejszego efektu. Zbawca Malibu, a teraz, przynajmniej potencjalnie, również uzdrowiciel. W hrabstwie Los Angeles wszystkiego było pod dostatkiem z wyjątkiem jednej rzeczy. Było mnóstwo słońca, egzotyki, grzechu i fantazji seksualnych. O wiele za dużo pieniędzy, dóbr materialnych, mężczyzn o genach równie doskonałych jak ich dżinsy. Okolica opływała w nadmiar wina i pogaduszek przy winie, wszędzie spotykało się kobiety o nieskazitelnych blond włosach, w których igrał wiatr. Nie dostawało tylko pracy. Na każde rozpoczęte przedsięwzięcie przypadały tysiące nie sprecyzowanych marzeń. Umowy tak rzadko „stały”. Rzadko kiedy zapalano zielone światło, a ulubionym słowem było „nie”. A bez pracy, skąd sława, sukces, władza? Przez ostatnie dziesięć lat Cosmos robił bomby dla lotnictwa i nic nie wskazywało na to, by miał nastąpić zwrot. Chodziły słuchy, że studio stoi na skraju bankructwa i gdyby padło, zniknęłoby ważne źródło „pracy”. Teraz, gdy miliarder Latham został jego właścicielem, Cosmos powstanie jak Feniks z popiołów porażki. To rzeczywiście rozpałiło zbiorową wyobraźnię. Gdy tylko wrócą do domów, zadzwonią do swych agentów. Cosmos był znowu w grze. W ciągu nocy Latham stał się numero uno pośród około dwustu graczy w mieście. Mimo rzekomych niebezpieczeństw kilka odważniejszych kobiet zdecydowało tam i wówczas, że zaryzykowałyby z nim grę.

Dick Latham zgarnął szklaneczkę cristalu rocznik 81 ze srebrnej tacy, podsunętej mu z uszanowaniem przez niesłychanie przystojnego aktora-kelnera. Zazwyczaj nie pił, lecz dziś salon krzyczał, by to uczcić. Nie chciał ich rozczarować. O dziwo, w momencie gdy wszyscy zapragnęli nawiązać z nim rozmowę, nikt nie mógł się na to zdecydować. Tego wymagała słynna rezerwa Malibu. Ci ludzie byli prawdziwymi gwiazdami. Gwiazdki, które chętnie zwróciłyby na siebie uwagę, nie osiągnęły poziomu Malibu. Nadal tłoczyły się w Hollywood Hills. A dziewczęta w fazie przedgwiazdkowej, kręcące się po plażach Malibu, najpiękniejsze dziewczęta świata, nie zostały zaproszone na to przyjęcie. Zatem najbardziej kasowe osobistości rozmawiały między sobą, czekając ostentacyjnie, by właściciel studia i miliardów podszedł do nich pierwszy.

W niezwykle atrakcyjnej kobiecie, która mimo wszystko zbliżyła się do Latham, trudno było rozpoznać jedną z największych gwiazd światowego rocka.

— Jak się pan ma — rzekła swobodnie. — Malibu wygrało los na loterii, gdy pan tu trafił. Jestem Pat Giraldo. — Wyciągnęła do niego rękę.

Latham ujął ją, jakby to było serce, i trzymał milisekundę dłużej niż to konieczne, tak delikatnie, jak gdyby obawiał się, że ją złamie.

— Ależ nie — powiedział. — Pani jest Pat Benatar.

— Tylko na tournée i w studio. Tu nazywam się Giraldo i jestem mamusią.

— Jeśli ktoś jest tak piękny jak pani, nazwisko nie ma znaczenia. — Roześmiał się, by dać do zrozumienia, że wie, iż jest to tylko kalifornijski komplement, któremu jednak nie mógł się oprzeć.

Pociągał Pat Benatar. Wydawał się całkowicie rozluźniony. Wokół niego nie czuć było napięcia. Najwyraźniej nie cierpiał na nerwicę. Tak niewielu ludzi z kręgu sław nie odczuwało stałego niepokoju. Jednak jako rozważna osoba o dużym poczuciu moralnym, mimo rozwiązłości swego scenicznego „ja”, miała wrażenie, iż w Richardzie Lathamie było coś niegodziwego. Oczy patrzyły zbyt serdecznie, dotykał jej ręki nazbyt lekko, nazbyt natrętnie, co nie sprawiało jej przyjemności. Była szczęśliwa w małżeństwie, a on usiłował ją poderwać. Bez dwóch zdań.

— Słyszałem, że budujecie się na parceli nad Zumą. — Jego oczy mówiły, że wie większość rzeczy, o których pragnie wiedzieć — o niej, o wszystkim. Jako pięćdziesięciolatek jest za stary na fana, ale na pewno wie, że jej album „Uwodzi-

ciel" przyniósł pięć milionów, że jest żoną muzyka, grającego na gitarze prowadzącej, i że na scenie występuje odziana w skórę.

— Tak, mamy nadzieję, że wprowadzimy się na Boże Narodzenie. Budowanie się w Malibu to koszmar. Trzeba mieć zezwolenia z dziesięciu organizacji. Ze dwa lata zeszło, nim granice parceli naniesiono na plany. Ale — urwała i zwróciła się doń z kpiarskim wyrazem twarzy — nie będzie miał pan problemu z tysiącem akrów, jeśli nie ma pan zamiaru się budować. A co chce pan zrobić — rozstawić namiot i obserwować zachód słońca?

Dick Latham roześmiał się. Ludzie supersukcesu mieli głowę. Aby opanować scenę i przynosić do domu miliony dolarów, trzeba wiedzieć to i owo o naturze ludzkiej. Ma coś na niego? Nie. Strzela wiedziona instynktem. Ma tupet i wygląda przebojowo w supermodnych, spranych niebieskich džinsach, postrzępionych jak należy, w czarnych kowbojskich butach o stalowym obcasie i w długiej różowej bluzie. Przyjrzał się pierwszorzędnemu tyłczkowi oraz spokojnym, mądrym oczom i tam, i wtedy zdecydował, że podoba mu się rozdwojona osobowość Benatar-Giraldo i twarde jak skała ciało, które ją zawierało.

— Myślę, że mogę pozwolić sobie na jeden dom. — Mówił błagalnym głosem, w którym brzmiały jednak drwiące tony. Oczy uśmiechały się do niej kojąco, gdy pochylając się dotarł do granic niewidzialnego kręgu, którego nie należało przekraczać, dlatego ona, bezwiednie, odsuwała się od niego.

Wyciągnął do niej rękę, pochwycił mosiężny łańcuszek, zwisający z szyi gwiazdy, i mrużąc oczy, zbyt próżne, by skorzystać z pomocy okularów, przeczytał napis:

— Uwodzicielka. Czy pani uwodzi i łamie serca, Pat Giral-do? — Głos miał jak miód, jak z podwórzowej ballady, lecz także natarczywy, sondujący, proszący o coś więcej niż neutralną odpowiedź.

— Tylko serca fanatyków, panie Latham. Skoro kupił pan niedawno studio filmowe, musi się pan sporo nauczyć o iluzji.

Nagana dźwięczała w słowach, w subtelnie zaakcentowanym: „panie Latham”. Lecz był też i podziw dla wspaniałego operowania głosem.

Na sekundę dostrzegła stal za subtelnym urokiem miliardera. Celowo przybrała wobec niego protekcyjny ton. Nie był do tego przyzwyczajony. Lecz natychmiast zamknęła się szczelina w gładkiej zbroi.

— Szkoda, że nie jest pani z tej branży i nie mogę zaproponować pani pracy u siebie — powiedział. Szkoda, że nie mogę mieć cię na własność, wykorzystać, złamać — mówiły obserwujące ją oczy. Nagle pewna myśl przyszła mu do głowy. — Ale mogę zaproponować artykuł o pani w swoim magazynie *New Celebrity*, gdy będzie pani lansować nowy album. Myślę, że schizofreniczna ma-ma-piosenkarka rockowa, rozdarta między męskimi fanami i komitetem rodzicielskim, stworzy wspaniałą płytę. Porozmawiam z redaktorką. Niech skontaktują się z nią pani agenci prasowi.

Roześmiała się Pat Giraldo, nie Pat Benatar. Wiedziała, że jej pragnie, że szuka na nią haczyka, sposobu, by nią zawładnąć. Robi to dla sportu. Wywie się, czego jej potrzeba, i zaofiaruje jej to, by go kochała. Ale ona nie chciała Dicka Lathama, jego pismo nie było jej potrzebne, nie interesowało jej nic z tego, co miał do zaoferowania. Był bardzo pewny siebie. Nie doceniał ludzi. Trzeba go usadzić, to mu dobrze zrobi.

— Słyszałam, że *Celebrity* niezbyt dobrze szło, mimo że wydał pan tyle na reklamę.

Strzała zadrzała w samym centrum psychiki Dicka Lathama. Oczy mu się zwięziły, serce zabiło szybciej, pięści się zacisnęły. Stracił ochotę na dalszy flirt. Jedyłą rzeczą, na której Dickowi Lathamowi zależało bardziej niż na zdobywaniu pięknych kobiet, był biznes i osiągnięcie w nim sukcesu. To sprawka ojca. Przez całe dzieciństwo codziennie mówił mu, jaki Dick jest słaby, głupi, niezdolny dorównać staremu, szorstkiemu posiadaczowi milionowego majątku. W cieniu tego dębu miał tylko dwie możliwości. Zginąć albo rosnąć ku słońcu z większym wigorem i determinacją niż rodzic, póki młoda roślina nie wyrośnie na wyższe, potężniejsze drzewo niż to, które dało mu początek. Latham wybrał drugą drogę. W rezultacie stał się naprawdę bogaty, a fortuna ojca, którą obrzydzano mu życie, była tylko jednym z wielu źródeł jego dochodu. Tak wyglądała rzeczywistość, ale liczy się to, co tkwi w człowieku. Głodni i biedni nigdy nie zapomną swego głodu i biedy, nawet jeśli świat obsypie ich nie wiadomo jakimi bogactwami. I tak Latham nigdy nie zapomni tych wczesnych lat, gdy jedyna osoba, której pragnął zaimponować, uważała go za ofiarę losu. W rezultacie każdy niekorzystny zwrot w interesach, nawet nieznaczny, dotykał go do żywego. W głębi zranionego serca wszelkie straty uważał za początek końca; jednego dnia triumfalnie zmierzał na szczyty, a tymczasem przez noc sytuacja mogła zmienić się tak gwałtownie, że

drugiego staczał się w dół z przeciwnej strony góry. *Celebrity* była jego dzieckiem. On ją spłodził. Patrzył, jak wzrasta. Doprowadził do narodzin. Inni wyrażali wątpliwości. Czy Ameryka potrzebuje jeszcze jednego pisma typu *People*, *US* czy *Interview*? Tak, powiedział, rzucając na szalę swą reputację. Nie, oświadczyli prenumeratorzy, agenci reklamowi i wszyscy, których opinia miała jakiegokolwiek znaczenie. *Celebrity* padła. Był to śmiertelny cios. Potrzebowała życiodajnego tchnienia. Oddał jej wszystko, trwoniąc pieniądze na reklamę, obniżkę cen, a nawet, w rozpaczy, na bezpłatne egzemplarze. Lecz pieniądze nie zmieniły statusu *Celebrity*, która była śmiertelnie chora, a świat w swej mądrości wiedział o tym. Nie chcieli jej nawet za darmo. OK, a zatem Benatar nie znała jego planów wylansowania

odnowionego magazynu pod wodzą Emmy Guinness, nowej wspaniałej redaktorki, którą właśnie sprowadził z Anglii. Ale mimo wszystko piękna gwiazda rocka przypominała mu o ciągle dojmująco bolesnej osobistej tragedii, co rozwścieczyło go do białości.

— Rozkręcenie pisma wymaga czasu — wyszeptał przez zaciśnięte nagle zęby. Racja, lecz kogo to obchodzi? W Malibu wszyscy rozpoznają podmuch kłęski. Może on nawet opróżnić pokój. Całkiem niespodziewanie Richard Latham odwrócił się i zatopił w rozluźnionym tłumie, porzucając piosenkarkę, zastanawiającą się, jaką też strunę poruszyła w duszy osobliwego miliardera.

Mieszkańcy Malibu, którzy otoczyli teraz Dicka Lathama, tworzyli godną podziwu grupę. Pod względem stroju znajdowali się o milion mil od Beverly Hills, agresywnie lekceważąc toaletę, ostentacyjnie nieobo-wiązująco ubrani. Biżuterię ograniczono do minimum. Nie było kreacji słynnych krawców ani jednego garnituru od Armaniego. W zamian królowały stroje do tenisa, dzinsy i mokasyny noszone w stylu Palm Beach — bez skarpetek. Kobiety były wygimnastykowane, młodsze demonstrowały ciała obciągnięte lycrą, błyszczącymi elastikami albo okryte superniedbałym strojem — głównie wypłowiałymi dzinsami, które najlepiej wyglądają na plaży. Te, które się odstrzeliły, wystąpiły w kreacjach od najbardziej ekstrawaganckich projektantów. Było tam parę koszul Rifata Ozbeka, znalazły się trzy wspaniałe dziewczyny w strojach od Gaultiera i długonoga modelka w zapierającej dech seksownej koszuli od Isaia, która natychmiast przywróciła Dickowi Lathamowi dobry nastrój. Ciążył ku niej, oddzielony tłumem modnie odzianych mężczyzn i nie używających perfum kobiet, zwracając uwagę na trzeź-

wość, chłodną świadomość celu i niemal uchwytne opanowanie tej grupy. O rany, pomyślał, jeśli Kalifornia przoduje, a Malibu stoi na jej czele, trzymaj się, Ameryko. Za rok czy dwa skończy się zabawa.

Jakaś ręka, chwyciwszy Lathama za łokieć, odciągnęła go od celu o kasztanowych włosach. Jej właściciel nie był opanowany. W żaden sposób. Mały, tłusty, brodaty, sprawiał wrażenie, że jest na haju albo na bani, albo na jednym i drugim. Wepchnął spoconą dłoń w rękę Lathama, drugą masując jego łokieć, i chytrze spoglądał w twarz miliardera.

— Jestem Fairhaven — warknął. — Agent z biura dyplomowanych księgowych. Phil Struthers. Grace Harcourt. Fritz Silverberg. — Rzucił nazwiskami drugorzędnych klientów, których reprezentował, jakby przedstawiał efektowny życiorys. — Mieszkam nie opodal przy plaży. Jesteśmy sąsiadami. Chciałbym pogratulować panu kupna Cosmosu, wszystkich sukcesów i pięknego domu. — Puścił rękę Lathama i szerokim gestem zatoczył po pokoju, obejmując obite materiaściany, dywany z Besarabii, rzeźby i przesadne błyski zwierciadła, które niebawem zostanie zastąpione czymś bardziej eleganckim.

— To zwykły letni domek — powiedział lekceważąco Latham, mając nadzieję, że chłodne przyjęcie zniechęci namolną kreaturę, która Hię doń przyczepiła. Z przeciwległego końca pokoju obserwowała ich dziewczyna w mikromini.

— Słuchaj pan, letniskowy, nocnikowy, nieważne. Kto będzie szefem lego pańskiego zrujnowanego studia? Mam parę scenariuszy, które mu się spodobają. Może najpierw pokażę je panu. Chce pan jutro śniadanie? Mogę podejść z plaży.

Fairhaven chwycił kieliszek szampana od przechodzącego kelnera, jakby to była kamizelka ratunkowa na wzburzonym morzu. Z nosa zaczynało mu cieknąć. Żołądek Lathama zaczął się wywracać na drugą stronę.

— Zebraliśmy się tu po to, by omówić sprawy przyłączenia nowych terenów, nie biznes filmowy — powiedział ostro. Jezu. Dziewczyna w mini właśnie wyrzuciła nogę do przodu i Latham mógłby przysiąc, że dostrzegł błysk białych majteczek na tle opalonego ciała.

Fairhaven nie miał tak grubej skóry, by nie dostrzec zniewagi.

— Słuchaj pan, Latham — powiedział ze zgryźliwym uśmiechem, który miał być protekcyjnalny. — Słuchaj no pan. Pan tu jest nowy. Ja jestem w Malibu od zawsze. Przeprowadziłem się na wybrzeże pięć lat temu, więc wiem, o czym mówię. W Malibu jest pan bogaty, ma pan studio i mieszka pan w bardzo szykow-

nym, naprawdę kosztownym domu, lecz co się tyczy włączania nowych terenów, ochrony środowiska i takich głupot, to na nic to całe pańskie gadanie. Kiedy ludzie chcą rozmawiać o tych durnotach, rozmawiają z Alabamą. — Ostentacyjnie rozejrzał się po pokoju, nim zadał śmiertelny cios. — A Alabamy tu, do cholery, nie ma. — Spojrzał wojowniczo na Lathama, by sprawdzić, jaki efekt wywarły jego słowa. Było mu to obojętne. Samopoczucie miał dobre. Posiadał dom na własność, na interesy „nie można narzekać”, a maserati sprawiał mu prawie taką samą frajdę, jak dziewczuszka, którą utrzymywał w Hollywoodzie dla zdrożnych uciech.

Po raz drugi w ciągu dziesięciu minut Dicka Lathama zmroziło. I to nie przez gburowatość agenta. W czasie długiego marszu do złotego samorodka Latham miażdżył wstrętnejsze okazy. Chodziło o to, co facet powiedział o Alabamie. To go zabolalo do żywego, gdyż mówił prawdę. Ben Alabama — motocyklista, genialny artysta, areyoredownik ochrony przyrody, najbardziej ceniony i uznany fotografik w Ameryce.

Nikt, kto był choć trochę zorientowany, nie używał imienia Ben. Alabama to nazwisko. Był monumentalny. To instytucja potężniejsza niż góry, w których żył, które kochał i chronił. Alabama przejął klub „Sierra” po śmierci przyjaciela Anse-la Adamsa. Był przewodniczącym Towarzystwa Ochrony Gór Santa Monica i gdy w „Rock House”, hen, w Seminole Hot Springs, nie awanturował się z motocyklistami, których uwielbiał, zjadał lunch w Białym Domu albo był podejmowany śniadaniem przez jakiegoś demokratycznego senatora na Capitol Hill i sprzedawał swe fotografie krajobrazów za sto tysięcy dolców od sztuki, a portrety, które robił rzadziej, za jeszcze wyższe sumy. Alabama nosił czerwoną opaskę na czole i kucyk, był barczysty, Willie Nelson przypominał go z wyglądu, i mimo sześćdziesięciu lat miał mięśnie tam, gdzie nie miały prawa być. Ale ważne było tylko jedno: tu Alabamy nie było. Został, naturalnie, zaproszony, lecz się nie pojawił, a bez niego usiłowania Dicka Lathama, by porwać ruch ochrony przyrody dla swych osobistych, prywatnych celów, był ni mniej, ni więcej tylko żalospną porażką.

Porażka. Po raz kolejny słowo to odbyło spektakularny rajd przez umysł Lathama. Ponownie odezwała się muzyka i trysnęła adrenalina. Po raz drugi odwrócił się i odszedł od nieprzyjaznego Aladyna, który wypuścił ducha porażki, by go prześladował. Wpierw *Celebrity*. Teraz nieobecność Alabamy. Na miłość boską. Przyjęcie na rzecz ochrony środowiska bez niego to Malibu bez plaży. Dlaczego nie przyszedł? Latham znał odpowiedź. Z powodu tego, co się stało w Paryżu

dwadzieścia pięć lat temu. Najwyraźniej Alabama nie zapomniał. I już wyglądało na to, że dawnemu wrogowi przeznaczone jest być wrogiem przyszłości.

Nagle Dick Latham miał dość tego przyjęcia. Każdy redaktor rubryki towarzyskiej przysięgłby na życie matki, że od lat tacy goście nie zebrali się w Malibu pod jednym dachem. George Christy z *Reportera* był wniebowzięty. To niewątpliwie fuzja gwiazd. A jednak Latham chciał wyjść. Ignorując pełne, rozchylone usta i zachęcający kalifornijski uśmiech napalonej modelki, zmierzał prosto na piasek. Zrzuciwszy mokasyny i jedwabne skarpetki, cisnął marynarkę za tysiąc dolarów na piasek wydm, jakby to było złamane dziewczęce serce. Sadził wielkimi krokami w pionowym południowym słońcu, nie zadając sobie trudu, by podwinąć mankiety niegdyś nieskazitelnych spodni. Pat Benatar oświadczyła mu, że *Celebrity*, jego duma, jego niedoszła radość, to sprana szmata. A jakieś odrażające zero znikąd właściwie to ustawiło. Jego przyjęcie chybiło celu. Alabama był gdzie indziej.

Alabama siedział sztywno wyprostowany, trzymając ręce wysoko na drążkach *héritage harleya*, pochylając się na wirażach, tak że rozpalone chromowane rury motocykla znajdowały się o milimetry od topniejącego asfaltu.

— Moglibyśmy sączyć teraz szampana i skubać kanapeczki, King. Ocaliłem nas od losu gorszego niż śmierć.

Facet siedzący za Alabamą również robił wrażenie. Pojęcie o nim można było sobie wyrobić za pomocą jednego słowa. Mięśnie. Prócz tego miał niewiele: mniej niż sześć procent tłuszczu, szorty i koszulkę gimnastyczną w kolorze khaki, minimalne okrycie rozpaczliwie usiłujące pomieścić lśniące pęki aktywny i miozyny, które wyglądały tak, jakby zstąpiły wprost z anatomicznego rysunku Leonarda da Vinci. W akademii medycznej studenci mogliby się z niego uczyć. Zwłoki nie byłyby potrzebne. Każdy pęk włókien rysował się wyraziście na tle towarzyszy, a King znał nazwy ich wszystkich.

Pochylił się ku barczystym ramionom Alabamy.

— Jaki jest ten, Latham, Alabam? — Asystent i przyjaciel Alabamy, który wspaniale wywoływał jego zdjęcia, był jedynym żyjącym człowiekiem, któremu wolno było wymawiać tylko trzy „a” w jego nazwisku.

—To skurwiel.

—Bogaty skurwiel.

—Taaak, bogaty i gładki. Mógłby bez wazeliny.

Dwaj przyjaciele zapadli w milczenie, zgadzając się bez słowa, że huk silnika i gorący wiatr uniemożliwiają rozmowę. Zapuszczając się motocyklem między krzewy Alabama wrócił myślą do czasów, gdy po raz ostatni widział Dicka Lathama. Było to w Paryżu, w połowie lat sześćdziesiątych, kiedy zatrzymał się u swych przyjaciół, Juliette i Mana Rayów, w ich małym mieszkanku na Montparnasse. Alabama właśnie zaczął robić fotografie portretowe, odrywając się na chwilę od melancholijnych krajobrazów, które przyniosły mu sławę, a Dick Latham, dziedzic znacznej fortuny, stanowił interesujący obiekt jako tradycyjny amerykański playboy w Paryżu, gdzie całował dziewczęta i łamał im serca. Fotografia Lathama autorstwa Alabamy uchwyciła to wszystko — wyniosłą pseudodumą zagubionego chłopaczka, który usiłował sprawić wrażenie niezwykle wyrafinowanego, aroganckiego sposobu bycia, niemal kobiecą urodę. Naturalnie, znienawidzili się od pierwszego wejrzenia, a napięcie w ich wzajemnych stosunkach, niemal iskrzące się ładunkami elektrycznymi, jak to się często zdarza, doprowadziło do stworzenia wspaniałego portretu. Latham znienawidził to zdjęcie i odmówił za nie zapłaty. Normalnie zdarzenie takie byłoby po prostu wysoce irytujące, lecz w Paryżu Alabama znajdował się w trudnej sytuacji finansowej. Wyłożył franki na fotografowanie Lathama i nie bardzo mógł sobie pozwolić na utratę tych pieniędzy. Drażliwe poczucie godności nie pozwoliłoby mu na upominanie się o pieniądze, lecz był winien kilkaset dolarów swemu przyjacielowi Manowi, a zatem, przetykając dumę, poszedł do Dicka Lathama i poprosił go o zwrot kosztów filmu i wywołania. Wyniosły playboy odmówił całkowicie rozsądnej prośbie i roześmiał mu się w twarz. Nawet po upływie tylu lat upokorzenie dławiło Alabamę w gardle. Już wzgardzenie jego cennym dziełem doprowadziło fotografa do wściekłości. Ale zmuszenie go do zebrania, a potem szorstka odmowa jego prośbie były jeszcze gorsze. Takiego zachowania nie zapomina się ani nie przebacza. Przez trzy dni Alabamie nie starczało na jedzenie i hulanki. Głód nie doskwierał mu zbytnio, lecz przymusowa wstrzemięźliwość była równie nie do zniesienia wówczas jak i teraz.

W pewnym sensie został pomszczony. Latham pokazywał się w towarzystwie jednej z ulubionych modelek Alabamy, porywczej, uroczej i niewiarygodnie pięknej Ewy Ventury, i w energicznej dziewczynie playboy znalazł godną siebie partnerkę. Zakochał się w niej i to nie znane mu uczucie zagroziło wywróceniem na nice całego dotychczasowego trybu życia rozpuszczonego szczeniaka. Eva dowie-

dziawszy się, jak Latham obrzydliwie potraktował Alabamę, zdecydowanie pośpieszyła do mieszkania aroganckiego młodziana, by mu porządnie nagadać, lecz tam zastała go in flagranti z dawną przyjaciółką. Uparta Eva nie zawahała się. Samą zdradę zdołałaby mu przebaczyć, lecz w połączeniu z wadą charakteru, o jakiej świadczyło zachowanie się wobec Alabamy, było już tego za wiele. Odeszła od playboya, który zawsze odchodził pierwszy, i nigdy nie wróciła. Latham szukał jej wszędzie, wynajmując detektywów, zamieszczając ogłoszenia w gazetach, nawet ośmielając się zadreć wrogo nastawionego Alabamę, lecz Eva zniknęła bez śladu. W końcu Latham zrezygnował i ze złamanym sercem, wykończony, powrócił do Ameryki.

Od tamtego dnia Alabama go nie widział. Wszyscy inni, owszem. W ciągu dwudziestu pięciu przebojowych lat playboy zmienił się w kutego na cztery nogi przedsiębiorcę, a odziedziczoną zdobycz przetworzył w megafortę, zainwestowaną w prasę, radio i telewizję. Teraz jest w Malibu, najwyraźniej usiłując kupić potężne kęsy ukochanych gór Alabamy i wepchnąć się na siłę na nie kwestionowaną przez nikogo pozycję Alabamy jako głównego przyjaciela środowiska i naczelną plagę wszystkich, którzy chcieliby tu budować. Przez ostatnie dwa tygodnie dom Alabamy pozostawał pod telefonicznym oblężeniem

Lathama, który usiłował zaprosić gospodarza na swoje przyjęcie. Niech się odpieprzy. Paryż nie został zapomniany i Alabama zachichotał pod nosem na myśl o jednej inwestycji, którą finansowy bystrzak zawalił. Odmówił zapłacenia Alabamie stu dolarów za portret. Teraz wart jest sto pięćdziesiąt tysięcy, i to gotówką.

— Potrzebuję sześć flaszek meksykańskiego! — krzyknął Alabama.

— Zawsze potrzebujesz sześć i zawsze wypijasz dwanaście! — odkrzyknął King w dmącym wietrze, a Alabama przytaknął. — Wezmę lemoniadę, żebym cię mógł odwieźć do domu.

— Meksykańskie szkodzi ci na mięśnie, King! — ryknął Alabama. Dobrze się bawił. Gdy skończył sześćdziesiątkę, życie nareszcie stało się prostsze. Motocykle, piwo i góry — i nic ponadto. Od dziesięciu lat nie zrobił zdjęcia. Naturalnie nikt o tym nie wiedział. Była to starannie skrywana tajemnica. Przez trzydzieści lat fotografował przyrodę, którą kochał, i sprzedawał jedynie niewielki ułamek nagromadzonych zdjęć. To absolutnie wystarczyło, by zyskać reputację. Zatem teraz, gdy potrzebował pieniędzy na ciągłe wojny w obronie środowiska, po prostu wyciągał z piwnicy parę negatywów z lat pięćdziesiątych czy sześćdziesiątych, a

King je wywoływał. Słońce, wschodzące nad górami, w roku 1955 wyglądało tak samo jak dziś i w roku 1989, i łącznie z nabazgranym podpisem Alabamy warte było co najmniej sto tysięcy. Gdy krytycy w prestiżowych pismach jak *Artforum* badali poszczególne etapy artystycznego rozwoju Alabamy, stary pokładał się ze śmiechu.

Pamiętał dzień, gdy ten pomysł przyszedł mu do głowy. Przeczytał gdzieś, że na świecie jest więcej fotografii niż cegieł. Rąbnęło go to między oczy. Utrwał jedynie piękno, zwracając na nie uwagę patrzącym w sposób interesujący i nowatorski. Ale wszędzie wokół przyrodę, ostateczny surowiec tego piękna, niszczą chciwi, bezmyślni ludzie w imię zysku, postępu czy rozrzutności. Bezsprzecznie prawdziwy artysta, osoba tak dbała o piękno jak on, powinna przyjąć za swą misję ochronę tego piękna, a nie zapis jego zaniku. Od tego momentu nie zrobił fotografii. W zamian stał się orędownikiem każdego listka, każdej gałązki, każdego zwierzęcia i owada żyjącego w ukochanych górach, w których zawsze mieszkał.

Lecz jeśli tamto stanowiło główny nurt jego życia, ten drugi również się liczył. Był weekend i upał sto stopni w skali Fahrenheita, a nie zwykle siedemdziesiąt osiem, co, jak utrzymywał Neil Simon, równało się liczbie interesujących mieszkańców hrabstwa Los Angeles. A więc dziś robił to, co zawsze w sobotę. Jechał do „Rock House” w Seminole Hot Springs, by posiedzieć w gronie motocyklistów, napić się zimnego piwa i zjeść kleiste chili w wysuszonych słońcem kaniach.

Gdy harley wyjechał z zakrętu, wizja ta ukazała się w pełnym blasku. Mniej więcej dwieście motocykli parkowało obok siebie wzdłuż jednej strony autostrady, następna setka z drugiej — dwie długie, bujne wstęgi chromu i lakieru, błyszczące i migoczące w jaskrawym słonecznym świetle. Na prawo, z dala od drogi, stało parę niepozornych drewnianych budynków; do jednego wchodziło się po wysokich stopniach. Łączyło je długie podwórze ze wspaniałym jaworem pośrodku. Wokół tego centralnego punktu migąła czarna rzeka skóry. Motocykliści byli wszędzie, rojąc się jak muchy wokół zastawionych przekąskami stołów, kłócąc się, rycząc, krzycząc, klnąc, a każdy motocyklista i jego dziewczyna trzymali w dłoniach puszkę z piwem. O dziwo, mimo takiego zgromadzenia podwórze było czyste. Nie szpeciły go żadne ludzkie nieczystości. Nie wały się niedopałki, puszkę po piwie, pobrudzone ketchupem serwetki ani też nic obrzydliwszego.

Wszystkie te niepożądane przedmioty uprzątnięto do trzech olbrzymich koszy umieszczonych strategicznie na terenie, gdzie odbywało się jedzenie i picie.

Gdy pojawił się Alabama, tłum powitał go okrzykami.

— Cześć, człowieku! Cześć, Alabama! — ryczeli motocykliści ochryplym chórem.

Uniósł na powitanie sękatą dłoń i podjeżdżając prosto pod drzwi restauracji zaparkował tuż obok znaku: NIE PARKOWAĆ. To było jego miejsce. Gdzieś w Detroit miał takie prezes General Motors. Alabama również.

— W porządku, King, człowieku. Piję dos equis. Co zjesz, motoburger, jak zwykle?

Wpakował się do restauracji „Rock House”, King zaś wyruszył do znajdującego się obok „Rock Store”, gdzie sprzedawano zimne piwo.

W środku, w brudnych pomieszczeniach, na chwilę cichnął gwar, gdy przechodził Alabama, i znowu wybuchał przytłumiony zgiełkiem powszechnych powitań. Znajomi nie gromadzili się wokół niego, po prostu dawali mu poznać, że wiedzą, iż tu jest, i są temu radzi, a potem znowu powracali do przechwałek, podpuszczania i przekomarzania się, co motocykliści uwielbiają. Przy jednym stole Alabama zauważył Mickeya Rourke'a, otoczonego absolutnymi zerami, które tego dnia były mu równe. Gary Busey, Leif Garrett i Justine Bateman wychylili się z pięterka, by pomachać mu na powitanie. Tak to się odbywało w tym miejscu starszym od większości restauracji w promieniu trzydziestu mil od centrum Los Angeles, miasta, które rzekomo nie ma śródmieścia. Od czasu do czasu w „Rock House” kręcono filmy i gwiazdorzy, jak Ron Peters, który kochał motory, wpadali tu i zachowywali się zwyczajnie, lecz przeważnie wszyscy wysiadali w słońcu, ciesząc się towarzystwem podobnych do siebie ludzi.

Jakiś facet przysiadł się do Alabamy, gdy ten składał zamówienie. Położył nikona na kontuarze.

— Hej, Alabama, robisz dobre zdjęcia. Jaki będzie do tego najlepszy obiektyw?

—Wyrzuć to — mruknął uprzejmie Alabama. — Zasłania ci oczy.

—Nie, człowieku, mówię poważnie.

— Człowieku, ja też. Zrobisz zbyt wiele zdjęć i przestaniesz patrzeć. Japończycy są zupełnie ślepi. Cały ich kontakt z naturą to album fotografii.

Ociekająca tłuszczem bułka z bekonem i serem, którą nazywano „motorem”, wylądowała na ladzie. Następnie pojawiła się miska chili z serem, cebulą i zielonymi papryczkami. Alabama zgarnął to wszystko.

—Ale ja chcę tworzyć prawdziwą sztukę — oznajmił stały bywalec. W istocie chodziło mu o prawdziwe pieniądze, takie, jakie zarabiał Alabama.

—Sztuka wzięła i pieprzęła — powiedział z uśmiechem Alabama. — Bóg jest jedynym artystą. Żaden człowiek nie może z nim rywalizować. Rozejrzyj się wokół. Odpręż się. Usiądź wygodnie i ciesz się życiem. Sprzedaj nikona i przyślij mi pieniądze. A ja będę robił, co się da, żebyś i ty miał szansę cieszyć się przyrodą.

Walnął raczkującego fotografa w ramię, dając mu do zrozumienia, że nie żywi doń nieprzyjaznych uczuć, i wyszedł na słońce, by dobrać się do piwa.

King kiwał z ulubionego miejsca Alabamy, obłupanego, pokrytego plastikiem stopnia na tyłach ogrodu, gdzie zbierali się motocykliści. Mamrotał słowa powitania, przepychając się przez tłum, ale się nie zatrzymywał. Chciało mu się pić.

Alabama klapnął na stopień i wziął piwo od Kinga, ściskając szyjkę dos equis kciukiem i palcem wskazującym w miejscu, gdzie wciśnięto limona.

— Ładny dzień, King — wymamrotał i czknął z zadowoleniem, patrząc na jaskrawe słońce i mglisty wał upału, który zapadł nad kanionem. Podrapał się w małżowinę uszną, a potem po podkoszulku, ciasno opinającym wystający brzuch, i dziękował Bogu, że nie musi reagować na kit hojnie wciskany na przyjęciu u Dicka Lathama, wydanym pod hasłem: „Witaj, Malibu”.

— Chryste, Alabama, popatrz no tylko — odezwał się nagle King. Alabama zmrużył oczy przed słonecznym blaskiem.

Pośrodku podwórza, pod jaworem, stał ogromny chłop i nie przedstawiał on sobą widoku dla ludzi o słabych żołądkach. Była to wielka bestia z dupą jak góra, potężnymi nogami i błyszczącymi bulwami mięśni. Pokrywały je nazistowskie tatuaże, czerwone i czarne swastyki, krzyże, orły, czaszki, skrzyżowane piszczele i inne fragmenty szkieletów. Nagi do pasa, na szerokich, spoconych plecach miał wytatuowany napis: BACZNOŚĆ PRZED TYM BIAŁYM SUPERMANEM. Nośił czapkę z daszkiem i czarne okulary soczewkowe. Z tylnej kieszeni skórzanych dżinsów dyndała mu para kajdanków, z pasa zwisał ogromny nóż typu krokodyl Dundee. Na znoszonych czarnych botach miał srebrzyste ostrogi. W prawej ręce ścisnął puszkę budweisera. W lewej ogromną szklanicę z polistyrenu. U jego boku

stała chuda tleniona blondynka. Niebrzydka, na gołych jędrnych piersiach miała drelichową kurtkę, a na nogach parę botów o odciętych cholewkach. Nie ulegało wątpliwości, że należy do białego supermana, przed którym trzeba mieć się na baczności. Nie ulegało też wątpliwości, że nieprawdopodobny olbrzym chciał podkreślić ten fakt. — Nalej mi, ty łajzo! — zagrzemiał.

Miejscowi motocykliści wymienili spojrzenia i w uprzednio hałaśliwym tłumie zapanowała dziwna cisza. Człowiek góra szukał kłopotów. Rozpoznawali symptomy. Od wypitki chciał przejść do wybitki, w której najprawdopodobniej zostanie zwycięzcą. Paru stałych bywalców niepewnie popatrzyło na Alabamę.

Dziewczyna wyjęła budweisera z jego prawej ręki, szklanek z lewej, i nałapała jedno do drugiego gestem absolutnego i bezwarunkowego posłuszeństwa. Proszę i dziękuję nie mieściło się w słowniku nieznanego. Wziął szklanek, pustą puszkę i cisnął tę ostatnią w powietrze. Mignęła łukiem w słońcu i z trzaskiem wylądowała na ziemi parę stóp od Alabamy. Potem facet podniósł szklanek do ust i przełknął piwo jednym gulgocącym łykiem.

Alabama wstał. Zrobił krok naprzód, schylił się i podniósł pustą puszkę. Nie odzywając się ani słowem, wrzucił ją do stojącego obok pojemnika. Wrócił na miejsce. Cisza była teraz absolutna. Stali klienci „Rock House” milczeli jak zakłęci. Tylko obcy i masochiści śmiecieli w pobliżu Alabamy.

Obcy facet zdawał się wyczuwać kłopotliwą sytuację. Rozejrzał się i idąc za spojrzeniem wszystkich oczu wbił wzrok prosto w Alabamę. Uśmiechnął się ohydny morderczy uśmiechem, gdyż doszło już doń, o co chodzi. Ten stary rzęda na ławce podniósł wyrzuconą puszkę. Najwyraźniej to jakiś maniak ochrony środowiska i bez dwóch zdań jest tu poważaną figurą. Dlatego właśnie oferowaci motocykliści gapili się w starego puchacza jak w obraz. Parsknął wzgardliwym śmiechem. Kurde, facet był stary! Mocno po pięćdziesiątce, może nawet koło sześćdziesiątki. To z tych kalifornijskich motocyklistów takie wymoczki? Słońce jak nic wypaliło im jaja. Trzymał ich za twarz jakiś zdziecinniały staruszek. Jeszcze im pokaże, tak że nie będą wiedzieli, gdzie oczy podziąć. Upuścił pustą szklanek. Potem, starannie, nie odrywając oczu od Alabamy, wbił w nią obcas, śmiejąc się wyzywająco.

— Podnieś — powiedział Alabama. Mówił cicho, ale nie musiał krzyczeć. W nabrzmiałej ciszy jego słowa przeszły przestrzeń oddzielającą go do białego supermana.

Obcy uśmiechnął się obrzydliwie. Zrobił ręką ruch w dół i wyciągnął nóż, który obracał w słońcu, jakby opiekał go na rożnie.

— Dobra, dobra, stary — powiedział chrapliwie. — Oszczędzam energię, żeby wyciąć swoje inicjały na tym drzewie.

Wolno podszedł do jawora.

Alabama znowu się podniósł. Odstawił dos equis na schodek. Oddychał głęboko, nadymając beczułkowatą pierś i wznosząc obie ręce do nieba, błękitnego jak farbka do bielizny, a potem wyciągnął je, zginając mięśnie jak postronki. Wypuścił powietrze i odetchnął zmęczony, poddając się losowi. Poruszał się wolno jak spieczony w słońcu wąż na rozgrzanej autostradzie.

Kątem oka nieznamy taksował zbliżającego się Alabamę. Był stary, ale potężny i opanowany, i ze sposobu, w jaki się poruszał, biła pewność siebie. Nie było w nim strachu. Ani trochę.

Obcy podniósł nóż i dźgnął w przypięty do drzewa plakat, dotyczący walki z nowym przepisem nakazującym noszenie hełmów.

— Zostaw moje drzewo — powiedział Alabama.

Stali teraz blisko siebie i obcy widział błysk w oczach starego, wygięcie żyłastych mięśni, lecz ponownie zaśmiał się, gdyż, naturalnie, miał nóż.

— Żaden dziadzio nie będzie mi rozkazywać — powiedział szyderczo.

Alabama przemówił wolno, jakby zwracał się do niższej formy życia, a jego głos w południowym upale tchnął arktycznym chłodem.

— Słuchaj, gówniarzu — odezwał się, przeciągając słowa. — Dotknij mojego drzewa, a wyrnę ci swoje nazwisko w miniaturze na twoim mizernym kutasie.

Obcy rozdziawiał gębę w miarę, jak słowa zaczęły docierać mu do mózgu. Dopiero w połowie doszło do niego, że został obrażony, w ćwierci, co dokładnie zostało powiedziane. Ale wiedział już, że będzie musiał przedziurawić starego. Nóż uniósł się od jego boku, umysł zaś walczył o właściwą odpowiedź.

Dwadzieścia kroków za Alabamą King zastanawiał się, czy jego przyjaciel i pracodawca trochę nie przeszarżował. Ale długoletnie doświadczenie powiedziało mu, by się nie martwić. Dookoła wszyscy czuli tak samo. W ciszy z ich twarzy było oczekiwanie. Skądże obcy mógł wiedzieć o Alabamie i drzewach? Im samym nauka zajęła trochę czasu.

— Ty cholerny trupie... — zaczął obcy, ale nie zdołał skończyć. Okryta kowbojskim butem noga Alabamy wystartowała. Podbicie, zakurzone i twarde jak stal, zetknęło się z krocem obcego w momencie uzyskania maksymalnego rozpędu. Gdy neodparta siła buta Alabamy zderzyła się z nieruchomym obiektem, jakim była kość miednicy nieznanego, znajdujące się między nimi nieszczęsne fragmenty ciała zgniecione zostały na miazgę. Motocyklista osunął się na kolana, gdy niebo w górze zatańczyło, a ból obiecał, że przyjdzie później. Super-macho upuścił nóż. — Kurde — wybiegło z jego ust wraz z podmuchem powietrza, które wyrwało mu się z płuc.

Alabama cofnął nogę. Przykucnął i podniósł nóż. Pochylił się do przodu, przytykając jego czubek do nabrzmiałej żyły szyjnej białego supermana, przed którym należy się mieć na baczności.

—Upuściłeś na ziemię styropianową filiżankę — syknął Alabama. — Nie ulega biodegradacji.

—Aaaaach! — wrzasnął obcy. Pojawił się ból, wypychając odrętwiałą pustkę, która uchwyciła go za krocze. Głowa kiwała mu się z boku na bok, oczy zasły łzami, a w uszach brzmiało słowo, którego nigdy przedtem nie słyszał.

Alabama zignorował wrzask, tak jak zignorowano by jego krzyk, gdyby o milisekundę przegrał tę walkę.

Szepnął do ucha zmaltretowanego psychopaty:

— Człowieku, plastiki robi się z wielkocząsteczkowych węglowodorów. Nic ich nie zniszczy. Pokażę ci. Zjadaj to.

Trzeba do tego trochę przywyknąć, ale mu się udało. Pod wieloma względami zjedanie resztek plastikowej filiżanki było najbardziej imponującym wydarzeniem w całym jego nieszczęsnym życiu.

Alabama wstał i wracając na swoje miejsce wrzucił nóż do pojemnika na śmieci. Lecz nie miał ochoty już pić, a resztę może pozbierać ktoś inny. Dał znak Kingowi i po chwili silnik heritage'a strzelał, a stary uliczny rozrabiaka, motocyklista, piwosz, bojownik o ochronę środowiska i najsłynniejszy fotograf na świecie wracał do domu.

Pat Parker z rykiem silnika przemknęła Bulwarem Zachodzącego Słońca w otwartym islanderze, jej blond włosy powiewały na wietrze jak należy, w kalifornijskim stylu. Późne popołudniowe słońce paliło twarz, z lewej strony miała plażę, gdzie wzbierał przyływ i nastolatki w wodoodpornych kombinezonach uprawiały jeszcze windsurfing. Mocno trzymała kierownicę, grając w niebezpieczną grę wideo, zwaną Autostradą Wybrzeża Pacyfiku, w której nagrodę stanowiło bezpieczne dotarcie do celu, a punkty karne zarabiała się w helikopterze straży pożarnej lecącym do szpitala w Santa Monica. Rany, ależ to kawał od Nowego Jorku! Opuściła miasto przed siedmioma godzinami, a wydawało się jej, że nie była tam od wieków.

Trzasnęła wyłącznikiem radia i znalazłszy lokalną stację, nadającą płytę „Beach Boys” z dobrego rocznika, zastanawiała się, czyby nie zastosować środka, który mógłby uratować jej życie, blokując przenikanie promieni słonecznych do odsłoniętego nosa. Nie ma mowy. Ze wszystkich zagrażających życiu niebezpieczeństw melanoma wydawała się szczególnie pociągająca. A więc potrząsnęła głową, radując się słońcem, ciepłym wiatrem i odzyskaną pogodą ducha. Tego właśnie potrzebowała. Zacząć wszystko od początku. Podjąć wyzwanie. Zmienić kierunek. Miała ochotę śpiewać, śmiejąc się z wiatrem, gdy przebiegała myślą wydarzenia, które ją tu przywiodły.

Trzy miesiące minęły od chwili, gdy umierający Mapplethorpe wysunął swą enigmatyczną propozycję, by pojechała odwiedzić Alabamę w Malibu. Z początku odrzuciła ten pomysł. Cóż może mieć wspólnego wspaniały starzec, nestor amerykańskiej fotografii, z goniącą za sensacyjkami kronikarką nocnego życia Nowego Jorku? Alabama był legendą. Przywodził na myśl krajobrazy, portrety i indywidualne wystawy w renomowanych galeriach. Ona to zadzierający nosa pozerzy i zniewieściali mężczyźni, robiący wdzięczne wygi basy w diabelskich norach, dumnych z oryginalności swej brzydoty. Zdobywała medale w szeroko reklamowanych konkursach, wielkonakładowe pisma obsypywały ją komplementami, wystawiała w tłumnie odwiedzanych galeriach, pozowali jej kolekcjonerzy megaforsy. Jeśli się jej poszczęściło, dostawała pięćset dolarów za zdjęcie, robiła rozkładówki w ilustrowanych magazynach, prowadziła rozmowy o współpracy z tuzami z branży. Już więcej nie mogło jej dzielić od Alabamy. A jednak... A jednak. Czy nie tego potrzebowała? Całkowitego zwrotu. Czy Picasso nie wzdragał się

przed podróżą od błękitu do sześcianów? Czy Goya pozwolił sobie na sterczenie przy nagich księżnych i wyparł się nowych granic szaleństwa i czarnych szatańców? Czy Gauguin zaharowywał się na paryskiej giełdzie, Michał Anioł zawahał się przed podjęciem pracy nad pomalowaniem sklepienia Kaplicy Sykstyńskiej? Lista artystów, którzy zaryzykowali odmianę, była długa, lecz jeszcze dłuższą tworzyli ci, którzy nie podjęli ryzyka. Pat Parker nie chciała należeć do tej ostatniej kategorii, a niesamowite przeżycie w „Indochinach”, gdzie się jej wydało, że ujrzała ducha zmarłego przyjaciela, ułatwiło decyzję.

W ciągu następnych tygodni przejrzała wszystkie swoje prace i wybrała sześć zdjęć. Z duszą na ramieniu i perspektywą ośmieszenia się zapakowała je i przesłała Alabamie z krótkim listkiem.

Drogi Alabamo

Pomysł tej przesyłki podsunął mi Robert Mapplethorpe. Te sześć zdjęć to moje najlepsze prace i nie mam nawet pewności, czy mi się podobają. Przeżywam jakiś kryzys fotograficzny. Czy mogłabym się z panem zobaczyć? Jestem gotowa przyjechać do Malibu.

Nie liczyła na odpowiedź. W najlepszym razie spodziewała się krótkiego, uprzejmego listku od jakiegoś protekcyjnego asystenta administracyjnego. Ale telegram nie budził wątpliwości. Mówił po prostu: „Przyjedź”. A ona usłuchała.

Była teraz w Malibu i wkrótce spotka się z mityczną postacią, która wystosowała to niewiarygodnie tajemnicze zaproszenie. Serce zabiło jej szybciej. Czy to będzie katastrofa? Tak się zapowiada. Ale co to z góry można wiedzieć. Jedno liczyło się na jej korzyść. Alabama znany był jako ekscentryk, a z takimi szło Pat najlepiej. Spojrzała na plażę. Chryste, morze było błękitne. Podobnie jak niebo upstrzone mewami i pikującymi brązowymi pelikanami, leniwie łowiącymi ryby w silnym wietrze. Z prawej wznosiły się urwiste skały o powierzchni zrytej niezliczonymi osuwiskami, zdolnymi zablokować drogę, którą właśnie jechała. Tablica z napisem GETTY poinformowała ją, gdzie jest najbogaciej i najnudniej, i wkrótce sunęła do samego serca starego Malibu, obok filaru restauracji „U Alicji”, w której, jak utrzymywał Ario Guthrie, człowiek otrzyma wszystko, czego pragnie, obok baru kolonii, gdzie niegdyś mieszkały gwiazdy, obok nowiutkiego supermarketu, zbudowanego w stylu dawnej misji hiszpańskiej, obok ponuro schludnego Uniwersytetu Pepperdine, w którym podjęto się zabawnej, acz niewykonalnej

misji wprowadzenia jakiegoś życia umysłowego do Malibu, gdzie troszczono się tylko o ciała.

Niejasno zaledwie zdawała sobie sprawę z tego, co robi. Ktoś od Alabamy zwany Kingiem powiedział jej, gdzie skrócić w prawo z autostrady. Potem miała jechać prosto w góry. Widziała je teraz rozciągające się na tle nieba, szare w słońcu jak okręt wojenny, masywne, potężne, majestatyczne. Mieszkał tu gdzieś, w sercu tych wzgórz, które jedni zwali Malibu, a inni Santa Monica. Chodziły słuchy, że zachowywał się tak, jakby należały do niego. Pat głęboko zaczerpnęła oddechu. Każdy, z kim rozmawiała, był zgodny co do jednego. Alabama lubił cię albo nie. Byłeś przyjacielem albo wrogiem. Nie miał neutralnego stosunku do nikogo ani do niczego. A zatem nie zapakowała zbyt wielu ubrań. Jeśli się jej nie powiedzie, po prostu odejdzie. W kieszeni spłowiałych lewisów miała bilet powrotny.

Malibu zmieniało się. A autostrada śmigała teraz koło małych sklepików, których schludne neony reklamowały wszystko na plażę dla plażowicza — pastelowe podkoszulki, elastyczne kostiumy kąpielowe, preparaty do opalania. Mijała seksowne restauracyjki o nazwach: „Coś Trefnego” albo „Wsuń Sushi” czy też „Kantyna na Koralowym Wybrzeżu”, a także specjalnie zaprojektowane sale gimnastyczne i zbudowane z suszonej na słońcu cegły miniaturowe sklepiki, po brzegi wypełnione japońską elektroniką, wranglerami i samochodami „Porsche”, tymi potężnymi symbolami południowego marzenia. Po obu stronach Pat mknęli autostradą jej partnerzy w tańcu śmierci — wytwory bajecznego kalifornijskiego zasobu genetycznego. Niewiarygodnie piękne dziewczyny podrzucały swe amerykańskie włosy do taktu grzmiących basów blaupunktów, surfingowi blond supermacho zaś odymali wargi i dociskali gaz, by wtłoczyć swe samochody w nie istniejące wolne miejsca, nie zważając na sunące pojazdy — jak kamikadze dążący do honorowego końca. Brodaci agenci w czarnych samodziłach wyglądali odpowiednio poważnie sunąc obok nielegalnych meksykańskich emigrantów w rozklekotanych gruchotach ze wschodniego Los Angeles. Na poboczach z autobusów turystycznych wypełzały roje rodzin, szukających nieuchwytnego ducha zwanego Malibu, a brodaci motocykliści w okularach słonecznych, wpatrując się w krzywiznę czasu, zza której wyłoni się wizja przeszłości w stylu Petera Fondy, jechali dumnie, wysoko dzierżąc głowy i drażki, w nie kończącej się podróży donikąd.

Pat Parker zwalniając skierowała dżipa w alejkę po prawej stronie przy akompaniamencie zgodnego ryku klaksonów zirytowanych kierowców. Niektórzy z tych pięknych ludzi znaleźli nawet energię, by w strefę ozonu wykrzyczeć niewyraźne obelgi, gdy mijając Pat mknęli z narcystycznymi misjami do wysadzanej gwiazdami przyszłości, która bez wątpienia na nich czeka.

Pat włączyła prawy kierunkowskaz i roześmiała się z tak nagle ujawnionego niepokoju. W Nowym Jorku wściekłość to normalna, inteligentna reakcja na zbrodnie, upał, hałas. A o co idzie tu? Przyćmione marzenia? Doskonałość dała prztyczka w nos? Nieodmienny tryb jeszcze jednego dnia w raj? Może się dowie. Wjeżdżała coraz wyżej, a za każdym ostrym zakrętem, w miarę jak prześlizgiwała się między wzgórzami, roztaczał się przed nią kolejny cud krajobrazowy. W górze jastrzębie ślizgały się po prądach ciepłych kanionu, przepatrując zarośla chaparralu w poszukiwaniu myszy, a po obu stronach szosy poszycie płonęło plamami wspaniałych kolorów. Były tam wysokie, zdobne białymi pióropuszcami krzewy juki, jarzące się czerwono płatki dzikiej fuksji i kępy kremowożółtawych krzewów makowych. Wzdłuż drogi rosła gorczyca, dziki tytoń i rycynus, w powietrzu unosił się ciężki zapach czerwonej i czarnej szaławii. Było to piękne odludzie, usiane olbrzymimi skałami piaskowca, a wszędzie wokół wybuchało życie — błyskiem błękitnej sójki, której króciutkie pojawienie się poprzedzał ostry krzyk, kłótnością stad czarnych jak smoła wron, dyskutujących prawo własności słupów telegraficznych, nagłym poruszeniem roślinności przez niewidzialne zwierzę — kojo-ta, jelenia, rzadko spotykanego rysia?

Wszędzie wokół roztaczało się nagie piękno i serce Pat Parker, która rozumiała takie wartości, biło z nim jednym rytmem. Tego właśnie szukała. Tu, w górach Alabamy, będzie robiła fotografie znaczące. Była o tym absolutnie przekonana. Wszystko, czego dokonała przedtem, było zaledwie próbą kostiumową. W tysiącu przepocowanych, cuchnących boksów nocy doskonaliła technikę fotografowania. Teraz śmiało może zapomnieć o nabytych umiejętnościach. Teraz znaczenie miała tylko wizja, a Bóg dał jej oczy, widzące stworzone przezeń cuda natury. Wiedzioną impulsem zwolniła. Skierowała dżipa na pobocze, na krawędzi skały zatrzymała się i wyłączyła zapłon, rozkoszując się ciepłym cudem ciszy. Wyszła i sięgnęła w tył po nikona, nakładając szerokokątny obiektyw 28 mm. Hen poniżej rozciągał się ciemnobłękitny dywan oceanu z plamkami surfingowców, ledwo widocznymi na tle białych szczytów fal. Obramowywał go kanion, ciemnoszary i rdzawobłą-

zowy, a ptaki szybowały w gorącym wietrze ku pułapowi bezchmurnego nieba. Na zdalnym sterowaniu nastawiła przesłonę na 11, czas na 1/125, odległość na nieskończoność. Odczyt światła miała w głowie, światłość bytu w sercu. To będzie pierwsza fotografia jej nowego życia.

Wtedy zobaczyła ruch. W dole, w gęstych krzewach, ocienionych Gigantycznym dębem, coś się poruszało. Było duże, zatrważająco duże jak na odludne pobocze, i Pat Parker z trudem złapała oddech, gdy piękno chwili ustąpiło naglej obawie. Od razu zdała sobie sprawę, że jest obca w tych urwistych górach. Jej naturalne otoczenie stanowiły zaplute ulice z ich dobrze znanymi niebezpieczeństwami. Tu nie była u siebie. Opuściła aparat. Zerknęła przez ramię w kierunku dżipa. Spojrzała w dół na nieustające poruszenia, a jej nogi prosiły, by mogły pobiec. Jakie zwierzęta tu żyją? Jacy ludzie? Górale o czerwonych karkach, niebezpiecznie nieobliczalni z racji wrodzonego odosobnienia? Osoba, która z rozkoszą wystraszyłaby na śmierć długonogą nowojorską fotoreporterkę?

Dobiegający z dołu głos nie napawał jednak lękiem. Był natomiast zjadliwie cyniczny.

— Dobry pomysł. Ładne zdjęcia na bombonierkę — zadudnił. — Albo na pocztówkę do rodziny.

Z krzaków wychynęła twarz. Miała wojowniczy wyraz, zmarszczki, jak rysy na skórzanym obiciu, trzasnęły w protekcyjnym uśmiechu, a kozia bródka sterczała w kierunku dziewczyny niczym wykrzyknik. Nikon Pat Parker błysnął, jakby uwieczniał bandytę dla specjalnego sobotniego serwisu, a jej palec spadł na migawkę.

— No i świetnie! — wykrzyknęła głosem przepelnionym sarkazmem. — Mam ogrodowego krasnala.

Nikt nigdy, przenigdy nie nazwał Alabamy ogrodowym krasnałem. Wybitnie nie pragnął nim być. W „Rock House” nieroztropni motocykliści ostentacyjnie wyzywali go od gorszych rzeczy, po czym ku ogólnej satysfakcji następowały przemieszczenia twarzy. Lecz teraz obelgi rzucała kobieta. Bardzo urodziwa, bardzo impulsywna, bardzo bystra i z dreszczykiem zdziwienia uświadomił sobie, że wcale nie jest zły.

Stopniowo wyłaniał się, a gdy jego masywna postać wystrzeliła ze skrywającej go roślinności, Pat Parker zdała sobie sprawę, że wcale nie ma leśnego krasnala. W rzeczywistości złapała ścianę domu, lądowego wieloryba, groźnego człowieka

góre, na którego podartym i brudnym podkoszulku widniał niedwuznaczny napis: STRZELAM DO FOTOGRAFÓW.

Zrobiła krok w tył. Zrobił krok do przodu. Lekceważący uśmiech zniknął z jej twarzy, jego oblicze rozjaśniało się prawdziwym rozbawieniem.

—Ogrodowy krasnal? — powiedział głosem ochrypłym od nie dowierzającego rozbawienia.

—To tylko pańska głowa tak śmiesznie wystawała z zieleni... to znaczy... nie miałam zamiaru...

Ale już widziała śmiech w jego inteligentnych oczach i z tych pseudoprzeprosiny nic nie wyszło. Nie co dzień Pat Parker oskarżano o zrobienie nudnej fotografii, i kto to mówił — jakiś ciemny, podstarzały motocyklista z gór Santa Monica, który powinien był spędzać więcej czasu na świeżym powietrzu, by podrosnąć.

—Chyba na to zasłużyłem, ale stąd pani fotografia wyglądała na niesamowicie nudną — powiedział Alabama.

—Stamtąd nie znaczy stąd. To pierwsza lekcja fotografowania — powiedziała Pat spokojnym głosem. To się zgadzało. Milimetry robiły różnicę. Washington Square wyglądał dobrze tylko z lotu ptaka.

—Naprawdę? — zachichotał Alabama. Kontynuował marsz ku niej. Nie ruszała się z miejsca, wojowniczo unosząc podbródek. — A jaka — zadudnił największy fotografik świata — jest lekcja druga?

—Nie krytykuj cudzej pracy, jeśli nie masz jakiegoś takiego pojęcia o tym, o czym mówisz — rzekła Pat.

Alabama uśmiechnął się jeszcze szerzej. Znowu wezbrał w niej gniew. Oczy rozbłysły. W słowach grzmiało oburzenie. Boże drogi, było na co popatrzeć, a rozgniewana jest jeszcze piękniejsza. Musi ją jeszcze trochę podkreślić. Ogrodowy krasnal, proszę, proszę.

—Pracy! — ryknął śmiechem. — Pracy! Jezusie, to taka sama praca, jakby robić sobie dobrze.

—Niech pan — powiedziała Pat z całym chłodem, na jaki było ją stać — nie będzie taki obrzydliwy.

Obrzydliwy krasnal ogrodowy. Pierwszy raz coś takiego słyszał. W jego wieku rzadko zdarzały się takie okazje.

Dotarł do niej teraz, gramoląc się na skraj szosy, lekko dysząc z wysiłku, jaki kosztowała go wspinaczka. Z bliska dziewczyna wyglądała lepiej niż z dołu. Oczy

płonęły jej słusznym oburzeniem, a dwie olbrzymie błękitne tęczęwki pływały w białym morzu pod nie tolerującymi głupstw krzaczastymi brwiami. Zmysłowe usta pogardliwie wydymały się nad nieskazitelnymi zębami, a całe ciało, od czubka lśniących znoszonych kowbojskich butów, pochylało się ku niemu, jakby było bronią zaczepną. Rozpięta u góry niebieska drelichowa bluza ukazywała rozszczępienie najwyraźniej nie skrepowanych stanikiem piersi, a spłowiałe dzinsy opinały tyłeczek baletnicy, sterczący nad nogami jak marzenie. Zdaniem Alabamy nad-szedł czas, by się pogodzić, a nawet pocałować. Mogłaby być jego wnuczką, ale bywały młodsze.

—Przepraszam, żartowałem. Jesteś fotoreporterką? Wyciągnął do niej rękę. Nie ujęła jej.

—Tak — warknęła.

—W takim razie być może o mnie słyszałaś — powiedział przeciągając słowa. — Nazywają mnie Alabama.

—Naprawdę — rzekła Pat głosem dochodzącym co najmniej z innego pasma górskiego.

Pomyślała, że byłoby idealnie, gdyby w tej chwili doszło do trzęsienia ziemi. Skały mogłyby się teraz rozstać. Wskoczyłaby w otchłań, która znów by się zamknęła, i byłby spokój. Alabama, ohydny ogrodowy krasnal. Alabama, któremu właśnie udzieliła pierwszej i drugiej lekcji fotografowania. Teraz oczywiście rozpoznała go ze zdjęć. Ale nastąpiło to o ułamek sekundy za późno. Co prawda, nie spodziewała się, że wyskoczy na nią niespodziewanie z krzaków, ale nie może to stanowić okoliczności łagodzącej.

W głowie zaszumiało jej gwałtownie.

— Proszę pana, naprawdę strasznie...

Nakazał jej przerwać przeprosiny machnięciem ręki, jakby pacnął muchę.

— A pani jest...

— Jestem Pat Parker, która miała do pana przyjechać. — Mówiła zduszonym głosem. Czas przeszły wydawał się absolutnie nieunikniony.

Zastygł na chwilę. Potem jego masywna ręka podskoczyła do góry i z rozgłosnym plaśnięciem wylądowała na rozłożystym udzie. Z głębi byczego karku dobył się ryk zdrowego śmiechu.

— To wspaniale, Pat Parker — zadudnił. — Przez chwilę myślałem, że stracę lekcję trzecią.

Dick Latham wślizgnął się do sali konferencyjnej wytwórni filmowej Cosmos jak mały chłopczyk, który spóźnił się na zbiórkę. Nieśmiałym uśmiechem przeproszał za przerwanie wszystkim pracy, za opryskliwość i osobistą niekompetencję. Przeprasząco wzruszył ramionami i wsunął się w stylowe krzesło prezesa, gestem prosząc, by kontynuowali, jakby go tu nie było. Człowiekowi, który podskoczył, chcąc odsunąć krzesło, oczyma nakazał usiąść z powrotem. O nie, nie chciał nikomu przeszkadzać. Po prostu usiadzie z buzią na kłódkę i pozwoli chłopcom lecieć dalej.

Dyrektora administracyjnego Cosmosu zaczęła jednak trapić wada wymowy. Jego uprzednio potoczysta wypowiedź przekształciła się teraz w pełną gwałtownych zrywów jakaninę staccato, na którą składały się urywane w połowie zdania, retoryczne ślepe zaułki i tajemnicze, nie powiązane ze sobą frazy. Grzebał palcem za kołnierzykiem bawełnianej koszulki, a w głowie krążyły mu słowa z jakiegoś telewizyjnego kawałka: „Nie mogą zobaczyć, jak się pocisz”. No więc spieprzył to. Tutaj, w sali konferencyjnej, wśród solidnych dzieł sztuki, w wyrafinowanym oświetleniu, na oczach superszefa, pot ściekał zeń jak rosa o poranku w górach.

— Jak już mówiłem... to znaczy... częstokroć... częstokroć... gdy zmienia się kierownictwo studia, przegląda się listę członków zarządu, bierze się pod lupę każde nazwisko z punktu widzenia... to znaczy, nowa dyrekcja może zechcieć zmienić kierunek...

Z rozpaczą wpatrywał się w mahoniowy stół, jakby lśniące drewno mogło dopomóc mu w wydostaniu się z tego słownego bałaganu. Słowa „częstokroć” nigdy przedtem nie używał. Teraz wypełniło mu umysł niczym piłka futbolowa. Słownik właśnie mu się skurczył. Zostało tylko „częstokroć... częstokroć”. Co miał na myśli mówiąc nowa dyrekcja? On był starą dyrekcją. Za stołem siedziała wyłącznie stara dyrekcja. Świadomość, że pewnego dnia może tu zasiąść nowa dyrekcja, sprawiała, że w pachnącym gardenią powietrzu unosił się nie budzący wątpliwości zapach strachu.

Dick Latham uśmiechnął się. Usiadł wygodnie na krześle, a jego nieskazitelnie wymanikiowane paznokcie bębniły w lśniący stół. Podniósł oczy na Tycjana, przebiegł wzrokiem po Rembrandcie, jego roześmiane spojrzenie przesunęło się po zdrętwiałych obliczach dyrekcji Cosmosu. Usiłowali odwzajemnić mu uśmiech. Boże, ależ się starali. Usta rozsunęły się im nad zadbanymi zębami, oczy

zweżały w jakiejś bladej imitacji wesołości. To tak, jakby kat, powodowany własnym widzimisię, zdecydował się oszczędzić tę ofiarę, która zdoła wydobyć z siebie najpromienniejszy uśmiech na krawędzi wieczności. Po prostu nie wkładali w to serca. Latham pochylił się i gdy przysuwał sobie stylową filiżankę do kawy, u jego boku zmaterializował się kelner.

— Co to jest? — spytał Dick Latham.

Dyrektor administracyjny Cosmosu urwał. Wreszcie ktoś powiedział coś interesującego. Na parę sekund można się rozluźnić. Pan Latham dopytywał się o markę kawy.

— „Kenyan”, proszę pana. Pan Kent powiedział, że to z Rift Valley. Czy może być?

Latham skinął głową, a do porcelanowej filiżanki wolno popłynął strumień kawy ze srebrnego osiemnastowiecznego dzbanka.

Machnął ręką w powietrzu gestem, który kłamliwie zapewniał: „Nie chciałbym przerywać”. Uważnie przyjrzał się nic niewartemu agentowi, niegdysiejszemu prawnikowi i ogólnie biorąc hollywoodzkiemu pieczeńiarzowi, którego odziedziczył jako szefa studia. Boże, ależ był odrażający. Mały i tłusty, stworzony do śmierdzących cygar i gry w komórki do wynajęcia, do czego sprowadzało się poszukiwanie pracy w Świetlistym Mieście. Jakie diabelskie układy zawarł, by osiągnąć ten moment minisławy? Sądząc z serii kasowych klap, do których doszło pod jego rządami, Bozia nie dała mu talentu. Ani, najwyraźniej, daru wygłaszania przemówień.

Dyrektor administracyjny usiadł nagle, jak ogłuszony worem piasku, i skinął głową w kierunku brodatego mężczyzny w okularach.

Mężczyzna ten wstał teraz, poprawił okulary, odkaslnął i zaczął mówić cichym, cienkim głosem. Oczy miał utkwione w otwartym notesie leżącym przed nim na stole.

— Jak zwykle podzieliłem materiały na znajdujące się obecnie w realizacji, podpisane umowy, wchodzące do produkcji, oraz umowy przedprodukcyjne, które zostały skonkretyzowane albo prace nad nimi są zaawansowane. Nie będę omawiał projektów, które są przerabiane. — Urwał. Cały pokój oczu utkwiony był w Lathama. Swą fortunę miliarder zrobił na pismach i książkach. Czy zrozumie żargon filmowy? Czy to ma znaczenie? Szef produkcji ciągnął monotonicznie: — Chciałbym rozpocząć od stwierdzenia, że próbne pokazy „Ognisk domowych” są

niezwykle zachęcające. Otrzymują sześćdziesiąt pięć procent najwyższych ocen od publiczności przedpremierowej, co rokuje nadzwyczaj optymistycznie. Planujemy galową premierę na Święto Pamięci Poległych.

— Na ilu ekranach? — odezwał się niespodziewanie Latham. Jego uśmiech znikł. Roześmiane oczy zwęziły się.

Wszyscy usiedli prosto. Pytanie było trafne.

Szef studia nagle niezmiernie zainteresował się misternymi wzorami w tynku na suficie, potem stanem swoich paznokci, a wreszcie deseniem chińskiego jedwabnego dywanika.

— Chyba koło tysiąca — odrzekł nieszczęśnik z produkcji.

— Zdecydowaliśmy się na powolne, stopniowe zdobywanie rynku — dodał z desperacją, świadom, że nie bardzo to idzie w parze z galową premierą w dzień Święta Poległych.

— A budżet? — warknął Latham z zabójczą szybkością. Rany boskie! Aż tu się zapuścił. Wie. Ma to w małym palcu. Szef produkcji był już zupełnie roztrzęsiony.

— Minimalny czy maksymalny? — próbował w płonnej nadziei na odwrócenie nieszczęścia.

— Jeden i drugi — odparł Latham ze śmiertelną jadowitością żmii.

— Trzydzieści pięć, czterdzieści — przyznał strzęp człowieka.

To było do niczego. Filmu za czterdzieści milionów, w którym same gwiazdy kosztowały pięć milionów, nie można było puścić tylko na tysiącu ekranach. Ponad dwa tysiące i przeglądy dla rozeznania rynku mogłyby mieć jakieś znaczenie... Tylko tysiąc to klapa.

W ciszy wszyscy pomyśleli najpierw o swych karierach. Dokąd pójda, gdy skończy się ta zabawa? Gdzie znajdą pod tyłki takie fotele, dzięki którym dalej zostaną w grze, ich platynowe karty nadal będą w obiegu, a ludzie, którzy ich kochają, nie odmienia swych uczuć?

— A więc „Ogniska domowe” płoną — rzekł Dick Latham w podsumowaniu. — Wydaje mi się, że Cosmos nie przerwał jeszcze złej passy — dodał.

Nie poruszyli się. Czy to się szybko odbędzie? Czy będzie bolało? Czy załatwi ich wszystkich od razu? Tu. Teraz. Czy też zostawi paru, by sprząkali w biurach, by wywiesili powitalne sztandary dla swych następców?

— Ale tak się składa, że to nie jest duży interes — oznajmił Latham — gdyż z tą chwilą Cosmos przestaje już być w przemyśle filmowym.

Cooo? Oni to już historia, ale studio? Tak się nie robi. Studia, jak puszkki ze-psutych sardynek, są towarem, nie otwiera się ich ani nie zamyka. Zmieniała się obsada, ale studia pozostawały te same. Właścicielami ich były wielkie korporacje, producenci napojów chłodzących bądź osoby niesamowicie bogate, które upodobały sobie dupy gwiazd filmowych. Teraz węszą po okolicy Japończycy. Jutro mogą być Marsjanie. Ze studiem można zrobić wszystko — zgwałcić je, splądrować, polerować bądź się nim rozkoszować — ale nie zamknąć. To czyn niemeksykański, jak palenie flag albo puszczenie strumienia piasku na Mount Rushmore. Dickowi Lathamowi, pozornie tak gładkiemu, uprzejmemu i dobrze poinformowanemu, najwyraźniej coś odbiło.

Dyrektor administracyjny, czując się stosunkowo bezpiecznie jako bezrobotny, miał dość ikry, by to głośno powiedzieć. — Nie może pan lego zrobić — wybuchnął.

— Cóż — powiedział Latham, przeciągając słowa. — Przekonacie się, że mogę. Cosmos siedzi na parceli wartej koło miliarda dolarów. Gdybym miał to sprzedać, zamknąć i włożyć ten miliard do banku, Otrzymałbym rocznie koło stu milionów... wobec perspektywicznego pięcioletniego zysku w wysokości... no, słucham.

Jego wzrok odszukał finansistę Cosmosu, jedyne prócz niego człowieka w pokoju, który miał błysk w oku.

— Góra dwadzieścia milionów, zależy, jak księgować...

— Właśnie — przytaknął Latham, przerywając księgowemu w pół zdania. — Toteż powiadam: po co robić złe filmy, skoro można zarabiać porządne pieniądze?

Nie padła na to żadna odpowiedź, a raczej prawidłowej odpowiedzi nie można było ujawnić publicznie. Sedno tkwiło w tym, że o wiele

zabawniej było robić złe filmy niż porządne pieniądze. Miliard w banku to żadna frajda. Miliard finansujący fantazje był fascynująco fantastyczny. Na tym polegała istota rzeczy, której Hollywood zawsze »ię wypierał, głosząc w zamian propagandę zyskowych interesów. Żaden z obecnych w pokoju wyrzuconych z siodła decydentów nie miał zamiaru wypowiedzieć głośno tej prawdy.

— A zatem obawiam się, że pozostaje mi tylko poprosić wszystkich panów o złożenie rezygnacji i naturalnie zapewnić, co zresztą nie wymaga zapewnień, że skrupulatnie dopełnimy wszelkich warunków umowy.

Podniósł się. Wygładził nie istniejące fałdki na marynarce nieskazitelnego garnituru i jeszcze raz się uśmiechnął, pograżając obecnych w całkowitym mroku.

— Powodzenia — rzekł, szybko zmiierzając do wyjścia. Zamknął za sobą dębowe drzwi i żwawo przemierzył przedpokój.

Sekretarka, prawie ładna, uśmiechnęła się doń z wysiłkiem.

— Pan Havers czeka w pańskim biurze, tak jak pan prosił — powiedziała bez tchu. — Później jest pan umówiony z Emmą Guinness w „Czterech Porach Roku”.

— Dobrze — warknął Latham. Zlekceważył windę i schodami przeszedł do mieszczącego - się w nadbudówce biura. Poruszał się szybko. Ale miał uciechę. Egzekwując swe prerogatywy za jednym zamachem dokonał egzekucji dwudziestu sześciu dyrektorów. Muszą być jakieś rekordy strzałów w dziesiątkę. Boże, jak nie znosił niekompetencji. Chryste, jakże uwielbiał cycki Guinness.

Wpadł do biura. Havers podskoczył na kanapie.

— Jak poszło?

— Wspaniale. Usiłowali wciskać mi jakiś kit, że „Ogniska domowe” dokonają przełomu w Cosmosie. Wyobrażasz sobie?

— Taaak — odrzekł Havers przeciągle. — Przypuszczam, że kupa ludzi wolałaby obejrzeć to niż „Indiana III”.

Latham roześmiał się. Lubił Haversa. Podobało mu się, że w swej szczerzej pogoni za zyskiem jest zimny i bezwzględny. Dlatego awansował go na drugie miejsce w mediach Lathama.

— Podrzucić bombę dziennikarzom?

— Daj najpierw Liz Smith godzinkę czy dwie. Zasłużyła sobie. Dobrze?

— Kto dostanie parcelę? Fred Sands? Douglas?

— Nie, daj ją Stevenowi Shapiro ze Stan Herman. Daj mu wyłączność na dwa miesiące. Potem możesz rozszerzyć ofertę na innych.

Obok biurka partnera Latham przeszedł do rozciągającego się na całą ścianę okna z widokiem na Central Park.

— Powiedz Steve'owi, żeby zobaczył się ze mną w Broad Beach w czasie weekendu. Dziś wieczór lecę do Malibu.

— Zadzwoń, żeby przygotowali siedemset dwadzieścia siedem.

— Nie, nie zwracaj sobie głowy. Trzeba oszczędzać. Wezmę MGM. Chcę go wypróbować. Nadarza się okazja. Zamów mi prywatny pokój. Guinness leci ze mną.

Nie miał oporów przed traktowaniem Haversa jak chłopca na posyłki. W świecie Lathama wszyscy byli chłopcami na posyłki bez względu na wymyślne tytuły na drzwiach.

— Kiedy przechodzimy do drugiego etapu transakcji Cosmosu? Latham usiadł, wysuwając mankiety niebieskiej popelinowej koszuli.

Przekreślił obrotowe krzesło w prawo. Przekreślił w lewo. Przejrzał się w eleganckim lustrze. No, wyglądał dobrze. Te krawaty ujdą. Ale opalenizna zaczyna schodzić. Będzie musiał popracować nad nią w czasie weekendu.

Tak, drugi etap, Cosmos. Gniazdo szerszeni, dumął, wpatrując się w swe długie wrażliwe palce. Odetchnął głęboko. Nie miał przekonania do *Obsesji* Calvina Kleina. Wcale nie była subtelna, raczej mdląca. Wyrzuci ją. Wróci do *Royal Yacht*. Nie był tak zmysłowy, ale absolutnie nienaganny.

— Zbliżamy się do końca w sprawie kanionu. To było małe piwo. Pięć milionów dolców, sześćset akrów. Stary dureń chciał zrobić zastrzeżenie, że teren nie będzie wykorzystany pod zabudowę. Zamiast tego dostał ekstra pół miliona.

— Havers najwyraźniej odnosił się szyderczo do słabości natury ludzkiej.

—I graniczy z ziemią Alabamy — powiedział Latham do siebie /. nieobecny wyrazem twarzy.

—Taaak — odrzekł Havers. — Ciekaw jestem, co zrobi, kiedy się dowie, że chcesz obok niego zbudować studio filmowe.

Latham zachichotał, rozważając ogrom swego przedsięwzięcia. Chciał wznieść nowiutkie jak spod igły studio filmowe w samym sercu ukochanych przez Alabamę wzgórz Malibu. Słynne godło Cosmosu, wirujący glob na tle usianego gwiazdami wszechświata, będzie trwało nudał. Legendarne studio nie zginie. Zbuduje je prawie za darmo w Malibu, na terenie, który właśnie kupił za bezcen. A większość z miliarda dolarów, jakie uzyska z pierwszorzędnej parceli, na której znajduje się obecne studio, zostanie bezpiecznie ulokowana jako pożyczka dla rządu Stanów Zjednoczonych. Ten interes spadł z nieba, interes marzenie; na myśl o nim przez ciało Lathama przepływały fale emocji.

Ale jedno nie ulegało wątpliwości.

Gdy Alabama dowie się, że Dick Latham, pozujący na zbawcę środowiska, jest w istocie ekologicznym gwałcicielem, wpadnie w przeraźliwą, niepokonaną, nieznającą granic wściekłość.

Niemożliwe!

—Możliwe!

—Przy wszystkich?

—Przy wszystkich. Stałam tuż przy niej. Jennifer też. Możesz ją zapytać.

—O rany boskie... Nie mogę w to uwierzyć. To takie zupełnie... niesamowite.

—A on powiedział... nie pamiętam dokładnie. Ale coś takiego, że jest obrzydliwa i nieprofesjonalna, a jej ubranie to kompletna tragedia.

—A co miała na sobie?

—Jakieś okropne tiule — niczym baletnica, z żółtym pasem i buty Alicji w krainie czarów. Wyglądała jak Doris Day na balu gałganiarzy albo któraś z sióstr Kopciuszka. Nie mogę powiedzieć, jak wyglądała. Wiesz, w co się ubiera.

—A co ona na to?

—Nic. Kompletnie ją zatkało. Ten niesamowity przystojniak zupełnie ją zniszczył, załatwił ją bezbłędnie. To nieprawdopodobne. Absolutnie i całkowicie nieprawdopodobne.

—Ja bym umarła. Schowałabym się. Jak ona może przyjść i... normalnie pracować, skoro wie, że my wszyscy wiemy?

— Amanda mówi, że to samo działo się w Anglii, gdy pracowała w piśmie *Class*. Nic jej nie ruszało. Naprawdę byli wobec niej wstrętnei, wiecie, jak to Anglicy potrafią sponiewierać samymi słowami. Podobno pochodzi z północy, to tak, jakby pochodziła z Zadupia, zmieniła nazwisko z Doreen Coştam na Emma Guinness i brała mnóstwo lekcji, by poprawić akcent. Amanda mówi, że byli wobec niej bezlitośni. Dowiedzieli się, że przez łóţko dostała kierownicze stanowisko w jakimś prowincjonalnym magazynie, i zaczęli nazywać ją Brytyjską Grą Otwartą, jak turniej golfowy.

Samantha du Pont i Mary Polk, redaktorka działu mody, zatrzęsły się ze śmiechu, rozrzucając na biurkach kolorowe ołówki, makiety, diapozytywy i puste filiżanki po kawie. W czasie przerwy na lunch w *New Celebrity* narastała atmosfera szaleńczej radości. Samantha, która prowadziła dział felietonu, była tam tego nie-

sławnego wieczoru u Juilliarda, gdy ich znieawidzoną szefową tak przepięknie upokorzono, i chciała wydoić dramatyczny potencjał tego faktu do ostatniej kropli.

— W każdym razie Emma zносиła to przez całe lata. Nigdy się nie śmiała, nigdy nie płakała, po prostu tkwiła tam i wszystko przelykała. Amanda mówi, że Victoria Brougham, naczelna, stale ją wypytywała o klasy pracujące. Wiesz, coś takiego: „Jak na to zareaguje klasa robotnicza, Emmo, jesteś ekspertem, co oni na to?” Na jej biurku stawiali butelki „Guinnessa”, to jest taki rodzaj piwa, i śmiali się z jej kuzynów, a zachowywali się tak okrutnie, bo była strasznie prostacka, nachalna i obcesowa, dokładnie jak teraz.

A potem pewnego dnia właściciel pisma zmienił się i nim ktokolwiek zdążył się zorientować, Emma została naczelną.

Uciszał się szaleńczy zgiełk podniecenia. Słoneczko zbiorowej uciechy nagle przesłoniła chmura.

— Amanda mówi, że Emma nagrała Victorie, gdy ta wyśmiewała nowego właściciela. Najwyraźniej dorobił się o własnych siłach, a to w Anglii nie uchodzi. Emma przegrała mu tę taśmę. Victoria naśladowała jego akcent czy coś w tym rodzaju. W każdym razie tak mówi Amanda. Podobno oni tam są bardzo wrażliwi na tym punkcie.

—A potem wszyscy wylecieli.

—Jasne.

Zapadła niemila cisza. Minęły już trzy tygodnie, odkąd Richard Latham importował Emmę Guinness, by przejęła gwałtownie upadający magazyn *Celebrity*, i jak dotąd Samantha i Mary jeszcze pracowały.

Nie włączały jednak emerytur do swych długofalowych planów finansowych. Pracowały nad ostatnim numerem *Celebrity* w dawnym Ntylu. *New Celebrity* zostało poczęte, lecz znajdowało się w stanie embrionalnym, i nikt w redakcji nie mógł z ręką na sercu przysiąc, iż niezawodnie znajdzie się przy jego narodzinach.

Dwie przyjaciółki usiłowały podtrzymać wesoły nastrój. Z pewnością niejedno da się jeszcze wykrzesać z katastrofy u Juilliarda.

— Jak ten facet się nazywa?

—Tony Valentino. Rudolf nie dorasta mu do pięt. Naprawdę coś w nim jest. Można się w nim z miejsca zakochać. Pierwszy raz Emma wykazała trochę gustu. Niewiarygodnie dobrze zbudowany, a ja nawet nie przepadam za muskularni.

—Boże, powinniśmy coś dla niego zrobić. Co na przykład powiedziała by na... na... małżeństwo?

Śmiech powrócił. Nie na długo.

— Czy ktokolwiek ma kogokolwiek poślubić? — rzekła Emma Guinness od drzwi. Pompatyczna poprawność jej gramatyki brzmiała bardziej złowieszczo od szyderstwa w głosie. Stała, sowimi oczyma omiatając pokój, na tropie zdrady, herezji, obrazy majestatu.

Mary Polk, która żyła modą, zamrugła dwukrotnie. Raz — z powodu niepożądanego obecności szefowej w tym momencie, gdy się z niej wyśmiewały. Dwa — spojrzawszy na jej ubranie: straszliwy karmazynowy płaszcz i spódnicę oraz kapełusz w kształcie hełmu w tym samym kolorze.

—Och, żartowałam sobie ze znajomej Samantha — udało jej się w końcu wykrztusić.

—Tak, bez wątpienia przyjaciele Samantha stanowią niewyczerpane źródło humoru — przytaknęła Emma, wchodząc dalej do środka. — Jej artykuły również są zabawne... zabawne w pewien szczególny sposób, nie można się przy nich uśmieć.

— Nie lubi pani błyskotliwych ludzi?

— Nie można lubić czy nie lubić błyskotliwych ludzi, tak jak nie można lubić czy nie lubić kremu przeciw zmarszczkom, chirurgów plastycznych i poradników, jak być szczęśliwym — warknęła Emma Guinness. — Są po prostu nieopisanie nudni. Przez nich właśnie *Celebrity* padła, przez nich i przez „olśniewające” indywidua, które o nich pisały.

Emma starała się, by głos jej brzmiał możliwie najbardziej obelżywie, owijając słowo „błyskotliwy” w koldrę zszytą z sarkazmu, cynizmu i ironii. Znała te dziewczyny. Wiedziała, jakie z nich numery. Były kuzynkami zza oceanu tych dziwek, które w magazynie *Class* zmieniły jej życie w piekło. Pnąc się w górę, przełknęła chyba każdą zniewagę, jaką córki brytyjskiej arystokracji zdołały wymyślić. A towarzyskie okrucieństwo było sportem, który miały we krwi. Setki lat gnębienia i odtrącania ludzi, wspinających się po drabinie społecznej, przeniknęły do ich genów. Z precyzją chirurga wiedziały, jak zadać możliwie największy ból najmniejszym słowem, najoszczędniejszym gestem, pozornie niedbałym uśmiechem. W porównaniu z Victoria Brougham te Amerykanki były amatorkami w sztuce poniżania, lecz mimo to, choć musiały jej słuchać, jeszcze podskakiwały. A

skoro to czyniły tak jak teraz, spotka je zasłużona kara, podobnie jak ich angielskie poprzedniczki. Odpłaciła im ich towarzyską brutalność własnym medalem, Wielkim Orderem Redukcji, a teraz, dla tych snobek z Nowego Świata będzie zmuszona wydać ten sam dekret.

Emma usiadła przy biurku, grzebiąc w zalegających je śmieciach. Między kciukiem i palcem wskazującym, niby zdechłego karalucha, trzymała diapozytyw, zbliżając go do lampy.

— Boże wszechmogący, Mary, nie wiedziałam, że zatrudniamy jeszcze fotografów z *Penthouse'a*. A ta dziewczyna wygląda jak ostatnia kurwa. Czy nie chwytam jakichś ważnych nurtów społecznych, czy chodzi tu po prostu o pokazanie gołej dziwki?

Mary Polk opadła szczęką. Nie mówiono tak do niej, gdy znęcano się nad nią jako kandydatką do żeńskiego koła studenckiego w Brown. Do diabła, nawet sędzia nie używał wobec niej takiego tonu, gdy zgrzeszyła nieco, wplątując się na początku studiów w aferę z kokainą. Korporacja dysponowała specjalnymi funduszami, by uchronić ją od takich przeżyć. Podobną rolę odgrywała prawnicza firma wujka Williego, wszyscy kuzyni, a także potwornie męczący dla zuchw akcent wyższej kasty Bostonu. A teraz jakaś Brytyjka z awansu społecznego ośmiela się zarzucać jej, że nie ma gustu. Nie ma gustu! Mary Polk. Jej przodkowie byli tak dostojni, że nie przybyli na „Mayflower”; to oni witali ten statek. Boże, jej rodzina ma monopol importowy na klasę. Wysunęła rodzinny podbródek i błyskając rodzinnymi oczami przystąpiła do walki.

—Te zdjęcia robił Claud Deare, a dziewczyna to Sam Acrefield. — Wygłosiła nazwiska słynnego fotografa i supermodelki w taki sposób, jakby to był wyrok śmierci na smak artystyczny Emmy Guinness.

—Zgadza się — rzekła Emma ze złośliwym uśmiechem, rzucając diapozytyw z powrotem na biurko. — Fotograf od pornograficznych zdjęć i dziwka. Pytanie, co oni robią w tym piśmie?

—Ależ, Emmo, wszyscy biorą Claude'a, a Claude bierze Sam. Wiesz o tym doskonale. — Adrenalina Samantha wezbrała. Musi wesprzeć przyjaciółkę.

— Wszyscy biorą Claude'a, wszyscy biorą Cluade'a —naśladowała ją Emma okrutnie, lecz wiernie, unieruchamiając szczękę, by uchwycić akcent Samantha. — Oczywiście, że wiem. Wie to na zachodniej półkuli każdy, kto jeszcze nie umarł od *déjà vu*. Na tym polega problem. Widzisz, dzieciно, nie da się odróżnić

działu mody *Celebrity* od układu graficznego innego śmiecia, a dlaczego? Bo „każdy” bierze Claude'a oraz dlatego, że ci nieszczęśni durnie, którzy pętają się po redakcjach udając, że coś robią, są Kbył leniwi albo zbyt ślepi, by spostrzec, że Claude Deare to podstarzały rozpustnik i impotent, a Sam Acrefield to prostytutka wysokiej klasy.

—Nie bardzo rozumiem, co mają z tym wspólnego ich zachowania seksualne — odezwała się Mary wyniośle. Z wielu różnorodnych powodów bostońscy liberałowie seks woleli zostawić z boku.

—A więc powiem ci, guru mody — syknęła Emma Guinness. — Seks rzucający się w oczy to zeszłoroczna moda, podobnie jak, obawiam się i ty.

Rzuciła rękawicę. Było samo południe. Emma z wyciągniętą bronią miała zamiar strzelać. Gdyby w odwecie drgnął mięsień bostonki, padłaby trupem.

— A kogo ty byś wzięła, Emmo? — pośpieszyła Samantha, by odwrócić uwagę.

—Pat Parker. — Emma strzeliła nazwiskiem bez sekundy wahania.

—Pat Parker! — wykrzyknęły chórem dziewczęta.

—Robi reportaże — rzekła Mary lekceważąco.

—Goni za sensacyjkami — powiedziała Samantha tonem zdecydowanie uszczypliwym. — Nie robi tego, czym się wszyscy zajmują, wyciąga jakieś ciemne sprawy, zupełnie nie w stylu *Celebrity*.

—Otóż to! Zupełnie nie w stylu *Celebrity*, ale bardzo, bardzo w stylu *New Celebrity*. — W głosie Emmy Guinness dźwięczał triumf. — Pat Parker to najnowsza moda. Ona jest w środku. Tam gdzie się coś dzieje. Guzik mnie obchodzi to, że ma złe oświetlenie, że zatrudnia nie tego fryzjera, że nie pracowała dla odpowiednich pism. Na tym świecie nie będzie żadnego podniecenia bez podniecających ludzi. I o to chodzi. Bezpieczeństwo jest nudne. Naróbmy szumu i niech czytelnicy starają się w tym połapać. I dadzą radę, tylko najpierw trzeba ich obudzić. Odezwijmy ich od wizualnej ciszy i spokoju.

—Wizualnej ciszy i spokoju? Dziękuję, Emmo. Bardzo dziękuję — rzekła Mary, ginąc w oczach pod ogniem krytyki, świadoma, że sarkazm jest najpośledniejszą formą dowcipu.

—Może zdołamy ją namówić, żeby zrobiła dla nas dział „Gwiazdy jutra”. Może przekona Tony'ego Valentina, aby jednak pojawił się w naszej rubryce.

Samantha uśmiechnęła się, wypuszczając słowny pocisk z głowicą nuklearną. Bez wątpienia wybuch ją zmiecie, lecz zaryzykuje wszystko, by dać do zrozumienia tej koszmarnej Emmie, że cała redakcja zna najdrobniejsze szczegóły jej upokorzenia.

Świat Emmy zatrzymał się w posadach. Jeszcze raz jej czułki miały rację. Gdy weszła do pokoju, mogłaby przysiąc, że mówiły o niej, Rumieniec oblał jej kark, rozszerzył się ze środka policzków jak falki na stawie od wrzuconego kamienia. Zacisnęła pięści, jej serce zabiło szybciej. Oczyma duszy widziała wszystkie rozbawione, zdumione twarze, czuła słowa, skapujące jak kwas na jej psychikę. Ogień zażenowania zapłonął w niej na nowo, gdy przypomniała sobie twarz boskiego młodzieńca tak pełną pogardy, tak absolutnie pewną siebie, gdy niszczył ją publicznie wobec wszystkich, którzy coś znaczyli. To była historia jej życia. Walka o zdobycie pozycji, podczas której nikt nie może jej dotknąć. Ciężka praca, poświęcenie, intrygi i wreszcie zwycięstwo, I co potem? Zawsze znajdzie się ktoś, kto będzie ją prześladował, Najpierw armia wyższego towarzystwa, a teraz, gdy osiągnęła sukces, jakieś zero znikąd o nazwisku... Valentino? Gniew został wessany przez otchłań szoku, która się w niej rozwarła. Oczy Emmy zwały się, a złośliwe błyski przeszły dziewczynę, która ośmieliła się z niej szydzić

— Czy wy dwie wiecie... czy macie jakiegokolwiek pojęcie, dlaczego trzymam was na posadach? No więc wam powiem. Chciałam, żebyście wyprodukowały ostatni numer waszego konającego pisma, jeszcze nudniejszy i bardziej zadowolony z siebie niż poprzednie. Dlaczegóż

Gdyż ukaże się razem z pierwszym numerem *New Celebrity*. Wszyscy będą mogli porównać wyrafinowanie ze śmiesznością. Dlatego wszystko wam zostawiłam. Nigdy nie dałabym rady stworzyć czegoś tak przeraźliwie przeciętnego. Wy obie macie niezwykle rzadki talenti Nudzicie dla elity. Wynalazłyście banał. Gdy Pan tworzył brak twórczej myśli, marzył o was. Zaraz idę do „Czterech Pór Roku” zjeść lunch z Dickiem Lathamem i jadę z nim na weekend do Malibu. I powiem mu, że mam zamiar was wywalić. Co do jednej, słyszycie? — Jej głos stawał się coraz wyższy i donośniejszy.

W oczach Emmy zabłysły łzy ostatecznej irytacji. Wylanie z posady nie zrobi im różnicy. Te dziewczyny nigdy nie będą głodować. Nigdy nie będzie im za gorąco, nigdy za zimno. Latem pojedą do Hampton albo do Anglii, gdzie jakiś nadepty arystokratyczny wydawca odda im dział reklamy, gdy jesienią popsuje się po-

goda. Zawsze je będzie miała na karku. Będą wszędzie, wciąż na nowo snując opowieść o tym, jak to Emma Guinness, mimo swej pozycji i sławy, w teatrze Juilliarda dostała po nosie od pięknego aktora, o którym nikt nie słyszał.

Poszła do wyjścia. W drzwiach odwróciła się z twarzą wykrzywioną straszliwym gniewem.

— Nienawidzę was — zasyczała. — Wszystkich was nienawidzę. I pewnego dnia zobaczycie, jak daleko i jak wysoko zajdę.

Tony Valentino unosił się wśród baniek wody, osłaniał oczy przed słońcem i rozpaczliwie usiłował czuć się nieszczęśliwy. Patrzył spode łba, z irytacją kręcił głową z boku na bok, wypróbowywał cały swój repertuar min i gestów wyrażających smutek i przesyt. Zazwyczaj to wystarczało. Ale nie dzisiaj. W żaden sposób Malibu było zbyt potężne. Wpełzło mu do mózgu, gdzie gniło wraz z obcym uczuciem przyjemności.

Przekręcił się w basenie i strumienie wody trysnęły za nim, mile ochlapując muskularne ciało. Przez wąską, szklaną osłonę, okalającą basen, obserwował falki przyplywu zaledwie pięćdziesiąt stóp od brzegu. Fale południowej Kalifornii napływały powoli, równie łagodne i niespieszne jak obywatele tej krainy marzeń przechadzający się nad morzem. Pelikany i mewy ćwiczyły nurkowanie w mglistym upale. Brodźce wędrowały po karmelowym piasku. Sięgnął po szklanekę mrożonego san pellegrino i wciskając do niej świeży limon podśpiewywał do taktu piosenkę Milli Vanilli, dobiegającą z zainstalowanych wokół basenu głośników „Sony”.

— Cieszysz się, że przyjechałeś?

Unosiła się nad nim, jej zgrabne ciało rysowało się w słońcu, a on patrzył, mrużąc oczy, z rękami wyciągniętymi wzdłuż krawędzi basenu. Uśmiechnął się, by powiedzieć „tak”, by dać znać, że mimo wszystko jest szczęśliwy, choć wie, że to przerwa, opiat na ból, który został przytłumiony, lecz nigdy nie minie. Malibu paraliżowało jego uczucia, lak jak zamierzał, lecz rzeczywistość nie skryje się na zawsze. I wcale lego nie chciał.

Allison z wdzięcznością przyjęła uśmiech. Dla biednej bogatej dziewczyny, żyjącej zawsze poniżej granicy emocjonalnego ubóstwa, był to cenny dar.

— Co zjesz na lunch? Zrobiłam wcześniej zakupy. Chcesz, żebyśmy upiekli coś na grillu? To kalifornijska specjalność.

Znów nie odpowiedział. Z drewnianej poręczy wokół basenu zgarnął słoneczne okulary w rogowej oprawie i zasłonił oczy, które mogłyby zdradzić jego uczucia.

— Mam nadzieję, że tylko zdrowa żywność. Bez soli. Bez cholesterolu. Przynajmniej bez lipoprotein o niskiej gęstości. — Roześmiał się zdziwiony, że jeszcze jest do tego zdolny.

— Uważasz mnie za morderczynię. Wiesz, w krainie soku z kiełków pszenicy wielonasycony tłuszcz jest trucizną. Mamy szparagi, piersi kurczaka i sałatkę szpinakową. Na deser truskawki i czarne jagody, jeśli będziesz miał ochotę.

W jej słowach tańczył śmiech. Jest taka szczęśliwa, myślał Tony. I taka dobra. Odwróciła jego myśl od tragedii, a teraz każdym ruchem, każdym słowem pocieszała go, nakłaniała, by zapomnieć. Naturalnie kochała Tony'ego, ale dlaczego — oto jest pytanie. Dlaczego anioł, bogaty, piękny, utalentowany, urodzony w najpiękniejszym jedwabnym czepeczku, miałby zakochać się w zimnym, nieokrzesanym psychopacie, w którego żyłach zlodowaciała ambicja zastąpiła ciepłą krew? Był okrutny. Wykorzystał ją. Nadal ją wykorzystywał, a ona odpłacała mu się uprzejmością, Hojnością i dobrym humorem. Opanowało go dziwne uczucie — winy, bez wątplenia, do której dołączyło się coś jeszcze.

Stała nad nim, wyprostowana i dumna, tak jak powinna wyglądać aktorka, a patrycjuszowski sznyt jej genów przebijał z każdego wygięcia ciała, z konturu twarzy. Jednocześnieowy kostium, który miała na sobie, był jednakże wrogiem klasowym. Zadawał kłam jej wyglądowi modelki arystokratycznych domów mody, pysznej wyniosłości czoła, gęstości krzaczastych brwi, precyzyjnemu zarysowi nosa. Czarny jak noc, rozdzielał jej pełne pośladki i wymownie świadczył o tęsknocie za pospolitością. Ciasno spowijając talię, cienką jak wcięcie klepsydry, i sutki małych, jędrnych piersi, przezroczysta czarna lycra, lśniąc seksowna w jasnym słońcu, zdradzała prawdę o Allison Vanderbilt i rzeczach, których pragnęła, gdy wsuwała się do wytwornej pościeli. Potrzebowała miłości, lecz nikt jej nigdy nie kochał, i tak jakoś, przez lata, doszła do wniosku, że nie można jej pokochać. A więc nie szukała już podziwu ani szacunku, ciepła, czułości czy troski. To w przeciwieństwie do domów, koni, biżuterii i służby nie było jej przynależne od urodzenia. Uznała, że jej rola polega na dostarczaniu przyjemności, nie doznawaniu jej, i stopniowo, w miarę upływu czasu, żądza wypełniła pustkę, w której powinna być miłość, a usłużne pożądanie stało się paliwem jej nocnych fantazji.

— Wejdz, Allison — rzekł Tony Valentino. Głos miał ochryply, naglacy. Zdjal okulary sloneczne i polozyl je na wyblaklym drewnie.

Na sekunde zatrzymala sie, lecz po chwili usmiech zadowolenia zmarszczyl jej kacki ust. Z blyskiem w oczach odrzucila wlosy na przybrzeznym wietrze jak mlody kucyk. Zrobila krok ku krawedzi basenu i szybko zeslizgnela sie w spieniona wode. Unosila sie naprzeciw niego, a Tony nie zrobil ku niej zadnego ruchu, gdy spotkaly sie ich oczy.

Widzial, jak pod skora jej dlugiej szyi poruszalo sie gardlo, na gornej wardze wystepuja kropelki potu, a oczy umykaja w bezpieczne niebo, gdy przeniknal jej umysl, odczytujac trawiac ja namietnosc jak drukowana duza czcionka ksiazeczke dla dzieci. Wiedzial! O Boze, znal jej tajemnice, u cale jej ciało zdrzalo pod cieplymi pradami, przygotowujac sie do rozkosznych zniewag, ktore zloza sie na ich miłosc. Nad jego ramieniem widziala idacego po plaży pływaka z deską surfingową pod pachą. Dzieliło go od nich zaledwie dziesięć jardów. Plaża Colony była prywatna do miejsca, w którym zaczynała się głębia, lecz z powodu zagorzałej demokracji nie było możliwości dopilnowania tej granicy. Cokolwiek się teraz stanie, odbędzie się to publicznie, i na myśl o tym serce w piersi Allison Vanderbilt waliło w rozkosznej panice. Jeszcze raz odważyła się nań spojrzeć. Obie ręce miał pod powierzchnią wody, oczy przysłonięte, głowę przechyloną na bok, wygłodniały wyraz twarzy. Pod jej wzrokiem wyprostował się, poruszył biodrami i po chwili jego kąpielówki unosiły się na wodzie.

Allison ponownie przełknęła ślinę. Jej oczy rozszerzyły się. Ścisnęło ją w dołku. Oddech drżał w rozdętych nozdrzach, a płuca trzęsły się, gdy prądy powietrza przebiegały przez nie w długich, nieregularnych porywach. Opadł na nią całun nierzeczywistości, a dzień zniknął tu, na krawędzi absolutnej namietności, gdzie pustynia styka się z morzem. Usta miała suche jak wiatr znad kanionu. Pasek kostiumu wciskał się w tę jej część, która teraz rozkazywała jej ciało i rządziła duszą. Pośród wilgoci roztopiała się, w dziwny sposób wilgotniejsza niż otaczająca ją woda. Wewnątrz była śliska, jej pośladki wpijały się w twardą ścianę basenu, a piersi drżały, kiedy pochwycił je twardy jak kość prąd, napinając już i tak sztywne sutki. On, odwrócony ku niej, był nagi, nagi i naprężony pragnieniem, które będzie miała szczęście zaspokoić. Lecz nadal się nie poruszała. Powie jej, co robić. On wie, a czegokolwiek zapragnie, będzie dobre. Sięgnęła ręką do piersi. Jej palce gmerały na krawędzi materiału, podążając do środka, by uczuć krew, napływającą

do pulsującego stożka brodawki. Mocno go ścisnęła, gdy wysunął się do przodu, do kciuka i palca wskazującego, a cały czas biła w niej fontanna rozkoszy, rozpalając umysł, nasączając wilgocią aksamitne ściany jej tajemnego miejsca, mieszając się z wodami spowijającymi przyszlých kochanków. Jej pośladki napięły się. Wygięła grzbiet, miednica zaciskała się i rozluźniała, otwierając się i zamykając w oczekiwaniu przyszłej rozkoszy. Teraz lewą ręką dotknęła drugiego sutka i obserwowała Tony'ego, dumna i wojownicza, gdy igrała ze sobą, lubieżna i niepomowana, nastrojając dla niego swe ciało. Miażdżyła dłońmi dojrzałe piersi i pocierała je z boku na bok, wyciągając z za czarnego materiału, tak że unosiły się na wodzie, znikwały, ukazywały się, znowu znikwały we wzburzonej pianie. Różowe jak truskawki i waniliowe wyprężyły się ku mężczyźnie, ich nieskazitelna biel odbijała się od delikatnej różaności musniętego słońcem torsu. Ujęła je w stulone dłonie, wypychając ku górze, by ujrzał jej dar. Uszczypnęła twarde jak skała sutki sprawiając, że od napływającej krwi nabrzmiały, jakby miały pęknąć, niepomna na ostry ból, pragnąc tylko rozpać Tony'ego do punktu, od którego nie będzie już odwrotu. Płonęła. Paliły ją ognie pożądania. A teraz prawą rękę zsunęła w dół, popychana siłą o wiele potężniejszą od swej woli. Nogi rozszerzyły się, a zgięty palec wskazujący wsunął się pod wąski pasek materiału. Jęczała cicho, natrafiwszy na źródło rozkoszy, i porzuciła swe człowieczeństwo, stając się zwierzęciem, jak tego pragnęła.

— Tak, Allison — wyszeptał łagodnie. — Zrób to. Zabaw się z sobą. Sama to zrób.

Jego słowa wywołały wybuch namiętności. Żwawo poruszała ręką, rozpaczliwie pragnąc oszukanej satysfakcji. Unosiła się dźgając, pchając, miażdżąc, ugniatając siebie sztywnymi palcami. Usta jej rozchyliły się. Oddech świszczwał przez nieskazitelne zęby. Głowa opadła na bok, na spienione morze niepomowania. Ręce biegły w górę, w dół, do tyłu, ku ciemnej, drżącej skórze pośladków. Teraz palce znowu sunęły do przodu, ścigając ekstazę, ciągnąc śmietankę z każdego odrętwiającego momentu radości. Czuła się tak pierwotnie. Była grubiańska i bezwstydna, masturbując się dla uwielbianego mężczyzny. Nagrodę stanowił wyraz jego twarzy.

Zagłębiła się teraz w siebie, jej ręka wchłaniała ociekającą wilgoć, a jedwabiste ściany zamknęły się wokół szarpiących palców. Z wolna chciwe, nieprecyzyjne ruchy zyskały rytm i, wygięwszy grzbiet, wsłuchiwała się w muzykę, narastającą

w niej ku straszliwemu crescendo szczytowania. Oczy zamgliała jej bliskość orgazmu, a ręka poruszała się chytrze, do środka i na zewnątrz, w górę i w dół, sprężając pożądanie. Cały czas obserwowała go. To dla niego. Wszystko było dla niego.

Rzucił się na wodną przestrzeń, która ich rozdzielała, i otoczył dziewczynę stalową obręczą ramion. Zbliżył twarz do jej twarzy, czuła jego gorący oddech na oblanym potem policzkach. Ciało przycisnął mocno do jej ciała, a ona oplótła go nogami, rękę mając nadal zagłębioną we wnętrzu. Wtem na płaskości podbrzusza poczuła tę część jego ciała, której pragnęła. Niesamowicie wielka, twardsza niż górską skałą, ocierała się o jej skórę, a Allison uśmiechała się triumfalnie do swego dzieła, wyobrażając sobie, do czego jest zdolne.

Lecz wpięty przagnął pić wilgoć jej warg. Jego usta znalazły jej wargi, a szorstki zarost cudownie ocierał się o gładką skórę. W jego pocałunku nie było delikatności. To pocałunek barbarzyńskiego zdobywcy, który długo i ciężko walczył o łupy, jakich się teraz domaga. Drżąc uległa mu, pragnąc podzielić się na dwie odrębne części, by móc pełniej rozkoszować się dwoma oddzielnymi strefami ekstazy, z których składało się teraz jej ciało. W zderzeniu zębów, w złączeniu warg, w posiniaczonym łomotaniu ust żyła na szczytach radości. Lecz na brzuchu, na wierzchu dłoni, ciągle zaciśniętej na pulsującym wzgórkum miłości, czuła źródło jego siły. Przeszywało ją jak miecz, było ciężkie, gniewne, jak pałka wpychało się w nią — włócznia, którą musi zostać przebita, by umrzeć po tysiackroć i jedynie przez to się odrodzić.

Jego ręce zgubiły się w obfitości jej włosów, wykręcając, ciągnąc, przyciskając jej usta do swoich. Język splatał się z jej językiem i ich wilgoć zlała się ze sobą, by namaścić gwałtowny taniec ich śliskiej miłości.

Oderwał się od jej ciała, wbijając w nią szalone oczy. Wtedy podpisali pakt. Nie kochał jej, ale potrzebna mu była tak bardzo, że weźmie ją teraz, czy jej się to podoba, czy nie. Nie składał jej żadnych obietnic, przyrzekał tylko wypełnić jej ciało po brzegi. Nie okaże jej najmniejszej troski, żadnej czułości ani zaangażowania. Będzie musiała wziąć, co znajdzie na ponurych stepach jego uczuć, i nie winić go, jeśli będzie głodować na emocjonalnej pustyni. Zrozumiała to. Kochała go. Jej ciało to dar dla niego. Ofiarowując je osiągnie najwyższą rozkosz. Pragnęła więcej, lecz tyle wystarczy na razie, gdyż ciała mają nieskończone interesy, a rozsądek to ubogi krewny wszechwładnego uczucia.

Gwałtownie sięgnął w dół i wyciągnął jej rękę spomiędzy nóg. Przykleknął na kolano, a ją ogarnęła słabość, gdy przybierał pozycję dogodną, by ją wziąć. U jej otworu czekał. Czowała jego ostrość, moszczącą się niebezpiecznie w śliskich włosach, pulsującą z napięciem na niezwyklej miękkości jej drżących warg miłosnych. Jej ręce unosiły się na powierzchni, uchwyciwszy krawędź basenu, szukała oparcia przed cudownym, złowieszczym atakiem, który zaraz się rozpęta. Chciała tego dotknąć, podziwiać jego wielkość, lecz przede wszystkim pragnęła, by ją wziął. Chciała na nim cwałować. Chciała, by wbił się w nią, by zagrzebał się w niej tak głęboko, aby nigdy, przenigdy nie umknął.

Nogi pod nią drżały, gdy rozwierała je coraz szerzej, aż cała dolna część jej ciała stała się otchłanią pragnącą, by ją wypełnić. W całym życiu nigdy nie rozwarła się tak szeroko i sok jej miłości spływał jak rzeka nad pulsującymi ścianami krainy jej serca.

Już dość. Rzucił się w przód, wślizgując w nią swój ogrom. Wydała radosny okrzyk, gdy ją wypełniał. Drżała, gdy wtłaczał się do jej kresu, unosząc ją brutalną, okrutną siłą swej inwazji. Ledwo chwytając oddech, przerażona szalonym uczuciem, a jej oczy rozszerzyły się ze zdziwienia nad wielkością intruza. Na granicy zetknięcia rozkoszy z bólem przylgnęła do mężczyzny, przytwierdzona do gorącej ściany, całe jej ciało stanowiło jedynie powłokę dla siły jego żądz. Teraz stanął prosto, nogi naprężyły mu się pod jej ciężarem, ona zaś, ociekając wodą, z paskiem kostiumu brutalnie odciągniętym spomiędzy nóg, wynurzyła się ze spienionej wody, przeszłyta jego stale powiększającą się męskością. Piersi wytrysnęły jej z kostiumu, a on zanurzył między nie głowę, stulając mocne dłonie pod jej pośladkami, manipulując jej ciałem wokół ośrodka, w którym skupiał się teraz cały jej wszechświat. Zaciśnęła mu nogi wokół pasa i splotła kostki, przyciskając się do źródła rozkoszy, a czyniąc to wiedziała, że nie powstrzyma orgazmu.

Oddech chrapliwie wydobywał się z jej płuc, mięśnie przestały poruszać się zgodnym rytmem. Wydała krótki, ostry krzyk bolesnej satysfakcji, a świat obrócił się wokół osi, błękitne niebo przeszło w szarość gór, ponurych jak okręt wojenny, zlewając się z zieloną niebieskością morza. Pływała jak na surfingu, jej mocne ciało skręcało się i ugięło unoszone na grzbietach fal. Stała się ptakiem szybującym, pikującym w ciepłych prądach kanionu.

Drgające, wstrząsające się ciało targały kurcze orgazmu, a nogi rozplatały się, podrygując w szalonym rytmie szczytowania pośród subtelnego bryzgu seksualno-

ści. Powietrze zgęstniało od jej zapachu. Miłość ciężko unosiła się w ciepłym wietrzyku. Pożądanie spływało jej po udach, oblewając mu żołądek i wywołując wyraz zdziwienia w dalekich oczach.

— Ooooooooooch! — wyła ku niebiosom, waląc nogami w tańcu umierających, niczym wisielec rozpaczliwie przebierający kończynami w poszukiwaniu oparcia, którego nigdy nie znajdzie. Nie uwolnił jej. Nie zwrócił najmniejszej uwagi na jej małą śmierć. Sunął przez nią i poza nią, jakby się nigdy nie zdarzyła. I nieubłagane podążała za nim. Źródło jej szalonej rozkoszy było dalej, lecz znalazłszy się po drugiej stronie wzgórza Allison Vanderbilt pragnęła jedynie jeszcze raz się na nie wspiąć.

Obrócił się, okręcając ją na sobie, podnosząc jej nogę i spychając ze swego muskularnego torsu. Potem znalazł się za nią, lecz nadal w niej, i już go nie widziała. Teraz podtrzymywał ją tylko kawał gorącego ciała, który ich łączył. Odgiął tors od jej pleców, aż zaczęła balansować na jego szpicy, unosząc się w powietrzu, podtrzymywana jedynie końcami palców na wąskiej talii. Czowała tylko miejsce, gdzie w nią napływał, i jej ciało unosiło się do góry przy każdym potężnym pchnięciu jego bioder, nim spadło pod własnym ciężarem, gdy się rozluźniał. Ujeżdżał ją. przez długie minuty niebiańskiej rozkoszy. Był anonimowy, niewidzialny, znany jej tylko przez batutę żądz, i raz jeszcze muzyka narastała w niej do crescendo, gdy całe ciało domagało się uwolnienia. Tym razem zdawał się ją słyszeć.

Raz jeszcze obrócił ją, aż zwróciła się ku niemu twarzą, oczy miała zamglone łzami pożądania, wargi napięte nad zębami, podbródek wysunięty do przodu w bezradnym oporze. Mokre włosy przylepiły się jej do czoła, oddech zaś płynął w gniewnych porywach przez rozchylone zęby. Stopniała. Stała się płynna. Płynęła ku niemu w zmysłowym morzu seksualności, a on mógł pić z niej, robić z nią, co chciał, jeśli mogła obserwować jego oczy w chwili, gdy w nią wpłynął. To wszystko, czego teraz pragnęła. Chciała poczuć jego prawdę, nasączając własną fontannę, zatapiając własny wodospad, zalewając ocean, którym była, oceanem, którym on miał się stać. Odpowiedział w krainie pożądania. Nadszedł czas. Zatrzymał się. Spoczął nieruchomo. Jej rozkołysane, unoszące się ciało zastygło. Była tylko pełnia, niezmierna obecność, łącząca go z nią w niewoli, z której nigdy nie chciała się uwolnić. Zagrzebana w ciepłych głębinach, usiłowała wyobrazić sobie jej wizję, uchwycić oczyma duszy piękną rzecz, którą niebawem wykona. W

samym sercu poczuła najdelikatniejszy ruch, drżenie kolibra przed rozchylonym kwiatem. Potem raz, dwa, trzy razy poczuła to, strugę, jedwabistą pieśczętę, trzy rozkoszne, nieznaczące pluski płynnej miłości, sygnalizujące moment połączenia. Była to cisza przed burzą. Wybuchnął, ruszając do przodu, rękoma gorączkowo uchwycił jej uda, podążając do serca orgazmu. Tymczasem przywarła do niego, dławiąc go miękką pętlą miłosnych warg i jej punkt szczytowania zderzył się z bujną siłą jego orgazmu. Trwało to i, trwało z przeraźliwą intensywnością, a grmiący jęk rozkoszy mężczyzny zlał się z jej ostrym krzykiem uwolnienia, gdy mewy pikowały nad ich głowami, a majestatyczne góry spoglądały na kochanków.

Nie wiem, jak zrobić wielką fotografię. Nie wiem nawet, jak rozpoznać wielki temat, ale wiem, gdzie jest piękno — tutaj. Trzeba tu siedzieć, a prędzej czy później zdarzy się coś dobrego.

—Mówisz, że to kwestia szczęścia, Alabamo?

—Nie ma czegoś takiego. Tylko ciężka praca. Gotowość we właściwej chwili, kiedykolwiek ona nadejdzie. Powinnaś tak opanować stronę techniczną, żebyś wyrwana ze snu nie miała problemów. A potem musisz wszystko zapomnieć i zdać się na własne wyczucie. Jeśli zaczniesz myśleć, jesteś skończona. Najpierw rozwiń instynkt, potem mu zawierz. To mniej więcej wszystko.

— I nie można się tego nauczyć?

— Jeśli to już w tobie siedzi. Można to rozwinąć, udoskonalić, doszlifować, ale musisz to mieć. Talent może być surowy, ale bez niego nie ma sztuki. Po prostu jeszcze jedna nudna fotografia.

Pat Parker skrzywiła się z bólu, nie z powodu optymistyczno-pesymistycznego wywodu na temat artysty fotografika, lecz dlatego że wewnętrzne szwy jej dżinów stały się teraz dwiema wrzynającymi się w ciało fałdami materiału, ocierającymi jej skórę na udach. Setny raz tego popołudnia chciała je ułożyć płasko wiedząc, że za parę minut znowu się podniosą i jej udreka rozpocznie się na nowo.

Zastanawiała się, czy mu o tym powiedzieć. Nie. Nie chce być miejską panienką, jęczącą na wspaniałym łonie przyrody. Alabama, jadący przed nią, wyglądał absolutnie monumentalnie, niezniszczalnie jak olbrzymie skały, obok których przejeżdżali. Skarżyć się na coś tak trywialnego jak ból, było nie do pomyślenia.

— Teraz rozumiem, dlaczego ludzie noszą spodnie do konnej jazdy. Zawsze myślałam, że szpanują.

Nie odwrócił się. To go nie zainteresowało. A niebieskie dzinsy z jakichś niezrozumiałych powodów trzymały mu się w okolicy kostek na znoszonych kowbojskich butach. Najwyraźniej, tak jak robienie fotografii, jazda konna również należy do sztuk, które się opanowuje, a następnie zapomina. Mocno uchwyciła wodze i pomyślała o cennej japońskiej cesze „gamay” — wytrwałości. Skoro wypuściła jena do stratosfery, może być przydatna podczas konnej ekspedycji w teren w celu porobienia zdjęć.

— Wiesz, te góry mają tylko jednego wroga — rzucił Alabama przez ramię, mając twarz osłoniętą od słońca rondem obszytego wężową łuską czarnego skórzanego kapelusza. — Jest nim człowiek. Pali ogniska, od których wybuchają pożary, buduje wielkie śmietniska, które zanieczyszczają okolicę. Jeszcze nie spotkałem takiego przedsiębiorcy budowlanego, którego nie chciałbym zastrzelić.

Tęsknie opierał dłoń na perłowej rękojeści smitha & wessona 45, który wystawał mu z misternie wykonanego olstra zwisającego z biodra. Pat była zadowolona, że nie jest budowlanцем. Odetchnęła głęboko, a zapach szaławii i sosny w niesamowicie rozgrzanym powietrzu uderzył jej do głowy. Poprawiła kapelusz z szerokim rondem, który pożyczył jej Alabama, i poczuła, jak pot spływa jej między piersiami pod mokrą już białą koszulką. Jezu, to było gorsze niż Świat, Mars i Sauna razem wzięte. W wilgotnych norach Nowego Jorku rzadko dochodziło do stu stopni. Przynajmniej nie ma tu papierosów. W świecie Alabamy, otoczonym wysokim chaparralem, na listach popularności palacze zajmowali miejsce tuż obok przedsiębiorców budowlanych.

— I dlatego Malibu chce stać się miastem?

— Przede wszystkim. Jeśli dostaniemy prawa miejskie, mieszkańcy będą mogli sami decydować, jak to miejsce ma wyglądać. Niezły pomysł. To się nazywa demokracja. Dość znana sprawa.

— Ale budowlancy jej nie kochają.

—Zgadza się. Teraz ludzie, którzy podejmują decyzje dotyczące urbanizacji, przeważnie tu nie mieszkają. I można na nich wpłynąć. Rozwój budownictwa oznacza więcej pieniędzy z podatków, a większe podatki to większe biura dla biurokratów. Nie muszą mieszkać w bałaganie, którego sami narobili, więc to, co się stanie z Malibu, ich nie dotyczy.

—Miejscowe gazety piszą wyłącznie o kanalizacji. Nie bardzo to pasuje do wyobrażeń o Malibu.

—Kanalizacja to skrót myślowy dla rozbudowy. Obecnie każdy dom w Malibu ma komorę fermentacyjną i powiadam ci, że gdy następuje przypływ, w tych szarych domach wody jest po kolana. Ale mieszkańcy chętnie godzą się na te niedogodności, gdyż bez centralnego systemu kanalizacyjnego nie da się budować hoteli, restauracji ani centrów osiedlowych. A więc właściciele domów mają gdzieś kanalizację, miejscowi politycy i przedsiębiorcy budowlani zaś chcą ją założyć. I tak biorą się za łby o to, co zrobić z gównem.

Zaśmiał się, jego wielki brzuch zakołysał się w słońcu na myśl o wszystkich tych gwiazdach filmowych i milionerach, gwiazdach rocka i pisarzach, malarzach i pacykarzach walczących o dane im od Boga prawo rozporządzania własnymi śmieciami.

— I kto wygra? — spytała Pat.

— Ja — rzekł po prostu Alabama i zaśmiawszy się ponownie, wbił obcas w bok konia, który ruszył kłusem po stromym wzgórzu pod nawisłą skałą.

Pat uśmiechnęła się, usiłując nadażyć za swym przewodnikiem. Odpowiadało jej to. Alabamie tyleż brakowało do przegranej co do lekkości. Już zaczynała go kochać jak ojca, którego nigdy nie miała, a jego nieznośne zachowanie, popijawy i ekscentryczność były uroczymi, właściwymi tylko jemu cechami, dzięki którym mogła odnosić się doń jak do kogoś bardziej sobie równego. Nie udzielał jej formalnych lekcji, lecz za każdym razem, gdy się odzywał, uczyła się czegoś o fotografowaniu i, co ważniejsze, o sztuce. Mimo przekomarzania się i dogryzania Ben Alabama był w gruncie rzeczy wyznawcą zen. Wszystko się ze sobą splata.

Wszystko jest powiązane. Sposób życia, wartości, które się wyznaje, są równie ważne, jak kierunek, w który zwraca się obiektyw. — Każdy nosi w sobie fotografię — mawiał. — I najlepiej niech już tam zostanie. — Nawet swe niezaprzeczone słabości ukazywał jako mocne punkty. Picie piwa miało wyszydzać powagę życia. Bójki to porządna, uczciwa radocha i część amerykańskiej tradycji, której zanik doprowadził do powstania słabszego, mniej samodzielnego społeczeństwa, cierpiącego na zabójczy dla duszy brak szacunku do samego siebie. Szorstki sposób bycia to w rzeczywistości obrona swych praw, co jest obowiązkiem każdego, kto żyje w zgodzie z kodeksem moralnym i jest z tego dumny.

Dotarli do szczytu, który z wysoka spoglądał na wszystkie pozostałe, a Alabama, ściągnąwszy wodze, obrócił się na swym kowbojskim siodle, by podziwiać niezwykle widok. Pat zrobiła to samo i dzikie piękno stumilowej perspektywy

odebrało jej oddech. Po jednej stronie rozciągała się dolina San Fernando, domostwa i „cywilizacja”, pomniejszona majestatem gór. Po drugiej wzgórze Malibu ograniczone morzem. W kryształowym powietrzu widziała Catalinę, południową stronę Santa Monica i drogę na północ, ku hrabstwu Ventura. Słońce igrało kolorami, ocieniając skały i zarośla, wzgórze i doliny subtelnymi szarościami, brązami i zielenią szafwii, a nad tym wszystkim, oddzielając ziemię od nieba, wisiała mglista warstwa szkarłatu i kar-mazynu, fioletu i błyszczącej pomarańczy połączonych magią stale zmieniającego się światła.

— Pukamy do drzwi niebios — rzekł Alabama, którego to piękno przejmowało grozą.

Pat zsiadając z wdzięcznością przerzuciła nogi przez siodło. Sięgnęła po zmiętą płócienną torbę, zawierającą wszystko, co jej było drogie. Wyciągnęła leicę i teleobiektyw 85 mm, który przymocowała do zniszczonego korpusu aparatu. Jej oczy przeszukiwały odległy horyzont, namierzając światło. Potem kciukiem otworzyła pudełko z filmem „Ilford HP3”, nie patrząc włożyła go, zatrzasnęła aparat i zrobiła trzy zdjęcia, mając obiektyw wycelowany na zakurzone krzewy.

— Potrzebny ci aparat 5 na 7 — rzekł Alabama. — Leicą nic nie zrobisz. A do tego to barwny film. Przydałby ci się kodachrome i może czerwony filtr, by wydobyć cienie. Słońce masz nad głową. Pionowe światło nie jest dobre na krajobraz. Musisz objąć dużo więcej, niż może obiektyw 85 mm. Dużo więcej na jako tako przyzwoite zdjęcie.

Wojowniczo pochylił się na siodle ku swej podopiecznej. Rozczarowała go. Szła na oczywistość, a i to w sposób niezbyt dobrze przemyślany. Nie omieszkała jej tego powiedzieć. Nie omieszkała powiedzieć wszystkim wszystkim o fotografowaniu.

Określiła się wokół niego i długi obiektyw wycelował w wystający punkt agresywnego podbródka. Jej palce pokręciły ząbkowaną krawędzią wizjera. Poirytowane oczy nabrały ostrości, gdy ujęcie mężczyzny w siodle, jako drzewa na przeklętym wrzosowisku, zharmonizowało się idealnie z ostrym światłem nieba. Klik — trzasnęła migawka.

— Och — powiedział Alabama.

— Może uznasz, że to jest zdjęcie — drwiła Pat Parker.

— Chyba tak — potwierdził Alabama, śmiejąc się z siebie i swej arogancji.

Powinien był wiedzieć. Dziewczyna jest genialna. Od chwili, gdy sześć zdjęć wy-

sypało się na sośninę jego kuchennego stołu, wiedział, że ma ten czynnik X. Od lat nie oglądał tak dobrych fotografii, a obcy temat ani na jotę nie zmniejszył podniecenia, które go wtedy ogarnęło. Dziewczyna miała wyobraźnię, umiała patrzeć i potrafiła uchwycić właściwy moment. Wiedziała, jak komponować, ciąć i wywoływać. Krótko mówiąc, miała do tego dryg, więc natychmiast zaprosił ją do Malibu. Nie żałował tego. Zdjęcia, które zrobiła, będąc jego gościem, potwierdzały, że jest wspaniała. Tylko w dwóch przypadkach zwątpił w nią i po raz drugi pobiła go jego własną bronią. Zdjęcie ogrodowego krasnala, jak je teraz nazywał, było znakomite. Zabawne, w konwencji dziecięcych książeczek, nadawało kształty elfom, duszkom i leśnym gnomom, a fakt, że twarzą Alabamy jest jego bohaterem, czyniło je jeszcze śmieszniejszym. Powieliła po prostu trik Karsha z Churchillem. Kanadyjski fotograf celowo rozwścieczył tego męża stanu, by uchwycić jego niewątpliwą wojowniczość. Portret, który w rezultacie powstał, należy do najlepszych w historii. Zdaniem Alabamy również to zdjęcie będzie rewelacją. Obrócił się, by sprawdzić tło, światło, niebo, i uświadomił sobie, pod jakim kątem został wraz z koniem sfotografowany, jaki wyraz igrał na jego twarzy, co bezbłędnie uchwyci teleobiektyw. W istocie widział zdjęcie — tak jak Mozart słyszał kompozycję przez siebie muzykę — i było ono mistrzowskie.

Zeskoczył z siodła.

Podszedł do Pat i otoczył ją ramieniem.

—Przepraszam — rzekł. — Muszę z tym skończyć. Roześmiała się.

—Z niczym nie musisz kończyć. Jesteś legendą.

— Byłem. — W Alabamie wezbrało dziwne uczucie. Dobry Boże, miał zamiar zdradzić tajemnicę, którą znali tylko on i King.

— Co to znaczy byłem? W zeszłym roku poszłam na twoją wystawę, widziałam ostatnie zdjęcia, Alabamo. Są tak piękne, jak każde twoje dzieło. Chodzi mi o to, że są takie same.

Zdumiał ją. Pokora, podawanie w wątpliwość swej genialności zupełnie do niego nie pasowały. Bo przecież nie mogło mu chodzić o coś tak trywialnego jak komplementy. Musiał mieć ich już dosyć.

— Pat Parker, powiem ci, dlaczego są takie same. Są takie same, ponieważ od dziesięciu lat nie zrobiłem zdjęcia i nie mam zamiaru już więcej fotografować. Po prostu wywołuję stare negatywy i doczepiam aktualną datę. I co o tym sądzisz, drogie dziecko?

Pat wiedziała, że ją wypróbował. Szok, przerażenie ani wymówki nie byłyby właściwą reakcją. Albo Alabama stroi sobie z niej dość wyszukane żarty, albo istnieją jakieś istotne powody, logicznie tłumaczące rzeczy nie do pojęcia. Proszono ją, by uwierzyła, że Madonna nie chce już śpiewać, że Carson przestał opowiadać kawały, że Reagan odmówił występu w telewizji. To niesamowite, ale taka często jest prawda.

— Jeśli rzeczywiście tak jest, dlaczego mi o tym mówisz? Alabama wyglądał na zdumionego, był zdumiony.

— Nie jestem pewien — powiedział w końcu. — Chyba dlatego, że cię lubię. Chyba dlatego, że z czasem zrozumiesz.

Temat sam się zamknął. Zapadł gdzieś w podświadomość i wypłynął w rozmowach i dyskusjach w miarę rozwoju ich przyjaźni. Naprawdę lubi, a nawet podziwia tę dziewczynę, lecz co więcej, ma do niej zaufanie. Pracuje na jego fali. Niewielu jest takich w hrabstwie Los Angeles.

— Tak czy inaczej, genialna dziewczyno, musimy wracać, jeśli mamy zdażyć na ten lunch do Lathama. Co myślisz o miliarderach? Robią coś dla ciebie?

— Jeszcze nie, jeszcze nie. — Pat Parker roześmiała się.

5.

Kamerdynera, który przez całe życie zmuszał do zachowania zimnej krwi, zamurowało. Stał w otwartych drzwiach i zastanawiał się, czy wołać o pomoc, wzywać policję, czy też cofnąć się i uprzejmie wpuścić do domu niesłychany duet.

— Alabama wraz ze znajomą do Dicka Lathama — przeciągając słowa oznajmił Alabama. W jego głosie czaiła się groźba. Poprzedzał go zapach piwa i brzuch piwosza, a z tyłu, za nogami jak słupy, nadal trzeszczały i skrzypiały przewody motocyklowe, rozgrzane szaleńczym zjazdem z gór. Angielski majordomus słyszał o motocyklistach, pamiętał Marlona Brando w takiej roli, ale nie spodziewał się ujrzeć żadnego z nich z tak bliska.

— Pan Alabama? — wykrztusił z ogromnym znakiem zapytania. — Jakiś pan Alabama był na liście gości zaproszonych na lunch.

—Taaak — mruknął Alabama, nie trudząc się wyjaśnianiem swego miana. Przepchnął się obok strażnika w bramie, a Pat, rozbawiona z powodu tego całego zamieszania, podążyła jego śladem.

Fait accompli i *savoir-faire* to chyba jedyne znane Anglikom francuskie zwroty. Jeśli dom ma zostać zniewolony i splądrowany, trzeba się poddać z godnością.

—Czy mogę wziąć pański kapelusz? — spytał kamerdyner, waząc się na sporą dawkę sarkazmu, by odbić sobie świeżo doznaną porażkę.

—Nie — odparł Alabama. — Wrósł mi w głowę. — Wyglądało na to, że mówił prawdę. Kapelusz był tak zmaltretowany, jakby właściciel sypiał w nim od kilku lat, a w miejscu zetknięcia runda z czołem znajdowały się substancje odżywcze, które mogłyby wspomóc rozwój narośli. Anglik zamrugał. W Ameryce uważano, że to właśnie Angole mieli monopol na brud. Ich brak higieny i legendarna małostkowość były po tej stronie Atlantyku o wiele bardziej popularne jako cechy narodowe niż flegma i znajomość spraw tego świata, czym szczycili się Anglicy.

Pat Parker patrzyła na poważne pieniądze. Widać je było wszędzie — w meblach, które mogłyby być eksponatami muzealnymi, w cennych dziełach sztuki, w znakomitej architekturze — i jej zmysł estetyczny przeniknął to wszystko, ogarniając dziennikarskim umysłem całość tematu: Dick Latham wraz z licznymi pogłoskami i plotkami, jakie zdążyły obić się jej o uszy. Większość czasu spędzał w Nowym Jorku i był właścicielem pism, z którymi od czasu do czasu współpracowała. Widywała go na co świetniej szych przyjęciach, na które przychodziła jako fotoreporterka, zazwyczaj jednak przebywali w równoległych, lecz wyraźnie odrębnych światach i nigdy osobiście go nie poznała.

Wiedziała, że uchodzi za pozeracza serc niewieścich i jak na swój wiek jest bardzo przystojny. To i ogromna forsa czyniły zeń interesującą postać nawet dla dziewczyny, której bohaterkami i bohaterami byli fotograficy, malarze i pisarze, a nie oszałamiająco bogaci, krwiożerczy kapitaliści z kompleksami Don Juana. Alabama opowiedział jej o paryskiej historii, co przydało głębi jednowymiarowemu charakterowi wycinków prasowych. Latham mógł się kiedyś zachować fatalnie, ale przynajmniej miał jaja, by się przeciwstawić Alabamie, i serce złamane odejściem dziewczyny, którą kochał. Wielu ze znanych Pat mężczyzn nie miało ani jednego, ani drugiego.

Wykładany meksykańską klepką hall, w którym się znaleźli, pełen był kwiatów. Kaskady geranium wznosiły się nad doniczkami z terakoty, różowe i fioletowo-różowe niecierpki puszczały pędy z wiszących koszyczków, bugenwile wspinały się po stiukowych kolumnach. Pośrodku fontanna, wyłożona starodawnymi hiszpańskimi płytkami, wydawała przyjemne dla ucha szmery, a oczy biegły obok niej na podwórzec, gdzie w południowym słońcu migotał basen na czterdzieści stóp. Ściany obwieszane były obrazami — siedemnastowiecznymi holenderskimi martwymi naturami, poważnymi żołnierzami van Dycka, podejrzanie autentycznymi malowidłami Fransa Halsa. Z ukrytych głośników rozchodził się cichy i dręczący koncert skrzypcowy e-moll Mozarta.

— Czy mogę zaproponować pani coś do picia? — zaryzykował doświadczony przez los kamerdyner, usiłując dojść do siebie po doznanym szoku towarzyskim.

—Poproszę colę — rzekła Pat.

—Klasyczną, czy... w innym rodzaju?

—Może... klasyczną.

—Dietetyczną, czy... w innym rodzaju?

—Dietetyczną.

—Bez kofeiny... czy...

—W innym rodzaju — rzekła ostro Pat.

—A pan? — spytał kamerdyner.

— Piwo. Dos equis, corona albo tecate, w tej kolejności. Butelkowane. Kawalek limona. Zimne. Szybko — oświadczył Alabama.

Przedstawiając swe zamówienie, wojowniczo łypał na wynajętą pomoc.

— Witam, witam — powiedział Dick Latham, kojącym uśmiechem uspokajając wzburzone umysły. — Alabama, nareszcie. Oraz piękna i utalentowana Pat Parker.

Gładko sunął naprzód, zdobywczy uśmiech radośnie igrał na opalonej twarzy, zęby błyskały i lśniły w jaskrawym świetle. Miał na sobie koszulkę polo, różowo-błękitną, zabawne obrazki tańczyły na muskularnych przedramionach. Buty lśniły, kanty spodni cięły jak brzytwa, sięgając po rękę Alabamy, pożerał Pat rozbawionymi, spragnionymi oczyma.

— Jesteś mi winien sto dolców — mruknął Alabama, potrząsając wyciągniętą dłonią Lathama z trudno dostrzegalnym entuzjazmem.

— Ależ ty masz pamięć. — Śmiech Lathama zabrzmiał zupełnie swobodnie. — Paryż, prawda? Całe wieki minęły od tamtego czasu. Szkoda młodości dla młodych, nie uważasz, Alabamo?

Mówiąc uśmiechał się do Pat, świadom swej towarzyskiej ogłady, ogromnej pewności siebie, niwelując agresywność jakże subtelnymi przeprosinami. Pat wbrew sobie odwzajemniła uśmiech. Artykuły w *Time'ie* i *Forbesie* nie uchwyciły jego charyzmy, nie wspomniały o muskularnym, szczupłym ciele, anglicyzującym akcencie. Miał pięćdziesiątkę, a wyglądał na czterdziestkę. Rozchodził się odeń urok jak zapach z rozpylacza perfum w stoisku kosmetycznym domu towarowego „Bloomingdale”.

Wojownicze oczy Alabamy zwięzły się. Niech sobie Latham gra tę rolę, ale nadal pozostał tym samym chłopcem. Nie mógł tak bardzo się zmienić. To się nie zdarza. I nie przejdą mu te obleśne zalecanki do Pat Parker.

— Nigdy bym nie powiedział, że przez Eve Venture marnuje się młodość. Pamiętasz tę piękną dziewczynę? Ciekaw jestem, co też się z nią stało.

Seksowny uśmiech znikł z warg Dicka Lathama. Były teraz zaciśnięte, bezkrwiste, rysowały się cienką linią na szczęce. Oczy zamknęły się i Latham zastygł z zeszywniałymi ramionami, oddech świszcział

w jego rozszerzonych nozdrzach. Od dwudziestu lat nie słyszał tego nazwiska, lecz myślał o tej dziewczynie mniej więcej co dwadzieścia minut. Eva Ventura rozpałała jego serce i nadała nowe znaczenie steranemu życiu. Była zabawą, wesołością i spontaniczną energią, której brakło mu w czasach mrocznego dzieciństwa, i kochał ją bardziej, niż wydawało mu się to możliwe. Wszystkie odrębne akordy zlały się w tajemną harmonię pięknej muzyki, gdy w osobie Ewy Ventury jego przyszłość nareszcie nabrała sensu. Lecz nie wypędzono z niego wszystkich demonów. Gdy stara flama zaczęła go uwodzić, wykonał wszystkie seksualne ruchy przede wszystkim z przyzwyczajenia oraz dlatego, że zapomniał, jak się odmawia. Eva znalazła ich razem. Zaśmiała mu się w twarz, szydząc z tej płochej niewierności, i rozpląnęła się we mgle. Mdłości podeszły mu do gardła na wspomnienie tej straszliwej straty i z wściekłością zazgrzytał zębami na myśl o złu, którego nigdy już nie da się naprawić. Teraz jego uczucia uzewnętrzniły się raz jeszcze w ataku lodowatej furii wobec Alabamy. Nie ulegało wątpliwości, że stary motocyklista wspominał imię Ewy, by go zirytować. Poznał to po beztroskim przechyleniu ogozrałej głowy, po Oczach zafascynowanych efektem działania języka, po mściwym

uśmieszku, unoszącym kąciki spierzchniętych ust. Alabama nie zapomniał Paryża, nie zapomniał, że Latham odrzucił jego dzieło i szorstko odmówił zapłaty, którą moralnie był mu winien.

W umyśle Lathama potencjalne zniewagi czekały, aż je w kolejności rozpatrzy. Po czym dwudziestopięcioletni trening wykazał swą przydatność. W wyrafinowanym pieniężnym labiryncie, który zamieszkiwał Latham, nie było miejsca na uczuciowe błahostki. Oko za kaprawe oko to dobre dla przegranych. To objaw słabości. Potrzeba odwetu dokładnie umiejscawiała piętę Achillesa, a gdzie zraniono raz, można zranić ponownie. Dowcip polegał więc na tym, by ukryć ból, lecz nigdy, przenigdy go nie zapomnieć. Zemstę najlepiej serwować na zimno, lecz Dick Latham zagustował w głęboko zamrożonej. Nie wystarczało mu zwykłe wyrównanie rachunków czy też zyskanie niejakiej przewagi. On przedostawał się w inne światy, przeskakując przez plecy nieprzyjaciół. A gdy już zżarła ich zardzość z powodu jego sukcesu, z odległych galaktyk miotał na nich bomby-pułapki, rujnując ich i upokarzając, dołożywszy przy tym starań, by nie mieli wątpliwości co do osoby niszczyciela.

Ale z Alabamą to już inna historia. Potrzebował go. W tym przełomowym okresie musiał go mieć po swojej stronie. Fundusz Ochrony Santa Monica siedział w jego przepastnych kieszeniach. Od niego pochodziły pieniądze, miał posłuch u polityków, opinii publicznej, najważniejszych środków przekazu. On był siłą napędową starań o uzyskanie praw miejskich, wymierzonych przeciw przedsiębiorcom budowlanym. Będzie trudnym przyjacielem, ale wrogiem — nieznośnym. Bez Alabamy zakupione przez Dicka Lathama tereny, na których ma stanąć zaprojektowane w tajemnicy studio Cosmosu, obrócą się na marne. Gdyby choć na moment Alabamie przyszło do głowy, że z ekologicznego punktu widzenia Latham nie jest godnym zaufania sąsiadem, mógłby wywrzeć wpływ na właściciela i zablokować sprzedaż albo dopisać klauzule, zabraniające budowy na tych terenach, nawet w tak zaawansowanym stadium negocjacji. Mógłby namówić agencje rządowe do wykupienia ziemi. Mógłby nawet zmobilizować tyle pieniędzy, by sam je wykupić. Nie jest to pora, by robić sobie zeń wroga, cokolwiek by powiedział, jakkolwiek by się zachował. Latham głęboko zaczerpnął oddechu.

— Tak, to cudowna dziewczyna, nie uważasz? Czasami myślę, że powinienem był się z nią ożenić.

Zagryzł wargę, przepychając przez nią ten banał. Z powrotem wcisnął zwa-
wość w swój chód, jeszcze raz naciągnął oponczkę dob-roduszości, ładując po-
nownie broń czaru, usilnie starając się ukryć odniesioną ranę. Odwrócił się do Pat.

— Pat Parker, mam tu kogoś, kto aż się pali, by cię poznać. To moja tajna
broń. Sprowadziłem ją z Anglii, by podratowała moje pismo *Celebrity*. Spodoba ci
się. Ma mnóstwo pomysłów. Nazywa się Rmma Guinness.

Położył rękę na ramieniu Pat, a ona czuła jego dotyk, gdy prowadził ją przez
dziedziniec wokół basenu ku podwójnym drzwiom głównego budynku.

— Oczywiście Alabama jest już zbyt wielki, by umieszczać swoje zdjęcia
w pismach. Zbyt frywolny, sądząc z jego indywidualnych wystaw. A przy okazji,
Alabama, chciałem ci powiedzieć, że uwielbiam twoje ostatnie prace. Takie świe-
że. Takie oryginalne. Naturalnie, nie spodziewam się, byś specjalnie cenił moje
zdanie po tym, jak się wygłupiłem w Paryżu. Czy masz jeszcze ten portret? Wy-
mienię go na ćwierć miliona dla klubu „Sierra”.

Odwrócił się przez ramię, by sprawdzić, jakie wywarł wrażenie, machając
marchewką gotówki. Klub „Sierra” nie był już taki bogaty, jak za czasów Ansel, a
Parkowi Narodowemu Yosemite przydałoby się trochę szmalu, a przy okazji La-
tham delikatnie dał do zrozumienia, że zależy mu na ochronie środowiska. Ale po-
czuł skurcz w żołądku. Obyłby się bez fizycznej pamiątki z tamtych lat. Może zo-
stanie mu to oszczędzone. Alabama prawdopodobnie użył zdjęcia jako tarczy do
gry w strzałki.

Pat również się odwróciła, by zobaczyć, jakie wrażenie niespodziewana gratka
sprawiła na jej przyjacielu, tymczasem dłoń Lathama, wywierając intrygujący na-
cisk, nadal spoczywała na jej ramieniu. Pat wiedziała, że Alabama nie lubi miliar-
dera i mu nie ufa. Jak to rozegra? Czy, by zadowolić swą wrażliwą duszę, zajrzy w
zęby koniowi darowanemu klubowi „Sierra”? Nieszczęście było o włos.

Nie dla Alabamy.

—Pół miliona — rzekł.

—Milion — skontrował Latham — pod warunkiem, że Pat Parker będzie
trzymać mój portret na nocnej szafce.

Roześmiał się, mówiąc te słowa, i wszyscy zatrzymali się w miejscu. Lecz dłoń
Lathama nadal spoczywała na ramieniu Pat.

—Żartuje pan. — Uśmiechnęła się, a rumieniec oblał jej policzki.

—W życiu nie mówiłem poważniej. — Jego uśmiech zmienił się. Wwiercał w nią wzrok. Mówił coś, czego niezbyt gotowa była wysłuchać. W środku czuła uderzenia bębnow, uświadomiwszy sobie, że naprawdę o to mu idzie. Chciał ujrzeć ją w łóżku, zwiniętą w kłębek, śpiącą jak kotka, którą łatwo zranić wczesnym rankiem, chciał widzieć, jak wyciera pył z oczu, słuchać, jak ziewa, czuć jej ziemski zapach, gdy przewraca się w taniej pościeli, zbyt późno opuściwszy zbyt głośne kluby. Za byle milion jego fotografia mogła ujrzeć to wszystko, a ona patrzyłaby na niego i nie zapomniała o nim, ponieważ ktoś taki jak ona dotrzymuje obietnic, choćby były nie wiem jak dziwaczne i nie wiem jak frywolne.

—To od ciebie zależy, Pat Parker — odezwał się Alabama, przeciągając słowa. — Życie pełne koszmarów w zamian za milion dla gór. — Zapomniał, jak bogaty jest Latham, jak kapryśny, jak zżera go chęć pokonania piękna. Pościg trwa. Widział, jak się zaczął. Jego nowiusieńka przyjaciółka ma być zdobyczą, więc lepiej niech na siebie uważa.

—No wiecie, mieć przy łóżku pana Lathama w wykonaniu Alabamy to nic strasznego. Z pewnością jest smakowitszy od kogokolwiek z mojej rodziny.

Obaj usłyszeli, jak pogodna kpina pierwszego zdania zamiera w żalości drugiego. Przez krótką chwilę ból był widoczny, niemal uchwytny i Pat urwała, prawie nasłuchując tajemnych głosów, widząc niewidzialne demony.

Tymczasem jednak uwaga ich została skierowana w inną stronę. Drzwi z przodu otworzyły się gwałtownie. Mały ludzki tobołek owinięty był cały w plisowane bikini, którego górna część usiłowała pomieścić ogromne piersi, dolna zaś służyła zarówno jako opaska dla rozłożystego tyłka, jak i płyta wyrzutni krótkich, krępych nóg. Promienna biel kostiumu kąpielowego uwydatniała prosiakowatą różowość skóry. Kimkolwiek była ta osoba, oszczędzała na olejku do opalania.

—Emma — rzekł Latham, drgnąwszy na ten widok. — Poznaj słynnego Alabamę i piękną Pat Parker. Właśnie kupiłem zdjęcie, które mi zrobił w Paryżu, gdy byłem młody. Mam nadzieję, że spełni dla mnie tę samą rolę co portret Doriana Graya.

—Na nocnej szafce? Dziękuję bardzo! — Pat roześmiała się. Wyciągnęła rękę do Emmy Guinness. — Hej, jestem Pat Parker — rzekła.

Alabama machnął do niej z umiarkowaną serdecznością, trzymając ręce przy sobie.

—Poznałam cię. Jestem twoją wielbicielką. Uwielbiam twoje zdjęcia — powiedziała Emma. — Gdyby zatrudniali takich ludzi jak ty, nie trzeba by było wywracać wszystkiego w *Celebrity*.

—Dziękuję — rzekła Pat. Komplement to dobry początek. Już polubiła tę dziewczynę w koszmarnym kostiumie kąpielowym. Nie było udawania, że *Celebrity* odniosło sukces. Prawdopodobność przydała wagi pochlebstwu Angielki.

Latham uśmiechnął się, zadowolony z obiecującego początku. Emma i on mieli odmienne plany co do Pat Parker. Zamysły Emmy zgrabnie szły w parze -z jego projektami. Plany Lathama z pewnością nie będą współgrać z zamierzeniami Emmy. Zwrócił się do Alabamy.

— Alabamo, pozwól, że cię porwę na parę minut. Chciałbym pokazać ci plany domu, który mam zamiar zbudować w pobliżu ciebie w górach. Mam nadzieję, że dobrze skomponuje się z otoczeniem. Spodziewam się, że masz jakieś pomysły. A wy, dziewczęta, pogadajcie sobie i spotkamy się na lunchu.

Alabama mrugnięciem wyraził zgodę. Nie miał ochoty przyjść na ten lunch, lecz przyjął zaproszenie z ciekawości, a także dlatego, iż jakakolwiek znajomość potencjalnego wroga jest lepsza niż żadna. Teraz zarobił już milion dolarów na wysokie Sierras i zapozna się wstępnie z potwornością, którą ten utracjusz usiłuje zbudować w jego górach. Doskonale! Dostarczy mu to amunicji na przesłuchanie w Komisji Wybrzeża, dotyczące rozgraniczania terenów miejskich, gdy będzie później zgłaszał zastrzeżenia do planów Lathama. Chwycił butelkę zimnego piwa, która nagle objawiła się na srebrnej osiemnastowiecznej tacy, przyniesionej przez kamerdynera, i powłócząc nogami wyszedł z miliarderm.

Emma Guinness klapnęła na obitą jedwabiem sofę, a Pat Parker na fotel.

—A więc. Pat, dlaczego Malibu? — Przyglądała się fotoreporterce, dostrzegając jej urodę i przesłanie, które wyrażał ubiór Pat. Podkoszulek rozpoznała. Uszyto go według pomysłu niezwykle .modnego obecnie nowego angielskiego projektanta mody, Johna Richmonda. Motyw nadruku: Bóg, Ameryka, Mamusia, Elvis, był bardzo na czasie — to szyk motocyklisty jeżdżącego na harleyu, modnisie znudzili się już stylem „Chanel” oraz ostentacyjną konsumpcyjnością i zaczęli szukać wyznaczników mody pośród wyuzdanego plebsu. Musi to sobie zapamiętać ze względu na *New Celebrity*. Wraca przyziemność. Rodzinne gniazdo, klasa robotnicza, niedbały strój powracały na scenę w zmodyfikowanej wersji lat sześćdziesiątych po okresie roz-pasanego materializmu w stylu lat pięćdziesiątych, panują-

cego za rządów Reagana. Buty Pat, zdarte, wygodne, będą biegać jak nie kończące się nogi Pat, a dzinsy, workowate, spłowiałe, sprawią, że siadanie stanie się przyjemnością, a nie męką.

—Jestem tu, ponieważ tu jest Alabama. Pracuję dla niego. Buduję nową perspektywę. Zacukałam się. Alabama mi pomaga.

—Nie wyglądasz na zacukaną. Bardzo mi się podobały twoje prace.

—No tak, ale chodzi o to, co się czuje. Chciałam iść dalej.

—Do czego? — Emma nie zniechęciła się. Nowa Pat Parker może być ciekawsza niż dawna. Nowiuteńkie fotografie dla nowiuteńskiego pisma. Modliła się, by nie były to zdjęcia przyrody, jak Alabamy, tyle że rozwodnione. Mniej więcej wszystko by zagrało, byle nie to.

—Właściwie nie wiem. Dlatego tu jestem. Żeby się dowiedzieć. Chyba nadal będę zajmować się ludźmi. Nie mogę się od nich oderwać. Fascynują mnie. Ale nie kukły. Chcę pokazywać ludzi głębokich, niebezpiecznych. Wiesz, ludzi, którym o coś chodzi.

—Tak, wiem, co masz na myśli. Wraz z Warholem umarło coś więcej niż Andy. „Jejku” i „coś podobnego” nie wystarczą do prowadzenia rozmowy. Frywolność już przebrzmiała. Ale gdzie znajdziesz takich ludzi w Malibu? Przyjechałam tu dopiero wczoraj i jestem na skraju śpiączki. Nie mogę się obudzić. Z morza uchodzi odurzający gaz, który robi wodę z mózgu i wybiela wszystkie ciemne, poważne, konstruktywne myśli na śliczne, blade pastele. Tydzień, dwa i będę wyglądać jak dziewczyna z *Dziewczyny*.

Pat roześmiała się głównie dlatego, że dziewczyna z *Dziewczyny* stanowiła znacznie ciekawszą propozycję niż plisowany prosiaczek. Ale przypadł jej do gustu szybkostrzelny sposób rozmowy Angielki, nie skrywana pogoń za ostatnimi nowinkami, analityczny umysł.

— Wiesz, z ulgą patrzę na kolor po czerni Nowego Jorku. A spanie w nocy to dziwaczne przeżycie. Usiłuję przyzwyczaić się do hałasu ciszy.

— Tak, ale morze robi tyle szumu. Ciągłe mi się wydaje, że podchodzi pod okna sypialni. Prawdopodobnie w końcu przyjdzie. — Emma roześmiała się, a potem jakby podjęła decyzję. Z rękami na kolanach pochyliła się do przodu. — Słuchaj, Pat, chciałabym, żebyś pracowała dla *New Celebrity*. Byłabyś na wyjątkowych prawach. Dostaniesz zaliczkę, i to dużą, i absolutną swobodę artystyczną. Możesz robić, co ci się żywnie podoba. Niewykluczone, że właśnie tego ci teraz

potrzeba. Gotówka, ale bez żadnych terminów. Zapewniony zbyt, ale żadnych dyrektyw. Kupuję twoje poglądy i wizje, gdyż mam do nich zaufanie.

Pat usiadła wygodniej. Mimo śmierci Andy'ego chciała powiedzieć „jejku”. Ale zbyt była przesiąknięta duchem Nowego Jorku, by okazać swój entuzjazm.

— Cały kłopot polega na tym, że jestem teraz jakby zablokowana. Mówisz „żadnych terminów”. Ale musisz coś zobaczyć za swoje pieniądze. A w ogóle, jakie pieniądze wchodzi w grę?

Oparła głowę na dłoni i uśmiechnęła się, by nie pokazać po sobie, że zamierza prowadzić twarde negocjacje.

—Powiedzmy sto tysięcy za dwie duże rozkładowki rocznie.

—Jejku! — wyrwało się Pat Parker mimo woli.

Teraz uśmiechnęła się Emma. Omówiła ten kontrakt z Lathamem, który zwiększył zaliczkę o dwadzieścia pięć tysięcy. Pat Parker nigdy nie zaproponowano by takiej umowy, lecz Emma przekonała się, że w życiu trzeba drogo płacić za doskonałość. Jeśli się ma dość nerwów, w sumie wychodzi tanio.

Emma Guinness pochyliła się do przodu.

— Więc jak, umowa stoi? — spytała.

—Nie mówię nie. Nie mówię nie. — Pat śmiała się, usiłując zyskać na czasie. Prawdopodobnie można by z tej umowy coś wycisnąć, ale nie wiedziała, jak się do tego zabrać. Najlepsi nie dostawali takich kontraktów. Teraz, niespodziewanie, akurat kiedy miała postawić krzyżyk na fotoreportażu, ofiarowano jej rajskie warunki. Tak w życiu bywa. Już zaczęła się zastanawiać, jaki, do diabła, wybierze temat do swego eseju fotograficznego w *New Celebrity*. Miała pustkę w głowie. Pisarze nie są jedynymi artystami, którym przytrafia się brak natchnienia. — I mogę wybrać, co chcę? To znaczy, nie liczysz na reportaż z nocnego życia Nowego Jorku i na to wszystko, co dotychczas robiłam?

—To twoja działka. Jeśli chcesz robić dalej coś w tym stylu, proszę bardzo. Jeśli nie, też w porządku.

—Mówisz o dwóch rozkładowkach rocznie, a jednocześnie powiadasz: „żadnych terminów”. Jak to ma właściwie być?

—Spokojnie. Oczywiście, naprawdę chciałabym coś na wczoraj, do pierwszego numeru, ale jeśli nie masz nic w zanadrzu, jakoś to przeżyję. Chodzi mi o to, że nie będziemy cię za bardzo przyciskać. Wiem, że możemy pracować razem. Mogę pracować z każdym, kogo podziwiam. Niestety, niewiele osób mi pasuje.

—Zgoda — rzekła Pat. Jest czas pogaduszek i czas działania. Znalazła pracę jak marzenie. Artystycznie była zabezpieczona. „Skorpiony gór Santa Monica” znajdują się na pięciostronicowej rozkładówce i zarobią pięćdziesiąt kawalków, przynajmniej teoretycznie, przynajmniej w umowie. Zgoda, nie zrobiłaby tego Emmie i Lathamowi, ale w razie konieczności, owszem. To była duża sprawa, w rezultacie będzie mogła bowiem zostać w Malibu z Alabamą. Może być skromną pomocnicą, biegającą na posyłki dla guru, a zarazem mieć zbyt dla swych prac i wspaniałą dochód. A musi robić tylko to, co umie najlepiej. Musi tylko robić zdjęcia.

Emma podskoczyła.

—Świetnie. Wspaniale. To cudownie. — Podbiegła do Pat i mocno ją uścisnęła. Ją samą też roznosiło. Swój sukces zbudowała na barkach wspaniałych współpracowników. Wynajdywanie wielkości w nieoczekiwanych miejscach i zatrudnianie ich stanowiło główny talent Emmy — być może jedyny. Teraz wystartowała. Michael Flaubert, czarnoskóry dziennikarz, niezwykle wpływowy w świecie mody, zgodził się objąć ten dział, a Kit Jacosta, młody awangardowy powieściopisarz, przekupiony, zstąpił ze swej intelektualnej wieży z kości słoniowej, by pokierować publicystyką. Triumwirat Parker—Flaubert—Jacosta stworzy pismo, które przejdzie do legendy, adrenalina śpiewała więc w arteriach Guinness, rozmyślającej o swej wspaniałej przyszłości. — Chodź, Pat, uczcimy to szampanem. Jestem taka podekscytowana.

—Zostanę przy coli. Nie piję. — Pat śmiała się, usiłując przywyknąć do tego niezwykłego wydarzenia, które ją spotkało.

—Nie? O Boże, a ja mam ochotę zalać się w trupa. — Tak naprawdę Emma nigdy w życiu się nie upiła. Miała hysia na punkcie panowania, co obejmowało również panowanie nad sobą. Lecz przekonała się, że ludzie instynktownie unikają osobników, którzy nigdy sobie nie odpuszczają. A zatem żmudnie udawała, że jest na luzie, i starała się sprawiać wrażenie, iż uwielbia owo bezużyteczne zajęcie, jakim jest przyjemne spędzanie czasu. — No to chodźmy na spacer na plażę. Jestem twoją szefową, musisz mi dogadzać — rzekła bez tchu, zrywając się z miejsca.

Pat również się podniosła i dwie nowe przyjaciółki śmiejąc się przeszły. przez balkonowe drzwi na piasek prywatnego boiska do siatkówki, graniczącego z tarasem domu Lathama. Słońce paliło, rzucając ostre promienie na spokojny ocean. Wolne od spalin powietrze tchnęło w ich nozdrza świeżym powiewem.

—Jezu, przydałby mi się jakiś pływak — odezwała się nagle Emma.

—Co takiego?

—Pływak, żeby się z nim zabawić. To byłoby niezłe. Wyłącznie śliskie mięśnie, żadnego gadania, blond włosy, mózg obumarły i żeby smakował słono. Wigor ogiera, zwałby się Ricky i miałby rodziców w moim wieku. Odkąd jestem w Malibu, tylko to mam w głowie. — Emma roześmiała się, by dać do zrozumienia, że mówi poważnie.

—Och, Emmo, żartujesz. Zanudzi cię na śmierć. „Ricky” to taki facet, który myśli, że *double entendre* to podwójna wódka. A co powiesz na Dicka Lathama? On już prędzej nadaje na twojej fali — dodała chytrze.

—To jest alternatywa — przytaknęła Emma z uśmiechem. Usiadła na brzegu deski surfingowej leżącej na wydmie. — Ale jest trochę za dobry, żeby był prawdziwy, nie uważasz?

Pat, siadając obok Emmy, posłyszała w jej głosie refleksyjne nuty. Szło jej o to, że Lathamowi podobały się dziewczęta dziesięć razy piękniejsze od niej — takie jak Pat Parker, od której twarzy i ciała oczy Lathama nie odrywały się w krótkich chwilach ich spotkań, dziewczęta takie jak Pat, której pensję zaproponował podwyższyć o dwadzieścia pięć procent, dziewczęta takie jak Parker, której kariera fotograficzna była zdumiewająco dobrze znana satyrowemu miliarderowi.

—Wiesz, raz na sto lat wolno im być dobrymi.

—Mhm. Dick chyba nie jest „dobry”, nie uważasz? To znaczy, dobrze, że ma forszę i nie leci na chłopców, i dobrze, że jest interesujący i bystry, i dobrze, że jest przystojny i wie, jak naprawdę dogodzić kobiecie, ale obawiam się, że w istocie jest nieprawdopodobnie zły.

— Kręcisz z nim?

Pat nigdy nie spotkała tak bezpośredniej Angielki. Musiała przeżywać istne katusze w swej ojczyźnie, cierpiącej na emocjonalne zatwardzenie, i w amerykańskim braku powściągliwości przy okazywaniu nastrojów zapewne odnalazła nirwanę. Pat zaczęła poznawać Emmę z zapierającą dech szybkością.

—O tyle, o ile. Wykręciliśmy tylko szybki numer w sraczu w samolocie.

—Emmo, niemożliwe. — Pat usiadła na złobkowanej desce surfingowej. Z jej głosu przebijało niedowierzanie i rozbawienie.

—Ależ owszem.

—Dlaczego, to znaczy jak...

—Z wielkimi trudnościami i dzięki niejkiej wytrwałości — rzekła Emma z udaną powagą. — Ponieważ zawsze chciał to wypróbować, jako podwładna uznałam, że powinnam go zadowolić. Radości było niewiele, ale później mieliśmy poczucie pewnego sukcesu. Jemu głównie szło o to, by zyskać prawo do noszenia jakiegoś specjalnego klubowego krawata. Aha, i powiedział, że to dobre na mięśnie łydek w czasie długiego lotu. W samolotach należy teraz uprawiać ćwiczenia. Ale jako Amerykanka doskonale się w tym orientujesz. Widzisz, zdrowie nie przyjęło się w Europie.

—Boże, Emmo, ależ to niewiarygodne. Zawsze myślałam, że Latham jest taki opanowany. Nie wyobrażam go sobie...

Pat Parker usiłowała wyobrazić sobie to, czego nie potrafiła, zastanawiając się jednocześnie, jaki jest jej stosunek do tej całej historii. Bez wątpienia z Lathamem coś było nie w porządku. Musiał mieć kobiety, musiał je upokarzać, nie był taki wybredny co do ich urody. Bystry umysł i ostry język Emmy Guinness stanowiły atrakcję, lecz ona sama bardzo daleko odbiegała od oszałamiających piękności, wiszących Lathamowi na ramieniu, co z upodobaniem zamieszczały kolorowe magazyny. Zatrudniono ją jednak z jakiegoś powodu. Gdyż była oryginalna? Śmiała? Nachalna? Miała złe maniery? Trudno powiedzieć. Gdy go spotkała po raz pierwszy, czuła się mile połączona względami, które jej okazywał, mimo iż podskórnie wyczuwała, że coś w nim było nie tak. Co ma o tym wszystkim myśleć w świetle ostatnich wieści? Jedno nie ulegało wątpliwości. W przypadku Dicka Lathama pozory bezsprzecznie bardzo myliły. Rewelacje Emmy były niespodzianką w bilansie jego wad i zalet.

—W każdym razie — roześmiała się Emma — przy dobrych układach z pływakami liczę na rewanż w bardziej sprzyjających okolicznościach. Potem mam nadzieję na wymianę poglądów o większym ciężarze gatunkowym niż uwagi o aerobiku i krawatach. A ty na kogo polujesz, Pat, bo chyba nie na Alabamę. Wygląda jak typowy leśny dziadek, a ponadto czułabym się bardzo zaniepokojona stanem jego bielizny.

—O Boże, nie, chodzi mi o zupełnie coś innego. Jest moim idolem, to wszystko. I mimo swojej szorstkości ma dobre serce, a poza tym to najuczciwszy człowiek, jakiego spotkałam w życiu.

—To straszne — wzdrygnęła się Emma. — Ludzie uczciwi są tacy brutalni.

—No, może jest trochę brutalny, ale tylko wobec tych, którym nie ufa.

—Nie wierzy Dickowi, prawda?

—Chyba nie. Nie cierpi biznesmenów, a poza tym pożarli się dawno temu w Paryżu.

—Wiem tylko, że Dick chce kupić tereny w górach, Bóg wie po co, i potrzebuje zgody Alabamy. Alabama jest tu najwyraźniej ojcem chrzestnym... a Dick uważa, że on jest ojcem chrzestnym reszty świata. Pewnie gdzieś tam teraz pojechali i wzajemnie składają sobie propozycje nie do odrzucenia. I bez kłopotu znajdą końskie łby, które jeden drugiemu może wsadzić do łóżka. Malibu roi się od nich. Więcej tu koników niż chłopców na plaży... niestety.

Wyglądała na transcendentalnie zasmuconą niedoborami ludzkiego ciała oraz nadmiarem końskich rozmaitości, Pat zaś musiała się roześmiać, choć Emma wygłosiła niezbyt pochlebną opinię o Alabamie.

—Emmo, jak poznałaś Dicka Lathama?

—Anglofilia to jedno z jego zbroczeń. Ma dom na Charles Square, który zamieszkuje wszyscy wielcy Amerykanie. Jest członkiem ekskluzywnych klubów, trzyma obligacje w Wimbledonie, szyje u najlepszych krawców... jest bardziej angielski niż książę Walii. Szukał kogoś, kto wyciągnąłby *Celebrity* z gówna, a ponieważ właśnie skończyłam ze szmatą pod tytułem *Class*, a zaoferował mi milion rocznie oraz apartamencik przy Piątej Alei, oczywiście się zgodziłam. Za wszelką cenę chciałam się wydostać z Anglii.

—Ale dlaczego? Anglia musi być cudowna. Strasznie chciałabym tam pojechać.

—Turystom się podoba. Anglicy są dla nich całkiem mili, no i przebywają w niej zbyt krótko, by obrzydła im pogoda i jedzenie. Anglicy nie lubią Anglików. Cały kraj jest w stanie nie wypowiedzianej wojny domowej. Rolę mundurów wrogich armii spełnia sposób akcentowania, a różne klasy gwałcą, plądrują i nie biorą jeńców. Klasa robotnicza kradnie, arystokraci piją, a burżuazja cierpi. To wredna sprawa, uwierz mi. Dla was, Amerykanów, walka klasowa to kwestia etniczna. Wiesz... czarnuchy grające muzykę rap na budowie, by rozwścieczyć majstrów o byczych karkach, którzy puszczaają muzykę country, by wkurzyć czarnych, a wszyscy razem nastawiają sprzęt na cały regulator, żeby rozżłościć żydowskiego doktora, usiłującego słuchać Strindberga. To wszystko kaszka z mleczkiem w porównaniu z Anglią, gdzie wszystkich naprawdę obchodzi walka klas. Ludzie

przez całe życie harują za grosze, by otrzymać szlachectwo, z którego prawdziwi arystokraci się wyśmiewają.

— A czy Thatcher tego nie zmieniła?

— O rety, próbowała, ale najpierw ją zmienia. Póki nie pozbędą się rodziny królewskiej, wszystko będzie po staremu.

Jej gorycz zaczynała być widoczna, z popiołów zabawnej, nikogo i niczego nie szanującej, zarozumiałej Emmy Guinness wylaniało się nowe stworzenie. Było okaleczale, zaszczute, niebezpieczne, przerażone, rozgniewane, zranione. Zaciśnięty pięści, aż zbieleły kłykcie na tle czerwonej skóry, jeszcze raz przeżywała ból i okrucieństwo słów, które najwyraźniej raniły dotkliwiej niż przysłowiowe kije i kamienie. Pat spostrzegła to wszystko i zakodowała w pamięci. Emma Guinness, podobnie jak Dick Latham, na pierwszy rzut oka sprawiała mylne wrażenie. Do dziewczyny, którą ujrzała teraz, trzeba podchodzić ostrożnie. Płonęła w niej nienawiść. Pat nieomal mogła jej dotknąć.

— Nie wolno czuć się w Malibu tak jak ty — rzekła łagodnie Pat. — To zabronione.

Emma drgnęła, jakby zbudzona z koszmarne snu.

—Co? Ach tak, Anglia. — Roześmiała się nieprzekonująco. — Wsiadłam na swego konika. Ten temat mnie ponosi.

—Powinnaś mnie słyszeć, gdy zaczynam mówić o swoich rodzicach. — Pat czuła, że należy okazać solidarność. Żaden ból nie był w stanie przewyższyć cierpienia doznanych w dzieciństwie.

— Wredni rodzice?

— Kompletne dno. — Pat przygryzła wargę, ośmieliwszy się przywołać wspomnienia.

Lecz Emma Guinness nie była płytą rezonansową, a tym bardziej ścianą płaczu. Życie innych zupełnie jej nie interesowało. Pod tym względem była Brytyjką w każdym calu.

Jej oczy przybrały rozmarzony wyraz.

— Chyba miałam rodziców — rzekła w końcu. — Nigdy mnie specjalnie nie interesowali. — Wstała. — Chodźmy, jeść mi się chce i muszę się przebrać na lunch. Dołączymy do reszty, zanim zanudzą się na śmierć.

Pat podniosła się. Nowa praca. Dick Latham, członek najekskluzywniejszych klubów, sondujący ją wzrokiem. Alabama, bomba z krótkim lontem w gnieździe

miliardera. Emma Guinness, nowa szefowa Pat, dowcipna, złośliwa dyktatorka mody, która mówiła o ciałach pływaków, snując tajemne plany poślubienia Lathama. Jedno nie ulegało wątpliwości. Będzie lunch jak diabli.

Uważaj na salsę — rzekła Pat. — Pali jak ogień.

— Świetnie — zadudnił Alabama, zgarniając spory kopczyk na kawałek tortilli. — Jeśli nie można znieważać żołądka, to co, do cholery, można tu znieważać?

—Ależ sędzę, że znieważenie tu czegoś w pobliżu nie będzie dla pana specjalnym problemem, panie Alabama — odezwała się imper-tynencko Emma Guinness, sącząc z wolna białe chardonnay z winnicy Jordana.

—Musimy wszyscy nazywać Alabamę Alabamą — powiedział przyjaźnie Dick Latham. — Jak Stinga... albo Cher... ale oczywiście z pewną różnicą. — Pozwolił sobie na delikatne ukłucie. Wcześniejsze spotkanie z Alabamą przeszło lepiej, niż się spodziewał. Fałszywe plany budynku, którego nigdy nie zamierzał wznieść, były efektowne i kosztowne. Zatrudnił Richarda Martina, by zaprojektował nowoczesną, niskostropową konstrukcję, wtapiającą się w górski krajobraz. Wykonano tu szczegółowe plany ogrzewania energią słoneczną, podziemnych linii wysokiego napięcia oraz bogactwo form urbanistycznych, tak że cała posiadłość, obejmująca dziesięć tysięcy stóp kwadratowych, będzie bardzo widoczna, wyrażając zarazem pełne umiaru przesłanie artystyczne, mające przemówić do takiego estety jak Alabama. Starowina pojękiwał i pochrząkiwał, ale czytając między wierszami jego symbolicznych protestów, Latham wiedział, że całość zrobiła na nim wrażenie.

—Mus to mus — stwierdził drażliwy obrońca środowiska i Latham wiedział, że wszelkie zastrzeżenia co do zakupu przezeń ziemi zostaną wycofane.

Uśmiechnął się łagodnie nad nakrytym do lunchu stołem, marząc o zamachu na posiadłość, którego się właśnie dopuszczał. Studia Cosmosu w całej swej starodawnej chwale odrodzą się w górach, spoglądających w dół na Malibu, a Alabama eksploduje. Nie masz głupca nad starego głupca. Nic nie jest słodsze nad zemstę na długoletnim wrogu, zwłaszcza jeśli zbije się na niej majątek.

—Jak ci się podoba dom Lathama, Alabamo? — spytała Pat. Alabama rzucał na Lathama groźne spojrzenia, brew marszczyła mu się z powodu wymienienia jego nazwiska jednym tchem z pseudonimem gwiazdy pop i nieapetycznej aktorki, której jedynymi przymiotami były pępek i tyłek.

—Nadałby się na pałac dzina. Rozumiesz, skrzyżowanie starożytnego Rzymu z rokiem 2001. Naciskasz guzik i basen zmienia się w krynicę wszelkiej mądrości.

—Chyba nie jest tak źle. — Latham roześmiał się wesoło, używając tonu zarezerwowanego dla niesforne go, rozpuszczonego dzieciaka. — Musisz przyznać, Alabamo, że jest nieszkodliwy dla środowiska. Jest dość nowoczesny, myślę nawet, że Martin dostanie za niego nagrodę, a w końcu żyjemy we współczesności. Nie wyobrażam sobie, by można było zbudować tu coś starodawnego.

— Taaak, na tym polegał kłopot z *Celebrity* — rzekła Emma pokazując, że nie obawia się zirytować szefa.

Latham nachmurzył się. Z niezwykłą starannością zsunął kawałek masła na kromeczkę wypieczonej na brązowo grzanki.

— Miejmy zatem nadzieję, że dyktatorka mody zza oceanu nie powtórzy starych błędów... i zamiast nich nie narobi nowych.

Temperatura spadła o parę kresek. Alabama z zachętą w oczach spojrzał do góry. Pat obserwowała Emmę, której na policzkach wykwitły dwie czerwone plamy. Angielka prowadziła niebezpieczną grę. Intymny stosunek na wysokości trzydziestu tysięcy stóp najwyraźniej nie gwarantował przychylności miliardera. Umowa przedmałżeńska oddalała się o lata świetlne. Poczucie humoru Lathama nie rozciągało się na sposób prowadzenia przez niego interesów.

—Mam nadzieję, że j a nie okażę się pomyłką — odezwała się niespodziewanie Pat. — Ale chciałam powiedzieć, że naprawdę cieszę się na współpracę z Emmą.

—Co? — wybuchnął Alabama.

—Emma zaproponowała mi wyłączność na *New Celebrity*. Dostaję hojną zaliczkę i mam robić dwie rozkładowki rocznie według własnej koncepcji. Czy to nie cudowne? To znaczy, że mogę tu zostać, nie będąc dla ciebie ciężarem, a jednocześnie będę miała rynek dla swoich prac.

—Po diabła ci rynek dla twoich prac? — spytał Alabama.

Był zupełnie skołowany. Pat spodziewała się tego. Nie bała się go, ale wiedziała, że ta sytuacja wymaga pewnych talentów dyplomatycznych. Przez stół czuła na sobie spojrzenie Lathama. Chciał się przekonać, jak sobie poradzi przyciśnięta do muru. Dlaczego miała wrażenie, że jego pragnieniem jest to, by się załamała?

—Artysta potrzebuje rynku. Wiesz o tym, Alabamo. Ile wystaw miałeś przez te lata, ile zdjęć sprzedałeś, ile książek? — Spojrzała mu prosto w rozgniewane oczy. Wiedziała, czego się spodziewać.

—Żadnych ładnych obrazków w kretyńskich kolorowych pisemkach — warknął.

—Gdy byłeś w moim wieku, sprzedawałeś ślubne zdjęcia w Kentucky. — Pat zacisnęła szczęki. Błyszczące oczy płonęły. Na szczęście ma mocne nerwy. Dotychczas nigdy w życiu jej nie zawiodły. Pozwoliły przeżyć krwawe walki w wojnie zwanej życiem rodzinnym.

—Szczęściarz z pana — zaszczębiotała Emma. — Śluby to prawie taki sam ubaw jak pogrzeby. Ludzie robią z siebie nieprawdopodobnych durniów.

Alabama zignorował ją. Wyciągnięcie starej historii z Kentucky zabolowało go niczym cios tępym nożem pod żebra.

Dick Latham czuł się jak na turnieju Wimbledonu. Ta rozgrywka zapowiadała się ciekawie. Tak przyjemnie jest przyglądać się awanturom. Ale na kogo postawić? Na Alabamę, w którym rozbudziły się mordercze instynkty weterana miliarda takich potyczek, czy też na dziewczynę z ikra, piersiami, nogami i osobowością czystej krwi? Potrząsnął głową. To na nic. Nie da się uniknąć awantury. Sięgnął po wino i rozparł się wygodnie w rzeźbionym chippendale'u, by nic nie uронić z przedstawienia.

—Nie mam się czego wstydzić. Bo niby dlaczego? To była uczciwa praca, robiłem ją dobrze i podobała się ludziom... — Alabama urwał, uświadomiwszy sobie nagle, że został zepchnięty do defensywy. Teraz odsłonił się na kontratak, którego nie zdoła odeprzeć. Pat Parker również wstydziła się nowego zajęcia, była to uczciwa praca, która spodoba się ludziom. Oczy mu rozbłysły. Odetnie ją na przełęcz. — Pismo *Celebńty* to trywialne przedsięwzięcie, podjęte przez pasożytów i pozerów, by zaspokoić niższe instynkty neurotyków i bogatych próżniaków — wybełkotał w podnieceniu.

—Mam nadzieję — rzekła Emma Guinness z uśmiechem, który łącznie mógł przejść w złośliwy grymas. — A jeśli nie, to nie dlatego, że nie próbowaliśmy.

Latham, mimo iż obrażono jego dziecię, roześmiał się także. Piłka przeszła daleko poza linię obrony Pat Parker. Bez trudu została odrzucona.

— To — rzekła lekceważąco — brzmi zarówno protekcjonalnie, jak i elitarystycznie. W wolnym społeczeństwie ludzie decydują, co sprawia im przyjem-

ność. I raczej to oni mają rację, a nie grupka hipokrytów, o głowach nie mieszczących się w kapeluszach. Życie nie jest takie łatwe, by można je było przeżyć za innych. Intelktualiści zawsze popełniają ten błąd.

Alabama zaczerwienił się. Zaczerwienił się jeszcze bardziej. Zaczerwienił się do granic możliwości. Zaczął drżeć. Latham mógłby przysiąc, że słyszy, jak szumi, widzi, jak pulsuje, czuje bijący odeń żar.

—Nie jestem pierdolonym intelektualistą! — zadudnił. Słowo to doprowadzało go do wściekłości. Stanowiło najwyższą zniewagę.

—Wiem, że nie jesteś, ale nie powinieneś tak się odzywać.

—Nie traktuj mnie protekcyjnie! — huknął na nią.

—Nie traktuj protekcyjnie publiczności — odcięła się.

—Nie muszę tego słuchać! — wrzasnął Alabama. — Wpadłaś w moje życie nie proszona, nie chciana, ponieważ potrzebowałaś mojej pomocy, a teraz powiadasz mi, co mam mówić i myśleć, jak nawiedzeni uzdrowiciele z tego, pożałuj Boże, pisemka, które cię wynajęło. Może wzajemnie jesteście sobie godni. Może powinnaś wrócić na ten twój cuchnący śmietnik i uganiać się, żeby zrobić zdjęcia karaluchów. I może powinnaś wynieść się w cholerę z mojego życia i już nie wracać.

Podniósł się, odpychając zadem krzesło. Jego ruch był tak nagły, tak gwałtowny, że trafił w kamerdynera, sunącego z tacą mrożonej andaluzyjskiej gazpacho. Kleista zupa wystartowała. Opuściła srebrną wazę i popłynęła jak wymiociny z czerwonego wina, pełne kawałków warzyw, ćwiartek pomidora, cebuli, grzanek, czerwonej papryki, prosto na Emmę Guinness. Dziewczyna otrzymała bezpośrednie uderzenie w rozchylenie między połami naszywanego cekinami bolerka, na którego przodzie widniał napis: NEW CELEBRITY. Gruźłowate pierwsze danie spłynęło między piersiami Emmy, farbując szkarłatny strój na krwistą czerwień i zarazem ratując go od krawieckiej katastrofy. Ubiór Emmy, zawsze upiorny, tym razem modnie promieniał.

— O kurwa! — wrzasnęła. Wszyscy spojrzeli na nią ze zgrozą.

Podbiegł kamerdynier, cofnął się przed ogromem stojącego przed nim zadania, zebrał się na odwagę, by ponownie stawić mu czoło. Delikatnie przykładając damaszkową serwetkę do piersiastej masy, świetnie wiedząc, że jedynym odpowiednim środkiem jest wąż strażacki.

—Tak mi przykro — skłamał Alabama.

—Och, Emmo — wysapała Pat.

—Och, gównno — skwitowała Emma.

Zapadła po tym ciszę przerwały dwa dźwięki. Pierwszy to ciche kap, kap, kap gazpacho na bezcenny perski dywan. Drugi to łagodne tony śmiechu Dicka Lathama.

Z początku były ciche, lecz nasilały się i powoli całe jego ciało zaczęło kołysać się z emocji. Obie ręce położył na zabryzganym zupą obrusie, a wokół jego oczu pojawiły się zmarszczki, gdy dojrzał niepokój i zamieszanie wśród gości. Emma Guinness, tak pogrążona w sobie, tak sprytna, wyglądała teraz jak homar ze szczypcami, pływający we własnym wywarze. Alabama, bywalec najlepszego klubu w okolicy oraz Białego Domu, okazał się niezdarnym kłosem, który upuścił jedzenie. A tam, na kształt gwiazdy, unosiła się nad nimi wszystkimi dziewczyna, której zapragnął nagle silniej niż zaczerpnięcia następnego oddechu. Więc co z tego, że zupa trysnęła na obraz Johna Singera Sargenta, że gazpacho popłynęło na jedwabny dywan o splocie czterystu węzełków na cal kwadratowy. Te rzeczy można wymienić, jeśli nie dadzą się oczyścić. Lecz dramatyzmu owego lunchu,

porównywalnego z napięciem westernu „W samo południe”, nie da się powtórzyć. W łagodnym Malibu takiego wydarzenia nie można zainscenizować. To było wspaniałe. To było piękne. I rozłożyło Lathama.

Drugi zachichotał Alabama. Tuż za nim uplasowała się Pat Parker. Uchwylenie śmieszności sytuacji, której stała się ośrodkiem, najdłużej zajęło Emmę Guinness, ale i ona doszłusowała. Jedynie kamerdyner, przerażony rozmiarami katastrofy i nieuniknionymi operacjami czyszczącymi, zdystansował się od huraganów śmiechu, szalejących teraz po pokoju.

—Mam dziewczynę w zupie — spróbował Alabama.

—Siedź cicho. Wszyscy zaczną się domagać — zachichotała Pat.

—Mam mnóstwo zupy — roześmiała się Emma.

—Podajcie dziewczynę — zawył Dick Latham.

—Oj, powiem mamie, Lathamie — ryknął Alabama.

— Och... mój Boże... — Latham śmiał się przez łzy. — Ależ kurewsko bajeczny lunch.

Pat Parker wolno spacerowała po wydmach, z ramienia zwisał jej nikon. Wypełniało ją meksykańskie jedzenie, czuła się zespolona z dookolnym pięknem, całą sobą jednoczyła się z naturą, z plażą, z górami, z bladym błękitem nieba. Miała pod stopami piasek ciepły, lecz nie palący, a wietrzyk znad wybrzeża Malibu burzył jej włosy i chłodził skórę. Muskało ją słone powietrze. Spowijała mgiełka upału. Jaskrawa promiennosc barw rozświetlała jej umysł. Był to jeden z owych transcendentalnych momentów, kiedy życie dopasowuje się do swego miejsca we wszechświecie. Układanka nie była już stosem luźnych kawałków na podłodze, obiecującym jedynie stratę nerwów i ciężką pracę w zamian za nieokreśloną nagrodę w przyszłości. Teraz wszystko zlało się w jeden obraz — ucztę dla oczu, absolutną rozkosz. Życie nabrało sensu. Wątpliwości i obawy stopiły się w płonącym kalejdoskopie upalnego krajobrazu.

Przystanąła na szczycie wydmy i rzuciła spojrzenie w dół, na Broad Beach aż do Zummy, zbrązowiałym na słońcu zaułku naoliwionej ludzkości. Tu panowała bliska zażyłość twarzy i piersi. Miejsce owo, gdzie wałęsali się plutokraci, było równie zatłoczone, jak Central Park w porze szaleńczego zmierzchu. Uśmiechnęła się, przypomniawszy sobie lunch, na którym harmonia zastąpiła niezgodę. Była to metafora jej obecnego nastroju, kiedy zło obróciło się na dobre, utarczki i niesnaski bez wyraźnego powodu przeszły w błogość pokoju. Konflikt z Alabamą nie przyniósł uszczerbku ich wzajemnym stosunkom, a jedynie je zacieśnił. Brutal, który w nim siedział, usiłował ją zastraszyć, a ona na to nie pozwoliła. Widziała, jak w jego oczach rośnie szacunek, jak podziw dla jej artystycznych talentów stapia się z uznaniem dla siły jej osobowości. A zainteresowanie nią Lathama pogłębiło się. Było to pochlebne i mile bulwersujące, ponieważ musiała liczyć się z tym, że jest jego podwładną. Miliarder i król prasy będzie miał oko na nią i na to, co robi. Błagał ją, by została na popołudnie, a gdy Alabama wyszedł po lunchu, nie towarzyszyła mu. Swędział ją bowiem palec, którym zwalnia się migawkę. Tu, na piaskach Malibu, czekały zdjęcia, fotografie, które pewnego dnia mogą złożyć się na rozkładówkę w piśmie Lathama i Guinness.

Teraz rozejrzała się wokół. Młodzieńcy unosili się wśród fal na deskach surfingowych, a obserwujące ich dziewczęta, zatopione w dźwiękach walkmanów, namaszczały się olejkami i obracały w promieniach ultrafioletowych jak na rożnie.

Przez wodę śmignął pływak. Nad głową szumiał śmigłowiec, pilot zaś przyglądał się dziewczętom. Biegacze biegali, kochankowie snuli się, a jedyne dźwięki wydawały fale, mewy i rakiety uderzające w piłkę, gdy odwieczne plażowe bitwy tenisowe szalały w krainie marzeń. Na zdjęciu nic nie wygląda lepiej niż rzeczywistość. Była niemal zbyt doskonała i Pat nie po raz pierwszy w życiu zastanawiała się, czy możliwości zdjęciowe w niebie nie zbladłyby wobec perspektyw piekła.

I w tym momencie ujrzała go. Stał jak Bóg na tle wysokich wydm, stopę miał wysuniętą do przodu, głowę odrzuconą w tył, dumnie jak wiking, słońce oświetlało go z boku, rzucając na piasek cień długi jak omen. Miał na sobie wyblakłe workowate dzinsy i mniej spłóviałą koszulę, pod którą oślepiająco biały podkoszulek okalał długą, potężną szyję. Był absolutnie nieobecny duchem, wpatrując się w przestrzeń, lecz nic nie widząc, zagubiony w strasliwym, cudownym świecie — Pat instynktownie odgadła, że jest to świat jego marzeń. Ciało młodzieńca wydawało się napięte, nastawione na nieprzerwany ruch, jakiś stanowczy czyn, którego obawiał się dokonać. Nikon Pat uniósł się od jej boku jak skrywana strzelba myśliwego, nie chcącego niepokoić ofiary, a jednak żadnego mord.

Miała go w obiektywie, jak dumne i niebezpieczne zwierzę na celowniku. Opuszek jej wskazującego palca ustawiał ostrość. Westchnęła z podniecenia, gdy kontury w obiektywie nabrały wyrazistości. Boże, był niezwykły. Przypominał orła, lwa, mocno zarysowane brwi biegingy w dół dumnego orlego nosa ku zmysłowemu, znajdującym się na rzeczy ustom. Podbródek wysuwał się na świat jak wykrzyk, na szerokich ramionach spoczywała głowa, siedlisko gwałtownej woli, a muskularna pierś, trójkątna pod granatową bawełną koszuli, skrywała serce, które nie umiało kochać. Obraz był teraz ostry, tak że Pat dostrzegła miodowy brąz lekko opalonego ciała, widziała świetlisty blask nieprzeniknionej czerni jego włosów. Chociaż oddalona była odeń o czterdzieści stóp, miała szalone wrażenie, iż czuje męskie piżmo, zapach jego płynnej charyzmy, jak napój miłosny unoszący się na kapryśnym wietrze. W głębi jej duszy cząsteczki zmieniły położenie.

Jej palec zacisnął się na migawce, już, już mając zwolnić wyzwalacz. I wtedy chłopak się poruszył. Jego głowa nagle się obróciła i przez teleobiektyw aparatu wpatrzył się głęboko w jej oczy. Wbiły się w Pat, paląc ją majestatem całkowitej dezaprobaty, a jej palec zastygł w momencie strzału, gdyż odrętwiała pod niesamowitą intensywnością tego spojrzenia. Patrzyła nań jak przez szybę i widziała go w promiennych barwach. Spoglądali na siebie twarzą w twarz. Wzmacniała go.

Stał się oczami, a z całego ciała spływała pogarda, która ją przeszywała. Pat utknęła na skraju fotografii. Wizjer nadal mocno przyciskała dopoliczka, ale nie mogła się ruszyć. Nie mogła zrobić mu zdjęcia. Nie mogła go nie zrobić. Przez jej umysł biegły myśli — pożądanie, zmieszanie, podniecenie i — tak, wstyd. W Afryce wierzono, że fotografie obrabowują człowieka z duszy. O to właśnie oskarżały ją wspaniałe oczy. I była winna — nieuprzejmości, podglądactwa i pożądlivosti pierwszego stopnia. Zniżyła aparat. Spuściła wzrok i pełna najcudowniejszych przeczuć wolno podeszła do młodzieńca. Nie poruszył się, gdy się doń zbliżała, lecz uważnie ją obserwował. Pat Parker nigdy specjalnie nie myślała o swej urodzie. Zazwyczaj uważała ją za rzecz naturalną. Nie w tej chwili. Pierwszy raz w życiu była za nią wdzięczna. To będzie tarcza, która ją obroni. A także otwarty sezam do zamkniętej księgi z bajeczną okładką, którą znalazła na piaskach Malibu.

Uśmiechnęła się nieśmiało, podchodząc bliżej, i rozłożyła ręce gestem, który miał być rozbijający.

— Przepraszam — rzekła. — Powinnam była poprosić pana o pozwolenie. Niezbyt uprzejmie się zachowałam.

Nie odpowiedział. Nie uśmiechnął się. Patrzył przez nią, wyniosły, chłodny, najwyraźniej nie poruszony przeprosinami. Stała teraz blisko niego, znajdując się na skraju jego aury, a agresja, duma i butna obłuda były tak rzeczywiste, iż mogłaby ich dotknąć.

— Czy mogę zrobić zdjęcie... proszę pana — dodała ze śmiechem.

— Nie!

— Dlaczego nie?

— Nie muszę się pani tłumaczyć. — Jego głowa odchyliła się. Obserwował Pat jakby z odległej planety.

Serce dziewczyny zabiło szybciej. Tego się nie spodziewała, i dlaczego żołądek jej nagle zdał się bez dna, usta wyschły jak pustynna nizina, a gdzież jest odruchowy gniew, który w innym przypadku już by w niej wzbierał?

— Nie lubi pan, jak mu się robi zdjęcia? — spytała po prostu. Było to na wpół pytanie, na wpół stwierdzenie faktu.

Odwrócił wzrok od niej ku domom, jakby jej uwaga nie zasługiwała na odpowiedź.

—Jak pani myśli, dlaczego wszyscy tu mieszkają? — zapytał nagle. — No, aktorzy.

—Ponieważ to najdroższa plaża w Malibu. Dlaczego Malibu? Ponieważ tu jest spokój? Nie wiem. Pan jest aktorem?

Machnięciem ręki dał do zrozumienia, że nie o niego tu chodzi, gestem, który zaświadczał, że wyłącznie o niego chodzi.

—Myślę, że ma to coś wspólnego z zemstą — powiedział.

—Zemstą? Chodzi o to, że sukces jest najlepszą...

—Właśnie. — Odwrócił się do niej, a płonące z tyłu słońce zbladło na żółtą błahostkę w porównaniu z ciepłem jego absolutnie niespodziewanego uśmiechu. Cała twarz młodzieńca zanurzyła się w nim jak skoczek, szybujący do wody z wysokiej trampoliny, a Pat Parker została wessana w jego płynną intymność, przeszzyła irracjonalną radością z powodu znalezienia prawidłowej odpowiedzi na zadaną jej mini-zagadkę. — Widzisz, nikt w nich nie wierzył, póki nie zrobiło się za późno — rzekł. — Nie za późno na sukces, ale na to, żeby miał znaczenie.

—Czy ludzie w ciebie wierzą?

Chciała oderwać się od „nich”. Chciała dorwać się do „niego”.

— Ja wierzę.

—Czy to wystarczy?

—Na razie. — Znowu się uśmiechnął. A raczej wzmogła się intensywność jego pierwotnego uśmiechu.

—W dalszym ciągu chcę zrobić ci zdjęcie.

—Jeśli ja będę mógł zrobić tobie.

Roześmiał się mówiąc to, świadom, że nie będzie chciała. Wydawało się, że już ją zna.

—Jestem fotografikiem. Nikt nie robi zdjęć fotografikowi.

—W porządku, wiesz już teraz, jak się czuję.

Pat zrezygnowała. Z fotografii. Nagle przestała wydawać się taka ważna. Inne rzeczy, owszem.

—Jesteś stąd? — spytała.

—Nikt nie jest stąd. Mieszkam w Nowym Jorku. I jestem aktorem. Właśnie skończyłem Juilliarda. Jestem Tony Valentino. — Wyciągnął do niej rękę.

Ujęła ją, a jego mocny uścisk zamknął się na jej dłoni, zacieśnił, a następnie uwolnił jej rękę. Nie było chęci flirtu ani w jego dotyku, ani w obserwujących ją

oczach. Całe jego zachowanie mówiło, że jest ponad takimi przyziemnymi sprawami i poza nimi. Lecz Pat zapamiętała dotknięcie jego skóry, pierwsze przelotne otarcie się ciał, i uczuła mrowienie w krzyżu oraz lekkość w sercu.

—Ja też jestem z Nowego Jorku. Czy to nie dziwne, że nie jesteśmy przyjaciółmi? — zażartowała.

—Tak, to duże miasto — odparł. Jego odpowiedź była zaskakująco dosłowna i Pat wstrząsnęła świadomością, że nie ma on poczucia humoru. Zakładała, że ludzie powinni je mieć. Świat uważał, że to ważne. Choć ona nigdy specjalnie go nie ceniła. Ci, którzy śmieją się z siebie, zazwyczaj są śmiechu warci. Tylko ludzie traktujący siebie poważnie do czegoś dochodzą. Wirujące muszki przy koszuli czy poduszki, wydające charakterystyczne dźwięki, to śmiertelni wrogowie domów na Broad Beach.

—Chcesz się przejść kawałek po plaży? Uchodźcy z Nowego Jorku powinni trzymać się razem w krainie czarów. Możemy wzajemnie działać sobie na nerwy.

—Jasne — powiedział.

—Chcesz zobaczyć Zumę i innych ludzi czy Broad Beach i postaci z rojeń o zemście?

—Gdy rozmawiam z tobą, nie obchodzą mnie inni ludzie — oświadczył Tony Valentino.

Odrzuciła głowę w bok, by okazać, że nie całkiem rozumie, o co mu idzie. Zabrzmiało to podejrzenie, jak komplement w ustach najwyraźniej do czegoś takiego nie przywykłych. Mogło też świadczyć o skupieniu Tony'ego, na przykład: Gdy z kimś rozmawiam, kimkolwiek by ten ktoś był, koncentruję się wyłącznie na nim.

— Chodźmy do Zumy. „Beach Boys”, Gidget i Frankie Avalon. Moja mama dałaby wszystko, by się tu znaleźć. — Na myśl o tym Pat zamrugała powiekami. Być może, najcenniejszą rzeczą, jaką w całym życiu matka dla niej zrobiła, było posłużenie za temat rozmowy. Spojrzała na Tony'ego i zadrżała, zdumiona jego wyglądem.

Był kompletnie załamany. Opuścił barczyste ramiona, schylił wyniosłą głowę, a jego regularne rysy, tak dumne i wspaniałe, ściągnęły się straszliwym smutkiem. Zmiana nastroju była przerażająca, gdyż nastąpiła tak nagle, całkowicie wymiatając poprzednią bez troskę.

—Co się stało? — spytała szybko Pat, gdy zadźwięczały w niej dzwonki alarmowe.

—Moja matka umarła w zeszły piątek — powiedział roztrzęsionym głosem. Twarz pochylił w dół, ku piaskowi. Pat nie mogła jej dojrzeć. Ale wiedziała, jak wygląda. Mgła skryje zuchwałe oczy. Zmysłowe wargi będą drżały. Wyciągnęła rękę. Musiała go dotknąć. Jej dłoń opadła mu na ramię.

— Strasznie mi przykro — rzekła. I naprawdę było jej przykro. To coś niezwykłego. Nieznajomy poruszył ją swą urodą, a teraz porusza ją swym smutkiem. Myliła się co do jego nieczułego serca. Łamało się na jej oczach.

Uniósł ku niej twarz, oszalała, znękana, nie wstydzącą się swej słabości, jak przedtem nie pamiętał o swej sile. Łzy wypełniły mu oczy, zawisając pod powiekami u nasady długich rzęs. Zaczerpnął głęboko oddechu, zbierając się w sobie ogromnym wysiłkiem woli.

—Nie przyzwyczailem się. Nigdy do tego nie przywyknę.

—Z czasem będzie ci lżej. — Pat wypowiadała banały, które stanowiły wszystko, co język może zaoferować w chwilach najwyższej wagi. Wsunęła rękę pod jego ramię zadowolona, że na to zezwolił.

—Chyba tak. — Jego śmiech zabrzmiał gorzko, gdy przyjmował do wiadomości te słowa pociechy, uznając ich nieadekwatność, lecz zarazem i niezbędną. — Kłopot polega na tym, że uganiając się za różnymi rzeczami nie zdążyłem jej powiedzieć, jak bardzo ją kocham.

—Myślę, że wiedziała. — Pat wiedziałyby. Nigdy nie widziała niczego tak wyrazistego, jak ten stojący przed nią mężczyzna. Uczucia ujawniały się na jego ramieniu, pod jej palcami, w miejscu, gdzie powinien być rękaw. Wybuchwały z jego odwiecznych oczu. Promieniowały ze spowijającej go charyzmy. Jego uczucia mogą nie być miłe, uprzejme ani czułe, lecz nie da się ich lekceważyć. A obiekt jego miłości będzie oblany światłem tak jasnym, że stopi niebiosą.

—Dziękuję — rzekł.

A gdy to powiedział, Pat zorientowała się, o co chodzi. Już go pokochała.

Pat Parker siedziała samotnie w zatłoczonej restauracji i jeszcze raz spojrzała na zegarek. Było pół do ósmej. Spóźniał się już pół godziny. Popijała wodę mineralną „Calistoga”, lecz lód się stopił i woda traciła gaz. Podobnie jak ona. Klientela „Zooma Sushi” nie poprawiała jej humoru. Wszyscy wokół byli młodzi, supermodnie ubrani i świetnie się bawili, czego o niej nie można powiedzieć. Śmiali się, chichotali, a ich lśniące brązowe ciała tętniły na tle przeważnie białych ubrań i

nie ulegało wątpliwości, że ci ludzie kręcili się koło filmu. Potwierdzały to zaparkowane przed restauracją dżipy, kabriolety „Corvetta”, kondiały ferrari i jaguary ze składanymi dachami. W tej modnej knajpie w Malibu rzucano forszą, tkano misterne sieci, załatwiano role, robiono interesy.

Pat westchnęła. Jejku! Czyż mogła aż tak się pomylić? To najstarsza pomyłka na świecie. Przystojny chłopak na plaży. W Malibu! Krótka rozmowa. Znajomość zawarta w przyśpieszonym tempie. Emocje zemocjonowały ich. Przyznał się nawet, że jest aktorem. Szli po piasku trzymając się za ręce, wypili zimną colę przy straganie z żywnością w Zumie, a Pat słuchała oczarowana historii życia swego towarzysza, a właściwie obserwowała go, wyrażona z równowagi urodą i niezwykłą wyrazistością twarzy i gestów. Jego osobowość była tak rzeczywista. Nie miał w sobie cienia chępliwości, nie uczynił najmniejszej próby poflirtowania z nią. Uwierzyła w niego bez wahania. Teraz nie była taka pewna. Z dala od jego wewnętrznej siły zaczęły się wkradać wątpliwości. Zegar wskazywał, że spóźnił się pół godziny. To fakt. Całkiem możliwe, że to pierwsze pół godziny życia bez Tony'ego Valentina. Uniosła dłoń i chwyciła za rękaw przechodzącego kelnera. Zatrzymał się i uśmiechnął, uroda modela i jasne włosy związane w kucyk zdradzały aktorskie aspiracje.

—Zjem coś — powiedziała. — Chyba wystawiono mnie do wiatru.

—Nie — rzekł Tony Valentino.

Stał nad stolikiem jak Heathcliff na przeklętym wrzosowisku, zadumany, nachmurzony, czarny jak chmura burzowa na tle pastelowego kolorytu restauracji i gości. Miał na sobie skórzaną kurtkę, wytartą, lecz nieskazitelnie czystą, a pod nią zwykły podkoszulek bez napisów, sztywny i biały na tle oliwkowej szyi. Kawalerski pas z klamrą podtrzymywał standardowe spłowiełe levisy. Z nogawek wзираły czarne kowbojskie buty, na jednym widniała matowoczarna ostroga. Położył poobijany hełm na stoliku, a na zewnątrz, przez panoramiczne okna restauracji Pat dostrzegła motocykl „Kawasaki Ninja”, pomalowany w białoczerwone pasy — najwyraźniej jego środek lokomocji. Światło padało nań z góry i z tyłu, jak przedtem na plaży, tak że rysy jego były niewyraźne, jakby celował w tajemniczości, a cała jego istota stanowiła skomplikowaną próbę przebrania, kamuflażu i rozkosznego podekscytowania nieznanym.

—Hej — rzekła Pat neutralnym tonem, czekając na przeprosiny. Lecz już traciła przewagę. Okropne pół godziny zdążyło przeminąć. Egzotyka obiecywała cu-

downą przyszłość. Kryła się w sposobie, w jaki dzierzył broń swego ciała. Przypominało włócznię, unoszącą się nad nią, gotową przebić jej serce. Nasuwało na myśl niebezpieczeństwo. Groźba nie była jawna, lecz Pat wszędzie ją dostrzegała. Wisiała w powietrzu, parowała z krawędzi jego barczystych ramion, wybijała rytmy dżungli w dołku pod piersiami Pat.

—Przepraszam za spóźnienie — rzekł. Nie podał żadnego usprawiedliwienia, wygłosił tylko formułkę. Podeszedł do krzesła naprzeciw niej i usiadł. Ujrzała wówczas w pełni jego twarz. Nie wyglądał na specjalnie zmartwionego. Wyglądał absolutnie cudownie.

—Czy przychodzenie na czas sprawia ci kłopot? Niepunktualność musi komplikować ci życie — jako aktorowi.

—Nie sprawia mi kłopotu. — Uśmiechnął się z jej niezadowolenia. Oczami prowokował ją do podtrzymania tematu. Owo „mi” dźwięczało delikatną nutą szyderstwa.

Pat poczuła, że zapłonął w niej lont gniewu. Rozum powiedział jej, by go przygasiła. Nie знаła faceta na tyle dobrze, by się z nim kłócić. Gdyby pragnęła tylko z nim walczyć, powinna natychmiast opuścić restaurację. Tak samo zaczęli, od pewnego rodzaju starcia. Teraz to się powtarza. Ależ on jest cholernie z siebie zadowolony. To niesprawiedliwe, by ktoś się tak stawiał i był taki piękny. No dobra, podobał się jej, ale to nie wystarcza. Chciała nad nim panować, akurat miała po temu dobrą pozycję wyjściową.

— No więc mnie sprawia to kłopot. Czekam tu trzydzieści cholernych minut. Mógłbyś przynajmniej wymyślić jakąś wymówkę. To się nazywa dobrym wychowaniem.

— Kłamstwa poprawiają ci humor?

Znowu uśmiechnął się tym cudownym uśmiechem, który wyprowadzał ją z równowagi. Kłamstwa są dla małych ludzi — czytała z niego. Dla tchórzy, dla tych, którzy nie są dumni z siebie i swego zachowania, dla słabych, zważających na to, co myśli świat. Wbił w nią oczy. Domagał się odpowiedzi. Została zepchnięta do defensywy, a to on się myli. Ale czy rzeczywiście?

Czy kłamstwa poprawiały jej humor? Tak, ale do czegoś takiego nigdy się nie przyzna. Lecz odpowiedź przecząca oddałaby mu zwycięstwo jak na talerzu. Próbując ukryć, że podpada pod paragraf 22, Pat nic nie powiedziała.

Chwyciła menu, wściekła, a jednocześnie dziwnie podniecona. Nigdy w życiu nie przeżywała tych dwóch paradoksalnych emocji jednocześnie.

—Zamawiam łososia, tuńczyka, solę i kalifornijską bułkę z ogórkiem zamiast wodorostów — powiedziała. — A ty na co masz ochotę?

—Nie wiem — odparł. — Nigdy nie jadłem sushi. Będziesz musiała mi pomóc.

Pat uśmiechnęła się ze zdumieniem. Znow zrobił obrót o sto osiemdziesiąt stopni. Absolutna wrażliwość pojawiła się zamiast niemal arogancji stuprocentowego macho z poprzedniej chwili. Lecz Pat zdawała sobie sprawę, jakie to powierzchowne. W istocie jego zachowanie wynikało z charakteru, którego uderzające cechy stanowiły uczciwość i odwaga. Spóźnił się, nie podał żadnej wymówki i musiał za to przeprosić. Nie wstydził się tego i nie wygłaszał kłamstw. Nigdy przedtem nie jadł sushi. To był zwykły fakt. Nie martwił się tym, że mogłoby to świadczyć o braku wyrafinowania. Mógł też zaproponować inną restaurację, gdy Pat rzuciła myśl, by spotkali się w „Zooma Sushi”, ale nie chciał. Nie bał się własnej ignorancji ani też nie wahał się poprosić o pomoc osobę, która miała zarówno powód, jak i broń, by spróbować miniupokorzenia.

— Nooo, to taka surowa ryba — rzekła Pat. Coś w niej pragnęło, by zrezygnował z obrzydzeniem, by boska twarz skrzywiła się w grymasie wstrętu zwykłego śmiertelnika.

—Tak, wiem. Czekałem, by mną pokierował jakiś smakosz.

—Dlaczego mam wrażenie, że niewielu ludzi tobą kieruje?

—Bo wiem, dokąd idę.

—A dokąd?

—Na szczyt.

—Czego?

—Aktorstwa. Kina. Świata.

Pochylił się ku Pat, prowokując ją do śmiechu ze swej zarozumiałości. Ale nie chciała. Może to i była ambicja śmiechu warta, lecz nie wtedy, gdy wyrażały ją te usta, nie wtedy, gdy związana była z tymi ognistymi oczami. Absolutnie nie miała wątpliwości, że jest to możliwe do zrealizowania. Pat wiedziała, ile może zdziałać siła woli. To wiara zdmuchuje opozycję i kruszy na proch przeszkody. To paliwo utrzymujące cię w ruchu, gdy zbiornik jest pusty. Ta siła motywacyjna niczego nie

kocha więcej nad słowo „niemożliwe”, gdyż daje ono możliwość udowodnienia, że ten głupi świat się myli.

—Czy masz plan działania? — odważyła się zapytać Pat. Ten chłopiec nie był przeciętnym hollywoodzkim marzycielem, niefortunnym żołnierzem armii wierzących bez nadziei, którzy kończą jako mięso armatnie w wojnach Miasta Marzeń. Lecz jego sny o potędze winny zawierać realne konkrety. Laserowy cel nie może być wymierzony wyłącznie w gwiazdy. Musi mieć też ziemskie dążenia.

—Wracam do Nowego Jorku. Dostałem małą rolę w scenicznej adaptacji „Na wschód od Edenu”. Potrzebuję więcej doświadczenia. Za wcześnie, żeby się zakotwiczyć tutaj.

Była to właściwa odpowiedź. Wola zwycięstwa i wiara w siebie nie zakłóciły zdolności obiektywnej oceny. Hollywood nie zechce nikogo, jeśli się zorientuje, że temu komuś na nim zależy. Wolał wyobrazić sobie, że to on dokonał odkrycia, gdyż było to najbardziej pozbawione poczucia bezpieczeństwa, paranoidalne i agresywne miejsce na świecie.

— A potem znajdziesz agenta, będziesz starał się o dalsze role w teatrze?

—Tak.

—Potrzebne ci będą fotografie przy szukaniu pracy?

—Owszem. — Przypatrywał się jej.

—Mogę ci je zrobić?

—Za ile? — Uśmiechnął się enigmatycznie. — Nie mam za dużo forsy.

—Za nic. W prezencie. Wspaniale fotografuję. Jestem taką dobrą fotograficzką, jak ty aktorem. Może nawet ja jestem lepsza.

Uśmiechnęła się, by pokazać, że naprawdę tak myśli i że jest to wyzwanie. Prowokowała go, by wziął coś za nic, tego dumnego człowieka, który normalnie by tego nie zrobił. Ale już myślała o zdjęciach, które mogłaby mu zrobić. Gdyby zdołała uchwycić ćwierć jego istoty na filmie, stworzyłaby arcydzieło. Zaczęła się zastanawiać, jak go ustawić, wybierała tło, rozmieszczała oświetlenie. Był jak wolfram, bez dwóch zdań... i był nagi. O Boże, tak, był nagi jak rozmarzony dzień, w którym się urodził, skóra błyszczała mu od potu, rozgrzana żarem lamp, jego sok plamił biały papier negatywu, jego para unosiła się jak mgła z podłogi jej studia. Czy wreszcie poczuje się onieśmielony, gdy będzie krążyć wokół niego z precyzją chirurga? Czy odwróci wzrok od jej oczu, kiedy będzie buszować po jego bezbronnym ciele, najeżdżając na nie, plądrując jego wizualną wspaniałość bez

wstydu i litości? Beznamiętnie uchwyci go jak chłodny zawodowiec, wykorzysta to ciało, nie poruszona jego pięknem, będzie mu wydawać polecenia, każe przejść w tamtym kierunku, obrócić się, „och, nogi masz trochę za krótkie w stosunku do torsu, stopy ździebko za duże względem nóg”.

Sushi wylądowało na stole, unicestwiając marzenia Pat Parker. Zmieszana wzięła pałeczki, naląła do miseczki nieco sosu o niskiej zawartości sodu i przełożyła malutki wzgórek zielonego chrzanu z talerza do sosu z soi.

— Uważaj na to draństwo. Wskoczysz z siebie. Teraz zanurz rybę w sosie, dodaj szczyptę imbiru, odrobinę chrzanu i wsuwaj. O tak.

Sięgnęła po lśniącego łososia, trójkącik surowej ryby spoczywający na małym, ściśłym wzgórku białego ryżu. Pomieszała nim w soi, tak by ryż nasiąknął sosem, przybrała chrzanem i imbirem i podała mu przez stół.

Pochylił się pozwalając, by go nakarmiła, lecz nie odrywał wzroku od jej oczu, i w tej chwili nie chodziło o jedzenie. Szło o branie i dawanie, o czułość i troskę o ludzi, a także, bez wątpienia, o to, że zjadasz i zjadają ciebie.

— Mmmm, to dobre — wymamrotał. — Jak wędzony łosoś. Dziękuję. Pat czuła, jak eksploduje w niej uczucie. Oszalał ją. Była

zazdrosna o rybę. Pragnęła być nią głęboko w zakamarkach jego ust, cała obla-
na śliną, by za chwilę zniknąć w rozkosznej ciemności jego ciała. Wiedziała, że po
prostu gapi się nań z ustami półotwartymi w uśmiechu dojmującej tęsknoty. Wie-
działa, że to zauważy i prawdopodobnie uzna za słabość, ale nic nie mogła pora-
dzić. Po prostu tak jest. Musi się tym zająć pan Uczciwy.

— Jakie zdjęcia robisz?

Zdjęcia? O co mu chodzi? Jakie zdjęcia? A, tak. Rzeczywistość, nie parująca
dżungla pożądania.

—Głównie reportażowe. Również portrety. Właśnie zawarłam umowę z pi-
smem *New Celebrity* w Nowym Jorku.

—Pismo miliardera, które redaguje ta Angielka?

—Właśnie.

—Znasz ją? — spytał.

—Emmę Guinness. Tak. Jadła lunch w tym domu na Broad Beach, gdzie się
spotkaliśmy.

—Naprawdę?

—Tak. Dlaczego?

—Poznałem ją parę dni temu. Była na dyplomowym przedstawieniu u Juilliarda. Podeszła do mnie i zaczęła gadkę w stylu: „Zrobię z ciebie gwiazdę”.

—Emma Guinness? Niemożliwe!

—Ależ owszem, możliwe.

—I? — O Boże! Chyba jeszcze za wcześnie na zazdrość.

—Byłem dość niesympatyczny. — Uśmiechem skwitował niedomówienie.

—Co jej powiedziałaś?

—A coś tam. Nic przyjemnego. Teraz jest moim wrogiem.

—Dość potężnym, co? Myślę, z punktu widzenia kariery. Czy naprawdę chodziło o próbę łózkową? — Przez głowę Pat przebiegały różne myśli. Emma i jej pływackie fantazje. Niska, przysadzista Emma i jej rojenia o imperium Lathama. Emma o wielkich cyckach, która skrzeczała, wznosząc się milę nad Ameryką. Lecz przede wszystkim usiłowała wyobrazić sobie Emmę, szastającą się wobec Tony'ego Valentina. To nie danie na słaby żołądek.

—Tak, absolutnie. Nie wymyśliłem tego, jeśli masz jakieś wątpliwości.

—Cieszę się, że ją olałeś — rzekła Pat z przekonaniem, którego nabrała dziwnie szybko.

—Nie chciałbym dla niej pracować.

—Mam nadzieję, że kobiecie będzie łatwiej. — Pat roześmiała się. — W gruncie rzeczy jest całkiem zabawna i bardzo inteligentna. Latham ma nadzieję, że wyciągnie jego pismo z dna. Zatrudniła parę inteligentnych osób. Między innymi mnie.

—Jaki jest Latham? — spytał nagle Tony.

Pat zamilkła. Musiała się zastanowić.

— Taki gładki, niebezpieczny, dość miły. — Urwała. — Właściwie trochę podobny do ciebie.

—Starszy. Bogatszy. Potężniejszy.

—Na razie — przyznała Pat.

Ich oczy zatopiły się w sobie. Emma i Tony odebrali jej odwagę. Czy możliwe, że Latham i Pat odbierają odwagę Tony'emu?

— Słyszałem, że to skurwysyn.

Pat uśmiechnęła się triumfalnie. To coś konkretnego. Spozrzegła iskierkę zazdrości.

— Tylko jeśli mu się na to pozwoli. Przez parę minut jedli w milczeniu.

—Czy wiesz, że właśnie kupił wytwórnię Cosmos? — Pat rzuciła przynętę. Jeśli pieniądze były płomieniem, który przyciągał kobiety jak ćmy do osoby Lathama, równie dobrze studio filmowe mogłoby być lepem dla takiej muchy, jak Tony Valentino.

—Nie wiedziałem o tym — powiedział wolno Tony.

—Chciałbyś się z nim spotkać? — Wiedziała, że igra z ogniem.

—W jakim charakterze? — On również.

—Och, jako mój przyjaciel. Jako aktor. A niby w jakim jeszcze?

—W nadziei, że załapię się na jakąś rolę w filmie Cosmosu? — Z jego głosu przebijał sarkazm. Dźwięczało w nim też oskarżenie. Dawał do zrozumienia, że jej sugestia nie była specjalnie odległa od propozycji Emmy Guinness. Wyraz jego twarzy mówił, że Pat go rozczarowała.

Wycofała się szybko. Agresja była pierwszą reakcją, ilekroć przyłapano Pat na nieczystej grze.

— Daj spokój, Tony. Wiesz, że to się nie tak załatwia. Właściciele studia nie mają wpływu na obsadę. Różne rzeczy można powiedzieć o Dicku Lathamie, ale w każdym razie zna się na tym, co robi.

Czy spokojnie, skoro przytarło mu się nosa? Akurat!

—Więc po jakiego diabła „twój przyjaciel aktor” miałby się spotykać z tym starym prykiem? — Warga wygięła mu się pytająco.

—Daj sobie lodu, Tony. To tylko taki pomysł. Myślałam, że warto nawiązać z nim znajomość, to wszystko. To jest Kalifornia. Jesteśmy w Malibu. Tak się robi.

—Ja tak nie robię, Pat Parker — rzekł Tony po prostu. W jego głosie nie było gniewu, jedynie cierpliwe pragnienie, by zrozumiała. — Jestem dobry w tym, co robię, i mam zamiar być najlepszy. Prędzej czy później wszyscy to uznają. To tylko kwestia czasu. Nie muszę szukać dojsć, miotać się ani wchodzić bez wazeliny. Wystarczy, że będę robił to, co robię. A ty nie zachowujesz się tak samo z fotografiami?

— Nie, ja nie — odparła Pat porywczo. — Zrozum, świat jest zavalony nie odkrytymi talentami. Ludzie rozgniatają je na drodze. Są tu fotograficy, przy których jestem jak ślepa. Ale nikt ich nie zna, są nikim i takimi pozostaną, jeśli będą wyznawać twoją filozofię. Musisz się sprzedawać w tym życiu, w tym kraju, inaczej nikt cię nie kupi. Musisz mieć wdzięk. Musisz ich łapać na miód, nie na ocet. Nie wystarczy być wspaniałym. Trzeba ich przekonać, żeby spojrzeli, zoba-

czyli, zrozumieli. A jeśli artysta nie umie sam chodzić koło tych reklamarskich mówien, niech się przyssie do kogoś, kto to potrafi.

Pochyliła się ku niemu, by podkreślić znaczenie swoich słów.

— Gdybyś naprawdę w siebie wierzyła, nie mówiłabyś tak — powiedział. — Szukasz dojść, bo nie masz pewności co do swego talentu i nie wierzysz, że publiczność się na nim pozna. To błąd. Zawsze mają rację. Zawsze wiedzą. Każdy gram energii powinien pójść w pracę. Szkoda najmniejszej odrobiny na te gówna.

Pat głęboko zaczerpnęła oddechu. W jego naiwności było coś wspaniałego. Świat go nie skaził. Pewnie nie można go skazić. Było w tym coś przerażającego. Ścieśniona wizja dawała w rezultacie spojrzenie ograniczone, ale zdecydowana. Valentino postanowił wziąć byka za rogi. Niewielu ludzi na to się odważyło.

—Tony, Tony — błagała. — Posłuchaj mnie. Gdybyś uprawiał swą sztukę jedynie dla sztuki, dla własnej satysfakcji, może miałbyś rację. Mógłbyś malować obrazy albo grać w potajemnie wystawianych sztukach i wtedy oczywiście liczyłyby się tylko twoja ocena. Ale chcesz czegoś więcej. Chcesz, żeby uznał cię świat. Pragniesz sławy. Do cholery, chcesz być gwiazdorem filmowym. Pragnienie jest artystycznie nieczyste. Tak jak pragnienie pieniędzy. Nie mówię, że to złe. Mówię tylko, że chcesz rywalizować na rynku, a jeśli tego pragniesz, musisz zawiązać rękawy, zacząć sprzedawać marzenia i przerzucać gówna. W przeciwnym razie, niezależnie od tego, jak jesteś wielki, przegrasz ze sprytniejszym kramarzem, który lepiej się reklamuje. Nie rozumiesz tego?

—Nie uważasz, że wiara góry przenosi?

—Raczej postawiłabym na nitroglicerynę.

—Wiara i silny materiał wybuchowy. To dobre połączenie.

—Tak, moglibyśmy stanowić dobre połączenie, Tony Valentino — rzekła Pat Parker i wyciągnęła rękę przez stół, by dotknąć jego ramienia.

Panujące w studiu Alabamy chaotyczne zamieszanie było powierzchowne. Gładkie deski podłogi pokrywała folia i zużyte pudła po filmach „Polaroidu”. Płachty różowego, białego i rdzawobrazowego papieru zwisały bezwładnie ze słupków, oparcie krzeseł, z pomalowanych na czarno ścian, do których przypięto je pinezkami. Do pokoju spływały promienie słońca; muzyka rockowa „Full Moon Fever” Toma Petty’ego i „Heartbreakers” wzmagająca podniecenie wibrujące w rozedrganym powietrzu. Na szpulach taśm piętrzyły się stosy obiektywów, kadłuby

hasselbladów, słoje wazeliny, stosowanej dla uzyskania miękkości obrazu, szczoteczki do czyszczenia obiektywów, puszki po dietetycznej coli. A w tym wszystkim, jak rewolwerowiec na ulicy zasypywanej ołowiem, zanurzała się i buszowała Pat, trzaskając zdjęcia, a aparat strzelając kołysał się na podobieństwo dwunastostrzałowego pistoletu o sześciu komorach, który nigdy nie chybiał celu.

Całkowicie wyzbyty był nieśmiałości, czego się nie spodziewała. Była to jeszcze jedna niespodzianka w magicznym procesie poznawania Tony'ego i gdy Pat ustawiała się, by ująć go pod nowym kątem, jedynie część z niej patrzyła nań jak fotograf. Reszta już była kochanką.

Był nagi do pasa, skóra błyszczała mu w świetle reflektorów, cienkie pasma włosów układały się w literę T, biegnącą od torsu do mokrego od potu pępka. Oparty o czarną skórę krzesła, z podbródkiem na dłoni, wyciągniętymi prosto nogami w błękitnych dzinsach, wpatrywał się w przestrzeń tak jak w chwili, gdy go po raz pierwszy ujrzała.

Wysoko na galerijce, biegnącej u wierzchołka studia, obserwował ich Alabama. Patrząc, jak Pat dyryguje skomplikowaną orkiestrą zdjęciową, stwierdził, że jest tak dobra, jak się tego spodziewał. Każdy niuans oświetlenia, każdy kontrast, każdy ruch winien być rozpoznany i spożytkowany. To, czego brakło, należało stworzyć, co niepotrzebne — odrzucić. Czułość filmu, czas naświetlania, ogniskową, głębię pola trzeba wrzucić do umysłowego komputera, czuwając jednocześnie, by obiekt zdjęciowy był rozluźniony, a jednocześnie podekscytowany, winno się nim kierować i manipulować, aż wyczerpią się już artystyczne możliwości chwili i delikatną perswazją nakłoni się wielkość, by przeszła na film. Pat rozporządzała wiedzą, ale i czymś więcej. Angażowała się. Nie była jedynie widzem. Włączała się emocjonalnie do akcji. Część jej osoby dokonywała sztuczek technicznych, przede wszystkim jednak nastawiała się na działanie instynktowne. Fotograf i model stopili się w magiczną całość, pozwalającą każdemu z nich wyjść poza siebie. Ich dusze opuściły ciała i unosiły się między nimi w powietrzu, zlewając się razem w pulsującą harmonię uczucia. Było jasne jak słońce, przesycające światło dzienne, że zaczyna się między nimi miłość.

Zachichotał do siebie. Niegdyś żył na ostrzu uczucia, gdy świat był ożywiony i pełen intensywnego znaczenia, występującego pod ogólną nazwą: młodość. W tym właśnie momencie Pat uniosła ku niemu wzrok, świadoma jego obecności wskutek podwyższonej wrażliwości w trakcie procesu twórczego. Uniósł kciuk w

górze i skinął raz i drugi, uśmiechając się do niej, a ona odwzajemniła uśmiech w podzięcie za potwierdzenie tego, co już wiedziała.

— Wstań, Tony — rzekła. — Spójrz w przestrzeń, podnieś brodę, wysuń prawe ramię trochę do przodu, lewe ramię do tyłu — jakbyś szedł, ale się nie ruszaj. Wspaniale. Cudownie. Wyglądasz niesamowicie. O Boże, wyglądasz rewelacyjnie.

Strumień wymowy był pieśczętą, która zbliżała go do niej, a jego ciało automatycznie reagowało na polecenia. Był naturszczykiem, intuicyjnie przyjmującym wskazówki, jego ruchy uprzedzały jej pragnienia, gdy przybierał pozy jak marzenie. Nie potrafił tego dokonać żaden model. Ani nikt słaby. Ten chłopiec był w zgodzie ze swoim ciałem, a siła przyciągania, jaka od niego biła, przydawała wagi i głębi pozom, które w przeciwnym razie sprawiałyby wrażenie narcystycznych, niemal zniewieściałych. Oto męskie piękno — surowe, nie rozwodnione, porażająco samcze i wyzute z wszelkiej miękkości czy sztuczek. Uczciwość wyjdzie na zdjęciu i wszyscy, którzy je zobaczą, będą wiedzieli, że Tony Valentino jest równie twardy i rzeczywisty, jak stał w jego oczach.

Do diabła! Nie włożyła filmu. Oddarła tył hasselblada, sięgnęła po następny i przyczepiła go. Spojrzała ku Alabamie, ale już zniknął. Z powrotem zwróciła wzrok na Tony'ego. Uśmiechnął się do niej, wyginając ciało w świetle, jakby poruszał się pod wodospadem. Dobrze. Zagłębił się w to. Był z nią. Magiczna chwila nie minęła. A teraz są sami.

Spojrzawszy przez wizjer ujrzała, jak obiektyw przebiegał po jego ciele. Co teraz? Przelknęła ślinę. Nagle ją olśniło. Zatrzymała się i jeszcze raz nań spojrzała. Czy może go o to poprosić? Czy zrozumie? Czy nie pojmie jej opacznie? Pytanie było w jej oczach, lecz wiedziała, że nigdy nie sięgnie warg. Nie musi. Usłyszał ją na jakiejś tajemnej długości fal i odpowiedział na innej. Z wolna, zdecydowanie, mając do dyspozycji nieskończoną ilość czasu, Tony Valentino sięgnął do klamry pasa.

Dick Latham klasnął w dłonie i oparł się o ścianę biura. Większą część pokoju zajmowała makieta. Rozciągała się na ogromnym metalowym stole, ukazując najdrobniejsze szczegóły aż po kępki bylicy, modele samochodów na parkingu, miniaturową budkę strażniczą przy bramie. Studio wytwórni filmowej Cosmos wy-

glądało jak blizna na pięciuset akrach najpiękniejszych gór świata i na ten widok serce w piersiach Lathama zabiło z radości.

Z drugiego końca pokoju uśmiechnął się doń Havers.

— Dobrze, co? — powiedział.

Dick Latham nie musiał odpowiadać. Wyraz jego twarzy mówił wszystko. Szedł śladami legend. Kiedy to wybudowano nowiutkie studio od podstaw? Handluje się nimi, ale nie buduje. Trzeba na to było Goldwyna, Mayera albo Warnera. Albo Lathama. Ojciec przewróci się w grobie z zazdrości. Jego wizja zaczynała się i kończyła na sklepach. Teraz syn, którym zawsze pogardzał, śmiało zmierza tam, gdzie nie wkroczył jeszcze żaden współczesny filmowy wizjoner. Imperium mediów Lathama miało się rozszerzyć na te obszary, od których dotychczas trzymał się z daleka — filmu fabularnego i programów telewizyjnych, a lukrem na torcie była umowa własnościowa, o wiele korzystniejsza, niż ojciec mógłby sobie wyobrazić.

— A więc na czym stoimy, Tommy?

Havers niemal zamruczał jak zadowolony kot. „Tommy” to coś niezwykłego w ustach Lathama. Znaczyło, że jest w niezwykle dobrym nastroju.

—Wszystko idzie, jak trzeba. Ziemia już załatwiona. W umowie nie ma klauzuli uniemożliwiającej budowę. Alabama dał zgodę właścicielowi. Zdaje się, że go przekabaciłeś w czasie tego lunchu. Po twojej interwencji wszystko się odmie niło. Teraz idziemy na całego w sprawie wyłączenia parceli ze strefy miejskiej. Jak wiesz, to jest biznes. Będziemy potrzebowali raportów w sprawie wpływu na środowisko, będziemy też musieli wejść w układy z grupami właścicieli ziem skich, Kalifornijską Komisją Wybrzeża, ludźmi walczącymi o prawa miejskie.

—Czy nasza parcela leży w granicach proponowanej strefy miejskiej Malibu?

—Przynajmniej w osiemdziesięciu procentach.

—Więc powinniśmy jak najdalej przeciągać moment przyznania praw miejskich?

—Jasne, i bezwzględnie musi być kanalizacja. Studio nie może działać, gdy jest tylko szambo.

—Jak wygląda sprawa zezwoleń budowlanych?

—Ciężko idzie, ale wygrywamy. Nasi adwokaci odwalili kawał potężnej robo ty. Gdy sprawa dojdzie do publicznej wiadomości, pójdą jak burza. Na razie pla nują wszczęcie różnych procesów, by przedłużyć sprawę nadania praw miejskich,

póki nie zaklepiemy strefy. Smarujemy kogo trzeba, a politycy biorą bez oporów. Dotacje na działalność polityczną. Gratisy. Odpowiednie organizacje charytatywne. Co się da.

—Nie lekceważ miłośników przyrody, Havers. To fanatycy. Alabama jest urodzonym przywódcą. Nie lubię go, ale, do cholery, muszę go szanować. Ujai nas, gdy się dowie, co tu montujemy.

—Ależ idziemy na pewniaka. Gdyby to chodziło o klub sportowy, nie mielibyśmy najmniejszej szansy. Ale studio! W Malibu! To się musi powieść. Przecież to kolonia filmowa. Zawsze tu była i będzie. Faceci, którzy mają tu coś do powiedzenia, na pewno nie będą tacy nieprzejednani. W końcu, na miłość boską, znajdą tu robotę bez dojeżdżania. Podróż z Malibu do studia i z powrotem to jak nic cztery godziny przy dobrych układach, a jeszcze dłużej, gdy robią się korki na zjazdach z autostrady Pacific Coast. Będą udawać, że są przeciw, ale zaczną się krzątać, gdy dojdzie do zbierania funduszy, i w tym przypadku nie zażądają kwitów. Założę się, że nikt nam tu nie będzie bruździł, choć, oczywiście, mogę się mylić.

—Obmyśliliśmy wszystko, co dotyczy forsy — rzekł wolno Latham, pochylając się nad makietą Cosmosu. — A czy Grossman orientuje się w stronie technicznej?

—Tak, to fachman. Sprawdziliśmy go u najlepszych fachowców. Urządzenia dźwiękowe, studia, zaplecze to ostatni krzyk techniki. Sama aparatura nagrywająca warta jest dwadzieścia pięć milionów. Dla mnie to chińszczyzna, ale chłopcy od spraw technicznych radzą sobie bez problemów. Grossman nad wszystkim panuje. Oczywiście nie może tym później kierować. Najtrudniej będzie robić właściwe filmy.

—Jezus, najpierw jestem wandalą, potem zbawcą, a zaraz później gwałcicielem środowiska — szybciej niż na karuzeli — rzekł Latham, bardzo zadowolony z tej myśli. — Gdy zamknąłem dawny Cosmos i zamieniłem ziemię na gotówkę, byłem filistyńskim groszorem bez wyczucia historycznego. Teraz pół świata uważa mnie za sentymentalnego Cecila B. de Mille'a, a druga połowa za ekologicznego barbarzyńcę.

—Wiesz, co powiedział Ricky Nelson: nie możesz zadowolić wszystkich, więc postaraj się, żebyś przynajmniej ty był zadowolony.

—Więc kogo damy na to studio? — zapytał nagle Latham. Pytanie to zadawano w Hollywoodzie od śmierci ostatniego władcy. — Nigdy nie widziałem żało-

śniejszej zbieraniny niż stara dyrekcja Cosmosu. Wyrzucenie ich było jednym z moich lepszych posunięć.

—To delikatna sprawa — rzekł Havers. — Ma tu zastosowanie zasada Petera. Wiesz, ludzie dochodzą do szczybla niekompetencji. Prawnik, specjalista od show biznesu czy agent, żeby nie wiem jak obrotni, tak samo jak błyskotliwy producent czy reżyser, wyłożą się na takiej robocie. Człowiek robi biznes, jest twórczy, a jednak mimo wszystko ostateczny rezultat tworzy się niezależnie od szefa i zespołu. Nie wiem, czy przypadkowe procesy mają zastosowanie do Wall Street, ale szlagierowe filmy można policzyć na palcach jednej ręki.

Dick Latham podszedł do makiety i przesunął palcem po lśniąącym dachu przybudówki.

— Nie martw się, wynajdę najlepszego. Jak zawsze. I zaangażuję się w Cosmos osobiście. Wiem, że tradycyjnie uchodzi to za coś katastrofalnego, ale nie przejmuję się takimi głupotami. Skoro zmontowałem interes w mediach za dziesięć miliardów dolarów, muszę mieć jakieś pojęcie, czego chce publika.

Uśmiechnął się leniwie. Nieczęsto mówił coś takiego. Dziesięć miliardów dolarów plus minus kilkaset milionów. Jeśli się wie dokładnie, ile wynosi majątek, to nie jest on wielki.

—Panie Latham, może to pan zrobić przez sen — skłamał Havers, który uważał, że nikt nie jest do tego zdolny. — Pytanie tylko, ile czasu chce pan poświęcić na coś, w czym ma pan tylko dziesięć procent udziałów.

—Trochę, trochę. — Latham roześmiał się. — Cosmos to moja nowa zabawka. Chcę to zmontować. Puścić w ruch. Zdziwisz się, jak często dziesięć procent interesu zmienia się w pięćdziesiąt i więcej. Chcę znów skierować reflektory na kupę ludzi. Puttnam mógłby zrobić parę chwytających za serce filmów, jeśli trochę poskromi język. „Miss Sajgon” zapowiada się interesująco, a „Aspekty miłości” trzeba koniecznie zrealizować. Nie chciałbyś zobaczyć w czymś Whitney Huston? A ta Melissa Wayne? To bomba. Rozjaśnia ekran. Musiałaby podpisać kontrakt. Najchętniej długoterminowy.

—Słyszałem, że sprawia mnóstwo kłopotów.

—Ma niesamowity sex appeal. To zawsze kłopot. Można to załatwić. — Latham mówił spokojnie. Melissa Wayne stanowiła dla niego cel. Była osobą tego samego kalibru.

—Zna ją pan? — Pytanie Haversa było ostrożne. Do miejsca, w którym się dziś znajdował, doszedł dzięki nastawieniu czułek na subtelne wibracje, emanujące z Richarda Lathama. Moźni tego świata nie lubią stawiać spraw jasno. Wolą, by wszystko spowijała uspokajająca mgielka wieloznaczności. W ten sposób można zachować tajemniczość, dając jednocześnie poznać swe pragnienia i potrzeby, dążenia, które, wyłożone czarno na białym, mogłyby każdego poniżyć albo poniewczasie prześladować. Włamywacze w Watergate, konspiratorzy, wymieniający zakładników na broń, rycerze-mordercy Becketa w katedrze, wszyscy stawiali sobie za cel interpretację kaprysów swych panów.

—Nie — rzekł powoli Latham.

—Jeśli ma pracować dla Cosmosu, może powinniśmy się z nią spotkać... gdzieś w towarzystwie.

Latham podziwiał to „my”, sposób, w jaki sugestia ta wyszła od jego zastępcy. Dlatego właśnie Havers był jego numerem drugim.

—Myślałem, żeby w weekend popłynąć na wyspy. To mogłaby być dobra okazja. Ty też zabierz się z nami, Tommy. Dziś wieczór mógłbyś polecieć z powrotem do Nowego Jorku i wrócić w piątek. Przyleć do nas helikopterem w sobotę rano. Odbijamy z Cataliny. O, i zaproś tę fotograficzkę Pat Parker. Chciałbym mieć na nią oko, skoro zawarliśmy z nią umowę.

—Świetnie. Zrobię, co będę mógł. Czy tej Wayne pomachać przed nosem marchewką kariery?

—Machaj, czym chcesz — odparł Latham krótko, robiąc ruch ręką mówiący, by nie zawracać mu głowy subtelnościami proceduralnymi.

—Co myślisz o dziesięciu milionach, które konglomerat zabulił za *Interview*?

—Mieli gest. Duch Andy'ego niedługo tam będzie krążył. W porównaniu z tym dwa, które Conde Nast zapłacił za *Details*, wypadają tanio. Cztery, jakie sypnął American Express za *L.A. Style*, to mniej więcej tyle, ile trzeba. Rzuciliśmy na to okiem, pamiętasz? Przypominam sobie, że techniką szybkościową przeczytałem nudną notatkę.

—Było za małe. Latham przytaknął.

—A więc zabierasz się.

—Czeka na mnie samolot.

— W porządku, wpadnijmy więc na lunch do „La Scali”, potem pojedź rollsem na lotnisko. Przejrzyj finanse Cosmosu i porozmawiaj z Davidem Mlinar-

cem, żeby przerobił dom na Chester Square. Weźmiemy dwa samochody. Pojadę porsche. To ci odpowiada?

Głowa Haversa podskoczyła w górę i w dół. Odpowiadałoby mu samobójstwo, gdyby Latham to zaproponował.

—A jak się nazywa ta fotograficzka? — spytał Havers zmiierzając do drzwi.

—Pat Parker — odparł szybko Latham. Ale to nie dosyć. Nazwisko należałoby chyba wyeksponować. — Tak, Pat Parker.

W półmroku panowała cisza. Czerwone światło płonęło w ciemni matowym blaskiem. Pat schyliła się i sięgnęła do wody, ujmując zdjęcie za róg. Przewróciła je i zajrzała do kuwety.

— Jak wygląda? — zapytał Alabama. Zaglądnawszy jej przez ramię, nie mógł powściągnąć entuzjazmu. Widział, jak robi zdjęcia, i wyczuł towarzyszące temu podniecenie. Światło zostało zainspirowane, obiekt był inspirujący. Ujęcia, pozy, niuanse wyrazu były idealne. Gdyby ostrość wyszła dobrze, aparat nie drgnał, naświetlenie odpowiadało czułości, zdjęcie będzie arcydziełem. Wyróżniało się na negatywie, bezcenna perła między pięknymi kamieniami, toteż Alabama nie mógł się doczekać, kiedy zostanie wypłukane, osuszone, zawieszona.

— Wygląda dobrze. Bardzo dobrze — mruknęła Pat do siebie. Wyciągnęła je z kąpieli i ociekającą wodą przytwierdziła do ściany, do której przyłgnęło dzięki działaniu włoskowatości. Tony Valentino wpatrywał się w nich w przyćmionym, religijnym świetle. Czują, jak oddech uchodzi z jej ciała. Odbitka była czarowna, a to zaledwie pierwsza rolka z dziesięciu wykorzystanych. Jeśli stanowi zwiastun rzeczy przyszłych, Pat zrobiła zdjęcie swego życia. I zawsze pozostawała ta ostatnia rolka, którą oznaczyła wielkim czerwonym krzyżykiem. Jeśli to było wspaniałe, dużo lepsze znajdowało się na rolce, i ramię Pat pokryło się gęsią skórą na wspomnienie pogańskiego piękna męskiego ciała. Palec drżał jej na obiektywie, gdy skrepowana emocjonalną pętlą usiłowała nastawić ostrość. Jakoś jej się to udało, choć nie wiedziała jak, i w końcu, gdy koniecznie trzeba było coś powiedzieć, nie miała nic do powiedzenia. Tony podciągnął spodnie, jakby spuszczenie ich było najnaturalniejszą rzeczą na świecie. Zapiął pasek i opadł na sofę z pytaniem, jak poszła sesja, jakby zrobił uwagę o pogodzie. Przełknęła ślinę, wymamrotała: „doskonale” i usiłowała odpędzić od siebie erotyczną wizję, zarazem za wszelką cenę starając się utrwalić ją na zawsze w pamięci. I tak na ławie spoczy-

wały nie wywołane rezultaty, a na ścianie znajdowała się charyzmatyczna twarz człowieka, który stał się obsesją Pat.

—Nieżle — powiedział Alabama. Wezbrało w nim poczucie winy. — Chciałem powiedzieć, że jest dobre. Wspaniałe. — Był zadowolony ze zrobionego portretu, wzbudził w nim nawet pewne podniecenie. Lecz odczuwał też zazdrość. Od tak dawna nie odezwały się w nim twórcze impulsy i teraz widząc, jak wyłania się obraz, odważył się sięgnąć myślą wstecz, wspominając intensywną przyjemność przebywania w ciemni.

—Dlaczego jest taki dobry, Alabamo?

—Ach, to wielkie amerykańskie pytanie. Pytanie: „dlaczego?” — Roześmiał się. — Zawsze zakładamy, że jest na nie odpowiedź. To nasz optymizm. Europejczycy, którzy zajmują się pesymizmem, powiadają, że rzadko tak się dzieje. Popatrzmy. Technicznie jest dobre. To może jedna czwarta sprawy. Ostrość, światło rozjaśniające jeden bok twarzy, kładące cień na drugi. Powoduje to sztywność, a ta szorstkość koresponduje z wyrazem twarzy. Głównie widać to w oczach, prawda? Uchwyciłaś tęsknotę, rozpacz, samotność, a nawet okrucieństwo. Valentino jest niebezpieczny. Może cię zranić. I sprawi mu to przyjemność.

—Teoretycznie? — Pat lękała się, by Alabama nie wniknął zbyt głęboko w jej stosunek do modelu. Ostatnie zdanie w podejrzany sposób brzmiało jak ostrzeżenie.

—Albo i nie.

—Nie uważasz, że wygląda strasznie nieszczęśliwie? Właśnie umarła mu matka. Bardzo ją kochał.

—A co tu robi? Kombinuje, jak załapać jakąś rolę?

—Nie! — Zaprzeczenie Pat było nazbyt osobiste, nazbyt żarliwe. — Właśnie ukończył szkołę Juilliarda w Nowym Jorku. Studiował tam aktorstwo. Mieszka u kogoś w Malibu.

—To kobieta?

—Jakaś znajoma — rzekła Pat, niezbyt zadowolona z obrotu rozmowy. Sprawa płci „tego kogoś” sprawiała jej ból. — Też studiowała u Juilliarda. Zaprosiła go tu, by doszedł do siebie po śmierci matki.

—Musi być bogata, jeśli rodzina posiada tu dom, z którego nie korzysta. Jak się nazywa? — spytał Alabama. Znał większość długoletnich mieszkańców Malibu.

—Vanderbilt. Allison Vanderbilt. Zdaje się, że siedzi na forsie.

—Zgadza się. Prawdziwa amerykańska arystokracja. Niewielu ich tutaj. Zwłaszcza nad samym morzem. Mają parę porozrzucanych w górach posiadłości, gdzie trzymają konie. Żydzi na piachu, goje w górach, taka jest reguła w Malibu.

—Tony'emu chyba nie idzie o pieniądze. — Podniosła wzrok ku spoglądającym ze ściany oczom. O co im chodzi? O zrobienie kariery, której Tony tak pożałował? Czy to tylko błyszczyk rzucony po to, by złapać rybę, na której mu naprawdę zależało. Może złotą rybkę, jak Allison Vanderbilt, z jej milionami, drzewem genealogicznym i kreacjami, wykreowanymi przez największych kreatorów mody, by maksymalnie uwydatnić rasowość jej wyrafinowanych rysów.

—Może. Może — rzekł Alabama. — Ale posłuchaj starego, Pat Parker. Nie zwracaj uwagi na to, co mówią. Patrz, co robią.

—To nie jest plażowy żigolak, Alabamo. Nie musi na nic polować.

—Spotkałaś go na plaży. Mieszka z bogatą dziewczyną w letnim domu. Jest aktorem. Ma ambicje. Jezus, to Malibu, nie Lourdes.

—Nie rozumiesz — rzekła zimno.

—Słuchaj, mała, poradzisz sobie z tym. Zabaw się. Czym jest życie bez odrobiny dreszczyku? Zastrzegam sobie tylko prawo powiedzenia: a nie mówiłem? To jeden z niewielu pożytków podeszłego wieku. Powtarzam to coraz częściej.

Podrapał się znudzony nagle rolą troskliwego wujka.

— W każdym razie — dodał — cokolwiek z tego wyjdzie, zrobiłaś kilka rewelacyjnych zdjęć. Będiesz miała fantastyczną rozkładówkę.

— Nie mam zamiaru ich publikować. Pójdą do teczki Tony'ego. Zrobiłam je dla niego. — Dla nas. Cholera, dla siebie.

— No, zobaczymy — powiedział chichocząc Alabama.

—A zresztą wojuje z Emmą Guinness. A ona nie zamieści jego fotografii, nawet gdybym je zaproponowała. — Twarz Tony'ego Valentina patrzyła oskarżająco ze ściany, dramatyczna w swym nieugiętym pięknie. Owszem, zamieści. Każdy by zamieścił. Emma Guinness przewycięży swe uczucia, jakiegokolwiek by one były, gdy zobaczy ten materiał. Głównie i przede wszystkim jest redaktorką, a zależy jej na *New Celebrity*. Pat przemyślała to. Teraz myślała o tym ponownie. Doszła do tego samego wniosku. Zasadniczą przeszkodą w zamieszczeniu rozkładówki z Tonym Valentinem był Tony Valentino i nikt inny.

—Wydawało mi się, że twój słynny kontrakt daje ci prawo przedkładania własnego materiału i domagania się, by został zamieszczony.

Pat nie odezwała się. Miał rację. Tak w istocie było.

Niebawem będzie musiała stawić temu czoło. Problem ten coraz bardziej ją pochłaniał. Przez całe życie paliwem Pat była praca. Żyła dla niej, praca stanowiła jej podporę w trudnych chwilach. A rzadko się zdarzało, by wychodziła „jak trzeba”. Czasami była znośna, czasami dobra, a tak niezwykle rzadko jej własny bezkompromisowy osąd artystyczny uznawał jakieś zdjęcie za wielką sztukę. Lecz tu, teraz przed sobą, widziała, być może, swą najlepszą dotąd fotografię, a tam na ławce leżały inne... i jeszcze rolka filmu ze znaczkiem X. Nie można ich zatrzymać. Te zdjęcia trzeba opublikować. Niesłyszalne dźwięki lasów to dobre dla Alabamów tego świata. On jest tak wielki, tak pewny siebie, by tworzyć arcydzieła tylko dla swoich oczu. Z nią jest inaczej. Te fotografie trzeba wepchnąć na łamy *New Celebrity*, w razie konieczności powołując się na warunki kontraktu. Tego wymaga jej sztuka. Wszelki opór trzeba zmieść. Opór Emmy. Opór Tony'ego. Głęboko zaczerpnęła oddechu, gdy nieruchoma góra uczuła dotknięcie niewzruszonego obiektu. Czy może opublikować zdjęcia Tony'ego bez jego zgody? Nie podpisał zezwolenia na ich wykorzystanie, ale przecież zgodził się pozować. Ktoś taki jak on nie będzie umiał załatwić sprawy z adwokatami, lecz ich związek zostanie poroniony już w fazie embrionalnej, co jest tak niewątpliwe jak to, że po nocy nadejdzie dzień. Straci Tony'ego, nim go zdobędzie, i w imię czego? W imię sławy, której pożąda, być może, bardziej niż niepewnej miłości, jaką mógłby ją obdarzyć. Ale może uda się go namówić, by wyraził zgodę na publikację. W końcu marzenia są i jego siłą napędową. Rozkładówka zdziała dlań cuda. Jeśli świat wyrazi połowę jej entuzjazmu dla tych zdjęć, Tony będzie równie rzadkim zjawiskiem jak zęby u drozda — błyskawicznie stanie się gwiazdą. W panicznym pędzie agentów i ludzi od obsady parę osób może zostać stratowanych na śmierć. Wtedy jej podziękuję, gdyż była dla niego dobra. Wykorzystają siebie nawzajem, a miłość i ambicja złączą się w potężnym współdziałaniu, które połączy ich w jedno ciało, umysł i duszę... na wieki wieków.

Odwróciła się do Alabamy, a on uśmiechnął się do niej w mroku ciemni. Wiedział, co jej chodzi po głowie. Na początku kariery borykał się z takimi samymi problemami, póki bożek sławy nie dotknął jego ramienia mieczem sukcesu i nie wyniósł go na wyżyny, z których ze śmiechem może przypatrywać się zdjęciom

pomniejszych śmiertelników. Ten dylemat istniał od zarania fotografii. Kiedy zdradza się zaufanie fotografowanego? Kiedy sztuka znaczy więcej niż dochowanie wiary? Czy w imię najwyższego piękna cele usprawiedliwiają środki?

— Naturalnie, może się okazać, że tylko to zdjęcie wyszło — rzekł Alabama powoli. — Wtedy cała sprawa okaże się czysto teoretyczna. Masz tam jeszcze coś? A to oznaczone iksem? Co to takiego? Ukryty skarb?

Zarumieniła się w ciemności. Instykt Alabamy był fenomenalny.

— No więc... on do tego zdjął ubranie — rzekła odwracając wzrok. Nie powinna czuć się zakłopotana. Nie prosiła go o to. Żadne z nich nie zachęcało drugiego absolutnie do niczego. Ale Alabamy tam nie było. Nie wiedział, jak „właściwy” był taki postępek w kontekście tego ujęcia. Teraz brzmiało to pospolicie. Dlaczego mu powiedziała? Tak jej się po prostu wymknęło, jak to zawsze działa się z prawdą w pobliżu Alabamy. Modliła się, by nie použíwał sobie na niej. Nie použíwał.

— To byłaby logiczna konkluzja tej fotografii — powiedział po prostu. — Przypuszczam, że chronologia zdjęć wyniknie w następstwie układu. — Urwał, zamyślony. — To będzie bomba — dodał.

— Ale Tony nie zgodzi się na ich opublikowanie — rzekła.

— Pewnie nie — przytaknął Alabama. — Ale nie będzie miał racji. Może w przypadku innych tak, ale jeśli idzie o te, nie będzie miał racji.

Pat chwyciła się szansy, mile podniecona, iż Alabama się z nią zgodził.

— Alabamo, mógłbyś z nim pogadać? Jak już obejrzysz pozostałe zdjęcia. Tony wie, że jestem tym osobiście zainteresowana. Zorientuje się, że ty jesteś obiektywny.

Alabama potrząsnął głową.

— Powiem mu, że podobają mi się fotografie. To tak. Nie powiem mu, jak ma pokierować swoim życiem. Nie mam takiego zwyczaju.

— Mnie mówisz cały czas — rzekła ponuro Pat.

— Bo cały czas pytasz, a w ogóle przyjechałaś się uczyć i jesteś fotografką. W gruncie rzeczy niewiele o tym wiem.

Pat roześmiała się.

— Masz rację. Przepraszam. To mój problem, który pojawia się wraz ze wzrostem możliwości. Przed miesiącem nie mogłam robić takich zdjęć, jakie

chciałam. Teraz mam rynek zbytu, cudowne zdjęcie i powstrzymuje mnie sumienie i facet — czy też raczej, albo facet, na którego uczuciach mi zależy.

—To się zdarza, Pat Parker. Masz tak zwany dylemat moralny.

—A co ty robisz w takich przypadkach?

— Czekam i patrzę, co zrobię. To całkiem interesujące. Przytaczam argumenty za i przeciw, a potem wygodnie się rozsiadam i czekam na werdykt. Zdaje się pochodzić skądinąd i nie można go przewidzieć.

— Och, wspaniale. Dziękuję, Alabamo. Jestem widzem, nie graczem.

—Uspokój się, kochanie, i spróbuj go przekonać. Pojedź z nim na weekend. Zabierz się do niego. Pokaż mu zdjęcia. Proś. Błagaj. Szantażuj.

—Dzwonił jakiś Havers, administrator Lathama, i zaprosił mnie na jacht Lathama na weekend. Płyną na Catalinę. Powiedziałam stanowcze „być może”. Myślisz, że mogę zabrać ze sobą Tony'ego?

Alabama zawahał się. Latham go denerwował. Był teraz jego sąsiadem w dużej mierze dlatego, że Alabama wycofał sprzeciw wobec zakupu dużego obszaru ziemi. Ale go nie lubił, nie ufał mu i podejrzliwie odnosił się do zainteresowania, jakie Latham okazywał jego podopiecznej. Jednakże obecność bezkompromisowego Valentina na jachcie Lathama bez wątpienia pokrzyżuje plany miliardero- wi. Drażliwy Tony, młody, męski, o nieposkromionej dumie może wywołać na pokładzie niejeden burzliwy incydent.

7.

Pat siedziała tuż za nim, bliżej, niż to było konieczne, ramionami ciasno opasując mu talię, gdy pochylał się biorąc ostry zakręt. Czowała się jak na motocyklu Alabamy, lecz znajdowali się całe mile od drogi i tysiąc jardów od lądu. Po bokach jej gołych nóg tryskał słup wody, gdy ślizgacz sunął naprzód przez kryształowo czyste wody Pacyfiku wzdłuż opustoszałej zachodniej strony wyspy Santa Catalina. Oparła mu głowę na plecach, by uchronić się od wiatru i poczuć zapach męzczyzny, a potem spojrzała ku nagim skałom, których poszarpane zarysy pięły się ku

królewskiemu błękitowi nieba. Nie pamiętała, by kiedykolwiek była tak szczęśliwa, lecz z zachłannością kochanki chciała być jeszcze szczęśliwsza.

— Rozejrzymy się po którejś zatoczce — krzyknęła przez dmący wietrzyk ponad szumem silnika. Słońce paliło ją w ramiona, łaskocząc skórę pod świeżutką opalenizną, a Pat potrząsała włosami, na których pozostały resztki soli, przypatrując się brzegowi w poszukiwaniu skrawka piaszczystej plaży.

Zwolnił, gdy ją usłyszał, i uniósł dłoń, by osłonić oczy od słonecznego blasku. Skierował pojazd ku urwistemu brzegowi, szukając miejsca do lądowania. Obrócił się nieco i wskazał punkt, w którym kanion wrzynał się w góry. Skinęła głową, a kiedy ślizgacz skierował się ku maleńkiej plaży, z poszarpanej skały pikował orzeł, rzucając cień na lśniąca wodę oceanu. Parę jardów za linią piasku Pat przeczuciła nogi przez czerwone siodełko, przygotowując się do przeprowadzenia pojazdu przez sześciocalowe wzniesienie. Wyłączył silnik. Opadła ich cisza. Wskoczył do morza i doprowadził yamahę do brzegu.

Pchali ją przez parę minut, posługując się falkami jak łożyskami, póki ślizgacz nie wbił się bezpiecznie w stały ląd. Po czym wyczerpani wysiłkiem i skonani z upału opadli na piasek.

— Ani człowieka — odezwał się Tony. Roześmiał się z tego niedomówienia. Byli na kompletnym odludziu, tak jak zamierzali, i znaleźli się w rozkosznej pułapce. Po obu ich stronach liczące sto sześćdziesiąt pięć milionów lat skały metamorficzne wyciągały się ku niebu. Przed nimi biegł kamienny mur, wysoki może na sto stóp, urwisty i niemożliwy do sforsowania. Z tyłu rozpościerał się olbrzymi ocean. Plaża, na której leżeli, miała zaledwie trzydzieści stóp szerokości i ciągnęła się piętnaście stóp w głąb, a słońce okryło ją gorącym kocem, nagie skały oddziały bowiem ciepłe powietrze od oceanicznego wietrzyku.

— Byłoby fatalnie, gdyby silnik tu wysiadł — odezwała się Pat, patrząc z lękiem na ślizgacz pomalowany w białoczerwone paski.

— No, nie wiem — rzekł Tony. Powiedział to cicho, a Pat odczuła dreszczyk, który miała poczuć. Odwróciła się ku niemu, zezując w słonecznym blasku, by przekonać się, czy wyraz jego twarzy przydaje czy też ujmuje słowom treści. Ale Tony leżał płasko na piasku. Ocean igrał mu u stóp, a chłopak wyciągnął ramiona jak Chrystus na krzyżu, zagrzebując się w pięknie tej chwili. Pod jego pachami Pat ujrzała pasma czarnych włosów, wilgotne od morza i potu, widziała, jak musku-

larna pierś unosi się w oddechu. Oczy miał zamknięte. Twarz była maską spokoju. Jego uczucia stanowiły zagadkę.

Pat doznała ukłucia rozczarowania.

—Mam nadzieję, że nikt się o nas nie niepokoi — rzekła, wtlaczając rzeczywistość w iluzję wyspy skarbów. Widziała ich oczyma duszy. Zbliżała się pora lunchu. Rozlokują się malowniczo na pokładzie „Hedonisty” od strony rufy, wymuskani stewardzi rozniosą kanapki i taittinger rosé, Beethoven odegra swój kawałek na spręcie „Tech-nics”. Dick Latham, niedbale wytworny w markowych tenisówkach, białych bawełnianych spodniach i zwyczajnym białym podkoszulku, rozepnie zniszczone pasy boczne na przymocowanych do ściany ławach, zaprojektowanych przez słynnego specjalistę. Bez wysiłku zachowa zewnętrzny spokój, lecz w środku poczuje rosnącą irytację. Pod chłodną warstewką ogłady był sensatem. Pat to wyczuła. Lunch naznaczono na pierwszą. Zabraknie dwojga gości.

—Kogo oni obchodzą? Są w innym świecie — rzekł leniwie Tony.

—Nie obchodzi cię Allison? — Pat zagryzła wargę. Nie chciała tego powiedzieć, ale nie mogła się oprzeć. Allison Vanderbilt będzie siedzieć naprzeciwko Dicka Lathama i na pewno odmówi szampana na rzecz czegoś bardziej arystokratycznego jak cola. Nie czując się dobrze pośród ostentacyjnego dobrobytu, będzie przypatrywać się Lathamowi z całą podejrzliwością, jaką bardzo dawne fortuny żywią dla stosunkowo nowych. Przede wszystkim jednak będzie chora z niepokoju, gdyż Tony Valentino zniknął... i zabrał ze sobą Pat Parker.

Nie odpowiedział jej, a w tym milczeniu kryła się nagana. Pat opuściła wzrok. Wzięła garść piachu i przesypywała go przez palce. Allison Vanderbilt to kłopot. Havers nie wybuchnął entuzjazmem, gdy Pat warunkiem swego przybycia na jacht uczyniła obecność Tony'ego Valentina. A ona też nie szalała z radości, kiedy Tony jako warunek swego przybycia postawił obecność Allison Vanderbilt.

—Mieszkam u niej — powiedział po prostu. — Nie mogę wybrać się bez niej. — Sugerował, że jest dobrą przyjaciółką, niczym więcej ani mniej. Nie rozwinął tego tematu i nie rozwinie. Pat nie musiała psychologizować po amatorsku, by zorientować się w sytuacji. Allison Vanderbilt, której sarnie oczy rozszerzało płochliwe zdziwienie, zakochała się po uszy w Tonym Valentinie. On nie był w niej zakochany. Ale odnosił się do niej niezwykle uprzejmie, z czułą troską, która poważnie niepokoiła Pat. Ciągłe pytał, czy Allison nie jest za zimno albo za gorąco, czy jej wygodnie, i od czasu do czasu dowiadywał się, „czy nic jej nie jest?” To

ostatnie pytanie było zrozumiałe. Allison Vanderbilt wyglądała na chorą, trzymając się dzielnie, lecz wiecznie na krawędzi łoża, i wyłącznie patrycjuszowskie geny oraz górna warga z nierdzewnej stali zabezpieczały ją przed roztopieniem się w morzu płynnego nieszczęścia. Choć nie ulegało wątpliwości, że Tony i Allison nie są kochankami, nie było absolutnie żadnej pewności co do tego, czy kiedyś, w czasie swej znajomości, nie kochali się. Teraz żołądek Pat Parker zacisnął się w ciasny węzeł, przeszła bowiem przez nią fala paniki.

—Latham chce ciebie — odezwał się nagle Tony, przesywając jej myśli jak włócznią.

—Oszałałeś! — Zdumiał ją. Tak, Latham rzeczywiście się nią interesował. Bez dwóch zdań. Dlaczego, do diabła, tego nie przyzna? To niespecjalne osiągnięcie. Latham lubił wszystkich.

—Nie oszalałem. Chce ciebie. — Tony Valentino usiadł. Spojrzał na nią. Był poważny. Wszystko brał tak poważnie.

—Nie, interesuję go, bo właśnie mnie zatrudnił. Jestem nowym dzieciakiem w jego bloku. Nową zabawką. Flirtuje ze wszystkimi. Taki ma styl. Podrywa Allison. I z całą pewnością Melisse Wayne, Ona jest najważniejsza na tym weekendzie.

—Nie, ty.

—Tony! — zaakcentowała ostatnią sylabę z żartobliwą wymówką i rzuciła weń piaskiem bez przekonania, udając, że ją to żenuje. Do czego Tony zmierza? Czyżby był zazdrosny? Czy takie uczucie może kryć się za tymi obojętnymi oczyma?

—Co o nim myślisz? — spytał.

—No cóż, raczej trudno go zlekceważyć. Wydaje się jakiś nieprawdopodobny, i to nie tylko z powodu pieniędzy. Nie ufam mu. Nie mam pojęcia dlaczego. Nie jestem nawet pewna, czy go lubię, ale wydaje się zabawny, bystry i interesujący. Uważam, że to wszystko-ńie jest bez znaczenia.

—Nie może na mnie patrzeć — rzekł Tony.

—Nie zauważyłam dotąd, żebyś na niego spojrzał.

Pat roześmiała się. Rzeczywiście tak się rzeczy miały. Latham, mężczyzna kochający kobiety, zareagował na uderzającą urodę i młodość Tony'ego z entuzjazmem farmera, który odkrył lisa w kurniku. W rezultacie zmaltretowany Tony, na którym skupiła się uwaga całego towarzystwa, chłopak o dalekich oczach utkwio-

nych w dalekich marzeniach, odniósł się do Lathama jak do starszawego pedofila na pikniku dziecięcym. Latham, agresywnie czarujący i niebezpiecznie światowy, nie przepuścił żadnej okazji, by protekcyjnie poklepać swego młodego rywala po ramieniu. Valentino, z wargą wygiętą w niemal nieodmiennym grymasie lekceważenia, traktował miliardera jak żart w złym guście. Nic dziwnego, że Pat Parker stała się ich polem bitwy.

—Wiesz, pod niektórymi względami jest do mnie podobny.

—Co? — Pat opadła szczęka.

—To fakt. Cały czas cierpi. Pragnie i usiłuje to ukryć. Nałogowo czegoś dowodzi. Wszystkie jego graty, pociągi, łodzie, samoloty nic dla niego nie znaczą. Coś mu nie daje spokoju. To się rzuca w oczy.

Pat głęboko zaczerpnęła oddechu. Nigdy przedtem tak z nią nie rozmawiał. Dźwięczała w tym słabość, o której mówił, ale w jego ustach nabierała majestatu, jak męka na krzyżu, ból dla wyższego celu, większego dobra.

Usiadł przed nią, woda pluskała wokół spłowiałej błękitnej bawełny kąpielówek. Złożył ręce na kolanach jak mnich buddyjski, dłonie błagały, by pojęła, o co mu chodzi. Odslaniał się przed nią. Z głębi swej istoty wysyłał do niej sygnały. Powinna je zrozumieć. Wbił wzrok w jej oczy. Mówił o Lathamie, ale mówił też o sobie.

—Nienawidzę go. Wzbudza we mnie obrzydzenie. Ale widzę siebie. Musi mieć jasny punkt, ale ten punkt jest mój. Ja muszę mieć jasny punkt, ale on myśli, że to jego. Jest żaloszny. Ja jestem żaloszny. Ale świat myśli, że jest cudowny, i o mnie też tak będzie myślał. Czy jesteś w stanie to zrozumieć? A może wygaduję wariactwa?

—Owszem — rzekła nagle Pat. — Ale wspaniałe wariactwa. Mówisz o przeciwieństwie wygodnictwa. Mówisz o antybezpieczeństwie, pieprzysz szczęście i przeraźliwą siłę woli. Chcesz wszystko zrobić po swojemu, czy tak, Tony? Tego samego pragnie Latham. Marzycie o odmiennych rzeczach, ale obaj żyjecie marzeniami. Ta obsesja wiąże was ze sobą.

Uspokoilo go chyba jej żarliwe zrozumienie, ale nadal coś go nurtowało. Pat instynktownie zorientowała się, o co chodzi. Ona nie dawała mu spokoju. Oni nie dawali mu spokoju.

—A ty, czego ty pragniesz? — odezwał się w końcu.

—Dziękuję, że znalazłeś czas, by zapytać — rzekła miękko. Naprawdę tak myślała. To nie był wyrzut.

Uniosła wzrok ku niebu. Czego pragnęła? Jego? Tak, ale i czegoś więcej. Zaczęła mówić urywanie, w miarę napływu myśli.

— Sądzę, że pragnę czegoś abstrakcyjnego. Pragnę, tak jak pragną mali ludzie. Chcę być szczęśliwa. Chcę być kochana. Potrzebuję miłości. Praca i wykonywanie pięknych rzeczy przyniosą mi to najpewniej. Dlatego tak właśnie robię. Ale to tylko środek do celu, a celem jest satysfakcja, bezpieczeństwo i władnięcie kimś, i należenie do tego kogoś...

Zerknęła na Tony'ego, by się przekonać, na jaki grunt trafiły jej myśli.

—Masz rację — rzekł. — Masz rację, że tak uważasz. — Nie uświadamiał sobie chyba, że przybrał ton protekcyjny, i dzięki tej nieświadomości jego słowa nie wzbudziły w niej niechęci. — Stanowimy przeciwieństwa. — Uśmiechnął się, by okazać, że taką żywi nadzieję, oznaczałoby to bowiem, że mają szansę.

—Takie, które się przyciągają? — rzekła Pat, uśmiechając się do niego.

—Takie, które się przyciągają — rzekł zniżając głos, a powieki opadły mu na oczy, które nagle zapłonęły.

Nie mogła się temu oprzeć. To szaleństwo, ale nie mogła. Musiała się z nim poprzekomarzać mimo niebezpieczeństwa. Nikt nie powinien brać siebie tak poważnie.

—Takie przeciwieństwo jak Dick Latham — rzekła. Jego głos wycofał się ze skraju intymności.

—Nie baw się ze mną, Pat Parker — powiedział.

— Nie chcę się z tobą bawić, Tony Valentino. Czasami mam wrażenie, że odczuwasz poważny brak zabawy. — Roześmiała się, dworując sobie z niego, zgarnęła jeszcze jedną garść piachu i rzuciła mu na uda, by pokazać, że się go nie boi, że lubi go bardziej niż własne bezpieczeństwo.

Przez chwilę wojna szalała na jego twarzy, po czym Pat stwierdziła, że wygrała, i wezbrało w niej uczucie triumfu. Tony uśmiechnął się przepaszająco, jak mały chłopiec przyznając się do okaleczającego poczucia humoru. Ale nie trwało to długo. Uciecha stanowiła dlań obcy świat. Lecz nie żądza. Pochylił się do przodu i wyciągnął rękę, by dotknąć Pat.

Nie poruszyła się. Zastygła we wrzącym lodzie. Tylko jego palec mógł uwolnić ją z odrętwienia, w jakie zapadła. Jego dłoń spoczęła na jej ramieniu, a dotyk

ten był bardziej realny niż umysł i ciało, niż jasne słońce na niebie, niż zimny ocean, co zmienił ich w wulkaniczną wyspę napiętności, czekającą wybuchu w błogości połączenia.

Jego oczy tańczyły w jej duszy, która rozbrzmiała dla niego muzyką. Był to powolny taniec, wyrazisty i cichy, a nuty melodii słodko dźwięczały w jej ciele. Leniwie, czule, daleko jeszcze od przyszłej paniki, narastały w niej dźwięki pożądania. Spływały kaskadą z jej oczu i kołysały się do taktu z jego oczami. Jej palce zdrząły, pot pokrył górną wargę, słone powietrze rozkosznie drażniło rozszerzone nozdrza. Palec Tony'ego wodził po zarysie jej ręki. Błądził po gładkim mięśniu, wolno posuwając się po gorącej skórze dotarł do ramienia. Potem dłoń zatrzymała się, czując delikatny ruch Pat. Wzdychała do jego ręki. Wznosiła się ona i opadała tak blisko jej uroczej szyi, czekając tu, mając przed sobą całe wieki. Pat obróciła się ku jego dłoni i pochyliła głowę na bok, by ją pochwycić, aż zgmiotła ją policzkiem, miękko jak kwiat w książce. Tony czuł na twarzy gorący oddech Pat. To był początek negocjacji ciał, wzajemne ustępstwa, groźby i obietnice, wojna i pokój, które obalą wszelkie granice i zniosą wszelkie podziały, aż ostanie tylko poddanie się i zjednoczenie w straszliwej harmonii wiecznej radości.

Posunął się po piasku ku niej, aż leżeli twarzą przy twarzy. Nurzała się w jego oddechu, pochyliwszy się ku niemu, chętna na wszystko, co chciałby z nią zrobić, żadna jego miłości. Otoczył dłońmi jej głowę, trzymając ją z czcią. Zachwytył się jego oczu, zlewając się z rozświetlającym ją miłosnym blaskiem.

— Tony — wyszeptwała łamiącym się głosem. — Tony — wymamrotała znowu, kochając dźwięk jego imienia, pożądając zbliżenia, które ofiarowywał jej oczyma.

Położył palec na jej brodzie, unosząc ją ku sobie. Kciuk oparł na jej dolnej wardze, śliskiej od potu, obmywanej prądami jej oddechu. Rozchyliła wargi, by posmakować jego słoną skórę, i wysunęła język, by dotknąć palca, który pośpieszył, aby zostać dotknięty. Usta miała wyschnięte jak kanion w lecie, ale język był jeszcze wilgotny i lizał Tony'ego delikatnie, malując wrażliwe palce cenną śliną w subtelnym preludium miłosnego aktu. Palec czekał biernie, a ona bawiła się nim, wsuwając między zęby. Wciągała go głębiej w usta, wypychała, ścisnęła mocno, by powiedzieć mu o więzieniu swego ciała i o tym, jak pragnęła trzymać go w jego aksamitnych ścianach. Poruszała głową z boku na bok, kołysząc nią w tajemnych rytmach romansu, wyciągając do przodu, cofając. A cały czas szybowwały

przesłania z jej ciała, rozkoszna obawa w żołądku, krew napływająca do zeszywniałych sutków, bolesna próżnia we wnętrzu.

Wodził ręką po jej szyi, a palec, który smakowała, zagłębił się w jej włosach. Przyciągnął ją do siebie, a ona odpychała jego rękę, zmuszając go, by użył siły, domagając się, by przyznał, że pragnie jej tak samo, jak ona jego. Nadal z nim walczyła. Dorównywała mu, odważna, zdecydowana, nieustępliwa. Opór wzmógł jego siły. Przyciągnął ją teraz szorstką ręką, a usta nie były już czułe. Zamknęły się na jej ustach, miażdżąc wargi; wtargnął między nie językiem, wdzierając się w nią szorstko, tak jak tego pragnęła. Wyciągnawszy rękę przyciągnęła go do siebie, siniacząc mu wargi ustami. Przycisnął ją do siebie, mocując się z jej językiem, gasząc swą wilgocią pragnienie jej żądz. Ich zęby zderzyły się w pocałunku. Usta zwały się w jedno. To była wojna. Lecz w tym konflikcie oboje wygrają, nie dając pardonu i nie żądając łaski, gdyż walczyli o zwycięstwo rozkoszy, które każde z nich musi odnieść. Jego ciało ściśle przylegało do jej ciała, moc jego muskularnego torsu ciążyła na jej piersiach. Z wolna, nieuchronnie odciągnął ją do tyłu, aż leżała pod nim bezwładnie, z plecami zagrzebanymi w gorącym piasku, mając nad sobą jego ciało, obramowane pięknem bladobłękitnego nieba.

Nareszcie jego usta oderwały się od niej, a ona leżała pod nim spokojnie, schwytna przez ukochanego mężczyznę tak, jak to sobie wymarzyła. Uśmiechnęła się triumfalnie, pośpiesznie oddychając pulsującymi ustami, piersi wznosiły się i opadały pod jego torsem. Wąchała go. Smakowała. Boże drogi, czuła go, twardego jak skała na swych biodrach, na nogach ciążyły jego nogi, ociekająca, prześląknięta potem skóra roztapiała się na jej ciele. Ale jego twarz miała nowy wyraz. Nie był już okrutnym zdobywcą. Z rysów zniknęła szorstkość. W oczach miał czułość, której przedtem nie widziała, i zorientowała się, że teraz wieje subtelniejszy, delikatniejszy wietrzyk, co doprowadzi ją do ekstazy tak szaleńczej, jakiej dotychczas jeszcze nie dostąpiła.

Położył dłoń na jej klatce piersiowej. Sięgnął do jej piersi, sunąc palcem do jej sutka. Pod bawełną kostiumu kąpielowego jej ciało drżało pod jego dotknięciem. Pchnęła ciałem jego dłoń, a oczami błagała, by był śmiały. Usłyszał ją. Zagiał palec pod materiałem, aż zrozumiała, co chce zrobić, a on zatrzymał się, by w pełni wchłonąć tę chwilę. Pamięć musi to zatrzymać. Ten moment nie może umknąć. Przez wszystkie lata zażyłej intymności muszą pamiętać tę sekundę. Odkrył ją powoli, niemal ze smutkiem, że ten pierwszy raz już się nie powtórzy. Wyrwało

mu się drżące westchnienie. Jego oczy wypełniły się tym widokiem. Leżała płasko, ale jej pierś uniosła się ku niemu — biały trójkąt doskonałości, czysty i uroczy jak śnieg na odległej górze. Bładość, odbijająca się od brązowej jak syrop skóry, jędrność, walcząca z niewidoczną siłą ciężenia, wieńcząca wszystko świetność różowego jak muszla stożka, która przyćmiła resztę — a całość rozplynęła się za mgłą namiętności, i Tony Valentino pochylił się w hołdzie przed tą dziką pięknoscią.

Dotknął językiem czubka sutka, który wysunął się ku niemu nieprawdopodobnie sztywny. Tony czekał, wibrując wraz z Pat, czując swym ciałem, jak krew krąży w jej żyłach, zdumiony rytmicznymi uderzeniami pulsu. Przez delikatną skórę widział, jak bije jej serce, jak sutek wypręża się i kurczy wysuwając się, cofając, opadając i wypływając ku jego wilgoci. Łagodnie, z zadziwieniem lizał ją, posuwając językiem po śliskiej powierzchni pulsującej piersi. Wsuwał w nią nos, ocierając się szorstkim policzkiem o jedwabistą miękkość. Ujął kwietną różowość między zęby grożąc jej, kochając, uciskając, dziwiąc się wyprężającej się nań sztywności, sile delikatnej skóry, która więzi krew, bijącą tak gwałtownie pod powierzchnią. A cały czas słuchał cichych jęków satysfakcji narastających w miarę, jak ciało się rozpalało, a szalejący umysł planował nowe akty dramatu miłości.

Podciągnęła się w górę, opierając ciało na łokciach w wilgotnym, ciepłym piasku, a jej pierś wyprężyła mu się w ustach. Jęknęła z rozkoszy, ale cały czas pragnęła więcej. Czy tak mogłoby trwać wiecznie? Jak przyspieszyć, jak zwolnić, jak, wielki Boże, wzmóc? Sięgnęła do tyłu, by rozpiąć górę kostiumu, lecz jej umysł już odchodził od pulsujących piersi. Rzuciła skrawek materiału na piasek i, wyczerpana tym wysiłkiem, opadła do tyłu półnaga, całkowicie otwarta dla mężczyzny, który teraz zawładnął jej ciałem.

Zanurzył głowę między dwoma jędrnymi pagórkami, a jego usta wędrowały po nich, karmiąc się ich pełnością, język z rozkoszą ślizgał się po kremowej skórze. Były wilgotne od jego wilgoci, błyszczące i połyskujące od rosy jego ust, mokre też od potu jej pożądania. Zagrzebał się w jej piersiach, zatracając się w ich ciepłe, jakby pragnął jedynie ukryć się w jej ciele, stopić się z nią, stać się nią, by jego straszliwa potrzeba została zaspokojona. Lecz w tańcu zaangażowania nie ma odwrotu. Nie ma zatrzymania ruchu. Jest tylko ciągłe dążenie ku momentowi chwwały.

Jego ramiona tworzyły pylony w piasku. Podciągnął się nad nią i posuwał głowę w dół, ku miejscu, gdzie go pragnęła. Jego język wił się śliskim torem ku jej żołądkowi, zatrzymując się na pępku, sunąc znowu w dół ku skrajowi majteczek bikini. Wiedziała, co się teraz stanie, a jej serce galopowało, gdy wewnątrz wybuchła fontanna żądz, zmieniając w rzekę srebrny strumień, który z niej wyciekał.

Wygięła grzbiet i uniosła pośladki. Jej ręce znalazły pasek majteczek bikini. Ściągnęła je niżej, bez wstydu, bez poczucia winy. Spętały jej uda, tworząc zmysłowy most między naprężającymi się nogami, a ona rozpychała materiał, usiłując otworzyć się dla Tony'ego. Długie sekundy unosił się nad nią niby koliber, pragnący nektaru przesiąkniętego rosą kwiatu. Pasma jej lśniących włosów zmoczyła wonna wilgoć. Nabrzmiące różowe wargi miłosne stuliły się w płynnym, falistym morzu. Wdychał zar jej seksu, gdy skwierczała na płonącej wyżynie pożądania. Potem zniżył twarz, by posmakować Pat, zadowolić ją, kochać, a jęk zgody był muzyką ich słodkiego połączenia.

Dotknął ustami jej warg w obcym pocałunku. Nieśmiało przysunęła się ku jego ustom. Wionął na nią stłumionym oddechem. Na niego padał jej promieniejący zar, pizmo jej pożądania poszybowało do jego umysłu.

— Tak, tak — wyszeptała ochryplym głosem, zacisnąwszy mocno powieki, by zamknąć pożądanie. Roztapiała się dla niego. Cała ciepła wilgoć jej ciała spłynęła mu do warg. Jej esencja zatrzymała się miłośnie na krawędzi jego języka.

Nadal czuła jego koniuszek, miękki jeszcze, na swojej miękkości, gdy nagle zaczął się poruszać. Zadrzała od wstrząsu jego dotknięcia — to, co chciał zrobić, było tak niesłychane, tak cudowne. W krańcowej intymności jego język komunikował się z nią mową uczciwszą niż słowa.

Od tego nie ma odwrotu. To mocny fundament, na którym zostanie zbudowana reszta. Oznacza wszystko, a jednak jego znaczenie jest niewolnikiem odczucia. Doznanie i zaangażowanie stopiły się w magii chwili.

Posunął językiem w górę, płynąc w jej przypiływie, i spoczął w pulsującym centrum jej świata. Zatrzymał się, świadom, gdzie jest, świetnie wiedząc, co może teraz zrobić. Jęknęła, by go upewnić, ale nie potrzebował zapewnień. Jego kości, mięśnie, umysł istniały wyłącznie dla niej. Przez szarpiące nerwy minuty musi wznieść potężny zamek jej ekstazy, a później zburzyć go w eksplozji, od której zapłonie niebo.

Milimetr po milimetrze posuwał językiem po jej seksie. Wpierw łagodnie, potem mocniej, język stawał się twardszy, bardziej spiczasty i natarczywy. Błądził po centrum jej istoty, liżąc ją, ssąc z niej radość, nurzając całą twarz w kąpieli, którą się stała, gdy pochłonał go całkowicie jedyny cel, jakim było sprawienie jej rozkoszy. Rytmicznie pocierał o nią językiem. Niespodziewanie śmigał w jej głębinę. Ześlizgnął się z jej gładzi, po czym wsunął pod nią rękę. Dotknął napiętej skóry jej pośladków i przyciągnął ją do siebie, wciskając mocniej głowę w serce jej istoty, a ona posłała wiatrowi ostry okrzyk, gdy ekstaza ogarnęła jej umysł.

Uniósł Pat i przycisnął do ust, jak pustynny wędrowiec przyciska kielich do warg.

Rozpaczliwie szukał teraz jej językiem, który opuścił ośrodek rozkoszy, i pograżył się w płynnym morzu, zagłębiając się w mroczne zakamarki jej ciała, badając, liżąc, kochając ją. Zamknął usta nad jej otworem, wysysając z niej słodycz, a potem każda cząstka jego twarzy przyłączyła się do walki o jej radość. Wygięła grzbiet i pchnęła miednicę ku jego głowie, żądna podniety, pragnąca coraz więcej. Przycisnął się do jej cudownego, dusznego więzienia i słuchał muzyki wspólnej miłości, wilgotnych dźwięków, chlapiąc, ociekając, pieniając się, gdy płynął po rzece, którą stała się Pat.

— Och! Ooooooch! — jęknęła. Wymknęło jej się to. Straciła panowanie. Jej nogi rozpierały krepujące je majteczki bikini i usłyszała trzask rozrywającego się materiału, gdy ze wszystkich sił starała się szerzej przed nim otworzyć. Żołądek miała płaski jak stal, mięśnie pośladków napięte, gdy walczyła o siłę, która pozwoliłaby jej wycisnąć jeszcze większą rozkosz z jego języka. Usta miała suche, jakby wszystkie soki jej ciała obróciły się w zatapiającą Tony'ego miłość. Prędko, tak prędko, wszystko to się roztopi i stalowy cel rozpadnie się w razach orgazmu. I będzie pusta. Bolesna próżnia w głębinach jej ciała nie zostanie wypełniona. Płomienie, rozpalone jego ustami w wielkie palenisko, ostygną samotne, gdy osobność jej ciała oddzieli je od jego rozkoszy.

— Tony — wyszeptała. — Kochaj mnie. Wejdź we mnie. Otworzyła oczy i wbiła w niego wzrok. Musi wiedzieć, jak ona bardzo tego pragnie. Chciała widzieć jego twarz w chwili, gdy połączą się na zawsze.

Uniósł się nad nią i zorientowała się, że przesunął rękę do paska swych spodełek kąpielowych. Czowała, jak jego ciało wykręca się raz, drugi, trzeci, i na śliskiej skórze swego uda czowała jego cudowne dotknięcie. Sięgnęła w dół, niezdolna się

powstrzymać, i wpatrywała się w jego duszę, trzymając go po raz pierwszy. Uchwyciła to obiema rękami, a serce w niej zamarło, gdy opadła fala adrenaliny. Jego męskość była tak duża, ogromna i gniewna, jej sztywność pulsowała w palcach Pat grożąc, obiecując spełnienie prześcigające najdziksza' marzenia. Przez chwilę, w konspiracji kochanków, starali się zatrzymać tę chwilę. Lecz już jego głowa napierała na jej usta, a ona otwierała się, szeroko, szerzej niż to możliwe. Mięśnie jej nóg napierały na majteczki, a trzask rozrywanego materiału był sygnałem połączenia. Rozchyliła nogi, a pośladki uniosły się z piasku, szybując w górę. Z okrzykiem rozkoszy rzucił się w przód. Wbił się w nią, wypełniając ją całą, rozrywając ogromem swej żądy. Otworzyła usta, gdy oddech świsnął z jej płuc. Zamroczyło ją, gdy najintensywniejsza rozkosz droczyła się z ostrością bólu. Otworzyła się szerzej, lecz nie było już miejsca, a on nadal wchodził coraz głębiej, coraz dalej, coraz pełniej. Rozwierał ją, robiąc dla siebie miejsce, jej śliskie, przejrzyste ścianki rozciągały się wokół niego, ich naskórki łączyły się w bliskość, możliwą tylko dzięki obfitości jej płynnej miłości. Teraz dotarł na jej szczyt i miała wrażenie, że w jej ciele nie ma nic prócz niego. Przejął je. Reszta jej istoty została oddzielona, znalazła się w zapomnianym rogu koperty, na którą składały się jej ciało i kości. Był dzieckiem, wzrastającym w jej łonie. Był bezlitosnym mordercą, plądrującym jej wnętrze z okrutną rozkoszą obcej inwazji. Był kochankiem, sztywnym i cudownym w jej brzuchu, nareszcie w swym prawowitym domu, bezpieczny na ziemi, której nie opuści, jeśli spełnią się jej modły.

Oczy miała rozwarte tak szeroko, jak ta część ciała, która go trzymała. Przygwożdżona szpicem jego celu, spoglądała z krawędzi przepaści. Poruszał się w niej, a gdy przywykła do jego obecności, zaczynał się wycofywać. Lecz nim panika pustki zdążyła zastąpić radość wypełnienia, powracał. Całe jej ciało trzęsło się w rytm jego pchnięć. Hen na skraj, z powrotem na dach świata, suw tłoka był straszliwy w swej pewności, wyczarowując błogie wizje uwolnienia, które stało się jego celem. Przywarła doń na tyle, na ile pozwalało na to jej ciało, i jęczała z rozkoszy, radując się szczytowaniem, którego się obawiała. Tym razem wszystko przebiegło zbyt intensywnie. Nie można było nad tym zapanować. Później staną się zręcznymi kochankami. Teraz byli zgłodniałymi nowicjuszami, zniewolonymi przeżyciem silniejszym od nich obojga. Wdzierał się w nią szybciej, mocniej. Bardziej miękko, zapraszająco rozluźniła się dlań i ich żołądki uderzały o siebie, powalane potem i miłością w muzycznym rytmie żądy.

Oczy Tony'ego powiedziały, kiedy przyszedł jego moment, gdy jej ciało jej kiem dało znać o swoim. Zesztywniała w momencie, gdy muzyka szybowwała do crescendo. Każda część jej ciała śpiewała w zgodnym chórze. Była jedną. Doskonałością na czas, nim powiedziana została prawda. Jak przez mgłę dochodziła do niej świadomość jego szalejącego ciała, oczyma duszy wpatrywała się w jaskrawe światło, oblewające jej umysł. W szczytowym momencie płuca miała wypełnione powietrzem, a przesłanie od Boga żyło w jej sercu.

— Kocham cię. Kocham! — krzyknęła w niebiosa i do niego, po czym, szczęśliwa, że może umrzeć, skoczyła ze skał we wrzące morze orgazmu.

Dick Latham zerknął z za steru, a jego uśmiech był równie naturalny, jak u zawodowego komedianta. W dole załoga przymocowywała żurawiki do ślizgacza. Pat i Tony stali na pokładzie rufowym i trzymając palce luźno splecione rozmawiali cicho, nie zważając na panujące wokół zdyscyplinowane zamieszanie. Obiegały ich znające życie-podejrzliwe oczy Lathama. Zauważył rozdarte majteczki Pat, związane na biodrze czymś, co wyglądało jak tasiemka od męskich kąpielówek. Zauważył spodenki Tony'ego, przytrzymywane niedbale zadzierzgniętym węzłem, utworzonym z luźnego materiału, który jakoś dziwnie puścił. Nie było ich na lunchu. Do diabła, nie było ich na herbacie. I nie trzeba Sherlocka Holmesa, by się zorientować dlaczego. Gdzieś tam, na piaskach Cataliny, Pat Parker i Tony Valentino robili to na plaży. Przez zaciśnięte zęby Dick Latham zawołał do nich:

— Gdzie byliście? Brakowało nam was. Już zaczynaliśmy się niepokoić. Spojrzeli nań, lecz wiatr zabrał jego słowa.

— Co? — powiedziała Pat. Tony Valentino nic nie rzekł, jego ponura twarz z pogardą zwróciła się ku rywalowi.

Dick Latham nie lubił się powtarzać.

Kiwnął do nich, ramię wzniosło się i opadło gestem zdradzającym irytację.

Nie śpieszyli się. Rufa „Hedonisty” miała kilka warstw — jak tort. Na niższy pokład ładowało się i wyładowywało zeń zabawki: motorówkę do nart wodnych, deski do surfingu, małą żaglówkę, skutery wodne. Używało się go do pływania, jazdy na nartach wodnych i nurkowania, jego rufowe drzwi otwierały się na ocean, a potężna platforma wysuwała się w przestwór. Wyższy, skrócony pokład obejmował zewnętrzną strefę jadalną, gdzie spożywano lunch i obiad w czasie tych kilku dni, gdy pogoda na wybrzeżu południowej Cataliny była bardziej upalna niż

zazwyczaj w tym śródziemnomorskim klimacie. Latham stał na jeszcze wyższym pokładzie, gdzie podawano drinki przed posiłkami i gdzie baterie telefonów utrzymywały go w łączności ze światem zewnętrznym. Po pokonaniu dokładnie sześćdziesięciu stopni kochankowie staną przed nim twarzą w twarz. Zabierze to około minuty. Czekał przynajmniej trzy.

Pierwszy pojawił się Tony. Śmiało stanął przed oczyma Lathama, wysuwając biodra jak niebezpieczną broń, a pseudouśmiech w kącikach ust mówił aż nazbyt wiele. Za nim szła Pat, omdlewająca, leniwa, rozluźniona, poruszając się śliskimi, płynnymi ruchami najedzonego kota. Latham zamierzał odnosić się do nich z chłodną troskliwością, lecz ten widok zrewidował jego możliwości emocjonalne. Potraktowali go jak śmiecia. Dowcip polega na tym, by niczego po sobie nie pokazać. Z początku nic nie mówił, czekając na przeprosiny, które nie nastąpiły.

—Szkoda, że nie powiedzieliście, że to zabieracie. Byłoby uprzejmie. Kiedy liczyłem ostatnim razem, były cztery. Może ktoś jeszcze chciałby popływać — spróbował.

—Chcieliśmy czegoś więcej, niż robić kółka wokół łódki — rzekł Tony. Słowa plus gesty mogłyby zostać wystawione w charakterze krótkiej sztuki w teatrzyku z dala od Broadwayu. Palcami kręcił kółka w powietrzu, by zaznaczyć durną trasę, którą wybraliby wszyscy zabezpieczeni na sto procent głupkowaci durnie, krążący w bezpiecznej strefie wokół swych unoszących się na wodzie luksusowych barów, z załogą rozstawioną od ściany do ściany. Tacy ludzie, jak pan, nie mają jaj, mówił. Pańska koncepcja przygody to puszczanie łódek w wannie. Jesteś kompletnym staruszkiem. Jesteś stary, zabezpieczony i spokojny, a forsa wytrzebiła z ciebie podniecenie i ciekawość, tak jak lata wytrzebiły z ciebie młodość. Brakowało tylko szyderczo uniesionego środkowego palca... i Dicka Lathama, obracającego się na nim jak dziecinny bączek.

Latham obserwował go. Teraz była to sprawa osobista. Nie chodziło tylko o Pat Parker. Szło o wszystko. To była wojna pokoleń. A także walka seksualna. Odczuwał też żywotną potrzebę zwycięstwa bez względu na rodzaj i miejsce konfliktu. Wezbrało w nim podniecenie, które zastąpiło gniew. W oceanach, w których pływał, on był wielkim białym rekinem. Nie miał już konkurencji, tylko mniejsze rybki na pożarcie. Teraz, tutaj, pływając wśród planktonu i morskich okoni, natrafił na wieloryba zabójcę. To cudowne. Może zgiać mięśnie umysłu, wrócić do formy i doznać satysfakcji upokorzenia kogoś prawie swego wymiaru.

Znalazła się nawet nagroda, jak we wszystkich najlepszych konkursach. Mogą od biedy być na niej odciski palców Valentina — zejda przy myciu. Potem, wypolerowana, ze zmienioną ornamentacją i starannie wyrytymi inicjałami, zajmie należne jej miejsce na jego kominku obok innych, trofeów. Kto wie, może tam pozostanie przez parę miesięcy, nim uderzy ją młotem kowalskim, którego używa do łamania serc. Tak, będzie wspaniałym zwycięstwem w nie kończącej Nic wojnie, jaką toczył z rodem niewieścim.

Roześmiał się i tym razem na twarzy miał wypisaną wesołość.

— Na miłość boską, Tony, mówisz tak, jakbym był zramolałym starcem. Za chwilę zaczniesz mnie tytułować „czcigodnym panem” i podsuwać mi krzesła. Chciałbym od razu zaznaczyć, że jeśli chodzi o przywracanie mnie do życia metodą usta-usta, jestem uczulony na mężczyzn.

Wszyscy się roześmiali, Pat z ulgą, Tony zwycięsko, Latham do siebie.

— W każdym razie wy dwoje na pewno umieracie z pragnienia — ciągnął. — Pływanie łódką strasznie wysusza. — Uśmiechnął się, by dać do zrozumienia, że wie. Zza paska spodni wyciągnął telefon komórkowy i wezwał stewarda. Klapnął na krzesło z wdziękiem Freda Astaire'a i gestem zaprosił, by uczynili to samo. Ich „nieuprzejmość” najwyraźniej została zapomniana. Latham gładko wszedł w rolę inną niż obrażonego gospodarza.

Kochankowie doń dołączyli. Tony najspokojniej w świecie wyciągnął się na poduszkach, u jego boku usiadła Pat z ręką niedbale spoczywającą na nodze Tony'ego. Musiała zachować więź. W środku ciągle jeszcze była nim wypełniona i na myśl o tym serce jej biło żywiej. Czuła się rozkosznie i niezwykle dla siebie uległa. Tony panował nad wszystkim. Nad sobą. Nad potężnym Dickiem Lathamem. Nad nią. Nad jej głową szybowwały mewy. Z aparatury nagłaśniającej dobiegały trele'Straussa. Jedynym problemem na świecie było podjęcie decyzji, co zamówić do picia.

— Gdy powiedziałem, że się martwiliśmy, naprawdę chodziło mi o to, że Allison się martwi. — Latham uśmiechnął się swobodnie, wtrącając fałszywą nutę w harmonię kochanków.

Czy w gburowatych oczach adonisa błysnęło poczucie winy? Czy we wzroku fotograficzki mignęła zazdrość?

Steward przeczłapał po pokładzie, by zebrać zamówienia.

— O, Johnson, niech ktoś zawiadomi pannę Vanderbilt, że jej przyjaciel wrócił. Chyba znajdziesz ją w kabinie — rzucił niedbale przez ramię. Zawołowana insynuacja nie ulegała wątpliwości. Vanderbilt i Valentino byli parą. Valentino i Parker wykiwali ją. Nie zrobili dużego draństwa, ale jednak zachowali się trochę nieprzyzwoicie. Nie był to numer, który wycięliby Lathamowie tego świata, zstępując ze swych wyżyn moralnych. Bez trudu obsadził się w roli odpowiedzialnego dorosłego, cierpliwie tłumaczącego, co jest słuszne, a co nie, dzieciakom, które urwały musze skrzydła.

Tony poruszył się na białym aksamitnym obiciu ławki. Ręka Pat zsunęła się z jego kolana, które nagle zaczęło się nerwowo poruszać.

—Allison jest dużą dziewczynką — rzekła, odpowiadając na ukryte znaczenie słów Lathama.

—Ale łatwo ją zranić, co? — Latham uśmiechnął się. Popatrzył na Tony'ego. Jego śmiejące się oczy spotkały się ze wzrokiem Pat. Pośród wesołości snuło się oskarżenie.

—Mam wrażenie, że wie pan coś niecoś o wrażliwości kobiet — odcięła się ze śmiechem.

—Czego się pani napije? — zapytał steward.

—Polecam sok z brzoskwiń. Przed lunchem piłem bellini. Naturalnie zrobią świeży — rzekł Latham, ignorując drwinę jak wytrawny pływak wśród wirów konwersacji. Pat trzymała ze swym mężczyzną jak dobra kochanka. To mu się podobało. I ona mu się podobała: włosy zmatowiałe od soli, jędrne piersi, twarde chłopiące pośladki, sterczące nad długimi, kształtnymi nogami.

—Niech będzie — rzekła Pat. — A ty, Tony? — Zamiast odpowiedzieć, Tony gestem ręki odprawił stewarda, potrząsając głową z boku na bok. W tym momencie nie przyjąłby od Lathama szklanki wody. Dość już się wygłupił, wsadzając tyłek na tę łódź.

—A więc, Tony, prócz ślizgania się na niebezpiecznych falach, jakie jeszcze rozrywki mogę ci zaproponować? — spytał Latham, rzucając przynętę. Ze ślizgaczem łatwo sobie poradzi motocyklista, obdarzony poczuciem równowagi. Były też inne zabawki, które by się nadały. Jak też nowojorski adept Tespisa da sobie radę na mononarcie z Dickiem Lathamem za kółkiem motorówki? Czy zbierze punkty za strzelanie do rzutków, którymi są gliniane gołębie, wirujące i fikające koziołki w powietrzu, jeśli będzie niecelnie do nich walił z opartej na ramieniu

strzelby Lathama? Jak głęboko spadnie w morze z deski surfingowej, tego cmentarza nowicjuszy? Dick Latham brylował we wszystkich tych konkurencjach. Wyturwał długie godziny w szkółce strzeleckiej „Holland i Holland” pod Heathrow, a jeszcze dłuższe w mokre sierpniowe miesiące w Szkocji, gdy sprytne kuropatwy falami zrywały się nad jego strzelbami. Pływał na desce surfingowej z baronem Arnaudem de Rosnayem tuż przed jego śmiercią i brał lekcje u pięknej wdowy Jenny, mistrzyni szybkiego pływania na desce, na jej plaży w Mustique. Ivana Trump, ówczesna żona miliardera Donalda, uczyła go jazdy na jednej narcie. O tak, Dick Latham górował nad zadufkiem Tonym Valentinem nie tylko latami i miliardami. Wykaże to każda konkurencja.

— Tak naprawdę chciałbym wziąć sprzęt i ponurkować — rzekł

Tony niedbale, wynajdując bezpieczny szlak na polu minowym Lathama. Do tego potrzebne były tylko silne płuca i jeszcze silniejsze ciało.

—Owszem, to się da zrobić — rzekł Latham, usiłując ukryć rozczarowanie. — Najlepiej się do tego nada Santa Cruz, parę mil w górę wybrzeża od Santa Barbara. Są tam zdumiewające jaskinie. Możemy podpłynąć w tamto miejsce dziś wieczór po obiedzie. Wybierzemy się jutro z samego rana, jeśli uważacie, że to wam sprawi przyjemność.

—Przyjemność? Przyjemność? Nie mam nic przeciwko przyjemnościom — odezwała się Melissa Wayne.

W całym swym krótkim, ostrym życiu Melissa Wayne nigdy nie powiedziała prawdziwszego słowa. Znała się na przyjemności, rozkoszy i zadawaniu wyrafinowanego, upajającego bólu. Znajdowała się na skraju grupki osób, a gdy przemówiła, stała się jej ośrodkiem. Wyglądało to tak, jakby spadło na nią światło jakiegoś niebiańskiego reflektora, a kiedy ją oblało, zaczęła świecić własnym blaskiem. Była małego wzrostu, ale poza tym nie miała w sobie nic z małości, a jej wieloznaczna uroda błyszczała jak bezcenny diament w świetle gwiazd. Nosła tenisówki z krokodylej skóry firmy „Chanel”, miękkie aksamitne dzinsy na twarde jak bęben tyłku, a jedwabna koszula od Yvesa Saint Laurenta rozchylała się na jędrnych, wystających piersiach. Ale nie ubranie stanowiło jej główny atut, lecz osobowość. Przytłaczała jej ciało, wysuwając się jak zmysłowe czułki, by dotknąć otoczenia. Idealna twarz, piegi wokół zadartego nosa, usta w kształcie serca, małe zgrabne uszy to zaledwie rekwizyty clou programu pod nazwą Melissa Wayne, a

trójka obserwatorów weszła ten czynnik X z zafascynowaniem, które, zdaniem aktorki, słusznie jej się należało.

—Och, Melisso — wymamrotał Latham, najwyraźniej poruszony jej obecnością. — Nie znasz chyba Tony'ego Valentina ani Pat Parker. Pat to słynna fotograficzka — urwał — która współpracuje z jednym z moich pism, a Tony jest... Tony jest aktorem. A Melissa, cóż, Melissa to Melissa, nieprawdaż? — Roześmiał się swobodnie.

—Cześć, Tony — rzekła Melissa Wayne. Kobiety ją nie interesowały, kropka. Gdyby cały żeński ród w jednej chwili zniknął, zostawiając ją jedną na świecie, nie uznałyby tego za bulwersującą wiadomość. Szybko podeszła naprzód, wyciągając rękę. Gdy ją ujął, nie puściła jego dłoni. Trzymała ją jak wypożyczony obraz. Jej język śmigał na nie uszminkowanych wargach.

—Nie wiem, w czym grałeś — rzekła.

To było arcydzieło. Mówiła śmiertelnie poważnie, rzeczowo, słowami równie dalekimi od flirtu, jak bliskie go było jej ciało. Przesłanie

Melissy nie ulegało wątpliwości. Tony był aktorem. To znaczy, że należy go uważać za poważnego artystę, tak jak ją. Fotograficzka i miliarder przestali istnieć. Na świecie znajdowało się tylko dwoje ludzi — ona i chłopiec, który powinien figurować w karcie obiadowej. Nieważne, że cała Ameryka kupowała Melisse Wayne w charakterze seksualnych płatków śniadaniowych. W tej roli była Streep i Fondą w walce o Oscary. Ta pewność siebie wzniosła Tony'ego do poziomu Nicholsona i Hoffmana. I o to właśnie jej szło.

Mile polechtany, Tony uśmiechnął się, jego ręka z przyjemnością spoczywała w dłoni Wayne. Podniósł się.

—Właśnie skończyłem Juilliarda — powiedział. — Następny przystanek to „Na wschód od Edenu”, poza Broadwayem. — Przebiegł rozrzedzony życiorys, jakby to była biografia Laurence'a Oliviera. Zwięzłość artystycznych dokonań bynajmniej nie wprawiała Tony'ego w zakłopotanie. Latham nie mógł nie odczuć podziwu. Wiara w siebie jest zaraźliwa. Zawsze stwierdzał to u siebie. Teraz, odrobinę zaskoczony, zdał sobie sprawę, że tak samo mogą reagować inni.

—Juilliard jest najlepszy, a przewyższenie Jamesa Deana może stanowić niezłe wyzwanie. Przyjdę na premierę, jeśli będę w mieście.

—Hej, jestem Pat Parker — rzekła Pat zimno. — Zobaczymy się tam — jeśli będziesz w mieście.

—Hej — odparła Melissa Wayne, niedbale kiwając głową w kierunku Pat. Nie odwróciła się.

—Jak przeszła podróż? Dbali o ciebie? — spytał Dick Latham, nie posiadając się z uciechy.

—Świetnie — rzekła Melissa. Wciąż wpatrywała się w Tony'ego, który nie odrywał od niej oczu. Nadawała na jego fali z wprawą kobiety żyjącej dla mężczyzn. Schlebiało mu to, a efekt tego pochlebstwa rósł lawinowo, gdyż gwiazda Melissy od dawna już świeciła oślepiającym blaskiem.

Melissa niechętnie uwolniła dłoń Tony'ego. Usiadła na brzeżku krzesła reżysera, kolana razem, nogi rozchylone, ręce oparte na spłowiałym dzinsie. Milczała, lecz jej spokój w niczym nie ujmował jej oszałamiającego powabu.

— Przyleciała pani helikopterem? — spytała Pat. Uczucie zazdrości, które błyskawicznie się pojawiło, zaczynało ustępować. Lubiła kobiety. Przynajmniej dopóty były niewinne, dopóki nie udowodni się im przestępstwa. Sposób, w jaki Melissa podrywała Tony'ego, stanowił dzieło sztuki, lecz aktorka z tego słynęła. Dlatego właśnie była kasowym przebojem. Dlatego dostawała dwa i pół procent od filmu. Była zawodowcem grającym zawodowca i musiała ćwiczyć. W końcu Pat musiała robić zdjęcia. W każdym razie to ona go miała. Świadczyły o tym wspomnienia jej ciała.

— Nie, przyplłynęłam — oznajmiła Melissa. Odwróciła się do Pat, u z jej twarzy biła pogarda dla pogaduszek. Uśmiechnęła się, by pozbawić żądła szorstkie zachowanie, gładko podkreślając swą wyższość.

—Myślałam, że może zjechała tu pani na promieniu z krainy fantazji — rzekła Pat.

—Pani nie jest jedną z tych nachalnych fotoreportererek, które wszędzie się wkręca? — odpaliła Melissa. Zmarszczyła nos.

— Pat jest wspaniałą fotograficzką — powiedział Tony Valentino.

Co do tego był absolutnie zdecydowany. Tu nie ma mowy o kompromisie. Ton nie był rozgniewany, ale też nie budził najmniejszych wątpliwości. Jeśli Melissa Wayne nie zjedzie, zostanie zepchnięta, nie zważając na jej sławę. Lubił ją. Szanował. Ale Pat Parker jest nietykalna.

Melissa popatrzyła na niego, potem znowu na Pat. Przez parę sekund była niezdecydowana. Kraina fantazji! Rany boskie! Chłopiec z bajki wygrał. Boże, ale jest pewny siebie. To dobrze. Tym lepiej wychodzą zabawy seksualne, gdy tacy

jak on pełzają po podłodze, przygwożdżeni siodłem, które trzyma w szafie. Temu będzie można nawet założyć wędzidło. W każdym razie dopilnuje, by fotograficzką zobaczyła z tego zdjęcia, a może nawet wideo. Nie będzie zachwycona ujrzanymi widokami z krainy fantazji.

—To duża ulga — rzekła ze śmiechem. Nie było do końca jasne, o co jej chodzi. Że Pat nie jest nachalną reporterką? Że rozmowa się skończyła? Że ona i Tony uniknęli kłótni?

—No dobrze — rzekł Dick Latham. — Wykąpię się, wezmę masaż, a później spotkamy się tu przed obiadem na drinka. Może koło siódmej?

Podniósł się.

— Ale ubaw — zachichotał i wyszedł.

Boże, ten obiad stanie nam w gardle — rzekła Pat. Patrzyła w lustro, by sprawdzić makijaż, ale tak naprawdę obserwowała Tony'ego, który wyciągnięty w fotelu oglądał przez satelitę wiadomości z sieci ABC.

— Tak, po Melissie wszystkiego się można spodziewać. Ale ją podziwiam. Zniosła niejedno, żeby zdobyć pozycję. I pewnie uważa, że na wiele może sobie pozwolić. Nie można jej oceniać według normalnych reguł.

Pat odwróciła się. Wiedziała, o co mu idzie. Twardziele porządnie dostają w kość, zanim dotrą do swego miejsca pod słońcem. Czułe serduszka odpadają. Pokorę, hojność, poczucie humoru trzeba odrzucić razem z resztą zbędnych obciążeń. Teraz jednak wolala nie rozumieć. Tony ujął się za nią, gdy Melissa zaczęła ofensywę, lecz był mile połączony zainteresowaniem, które okazała mu gwiazda.

— Chodzi ci o jedno prawo dla Melissy Wayne i drugie dla całej reszty — rzekła nie kryjąc sarkazmu.

Tony westchnął. Przymknął oczy. Tej strony życia nie lubił. Pat tylko czekała, żeby skoczyć mu do oczu, gdyż przez parę chwil czarował dziewczynę, która oczarowała świat. Wielka historia. Dlaczego Pat musi być tak pospolita? Nie świadczyły o tym ani jej ciało, ani umysł.

— No dobrze, spodobałem się jej. Ona mi się spodobała. Nie ma co prowadzić na ten temat filozoficznych dyskusji.

Założył jedną nogę w błękitnych dżinsach na drugą. Uniósł ręce nad głowę. Nie ziewnął, lecz wykonał wszystkie towarzyszące temu ruchy. W teście na uwagę połowa publiczności zdołałaby opisać dźwięk, którego nie wydał.

Pat zrobiła niezadowoloną minę, która jednak przeszła w uśmiech. Podobało się jej, że odmówił udziału w głupawych przepychankach. Wszystko wokół niego było proste i uczciwe. Wszystko było na wierzchu, co w nim dobrego, złego i brzydkiego, choć tego ostatniego znalazło się wyjątkowo mało. To prawda, że była zazdrosna o Melisę Wayne, ale jaki facet pozostałby obojętny na jej widok? Przy niej Basinger wyglądała jak hot dog. W porównaniu z nią Meg Ryan miała delikatny urok trędowatego w basenie. Zestawiona z nią Dziewczyna Milenium prezentowałaby subtelną zmysłowość świdra drogowego.

— No dobra, przepraszam — rzekła. — Rzeczywiście jest niezła. I byłoby wspaniale, gdyby pojawiła się na twojej premierze. To by ci zrobiło świetną reklamę.

Pat natychmiast tego pożałowała. Rozmawiali już na ten temat. Ale, do diabła, Tony był zupełnie nie z tego świata, podczas gdy ona знаła ten światek na wylot. Aby się przebić, trzeba skorzystać z pewnej pomocy znajomych. Przyjaciele nie na wiele się zdadzą, chyba że się człowiek zakałapućkał i zabrakło mu entuzjastycznej publiczności.

Wyglądało na to, iż odpowie — rzucając ostro, że wszystkich zadziwi bez dziwki — ale dał sobie spokój.

— Jak myślisz, dlaczego tu wylądowała?

Pat przechyliła głowę na bok. Tony tak rzadko pytał: „dlaczego?”

— Przypuszczam, że wpadła w oko Lathamowi. Idzie o to, że kupił Cosmos, nawet jeśli chodziło tylko o parcelę.

— Myślisz, że zalicza gwiazdy i odbywa coitus interruptus z Hollywoodem? — zastanawiał się Tony. — Chyba nie. Jakoś mi się nie wydaje.

— No cóż, nie może jej wsadzić do filmu. Skoro rozwiązał wytwórnię, nie ma nawet studia. A chyba nie jest takim facetem, który by finansował niezależną produkcję. Melissa robi taką kasę, że wszędzie może nakręcić film. Może po prostu ją lubi. Może ona go lubi. Przecież wam dwóm się podobała.

Tony uśmiechnął się z jej niezdecydowanej próby wskrzeszenia embrionalnej kłótni i dalej głośno myślał:

— Ale Latham w dalszym ciągu ma nazwę firmową Cosmosu, bibliotekę, całą tradycję, wyrobione stosunki. Brakuje tylko budynków, wyrobu i ludzi. A tego jest mnóstwo w Los Angeles.

—Cecil B. de Latham? Jakoś mi się nie wydaje. Jest na to zbyt arystokratyczny, za sztywny, za gładki. Najprawdopodobniej sprzeda cały majądan Japończykom. Mają już banki, a słońce, wschodzące nad wirującym globem Cosmosu, wyglądałoby pierwsza klasa. Rany, czy nie było cudownie przegrać wojnę?

Tony nie dał się przekonać. Latham szykuje jakąś bombę.

—Zobaczymy. Ale na moje wyczucie coś tu się dzieje. Ten facet Havers przyleciał helikopterem w towarzystwie sześciu czy siedmiu garniturów — bankierów, prawników albo jednych i drugich. Siedzą pod pokładem od wczoraj rano, jakby byli klasą turystyczną. Przeszedłem dziś koło kabiny łącznościowej i faksy lecą jak oszalałe.

—Tak jest pewnie cały czas. Ludzie z jednym faksem nie zdają sobie sprawy z tego, jak żyje reszta. Ponowne wylansowanie *New Celebrity* wymaga zapewne wysłania paru wiadomości.

Pat była z siebie dumna. To przeszło gładko. Prędzej czy później będzie musiała wyciągnąć sprawę fotografii. Zbliżał się ostateczny termin wydania prestiżowego pierwszego numeru. Nie mogła zwlekać w nieskończoność z wykonaniem zamówienia. Jeśli rozkładówka ma wywrzeć maksymalny efekt, powinna zbiec się z kampanią reklamową, lansującą nową *Celebrity*. Przerażająca machina mass mediów Lathama już nabierała rozpędu. Kolumny zajmujące się ploteczkami były pełne smakowitych informacji, Marilyn Evans, Rogers i Cowan pieczołowicie układali każdy kąsek tam, gdzie najlepiej się prezentował. Przeważnie zajmowali się tym Billy Norwich, Liz Smith i Suzy, a nieskazitelni bohaterowie kronik towarzyskich przekazywali je dalej siecią misternych połączeń, które, pokrywając cały kosmos, łączyły gwiazdę z gwiazdą.

— Zastanawiałaś się już nad tym, co zrobisz dla tego pisma? — zapytał nagle Tony.

Głęboko zaczerpnęła oddechu. Wyciągnął to. Jej chwila nadeszła. Ma teraz dwa wyjścia. Może mu powiedzieć nagą prawdę albo przybrać ją pięknymi słówkami. Drugi sposób będzie łatwiejszy. Kłopot polega tylko na tym, że Tony od razu dorwie się do sedna, a ona wyjdzie na krętaczkę.

— Myślałam, że może... ciebie — palnęła.

Nie odezwał się. Przyjrzał się swojej ręce. Popatrzył z powrotem na Pat.

— A kiedy przyszło ci to do głowy? — zapytał.

Chodziło mu o to, czy przed pozwaniem, czy też później. Czy mnie wykorzystasz, Pat Parker? — pytały jego oczy. Czy mówisz poważnie? Czy też chodzi ci tylko o siebie?

Pominęła to pytanie.

—One są doskonałe, Tony. Wiesz o tym. Tak powiedział Alabama. Gdy coś jest wielkie, trzeba to wykorzystać. Jesteśmy za to odpowiedzialni.

—Jesteś odpowiedzialna za to, żeby pokazać Ameryce to, co noszę w spodniach?

Potrząsnęła głową z boku na bok. O rany. Będzie gorzej, niż myślała.

— Słuchaj, Tony, nie wiem, jak ci to wytłumaczyć, ale... Uniósł rękę, przerywając jej.

— Nie wciskaj mi kitu, że te zdjęcia zrobią ze mnie gwiazdę, dobra? Wiem, że masz kota na ich punkcie. Jeśli są rzeczywiście takie dobre, zrobią gwiazdę z ciebie. I to jest to, prawda? I zawsze było.

Pat usiłowała zachować spokój. Częściowo miał rację. Rozkładówka mu pomoże. Jej jeszcze bardziej. No i co z tego? Technicznie rzecz biorąc są kochankami. Jeśli to coś znaczy, a rozpaczliwie pragnęła wierzyć, że tak, powinien równie mocno pragnąć jej sukcesu, jak ona życzy mu powodzenia. Sztuka jest pięknem. Nie może nikomu zaszkodzić. To wyjdzie wspaniale dla wszystkich — dla niej, dla Tony'ego, Lathama, Emmy, dla *New Celebńty*. Będzie o to walczyć.

— Dlaczego masz zastrzeżenia? — Ruszyła do ataku.

—Były bardzo osobiste, Pat. Były moje. Były mną. Zrobiłaś je dla mnie, pamiętasz? Nie dla świata.

—Owszem, pamiętam, i wciąż są twoje. Nie wykorzystam ich wbrew twojej woli. Po prostu chcę, żebyś zmienił zdanie. Chcę cię powstrzymać przed zrobieniem błędu, bo mi na tobie zależy, a nie dlatego, że mi wszystko jedno. Zaczęło się od zdjęć, gdy je wywołałam — gdy je zobaczyłam — stały się czymś jeszcze. To jak z fotografią Anselma Adamsa „Wschód księżyca”. Ten dumny księżyc pojawia się nad Hernandez co noc. Nigdy nie skrewił. Ale fotografia to więcej niż temat. Piękno kryje się w ujęciu, punkcie widzenia, wydobyciu jakiegoś nieokreślonego fragmentu rzeczywistości, który widzi tylko artysta. Artyści uczą innych patrzeć. Otwierają ludziom oczy. Tak jak ty, Tony, w „Tramwaju”, o którym mi opowiadałeś, u Juilliarda. Ile dzieciaków z tej szkoły mordowało kwestie, które ty wygłaszałeś? Ale w twoich ustach te słowa ożyły. Gdy je wypowiedziałeś, pu-

bliczność zrozumiała. Narzuciłeś im swój punkt widzenia. Zrobiłeś ze swojej roli dzieło sztuki. Ja zrobiłam to samo z twoją twarzą i ciałem. Te zdjęcia uchwyciły coś większego i bardziej fundamentalnego niż ty. To idea ciebie i tego, co reprezentujesz. Każdy, kto na nie spojrzy, pozna ciebie, odczuje ciebie, nawiąże z tobą więź. Może ludzie, którzy są smutni, samotni i mają dość życia, patrząc na te fotografie na chwilę poczują się lepiej. Wyprostują się, wciągną brzuchy i przypomną sobie, jak marzyli, nim umilkła muzyka. O tym mówię, Tony. Musisz zrozumieć. Musisz mi uwierzyć.

Pochyliła się do przodu, całe jej ciało skupiło się na słowach, którymi walczyła o to, co musi mieć. Lecz w głębi duszy podjęła już straszliwą decyzję. Może nie przekona jego, lecz przekonała siebie. Jeśli się nie zgodzi, postanowiła go zdradzić. Opublikuje te zdjęcia, a potem może ją szlag trafić.

Twarz Tony'ego miała dziwny wyraz. Słuchał tokowania Pat, które bez wątpienia zrobiło na nim wrażenie. Jego postanowienie osłabło, ale nie zdołała go przekabacić.

— Zastanawiam się, czy masz rację — odezwał się w końcu. — Nie jestem pewien, co ludzie mówią o fotografiach nagich mężczyzn do powieszenia nad łóżkiem. Sam nie wiem, co mam o tym myśleć, niezależnie od tego, czyje to zdjęcie i czy to w ogóle jest sztuka. Przypomnij sobie, ile było hałasu wokół fotografii Mapplethorpe'a. Widzisz, ludzie mają różne poglądy na sztukę.

Pat głęboko zaczerpnęła oddechu. Na dźwięk nazwiska Mapplethorpe'a serce w niej zamarło.

— Słuchaj, znałam Roberta. Był moim przyjacielem. Kochałam go. Gdy żył, świat uważał go za jeszcze jednego fotografa. Teraz, kiedy umarł, artystyczne snoby chcą z niego zrobić bohatera. Otóż on oddzielał sztukę od pornografii. Wiedział, że jest między nimi różnica. „To moje porno” — mawiał. Słyszałam to tysiące razy. Ale twoje portrety są piękne, gdyż piękne jest twoje ciało, a ty jesteś czysty, nie skażony wulgarnością ani miernością. Przez to jesteś trudny jak diabeł, niemożliwy i czasami okrutny. I dlatego cię kocham.

W oczach miała łzy. Opłakiwała zmarłego przyjaciela. I nowego kochanka. A także sztukę, która musi ujrzeć światło dzienne.

— Jesteś do mnie podobna bardziej, niż myślałem — rzekł Tony i uniósłszy się przeszedł do niej przez pokój.

Reflektory tropiły srebrzysty kilwater, a promienie księżyca padały na ocean, oblewając go fosforyzującym blaskiem. Szum silników wprawiał pokład w lekką wibrację, lecz poza tym prawie nie odczuwało się ruchu. Mierzący sto dwadzieścia stóp megajacht przemierzał bezmiar wód w tempie czterdziestu mil na godzinę, lecz wieść o tym nie docierała donikąd. Na pokładzie rufowym „Hedonisty” nakryty do obiadu stół lśnił osiemnastowieczną srebrną zastawą, wykroch-malona bielizna stołowa zdobna była starym kunsztownym haftem, a kryształ „Waterford” wyglądały jak rżnięte wczoraj, a nie pod koniec osiemnastego stulecia. Wonne gardenie, dostarczone samolotem z Florydy, pływały w osobnych miseczkach przed każdym nakryciem, adamaszkowe serwetki spoczywały nobliwie na herbowych talerzykach, a sprzyjająca cichym rozmowom kompozycja z orchidei, umieszczona na środku stołu, stanowiła ukoronowanie nakrycia, które byłoby odpowiednie w pałacu Buckingham, lecz tu, na Pacyfiku, w pobliżu Cataliny, świadczyło o bardzo ciężkiej pracy.

Grupa pijąca kruga na pokładzie rufowym poświęciła swym strojom należyłą uwagę, z jednym znamiennym wyjątkiem. Tony objawił się jako Stanley Kowalski. Poczynił jedyne ustępstwo wobec świetności otoczenia, a mianowicie się umył. Nikt zdawał się nie zwracać na to uwagi. W końcu najbliższym stałym lądem było Malibu, gdzie strojenie się uznawano za działalność przestępczą.

— Gotowy do wyprawy do jaskiń Santa Cruz? — spytał Dick Latham z kpina w głosie. Ubrany był w mundur, obowiązujący w Palm Beach: granatową dwurzędową marynarkę, jaskrawozielone spodnie, wypolerowane do połysku mokasyny, noszone bez skarpetek. W zamyśleniu sączył szampana najlepszego rocznika.

— A pan?

— Jak najbardziej. Wiesz, są dość głębokie. Zanurzymy się na sześćdziesiąt stóp, może głębiej. Musimy uważać. Zamówiłem kabinę dekompresyjną, ale zainstalują ją za miesiąc albo dwa.

— Tony, jesteś pewien, że powinieneś tam popłynąć? Nigdy przedtem nie nurkowałeś. — Pat wiedziała, że Latham toczy wojnę psychologiczną. Może to zadziała na Tony'ego. Ją zaczynało niepokoić. Ścisnęła go za ramię równie mocno, jak wcięty w talię żakiet Anne

Klein opinał jej pierś nad długą spódnicą z przezroczystego jedwabiu od Perry'ego Ellisa.

— To zwykle pływanie. Będę naśladował Dicka. Na pewno nie zrobi nic ryzykownego.

Latham roześmiał się. Faceta nie da się powstrzymać. Był nieustraszony.

— Zgadza się. Idź w ślady starego, a wszystko będzie dobrze. I tak trzymać, prawda, Havers? Ty się na tym znasz.

Havers, w białym smokingu, z twarzą białą, gdyż godzinami siedział pod pokładem, czuwając nad sprawnym funkcjonowaniem imperium, zaśmiał się z siebie. Był Gromyką wobec swego szefa Chruszczowa. Sprawujący najwyższy urząd Rosjanin chełpił się, że jego giermek zdejmie spodnie i siądzie na bryle lodu, jeśli mu szef tak każe. Ale też na pogrzebie Chruszczowa na twarzy Gromyki pojawił się jeden z rzadkich uśmiechów.

—To byłoby rozsądne postępowanie — zgodził się Havers, pociągając ze szklaneczki.

—Lubię robić coś rozsądnego — rzekła Melissa Wayne. Chyba nie kłamała. Przyszła w charakterze Złotej Dziewczyny. Ramiona miała obnażone, a brązowa jak toffi skóra, którą chciałoby się polizać, przechodziła w matowozłotą, obszytą cekinami minispódniczkę, obciskającą ją jak druga skóra. Najlepsze nogi w branży kończyły się długimi butami ze złotej gumy od Isaaca Mizrahi. Złoto i guma! Brzoskwinia i śmietanka jako oklepny symbol harmonii odeszły w przeszłość. Włosy zebrane na czubku głowy czekały tylko na sygnał, by opaść kaskadą w dół. W jej obecności rozmowy milkły. Prawidłowo.

Oczy Dicka Lathama zjadły ją na pierwsze danie mimo znajdujących się na stole mrożonych mis z kawiozem. Poruszenie na tyłach zgromadzonych rozwiało urok.

— Aaa, witaj, Allison. Jesteśmy w komplecie. Co cię tak trzyma w kabine? Wojna i pokój? Ha, ha. Ale, nie znasz chyba jeszcze Mellisy Wayne, też kapłanki Tespisa. Wiesz, Melisso, Allison studiowała razem z Tonym u Juilliarda. Jest prawdziwą amerykańską arystokratką, która zechciała zstąpić w nasze skromne progi mimo wrodzonej rezerwy. Zgadza się, Allison?

Allison Vanderbilt, blada jak śnieg, wyglądała na pięknego ducha. Jeśli Pat była nienagannie stylowa, Melissa Wayne demonstrowała ostatni krzyk mody, to Allison Vanderbilt prezentowała klasę. W jej przypadku pieniądze straciły swój materialny wymiar. Miała na sobie prostą czarną sukienkę koktajlową, którą mógł projektować Yves Saint Laurent lub Givenchy, ale którą naprawdę sporządziła

pewna kobiecina w Seal Harbor, gdzie jej rodzice, słynne uzdrowiska uznający za zbyt pospolite, mieli letni dom. Była boso. Znała pokłady z drzewa tekowego. Dwunastometrowy jacht Vanderbiltów brał udział w pucharze Ameryki.

Spojrzała z nadzieją na Tony'ego, bezradnie na Pat. Nie widzącym spojrzeniem przebiegła w panice po złotym kondomie stanowiącym suknię Melissy.

—Hej, Allison, wyglądasz cudownie — odezwała się Pat.

—Prawda — potwierdził Latham.

—Rewelacyjnie — zgodził się Havers, mając nadzieję, że usadzi ją koło siebie przy stole.

—Mmm — rzekła Melissa Wayne, co mogło znaczyć prawie wszystko.

Jedyna osoba, na której opinii Allison zależało, nic nie powiedziała. Częstka jej istoty była za to wdzięczna, gdyż jeszcze jedno: „Allison, nic ci nie jest?” i wybuchnie płaczem.

—Allison, napijesz się szampana? — spytał troskliwie Latham. Jako koneser był zachwycony jej urodą, delikatną, nieskazitelną, nie mającą nic do ukrycia. Jako snob był jeszcze bardziej zachwycony. Przemierzył spory dystans, odkąd jego ojciec otworzył pierwszy sklepik. Był w Yale i oczywiście należał do najlepszych klubów. Ale nie ukończył dobrej szkoły podstawowej i brakowało mu tych samych kumpli, towarzyszących człowiekowi od kołyski do grobu, którymi mogli się pochwalić członkowie starych rodów. I najbardziej ekskluzywny klub nie chciał go przyjąć. To bolało. Jak mnóstwo innych rzeczy. Megaforsa może rozwiązać większość problemów, ale nie da takiego przekonania o własnej wyższości, jakie zaszczepi szkocka niania. Jeśli człowiek nie bił się z wyższymi sferami na wydmach Nowej Anglii, jeśli nie uczył się z nimi tańczyć, nie spędzał razem nocy, nie stał obok jako anioł w jasełkach, nigdy nie będzie jednym z nich. Zaproszą takiego do swych domów, zaprzyjaźnią się z nim, pozwolą mu nawet poślubić własne córki, ale dopiero jego dzieci uznają za równe sobie.

—Właściwie najchętniej napiłabym się szklaneczkę szkockiej — rzekła Allison.

Latham dosłyszał tajemny język klasowy. Poduczył się go od Brytyjczyków w barze klubu dla wybranych. Nie mówi się „szkocka”, lecz „szklaneczka szkockiej”. Kryje się w tym arystokratyczna nieufność względem konwersacyjnej stenografii, podejrzliwość wobec szampana jako napoju nowobogackich, całkowite lekceważenie opinii innych, którzy mogliby uznać whisky za napój niegodny da-

my. Gdyby zechciała napić się szczyń, poprosiłaby o szklaneczkę, a wszyscy w pokoju mieliby wrażenie, że piją nie to, co trzeba. Nie można było takiego zachowania nie podziwiać. Dziewczyna przeżywała duchowe cierpienia. Zawiódł ją prostak, lecz chroniła siatka bezpieczeństwa, którą stanowiło jej pochodzenie. Co prawda, wpadła, lecz i tak unosiła się w powietrzu nad głowami innych, wyższa, ostatecznie nietykalna i, koniec końców, absolutnie tego świadoma.

—Chciałabym wiedzieć — rzekła Melissa Wayne, zirytowana atencją Lathama dla zwiewnej studentki szkoły teatralnej ze Wschodniego Wybrzeża — dlaczego trzyma pan cały ładunek mężczyzn pod pokładem. Czy to mają być rezerwy, czy co? Chyba powinniśmy wiedzieć. — Roześmiała się zalotnie, mierząc wzrokiem Tony'ego i dając mu do zrozumienia, po co są mężczyźni.

—Ach, moje ciemne sprawy wyszły na jaw. — Latham roześmiał się tajemniczo. — Chciałem to zostawić na deser czy raczej na pudding, jakby powiedzieli moi angielscy przyjaciele. — Błysnął oczami ku Allison, usiłując zawiązać solidarność klasową. Dziewczyna nadal żałośnie wpatrywała się w Tony'ego.

—No więc muszę się przyznać, że motam pewien interes. Chyba dość ekscytujący. A ponieważ jesteśmy w hrabstwie Los Angeles i nie wolno nam jeść nic tuczącego, ujdzie to za deser z niespodzianką.

Poprowadził ich do stołu.

— A więc, Melisso, proszę, usiądź po mojej prawej stronie. Pat, mogłabyś z drugiej? Tony, może ty koło Melissy, potem Allison i ostatni, ale nie najmniej ważny, Tommy między Allison i Pat. Czy to nie zabawne? Dorośli zasiadają razem z dziećmi. — Roześmiał się, mówiąc te słowa, by dać do zrozumienia, że on przynajmniej jest dzieckiem. Zasugerował nieznacznie, iż co najmniej jedno z dzieci jest stare i poważne jak Bóg.

Sześciu stewardów postąpiło naprzód, by odsunąć sześć krzeseł i położyć sześć serwetek na sześciu parach kolan. Wpatrywał się w nich lśniący kawior, serwowany wyłącznie z ćwiartką cytryny. Kryształowe kieliszki napełniono mrożoną, ciągnącą się wódką. San pellegrino bulgotało w kuflach „Waterford”.

—Mam nadzieję, że kawior jest w porządku — rzekł Latham. — Tommy przywiózł go od Petrossiana, a potem leciał helikopterem z Melissą. W razie czego do nich proszę kierować pretensje. — Zachichotał i dalej zabawiał rozmową gości, jednocześnie nakładając sobie łyżkę kawioru na nie posmarowaną masłem grzankę.

—Parę dni temu zadzwoniła do mnie jakaś Emma Guinness — rzekła Melissa Wayne. — Twierdziła, że jest redaktorką jednego z pańskich pism, *New Celebrity*. Nie wiedziałam, że było jakieś stare *Celebrity*.

— Przerabiamy je — rzekł uprzejmie Dick Latham. — Emma przybyła z Anglii. Moja nowa miotła. Zaproponowałem, żeby zrobiła artykuł o tobie, Melisso. Co jej odpowiedziałaś?

Odwrócił się do gwiazdy. Uśmiechnęła się prowokująco.

—Aaa, widzę, że jest ręcznie sterowana przez szefa. Bardzo dobrze. — Wyraz jej twarzy sugerował, że ręce Lathama już nią sterowały. — Powiedziałam: „może”. Nie wierzę Angolom, a zwłaszcza dziennikarzom. Każdy, komu się powie-dzie, jest w Anglii wyrzutkiem. Gazety zatruwają mu życie. Mam zastrzeżone w kontrakcie, że nigdy tam nie pojedę. Tak jak paru innych znajomych. Żywię nadzieję, że ta kobieta nie robi z *Celebrity* rozwodnionych *Skandali*.

—Absolutnie nie mam takich zamiarów — rzekł Dick Latham, przełykając wódkę jednym haustem. Nie chciał, by ktokolwiek wycierał sobie gębę *Celebrity*, a zwłaszcza taka rozrywana gwiazda, jak Melissa Wayne. W tych czasach, gdy miastem rządzą agencje o ugruntowanej pozycji — CAA, ICM, Morris — plotki i pogłoski mogą w jednej chwili stać się świętą prawdą. Magazyn, który żerował na życiu gwiazd, którego istnienie zależało od dobrych z nimi układów, mógł zostać wyrolowany z rynku w parę sekund, a wówczas jedynymi ludźmi, którzy się w nim pojawią, będą zdesperowani, bezpłciowi nieudacznicy z nadawanych w ciągu dnia reklamówek. — Ale nie pytaj mnie, porozmawiaj z Pat Parker. Ona jest na pierwszej linii. Dała nam wyłączność na swoje zdjęcia. Serca jej i Emmy biją zgodnym rytmem.

Wskazał Pat szerokim gestem, jakby prezentował zwycięskiego boksera. Był to znak do rozpoczęcia drugiej rundy.

Melissa z wolna odwróciła się ku swej wcześniejszej przeciwniczce. Pat wpa-trywała się w nią z przeciwległego krańca stołu, na wargach błąkał się jej wycze-kujący uśmiech. Nie chciała niczego wszczynać, lecz jeśliby coś się zaczęło, miała zamiar to skończyć — z pomocą Tony'ego Valentina lub bez niej.

— A zatem, Patrycjo — odezwała się Melissa. — Opowiedz nam o *New Celebrity*.

Usadowiła się wygodnie na krześle, jak szef studia, czekający, aż asystent przyniesie mu scenariusz. Całą swą postawą stwarzała wrażenie, że cokolwiek zo-

stanie teraz powiedziane, nie będzie jej w pełni satysfakcjonować. Jedną ręką skręcała lok, drugą bębniła niecierpliwie w nieskazitelny obrus. Płomienny wzrok utkwiła w Tonym siedzącym naprzeciwko. Spójrz na mnie — mówiły jej oczy. Kogo wolisz? Kobietę czy mysz?

— Emma powiedziałyby to lepiej niż ja — ale wiem, do czego zmierza. Ma to być nieustraszone pismo — nie napastliwe, nie plotkarskie, lecz artystycznie niebezpieczne, ostre, coś zupełnie nowego. Strona wizualna będzie bardzo ważna, a artykuły o ludziach mają zagłębiać się w motywacje, w mocne i słabe strony. Wiesz, na przykład: dlaczego chciałaś zostać gwiazdą filmową? Co dla ciebie znaczy być sławną? Jak sobie z tym radzisz? Co cię przeraża? Co cię podnieca? Co zniechęca?

Melissa Wayne roześmiała się. Aby to uczynić, odrzuciła głowę do tyłu.

— No więc — rzekła przeciągając słowa — nie miałabym najmniejszych kłopotów z odpowiedzią na dwa ostatnie pytania. — Znaczenie jej słów nie ulegało wątpliwości. By jeszcze bardziej je uwydatnić, strzeliła oczami do Tony'ego i zwilżyła językiem górną wargę. Potem znowu skierowała wzrok na Pat, a wilgotna warga skrzywiła się szyderczo.

Pat głęboko odetchnęła. W porządku, starała się. Teraz zrzuciła rękawiczki.

Dick Latham wkroczył między nie metaforycznie. Walka między tymi kotkami byłaby zabawna, lecz Melissa Wayne nie powinna zapędzić się do rogu, w którym honor kazałby jej odmówić pojawienia się w piśmie. Lepiej nie mieszać krwawych rozgrywek towarzyskich z biznesem.

— A mówiąc konkretniej, Pat, myślałaś już, co dasz na pierwszą rozkładówkę? Bardzo chciałbym ją zobaczyć — powiedział.

Pat przerwała tok swych myśli. Do konfrontacji nie doszło. Szykuje się dużo poważniejsza. Tego nie można lekceważyć. Czy nakryty do obiadu stół jest po temu odpowiednim miejscem? Kto wie. Gdy wreszcie przemówiła, sama była zaskoczona swymi słowami.

— Chcę zrobić esej fotograficzny o Tonym. Zdjęcia są wspaniałe, ale nie mogę go przekonać, by pozwolił mi je wykorzystać.

Nie odważyła się nań spojrzeć, gdy zrobiła mu takie świństwo. Napuszczała na niego innych. To nieładnie, ale może zadziała. Serce waliło jej w piersi jak młotem. Ich stosunki zawisły na włosku.

Melissa Wayne zareagowała od razu.

— Boże, to cudownie — powiedziała. — Słuchając ciebie, zaczęłam mieć wątpliwości co do *New Celebrity*. Teraz się przekonałam. — Poklepała Lathama po ramieniu, wpatrując się w rozwścieczoną twarz Tony'ego Valentina. — Zażątwcie mi prenumeratę. Czy mój kawałek będzie koło niego?

Latham uśmiechnął się.

— Zapowiada się wspaniale. Tony jako symbol pokolenia. Ambitny, nie bierze narkotyków, no i atrakcyjny dla kobiet. To mi się podoba. Tak, nawet bardzo mi się podoba.

Wbrew jemu samemu tak rzeczywiście było. Tony był wyjątkowy. I nie miało żadnego znaczenia to, że Latham chętnie starłby go na proszek. Wizualnie chłopak był bombowy, a wzajemny pociąg jego i Pat mógł tylko wyjść zdjęciom na dobre. Spojrzał na rywala, a w jego wzroku pojawiła się ciekawość, odzwierciedlająca niejednoznaczność uczuć w sercu starszego mężczyzny. Tony będzie dobry dla *New Celebrity*, a więc będzie dobry i dla niego. Nadawało to młodemu aktorowi nowy wymiar, który wzmagił jeszcze niechętny stosunek, jaki Latham już do niego żywił. Facetem powodowała ambicja, ale nigdy się nie czołgał. Przeciwnie, pysznił się swą wojowniczością. Normalnie Latham takie zachowanie przypisałby bezmyślnej brawurze młodości. Lecz u Tony'ego płynęło to nie odrzucenia niepewności, ale z niezwykłej pewności siebie. Taki stosunek do świata nie musiał się podobać, ale nie można go było nie podziwiać.

— Jakie masz zastrzeżenia, Tony? — spytał Havers.

Tony nie odpowiedział i przez moment wydawało się, że zlekceważy żywe zainteresowanie, które się wokół niego iskrzyło.

—Może Tony uważa, że te fotografie są osobiste — odezwała się nagle Allison Vanderbilt. Jej głos dźwięczał oskarżająco. Oskarżała Pat o zdradę zaufania, o nie-
lojalność, o najwyższą zbrodnię w kodeksie wyższych klas. A jako zbrodnię dodatkową, w istocie wykroczenie, zarzucała Pat kradzież ukochanego mężczyzny.

—Bo są — rzekł Tony. Gdy Pat wreszcie odważyła się na niego spojrzeć, jego oczy wbijały się w nią jak miecze.

—O Boże, nie bądź taki burżuazyjny — roześmiała się Melissa, potrząsając głową w kierunku Allison, lecz zwracając się do Tony'ego. — To typowy sposób myślenia dobrze urodzonych, którzy muszą chronić swoje życie prywatne, bo nic innego nie mają. My, ludzie z talentem, nie możemy skrywać się pod korcem, czy w grę wchodzi uroda, inteligencja, czy jedno i drugie. — Wysunęła do przodu

szpiczaste piersi i zachichotała, by zademonstrować, że należy do tej ostatniej kategorii.

Pat zwalczyła pokusę, by przyjść z pomocą oszołomionej Allison. Melissa bowiem, choć z jak najgorszych pobudek, trzymała jej stronę. Jednak ogień swych potężnych działań skierowała na Tony'ego.

—Rozebrałabyś się dla *Playboya!* — spytał Tony, celując w Melisse. Pytanie w zamyśle było wrogie, lecz zabrzmiało półzartobliwie. Podziwiał Wayne i podobała mu się. Taka powinna być kobieta — szczerą, zdecydowaną, dążącą do określonego celu.

—Owszem — odparła Melissa po prostu. — W ten sposób dostałam pierwszą rolę. — Wesołość zniknęła z jej głosu. Szarżowała. — A ty rozebrałeś się do zdjęć Pat?

Przy stole zapadła cisza. Przerwała ją tylko Allison, głęboko zaczerpując powietrza. Pat spojrzała w rozgwieżdżone niebo, rozpościerające się nad statkiem jak sufit. Spokój przestworzy ostro kontrastował z nerwową atmosferą obiadu. Havers kaszlnął. Dick Latham wyprostował się, czujny, wyczekujący odpowiedzi. Na twarzy Melissy widniał wyczekujący uśmiezek. Tony Valentino stał się chmurą burzową skrywającą błyskawice.

— Owszem — powiedział w końcu.

—Brawo — wyszeptała Melissa. Oddychała teraz szybciej. — Nie mogę się doczekać, żeby je zobaczyć — dodała.

—Odważny chłopak — wymamrotał Havers, przerażony męskim brakiem smaku.

Latham przetrwał to. Ryzyko artystyczne. Prowokacja publiczności. Emma długo rozwijała ten temat. Pat ledwo o tym napomknęła. Najwyraźniej mówiły poważnie. Myślał szybko i z komputera jego mózgu posypały się wydruki. Wszystkie wylądowały w przegródce z napisem: „Wspaniałe”.

—To bardzo, bardzo interesujące — powiedział. W jego głosie nie było śladu sarkazmu.

—Naprawdę? — spytała Pat. Jeżeli tak myśli, zanim zobaczył zdjęcia, to po ich obejrzeniu będzie wniebowzięty.

Obawiała się jego szyderstwa, po pierwsze, z powodu ryzyka wydawniczego, po drugie, ponieważ nie krył się ze swą antypatią wobec Tony'ego. Najwyraźniej go nie doceniała. To nie zwyczajny mężczyzna ze zwyczajnymi uprzedzeniami jak

Havers. Był jedyny w swoim rodzaju. Myślał samodzielnie. Nie pozwolił, by uczucia zaciemniły mu osąd. Wydawało się jej, że widzi go po raz pierwszy. Dick Latham zrobił miliardy w nowomodny sposób. On je zarobił.

— Byłbym niezmiernie zaszczycony, gdybym mógł je obejrzeć — powiedział Latham. Patrzył prosto na Tony'ego. Jak mężczyzna na mężczyznę. Równy na równego. Zawodowiec na zawodowca.

Tony odwzajemnił jego spojrzenie. To posunięcie zrobiło na nim potężne wrażenie, zważywszy, że pochodziło od człowieka, który nie miał najmniejszych powodów, by czuć do niego sympatię, wiele zaś, by napawać się jego upokorzeniem. Latham otrzymał wyborną amunicję i odmówił jej użycia. W zamian miliarder prosił o osobistą przysługę. Już powiedział Tony'emu trudny męski komplement — że świat zachwyci się widokiem jego ciała. Był to imponujący i nieoczekiwany zwrot, który wymagał odwagi. Tony'emu to się podobało. Trzeba mieć odwagę, by się zmienić. Trzeba uchwycić właściwy moment. Należy porzucić przeszłość i patrzeć tylko w przyszłość. Zaczęło się w nim rodzić dziwne uczucie.

Czy polubi w końcu Dicka Lathama? Wszystko jest możliwe. Ponieważ niewiele brakowało, by znienawidził Pat Parker za niewybaczalny postępek, jakiego się względem niego dopuściła.

— Zdaje się, że Pat i tak postanowiła je opublikować — powiedział w końcu z goryczą w głosie. Odwrócił się ku niej, a jego głos był zimny jak lód. — Nie wiedziałem, kim jesteś — dodał.

Pat oderwała od niego wzrok. Zwyciężyła. Przegrała. Przehandlowała go za swoją sztukę. Fotografie zostaną teraz wykorzystane. Latham wepchnie je nad głowę Emmy Guinness, gdyby ta miała jakieś zastrzeżenia, co było mało prawdopodobne. Stało się, co się miało stać, i straciła kochanka. Pragnęła, by zrozumiał. Była bezwzględna, tak jak i on. Tam, w drugim końcu stołu, cicho łkała Allison Vanderbilt, którą wykorzystał. Ale nie dostrzegł tego, nie wziął pod uwagę. Z klapkami na oczach będzie chował urazę do Pat, pomimo że w podobnej sytuacji postąpiłby tak samo. Wariackim obrotem rzeczy on na tym zyska. Te zdjęcia wywindują go na szczyty, pogrążając zarazem ich związek. To szaleńcze, złe, ale konieczne. Nigdy przedtem realizowanie własnych zamysłów nie wydawało się jej tak bezcelowe.

Widziała wokół siebie twarze jak za mgłą. Kawior się skończył, ale pojawił się halibut a la bonne femme i puligny Montrachet. Trzeba przetrzymać obiad, podobnie jak resztę życia.

— Chyba nadeszła pora, bym wygłosił swój mały komunikat — rzekł Dick Latham, nie zważając na dziwny nastrój, jaki panował przy stole.

Usiłowali okazać zainteresowanie, ale im się to nie udało. Allison już nic nie mogło zaskoczyć. Wyglądała tak, jakby miała zemdleć. Havers najwyraźniej znał sekret, czegokolwiek by on dotyczył. Tony pograżył się w wyniosłej nieprzystępności swego prywatnego świata. Pat cierpiała w swoim. Jedynie Melissa Wayne zachowała dość energii, by zarejestrować podniecenie.

Nikły oddźwięk nie zniechęcił Lathama. Wyraz jego twarzy mówił, że ma karty atutowe. Gdy będzie rozgrywał partię, wszyscy usiądą w skupieniu i zaczną się przyglądać.

—Może pamiętacie, państwo, że niedawno kupiłem wytwórnię Cosmos. Gdy skorzystałem z kursu obrotu nieruchomościami i zaprzestałem produkcji, ludzie doszli do wniosku, że straciłem zainteresowanie studiem. Nie jest to zgodne z prawdą. W najmniejszej mierze. — Urwał, by jego słowa dotarły do słuchaczy. Tony wynurzył się na powierzchnię z głębin, w których pływał. Melissa przechyliła głowę na bok. Pat wrzuciła umysł na pierwszy bieg.

—W istocie planuję odbudowę Cosmosu — stworzenie nowego studia od podstaw w stylu Hollywoodu. Zamierzam przekształcić je w najlepsze i najbardziej wpływowe studio na świecie. Liczę, że będziesz gwiazdą moich filmów, Melisso... a kto wie... może któregoś dnia Pat wyreżyseruje jakiś film Cosmosu, a Allison i Tony... w nim zagrają...

Rozpostarł ramiona, jakby sygnalizując im szerokie przyszłe możliwości, a orle oczy inwentaryzowały twarze za stołem. Ma ich wszystkich. Chwycili przynętę. Teraz może ich zwinąć. Może ich wyrzucić z powrotem. Może ich wypatroszyć, ugotować i zjeść.

Melissa wydała okrzyk podniecenia. Więcej pracy. Więcej chwały. Im więcej forsy i wpływów, tym bardziej będą się za nią uganiać jak za suką. Wdzięczyły się do niej wszystkie wytwórnie, lecz Cosmos jest szczególny. Mimo serii niepowodzeń jest to stara hollywoodzka arystokracja, a Melissa nigdy dla niej nie pracowała. Allison słyszała syreni śpiew filmu nad skałami i ruinami swego życia. Sło-

wo „reżyser” zawirowało w głowie Pat, gdy ruchome obrazy zastąpiły fotosy. Lecz najsilniej słowa Lathama odbiły się na twarzy Tony'ego Valentina.

Wydawał się mocno poruszony zasłyszanymi wieściami, nie można było jednak stwierdzić, czy uważa je za dobre, czy złe. Jego twarz była uosobieniem dwuznaczności. W oczach migał błysk podniecenia. Jednocześnie usta wykrzywiły mu się grymasem niewątpliwego niesmaku. Inne rysy oscylowały niepewnie między dwiema uczuciowymi krańcowościami. Pat przyglądała mu się przez stół zafascynowana, doskonale pojmując jego dylemat. Latham, człowiek, którym Tony pogardzał, pośrednio zaproponował mu realizację marzeń. Czy Tony się zgodzi? Czy przedłoży karierę nad zasady, jak to właśnie ona zrobiła? Tak, owszem. Pat nie miała wątpliwości. A w jego wspaniałej przyszłości nie będzie dla niej miejsca. Ogarnęła ją fala gniewu. Jasna cholera! To takie niesprawiedliwe, takie zakłamanne. Jest akurat taki sam jak ona. Zdradzi własne uczucia, byle otrzymać to, czego potrzebuje, tak jak ona powodowana ambicją dopuściła się zdrady. Czyż nie znoszą się dwa występki, nawet jeśli nie powstanie z nich rzecz słuszna?

Wtem, nagle, uderzyła ją inna myśl, przesywając umysł jak błyskawica.

—Gdzie ma pan zamiar zbudować nowe studio? — spytała.

—Och, gdzieś na pustyni — odparł Dick Latham z lekkim machnięciem ręki.

— Czy Pat nie przyjdzie? — spytał Dick Latham udając zaskoczenie, którego nie odczuwał.

— Nie mam pojęcia — wymamrotał Tony, jakby nie bardzo wiedział, o kogo chodzi. Ostrożnie stąpał pośród stosów przyrządów do nurkowania, wyłożonych na dolnym pokładzie „Hedonisty”. — Czy naprawdę będziemy potrzebowali kombinezonów? — spytał.

Latham uśmiechnął się. To dopiero początek. Już na wstępie Tony usiłuje uzyskać przewagę. Temperatura wód Pacyfiku wokół wyspy Santa Cruz wynosiła około siedemdziesięciu stopni. Woda była zimna, ale nie aż tak zimna. Gdyby Latham, pragnąc dorównać Tony'emu, zrezygnował z gumowego kombinezonu, spędziłby nieprzyjemny ranek. Młodszy i sprawniejszy system regulacji temperatury ciała to punkt dla Tony'ego.

Instruktor nurkowania, który był pełnoetatowym członkiem załogi, odpowiedział za swego szefa:

—Fale przyływu mogą rzucić pana na ściany jaskini. Chwila nieuwagi i zostanie pan rozerwany na strzępy. Będzie pan potrzebował kombinezonu, butów, ciężkich rękawic, szczególnie jeśli chce pan złowić homara.

—Och — rzekł Tony z uśmiechem. — Widzę, że będziemy musieli być bardzo ostrożni.

Latham i nurek wymienili spojrzenia.

—Robił pan to już przedtem, prawda? — spytał nurek z niepokojem.

—We śnie — odparł Tony zagadkowo.

Lekka mgiełka spoczywała na morzu jak koc, otulając Santa Cruz niczym wata. Zaczynało się już jednak robić ciepło i przez opary przebijała się zamglona kula słońca. Ocean był spokojny, fale uderzały łagodnie, lecz nurek zdradzał oznaki zdenerwowania. Niespokojne oczy wpatrywały się w wodę.

—W porządku, Joe? — spytał Latham.

—Wie pan, jak to jest, nigdy nie można przewidzieć, a przyływ jest naprawdę wysoki. Czy nie lepiej to przełożyć?

Latham czuł spoczywający na sobie wzrok Tony'ego.

—Nie możemy. Po południu musimy wracać do Santa Barbara. Jutro z samego rana muszę być w Nowym Jorku.

—W takim razie będę się trzymał za panem — rzekł Joe.

—By trzymać pana za rękę — zaśmiał się Tony.

Na ramionach nurka naprężyły się mięśnie. Z błyskiem w oczach odwrócił się do Tony'ego.

— Nie musisz płynąć z nami, Joe — powiedział z wolna Latham. — Nasz młody przyjaciel uwielbia niebezpieczeństwa. Postarajmy się mu dogodzić. — Roześmiał się. Z jaskiniami nie ma żartów. Szaleństwem byłoby zagłębiać się w nie bez doświadczonego nurka i speleologa.

Lecz na to też powinno znaleźć się miejsce w życiu. Powinien być czas na emocje i zmaganie się z żywiołami, czas na niezbyt rozsądne wyczyny. Tego starzy mogą się uczyć od młodych.

Założyli kombinezony, a Joe sprawdził butle i zawory regulacyjne. Rufa małej łódki, spuszczonej już z pokładu, podskakiwała na wodzie.

— Zacumuję przy Jaskini Homarów, skoro do niej udajecie się najpierw, potem przeniosę się do Jaskini Nietoperzy, kiedy zobaczę, że tam przepływacie. Uważajcie na siebie.

Jeśli temu dupkowi coś się stanie, nie będziemy się przejmować — przekazał mu bez słów. Zawodowcy nie lubią rozkosznych chłoptasiów. Zawsze muszą wypijać piwo, które tamci nawarzyli.

Dick Latham skinął głową. O to mu właśnie chodziło. Przytopiony Tony Valentino, którego wyciąga z wody zawzięty Joe, stanowiłby wyborne zakończenie poranka.

— No dobrze, Tony, jazda. — Weszli do łódki, a Joe przeniósł ciężkie butle po pływającej platformie „Hedonisty” na rufę. Uruchomił silnik i niebawem łódka śmigła przez fale ku wyspie, do miejsca, gdzie znajdują się jaskinie.

— Popłynemy najpierw do Jaskini Nietoperzy — rzekł Tony.

— Dobrze, wpłynemy tam, gdzie jest najgłębsza woda — zgodził się Latham.

Nałożyli butle, gdy łódka zatrzymała się na kotwicy, poprawili maski i ustniki i zajęli pozycje na burcie. Potem razem runęli tyłem do wody, pochłonęły ich bańki i ciemny ocean. Z zimna zaparło im oddech, gdy robili młynka w wodzie, lecz wkrótce zyskali orientację i potężnymi wymachami zdążali ku urwistemu otworowi w skale. Dick Latham pomacał podwodną latarkę u pasa i naprężył ramiona, poprawiając butlę z tlenem na plecach. Jaskinia Nietoperzy była drugą co do wielkości na wyspie i, jak pamiętał, bezpieczna, ale nigdy nie można mieć absolutnej pewności. Tu nie będzie służby, usuwającej najmniejszą przeszkodę. Miliardy tyle działają co ptasie kakanie.

Zamajaczył przed nim otwór, czarny na tle brązowej skały, płetwy Lathama zaczepiły na moment o ostry występ, strzegący wejścia do jaskini. Wynurzył głowę nad powierzchnię wody i obrócił się, by sprawdzić, czy Tony jest za nim. Sięgnął po latarkę, rzucając nad głowę snop światła w głąb jaskini. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że w środku znajduje się tylko jedna komnata, w której najdalszym krańcu zawisa sucha platforma, zarzucona kamykami i stosami gnijącego drewna. Na pół podpłynął, na pół wszedł do jaskini, pochylony w wodzie, utrzymując butlę z powietrzem pod powierzchnią, aby wypór oceanu zmniejszył jej ciężar. Skierował latarkę na strop, gdzie, wisząc w ciemności głową w dół, znajdowało się uzasadnienie nazwy jaskini. Nietoperz, schwytyany w snop światła, rozwinął skrzydła, i w jednej chwili pełno ich było w powietrzu, śmigających i mijających się w mroku ponad głowami śmiałków. Tony również sięgnął po latarkę i przez kilka minut obaj usiłowali schwytać oszalałe nietoperze w promienie światła

niczym myśliwce w blask wojennych reflektorów. Tony roześmiał się, a Latham mu zawtórował, dwaj chłopcy przeżywający przygodę, chłopcy, którzy przed chwilą byli rywalami, a nawet wrogami. Po prawej stronie od głównego atrium jaskini odchodził wąski przesmyk. Woda pluskała tam tuż przy stropie, zostawiając nieco miejsca nad powierzchnią. Dick Latham wyciągnął ustnik.

— Spróbujmy tędy. — Wskazał na wewnętrzne wejście do jaskini. — Pójdę pierwszy. — Zniknął pod powierzchnią, trzymając przed sobą latarkę w nieprzeniknionej ciemności, i zaczął płynąć ku otworowi. Wówczas poczuł, że wsysa go podwodny prąd, spychając z toru. Ramieniem dotknął skalnej ściany. Otarł się o nią głową. Do diabła! Nie można przewidzieć, jak wielkie będą fale. Przydałyby się im kaski z wmontowanym światłem. Dzięki Bogu, że mają ciężkie rękawice. Obrócił się. Tony'ego również pochwyił niespodziewany ruch morza. Uniesionym do góry kciukiem sygnalizował, że wszystko gra. Przez moment Latham zatrzymał się w otworze, lecz czuł ramiona Tony'ego na swych płetwach. Mądrzej byłoby poczekać. Fale przychodziły gromadnie. Rozsądny nurek, nim ruszy do przodu, pokręciłby się w miejscu, by zobaczyć, co go czeka. Lecz wciągnięty w atmosferę męskiej rywalizacji Latham nie zwlekał. Zaczerpnąwszy głęboko oddechu, wpłynął w wąski przesmyk między skałami. Tuż za nim posuwał się Tony. Nie było miejsca, by się obrócić. Jedyna droga wiodła w przód.

Latarka rzucała w górę snop światła, które odbijało się od urwistych, poszarpanych ścian i znikało w ciemności tunelu. Dick płynął ku powierzchni, lecz teraz strop kanału zlewał się z lustrem wody. Nie było czym oddychać prócz powietrza z butli na plecach. Dłuższy czas płynęli do przodu, a Latham usiłował zorientować się, w jakim kierunku zdążają. Zupełnie nie mógł się połapać. Tunel wił się i skręcał. W żaden sposób nie można było stwierdzić, czy płyną równolegle do morza, wracają ku niemu, czy też zagłębiają się coraz bardziej w odwieczne skały wyspy. Dick Latham poczuł pierwsze oznaki zaniepokojenia w dołku, na karku. Przerazenie nie ogarnęło go jeszcze. Doznawał przyjemnego uczucia, które wzmagało poczucie niezwykłości. Ciało go świerbiało w pogotowiu na najmniejszy sygnał niebezpieczeństwa, a umysł miał chłodny, pracujący sprawniej niż podczas twardej negocjacji z godnym siebie przeciwnikiem. Z prawej strony światło wytropiło jeszcze jeden tunel, skręcający pod kątem prostym w stosunku do głównego kanału. Przesmyk, którym się posuwał, może go doprowadzić do oceanu. Ale może też trafić na ślepią ścianę. Jeśli skręca, muszą uważać. Jeszcze parę zakrętów i za-

błądzą. Zużyli około piętnastu minut powietrza. Zostało im jeszcze piętnaście. Ustawił się w kierunku otworu dopływowego, kiedy to się stało.

Pluskająca woda poczęła pienić się wokół niego, a z tunelu wytrysnął w górę potężny strumień. Uniósł Lathama jak listek miotany huraganem i cisnął o ścianę. Poczł się tak, jakby polano go z ukrycia strażacką sikawką w czasie nocnych rozruchów. W ramieniu, które uderzyło o skałę, wybuchnął ból. Lewa płetwa zerwała się ze stopy. Maską odpadła mu od twarzy, ustnik dopływu powietrza wypadł spomiędzy zębów. Usiłował odzyskać równowagę za pomocą rąk i ochraniać się stopami, lecz szorował o powierzchnię skał. Rękawica zniknęła w kotle spienionej wody, a z palców, ciśniętych o ostrą powierzchnię skały, zdarła się skóra, obnażając kość kłykci. W głowie wybuchło mu światło, zwiastujące początek koszmaru, a wokół mózgu widmowy głos powtarzał znajome słowa: „Wpadłeś, Dicku Lathamie. Wpadłeś, jak nie wiem co, a to wszystko twoja wina”.

Wyprostował się w ciszy, która nastąpiła po opadnięciu prądu, ale czyniąc tak wiedział, że to nie żaden koniec, a dopiero początek.

Sięgnął przez ramię i schwyciwszy unoszący się w wodzie ustnik wepchnął go z powrotem między zęby. Oparłszy się o ścianę patrzył na chmurę krwi, tryskającej ze skaleczonej ręki, i walcząc o życie, usiłował stawić czoło przeciuprądowi, który musi nadejść. Gwałtownie wywijał ramieniem, dając znak Tony'emu, by trzymał się z dala od wejścia do bocznego kanału, a potem usiłował znaleźć punkt oparcia w poszarpanej skalnej ścianie.

Woda wsysała go. Szarpała za nogi, odpychając od skalnej płaszczyzny. Wciągała go coraz mocniej, odrywając krwawiące palce od ściany, do której przywarł. Spojrzał przez ramię w czarną dziurę, która go pożądała, i nagle z pewnością potępionych poczuł, że umrze. Nie umknie z zasadzki, jaką zgotowała próżnia. Skoro raz znajdzie się w piekielnej kipieli, nie będzie miał siły wypłynąć spomiędzy wirujących prądów. Jeśli nie sponiewierają go do nieprzytomności na ostrych skałach, uwiężą pod wodą, a on w panice będzie obserwował wskaźnik zapasu powietrza, migający ku zeru. Tam na zwodniczo gładkiej powierzchni oceanu czeka Joe, nieświadom niebezpieczeństwa, w jakim znajduje się Latham. Nawet gdyby Tony zdołał obrócić się w wąskim przesmyku i dobrnąć do łódki, nie zdążą go wyratować. Dick Latham trzymał się, lecz czuł już, jak ześlizgują mu się palce i uchodzi zeń życie.

Przeszłość nie stanęła mu przed oczyma, jak rzekomo powinna była. W zamian wezbrała w nim czarna fala gniewu. Szlag by to trafił! Zbyt wielu ludzi będzie się z tego cieszyć. Musi jeszcze zniszczyć tylu wrogów, pochłonąć tyle kobiet, zrobić tyle cudownych interesów. Nigdy nie obejrzy *New Celebrity*, nie przetnie wstęgi studia Cosmos, nigdy nie usłyszy dźwięków, jakie Pat Parker wydaje w chwili ostatecznego poddania. A więc młócił nogami, szarpał rękami i napełniał płuca powietrzem w nadludzkim wysiłku, by uniknąć swego losu. Jasna cholera! Tony Valentino będzie patrzył, jak umiera. Nic innego nie zrobi, ale też nie będzie miał żadnej możliwości zrobienia czegokolwiek, i Dick Latham nie miał do niego pretensji. Tyle jeśli idzie o grę pokoleniową. Nie oczekiwał, że to się tak skończy. Gem, set i mecz do zera, bez możliwości powtórki pierwszego pojedynku i w rekordowym czasie.

Fala przyływu zgarnęła go ze ściany. Zwinęła go w kłębek chaosu i połknęła. Poszybował w ciemność, a uderzenie głową o skałę zapaliło jaskrawe fajerwerki gwiazd w czerni jego umysłu. Poczul potężny cios w ramię i nagle w ustniku zabrakło mu powietrza. W panice uświadomił sobie, co zaszło. Zderzenie z powierzchnią skały rozbiło reduktor butli. Powietrza miał teraz tylko tyle, ile zostało w płucach, a usta wypełniła mu słona woda. Serce waliło mu w piersi, gdy za wszelką cenę usiłował zachować spokój w czasie tych krótkich przedśmiertnych sekund. Miał jedną szansę. Gdyby doczekał się fali odpływu, mogłaby ona katalpować go przez wąski otwór, którym się tu dostał. Znalazłszy się na zewnątrz, skorzystałby z powietrza Tony'ego. Spojrzał w mrok, usiłując ustalić swoje położenie. Sięgnął po latarkę, ale nie miał jej już u pasa, zmiotł ją wir, który go porwał. W rozpacz zebrał się w sobie, by skoczyć w nieznane, i z całej siły odepchnął się piętami, by rozpędzić się w przód. Ostry ból w kostce poszybował do pozbawionego powietrza mózgu. Ugrzązł. Noga utkwiała mu w skalnej szczelinie. Ostatnia szansa przepadła. Dick Latham poddał się. Podobno to przyjemna śmierć. Człowiek odpływa, jakby zasypiał. Bierze głęboko oddech i wpływają mu do środka bąbelki wody. Unosi się nad swym ciałem w słynnym doświadczeniu śmierci, zadowolony, że ma to z głowy, uwolniony nareszcie z cielesnego więzienia, do którego tak są przywiązani niemądry śmiertelnicy.

Poczul uchwyt ręki. Zamajaczyła przed nim twarz. Do warg przyciśnięto mu ustnik. Dick Latham uchwycił go i życie popłynęło mu do płuc, a ulga i tlen krążyły w żyłach. To był Tony. Odważył się przepłynąć wiry, by dołączyć do Latha-

ma w wodnym grobie. W akcie nadludzkiej odwagi, wielkoduszności i lekko-myślności poświęcił własną przyszłość, by człowiek, którego nienawidził, mógł dzielić jego życie jeszcze przez parę minut. Myśli kłębiły się w głowie Lathama, gdy ciepło i wdzięczność walczyły z beznadzieją i lękiem. Lecz Tony Valentino miał inne plany. Palce zacisnął na ramieniu Lathama, a nie był to uścisk paniki czy desperacji. To gest zdecydowania. Drugą rękę uniósł przed twarzą Lathama. Wystający palec wskazywał ponad jego ramieniem w kierunku wąskiego wyjścia. Palec szturchał go wymownie. Mieli spróbować niemożliwego. Będą usiłowali płynąć przeciw sile prądu.

Ponaglający ucisk palców Tony'ego i wymowa jego gestu sprawiły, że Lathamowi zeszywniał krzyż. Młodzieniec zawsze sprawiał wrażenie silnego, ale Lathamowi wydawało się, iż są to mięśnie na pokaz, rozdęte w jakiejś narcystycznej sali gimnastycznej na Manhattanie. Teraz zostaną wypróbowane. Tony przycisnął rękę Lathama do swego paska i przygniótł jego ciało, umieszczając stopy po bokach jego przepony, by jak najsilniejszym szarpnięciem oderwać go od ściany. Latham zaczepił drugą rękę o pasek i podtrzymywany przez młodszego mężczyznę zdołał uwolnić stopę ze szczeliny. Tony sięgnął po ustnik, zaczerpnął pełne płuca powietrza i podał go Lathamowi. Szarpnął ręką w górę. Szarpnął w dół. Nogi wyprostowały się z gwałtownym pchnięciem. Wystrzelił jak pocisk w spienioną wodę i pociągnął za sobą Lathama, kopiającego jak oszalały, by zyskać możliwie największy rozpęd. Mknęli jak strzała ku wyjściu, pod silny przeciwpływ. Z każdym milimetrem ich szybkość słabła. Wtém, trzy stopy od celu, zatrzymali się. Ramiona Tony'ego biły wodę, aż się spieniła. Nogi Lathama waliły w górę i w dół. Wszystko na nic. Nie posuwali się naprzód. Jeszcze raz ogarnęło Lathama poczucie fatalizmu. Tak blisko. Tak daleko. Trzydzieści sześć cali w jakiejś zapomnianej przez Boga jaskini stanowiło różnicę między wspaniałą przyszłością a zapomnieniem.

Latham zrozumiał, że Tony musi podjąć decyzję. Bez Lathama na holu Valentino miałby szansę. Zgubi go obciążenie dodatkowym bagażem. Latham powinien puścić pasek. Tak by należało. Tony już zrobił dla niego zbyt wiele. A jednak. Nie puścił. W istocie zacisnął kłykcie na pasie, który stał się jego liną ratowniczą, i in extremis uśmiechnął się ponuro, uświadamiając sobie, jak straszliwie nieprzyjemnym jest człowiekiem.

Tony obrócił się, by na niego spojrzeć. Przez spieniony mrok widział oczy Valentina. Wwiercały się weń z całą pogardą zwycięzcy dla przegranego. Wygrałem, mówiły. Miałem rację. Byłeś słaby, a ja

jestem silny. Jeśli teraz zginiemy, niczego to nie zmieni. Nie miałeś nawet na tyle przyzwoitości, by puścić. To była najbardziej znacząca wiadomość. W głębi duszy Dicka Lathama zaczęła tryskać fontanna adrenaliny. Niech to szlag trafi! Niech to szlag! Siła napłynęła mu do nóg. Nagle stały się lekkie jak piórka i waliły wodę z nowym wigorem. Razem cal po calu posuwali się naprzód i Tony, zyskawszy zachętę, podwoił wysiłki. Jego ramiona waliły w morze. Nogi tłukły w górę pod ciałem Lathama. Po czym nagle, jak Jonasz z paszczy wieloryba, zostali zwymiotowani przez otwór. Potoczyli się naprzód, wpadając jeden na drugiego, aż uderzyli o skałę przed jaskinią.

Siła rozpędu, a także wstrząs spowodowany uderzeniem, odrzuciły ich na boki, poza zasięg ciągu śmiertelnej bocznej jaskini. Gdy w spokoju opadli na piaszczyste dno, wezbrała w nich radość. Objęli się mocnym uściskiem wzajemnych gratulacji, a w oczach Lathama błysnęły łzy wdzięczności. Dzielili się ustnikiem, który stał się dla nich fajką pokoju. Byli teraz przyjaciółmi. Cokolwiek się stanie, łączyła ich więź najsilniejsza. Latham zawdzięczał Tony'emu życie. Tony ryzykował swoje dla miliardera, którego trzymał w objęciach. Ich bliskość była nie tylko fizyczna. Później przyjdzie czas na słowa, teraz nie były one potrzebne. Przez zamglone maski rozmawiały ich oczy.

8.

Emma Guinness siedziała za biurkiem na krześle sprawiającym wrażenie tronu i rozglądała się po uczestnikach zebrania, któremu przewodniczyła.

— Stawiam na klasę — rzekła. — To ma być nowy amerykański przebój. Chcę, żeby pisali do nas ludzie z Harvardu i Yale, ale tacy, którzy dobrze wyglądaliby na reklamach Calvina Kleina. Główka na lata dziewięćdziesiąte musi być ładna.

Wojowniczo łypnęła wzrokiem po pokoju. Czy ktoś się nie zgadza? Czy ktoś na jej dworze ośmieli się wznieść sztandar buntu? I pragnie otrzymać Order Dymisji? Nikt. Panowała złota cisza.

— I chcę mnóstwo subtelного seksu. Nieważne, że ani wy, ani ja tego nie lubimy. Wszyscy boją się pierdolenia, ale pęd do niego nie wygasł. Kiedyś do tego dojdzie i wtedy wsiądziemy na miłego konika purytanizmu, ale we wczesnych latach dziewięćdziesiątych będzie rynek dla magazynów ilustrowanych z pieprzonymi kawałkami. Więc chcę, żebyśmy zamieszczali sztukę porno, jasne? Może trafił się tam jakiś nowy Newton. Playboy z seksem. Patrz, ale nie tykaj.

Bębniła w stół, akompaniując swemu strumieniowi świadomości, cały czas zastanawiając się, jak najcelniej zranić, jak zasiać ziarna rozpaczy wśród swych najlepszych, najbystrzejszych pracowników.

— Ale nie chcę też żadnego pedalstwa, Howard — rzekła ostro do kierownika działu sztuki, którego podebrała od *Vogues Hommes*. — Owszem, od czasu do czasu jakiś kawałek, szczególnie, jeśli opisuje wyrefinowane cioty, ale żadnych obrazków. Wizualnie *New Celebrity* jest absolutnie normalna. Moda? — Urwała. Jak zawsze kurtyna opadała. — Moda to działka Michaela, prawda? Postaw na młodość i energię, byleby to nie było zbyt nudne, ale i nie za śmiałe... weź, na przykład... weź, kogo chcesz, abyś tylko tego nie spieprzył, jasne?

Michael zmusił się do uśmiechu. To słaby punkt Guinness. W całym piśmie on jeden będzie miał *carte blanche*. Starał się nie patrzeć na jej ubranie, ale oczy same biegły do zapinanych na czerwone guziki ciżemek, które coraz to wyglądały spod jej biurka. Co jest takiego fascynującego w ohydzie? Trzeba mieć sporą dozę oryginalności, żeby stać się prawdziwą ofiarą mody.

—A teraz innowacje. Potrzebujemy paru tych uprzywilejowanych szczeniaków z wyższych sfer lamentujących, jak to dennie mieć szmal, miłych rodziców i porządne wykształcenie, dzięki czemu dostają forszę za bzdury, które wystukują na tych swoich maszynach do pisania. Wiecie, mnóstwo narkotyków, opisy funkcji cielesnych, od których się robi niedobrze, i beznadzieja życia, gdy ma się wszystko. To absolutnie materiał na lata dziewięćdziesiąte. Idiotyzmy typu „Na dno”, „Trup w nocy”, „Prosto do grobu” — a jeśli nie możecie znaleźć autora, ściągnijcie jakąś gwiazdę rubryki towarzyskiej dobrego uniwersytetu, a wystukam jej pierwszą powieść autobiograficzną w czasie przerwy na lunch.

—Co pani powie na Marię Gonzales? — próbował Jacosta, facet o ostrych rysach.

—W porządku. Nic do niej nie mam. Przynajmniej jest młoda, a młodość powraca. Zdaje się, że ta mała nie żywi owej dziennikarskiej odrazy do przymiotników. Nie małpuje nawet tego opoja Hemingwaya, mimo że cała Ameryka jest w niego wpatrzona, jakby to on wynalazł pisarstwo. Nie mogę się zorientować, czy obawa przed fragmentami opisowymi bierze się z krótkiego okresu, w jakim czytelnik jest w stanie się skupić, czy też z niechęci do czytania. Wiem, że czytelnicy niby powinni wypełnić puste miejsca siłą swej wyobraźni, ale zawsze sądziłam, iż czytanie książek to bierne spędzanie czasu. W każdym razie niech ta Gonzales spróbuje. Dalej żyje z tą dziewczyną od Forda?

Jacosta powiedział, że chyba tak. Howard z Paryża był w Nowym Jorku zbyt krótko, by coś na ten temat wiedzieć. Michael mógł rzucić zdecydowane „tak”.

— No i dobrze. Zaproponujcie jej najwyżej piątkę za pierwsze odcinki. Jest „poważną” pisarką i nie powinna kosztować więcej. Gdyby była zachłanna, zawiadomcie mnie, to zadzwonię do jej agenta. To Mort, prawda? Uwielbia mnie. Jak i wy wszyscy. — Roześmiała się, by pokazać, że wie, iż jej nie znoszą, i że wcale jej to nie przeszkadza. Potrzebowała tarć. Wydobywały z niej wszystko, co najlepsze, a to było wspaniałe.

Zadzwonił telefon. Zrobiła rozgniewaną minę.

— Powiedziałam, żeby mnie nie łączyć — rzekła chwytając słuchawkę i rzucając wściekłe spojrzenia na Central Park.

— O, Dick... jak się masz. Myślałam, że jesteś w Malibu. Jak to miło...

Promieniała na cały pokój. Wszyscy wiedzą, kim jest Dick. Teraz zobaczą, jak blisko jest z szefem.

—Ach, to cudownie. Tak szybko? Nie przypuszczałam, że Pat tak błyskawicznie się pozbiera. Wspaniale! Tak, pierwszy numer. Absolutnie. Jaki temat? Nie wiedziałam, że ktoś taki jest w Malibu. — Roześmiała się, a cała jej twarz jaśniała nieziemską żywotnością. Rozkładówka Pat Parker na ponowną premierę. Dick Latham prawiający jej przez telefon słodkie słówka w pokoju pełnym podwładnych. Zapowiada się wspaniały dzień.

—Aha, aha, chłopak, to znaczy, że wszystkie przedstawiają chłopaka... tego samego... rozumiem. — Entuzjazm zniknął z jej głosu. Chłopak, chłopak z Malibu nie wydawał się jej odpowiedni. Ale przecież Pat Parker robiła te fotki, a zdjęcia

nie przekładają się dobrze na słowa. — Przecież ty je widziałeś, i to się liczy. Nie, masz niewiarygodne oko. Naprawdę. Nie wciskam ci kitu... dobrze... za pięć minut, wspaniale. Zaraz się u ciebie zamelduję. .

Odłożyła słuchawkę z powrotem, jakby łaskotała nią plecy Lathama. Rozejrzała się po pokoju. Pora poinformować wszystkich o nowym wydarzeniu, co przerwie ustalony porządek zebrania. Wydarzyła się duża rzecz.

—Mamy rozkładówkę Pat Parker do pierwszego numeru. Dick ma zdjęcia na górze. Przekazuje je nam. Oszalał na ich punkcie.

—Zdjęcia chłopca z Malibu? — spytał Michael, którego teka redaktora działu mody miała wbudowaną brawurę. Nie krył sarkazmu.

—Taaak — odrzekła Emma, zajmując pozycje obronne. — Nie sądzę, by pan Latham się mylił — stwierdziła lodowato. „Dick” stał się „panem” dla wynajętej służby. — A więc, o czym to mówiliśmy? A tak, modni pisarze. Wszystko rozbija się o czas. Wypadną z rynku, zanim się wciągną w naszą robotę, ale musimy zaryzykować. Pamiętajcie, ohyda to jest to, jasne? Dzieci odeszły w przeszłość, rodziny są nudne, wraca życie w pojedynkę. Świat jeszcze tego nie chwycił, ale my zawsze potrafimy przewidzieć, skąd wiatr wieje, no nie, stara wiaro? Balangi szlag trafił, zdrowie wychodzi na plan pierwszy i już nie dajemy się wodzić za nos europejskim przybłędem... z wyjątkiem... — i zaśmiała się oschłym, groźnym śmiechem — ...mnie.

—Nie jestem pewien, czy ma pani absolutną rację w kwestii rodzin — zaczął Jacosta. — Problemy związane z wychowaniem dzieci s... są permanentne — szczególnie ojcostwo. — Poruszył się na krześle, czekając na smagnięcie języka Guinness. Czasami ból sprawiał mu ździebko przyjemności. Musi o tym porozmawiać ze swoim' psychoterapeutą. Trudno dzisiaj zainteresować czymś starego nietoperza.

— Są s... permanentne? Spermanentne? Gównu prawda. Sperma jest bardziej permanentna niż rodzicielstwo. Dajcie spokój z tymi bzdetami Spocka. Ale odmładzanie skóry za pomocą spermy — to jest sprawa. Czy Jackie Bisset nie miała czegoś takiego w tym filmie o walce w Beverly Hills? Nieważne. Niech ktoś mi napisze notatkę o spermie, dobrze? Dobra robota, Kit. No i proszę, te długie słowa w końcu się opłaciły.

Przerwało jej pukanie do drzwi. Sekretarka, która weszła do pokoju, była piękna i wyniosła, jak przystoi boskiej służebnicy. Nie czekała na zaproszenie, by wejść. W ręce trzymała kopertę z eleganckiej papeterii.

—Pan Latham prosił, żebym to dostarczyła — rzekła. Przeszła przez pokój jak modelka po wybiegu i położyła kopertę przed Emmą Guinness.

—Dziękuję — rzekła Emma Guinness z chłodem, który rezerwowała dla atrakcyjnych kobiet o statusie niższym niż ona sama.

Sięgnęła po kopertę i odczepiła metalowe zapięcia, przytrzymujące brzeg.

Wyciągnęła garść zdjęć i skwapliwie się nad nimi pochyliła. Spojrzała na nią twarz. Twarz, ciało i, Jezu Chryste, penis. Były to jedne z najpiękniejszych fotografii, jakie w życiu widziała. Nie mogła oderwać wzroku od niebezpiecznych oczu. Cienie bieli i czerni śpiewały w najsłodszej harmonii. Biła od nich magia. Biła od nich świetność. Bił od nich żar gorętszy niż od płonących ogni Hadesu. Z trudem przełknęła ślinę, gdyż przywodziły też na myśl inne rzeczy. Budziły przyśchłe wspomnienia. Rozbrzmiewały chaotycznym dysonansem. Szarpały ją palcami strachu, przebiegającymi w górę i w dół wzdłuż stosu pacierzowego, który nagle pokrył się potem. Zdjęcie zakolysało się jej przed oczami. Czerwona mgła zasnuła jej wzrok. Serce waliło pod uniesionym biustem. Nigdy, przenigdy nie spodziewała się już ujrzeć tej twarzy, tego ciała. Starła je z frontu swego umysłu, spychając w owo mroczne miejsce, gdzie znalazły się wszystkie upokorzenia — na dno id — skąd od czasu do czasu urągał jej stłumiony krzyk. Tony Valentino! Nazwisko to wybuchło w jej mózgu, a pot wystąpił na górną wargę. Podłość, która stanęła jej na drodze, będzie rozkładówką akurat w pierwszym numerze jej pisma.

— Czy są tragiczne? — spytał z nadzieją Michael. Nie mógł powstrzymać entuzjazmu wobec obiecującej sytuacji. Emma Guinness była blada jak duch, którego najwyraźniej ujrzała. Zdjęcie drżało jej w rękach. Nie widzące oczy błędziły po nim w panice.

Emma nie odpowiedziała. Wysypka, która wyskoczyła jej na pośladkach, ucieleśniała palący problem. Wręczając zdjęcia redaktorowi działu mody, już stawiała czoło dylematowi. Fotogramy były cudowne. Stanowiły dzieło czystej sztuki — nie kręcące się koło tyłka, i będą cennym nabytkiem dla pisma. Już one same zagwarantują sukces ponownie lansowanego magazynu. *New Celebrity* i kariera Emmy Guinness wystartują jak rakieta. Ale Emma postanowiła ich nie wykorzystywać. Ten chłopak ją upokorzył. Wzgardził jej zalotami. Publicznie ją obraził.

Nie miała najmniejszego zamiaru mu pomagać. Ta rozkładówka ukaże się po jej trupie, mimo iż Lathamowi, którego słowo było prawem, zdjęcia bardzo się podobały oraz mimo gwarancji w kontrakcie Pat Parker, że muszą zostać opublikowane. Pojawiła się jeszcze jedna sprawa. Fotografie wykazywały bez najmniejszych wątpliwości, że Tony i Pat są kochankami. Strzelały z nich iskry namiętności. Były świętem zmysłów, największym darem dla podglądacza, któremu inaczej nigdy nie trafiłaby się taka gratka. A zatem zazdrość wzmogła nienawiść, a obie walczyły z interesownością, gdy Emma zastanawiała się, co ma, do diabła, zrobić.

— O rany — rzekł Michael — mocna rzecz. — Wszyscy tłoczyli się wokół niego, zaglądając mu przez ramię, gdy przerzucał zdjęcia. Zgodny chór głosów uznania dawał się przewidzieć z taką samą pewnością, jak osy na pikniku. Zebrani w tym pokoju mieli tylko dwie wspólne cechy: wszystkich ich wytypowała Emma Guinness, a oni umieli typować zwycięzców. Wracała do punktu wyjścia. Najemnicy, których osobiście zebrała, stanęli przeciw niej. Tak samo, jak najwyższy władca na górze.

—Za mocne... męski akt... zbyt wyrafinowane — rzucała.

—Nieee — zaprotestowali chórem.

— Nie do pierwszego numeru... stwarza niefortunny precedens... zniechęci normalnych mężczyzn. — Jak oszalała przebiegała wzrokiem po pokoju w poszukiwaniu poparcia.

Ci, którzy normalnie nie odważyliby się jej przeciwstawić, teraz zgodnie stanęli okoniem. Gdzie się dwóch bije, tam Emma skorzystałaby. Ich głosy unosiły się w chóralnym sprzeciwie, przywodząc na myśl wieżę Babel.

Emma Guinness wzdrygnęła się. Odetchnęła głęboko. Najlepiej od razu chwycić byka za rogi. Podniosła słuchawkę i nacisnęła trzy cyferki.

— Mówi Emma Guinness. Proszę z panem Lathamem — rzekła.

Pobiegła truchcikiem, jakby sam impet fizyczny mógł przydać jej umysłowi hipnotycznej siły. Latham siedział za biurkiem i uśmiechnął się na powitanie. Wyglądał jak nowo narodzony. Biły odeń siły vitalne mimo obandażowanej ręki i kolorowego guza wysoko nad brwiami.

—Usiądź, Emmo — rzekł, wstając i gestem wskazując jej krzesło. — Czyż nie są wspaniałe? Właśnie czegoś takiego potrzebowaliśmy, nie uważasz? Teraz już wszystko gra. Nie mogło lepiej wypaść.

—Właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać, Dick. Wiem, że te fotogramy są dobre, nawet bardzo dobre, ale chyba nie pasują do wizerunku naszego pisma. Chłopak wygląda trochę na Latynosa, trochę tandetnie, ździebko za bardzo... no, w stylu Malibu. Nie uważasz, że jest za mało oryginalny? Jestem pewna, że Pat stać na więcej. W końcu to pierwszy numer, a on nie jest przecież żadną osobistością.

Zdawała sobie sprawę, że jej składnia nawala. Zdawała sobie sprawę, że on zdaje sobie z tego sprawę. Słowa przenosiły ją przez życie. Zawsze dokładała starań, by działały nienagannie. I właśnie teraz, w chwili gdy jej gramatyka winna być niezawodna, zatarł się motor ust Emmy.

—Co ty, do diabła, wygadujesz? — Dick Latham roześmiał się, wpatrując się w jej cycki. — Masz taki głos, jakbyś była na prochach.

—Te zdjęcia — wybuchnęła Emma —, nie nadają się do pisma.

—Nazywa się Tony Valentino — rzekł Dick Latham, od razu przechodząc do sedna. Nadal się uśmiechał, ale wpatrywał się w nią teraz jak kot — w jej twarz, nie w piersi.

Emma zamilkła. Chyba nie wie, no bo skąd? Ale dlaczego, do cholery, te fotografie przechodzą przez Lathama? Dlaczego Pat nie wręczyła ich bezpośrednio Emmie? Tak przecież powinno być.

—Nieważne, jak się nazywa, moim zdaniem nie nadaje się do *New Celebrity*, ani on, ani jego wdzięki. — Nie patrzyła na Lathama.

—Chodzą słuchy, że już go kiedyś spotkałaś — rzekł Latham. W jego głosie dźwięczało rozbawienie.

—Tony'ego Valentina? Chyba nie. Wygląda trochę jak męska kurwa. Może widziałam jego głowę na zdjęciu, jeśli jest modelem. Był kiedyś w Anglii?

Emma poruszyła się na krześle. Wiedziała, że wyraz twarzy ją zdradza. Policzki jej płonęły. Będzie musiała nadrobić to bezczelnością, ale on wiedział. Wiedział. Czy okaże litość?

Nie, nie okaże.

—Grał u Juilliarda. Mówią, że byłaś na jego przedstawieniu dyplomowym — „Tramwaj zwany pożądaniem”. Grał Stanleya. Dziwne, że nie pamiętasz jego twarzy. Dość trudno ją zapomnieć, nie uważasz?

—Coś sobie przypominam — wymamrotała Emma, zerkając / rozpaczą przez okno. — Nie skojarzyłam jednego z drugim.

—Mówię o tym tylko dlatego, iż Pat martwiła się, gdyż najwyraźniej o coś się z Tonym pokłóciliście. Myślała, że możesz przez to nie chcieć zamieścić jego fotografii. Oczywiście powiedziałem jej, iż jesteś na to zbyt dobrym fachowcem. W tym przedsiębiorstwie interes jest interesem i nikt nie trzyma się tej zasady mocniej od Emmy Guinness. Zastrzeli własną babkę, żeby zwiększyć nakład, sprzeda syna dla dobrej reklamy, rzekłem. — Urwał i pochylił się ku niej nad biurkiem. Uśmiech zniknął. Wyraz twarzy miał okrutny. — Nie myliłem się, prawda?

Emma Guinness przełknęła ślinę. Na jego pytanie możliwa była tylko jedna odpowiedź. Zaśmiała się wisielczym śmiechem.

— Oczywiście, że nie — zdołała wykrztusić przez skurczone wargi. — Jak poznałeś Valentina? Przez Pat? — Usiłowała zmienić temat.

Zignorował jej pytanie.

—A więc co mówiłaś o tych fotografiach?

—Tak, no cóż, jak im się bliżej przyjrzeć, mają wiele ładunku dramatycznego i, naturalnie, są piękne. Tego nie kwestionowałam. Moje pierwsze wrażenie było chyba zbyt pochopne. To nowa rzecz, może trzeba ją nieco przetrawić. Dziękuję, Dick. Otworzyłeś mi na to oczy. Pat też. Ta to ma głowę. Tak, im więcej o tym myślę...

W środku konała. Tony Valentino zranił jej duszę. A ona robi zeń gwiazdę. Jego kariera rozpocznie się w jej piśmie. To, co obiecała przehandlować w zamian za jego ciało, ofiaruje mu w nagrodę za zniewagi. I nie zajmie głównianej jednej kolumny w niemal niewidocznej rubryczce „Gwiazdy jutra”. Teraz będzie to parę stron celuloidowego charyzmatu, bijącego w oczy każdego agenta i faceta od obsady od wschodniego do zachodniego wybrzeża Ameryki.

Lecz Latham wybiegł myślą naprzód. Gwałtem zmusił swą angielską podwładną do posłuchu. Cel swój osiągnął. Teraz, we właściwym czasie, gotów był jej odpowiedzieć.

— Pytałaś o mnie i Tony'ego Valentina — rzekł. — Powiem ci. Wiesz, co zrobił?

Emma nie wiedziała.

— Uratował mi życie — powiedział Dick Latham.

Coś posmutniałaś, czy mi się zdaje? — Alabama patrzył na góry, ich niższe zbocza spowite były mgiełką znad morza. Nie odwrócił się do niej.

Pat Parker z wyciągniętymi nogami położyła się na kanapie, obmyślając odpowiedź. Tak, posmutniała. Była nieszczęśliwa. Czuła się jak pomarańcza, z której wyciśnięto sok — wyschnięta, pusta, zużyta. Przez ostatnie parę dni zachowywała się normalnie, ale żyła jak we śnie, koszmarnym śnie, pełnym ślepych zaułków, zasadzek i zdarzeń, wobec których czuła się bezradna. Nie odwzajemniona miłość może nie być najbardziej oryginalnym uczuciem na świecie. Ta świadomość nie sprawiała jej ulgi.

—Nie najlepiej to wszystko wygląda — rzekła w końcu, uśmiechając się gorzko ze swego niedomówienia.

—Postąpiłaś słusznie — powiedział Alabama. — Gdy zwali się na niego sława, Tony będzie ci wdzięczny.

—Myśli, że go zdradziłam.

—Owszem, ale w tym przypadku cel uświęca środki, jak w portrecie Kruppa, zrobionym przez Arnolda Newmana. Szwabowi wydawało się, że wygląda wspańiale, a Newman zrobił zeń symboliczny obraz zła. Z chwilą gdy przestaje się fotografować drzewa i zabiera się do ludzi, człowiek wyłapuje wszystkie psychiczne śmiecie. Pieprz to. Myśl tylko o sztuce, a wszystko będzie dobrze.

—Będzie happy end? — Pat uśmiechnęła się z powątpiewaniem.

—Widziałem, jak w mniej obiecujących okolicznościach powstawały szczęśliwe rodziny.

—Nie ma mowy. Pani Valentino musiałyby mieć czystość moralną Joanny d'Arc, nie mówiąc o jej sile.

—Ta dziewczyna była schizofreniczką — odparł lekceważąco Alabama. — Słuchaj, robimy dzisiaj jakieś zdjęcia? Chciałaś pojechać do „Rock House” popstrykać motocyklistów.

—Chcesz powiedzieć, wypstrykać parę puszek piwa?

—Jedno i drugie.

—Nieeee — rzekła Pat. — Wolałabym się tu poobijać, i żebyś opowiedział mi historie o fotografikach — na przykład o Kertészu, opowiedz mi o Kertészu. — Podwinęła nogi jak dziecko, czekające na ulubioną historyjkę na dobranoc. Alabama, choć szorstki i przykry dla całego świata, na nią działał kojąco. Był jak herbatka z rumianku, gorące bułeczki i mięciutkie króliczki o zmierzchu. Czy wszyscy są tacy — każdemu ukazujący inną twarz, kryjący w sobie wiele osobowości?

— Pewnego dnia wszyscy uznają, że Kertész jest lepszy niż Steichen,

Stieglitz i Weston. Wynajdywał piękno tam, gdzie nikt inny go nie dostrzegał. Oto najwyższy stopień geniuszu. Ja kręciłem. Brałem na cel oczywiste piękno i ukazywałem je tak, by wydawało się jeszcze piękniejsze. André widział liść na wietrze, śnieg na paskudnym skwerze, a jego obiektyw przekształcał to w coś innego. Cartier-Bresson i Brassai' przyznali, że wiele zawdzięczają Kertészowi. Świat nie znał go aż do czasów wystawy MOMA Szarkowskiego w latach sześćdziesiątych, a biedny stary André nie mógł wybaczyć światu tego przeoczenia. Był jednym z najbardziej zgorzkniałych ludzi, jakich znałem, mając po temu najmniej powodów. Wyobraź sobie, wynaleźć styl fotoreportażowy, a potem zamartwiać się, czy ludzie to docenią, czy nie.

—Ja go rozumiem. Świadomość, że ma się coś, czego inni nie dostrzegają, może doprowadzić do rozpacz. Tak się czuje Tony. To go zżera. Nie wspominał o tym, ale poznaję po wyrazie jego oczu. — Pat nie mogła długo wytrzymać bez Tony'ego.

—Jak wszystkim w życiu, emocjami można się posłużyć albo ich nadużyć. Można je wykorzystać, spożytkować ich energię, by osiągnąć to, czego się pragnie. A można też skierować je do wewnątrz raczej niż na zewnątrz i pozwolić, by kwas ściekał na człowieka, aż nic z niego nie zostanie. Pod koniec André mógł mówić tylko o tym, jak to Amerykanie go nie docenili. Był najbardziej nieszczęśliwym artystą, ale też i największym. To dla mnie zupełnie niewiarygodny paradoks.

—Tyle że niezadowolenie przydaje sztuce ostrości. Samemu się ją osądza, a im surowsza ocena, tym usilniej człowiek się stara. Wydaje mi się, że doskonałość można osiągnąć tylko wówczas, jeśli artyście będzie się wydawało, że jego praca nadaje się jedynie na śmietnik. Chodzi o to, by przetrwać okres rozczarowania, nie dusić go w sobie.

Pat natychmiast zapragnęła cofnąć te słowa. Alabama odwrócił się ku górom. Milczał. Mimo woli potrąciła w nim jakąś strunę. Czy naprawdę przestał robić fotografie, gdyż na świecie było ich więcej niż cegieł?

—Taaak — odezwał się w końcu. — Ze mną było akurat odwrotnie. Wszyscy uwielbiali moje prace. Ja sam nie miałem co do nich takiej pewności. Fakt, że byłem rozrywany, dał mi do myślenia. Zaśmieca góry, zatrują rzeki, wypieprzą drzewa i wyrzucą setki tysięcy dolarów za zdjęcia tego, co rujnują. Uważałem, że

to dobry żart, by te pieniądze wpakować z powrotem w środowisko, a jednocześnie ich ocyganić.

—Zrób mi portret, Alabamo.

—Co?

—Zrób mi portret. — Podskoczyła podekscytowana. — Proszę. Chcę, żebyś znowu pracował. Proszę, zrób to dla mnie. Tylko jeden portret. Tylko o to cię proszę. Dobrze? Zgódź się, Alabamo. Tak cię proszę.

Podbiegła doń, gdy obrócił się ku niej, obramowany panoramicznym oknem na tle gór.

—To nie jest błahostka — rzekł unikając jej wzroku.

—Wiem o tym. Wiem. Jesteś przerażony. Podenerwowany. Boisz się, że gówno z tego wyjdzie.

Ośmieliła się go sprowokować. Było to niebezpieczne, ale zareagował.

—O co ci chodzi, do diabła? Podenerwowany? Z powodu zdjęcia? Ja? Dziewczyno, zapominasz, kim jestem.

—A ty pamiętasz?

—Słuchaj, nigdy nie chciałem być artystą w rodzaju Picassa — „maluj, aż padniesz”. Rzuciłem to, bo miałem dosyć. Gdybym chciał, z kurewską przesłoną na obiektywie zrobiłbym najlepszy portret, jaki widziałaś od dziesięciu lat.

—No więc zrób. Udowodnij to!

—Nie muszę ci niczego udowadniać.

—Nie mówiłam o mnie. Mówiłam, żebyś to udowodnił samemu sobie.

Maszerował po pokoju poirytowany, wahający się i — tak, pełen obaw.

—I co, do diabła, zrobisz z tym portretem? Opchniesz za śmierdzącego porzaka?

—Nie — powiedziała Pat po prostu. — Poślę go Tony'emu.

9.

Tony Valentino z nachmurzoną miną wpatrywał się w lustro. To nie jego odbicie wywoływało w nim taki nastrój. Własne myśli tak go przygnębiały. By zagrać

tę rolę, musiał nienawidzić i ranić. Winien ostro wszystko odczuwać, by Kai stał się osobowością z nerwami na wierzchu. Następnie będzie musiał te uczucia wyeksponować, aby cały świat się dowiedział, co to znaczy być odrzuconym. Każdy musi sam poznawać ponurą rzeczywistość świata bez miłości. Książkę Steinbecka przeczytał z pół tuzina razy. Spacerował po polach i wzgórzach Salinas, czuł zapach rozgrzanej trawy, z wdzięcznością kładł się na bujnej ziemi, tak jak opadłby na łono ukochanej matki. „Matka” — to słowo przeniknęło jego mózg palącym promieniem i rozпалиło uczucia, które były uczuciami Kala. Ta garderoba nie znajdowała się już na Broadwayu. Nie był aktorem, czekającym na podniesienie kurtyny i uciszoną, wyczekującą publiczność. Przestał być Tonym Valentino. Był Kalem Traskiem. Był Steinbeckowskim Kainem, którego Bóg naznaczył swym piętnem. Był synem Adama, potomkiem Ewy i zamieszkiwał na ziemi Nod, na wschód od Edenu.

Stukanie do drzwi było uporczywe.

— Drugi, panie Valentino — oznajmił bezcielesny głos.

Tony Valentino podniósł się w przemyślnym, sztucznym świecie marzenia. Jak lunatyk podszedł do drzwi i otworzył je. Spokojnym krokiem wyszedł na korytarz i pomaszerował w kierunku sceny. Skulił ramiona w obronie przed razami i strzałami, jakie ludzkość z upodobaniem weń ciskała. Strzepnął palcami kłamiąc, że nic go to nie obchodzi, i w kącikach ust zaigrał mu pogardliwy uśmiezek. Zerknął na swe odbicie w lustrze, pełen nienawiści dla swej urody zmiażdżył twarz jak kartonowe pudło, co miało wyszydzić piękno jego rysów, ale jedynie je uwydatniło. Te kobiety będą go kochać, niech je szlag trafi. Zawsze kochały Kala. Obawiały się go. Lękały się niespodziewanych zmian jego nastrojów, a zarazem fascynowało je to, jak się przed nimi wzdragał, aż do chwili, gdy poddawały mu się z drzeniem kolan. Absolutnie nie wzbudzał miłości. Ta wielka prawda była pokłosiem, jakie zebrał z kamienistej gleby swego dzieciństwa. Kopnął kosz na śmieci, stanowiący metaforę świata, i za ciężką kurtyną usłyszał stłumiony szum publiczności. Mężczyźni będą patrzeć na niego z odrazą. Znają jego sekret. Zorientują się, że jest zły do szpiku kości, i choć na zawsze pozostaną wrogami, szanował ich, mieli bowiem rację. Stanowili trafnie oceniającą go połowę ludzkości. Należeli do rodzaju jego ojca, a dwuznaczna miłość do nich leżała mocno skulona w łonie jego nienawiści.

W pierwszym rzędzie przyciemnionego audytorium siedziała Pat Parker, a kiszki miała splątane jak włosy Meduzy. Tę rolę grał James Dean w słynnym filmie Elii Kazana i Pat rozumiała, dlaczego po śmierci aktora dziewczęta popełniały samobójstwo. Kał Tony'ego był głębszy niż Deana, i nie chodziło tylko o to, że czując się z nim związana, stanowiła absolutne przeciwieństwo bezstronnego widza. Postać przedstawianą przez Deana łatwo było zranić, miał on nieśmiały wdzięk istoty ókaleczalej, która wzruszająco pragnęła być zaakceptowana. Była w nim też krucha gotowość do samoobrony chłopięcego mężczyzny, który w twardej szkole dzieciństwa nauczył się, że po dorosłych nie można spodziewać się miłości. Lecz kryło się w tym coś więcej. Kai Tony'ego był silny pośród słabości. Blizny skrył głęboko w środku, a walki toczył nie ze światem, lecz ze sobą. Odgrodził się od ludzi. Mogą chłostać jego ciało, lecz nie zdołają tknąć duszy. Nie mogli dosięgnąć jego istoty, a tego właśnie pragnęła Pat. Aż westchnęła, zdumiona głębią targających nią uczuć. Częściowo była krytykiem, częściowo psychiatrą, a cały czas niegdysiejszą kochanką, wzdrygającą się na myśl, że chłopak, którego wciąż ubóstwiała, nigdy już nie będzie się z nią kochał.

— Co o tym sądzisz? — Dick Latham pochylił się ku niej jak ksiądz w konfesjonale.

— Nie jestem w stanie tego wyrazić — odparła Pat. Przechyliła głowę na bok, wbiła wzrok w sufit i rozłożyła ręce na kolanach, by podkreślić nieadekwatność słów.

Dick Latham zachichotał. Wirtuozerska gra Tony'ego Valentina nie dawała płci męskiej szczególnych powodów do zadowolenia. W całym audytorium mężowie tracili żony, chłopcy swe sympatie, kobiety — serca. Inaczej było z Lathamem. Nie nosił kapelusza rywala Romea.

Otaczała go aureola zwycięskiego anioła. Po powrocie z Cataliny, odrodzony dzięki nieoczekiwanemu, bezinteresownemu aktowi męstwa Tony'ego, przyszedł do teatrzyku off-off-Broadway na próby scenicznej adaptacji „Na wschód od Edenu”, w której grał Tony, a to, co zobaczył, zelektryzowało go. Po paru godzinach zakupił całe przed-stawienie, zerwał wystawiany tam, słabo idący musical, składając jego wdzięcznym miłośnikom propozycję nie do odrzucenia, i sztukę z Tonym przeniósł wraz z całym majdanem na właściwy Broadway. Jego osobisty agent prasowy Jay Rubinstein dopilnował, by przed premierą sztuka zyskała należyty rozgłos, a olbrzymie środki wydane na reklamę dokonały reszty. Premiera była

głośnym wydarzeniem towarzyskim i literackim. Stawili się na niej wszyscy nowojorscy krytycy, a sławy promenowały po foyer przed podniesieniem kurtyny. Mailer, Vidal, Wolfe stopniowo przemienili się w Plimptona, Didiona i Dominick Dunne. Na widowni znaleźli się zarówno świeżo upieczeni milionerzy, jak i śmietanka towarzyska klasy A i B. Wszyscy wiedzieli, że są świadkami triumfu. — Gra siebie, prawda? — rzekł Latham.

Pat potrząsnęła głową, po części przecząco, po części w zadziwieniu. To nie takie proste. Tony czerpał z siebie, ale niewiele wspólnego miał z Kalem. Matka Kala, która była prostytutką, porzuciła go. Ukochana matka Tony'ego to ucieleśnienie przyzwoitości i wierności. Kai walczył o względy ojca, z którym nie łączyły go bliskie więzy. Tony wzrastał bez ojca. Lecz mimo wszelkich różnic Latham miał rację. Te podobieństwa targały jej nerwy. Wydawało się, że Tony jakby skąpany był w nieczułości i stąd brały się jego rezerwa i chłód. Było w nim coś niemal psychopatycznego — okrucieństwo, ślepe dążenie do celu, eliminujące wszystko, nawet ukochane osoby, a może właśnie je przede wszystkim. Odrzucał ludzi, a im bardziej się doń zbliżali, tym silniej ich odpychał. Pat wiedziała. Doświadczyła tego. W porządku, może niewłaściwie się zachowała. Postąpiła „nie tak”, ale czy zasłużyła na to, by odrzucił ją ukochany człowiek? Czyż nie była to przesadna reakcja ze strony mężczyzny, który traktował siebie i swe ideały o wiele poważniej? Potem wezbrały w niej wątpliwości. Czy możliwe, by Tony posłużył się swym bezkompromisowym kodeksem moralnym jako wymówką, żeby się jej pozbyć? Mężczyźni tak robią. Nie! Odrzuciła tę myśl ze wstrętem. Tony nie potrzebował wymówek. Zasłaniał się nimi tylko słabeusze. Tony przede wszystkim był silny. To najbardziej w nim kochała. Jakaś część jej podziwiała nawet sposób, w jaki zareagował na jej zdradę. Nie tolerował takiego postępowania. Pat nie dorosła do jego wysokich standardów i z tego powodu ją odrzucił. Szanowała go za jego zasady, lecz życie nie stał się przez to łatwiejsze. Niebawem spotka się z nim na przyjęciu w „Canal Bar”. Co powinna powiedzieć? Jak ma się zachować? Co, do diabła, powinna odczuwać?

—Co o tym myślisz, Emmo? — Pat odwróciła się w prawo. Im więcej ludzi weźmie udział w tej rozmowie, tym lepiej. Rozwodni to jej siłę.

—Szczerze mówiąc, nie jestem szczególnie zachwycona — skłamała Emma. — Przypomina mi sztuki modne w Anglii w latach pięćdziesiątych. Należały do nurtu zwanego „dramatem przy zlewie kuchennym”. Ta tutaj jest taka sama, tyle

że mamy pola zamiast chodników. No wiesz, wstrętni ludzie robią wstrętne rzeczy we wstrętnym otoczeniu. Sztuka była wyżej ceniona, im wyższy był stopień brzydoty, wedle zasady, że tylko ohyda jest prawdziwa, a wszystko, co piękne, musi być fałszywe.

—Emmie nie podoba się sztuka, Dick — rzekła natychmiast Pat, wkopując Emmę po uszy. Zrobiła to odruchowo. Emma była jej przyjaciółką, lecz nikt nie może bezkarnie krytykować Tony'ego ani sztuki, która miała wieść go uo sławy.

— Co takiego? — warknął Latham. Policzki Emmy zaczerwieniły się.

— Idzie mi o to — wybełkotała do szefa poprzez siedzącą obok Pat — że dla mnie osobiście temat jest nieco przygnębiający, lecz sama sztuka robi niezwykle silne wrażenie. Niezwykłe. Wydaje mi się, że odniesie ogromny sukces. Jestem tego pewna. I, oczywiście, zbiegając się ze zdjęciami Pat w *New Celebrity*, zrobi z Tony'ego beniaminka Nowego Jorku. Bez dwóch zdań. — Zagryzła wargi, wypowiadając nienawistne sobie słowa. Najgorsze, że to wszystko prawda. Wieczór przeradzał się w katastrofę kosmicznych rozmiarów, a zapowiadało się, że będzie jeszcze gorzej. Latham zgrał premierę sztuki z przyjęciem w „Canal Bar” z okazji wydania *New Celebrity*. Gdy tylko udekorują Tony'ego wieńcem laurowym w uznaniu jego triumfu, wszyscy pobiegną go oglądać. W chwili gdy jej pismo osiągnie rozgłos, wysadzi ją z siodła takie nic, które przekształciła w najświetniejszą postać Nowego Jorku. Nawet Pan na wysokościach nie miałby tyle bezczelności, by wymyślić taki scenariusz. Człowiek, który ją upokorzył, uratował życie Lathamowi i w ciągu jednego wieczoru stał się gwiazdą. Co gorsza, rzeczywiście miał talent. Jedynym jasnym promykiem było to, że rozpadał się jego związek z Pat. Może to wniesie odrobinę pożądaną goryczy do słodkiego menu powszechnych gratulacji, którymi wszyscy będą karmieni tego wieczoru. Odetchnęła głęboko. Niebawem będzie musiała spojrzeć mu w twarz po raz pierwszy od czasu upokorzenia U Juilliarda. Położenie każdego z nich nie mogło ulec większej zmianie. Do czego, na miłość boską, dojdzie?

— Mam nadzieję, Emmo, że nauczysz się myśleć po amerykańsku — powiedział chłodno Dick Latham. — Anglia bez wątpienia duła światu paru wielkich pisarzy, ale bardzo niewielu w tym stuleciu. Nie wiem, jak można nie doceniać Steinbecka.

Zdawał sobie sprawę, że błędnie interpretował słowa Emmy, ale robił to celowo. Żadnej sile najemnej nie ujdzie na sucho mieszanie z błotem jego sztuki.

—Ależ zgadzam się — paplała Emma. — Hemingway, O'Neill, Fitzgerald, Faulkner, Tennessee Williams, Steinbeck — to naprawdę wspaniali artyści. Shaw, Maugham, Boże drogi, Wilde — to przy nich płotki, salonowe błahostki w porównaniu z wielkimi Amerykanami. Anglicy ogromnie podziwiają waszych pisarzy. — Pochyliła się ku niemu, poprzez siedzącą obok Pat, z wyrazem niewolniczej służalczości na twarzy.

—Może angielskie klasy średnie. Arystokracja nigdy o nich nie słyszała — rzekł sucho Latham.

Emma wzdrygnęła się przed ciętym językiem Lathama jak przed smagnięciem szpicrutą. Był on jednym z niewielu Amerykanów, potrafiących tak rozprawić się z angielskim systemem klasowym. Naturalnie, niejednego zdołał się nauczyć w ekskluzywnych barach, gdyż jego komentarz w kwestiach pieniężnych był trafny. Angielska arystokracja niezwykle szczyliła się swym ubóstwem intelektualnym. Pisarstwo pozostawiali znieawidzonym klasom średnim. Gdy Gib-bona, autora „Zmierzchu” i „Upadku cesarstwa rzymskiego”, przedstawiono królowi, ten powiedział jedynie: „No i cóż tam, panie Gibbon, pisanina, pisanina bez końca”. Za jednym posunięciem, ze względu na swą erudycję, Emma została zaprezentowana jako pełnoprawna przedstawicielka burżuazji, a nie członkini arystokracji, za jaką chciała uchodzić. Amerykanie zazwyczaj nie orientują się w tych różnicach. Ten jeden akurat tak. Latham, jej szef, najpotężniejszy człowiek w jej świecie, mężczyzna, którego chciała poślubić, znał jej towarzyski sekret. Sól spadła na stare rany.

— Wielkie dzięki, Pat — zasyczała półgłosem.

Lecz Pat nie słuchała. Na salę zstąpiła cisza. Kurtyna szła w górę.

Tony Valentino wpatrywał się w przeciwległy kraniec pokoju, gdzie za biurkiem siedziała kobieta. Skryta była w cieniu. Zniszczone blond włosy okalały drobne, ostre rysy, a czarna koronkowa sukienka, tak nieskazitelna i pruderyjna, maskowała rozwiązłość tej osoby. Wpatrywał się w mrok i serce mu zamarło, gdy ją ujrzał po raz pierwszy. Całe, przesycone tęsknotą życie nie przygotowało go na ten widok. Z jednej strony były marzenia, świat rozpaczliwych dziecięcych wyobrażeń, w którym z faktograficznej próżni stworzył idealną kobietę. Lecz tu oto była rzeczywistość. Tu, w „przyzwoitym” wiktoriańskim gabinecie, pośród paprotek i mebli pokrytych nieskazitelnymi pokrowcami, siedziała kurwa, która była jego matką.

— Czego ode mnie chcesz? — spytała szorstko.

— Niczego nie chcę. — Było to największe i najbardziej groteskowe kłamstwo na świecie. Czego się chce od kobiety, która cię urodziła! I nie szło tu po prostu o „miłość”. Na uczuciowej pustyni nauczył się obchodzić bez miłości. Daje się bez niej przeżyć. Człowiek marynuje się w oceanie nienawiści i uczy się nie wierzyć. Knuje, planuje i czai się w mrocznych kryjówkach wśród mrocznych ludzi, którzy są twój z krwi i kości, gdzie śmiech jest szyderstwem, a szczęście iluzją. Głód miłości jest śmiercią nadziei, lecz w beznadziei można żyć, gdyż daje ona dziką odwagę, nie ma nic do stracenia i nigdzie nie można upaść.

— Więc dlaczego przyszedłeś? Dlaczego mnie śledzisz? Od jak dawna wiesz?

Mówiła rozdrażnionym głosem. Nie była zachwycona widokiem syna, którego rzadko widziała. Domagała się informacji, które mogłaby wykorzystać. Nawet teraz jej potrzeby miały pierwszeństwo nad tym, czego chciał on — jak zawsze.

— Dlaczego nas zostawiłaś? — wybuchnął, ale nie o to mu szło. — Dlaczego mnie zostawiłaś? — dodał. To było właściwe pytanie.

Czekał na odpowiedź jak na cięcie toporem i wiedział, że nie przyniesie mu ona satysfakcji. Został porzucony. Tu tkwiło źródło bólu. Był tak mały, tak bezbronny, tak niewinny, a jednak nawet w pierwszych godzinach i dniach tak dalece nie wzbudzał miłości, że kobieta, która go urodziła, gotowa była nawet zabić, byle od niego uciec. Strzeliła do ojca, ponieważ usiłował ją zatrzymać. Ryzykowała morderstwo, byle się od niego uwolnić. Jakie piętno na nim spoczywało? Jaka przerażająca emanacja sygnalizowała, że nie ma w nim nic wartościowego? Na miłość boską, dlaczego nie można go kochać"; Tony czuł, jak do jego oka napływa łza, jak serce unosi mu się w piersi, ponieważ znał tę mękę. Od zawsze. Ojciec opuścił go przed laty. Nawet teraz ledwo mógł uwierzyć, że to nie była jego wina. Musiała obciążać go jakaś wada, która odepchnęła ojca i skazała ukochaną matkę na życie w nędzy, na samotną walkę z wszelkimi przeciwnościami, by wychować go na człowieka.

Łza spłynęła i pociekła mu po policzku, gdy zaczerpywał emocje ze zbiornika bólu. Lecz jednocześnie pięści o zbiegłych kłykciach zacisnęły się u jego boków, gdyż zrobiło się teraz miejsce na inne uczucia. Pojawił się gniew. Bez względu na powód ucieczki dezertery są zdrajcami. Jako takich należy ich uważać za wrogów, nienawidzić i karać. Kai i Tony nauczyli się sztuki przeżycia w okrutnym świecie, lecz ich okaleczały serca domagały się zemsty, tak jak inni pożądaliby

szczęścia, bezpieczeństwa i rodzinnej miłości. Kai potrzebował obrazu matki, lecz już zaczynał odczuwać odrazę wobec faktu jej istnienia. Tony pragnął ojca, lecz część jego istoty marzyła o ojcobójstwie.

— Zostawiłam cię, ponieważ stałeś mi na drodze do tego, czego chciałam.

Uniosła podbródek i uśmiechnęła się przy tych słowach, ukazując siekacze ostre jak u rosomaka, jej oczy błyszczały w przyćmionym świetle.

— Byłem tylko dzieckiem, mamó. Byłem tylko dzieckiem.

W jego głosie dzwięczał ciężki wyrzut, a serce krajało mu się na myśl o bezbronnej istotce, którą wówczas był, o bezbronności, którą odczuwał nadal, głęboko skrytą pod szorstką powłoką. Lecz gdy mówił, zdał sobie sprawę, że jego słowa do niej nie docierają. W miejscu, gdzie powinno znajdować się jej serce, była pusta przestrzeń. Ta kobieta została psychicznie zniekształcona, skarłowaciała i spaczona, jakby członki miała powykręcane i zdeformowane jakąś straszliwą chorobą albo wypadkiem przy urodzeniu. Są na to słowa. Zło. Niegodziwość. Diabeł. Ale nie miały znaczenia, gdyż ciągle była jego matką.

Nie odpowiedziała. Spuściła za to wzrok i badawczo przyglądała się wierzchom artretycznych dłoni, skórze upstrzonej brązowymi plamkami, ręką przedwcześnie postarzałym, o których ojciec mówił, że niegdyś były piękne.

— I zostawiłaś nas dla tego? Jesteś zadowolona?

Ruchem ręki wskazał tanią elegancję burdelu, odrażającą tandetność lupanaru, którą jego matka przedłożyła nad niego. Dawał jej szansę złożenia przeprosin. Długo potem, jak miłość przeminęła, po latach emocjonalnych tortur, chciał, by formalnie uznała, że stało się wielkie zło. Lecz ona nie umiała przeproszać, ponieważ jej smutek nie obejmował pozbawionych głębszej treści cieni, jakimi byli inni ludzie. Ogarniał tylko ją i rozkład, który stanowił spuściznę jej parszywego życia.

Pochyliła się do przodu, opierając obie ręce o zieloną skórę biurka, niezbędnego kobiecie interesów. Jej twarz wychynęła z cieni, wścibiając się w umysł syna.

— Tak, jestem zadowolona. Jestem bogata, jestem wolna i robię to, co chcę. Jestem wolna od zasmarkanych bachorów, które ciągle chcą czegoś nowego, i od twego świątobliwego ojca i jego samolubnej dobroci, jestem wolna od całej tej drętwej mowy i hipokryzji obleśnych świntuchów, którzy władają tym światem. Musisz wiedzieć, że ich tu widziałam. Mam zdjęcia tych śmieciarzy, którzy nami rządzą, gdy skręcają się pod ciosami szpicruty, pożądając bólu i upokorzenia z rąk

wielkich, tępych bab, co pragną tylko jeść czekoladki i opierać nogi na stołku. Te wypędki proszą, żebyśmy na nich glosowali, ale chcą tylko tego, żeby moje dziewczęta deptały im obcasami krocze. Zdajesz sobie z tego sprawę? Masz w ogóle jakieś pojęcie o świecie? Tak, zostawiłam cię dla tego wszystkiego, ponieważ to moje, a w rodzinnym piekle kobiety się posiada. Są niewolnicami dzieci, które urodzą, i mężczyzn, ojców tych dzieci. Woły robocze. Ofiary. Służące. Słyszysz? Słyszysz?

Wrzeszczała teraz. Kai odsunął się od niej ze wstrętem, zgodnie ze wskazówkami reżysera, lecz Tony odczuł to głęboko. Jej słowa wzruszyły go. Czytał je setki razy w scenariuszu, ale dotychczas nie był do nich emocjonalnie przygotowany. Jako intelekt widział nieszczęsną, okaleczała psychicznie kobietę. Lecz sercem ujrzał matkę, której krew była jego własną krwią. Zrozumiał kryjące się w jej słowach przesłanie. Mówiła o wolności. Nie miała na myśli swobód wyborczych, wolności względem prawa, wolności wypowiedzi. Chodziło jej o prawdziwą wolność. Matka mówiła o wyswobodzeniu się spod nakazów sumienia, od odpowiedzialności, od winy. Chciała uwolnić się od dzieci i nędzy, nie martwić się tym, co myślą inni, pragnęła mieć wolną rękę w tworzeniu własnego, idiosynkratycznego świata w kraju rzekomo wolnych ludzi, w którym konformizm jest w istocie powszechnym celem. Od razu przestała być zła. Jej zachowanie przenikała dziwna logika, którą mógł pojąć tylko taki anarchista, jak Tony, a docenić taki outsider, jak Kai. Cały wiek oddzielał tych dwóch mężczyzn, a różnica polegała na podejściu do mówiącej kobiety bądź odejściu od niej. Polecenia reżysera wymagały tego ostatniego. Lecz Tony Valentino przemożnie pragnął wziąć ją w ramiona.

Przemierzył scenę, zdumienie pojawiło się w oczach aktorki, która stała się jego nie znanym ojcem.

Pat Parker niejasno zdawała sobie sprawę, że dzieli emocje całej publiczności. Tak jakby w ciszy uczucie stało się powszechne. Wiedziała, czego pragnie. Z całego serca pragnęła ponownego połączenia matki i dziecka. Ale jednocześnie napięcie na scenie rosło z powodu straszliwej niepewności. Zniknął przedział między iluzją i rzeczywistością. Nie można było przewidzieć, co się stanie, gdyż postaci były prawdziwe jak samo życie i ponieważ w rzeczywistym świecie nie ma scenariuszy. To był najwyższy stopień sztuki aktorskiej. Tony uniósł ich na dłoni i podróżowali przez dolinę jego emocjonalnego smutku. Większość tłumnie przybyłej publiczności zapomniała, że jest w teatrze.

Pat była podekscytowana. Teraz, gdy ujrzała, jak Tony gra, wiele rzeczy nabrało sensu. Widziała, skąd bierze się charyzma. Płynęła z pozaziemskiej umiejętności przekazywania sztuki dramatycznej. Pograżona głęboko w teatralnym przeżyciu Pat już nie mogła patrzeć na Tony'ego jak na chłopca, który niegdyś do niej należał. Stał się publiczną własnością, jak ocean, plaża i otwarte niebo. Później, gdy dreszcz opadnie, będzie czas na wspomnienie i żal po tym, co utraciła. Teraz może tylko podziwiać Tony'ego.

Emma Guinness nie posiadała się ze złości. Wierciła się w fotelu i klęła to, co się wokół niej działo. Był dobry u Juilliarda. Tu zajaśniał pełnym blaskiem. Wówczas podniecał ją tamten spektakl, gdyż marzyła o ciele Tony'ego. Teraz chłopak był nietykalny. Namaszczał go sukces, który uniesie młodzieńca na zawsze poza jej zasięg, a zemsta, jakiej tak żywo pragnęła, odchodzi w mglistą dal. Obok niej siedzi Pat Parker, dziewczyna, która go niegdyś kochała. Ten związek może już nie istnieje, lecz Pat doświadczyła ciała, którego pożądała Emma. Przez to stała się jakby jej rywalką — szczęśliwą rywalką. I nie chodziło tylko o Tony'ego. Latham wybrał Pat jako swą sąsiadkę w teatrze. Ani na chwilę nie odrywał wzroku od pięknej fotograficzki, śmiał się z jej żartów i wsłuchiwał w to, co mówi. Lecz Latham był celem dążeń Emmy, a Pat o tym wiedziała. Może i nie zachęcała miliardera, ale też go i nie zniechęcała. Ta podła zagrywka z powtórzeniem krytycznych uwag Emmy pod adresem sztuki była przykładem intryg, rozsnuwanych za fasadą przyjaźni. Pat Parker niech lepiej uważa. Pełzła ku liście wrogów Guinness. Ci, którzy się na niej znaleźli, niechybnie gorzko tego żalowali.

Pięć miejsc dalej w pierwszym rzędzie siedziała pograżona w ekstazie Melissa Wayne. Z rejsu wokół Cataliny zapamiętała humorzastego młodzieńca, który miał dość szczęścia i rozsądku, by uratować życie Dickowi Lathamowi. Byli dla siebie wzajemnie bardzo pociągający, mimo iż on należał do zdecydowanie zbyt przystojnej fotograficzki. Gdy nadeszło zaproszenie na spektakl „Na wschód od Eden” oraz na przyjęcie w „Canal Bar”, na którym miano lansować *New Celebrity*, natychmiast postanowiła z niego skorzystać. Umówiona była z Emmą Guinness na wyczerpujący wywiad dla odnowionego pisma, które już podbijało rynek. To i fakt, że Dick Latham najwyraźniej tworzył projekty nowych filmów w wytwórni Cosmos, czyniło wieczór interesującym z punktu widzenia jej kariery. Widok Tony'ego Valentina miał być zaledwie lukrem na torcie. Stało się inaczej. Cała uwaga skupiła się na Tonym. Melissa nie mogła oderwać od niego oczu. Bez trudu

można było rozpoznać siłę jego artyzmu, lecz wywodząca się z branży Melissa wiedziała, jak trudno jest to osiągnąć. Wydawało się, że ani przez sekundę nie gra. Stał się Kalem w takim stopniu, że usprawiedliwione mogło być mniemanie, iż nie ma w tym żadnego kunsztu, gdyż Tony miał po prostu szczęście trafić na rolę, stanowiącą dokładne odbicie jego własnej osobowości. Melissa jednak była dość dobrym fachowcem, by wiedzieć, że to nieprawda. To jego wspaniała gra sprawiła, że tak się wydawało. Cały nowy wymiar zyskał ten chłopiec, którego głównymi przymiotami dotychczas wydawały się ciało, krew i wzruszająco zuchwała pewność siebie. A zatem Melissa Wayne oblizwała wargi w ciemności i zacisnęła nogi w oczekiwaniu na wszystko dobre, co jej się przydarzy w ten niewątpliwie pamiętny wieczór.

Tuż za Dickiem Lathamem oczy Allison Vanderbilt błyszczały przez mgłę łez. Była zadowolona, że jej towarzysz, Jamie Leavenworth, nie zdążył wrócić z baru. To dobrze, gdyż może przebywać sama z człowiekiem, którego kocha. Wokół niej publiczność myślała, że dzierżawi Tony'ego Valentina, gdyż odsłania przed nią swe najtajniejsze uczucia, lecz Allison Vanderbilt wiedziała, że to blaga, być może najwspanialsze, najpiękniejsze nadużycie zaufania w dziejach aktorstwa. Ona jedna w tłumie go znała. Wpełzła do jego zranionej duszy i błędziła w zadziwieniu po jej tajemnych miejscach. Owszem, należała do niego Pat Parker, ale ona chciała go tylko wykorzystać dla własnej kariery. Miłość Allison była czysta. Niczego od Tony'ego nie potrzebowała. Dzielila jego marzenia. Umarłaby dla niego, zrobiłaby wszystko. I przepeliła ją wspaniałość owej bezinteresownej obsesji. Nie kochał jej, ale to nie miało znaczenia. Ważny był tylko Tony i to, czego pragnął. Przed dwoma dniami spacerowali po Central Parku. Trzymając ją za rękę gestem mówiącym, że jest jego najdroższą przyjaciółką, opowiadał o podłej zdradzie Pat, o tym, jak dotknęła go jej nielojalność, z bólem słuchała, jak mówi o innej kobiecie, lecz cudownie było czuć go znowu tak blisko siebie. Później zasiadą do obiadu przy tym samym stole i modliła się do Boga, by udało jej się nie rozplakać, tak jak teraz, ale, do diabła, trudno się powstrzymać, gdy się tak bardzo kocha.

Dick Latham zastanawiał się, czy kiedykolwiek w życiu spędził tak udany wieczór. Żywił w sercu dziwną sympatię dla stłoczonych wokół ludzi. Kochał ich, gdyż właściwie reagowali. Kochał ich, ponieważ tak niewątpliwie się z nim zgadzali. Byli mądrzy i wspaniali, zachwycili się bowiem sztuką, którą wspierał, i podziwiali chłopca, który uratował mu życie. Spektakl „Na wschód od Edenu” zo-

stanie wyprzedany na całe miesiące. Przy pierwszym najeździe na inwestycje Broadwayu znalazł złoto. Jeszcze raz dotknięcie Lathama okazało się midasowe. Potem będą świętować wyprzedanie pierwszego numeru *New Celebrity*. Już ustawiła się kolejka chętnych do zamieszczenia reklam w następnych numerach pisma. Liczba prenumeratorów przeszła najśmielsze oczekiwania. Miłosiwy Bóg darzył go swą łaską, a znienawidzony ojciec przewracał się w grobie. Czuł, że jest niezwyciężony. Wszystkie jego poczynania były trafione. Nie miał nawet kłopotu ze znalezieniem czegoś na bis. Wspierał szlagierową sztukę i wypuścił cieszące się niezwykle powodzeniem pismo. Teraz wyprodukuje film, który na mur podbije publiczność kinową. Główną rolę zagra w nim Tony Valentino. Został stworzony na gwiazdora filmowego i bez kłopotu wyłuska się go ze sztuki, której wystawienie znajdowało się w gestii Lathama. Nieważne, że jest nieznan. Jego talent wykraczał poza tak mizerne względy. O tę stronę interesu zadba Melissa Wayne. Mąż opatrnościowy musi to wszystko obmyślić i niebawem w Hollywoodzie zabłyśnie dlań zielone światło.

Odwrócił się ku Pat. Siedziała na krawędzi fotela, pochylona w stronę sceny. Miał coś powiedzieć, ale nie chciał przerywać jej głębokiego skupienia. A zatem obserwował ją w bijącym od sceny blasku, jak wpatrywała się w ukochanego chłopca, i jeszcze miłsze ogarnęło go uczucie. Człowiek szczęśliwy najbardziej martwi się tym, jak swe szczęście zwiększyć. Teraz, nagle, wiedział.

Tony Valentino doszedł do matki. Ukląkł. Łzy pociekły mu po policzkach. Nie odsunęła się, gdy wziął ją w ramiona. W zamian kołysała się z boku na bok w obcym uścisku czułości. Przez całe życie nie zdawała sobie sprawy, że potrzebuję pociechy. Przez wszystkie swe dni do tego tęskniła. Uniósł ku niej wzrok, a na jego twarzy rozlała się nadzieja i tęsknota za lepszą przyszłością.

— Przebaczam ci, mamó — wyszeptał. — Rozumiem. Rozumiem.

10.

Tony Valentino rozparł się na siedzeniu limuzyny i nalał sobie dużego drinka. Intelktualnie wyczuwał, że zagrał życiową rolę. Widział to w oczach publiczno-

ści. Klaskali aż do zdętwienia dłoni, a kurtyna szła w górę wiele razy. Później, w garderobie, gratulacje były naj wyraźniej prawdziwe, a jednak oładnęło nim dziwaczne, bezsensowne uczucie. Tony Valentino nie mógł pozbyć się osobliwego wrażenia, że poniósł klęskę. Zdarzało mu się to już parokrotnie, co omawiał z nauczycielami u Juilliarda. Niewiele mu pomogli, gdyż nie zetknęli się dotychczas z takim talentem. Tony usiłował go zanalizować i nie skrepowany fałszywą dumą doszedł do wniosku, że, być może, ma to coś wspólnego z geniuszem. Dla większości ludzi zrobienie czego naprawdę dobrze samo w sobie stanowi nagrodę. Dla udrezonego geniusza wszystko było nieciekawą odskocznią ku doskonałości, które nigdy nie osiągnie. Hemingway cierpiał na załamania nerwowe i próbując uciec przed bólem tworzenia, nałogowo zażywał środki uspokajające. Goya i van Gogh popadli w obłąd. Większość amerykańskich laureatów Nagrody Nobla to alkoholicy. To, co dobre w grze Tony'ego, zostało wyparte z jego świadomości przez dręczącą myśl, że mógłby wypaść lepiej, i miejsca, w których mu się nie powiodło wypełniły jego umysł kosztem chwil triumfu. Aplauz tłumu i entuzjastyczne pochwały krytyków nic dlań nie znaczyły. Jego sędziowie w milczeniu siedzieli w środku. Wygłosili werdykt i brzmiał on „winien”. Pamięć przechowała tylko te rzadkie momenty, gdy język nie nadążał za ciałem i, co ważniejsze, umysł za sercem. Wedle własnych, niewiarygodnie wysokich norm jego gra była kiepska, choć zgodnie z wszelkimi racjonalnymi standardami przyniosła mu oszałamiający sukces. Kłopot polegał na tym, że liczyła się tylko opinia Tony'ego. Jego sztuka artystyczna nie stosowała sztuczek polegających na wzbudzaniu zaufania. A zatem pociągnął spory łyk glenfiddicha na pusty żołądek czując, jak alkohol pali go w środku. Odetchnął głęboko i przez okno samochodu ponuro wpatrzył się w dyszące seksem ulice ciemnego miasta. Wpadł w katastroficzny nastrój. Wieczór zapowiada się podle. Przeczuwał coś złego. Szpanerskie towarzystwo w „Canal Bar” niech lepiej ma się na baczności. Podobnie jak siedząca obok Melissa Wayne, szczupła i urocza na wypchanych poduchach, oraz Dick-trick, a także piersiasta Emma Guinness o języku niczym papier ścierny, nie mówiąc już o Pat Parker, która kochała się z nim na piasku i sprzedawała jego zaufanie za chytry szus na drodze do kariery. Myślał, że Pat jest kimś niezwykłym, lecz okazała się podobna do wszystkich szurów w tym śmierdzącym mieście, handlujących sobą nawzajem, wyruszających na łupieżcze wyprawy po ściekach i kanałach z odwróconymi od gwiazd twarzami. Na swój sposób każdy robił zamach na Tony'ego Valentina.

Dziś siedział w nim diabeł. Przyszli zamachowcy niech dobrze zaplanują każdy ruch.

Melissa Wayne siedziała spokojnie, otoczona aurą swej olśniewającej urody. Ubrana była w bogato haftowaną marynarkę z czarnego aksamitu; pod nią miała tylko purpurowy staniczek z mory, na którym pobrzękiwały afrykańskie monety, przytwierdzone do zdobnych koralami łańcuszków. Naszyjnik ze sztucznych szmaragdów oddzielał jej odsłonięty dekolt od bladości prześlicznej twarzy. Jasne włosy miała upięte wysoko w stylu młodej Barbary Hutton, a oczy ukryła za okularami słonecznymi, których świecąca oprawka błyszczała nad zuchwałymi szkarłatnymi wargami. Wąziusieńka spódniczka z czarnej krepy kryła resztę, stopy zaś zdobiły buty ze złotej materii, tkanej w bardzo gęstą kratę — dzieło Manola Blahnika.

Tony zignorował rękę Melissy. Zdobyłoby się na to niewielu ludzi. Palce Melissy między udami nie były zjawiskiem, nad którym można przejść do porządku dziennego. Wytrącały z równowagi, hormony zaczynały buzować, krew wpływała do miejsc, z których nie mogła odpłynąć. Lecz jemu naprawdę było to obojętne. W porządku, ta dziwka go pragnie. Gdzieś tam, na dole listy spraw do załatwienia, i on jej pragnął. Jeśli do tego dojdzie, wszystko odbędzie się na chłodno. Jeśli nie, świat będzie toczyć się po staremu. Zdawał sobie sprawę, że jego obojętność ją podnieca, lecz nie dlatego był niemrawy. Taki miał nastrój. Czarny jak noc na zewnątrz, ciążył mu na ramionach, pełen piorunów, iskrzący się błyskawicą, burzliwy od nagromadzonej irytacji, która musi wybuchnąć przed końcem wieczoru.

— Mogę ci dać coś do picia, Melisso? — spytał Dick Latham ze wzrokiem utkwionym w błędzącej dłoni. Ta próba odwrócenia jej uwagi stanowiła odruch warunkowy. Mężczyzna, który uwielbiał rzucać kobiety na kolana, nie mógł spokojnie patrzeć, jak ktoś inny uprawia tę samą grę. Na dziś wieczór miał inne plany i nie figurowała w niej Melissa. Ale zawsze irytowała go świadomość, że jej ręka podkrada się do kogoś innego.

— Czy jest szampan?

— Zazwyczaj jest. Muszę rzucić okiem. — Dick Latham nawet nij drgnął. W wyrafinowanej atmosferze jego plutokracji wystarczało, że się odezwał. Działanie należy do innych. W stanie Nowy Jork w limuzynach nie wolno podawać alkoholu, lecz prawo to ma zastosowanie wyłącznie do wynajmowanych limuzyn, z których korzystali zwykli milionerzy. Ten wydłużony mercedes był własnością La-

thama. Podobnie jak błogosławiony dom w lodówce. Podobnie jak goryl, ogromny na maleńkim taboreciku. Pyknięcie wyciąganego korka odkleilo ręk[^] Melissy od nogi Tony'ego, jakby pod jej palcami doszło do minieksplzji Wzięła wino i prowokacyjnym gestem przytknęła je do warg, zostawiając szkarłatny półksiężyc szminki na wysokim, wąskim kieliszku.

—Czy zagarnęliśmy całą restaurację? — spytała półszepem.

—Tak i nie — odrzekł Latham, precyzyjnie podważając zasadę, że jeśli jedno z dwóch przeciwstawnych twierdzeń jest fałszywe, to drugie musi być prawdziwe. — Powiedziałem Brianowi, żeby wpuścił paru przyzwoiciej wyglądających stałych gości. Uważam, że to zwiększa napięcie towarzyskie. Najlepsi potrzebują go mnóstwo.

—Coś mi się wydaje, że dziś wieczorem nie grozi nam brak napięcia. — Ze zrećnością naprawdę dobrej aktorki Melissa zasugerowała, że wie, iż Tony jest bombą zegarową, oraz że ona nie ma nic przeciwko temu.

—Przy naszym stoliku zabawa powinna być niezła — rzekł Latham. — Na pewno pamiętasz Pat, Melisso? Tę fotograficzkę, która zrobiła cudowne zdjęcia Tony'ego.

—To lesba? — spytała nagle Melissa. Zasadzka była całkowitym zaskoczeniem, co liczyło się jej na plus.

Dick Latham zakrztusił się teatralnie nad kieliszkiem chardonnay. Tony Valentino wyprostował o parę cali swą zgarbioną postać. Nawet goryl, cały sobą mówiący: „nic nie słyszałem”, jakby się poderwał.

—Nie! — zaśmiał się Latham. — Skąd, na miły Bóg, przyszło ci to do głowy?

—Och, nie wiem. Coś z niej takiego emanowało. Sprawiała wrażenie jakiejś takiej niezdecydowanej seksualnie, a na jachcie zachowywała się wrogo, jak ludzie, którzy mają zaburzenia płciowe.

—Pat nie zachowywała się wrogo. To ty byłaś nieprzyjaźnie nastawiona — odezwał się Tony Valentino.

Melissa uśmiechnęła się. Dokładnie tego chciała — reakcji ze

Itrony docelowego obiektu. Błysnął ku niej oskarżycielsko oczami, a ona uśmiechnęła się promiennie.

— Och, jest mi niezmiernie przykro. Naprawdę zachowywałam się Wrogo? To do mnie niepodobne. To szlachetnie ująć się tak za skrzywdzoną damą. Idealny rycerz w błyszczącej zbroi.

Szydziła zeń ze śmiechem, zupełnie nie lękając się jego niebezpiecznego nastroju.

Bez trudu zdołała zasugerować, że orędownictwo Tony'ego w sprawie Pat nie miało nic wspólnego z prawidłowym naświetleniem faktów, wszystko zaś z jego uczuciem dla niej.

Tony poruszył się w fotelu. Boże, ależ była napalona. Jakby siedział koło kaloryfera. Pod perfumami Palomy Picasso czuł zapach jej seksu. Stanik od Rifata przegrywał walkę o utrzymanie jej piersi. Stanowiły one broń zaczepną. Prawie widział sutki. Wbrew niemu i mimo wspomnienia o Pat zaczynało w nim wzbierać pożądanie.

— W gruncie rzeczy — rzekł Latham — Pat i Tony'emu nie układa się ze sobą dobrze.

Nie wydawał się zbyt zmartwiony tym konfliktem.

—Nie dotrzymała słowa. — Tony był poirytowany. Nie lubił komentarzy na temat swojego życia prywatnego.

—Tego nie znoszę — rzekła Melissa z entuzjazmem. Jej ręka wślizgnęła się z powrotem. Polizała wilgotne wargi. W rzeczywistości łamanie słowa zajmowało drugie miejsce na liście jej ulubionych sportów.

— Jesteśmy na miejscu — rzekł Dick Latham.

Miejsce prezentowało się nieszczerze. Ulica przed „Canal Bar” wyglądała jak niebezpieczne nowojorskie dzielnice — brud, smród i ubóstwo, idealnie kamuflujące najmodniejszą restaurację Nowego Jorku. Po chodniku przewalały się papiery, resztki pizzy i tłumy nachalnych reporterów. Opadli limuzynę, z sylwetki samochodu zgadując duże pieniądze.

Melissa westchnęła, poprawiła bieliznę przez krepową spódnicę i czekała, aż ktoś otworzy jej drzwi. Udawała, że nienawidzi tego, co uwielbiała. Jako aktorce dobrze jej to wychodziło.

Na chodniku trzymała się twardo na swoich pozycjach, nie czyniąc najmniejszego wysiłku, by się przepchać przez kłębiący się tłum. Błyski fleszów rozświetlały noc. Melissie podsunęto do warg mikrofon w kształcie cyngla. „Wieczorna rozrywka” — powiedziała niepotrzebnie Leeza Gibbons. Melissa odwróciła się szybko do Dicka Lathama, uśmiechając się przez ramię. Wyraz jej twarzy mówił: „Dobra robota”. Reporterzy tego nadawanego w pierwszorzędnym czasie ogólnoprykańskiego show zazwyczaj nie sterczeli przed restauracjami. Biuro prasowe

Dicka spisało się na medal. Teraz Melissa poszukała wzrokiem Tony'ego. Chciała go mieć jako oprawę. Będzie wdzięczny za choć liwość pokazania się całej Ameryce. Ale go nie było. Zerknęła za siebie. W limuzynie również go nie dostrzegła. Przemknął się chyłkiem przez tłum, robiąc klasyczny manewr z flanki. Wzruszyła ramionami To jest sposób. Teraz skoncentrowała się na nagraniu, paplając płynnie i bacząc, by w każdym zdaniu wspomnieć o swym ostatnim filmie tak aby nie dało się tego wyciąć. Po czym na tysięczną sekundę przed końcem nagrania wykonała szeroki pożegnalny uśmiech i w szumie kamer prześlizgnęła się do „Canal Bar”.

W środku Dante i jego banda rozkręcili się już na cały regulator, Sala była nabita, decybele miały dodatnie sprzężenie zwrotne i muzyka rap trysnęła na czarno umundurowany tłum jak ogień z karabinów maszynowych.

Z pulpitu nadzorował to grecki bóg, który na widok Dicka Lathama i Melissy Wayne zmienił się w osobistego służącego.

— Szanowny panie, panno Wayne, witamy w „Canal Bar”. Zaprowadzę państwa do stołu.

Jak to było przewidziane, hałas ucichł, gdy weszli. Lecz nie wywarli takiego wrażenia, jak na przykład w Los Angeles. Olbrzymie, brudne miasto zrównywało wszystkich jak walec. Status gwiazdy nieszczególnie chronił przed oskarżycielskimi oczyma żebraków i bezdomnych, nienawiścią i nerwicą, czujnym okiem specjalnego wydania sobotniego programu. O tej porze w Beverly Hills chłopcy i dziewczęta przystrajają się gorączkowo, by sprzedać się jak najlepiej. W Nowym Jorku zbyt zajęci są ćpaniem.

Przy stole były trzy wolne miejsca.

—Hej — zagruchała Emma Guinness z głębi szarpiącej nerwy srebrzystej bluzy od Isaaca Mizrahiego.

—No, jesteście! — Tommy Havers uśmiechnął się ze środka zbyt dobrze skrojonego garnituru od Cerrutiego.

—Jak się macie? — Pomachała do nich Allison Vanderbilt, szykowna w granatowej obcisłej sukni od anonimowego krawca. — Przedstawiam wam lorda Leavenwortha.

Jamie Leavenworth usiłował wstać, ale szło mu to z trudem. Był pijany. Beknął raz, roześmiał się, beknął ponownie i usiadł. Sięgając po dzin z tonikiem wyglądał jak pozbawiony podbródka cherubin, błyszczący, pogrążony w szczytowym

zachwycie nad sobą. Melissa Wayne go zignorowała. Dick Latham skinął mu głową. Ojciec Jamiego, lord Swinley, należał z Dickiem do jednego klubu.

— Hej, Dick — powiedziała Pat Parker.

Wbił w nią wzrok. Reszta gości odpłynęła. Dick Latham głęboko odetchnął. Pat wyglądała tak, jakby wynalazła zwierzęcy magnetyzm. Włosy jej przypominały lwia grzywę, szesana do tyłu w brązową masę, tętniącą życiem dżungli. Miała na sobie skórzaną kurtkę od Katharine Hamnet w odcieniach przechodzących od ciemnych do jasnych. Widniał na niej ekologiczny napis: SPRZĄTAJ LUB ZGIŃ. Pod spodem nosiła obcisły kombinezon z czarnego weluru, a materiał opinał jej skórę tak, jakby chciał ją zastąpić. Uniosła się jak drapacz chmur, wznoszący się na zwolnionym filmie, a jej niezwykle wzrost podkreślały jeszcze podwyższone obcasy czarnych skórzanych bucików do kostki. Dick Latham pochylił się, by pocałować ją ze złością przyjmującego komunie.

—Gdzie jest Tony? — syknęła Melissa Wayne.

—Czy siedzi z nami? — zajęczała Emma Guinness.

Lwie oczy obieżyły pokój ponad ramieniem Lathama, ostrożne, niczym wzrok zwierzęcia, które przypominała.

—Chyba tam go widzę — rzekł Havers.

—Jaki Tony? — zabelkotał nieprzytomny już arystokrata.

— A jesteś, Tony. Zwiąłeś reporterom, chociaż moi ludzie sprzedali własne babki, by zjawili się ci, co trzeba. Co z nim zrobimy? — Pełnym serdeczności gestem zamierzył się do ciosu w ramię, które pojawiło się tuż przy nim.

— Cześć, Tony — powiedziała Pat.

—Cześć. — Głos miał przytłumiony, matowy, pozbawiony emocji. Tworzyli duet. Sala nie była już miejscem akcji. Zmieniła się w dalekie tło.

—Wspaniale grałeś — rzekła Pat po prostu. Uśmiechnęła się, dając mu pierwszy ruch, który mógłby stanowić inaugurację ich wspólnego życia. Bum, bum — biło jej serce, ram, bam — waliło o żebra.

Skwitował komplement machnięciem ręki. Usunął ją wzrokiem z pobliza siebie. Cześć — to wszystko, na co może liczyć. W pamięci czuła jeszcze jego żołądek na swoim. Czuła jego pot. Słyszała jęk w momencie największego uniesienia.

— Witaj, Allison — powiedział. Podszedł, by ją pocałować.

— Ostrożnie — rzekł przeciągle Leavenworth, przykrywając ręką kieliszek, jakby Tony zagroził jego najcenniejszej własności.

Oczy Tony'ego błysnęły nań ogniem.

— Jak sobie radzisz? — spytał Allison.

—Och, bez problemów — roześmiała się dzielnie, by pokazać, że daje sobie radę. — Bardzo mi się podobała sztuka. Byłeś naprawdę rewelacyjny, zwłaszcza w drugim akcie. To trudna rola. Spisałeś się wspaniale.

—Nie jestem z tego zadowolony — powiedział. Istniała między nimi więź silniejsza niż „miłość”, którą uprawiali. Wyjawił jej swe prawdziwe uczucia, gdyż zasługiwała na to, i dlatego, że go słuchała.

—Byłeś nawet lepszy niż Stanley Kowalski — rzekła Emma Guinness. Tony popatrzył na nią po raz drugi w życiu, a ona odwzajemniła jego spojrzenie, demonstrowując mimiką całą gamę uczuć. Zachowywała się wyzywająco, zdecydowana zrobić dobrą minę do niezbyt obiecujące go spotkania. Rezolutnie usiłowała narzucić ton typu: „jesteśmy ponad to”. Kryła się w tym marchewka: „Jeśli będziesz mnie lubił, przebaczę ci”. Nie zabrakło też kija: „Spróbuj dalej walczyć, a zagrzebie cię pod lawiną słów przy wszystkich tych ludziach, którzy cię stworzyli”.

—Srebrny namiot bardziej mi się podoba niż tuniczka baletnicy — odezwał się Tony głosem pełnym sarkazmu.

—Może trochę wina? — zaproponował uprzejmie Dick Latham.

—Kapitalnie — zagulgotał lord Leavenworth.

—Jamie, nie masz dosyć? — cicho wyszeptała Allison do swego partnera.

—Co? — powiedział głośno Leavenworth. Odwrócił się ku niej. — Nie... waż mi się... pouczać mnie... co mam pić. Słyszysz? Nie twój pierdolony interes.

—Coś ty powiedział? — rzekł Tony, a reszta była zbyt zaszokowana, by się odezwać.

—Nieważne. Proszę, Tony — powiedziała Allison, by zażegnać katastrofę.

— Tony — rzekła Pat.

—No, no — przywołał ich do porządku Dick Latham, bynajmniej nie wytrącony z równowagi rozwojem wypadków.

—Powiedział, że to nie jej pierdolony interes — odezwała się Emma Guinness, dolewając oliwy do ognia.

—Owszem — przyznał Leavenworth, uśmiechając się głupkowato. Wojowniczo rozparł się na krześle.

Tony stanął nad nim. Pochylił głowę tak nisko, że znalazła się zaledwie parę cali od głowy Anglika.

—Przepróż — warknął.

—Tony, jest zalany — powiedziała Pat.

—I co z tego? — rzekła Melissa Wayne.

— Odpięprz się, ty pierdolony makaroniarzu — powiedział piętnasty wicehrabia Leavenworth.

Tony go walnął. Był to niebezpieczny cios. Poczynając od ramienia jego ręka wystrzeliła w przód, w dół, na ukos, a pięść zderzyła się z kością policzkową pijaczyny. Nie zatrzymała się tu. Sunęła dalej. Nos był przeszkodą oczywistą, ale do przewyciężenia. Przeszkoda ta została usunięta. Dolnej wardze nie powiodło się dużo lepiej. Była jak dojrzałe mango, spadające z drzewa, a nasiona, które się z niego sypnęły, miały postać paru zębów z już przerzedzonej dolnej szczęki pozbawionego podbródka dziwa. Rozpylona krew prysnęła na nieskazitelny stół, a jedna, szczególnie duża kropelka przywarła do skromnej białej stokrotki, stanowiącej element kwietnej ozdoby stołu.

—O Boże — powiedział Dick Latham. Bogu dzięki, że angielskie klasy wyższe nie lubią swoich dzieci. W przeciwnym razie Swinley mógłby bardzo utrudnić mu życie w klubie, do którego obaj należeli.

—Trafienie — zagruchała Melissa Wayne, na której zrobiło to ogromne wrażenie. Ostatnia przyzwoita bójka, Richarda Zanucka u Mortona, odbyła się strasznie dawno. Los Angeles ich nie pochwałało.

—Rękoczynny? Przed zupą? — rozległ się pogodny głos Briana McNally, który objawił się przy stole, wiedziony szóstym zmysłem wspaniałego restauratora.

Lord Leavenworth nie skończył krwawić. Miętko osunął się z krzesła i czynił to dalej na podłodze.

—Brian — rzekł Dick Latham, chwytając właściciela restauracji za ramię — nie masz kogoś, kto mógłby go zgarnąć i bezpiecznie odstawić do Lenox Hill?

—Ja pojedę — rzekła Allison. — Jest moim kuzynem — dodała tytułem zbędnego wyjaśnienia, przykładając jednocześnie chusteczkę do miejsca, gdzie niegdyś znajdował się nos krewnego.

—Strasznie mi przykro, Allison — rzekł Tony, pocierając zdartą skórę na kłykciach.

—W porządku — rzekła, gdy nie wiadomo skąd pojawiło się dwóch postawnych mężczyzn, by podnieść znajdującego się w stanie śpiączki para. Ton jej głosu dawał do zrozumienia, że byłaby równie zachwycona, gdyby wyznał, że jest grasującym po nocy przestępcą.

—Powinien zwrócić się do Hoefflina — rzuciła enigmatycznie Melissa Wayne.

Nawet jej niezrozumiałe uwagi miały znaczenie. Wszyscy spojrzeli w stronę aktorki.

—Żeby zrobić operację plastyczną — dorzuciła. — Jest do tego jedyny. Nawet lepszy niż Michael Hogan.

—Skieruje sprawę do sądu? Może za napaść? — spytała z nadzieją Emma. Wicehrabia krwawiący na podłodze to balsam na jej serce. Możliwość, że Tony Valentino będzie miał kłopoty, radowała ją jeszcze bardziej.

—Anglik tego nie robi — rzekł Latham. — Ale niewykluczone, że Tony zostanie poproszony o zrezygnowanie z członkostwa kilku klubów. — Śmiał się z tej absurdalnej myśli, gdy tymczasem boska kelnerka z Etiopii czy okolic usuwała skrwawione kwiaty. Latham promieniał przy uszczuplonym stole. Surrealistyczne uczucie było uchwytnie. Lordowski dziedzic znikł pośród obojętności bywalców wytwornej kawiarni na Manhattanie, pozostawiając za sobą ślad błękitnej krwi na linoleum. Dekoracyjny minimalizm znaku firmowego McNally jeszcze raz się opłacił. Tommy Havers odeskortował Allisotl i nieprzytomne ciało.

Przedsiębiorczy restaurator nadal krążył wokół stołu, czując się świetnie w atmosferze krańcowo zimnej krwi. W najmniejszej mierze nie wytrąciło go z równowagi to, że jego rodak dał taką plamę. Męska część mieszkańców ubogich dzielnic niczego tak nie lubiła, jak rozkwasić nos lordowskim synkom — w znacznym stopniu dlatego, że żeńska część chętnie szła z nimi do łóżka. W „Bethnal Green” zawsze była pogoda dla takich dziarskich chłopaków. Ponadto w dobrej restauracji powinno się coś dziać, a tego wieczoru jak na razie były światła, kamera, klaps za klapsem.

Wreszcie Tony usiadł. Obiad oficjalnie się rozpoczął.

—Nie musiałeś tego robić, Tony — rzekła Pat. Ośmieliła się go oskarżać przez stół.

—Chodzi ci o to, że nie będzie z tego forsy? — Posłał jej zuchwały uśmiech. Pat oblała się rumieńcem na znak, że cios trafił w cel.

—Był pijany. Nie wiedział, co mówi. Nie mógł się bronić. — Usiłowała zachować spokój, lecz wzbierał w niej gniew. Ta odzywka o pieniądzach była tak niesprawiedliwa. Ale czy rzeczywiście? Może chciał przez to powiedzieć, że on zachowuje się spontanicznie, bezpośrednio, uczciwie, ona zaś jest nieszczerą, wyrachowaną i przebiegłą.

—I co z tego, że był pijany? Co z tego, że nie mógł się bronić? Zachowywał się bezczelnie. Lubię mężczyzn, którzy się z tym nie godzą. — Języczek Melissy Wayne wysunął się, by podkreślić ostatnią kwestię. Wbiła wzrok w Pat.

— Wszyscy wiemy, że lubisz mężczyzn, kropka — odpaliła Pat.

— A ty nie. No właśnie. Od początku miałam rację. — Melissa posłała wokół stołu triumfalny uśmiech.

— Sam się tym zajmę — burknął Tony. — Nie potrzebuję adwokata. Pat czuła, jak żółć podchodzi jej do gardła. Nie wiedziała, co to

stare pudło ma na myśli mówiąc, że ona, Pat, nie lubi mężczyzn, lecz uwaga ta pozwalała przypuszczać, że obgadywano ją za plecami, i to w niezbyt pochlebny sposób.

—Kłopot polega na tym — powiedziała z wolna Pat — że nie jesteś zbyt cywilizowany, prawda, Tony?

—I to mówi sobowtór dzikiego zwierza?

—Przynajmniej nie zachowuję się jak dzikie zwierzę.

—Nie, zachowujesz się jak karaluch. Widząc, jak pełźnie, można dostać gęsiej skórki, i zawsze włazi tam, gdzie nie trzeba.

— Na przykład w twoje portki? — rzekła Pat.

— Rany boskie — odezwała się Emma — pierwszy raz jestem na Obiedzie niedozwolonym dla młodzieży.

—Przestań pierdolić — rzekł Tony.

—Widzicie? — powiedziała Emma z udaną powagą.

—Na przykład w moje życie — dodał, znowu odwracając się do Pat i dosłownie spluwając na nią słowami przez stół.

—No, no. Tony. Pat. Troszkę spokojniej. Wszyscy jesteśmy podekscytowani. Ja na pewno tak. Nie zapominajmy, że jesteśmy tu po to, by uczcić *New Celebrity* i sukces Tony'ego, a także zdjęcia Pat. Siedzmy coś i niech znowu zapanuje miłość. No, już. W porządku?

Ostatnie słowa dźwięczały stałą. Latham lubił poszaleć, ale były Jakieś granice. Teraz dawał wszystkim do zrozumienia, że je osiągnęto. Kłótnia przyniosła jedną korzyść. Odstraszyła innych gości, którzy chcieli się do nich przysiąść.

Wrócił Havers.

— Wszystko załatwione — powiedział. — Wysłałem Allison, Anglika i jednego z goryli limuzyną do szpitala i zawiadomiłem medyków z naszego przedsiębiorstwa, żeby załagodźli sprawę. Prawników też. Jedzie tam druga limuzyna na wypadek kłopotów w mercedesie. Jak Angol wytrzeźwieje, ktoś z nim jutro pogada, żeby nie było komplikacji. — Usiadł i przykleił sobie uśmiech do twarzy z zamiarem zachowywania się tak, jakby nic się nie stało.

— Nie chcę, żeby ktokolwiek chodził koło moich spraw...

— Tony, uspokój się. — Ręka Lathama obejmowała mocnym i zdecydowanym uściskiem ramię człowieka, który uratował mu życie. — To drobiazg. Nic poważnego. Nie zawracaj sobie tym głowy. To się zdarza.

Machnięciem ręki skwitował nos Leavenwortha, jakby go w ogóle nie było, co zgadzało się ze stanem faktycznym.

— A teraz — ciągnął — niech zabiorą te krzesła. Pat, przysuń się bliżej do mnie. Tony, przesiądź się kawałek, żeby Melissa nie była taka osamotniona. O, tak lepiej. I, Tommy, wtajemnicz Emmę we wszystkie sekrety przedsiębiorstwa, dobrze? To znaczy te, które ukrywasz przede mną. Emma jest taką plotkarą, że wszystkiego się od niej dowiem.

Zachichotał, by odwrócić uwagę od tego, co zrobił, ale wszyscy przy stole zdążyli się zorientować. Pary, na jakie ich podzielił, nosiły piętno nieuchronności, a pod pozorami harmonii szalała akcja drugoplanowa.

Emma Guinness wychyliła kielich goryczy. Wylosowała Haversa, który był równie interesujący i apetyczny jak stare brokuły. Ten facet to nie mężczyzna, lecz przedmiot. Działał jako silnik, poruszający przedsiębiorstwa Lathama, i jako taki był dobrze naoliwiony, potężny i w doskonałym stanie, ale w porównaniu z kapitanem na mostku to zero. Po drugiej stronie stołu siedział mężczyzna, którego pragnęła Jasne, że mierzyła wysoko, ale zawsze tak postępowała. Miała głowy do tej roboty, stalowe nerwy, umiejętność odbicia się jak gumowa piłka. Niewiele kobiet, wyciągających rękę po Lathama, miało jej zalety. Mogły być ładniejsze, bardziej czarujące, bardziej seksy, ale nie poprowadzą mu pism. Gdy pod koniec dnia

Latham wślizgiwał się do łóżka, myślał nie o romansach, lecz o interesach, i każdy, kto nimi z powodzeniem pokieruje, będzie jego serdecznym przyjacielem.

Dowcip polegał na zmianie okropnego słowa na „p” na coś innego, Nie było powtórki podniebnego spółkowania, ale liczyła, że wpływ z reklam i liczba prenumerat *New Celebrity* ponownie rozbudza zainteresowanie Dicka jej osobą. A skoro most seksualny raz na zawsze zostanie przekroczony, miała plany na resztę: najpierw bliska zażyłość w tej fazie zamieszka z nim jako kochanka, po czym rozlegną się dzwony weselne i swój wpływ zaczną wywierać rodzone dzieci, aż dojdzie do ostatecznego rozwiązania. Małżeństwo nie było końcówką jej planów względem Dicka Lathama. Był nią rozwód. Przepołowi go i odejdzie jako najbogatsza kobieta świata, spychając królową angielską na drugie miejsce. Wtedy, mocny Boże, ulice Belgravii i wzgórze Cotswoldu spłyną krwią tych, którzy ją upokorzyli. A najstraszliwszy los czeka tak niespodziewanie wywyższonego aktora z przeciwległego końca stołu.

Lecz gdy cudowne marzenie sięgnęło zenitu, zaczęło z wolna błędnąć. Powód znajdował się po drugiej stronie stołu. Głowa Dicka Lathama pochylała się ku głowie Pat. Klarował coś z przejęciem tuż przy jej twarzy. Potakiwała, zaabsorbowana siłą jego perswazji. Wymachiwała rękami przed jej oczyma, gestykulując bez opamiętania. Uśmiechał się Marszczył brwi. Przeleciał cały repertuar min. Jego strategia nie budziła wątpliwości. Usiłował ją poderwać. Emma Guinness, przyszła żona, matka jego dzieci, przyszła beneficjentka pięćdziesięciu procent jego fortuny, po prostu dlań nie istniała. Z trudem przełknęła ślinę emanując niechęć ku Pat Parker. Ta dziewczyna wyciąga rękę po jej faceta. Już złapała aktora, którego pożądała, a następnie pośpieszyła zrobić zeń gwiazdę i protegowanego Lathama, chroniąc go przed jej zemstą. Pat rozgrywała niebezpieczną grę. Emma wykańczała ludzi z błahszych powodów.

— Co myślisz o planach rozwoju Cosmosu? — spytał Havers przerywając bieg jej myśli.

Chyba tylko ta kwestia na świecie mogła zyskać jej uwagę. Odwróciła się ku niemu z rozjaśnioną twarzą.

—Chciałabym się czegoś więcej o tym dowiedzieć.

—A konkretnie?

— Konkretnie, sprawy personalne, na przykład, kto tym będzie dowodził?

— Jeszcze nie było decyzji. Masz jakiś pomysł?

Emma udawała, że się zastanawia. Nie było to trudne. Ona będzie tym dowodzić. Jest w Stanach od niedawna, ale ma amerykańską siłę przebicia. Ameryka kręci się wokół kina. Tak zawsze było. I zawsze będzie. Krajowi zależało na kinie, na kinie i jego rozwodnionym surogacie — telewizji. Amerykę spajały celuloidowe mięśnie. Jej szkielet Wyprodukowano w Hollywoodzie. Napędzany był siłą marzenia. Kino Upodobniało Montanę do Manhattanu i pozwalało Amerykanom wzajemnie się zrozumieć w kraju zbyt wielkim na zawiązanie bliższej zażyłości. Gwiazdy filmowe były wspólnym amerykańskim dobrem. Ludzie kochali je. Czci-li. Fascynowały ich. W Hollywoodzie dwie setki zawodników opanowały grę w kino i w tym sensie byli najpotężniejszymi ludźmi w Stanach. Wytwarzali portret własny kraju. Kierowali machiną propagandową. W wolnym świecie oni, bardziej niż ktokolwiek inny, opanowali umysły. Dyrektor Cosmosu byłby integralną częścią tej elity. W porównaniu z tym redagowanie *New Celebrity* to żaden interes.

—Może ja? — powiedziała.

—Ty? — roześmiał się. — Nie mówisz poważnie.

— Może i nie. — Emma również się roześmiała. Chciała zasiać ziarno, nic więcej. — Ale poradziłabym sobie lepiej niż rutynowy zespół podejrzanych agentów, prawników i polityków filmowych, do których to się zawsze w końcu sprowadza.

— Nie brakuje ci trochę doświadczenia?

— Tą nazwą ludzie opatrują swoje błędy, jak mawiał Oskar Wilde. Tak, Bogu dzięki, brakuje. To będzie moim atutem. Słuchaj, kierowanie wytwórną polega na tym, żeby wytypować filmy, które spodobają się publiczności. Nikt nie ma recepty na to, jak to robić, zgadza się? A kto najlepiej wychwyci, co wisi w powietrzu? Kto żyje z umiejętności przewidywania, czego chce publiczność, i daje jej to w eleganckim opakowaniu, kapiące szykiem, bez ostrych kantów?

— Redaktorzy popularnych magazynów? Poklepała go po ręce. — Jak na to wpadłeś? — rzekła. — Właściwie to nie jest nawet nowy pomysł. Disney przewęszył *Esquire*, *Premiere* i *New York* w poszukiwaniu kierowników niższego szczebla.

—Nie dzwoń do nas — sami zadzwonimy — gdy *New Celebrity* zacznie zdobywać nagrody — zbył ją Havers ze śmiechem.

—Nie trzeba będzie długo czekać — rzekła Emma Guinness, patrząc przez stół na człowieka, który mógł spełnić jej marzenia.

Dick Latham dał się ponieść nastrojowi chwili. W nozdrzach czuł oddech Pat, słodki jak truskawki. Widział w jej oczach niejednoznaczne uczucia, szorstką wrażliwość, poczucie humoru, które chroniło go przed bólem. Nie miał złudzeń. Nie lubiła go, ale przynajmniej nie była wobec niego obojętna. Bywały już mniej obiecujące początki. Od czasu do czasu odrywała od niego oczy i choć nie odwracał się, by śledzić, w jakim kierunku biegnie jej spojrzenie, czuł, dokąd zmierzało. Obserwowała Tony'ego, Tony'ego i Melissę, Tony'ego, z którym mogła tylko walczyć, Tony'ego, którego pragnęła jedynie kochać. Dick Latham był weteranem wszelkich zmysłowych wojen. Wiedział co jest grane. Tony i Pat, ich miłość i niewiść, stapiali się razem w najbardziej wybuchową mieszankę, gdy wzajemnie usiłowali wzbudzić w sobie zazdrość. Latham i Melissa stanowili rekwizyty tej uświęconej tradycją gry. Była to pozycja nie do pozazdroszczenia, lecz i z niej da się coś wyciągnąć. Reguły głoszą, że Pat musi się wydawała zafascynowana Lathamem. Dla osiągnięcia większej wiarygodności dobrze byłoby, gdyby jej uczucia choć w części odpowiadały czynom. A więc starała się polubić go bardziej, niż istotnie czuła, a Dick Latham starał się możliwie najbardziej wykorzystać sytuację.

—Myślałaś już o następnej rozkładówce? Nie mogę się doczekać. — Wpatrywał się jej głęboko w oczy z rozmarzonym wyrazem twarzy. Mówił poważnie. W pościgu wszystko trzeba traktować poważnie.

—Właściwie nie. To się po prostu zdarza. Trzeba mieć gotowość umysłu i otwarte oczy. Trzeba dać szansę szczęściu, niech też się dołoży. — Półuśmieszek wokół jej warg mówił, że poznała się na jego grze i nie ma nic przeciw niej. Latham może posuwać się dalej. Będzie musiał się bardzo starać, lepiej niż kiedykolwiek, ale dawała mu szansę. Mogłaby zadziwić samą siebie, gdyby on zdołał ją zadziwić.

W kombinezonie było jej gorąco. Swędziało ją ciało. Była uwrażliwiona na wszystko. Czuła się nadal zagniewana, nadal oburzona i, niech to jasny szlag trafi, nadal zakochana.

Po przeciwległej stronie stołu niemożliwy Tony pozwala Melissie, by go uwidziała. Owinęła się wokół niego jak opończa, a Pat, nie słysząc słów, doskonale się orientowała, jaki kit mu wciska. Będzie plotła o swych znajomościach w świecie filmu — wielkie nazwiska jak nic walają się po podłodze wokół jej wąskich, zgrabnych kostek, gdy usiłowała oszołomić Tony'ego tą częścią jej osoby, której

nie mógł obejrzeć. Nie było tego wiele. Prowadziła co najmniej lekcję wychowania seksualnego, używając swego ubrania jako pomocy naukowej. Naprawdę nieprzyzwoity był język jej ciała. Gmerała mu palcami po karku. Pod stołem jej stopa niezawodnie stepowała na jego stopie.

Zdażyła już wsunąć łyżeczką nieco swego musu z awokado do jego idiotycznie otwartych ust. Czy ma on choć blade pojęcie, jakiego robi z siebie głupca?

Z trudem oderwała od niego wzrok. Co też opowiada Dicus-picuś? loże, był gładki jak aktor, grający Boga w średnim wieku — władczy, wszechwiedzący, głęboko troskliwy, niezwykle pewny siebie. Przesuwał palcami po siwiejących włosach, jakby dumą napawał go fakt, iż nie jest na tyle próżny, by je ufarbować, a za każdym Nizem, gdy się uśmiechał, wyglądał tak, jakby wręczał prezent. Mel był przystojny. I potężny. I niezwykle łatwy w obejściu. Ani na chwilę nie miała wrażenia, że zabraknie mu konceptu, że powie coś przykrego albo zachowa się w sposób gwałtowny. W obecnej sytuacji nie było to mało.

— Wiesz, nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ty.

Pat uśmiechnęła się patrząc, jak nastawia reostat swej zachęty.

— Ja również. — Sposób, w jaki to powiedziała, niekoniecznie musiał stanowić komplement.

Wyczuł to.

—Czego chcesz, Pat Parker?

—Dasz mi to, jeśli ci powiem? — rzekła w końcu.

—Wypróbuj mnie!

Jej wzrok pomknął ku Tony'emu. Przez chwilę patrzyli sobie w twarze, a z ich wyrazu można było wyczytać, że pragną tylko ranić i krzywdzić. Żadne nie ustąpiło ani na krok. Nie było litości, tylko zimna stal zemsty. Obrócił się ku Melissie, a ona pochyliła się ku niemu, rozchylając czerwone wargi, rękoma przesuwając po jego udzie. Wiadomo, co się stanie. Za parę godzin zostaną kochankami. Żołądek podszedł Pat do gardła w przyływie mdłości.

Zdecydowała się szybko. Do tej gry potrzeba dwojga graczy. Wet za wet. Na złość odmrozić sobie uszy. Lecz najpierw trzeba uzyskać pewne ustępstwa i ustalić warunki.

— Przypominasz sobie, przed paroma tygodniami, w Malibu... — zaczęła niezobowiązująco.

Dokończył za nią:

— Mówiłem ci o swoich planach wytwórni filmowej Cosmos... Uśmiechnął się triumfalnie, gdy jej brwi wygięły się wysoko w łuk

w pełnym rozbawienia zdziwieniu. Dopadł ją. Wiedział, nim ona wiedziała.

— No tak, o Cosmosie, filmach i o moich szansach na reżyserowanie...

— Chciałabyś tego? Odetchnęła głęboko.

—Tak, bardzo.

—Myślisz, że dasz sobie radę?

—Jestem tego pewna.

—Ja też tak uważam. Przez długie sekundy nic nie mówił, napawając się swym zwycięstwem. Właściwie już ją ma w kieszeni. Pat Parker była na krawędzi podania się.

— Czy mogę zapytać, dlaczego ci na tym zależy? Odetchnęła głęboko.

—Bo nadarza się okazja. To dla mnie wyzwanie. Żeby iść naprzód, zrobić coś większego, mieć szersze pole manewru. Każdy fotograf o tym marzy. Rzadko nadarza się im okazja, a większość byłaby przerażona. Ale wszyscy tego pragną, o tym marzą przed zaśnięciem.

—Ty też o tym marzysz przed zaśnięciem? — Dick Latham pozwolił sobie na lekki sarkazm, obrzucając szybkim spojrzeniem swego nie gdysiejszego rywala z przeciwległego krańca stołu.

Pat nie odpowiedziała. Miała zamiar kochać się z zemsty, a poza tym otrzymać to, czego pragnęła. Nie trzeba tego głośno wypowiadać, Ogarnęło ją dziwne poczucie oderwania. Umysł Pat badał jej ciało. Czy było do tego gotowe? Czy uda jej się zrobić to przekonująco. Jak się taki interes nazywa? Prostyucja? Czy można mieć z tego przyjemność?

Uśmiechnął się z okrucieństwem, czytając w jej myślach.

—Czy trzymasz przy łóżku moje zdjęcie, zrobione przez Alabamę? — spytał nagle.

—Tak, oczywiście. Przecież obiecałam. Czy przekazałeś pieniądze klubowi „Sierra”?

Z wolna skinął głową. Oboje byli ludźmi dotrzymującymi słowa. Może tylko tyle mieli wspólnego, a jednak niebawem zostaną kochankami.

— Reżyserowanie to żaden problem — powiedział. — Masz to załatwione. — Zbył tę sprawę machnięciem ręki. Wpatrywał się w nią twardym spojrze-

niem. Głos miał jeszcze twardszy. — Czuję przemożne pragnienie ponownego obejrzenia tej fotografii — powiedział. — Dzisiejszej nocy.

11.

Wziął do ręki fotografię i przyjrzał się osobie, którą niegdyś był. Dwadzieścia pięć lat odpłynęło. Dick Latham znów znalazł się w Paryżu.

—Dlaczego ci się nie podobała? — spytała Pat. Stała w drzwiach sypialni i uczucie nierzeczywistości jeszcze się w niej pogłębiło.

—Nie lubiłem wówczas wielu rzeczy. — Umilkł, wspominając przeszłość. Boże drogi, był przystojny i okrutny, jak jakiś nordycki książę. Wszystko kryło się w oczach. Alabama uchwycił prawdę w cząsteczkach filmu. Pamiętał uczucia, które wówczas żywił — pogardę dla zrzedliwego fotografa, wzdę dla Amerykanina w Paryżu, rodaka, który nie chodził do „właściwych” szkół, nie miał „rodziny”, nie był sztywny jak tektura w sprawach pieniężnych; Dick wykazywał też brak zainteresowania dla żyjącego artysty — była to przekonująca sprzeczność, która naznaczała pozerskiego fotografa piętnem wywyższonego artysty ulicznego, nie znanego muzeum, kolekcjonerom ani dawnym fortunom. Wszystko to było wypisane na twarzy, którą Pat budziła rano, a wieczorem szła z nią do łóżka.

Podeszła doń i teraz obserwowali go wspólnie.

—Wyglądasz na straszego zarozumialca — rzekła, uśmiechając się z lekka.

—Bo nim byłem — rzekł Latham. Nie śmiał się. Ciągłe przebywał w przeszłości. Powracał myślami do innych wspomnień z tamtych dni.

—A co się stało z dziewczyną, o której opowiadał mi Alabama? — spytała Pat. Byłoby jej łatwiej, gdyby go lepiej poznała. W ten sposób poszłaby skrótami.

Popatrzył na nią, potem znów na fotografię.

— Odeszła ode mnie. A ty byś nie odeszła od takiego skurwysyna?

— Nie wiem. Wyglądałeś dość zabawnie.

— Jeśli masz chore poczucie humoru. — Nigdy go takiego nie widziała. Zniknęło zadufanie. Spokorniał. Sprawiał wrażenie, że czuje do siebie wstręt, że warstewka pewności siebie pokrywa ziejącą pustkę. Nienawidził tej części siebie,

która objawiała się na fotografii, gdyż lekkomyślny chłopiec z portretu zniszczył jego przyszłe szczęście. Po tylu latach Dick Latham nadal kochał dziewczynę, która go opuściła.

— Tyle dla ciebie znaczyła?

W oczach miał łzy, bez dwóch zdań.

— Tak — odrzekł po prostu. — Tyle dla mnie znaczyła. Wziąłem jej serce do ręki i... — Głos uwiązł mu w gardle, lecz dłoń zacisnął w pięść tak mocno, że aż zbieleły mu kłykcie. Potem ramię wystrzeliło do przodu, palce rozwarły się i jego zmiażdżona miłość przefrunęła przez pokój, tak jak odleciał ptak przed wielu laty.

—I od tamtej pory nikogo?

—I od tamtej pory nikogo...

Oboje zastanawiali się, czy doda „aż do dziś dnia”.

To kłamstwo byłoby tak tanie i łatwe. Powiedz je, a na zawsze będę tobą gardzić, myślała Pat.

Urwał. Usiadł na łóżku z portretem opartym na kolanie. Spojrzał na dziewczynę, której pragnął, i odezwało się w nim poczucie winy. Zdumiało go to nie znane mu uczucie. Doznawali go inni, on nie. Tylu ludzi wiodło żywot pokryty cienką warstewką strachu. Przerażeni światem, w którym przyszło im żyć, stawali się niewolnikami losu oraz zakładnikami zachcianek i kaprysów innych. Skuwały ich też kajdany własnego sumienia. Gdy nie zdołali znaleźć nikogo, kto narzuciłby im reguły, sami dla siebie wymyślali prawidełka. Ich życie było bólem. Kij dezaprobaty świata spadał im niemal stale na ramiona, a gdy nikomu już nie starczało energii, by ich ukarać, sami okładali się szpicrutą winy. Mea culpa nigdy nie była problemem Lathama. Z reguły brał to, co chciał, bez zastanowienia, wahania ani spodziewanych wyrzutów sumienia. Kupił piękność, która przed nim stała. Cena wynosiła około piętnastu milionów, tyle, ile wynosił koszt wyprodukowania w jego nowiutkiej wytwórni ryzykownego filmu, który mógł zrobić klapę. Cena była najwyższa z jego dotychczasowych transakcji tego typu, jednak obiecał ją zapłacić. Niewykorzystanie tego było nie do pomyślenia. Lecz teraz, na krawędzi jeszcze jednego pozbawionego znaczenia podboju, coś go powstrzymywało. Na co, do diabła, czeka?

Stojąca przed nim Pat wyczuła jego dylemat. Z przechyloną na bok głową i kpiarskim wyrazem twarzy przyglądała się jego zmaganiom.

Spojrzał na nią i nagle na jego twarzy pojawił się wyraz rozpacz.

— Posłuchaj — rzekł. — Nie musimy tego robić... To znaczy... film i tak dostaniesz. Masz to załatwione. Będziesz wspaniała.

Lecz Pat Parker podjęła już decyzję. Siedziała w fotelu kierowcy. Być może zawsze tak było. Dick Latham nigdy się nie dowie, jak świetnie się uprawił. Słabość, wrażliwość i przyzwoitość nie wchodziły w skład jego arsenału. Najlepszy efekt osiągnął przypadkowo.

Pat sięgnęła do tyłu i jej palce zacisnęły się na błyskawicznym zamku kombinezonu.

Melissa Wayne podniosła fotografię i wpatrywała się w nią podejrzliwie.

— Kto to? — spytała, jej zdalnie sterowana zazdrość wyczuwała rywalkę. Tony wyjął jej zdjęcie z ręki.

— To moja matka. Nie żyje.

Mówił rzeczowym tonem, lecz Melissa wyczuła, że dla niego to wielka sprawa.

— Strasznie mi przykro. Była bardzo piękna. — Zazwyczaj nie mówiła dobrze o przedstawicielkach własnej płci. Dla zmarłych matek mogła zrobić wyjątek.

Tony popatrzył na fotografię, jakby ujrzął ją po raz pierwszy. W jego oczach pojawiła się tęsknota.

— Tak, była piękna, ale nigdy tego nie wykorzystywała. Nawet o tym nie wiedziała.

Melissa wyczuła w jego słowach oskarżenie. Ta uwaga do niej nie miała zastosowania. Żałowała, że poruszyła ten temat. Był nadzwyczaj mało obiecujący. Współczujące pogaduszki nie stanowiły jej forte. Teraz będzie musiała grzebać dalej.

— Jak dawno... to się stało? — spróbowała bez większego entuzjazmu. Nie mogła wydobyć z siebie słowa na „u”. Rozglądała się gorączkowo po obskurnym mieszkaniu, szukając pretekstu do zmiany tematu. Wyglądało na to, że w niejednym kącie siedzą karaluchy. Lepiej niczego nie podnosić.

Tony nie odpowiedział. Zdawał sobie sprawę, że matka nic jej nie obchodzi. Nie miał o to pretensji. To jego żałoba, nie jej.

Oceniali się wzajemnie, jak dwa kawałki steku na desce rzeźnika. Potem, nagle, iskra wróciła. Elektryczność zasyczała w cuchnącym powietrzu pokoju. Pojawiło się niebezpieczeństwo, podniecenie, było też nieznanne.

— Chodź tu — powiedział przeciągle.

Ukradł jej kwestię. On miała tu być producentem. Jako gwiazda miała prawo pierwszeństwa. On był tylko drugoplanowym aktorem, nie reżyserem. Część jej pragnęła to wyjaśnić. Inna, rozkosznie nieznaną, chciała być tylko posłuszna. Sunęła ku niemu, uśmiechając się protekcyjnie. Pozwalam ci na to — mówił wyraz jej twarzy. Zaczniemy na twój sposób. Skończymy na mój. Zatrzymała się parę cali od niego. Czubki jej piersi trącały bawełnę jego koszuli. Jej oddech owiewał mu twarz, gdy drwiła zeń swą bliskością. Jej groźba była wszędzie, w sterczących biodrach, w mocnym, agresywnym ustawieniu nóg, w języku, przesuwającym się po ustach w kształcie serca. W każdej chwili może wyciągnąć rękę i po dotyku palców zorientuje się, czy jest na tyle męski, by nad nią panować. Jeden niepewny ruch, jedno powinięcie się nogi i będzie na kolanach, danych mu od Boga, by bardziej ją czcił.

Tony nie zastanawiał się nad tym. Jej uczucia się nie liczyły. Uczucia innych prawie dla niego nie istniały. Były niepoznawalne i nieinteresujące. Stanowiły akademicką rozrywkę. Poświęcanie czasu na ich badanie byłoby marnowaniem energii i rozpraszeniem siły woli. Przed nim stała gwiazda filmowa, dojrzała jak wilgotna brzoskwinia.

Była pewna siebie i bezczelna. Była nieskomplikowana, bezwzględna i tak śliczna, jak tylko można sobie wyobrazić. A przede wszystkim była tu, na oblepionym dywanie, obok nie posłanego łóżka z brudną pościelą, gotowa, chętna i fantastycznie zdolna go zadowolić, sprawić, by zapomniał o bólu — bólu śmierci, bólu sztuki, bólu Pat Parker.

Wyciągnął rękę i chwycił pełną garść jej włosów. Jego dotyk nie był szorstki, ale absolutnie władczy. Przyciągnął ku sobie jej głowę, aż skóra ich warg znalazła się od siebie zaledwie o milimetry. Jej wzrok zatonął w jego oczach i Tony dostrzegł w nim pożądanie, zadziwienie i, tak, lęk, który okazał się nowym przybyłym w seksualnym repertuarze Melissy Wayne.

Zniżył ku niej swe dzikie wargi, straszny w swej intensywności i bezlitośnie agresywny. Wtargnął w jej usta. Plądrował ją językiem. Ich zęby zgrzytały niemiłosiernie o siebie, gdy się nią napawał. Było to bliskie bólu, dalekie od czułości i,

spustoszona przez niego, z głową uwieczoną w jego potężnych ramionach, stała jak wryta, przerażona jego żądzą. Miażdżył ją swym ciałem. Nozdrza miała pełne jego męskiego zapachu. Pulsujący żar szturchał ją szorstko w żołądek. Nie mogła oddychać, lecz oddychanie nie było już ważne.

Jedną rękę okręcił wokół jej włosów, druga sięgnęła do tyłu, do zapięcia stanika. Rozpiął je i stanik odpadł od jej pulsujących piersi. Przyciągnął ją do siebie, przyciskając jej piersi do swoich.

— Tony! — usiłowała przemówić, gdy uwolnił jej usta. Powoli. Uważaj. Nie zrób mi krzywdy. Ale nie chciała nic z tego, o co prosiły oczy. Jej ciało pragnęło panować nad sytuacją. Umysł był tylko sługą. Potrzebowała więcej okrucieństwa, więcej namiętności, więcej jego cudownie samolubnej żądz.

Wiedział o tym. Jest mustangiem, którego trzeba okiełznać, i najpierw musi nastąpić piekło i niebo ekstazy, nim ona potulnie będzie kłusować po wybiegu, szczęśliwa, że ją prowadzą, nie posiadająca się z radości pod siodłem jeźdźca. Położył jej więc obie ręce na ramionach i patrząc głęboko w oczy, mocno pchnął ją w dół. Osunęła się na kolana, pełna cudownej rozpacz, i rozkoszowała się obcą jej pokorą. Nikt jej tego nie robił. Nie w ten sposób. Nikt się nie ośmielił. Twarz miała przyciśniętą do płonącego żaru jego okrytego niebieskim drelichem krocza. Widziała jego kształt, ogromny w swojej groźbie, obietnicą twardy jak skała. Oparła o niego policzek, a jej ruchliwe ręce sięgnęły do sutek, napiętych jak skóra na bębnie. Szczypała je, póki nie rozpoznała bólu w morzu rozkoszy, w którym się pogrążyła. Przenikał ją lęk, przeppełniało pragnienie i duma, że została zmuszona do dokonania tego, czego dokona. Dotknęła napiętych mięśni jego ud. Przebiegła rękami po miękkiej bawełnie. Jej palce odnalazły guziki. Poruszała się ze czcią, dzielnie podejmując tę małą inicjatywę, bojąc się, że jej tego zabroni. Jego siła unosiła się nad nią, przerażająca, potężna. Z wolna go rozpięła. Wskoczył z obciśłych dzinsów, podskakując i wysuwając się ze spodenek, które go osłaniały. Jak miecz lśnił przy jej policzku, promieniując żarem, duży, ogromny, pulsując z rozmysłem w jej twarz. Trzymając go w dłoniach, odetchnęła głęboko, napełniając płuca cennym powietrzem, które będzie jej potrzebne. Na palcach miała pot jego włosów, jego trzon był śliski w jej uchwycie. Przesunęła rękami ku górze, skóra jej płonęła od jego żaru. Czowała krew, tętniącą przez arterie, odznaczające się na lśniącej powierzchni. Podążała w górę ku czubkowi, blisko jego gniewnego punktu, i pochylając się bliżej wdychała jego pizmo, podczas gdy wargi zdążyły ku

swemu przeznaczeniu. Czuła, jak na tyle jej głowy zajmują pozycję jego ręce. Spoczywały tam miękko, lecz ich obecność miała cel. Od tego nie będzie odwrotu. Nie będzie czasu na zastanawianie się. Nie uniknie słodkiej konkluzji. Zadrzała na myśl o rozkosznym zniewoleniu.

Uczuła leciutki ucisk z tyłu głowy, popychający ją do przodu. Był to rozkaz. Posłusznie poruszyła się. Język wysunął się i oparł na czubku członka, chłodząc żar, lecz podsycając żądzę. Ocierała się o niego, delektując się smakiem, poruszając nim miękko w napiętym ciele. Dokoła, w górę i w dół sunął jej język, wdzierając się w otwór, czule otulając cudownie powiększający się trzon. Zachęcił ją stłumiony jęk, a gwałtowne szarpnięcia z tyłu głowy i karku nakazały jej przejście¹ do następnej fazy powolnego tańca pożądania. Otworzyła usta szeroka, tak szeroko, a on wślizgnął się w nią z wdzięcznością. Z początku wszedł w nią tylko czubek, lecz znała już cały plan. Z tyłu zaciskały się ręce. Z przodu wysuwały się biodra. W panice usiłowała spojrzeć ku niemu, w górę, powiedzieć, by tego nie czynił, lecz oczy, które napotkały jego wzrok, krzyczały tylko tak, a okrutne oczy, które odwzajemniły jej spojrzenie, zgodziły się. Wślizgnął się w nią głębiej, a ona otworzyła się szerzej, by go przyjąć, aż dla jego ogromu nie było już miejsca w ustach... tylko w gardle. Lecz nadal nie ustawał, Bezlitośnie posuwał się naprzód, aż zawładnął nią całą, i tu, unieruchomiona między jego rękami i biodrami, była tylko miękka, otulającą go wilgocią.

Pozostawał tam długie sekundy, aż brakło jej powietrza w płucach, i usiłowała oddychać przez nozdrza, pławiąc się w pocie, pokrywającym mu żołądek. Potem, wreszcie, wycofywał się, a tlen z jękiem wpadał jej do płuc. Wyciągnęła ręce, by go odepchnąć, przyciskając dłonie do jego kości łonowych, lecz jej umysł i ciało pragnęły odmiennych rzeczy. Chęć schwywania oddechu i uwolnienia się od mężczyzny zastąpiła o wiele potężniejsza potrzeba jego powrotu. A więc przesuwała rękami po jego jędrnych pośladkach i ponownie przyciągała go ku sobie, odrzucając głowę do tyłu, by go przyjąć. Słyszała, jak się śmieje, gdy ją przesywał, wpychając się do najdalszych zakątków jej gardła, cofając się, waląc ponownie w aksamitną miękkość. Teraz ogarnął ich zgodny rytm, a jej panika ustępowała w miarę, jak rosła namiętność. Raz tak, raz tak, przyływ i odpływ, czas oddechu i pustki, czas ciszy i zaspokojenia. Kochał się z nią przez usta z taką samą namiętnością, z jaką inni kochali jej ciało. Jedyne różnica polegała na otworze, który wybrał na swoje wejście. Już myślała o jednym. Jak sobie poradzi z gorzkosłodkim zakoń-

czeniu? Jakby wyczuwając troskę, pokazał jej. Nie było ostrzeżenia. Nie przyspieszył. Nie zwolnił. Nagle wycofał się do jej otworu i czekał.

Sztywno zaciskał ręce z tyłu jej głowy. Była teraz schwyтана w jego zacisku, bezradna, jak tajemnie być pragnęła. Cała jej ekstaza będzie jego ekstazą, każdy drżący spazm jego rozkoszy sprawi jej namiastkę radości. Zesztywniała w oczekiwaniu na ten moment, a usta jej wyschły, gdy obawa i zadziwienie stopiły się przed wylewem powstrzymywanego strumienia. Wszystko zatrzymało się w ciszy przed burzą, wszystko było spokojne w oku cyklonu. Nie odważyła się poruszyć. Łaskawie nic raczył. Jej oczy, rozszerzone strachem i podnieceniem, zwróciły się ku jego twarzy. Jego, przysłonięte okrutną żądzą, łypały na nią z góry.

I wówczas kiwnął głową. Machnął nią w górę, machnął w dół i dziewczyna wiedziała, co to oznacza. Dawał sobie zezwolenie. Uprzedzał z góry, że wyświadczy jej zaszczyt.

Jej usta były morzem w czasie przyływu. Nieujarzmioną górską rzeką. Wodospad był w niej, a ona tonęła w powodzi jego płynnego pożądania. Nie było czasu, by doznać smaku mężczyzny. Ledwie zdołała poczuć jego ciało. Liczyła się tylko walka o przeżycie burzy i szalone, ścierające się ze sobą emocje, gdy wypełniał ją namiętnością, która nigdy nie przerodzi się w miłość. Usiłowała przełykać, ale nie mogła, toteż wyciekał z niej, jednocześnie się w nią wlewając, mocząc ją, namaszczając swą błogosławioną esencją. Szybował po ścianach jej gardła, ciskając się, pchając, wyczerpując w niej swą energię, omywając ją słodkim pokarmem swej duszy. A przez cały czas palce wplecione miał w jej włosy, ujeżdżając jej usta ścigał wodze zgodnie z szorstkimi rytmemi swego orgazmu.

Skończyło się. Jak szmaciana kukielka opadła na jego kiju. Głowa jej kołysała się na boki, oddech wsysała próżnia płuc. Teraźniejszość była przeszłością, lecz nigdy nie przestanie istnieć, a Melissa Wayne z drzeniem doznała wzniosłego uczucia, iż nigdy nie była tak bliska zaangażowania.

Wysunął się z jej ust, a ona uśmiechnęła się doń, obmyta jego intymnością. Teraz opadnie i okaże pozór czułości, jakiś dotyk, pieszczota, z udawanej uprzejmości, której wymagały dobre maniery. Zaczęła się podnosić, sięgając do tyłu, by dotknąć jego rąk. Nareszcie zostali sobie przedstawieni w możliwie najbardziej fundamentalny sposób, w zderzeniu ciał. Teraz nadszedł czas, by na tym najmocniejszym z fundamentów zbudować jakiś związek.

Otworzyła usta, by coś powiedzieć, a on uniósł dłoń, domagając się ciszy.

Położył obie ręce na jej ramionach i obrócił ją, tak że odwrócona od niego, znalazła się twarzą przy łóżku. Jeszcze raz jej serce waliło o żebra, tłocząc krew przez budzące się na nowo ciało. Przedtem miała czas tylko na rejestrację uczuć z góry swego ciała. Teraz przesłania krzyczały z dołu. Nadal na pół ubrana, wilgotna była z żądz, w majtkach pod spódnicą płonęły piekielne ognie. Czy będzie miał siłę zrobić to teraz? Odważyła się mieć taką nadzieję, a żołądek ścisnął się jej nerwowo, gdy przygotowywała się do spełnienia jego najbardziej nieprawdopodobnego żądania. Popchnął ją mocno, lecz łagodnie, tak że tracąc równowagę, jak to było zamierzone, upadła na krawędź łóżka, chwyciwszy się jej czekała, podskakując jak korek w morzu adrenaliny, pogrążona w naderczywistości, która w niej zbierała.

Uniósł jej spódniczkę, odkrywając nogi, ściągając ją szorstko z ud gdzie pończochy łączyły się z czarnymi podwiązkami. Gdy ją rozbierał usiłowała sobie wyobrazić, jak wygląda w jego oczach. Prócz twarzy tyłek był jej najmocniejszą stroną. Wystający, krągły, jędrny, sprężysty i opalony w słońcu na miodowy brąz. Mikroskopijne białe jedwabne majteczki, cienkim jak kreska pasemkiem przykrywały rozszczepienie między pośladkami. Zatrzymał się, by napawać się jej widokiem, co sprawiło jej przyjemność. I wtedy, całkiem niespodziewanie, przeraziła ją myśl. Absolutnie nie. Na pewno nie będzie chciał...

Odwróciła się, by zabronić mu tego, czego nie próbował uczynić lecz trzymał rękę z tyłu głowy, kierując ją w przód, nie zezwalając na żadną samodzielną decyzję. Otrzyma, cokolwiek chce. Wybór należy do niego. Przełknęła ślinę, czując jeszcze jego smak, co dało jej siłę w chwili bierności. Wyprężona na krawędzi absolutnego opuszczenia usiłowała uwolnić się od siebie, oddać mu się całkowicie, robić to, co jej nakaze. Nie będzie o nic prosić, aby otrzymać wszystko. Musi wierzyć, że znajdzie litość w mężczyźnie, który nią władał, i drżała z rozkosznego przerażenia na myśl, że może się mylić.

Oparł ręce na jej pośladkach. Kreślił mokre wzory na jej skórze rysując kółka na miękkiej powierzchni. Zawędrował bez skrępowanie w rozszczepienie, sięgając pod jedwab majteczek, odważnie zagłębiając się w dół, by pomacać wstydlive wejście. Niżej, niżej, między drżące nogi posuwały się palce, które nią władały, zapuszczając się do skarbnicy, badając ją bezwstydnie, z grubiańską zuchwałością. Za trzymały się przy wargach, rozdzieliły się, a potem palec zagłębił się wewnątrz, a kciuk cofnął z powrotem, krążąc wokół jej najmniej przyjemnego miej-

sca, miękko wpychając się w pofałdowaną, ustępliwą skórę. Ujął sam jej rdzeń, a ona nie mogła dostrzec jego twarzy. Była schwytana w pułapkę jak nigdy dotąd, bezbronna, szeroko rozwarta absolutnie i całkowicie pozbawiona wpływu na to, co się teraz stanie

— Tony, proszę — wymamrotała. Nie wiedziała, o co jej chodzi. Chciała po prostu wymówić jego imię. Nie była to prośba o okrucieństwo czy dobroć. To beznadziejne błaganie o jedno i drugie. Aż do tej straszliwej, cudownej chwili Melissa Wayne nie wiedziała, czym naprawdę jest niejednoznaczność. Czuła, jak pulsuje pod jego palcami. Będą płonąć w żarze, który ją przenikał, topnieć w tętniącej fontannie jej żądy. Odpychała je, a one rzucały się w nią, rozkoszując się gotowością jej biernej namiętności. Wtem, nagle, zniknęły. Nie dotyka jej, a ona wysuwała tyłek w poszukiwaniu jakiejś części jego ciała, wyginała się, ciskając zadkiem w próżnię. Kręciła miednicą w pustce błagając, by jej nie opuszczał na krawędzi połączenia. Nie miała teraz dumy, nie była już gwiazdą, lecz jedynie ofiarą pragnienia straszliwszego niż wszystko, co znała dotychczas.

— Proszę, Tony, proszę — błagała jęcząc i wiała się ku niemu, odpychając się obiema rękami od krawędzi łóżka, by dotknąć jakiegoś skrawka jego ciała. Spojrzała w dół, przez śliskie, osrebrzone uda, i zobaczyła jego okryte dżinsem nogi, wytarty zamsz jego butów do kostki. Był tam jeszcze. Nie opuścił jej. Jest więc nadzieja. Na pewno nie będzie taki okrutny. Przecież nie odejdzie teraz, zostawiając ją, by sama zmajstrowała namiastkę orgazmu? Odpowiadając na jej nie wypowiedziane pytanie Tony Valentino zniżył się między rozszczepienie jej pośladków. Nie ściągnął jej majtek. Zostawił je na miejscu. Czuła, jak pulsujący żarem, jeszcze raz twardy niczym skała, wpycha się w rozchylenie, w mokre rejony, i jęknęła, by go zachęcić, kręcąc miednicą z boku na bok, by tym lepiej go uchwycić. Cały leżał teraz na niej, nurzając się w jej seksie, skwiercząc na talerzu jej tyłka. Potem ześlizgnął się niżej, a jego czubek zagrażał jej zakazanemu miejscu, krążąc wokół pulsującego kręgu. Nappełniło ją przerażenie. Potrząsnęła głową w beznadziejnym oporze i nie znanym sobie pragnieniu. Nic nie może zrobić. To jego decyzja. Już rozluźniała się pod jego dotykiem. Jej mięśnie były jego sprzymierzeńcami, nie wrogami, i śliskie od jej pożądania nie stanowiły już przeszkody. Na długie sekundy zatrzymał się przy zakazanym wejściu, igrając z bólem, bawiąc się tą możliwością, kosztując rozkoszy upokorzenia. Oparł się o nie, czuł, jak ustępują, usłyszał raptowny jęk zgody i przerażenia. Czuła, jak mięśnie brzucha zaciska-

ją mu się na jej tyłku, a całe ciało napina się niczym cięciwa. Wszelka jego energia i moc wpłynęły do tej części jego ciała, która zagrażała teraz Melissie, a ona najlepiej jak mogła, przygotowała się na napaść. Odsunął się od niej, młot wznoszący się do potężnego ciosu, a całe jej ciało było gwoździem... miejsce zaś w dole, gdzie spoczywał jego czubek, to drżąca, bezbronna główka.

Gdy w nią wszedł, było to jak wystrzał armatni. Ciskając się piersią na jej plecy, wytłoczył jej powietrze z płuc. Tyłek drżał jej od siły jego impetu i upadłszy w przód została przytwierdzona do krawędzi łóżka mocą jego pędu. Lecz w ostatniej milisekundzie zmienił kierunek. Runął w dół, porwał się w górę, a oręż jego namiętności szalał chwalebnie w jej ociekającym wnętrzu. Została oszczędzona. Ale jednocześnie dokonano na niej egzekucji. Miecz przeszył ją po rękojeść. Rozpadła się na dwoje. Była wypełniona, owinięta ściśle wokół intruza, jak druga skóra, którą pragnęła się stać. Nie miała już własnej cielesności. Stanowiła odzienie cudzego ciała. Była jego domem i schronieniem, więzieniem z ciała i krwi dla tej części jego ciała, która nigdy nie może odejść.

Orgazm był podniebnym lotem. Nie poprzedziło go oczekiwanie, rozkoszowanie się, powolne dochodzenie do celu. Była tylko prawdą punktu kulminacyjnego. Odbył się błyskawicznie. Zszedł się z momentem jego wejścia i gdy zderzył się z dachem jej świata, chóry niebiańskie zatoneły w dyszkantach spadającej kaskadami, niebotycznej ekstazy. Klęczała, tak jak powinna w tym momencie najwyższego piękna i krzyczała pośród szalonej muzyki, chowając głowę w dłoniach, a po policzkach spływały jej łzy.

W oszołomieniu, które później nastąpiło, zrodziło się nowe uczucie. Z wolna, lecz niezawodnie szloch radości zaczęły zmieniać się w coś innego. Z głową zagrzebaną głęboko w daleką od czystości poście Valentina, Melissa Wayne miała coś do powiedzenia.

— Tony... ty skurwysynu — wycedziła.

Melissa Wayne wylegiwała się w słońcu na tarasie przy domowym basenie i spoglądała na Beverly Hills. Na szczycie Benedict Canyon panował upał, lecz powietrze było tak świeże i czyste, że zza falistych pagórków widziała skrawek srebrnego oceanu. Podregulowała głośność walkmana tak, że „Stonesi” wyrolowały z jej głowy ciszę, wdzierając się w myśli na stłumionych stalowych kołach, niemniej usiłowała zorientować się w chaosie, który wywrócił jej świat na nice. Było na to jedno słowo. Właściwie dwa. Tony Valentino. Nigdy nie przypuszczała, że do tego dojdzie. Była na to zbyt samolubna, zbyt ambitna. Kariera znaczyła dla niej więcej niż seks, niż wszystko, przynajmniej do czasu tego niezwykłego wieczoru, gdy obejrzała „Na wschód od Edenu” i gdy wreszcie kosa trafiła na kamień. Przebiegła dłonią po płaskim brzuchu, jej palce podążyły dalej, do włosów łonowych, skrywających brązową skórę i silne mięśnie, i przypomniała sobie jego dotknięcie. Było tak okrutne. Tak niedbałe. Było szorstkie i nieczułe, pozbawione szacunku. Wygłodniałe, żarłoczne, zupełnie wyzute z tkliwości. Gdy jej dotykał, ręce buszowały po niej nieskrępowanie, jak grasujący zwycięzcy, zainteresowane jedynie zaspokojeniem, a ona czuła się bezradna i niekochana. Było to straszne. Upokarzające. Lecz było to też najbardziej podniecające i erotyczne przeżycie seksualne, jakiego kiedykolwiek doznała. Wiedziała, co się dzieje. Doświadczała tego, co poznali jej poprzedni kochankowie. W jej coraz dziwniejszym sado-masochistycznym świecie chłopcy to parobcy. Ona, super-gwiazda, zawsze była S. Oni, nieszczęsne mięczaki, nieodmiennie byli M. Smagnięcie szpicrutą, klucz przekręcający się w zamku kajdanków, kochankowie przykuci do nogi łóżka, w którym spała z rywalem — to jej zabawy. Znalazły się między nimi kąpiele języka, przemyślnie tortury, tatuaże głoszące żenujące rzeczy w żenujących miejscach, a piękni chłopcy z targowiska piękności zawsze się tłoczyli, by wykorzystała ich gwiazda, ze względu na status, jaki mogli dzięki temu osiągnąć, oraz szalone, nieznanne rozkosze poddania.

Tony zmusił ją do odwrócenia sytuacji. Walczyła z tym, lecz pożądanie było zbyt namiętne, a siła jego osobowości narzuciła jej taką rolę seksualną, której żadną miarą nie spodziewała się odegrać. Opętał ją. Był tu cały czas, w jej snach w nocy i bardziej gorączkowych marzeniach za dnia. Latham wycofał Tony'ego ze sztuki na Broadwayu, a jego rolę przejął dubler ku wściekłości nabywców biletów. Tony przeniósł się do Malibu, by pomóc przy wstępnych pracach nad pierwszym fdmem produkowanym w należącej do Lathama wytwórni Cosmos, tak że teraz

spadał na dom Melissy, wkraczał do jej sypialni i wyciągał z łóżka, by się z nią „kochać” gdziekolwiek, jakkolwiek, kiedykolwiek miał na to ochotę. Potem odchodził. Po prostu znikał, a ona nie mogła go znaleźć, by nań nawrzeszczyć i powiedzieć mu, jaką jest świnią. Mijały godziny, potem dni, i mogła się już tylko modlić, by hałas na podjeździe spowodowany był chrzęstem jego motocykla, żeby to jego ręka dotknęła drzwi, by do niego należał głos, nakazujący jej po nocy, żeby go zaspokoila, jakby tylko po to istniała. Czasem chciał, by stała przy łóżku, a on nawet nie pofatygował się rozebrać, rozpiął jedynie rozporek i posługiwał się nią jak tanią kopertą, kryjącą jego żądze. Innym razem brał ją na podłodze garderoby, a potem zostawiał, zamkniętą tam przez resztę nocy, skąpaną w jego seksie, aż zażenowana pokojówka uwalniała rankiem swoją chlebobawczynię. Kochał się z nią w basenie, na skórzanym siedzeniu motocykla, w kuchni przy zimnych drzwiach lodówki. Nie czekał na jej orgazm. Zostawiał ją po osiągnięciu swojego, a rozkoszne upokorzenie krępowało ją jedwabnymi łańcuchami niewoli uczuć, tak jak to było zamierzone, aż sam jej umysł został więźniem, a wola była ujarzmiona. Przez dwa straszliwe, cudowne tygodnie ciągnęła się ta tortura, kompletnie wytrącając Melisse z równowagi.

Odetchnęła głęboko, prażąc w słońcu swe wspaniałe ciało. Podskakiwała słysząc najlżejszy dźwięk. Każdy hałas sprawiał, że ślina napływała jej do ust. Każdy trzask gałązki, trzeszczenie mebli odkręcało w niej kapryśną fontannę. Czuła się jak pies Pawłowa, a Tony Valentino nie był już jej dzwonkiem. Wystarczała myśl o nim. Lecz jednocześnie Melissa Wayne miała zasoby siły. Igrała z granicami nałogowej miłości, lecz jeszcze do nich nie dotarła. Była najtwardszym ze wszystkich stworzeń, sławną aktorką z Hollywoodu. I część jej nadal potrafiła powiedzieć nie. Na razie odpowiadała jej ta gra w obsesję. Skończyła właśnie jeden film, a nie zaczęła jeszcze drugiego i lubiła wykorzystywać krótkie wakacje na taką czy inną ekspansję ciała i ducha. Stanowiły one żywotny element jej życiowych doświadczeń i żadna aktorka nie mogła sobie pozwolić na rezygnację z nich. Repertuar powinien obejmować jak największe bogactwo ról. A zatem, choć Tony Valentino zawisnął nad nią jak duch w operze, w pewnym stopniu grała rolę niewolnicy miłości, a nie tylko nią była. Wyniknął z tego jeden dziwny, choć nieodparty skutek. Część osobowości Melissy Wayne nigdy nie przebaczy Tony'emu Valentinowi tego, jak ją potraktował. Jej ciało może pożądać jego namiętności. Umysł przysiągł zemstę. Kiedyś tam, gdy przyjdzie właściwa pora, gwiazda uka-

rze to zero za obrazę majestatu. Można tego dokonać przez upodlającą zmianę ról, kiedy to Tony zostanie zmuszony do zagrania roli, w której ją obsadził. Bardziej prawdopodobne będzie to, iż zemsta przybierze inną formę. Melissa po prostu go zniszczy. Nie ma w tym nic osobistego. Lubi po prostu wykorzystywać swą władzę. Miło będzie wymazać go i patrzeć, jak cierpi. Zabawnie musi wyglądać Tony płaczący, gdyż rozpadł się jego świat, a bliskich spotkały nieszczęścia. Melissa z rozkoszą będzie się przyglądać, jak umierają jego marzenia i płonie dusza, jak to, co w nim najistotniejsze, więdnie i ginie jak liść w piecu. Tak, winien zdać sobie sprawę, że w każdej grze z Melissa Wayne stawki są wysokie. Serce jej biło szybciej, gdy rozważała, jakich kłopotów może narobić chłopcu, który ośmielił się być jej sadystycznym kochankiem. Zadzwęczał interkom przy łóżku, na którym się wygrzewała. Podniosła słuchawkę.

— Do diabła! Zapomniałam. Przyślij ją na basen. Aha, i przynieś kawę, a gdzieś za godzinę szampana.

Cisnęła słuchawkę i sięgnęła po aksamitny szlafrok kąpielowy. Rany boskie. Też pora na wywiad. Ale czy w ogóle jakaś pora jest dobra? Usiadła i naciągnęła na siebie szlafrok, gdy tymczasem z mroku domu wydobyła się drobna, zdecydowana postać.

Emma Guinness przemaszerowała po trawie ku gwieździe. Miała na sobie sukienkę o kwietnym wzorze, a w zetknięciu z jego ogromnymi rododendronami karłowaciało wszystko, cokolwiek można by znaleźć w przyrodzie. Dwa nadnaturalnej wielkości kwiaty usiłowały przykryć ogromne piersi, a nieszczęsny wzór występował też na ohydnych butach. Emma potknęła się o polewaczkę, lecz choć o mały włos nie upadła, nie odrywała wzroku od celu wyprawy.

—Hej — powiedziała radośnie.

—Hej — przyznała Melissa z mniejszym entuzjazmem.

—Przepraszam, że przyszłam za wcześnie — rzekła Emma, krążąc; nad Melissa jak ludzki bukiet.

—Właściwie na śmierć zapomniałam o twojej wizycie — oznajmiła Melissa, która na początku wywiadu lubiła podkreślić swoją wyższość, Później może wdzięcznie się zniżyć do poziomu pytającego. Zaczynać należy z wysoka.

—Przyszłam nie w porę?

—Nigdy nie ma dobrej pory na wywiad, ale nie, w porządku. —Melissa roześmiała się, by pozbawić swe słowa żądła.

Wskazała jej krzesło obok siebie, a Emma opadła na nie z notatnikiem na bujnym łonie, słońce Beverly Hills groziło zwiędnięciem jej kwiatom.

—Jak się miewa Tony Valentino? — spytała Emma Guinness.

—Co takiego?! — wykrzyknęła Melissa.

—Słyszałam, że się widujecie. — Emma Guinness nigdy nie grała drugich skrzypiec. Wiedziała, że jej pytanie zmusi Melisse do zajęcia pozycji obronnej.

—Mam nadzieję, że ten wywiad jeszcze się nie zaczął — rzekła zimno Melissa.

—Nie, oczywiście, że nie. Jeszcze nic nie notuję. Spytałam z własnej ciekawości. Fascynuje mnie to, jak taki typunio zdołał zająć tak daleko w tak krótkim czasie.

Twarz Melissy rozluźniła się w uśmiechu. Ta Guinness wносиła coś świeżego. Takie odsłanianie się zupełnie nie było w stylu Hollywoodu. Nieprzychylne uwagi o chłopaku Melissy Wayne to niebezpieczna gra. Guinness nie mogła wiedzieć, że Melissa skłonna jest podzielać wyrażone przez nią uczucia.

—Myślisz, że Valentino to typunio? — rzekła Melissa. — Przecież pisma z artykułami o nim sprzedają się jak świeże bułeczki, ma wyjątkowe recenzje na Broadwayu i uratował życie miliarderowi.

—Wiesz, ma świetne ciało, forsa załatwiła recenzje, a życie uratował Lathamowi przez przypadek. Owszem, ma pewne zdolności aktorskie. Ale znasz ten biznes. W tym miesiącu jest wszędzie. W przyszłym już nie.

Gdy Emma wypowiadała te słowa, twarz jej się wykrzywiła. Nie mogła ukryć goryczy. Melissa roześmiała się.

— Nie jestem pewna, czy masz rację. Zdaje się, że będzie występował w filmie Melissy Wayne.

Nagle twarz Emmy Guinness przybrała kolor sukni. Była biała.

— Co?

Melissa uśmiechnęła się widząc, jaki efekt wywarły jej słowa. Możliwe, że Emma Guinness wydaje cieszący się największym powodzeniem spośród magazynów Lathama. Zdobywanie informacji nie było jednak najmocniejszą stroną tego przedsiębiorstwa. I co, do diabła, zrobił Tony, że wzburzył tę kwiatową grządkę? Coś absolutnie nie do powtórzenia, bez dwóch zdań. Melissa zaczęła odczuwać uciechę. Kto z kim przeprowadzał wywiad?

— Tak, to właściwie tajemnica, ale skoro pracujesz dla Lathama, chyba mogę ci powiedzieć. Planuje serię nowych filmów w Cosmosie, a pierwszy ma być z Melissa Wayne w roli głównej, z Tonym Valentinem na drugim planie. Wbił sobie do głowy, żeby ta lesba Pat Parker była reżyserką, ale to odkręcę.

— Nie możesz do tego dopuścić — wykrztusiła Emma.

Brwi Wayne wygięły się w wysoki łuk. Normalnie ludzie nie pouczali jej, co ma robić, a czego nie.

— Chodzi mi o to, że absolutnie nie powinnaś ryzykować kariery, występując w filmie z kimś zupełnie nieznanym, jak Tony, a zwłaszcza z Pat. Wiesz, byli razem...

Z oczu Emmy biło przerażenie. Tony jako bohater entuzjastycznych recenzji to jedna sprawa. Tony jako rozrywany aktor z Broadwayu to druga. Lecz Tony jako gwiazda filmowa to coś zupełnie innego. Do tego nie można dopuścić. Nie wolno.

— Mam wrażenie — rzekła wyniośle Melissa — że raptem jeden filmik nie „zagrozi” mojej karierze. W każdym razie wydaje mi się, że Tony będzie bardzo dobry w tej roli. Została dla niego stworzona. To, co się dzieje między nami, jest... no, interesujące. Film opowiada o młodym, niedoszłym aktorze, który szaleje na punkcie poznanej w Malibu znanej aktorki. Uważam, że dla Tony'ego to małe piwo, a wątek młodszego mężczyzny i trochę starszej kobiety ma wielkie wzięcie. Myślę, że to wyjdzie. Moja kasa na pewno się otworzy. To będzie pierwsza produkcja odnowionego studia. A zatem nie będzie oszczędności na reklamie ani kłopotów z dystrybucją. Billy Diller zrobił seksowny scenariusz. Można było pójść dalej, ale to się da wyprostować na planie.

Jakby dla podkreślenia tego aspektu transakcji, Melissa odrzuciła szlafrok i wystawiła ciało na słońce. Oczy Emmy przesunęły się po nim z zazdrością. To jeszcze jedno pole, z którego plon zebrał Valentino. Tamte ręce dotykały tego ciała. Te biodra ocierały się o jego biodra. Czy jest tu teraz jego nasienie, spuścizna namiętności zeszłej nocy? Poruszyła się na krześle, wyprowadzona z równowagi tą myślą, a w jej głowie zaczęła dźwięczeć muzyka Wagnera. Boże, nie „Pierścień”.

Niedobrze, że to usłyszała. Melodia była tak rzeczywista. Nie jak piosenka, która chodzi po głowie, motyw muzyczny kołaczący się po mózgu. To tak, jakby zestrzała się cała cholerna orkiestra. Psychiatra w Londynie bardzo zainteresował się tą orkiestrą, zwłaszcza że grała najgłośniejsze, gdy coś Emmę zdenerwowało. Za-

stanawiał się, czy to nie omamy słuchowe, i zapisał jej lekarstwo na uspokojenie — fiuanxol. Poszła do starego pierdoły, żeby zapisał jej coś na sen, a ten dureń to jej zaproponował. Ale tabletki pomogły. Szkoda, że nie przywiozła ich ze sobą do Ameryki.

—To może zrobić z niego gwiazdę — rzekła Emma Guinness głosem pełnym przerażenia.

—Czy to ważne? Masz coś przeciwko niemu? Nie jest zbyt miły dla kobiet. — Melissa wydawała się rozbawiona, lecz jej głos był miękki i zachęcający. Ze zręcznością wybornej aktorki dawała do zrozumienia, że ewentualne zwierzenia Emmy trafią do współczującego i bynajmniej nie bezradnego ucha.

Emma przechyliła głowę na bok, podchwytyjąc tę sugestię. „Pierścień” stał się „Tannhäuserem”, głośnym i natrętnym, rogi niebezpiecznie ryczały jej w głowie.

— Kiedyś wstrętne zachował się wobec mnie — rzekła wreszcie.

—Czasami próbuje tego ze mną — rzekła Melissa, wygłaszając nieudomówienie tygodnia. Miała na tyłku siniaki od jego palców. Na myśl o tym nerwowo obliżała wargi.

—Naprawdę? — powiedziała Emma ostrożnie, usiłując ukryć przebijającą w jej głosie nadzieję. Dwie zajmujące ważną pozycję kobiety zostały źle potraktowane przez mężczyznę. Na takiej bazie tworzy się złowrogie przymierza. Jedno nie ulegało wątpliwości. Emma i Melissa pracujące ręką w rękę mogłyby doprowadzić Valentina do łez. „Tannhäuser” rozbrzmiewał teraz głośniejszymi, jego tony majestatycznie wznosiły się w jej głowie. Pragnęła niemal dyrygować tą muzyką.

—Czasami — rzekła Emma cicho spomiędzy dźwięków Wagnera — marzę, żeby mu się odplącić.

—Zastanawiałaś się przypadkiem, jak to zrobić? — spytała Melissa z niewinnością anakondy.

—To tylko marzenia — roześmiała się Emma niewesoło. — W przeciwieństwie do ciebie nie mam nad nim żadnej władzy.

— Władzy? — rzekła Melissa.

— Tak, najwyższej władzy. Jesteś gwiazdą. Tym, kim on nade wszystko chciałby zostać. Możesz go zablokować. Mogłabyś zrujnować jego karierę filmową, zanim jeszcze się zacznie... gdybyś tylko chciała.

— Mówisz o filmie, który mamy razem robić.

—Właśnie — roześmiała się Emma.

—Cha, cha! — zaśmiała się Melissa. — To byłoby zabawne. Zgodziły się, że to świetny dowcip. Nie padło ani jedno słowo.

Niczego sobie nie obiecywano. Nie poczyniono żadnych zobowiązań. Po prostu dwie dziewczyny śmiały się ze złośliwego chłopca, któremu trochę przewróciło się w głowie. Nic więcej. Nic mniej. Akurat!

— Byłoby naprawdę zabawnie — chichotała Emma — gdyby Pat Parker musiała reżyserować namiętną scenę miłosną między tobą i Tonym. Wariuje na jego punkcie, a on chyba w dalszym ciągu coś do niej czuje. Możesz to sobie wyobrazić?

Uśmiech Melissy ochłódł. Tak, Valentino prawdopodobnie wciąż kocha tę fotograficzkę z artystycznymi fumami. Sposób, w jaki traktuje Melisse, nie ma nic wspólnego z miłością, a dużo więcej z niesmakiem. Można by pomyśleć, że karze ją za jej rolę żeńskiego symbolu seksualnego. Upokarzając ją, Valentino mści się na wszystkich kobietach, a być może szczególnie na Pat Parker, z którą jest ciągle głęboko związany mimo głupich sprzeczek zakochanych. Pat Parker. Co ta dziwka jej powiedziała na jachcie Lathama? „Może spłynęłaś na promieniu z krainy fantazji.” Jakby tego było mało, kochała się z Valentinem na plaży. Mmmmm... Pat Parker zdecydowanie nie była jej ulubienicą. W sugestii Angielki, która wyglądała jak wieniec pogrzebowy, kryła się poezja.

Przyniesiono kawę, lecz Melissa Wayne miała już ochotę na szampana. Powiedziała to i wcale nie była zdziwiona, że Emma Guinness również wyraziła na niego ochotę. Wywiad pozostawał aktualny, ale nie był już ważny. Liczyło się tajemne porozumienie.

— No dobrze, Melisso, więc co chcesz, żebym napisała o tobie w moim piśmie? — spytała Emma.

— Cokolwiek twoje pismo chce o mnie napisać — odparła Melissa. I obie roześmiały się w promiennym słońcu Beverly Hills, ponieważ

wzajemnie otrzymały od siebie dobre wieści, wieści, które okażą się bardzo złe dla Tony'ego Valentina i Pat Parker.

Dotrzymujesz obietnic, prawda? — Pat Parker usiłowała przekrzyczeć hałas silnika helikoptera.

— Tylko jeśli są rozsądne — bardzo wyraźnie wyrzekł Latham, odmawiając współzawodnictwa z rykiem silnika. Wsunął rękę w dłoń Pat i oboje patrzyli,

jak helikopter osiada na pochyłym terenie, powiew od śmigieł rozburzał im włosy i chłodził twarze. Pilot wyłączył silnik. W kanionie zapadała cisza. Drzwi otworzyły się i w ciągu paru sekund pasażerowie schodzili po schodkach na jasnoczerwony, świeżo wyrównany spychaczami pas do lądowania. Rozglądali się wokół, przyzwyczajając się do nie znanego sobie otoczenia gór, gdzie nie było śladów ludzkiego życia. Mieli ze sobą teczki, kamery, notatniki, i z właściwą temu gatunkowi kruchą dobroduszością udawali, że czują się jak u siebie w domu, choć wcale tak się nie czuli. Też miejsce na konferencję prasową — wbite wysoko w niebo, tak bliskie cywilizacji, a jednak tak od niej dalekie. Latham niech lepiej wywiąże się ze swojej obietnicy, że ma bombowe wiadomości. Jeśli ich choć trochę zawiedzie, będą mieszać go z błotem przez cały następny rok — mimo gratysów i datków, łapówek i mnóstwa dziwek i facetów, i wszelkich innych nacisków i zachęt, których Latham nie szczędził czwartemu stanowi — dziennikarzom.

Dick Latham podszedł ku nim. Z tyłu Tommy Havers przeglądał notatnik. Konferencja prasowa na szczycie góry przebiegnie jak w zegarku. Był to piąty przylot tego ranka, spodziewano się jeszcze dwóch. Pół mili dalej na wzgórzu pięćdziesięciu dziennikarzy już zalewało się krugiem i burbonem w czymś w rodzaju namiotu, wyższego z jednego końca — takiego namiotu prawdziwy Beduin za nic nie chciałby opuścić. Zdaje się, że stawili się wszyscy co do jednego, i to nie tylko z Kalifornii. Licznie przybyli też przedstawiciele pism o zasięgu krajowym, a nie było łatwo ich tu ściągnąć. Havers balansował między zaostżaniem apetytów steranej prasy i zdradzeniem tajemnicy. Na szczęście przez lata nie zdefraudował kapitału wiarygodności i dziennikarze przekonali się, że można mu ufać. Nawet NBC przysłała ekipę. Przy pewnej dozie szczęścia zaciśnięta szczęka Brokawa będzie musiała zakomunikować światu to, co pragnął usłyszeć Latham.

—Cześć, Lawrence. Jak przeszła podróż? — Latham zawołał do pismaka z *Wall Street Journal*, którego rozpoznał. Dziennikarz zmrużył oczy w słońcu i obejrzał się podejrzliwie. Nie przejął się specjalnie tym, że akurat jego wyróżnił miliarder swą uwagą. Przed paroma laty dostał Pulitzera, a w amerykańskiej hierarchii pisarze, którzy otrzymali tę nagrodę, nie ustępują nikomu. W każdym razie jedno nie ulegało wątpliwości. Wyprawiając taką fetę Latham przyznawał, że czegoś potrzebuje. A zatem to pismakowi z *Journal* będą się podlizywać, nie on będzie podlizuchem.

—Mam nadzieję, że nie chodzi tu o jakieś pieprzenie o ochronie środowiska — powiedział z groźbą w głosie.

Latham roześmiał się. Gdybyż wiedzieli!

— Nie, Lawrence, śmiało mogę powiedzieć, że nie ma to nic wspólnego z ochroną środowiska, i chciałbym, żeby już tak pozostało.

Havers zaganiał prasę w kierunku tria dżipów, które po półmilowej, wyboistej drodze zawiozą ich do markizy na górskim wierzchołku. Pat kopnęła czerwoną ziemię.

— Tu masz zamiar zbudować dom? — spytała. — Teren jak cholera. Odpowiadając Latham unikał jej spojrzenia.

—Tak, jest spory — rzucił wymijająco. Przed końcem dnia będzie znała prawdę. Jak się wówczas zachowa? Sądzi, że celem konferencji prasowej jest publiczna reinkarnacja Cosmosu oraz wyjawienie szczegółów dotyczących nowych filmów, między innymi i tego, który ona ma reżyserować. Nie wiedziała, że dynamit zarezerwowano na pointę. Prawdziwa sensacja dotyczyć będzie ulokowania studia. Stanie tu wszystko: studia z towarzyszącymi im budynkami z przodu i z tyłu, garderoba, rekwizytornia, biura producentów — całość ta szczęśliwie zagnieździ się pośród pięknych niegdyś wzgórz Malibu, które Alabama przez całe życie starał się chronić. Nie trzeba będzie tego szczególnie deklarować. Te gryzpiórki mogą wyglądać jak kupa zwykłych przeciętniaków, ale mają nosy wybrednych kiperów, jeśli idzie o wyniuchanie informacji, mogącej zwiększyć sprzedaż gazet, w których pracują. Gdy tylko znajdą się na autostradzie, zatelefonują do swoich redakcji i sprawa nabierze rozgłosu. Następną osobą, którą zawiadomią, będzie Alabama, przyjaciel i mentor Pat Parker. Będzie to czas podjęcia decyzji przez dziewczynę, której ciało czuł jeszcze na swoim. Z jednej strony znajdzie się przyjaciel, którego podziwia, wysokie normy moralne, przyroda, którą uwielbia teraz fotografować. Z drugiej będzie miliarder, z którym spała, i wspaniała kariera w filmie, którą może przed nią otworzyć lub zamknąć jak okładki książki. Uśmiechnął się ponuro, nakreślając sobie w głowie jej dylemat moralny. Którą drogę wybierze? Z dreszczykiem zdziwienia zdał sobie sprawę, że go to obchodzi.

—W jakim stylu masz zamiar go zbudować? — spytała Pat.

Do diabła! Znowu ten dom, dom, który będzie studiem dźwiękowym.

— Chodź — rzekł Latham, śpiesząc ku jednemu z dżipów. — Powinniśmy dołączyć do reszty. Melissy nie można zostawiać samej ani na moment, bo

inaczej zrobi scenę, a Bóg wie, co Tony powie dziennikarzom — podejrzewam, że coś nieprzyjemnego, nierozważnego i niestosownego.

Widział, jak mrugnęła, gdy zagrał kartą Tony'ego. Gdy rzuci ją na stół, wszelkie zainteresowanie dyskusją architektoniczną powinno zniknąć. Tak się też stało.

—Spełniłeś marzenia Tony'ego. Czy dlatego, że uratował ci życie?

—Czy zawsze musi być powód? Nie wydaje ci się, że będzie dobry do tej roli? Bo ja myślę, że tak. Zdawało mi się, że ty też tak myślałaś.

Mówił ostro, by podkreślić, że ocenia sprawy obiektywnie, że jest biznesmem, facetem, który nie dopuszcza wpływu czynników osobistych na ważne decyzje. Pat roześmiała się, by pokazać, żeby nie wciskał jej kitu.

— Słuchaj, Dick. Ma niesamowity talent. Lecz dookoła jest mnóstwo takich aktorów. Ditto reżyserów. Podejmujesz ryzyko i wszyscy o tym wiedzą. Mnie akurat wydaje się, że masz rację i że nie zawiedziemy twojego zaufania, ale w tej sprawie improwizujesz. Musisz mieć po temu powody. Osobiste.

Ścisnęła go za ramię, jak mogłaby to uczynić kochanka. Bynajmniej go nie kochała. Nie była nawet pewna, czy go lubi. Ale przebywała z nim blisko. Pamiętało to jej ciało.

Dick roześmiał się skruszony. Uczucie, że ma przy sobie kogoś, kto potrafi przejrzeć go na wylot, było dla niego czymś nowym. Normalnie mogłoby to być irytujące... i niebezpieczne. Z Pat Parker było to zabawne... i niebezpieczne.

— Widzisz, motywacja jest sprawą dość tajemniczą mimo to, co opowiadają psychogaduły. Owszem, sądzę, że wykorzystuję Tony'ego i ciebie z powodów niekomercyjnych. Przypuszczam, iż chcę pokazać wszystkim i sobie, że jestem w stanie tego dokonać. Robienie filmów ma być niby wiedzą ścisłą, ale naprawdę w grę wchodzi dym i zwierciadła. Uważam, że nie gorzej niż inni potrafię przewidzieć, czy coś chwyci, czy nie. W porządku, mogę mieć gwarantowaną premierę, biorąc Cruise'a, Hanksa czy Murphy'ego, ale przez to nie stanę się bohaterem, będę tylko bankierem z megaforsą. A zresztą premiera nie stanowi gwarancji, że film chwyci. Jeśli mój show, nasz show się uda, będę jedyny na tej planecie, który to przewidział. Jasne, że to cholerne ryzyko, ale są widoki na sukces, i mam tylko tę jedną szansę. To pierwszy film na koncie odnowionego Cosmosu. Dystrybutorzy, recenzenci, nawet publiczność będą musieli powściągnąć zdrowy rozsądek i spróbować uwierzyć tylko ten jeden raz. Współczynnik ciekawości okaże się fenomenalny. Przynajmniej będziemy mieli próbkę. To wyjdzie w praniu. Jeśli

zrobię coś wspaniałego, zostanę gwiazdą. Jeśli nie, wyjdę na bogatego głupka, który udał się do Hollywoodu po to, by przewietrzyć gruczoły i ego. Tak właśnie lubię żyć. Ryzykownie, ale z ubezpieczeniem. Twoje umiejętności, umiejętności Tony'ego to moje tajne bronie. Nie oczekuję rewanzu w zamian za te informacje.

— A powinieneś. Mam zamiar odkryć na nowo gatunek filmowy. Mam zamiar pokazać światu, jak należy patrzeć. Ujrzą rzeczy, których nigdy nie widzieli — rzekła podekscytowana Pat.

Wspięła się na tył dżipa, podciągając długie nogi, błękitna drelichowa koszula rozchyliła się, ukazując niemal w całości nie przykryte stanikiem piersi. Dick Latham przełknął ślinę. Ten pokaz nagości był całkowicie niewinny, lecz podkreślał znaczenie jej słów. Odkrycie świata sztuki podglądania nagle znalazło się całkowicie w zasięgu możliwości Pat Parker.

Wyruszyli, podskakując, skrzypiąc, zakosami wznosząc się ku niebu. Pat milczała. Deklaracje to jedna sprawa. Dostarczenie gotowego towaru druga. Trzeba w siebie wierzyć, lecz jednocześnie wspomnienia minionych zmagających artystycznych, wciąż żywe w pamięci, wypunktowały trudności. Nowej pracy będzie się musiała uczyć w biegu. Będzie musiała dać sobie radę z Melissą Wayne, której reputacja intrygantki była równie znana, jak brak zaufania i nienawiść do kobiet. Będzie też musiała poradzić sobie z Tonym Valentinem — z jego drażliwą dumą, nienawiścią do niej, z przeszłymi cierpieniami, a także nieuniknionymi cierpieniami w przyszłości, gdyż przyjdzie jej reżyserować jego ekranową namiętność do kobiety, która poza ekranem była już jego kochanką. Istniała też Allison, której Tony zranił duszę, podobnie jak zranił ją jej. Dlaczego, na miłość boską, ktoś wsadził ją do tego filmu i dlaczego scenariusz wymaga popełnienia przez nią samobójstwa? Szlag by to trafił! Lepiej, by w tym przypadku życie nie naśladowało sztuki. A do tego przy robieniu filmów trzeba bezwzględnie przestrzegać terminów. Nie będzie pławienia się w luksusach niepokoju „zablokowania”, koniec z obijaniem się, bo zaspalo natchnienie. Będzie musiała trzaskać szpicrutą, a dzikie celuloidowe zwierzęta będą musiały skakać na rozkaz, jeśli cały ten kram ma się nie rozwalić z hukiem pośród łez i krwi. Zaczerpnęła więc głęboko oddechu i przywarła do boku dżipa, który groził wyleceniem z krętej drogi, a rozkoszny strach i pełne przerażenia podniecenie wypełniło całą jej istotę.

—*New Celebrity* wystartowało z wielką pompą — powiedział dziennikarz, odwracając się z przedniego fotela dżipa.

—Tak. — Dick Latham uśmiechnął się, jakby to był drobiazg. — W porównaniu ze starym jesteście sporo do przodu, jeśli chodzi o subskrypcje i akwizycję reklam. Idziemy jak burza, ale to jeszcze nic.

— Co Emma Guinness pokaże na bis po gołych facetach?

—Musisz ją zapytać. Będzie na lunchu. Pat okręciła się na fotelu.

—A co Emma tu robi?

Przeszło ją poczucie winy. Nie zapomniała spaceru po Broad Beach, kiedy to rozparzona Angielka przyznała się do swoich planów względem surfujących pływaków i Dicka Lathama — niekoniecznie w tej kolejności. Emma była jej przyjaciółką i zatrudniała ją za znacznie większym wynagrodzeniem, niż Pat sama siebie wyceniała. W zamian w „Canal Bar” Pat pozwoliła, by zalecał się do niej mężczyzna, o którego poślubieniu marzyła Emma. Nie trzeba było porucznika Colombo, by sklecić całość do kupy. Gdy Emmę na śmierć zanudzał Tommy Havers, Dick Latham czarował Pat swym wdziękiem. Oczy Guinness zwięzły się, rejestrując zniewagę, a choć nie mogła nic na to poradzić, Pat Parker widziała, jak z embriona rozrastał się wróg. Nie poprawiło to jej samopoczucia. Niebezpiecznie było rozgniewać Emmę Guinness. Pod demonstrowaną publicznie żartobliwą złością kryła się zdolność do nienawiści o rozmiarach góry lodowej. Pat obserwowała, jak się wynurza, gdy Emma mówiła o swych angielskich wrogach klasowych. Teraz Pat bez wątpienia stała się obiektem niechęci Guinness. Szybujące w nią strzały są tylko kwestią czasu.

— Emma lubi być tam, gdzie się coś dzieje — rzekł Dick.

—Lubi być tam, gdzie ty jesteś — poprawiła Pat. Jeśli Emma ma być przeciwniczką, pora zacząć pod nią ryc.

—Na to samo wychodzi — rzucił lekko Latham, któremu nieobcy był grzech dumy.

— Lepiej trzymajmy ją z dala od Tony'ego — rzekła Pat.

—Ciebie też — dodał ze śmiechem Latham. Jego odpowiedź celowo była dwuznaczna. Emmę z dala od Pat? Pat z dala od Tony'ego?

—Jesteśmy na miejscu — powiedziała Pat, ignorując niejasne stwierdzenie.

Dżip zatrzymał się z chrzęstem na samym szczycie świata. Na pochyłej platformie, na samym czubku górskiej grani, rozstawiono markizę. Roztaczał się stamtąd niezwykle malowniczy widok. Widać było Santa Barbarę, na zachodzie wybrzeża Cataliny, na wschodzie, za Kotliną, góry Santa Susana i San Gabriel; na

południu skrzącą się w słońcu zatokę Santa Monica. Był to nie kończący się widok, zapierający dech swym promiennym urokiem, a wzgórza, połyskujące w słońcu otoczką upału, chłodził na krańcach błękit oceanu. Niżej, w kanionie, lądował inny helikopter, a jastrzębie fruwały w prądach powietrznych, pikując i szybując ponad chaparralem w wyniosłej pogardzie dla intruzów, którzy zakłócili im spokój.

Z namiotu wydobywał się szum ożywionej konwersacji, gdyż trunki rozwiązały języki kupczącemu słowem bractwu. Nikt nie zwracał szczególnej uwagi na zapierający dech widok, choć boki markizy były podwinięte. Latham i Pat nurknęli między wojujących ze sobą dziennikarzy, za nimi pod przewodem Haversa zdążyły wylądowane z dżipów kolejne partie niezbyt świeżych reporterów.

Duży splot rozmawiających rozplatał się, ukazując w swym ośrodku Melisę Wayne, niezwykle ponętą w minispódniczce w cieniutkie prążki od Gaultiera i kurtce z miękkiej skóry.

—Hej, Dick! — wylewnie przywitała go Melissa. — Jak się masz, Pat? — odezwała się zupełnie innym tonem. Nie zapomniała starć na jachcie i w „Canal Bar”, lecz od tego czasu zdarzyły się różne rzeczy. Podpisała z Cosmosem kontrakt na film, który reżyserować będzie Pat. Użył jej i nadużył Tony, którego łączą jakieś związki z foto-graficzką. Ponadto Pat, a przypuszczalnie również i Tony zawarli jakieś tajemnicze porozumienie z miliarderem, co wyjaśniałoby jego niebezpieczną decyzję wsadzenia ich do swego filmu. Tworzyło to takie psychologiczne pole minowe, że ostrożne poruszanie się po nim stało się koniecznością. Później, gdy poniesie film na szerokiej platformie swego nazwiska, przyjdzie czas na gwiazdziste fajerwerki. Tymczasem swój zazwyczaj szybujący ku stratosferze temperament będzie musiała trzymać na poziomie morza.

—Cześć, Melisso. Bardzo się cieszę, że będziemy razem pracować — skłamała Pat. Rozejrzała się dookoła. Gdzie jest Tony? Ta dziwka pieprzyła się z nim. On pieprzył tę dziwkę. Którego z nich nienawidziła bardziej?

—Tony jest tam — odparła Melissa z psychopatyczną dokładnością.

Oczy Pat podążyły za palcem Wayne, jakby były do niego przywiązane sznurkiem. Natychmiast odrzuciła głowę do tyłu, zbyt późno zdając sobie sprawę, że jej uczucia wypisane są na twarzy.

Większość z tego wyraził uśmiech triumfu Melissy. „Pieprzę cię” — dopowiedziała resztę pełna obrzydzenia twarz Tony'ego, gdy napotkał wzrok Pat.

W odwecie wsunęła rękę w dłoń Dicka Lathama. Ja siedzę na worach z forsa, mówił jej gest.

Niemniej jednak się martwiła. Jak to, do diabła, zrobić? Będzie musiała zawrzeć pokój z Wayne ze względu na film. Będzie musiała naprawić stosunki z Tonym ze względu na... no, mniejsza z tym.

—Co sądzisz o scenariuszu? — zwróciła się Pat do Melissy. Proszę, skupmy się na pracy — mówiły jej oczy. Nie traćmy czasu na duperele. Zróbmy film, który będzie się długo pamiętał.

—Przecież podpisałam kontrakt. Jest w porządku. Nic wielkiego, ale zupełnie przyzwoity. Moją rolę można będzie porządnie przerobić.

Pat wstrząsnął dreszcz. Scenariusz „Malibu” nie był ustalony na mur — nie robi się tego z żadnym scenariuszem — lecz Melissa Wayne, dzierżąca pióro w dłoni, mogła przyprawić o zdenerwowanie.

Melissa Wayne zmieniająca własną rolę to przeżycie znacznie gorsze. Nie pora jednak, by z tym wychodzić. Przyjęcia dla prasy miały prezentować harmonię. Jeśli nie uda się jej sfabrykować w tym wczesnym stadium, katastrofa kosmicznych rozmiarów jest nieunikniona.

—A, jesteście — rzekła Emma Guinness. Uśmiechnęła się jak podopieczna ojca Damiena, opiekuna trędowatych. — Pat i Dick. Dick i Pat. Sami moi ulubieńcy. Jak się masz, Melisso? A gdzież jest wspaniała replika Jamesa Deana. Dąsa się pewnie gdzieś w kącie, obłożony przez kobiecych kamikadze, które widziały jego fiuta w *New Celebrity*. Ależ sukces odniosły te zdjęcia, nieprawdaż, Pat? Melisso, nie uważasz, że są wspaniałe? Wyobrażam sobie, że są prawie tak dobre, jak oryginał, ale nie jestem ekspertem. Na miłość boską, nie! Cha, cha! W tym względzie muszę ustąpić innym. Boże, ależ ubaw. Czas filmu. Wielkie przymierze. Sama esencja. A nam biednym dziennikarzom wolno krążyć po obrzeżach akcji. Ależ jestem podekscytowana. Za chwilę zemdleję.

—Możesz przynieść mi drinka, Emmo? — polecił ostro Dick Latham, nie zważając na znajdującego się o krok kelnera. — Aha, i przynieś łaskawie kieliszek szampana dla Pat.

Odprawa była bezwarunkowa. Nikt nie ważył się żartować z Dicka Lathama i jego przyjaciół, choćby zniewaga była ukryta nie wiem jak starannie pod płaszczykiem humoru. Gdy Emma zdała sobie sprawę, że się przeliczyła, szczekała opadła jej jak winda. Lecz w duszy czuła dziwne uniesienie. Czuła się dziwnie, pa-

trzymała na wszystko obojętnie, jak z innego świata. Jakby zasadniczo nic już nie miało znaczenia. Wszelkie intrygi, chytne plany spaliły na panewce. Przybyła, lecz nadal nie dostała się tam. Jej pismo odniosło wspaniały sukces. Była honorowym gościem Nowego Jorku. A jednak miała biegać na posyłki po drinki dla miliardera i jego dupy. Miała pieniądze, uznanie, pacholków na usługi, lecz umknął jej prawdziwy cel. Nie miała do niego bliżej niż do totalnej zemsty, której tak rozpaczliwie pragnęła. Jej wrogowie przeżyli i kwitli — wszystkie te znienawidzone angielskie dziewczęta, które ją upokorzyły, Tony Valentino — dla niego wymarzyła specjalne piekło, a teraz Pat Parker, porywaczka góry forsy, którą Emma zamierzała posłubić. Błyskotliwość nie wystarcza. Zwyczajna brutalność nie prowadzi do celu. Grając według reguł, choćby nie wiem jak dobrze, nigdy nie wygra. Świadomość tego spłynęła na Emmę jak fala na samotnej plaży. By przeprowadzić swe plany, będzie musiała zwiększyć stawkę. Nie ma już miejsca na umiarkowanie. Drastyczne sytuacje wymagają drastycznych rozwiązań. Od tej chwili nie będzie ich unikać. Podpisze swój osobisty pakt z diabłem i zapłaci bez względu na cenę. Uśmiechnęła się zatem, by ukryć zło, które tak nagle wypłynęło z jej duszy, i weszła w tłum, aby przynieść kielichy trucizny dla wrogów, których zniszczy.

— Dick! — Ton głosu Pat mówił, że Latham posunął się za daleko. Uśmiech na jej wargach świadczył, że to o wiele za mało.

Odwzajemnił jej uśmiech, dumny ze swego okrucieństwa, bezpieczny dzięki swej sile. Ludzie ze Wschodniego Wybrzeża tacy nie byli. Jawna bezwzględność to specjalność Los Angeles. Na zachodzie brutalność to instrument do pomiaru średnicy męskich jaj. Lecz Dick Latham dostosował się już do skrajności w życiu. Wszedłszy między wrony zakrakał je.

—A więc, Melisso, strasznie się cieszę, że udało nam się namówić twojego agenta, by pozwolił ci zagrać w naszym filmie — rzekł Latham. Uśmiechnął się ze swego konceptu. Gdy stary nietoperz zobaczył czek, omal nie zwałił go zawał.

—To będzie sama przyjemność — rozplýwała się Melissa. Uśmiechała się — uwodzicielsko do Lathama, złośliwie do Pat. „Przyjemność” brzmiała jak to, co koty sprawiają myszom. — Gdzie kręcimy? Chyba tu, w Malibu.

—Plenery tak. Dopóki nie zbudujemy nowego studia, wewnątrz kręcimy w Universalu. Mam umowę z szefem studia.

—A w którym miejscu na pustyni chcesz zbudować nową wytwórnię Cosmo-su? — spytała nagle Pat.

—Tak, tak — rzekł Latham, zacierając ręce, by ukryć niestosowność swej reakcji.

—Gdzie? — indagowała ostro Pat. Zaczęło ją nękać złe przeczucie.

—Ten temat chciałem zachować na konferencję prasową — rzekł Dick Latham po brzemiennnej pauzie.

Pat nachmurzyła się. Odwrócił od niej wzrok. Coś ukrywał.

— Chyba powinniśmy trochę zmieszać się z tłumem — powiedział. — Rozgłosić święte słowa, jacy to jesteśmy wspaniali. Pamiętajcie, to okręg Los Angeles. Niedomówienie jest oznaką niezrównoważenia umysłowego. Gdy zamawiacie na cudzy koszt, nie zapomnijcie podać swojego kodu. Miejscowi i tak dzielą wszystko przez sześć. Powiedz prawdę, a pomyśl, że jesteś wartością ujemną.

Roześmiał się promiennie i zniknął w tłumie.

—Czyż nie jest wspaniały? — zaśmiała się Pat.

—Czyż nie jest bogaty? — odparowała Melissa.

—Słuchaj, Melisso. Musimy razem pracować — rzekła Pat, biorąc byka za rogi. — Spróbujmy się zaprzyjaźnić, przynajmniej na czas trwania filmu.

— Zaprzyjaźnić! Zaprzyjaźnić? — Melissa obracała to słowo na języku, jakby było nieprzyzwoite. — W moim życiu są dwa rodzaje ludzi. — Uśmiechnęła się szyderczo. — Ci, których nie lubię, i ci, z którymi idę do łóżka. Czasami zachodzą na siebie.

Pat potrząsnęła głową, jakby sprawa była stracona. Wysunęła podbródek. Jeśli Wayne chce twardej walki, będzie ją miała. Brutale często lepiej reagują na kij niż na marchewkę.

— Czy Tony Valentino zachodzi?

Melissa Wayne odrzuciła głowę do tyłu. Policzki jej poczerwieniały. Szlag by to trafił. Tę część swojego życia starała się trzymać w ukryciu.

—Pilnuj własnego nosa — odrzekła. Odwróciła się i odeszła, jednocześnie przerzucając w myśli plany, jakie porobiła dla pięknego chłopca, który ośmielił się ją znieważyć.

—Pani kieliszek, madame. — Głos Emmy przesycony był sarkazmem. Wyciągnęła kieliszek szampana ku Pat.

Pat zastanawiała się, czy przeprosić Emmę za grubiaństwo Lathama, lecz błysk w oku Guinness powiedział jej, by nie zaprzętała sobie tym głowy. Oznaka słabości mogłaby pogorszyć sprawy.

—Dziękuję, Emmo — rzekła, sięgając po kieliszek. Szampan nie dotarł do jej wyciągniętych palców. Emma rzuciła się do przodu udając, że przechodzący kelner potrącił ją z tyłu. Krug wylał się z kieliszka, jak to było zamierzone, ochlapując Pat rękę, nadgarstek i nadruk Johna Richmonda na długim rękawie koszuli.

—Strasznie mi przykro. Chyba nigdy nie będę dobrą kelnerką — zadeklamowała teatralnie z twarzą wykrzywioną uśmiechem. — Gdzie Dick? Czyżby pan i władca opuścił swoją kochankę?

W brzuchu Pat zapłonęły ognie.

— Emmo, nie pieprz bzdur. Między tobą i Dickiem nic nie ma. Pracujesz dla niego, to wszystko. Jeśli coś tam było, to tylko w twojej głowie. I lepiej niech tam zostanie.

Potrząsnęła głową w górę i w dół, by strząsnąć szampana. Boże, ta dziewczyna była jak kameleon. Śmieszna, błyskotliwa i zabawna... i nagle robi się z niej coś takiego.

—Ty też dla niego pracujesz, Pat. Nie zdawałam sobie tylko sprawy z tego, że robisz to w pozycji horyzontalnej. Ta robota też ma swoją nazwę. Bezsprzecznie nie jest to fotografowanie — zaczyna się na „p”.

—Uważaj, Emmo. Zaczyna być widać twoją brzydotę. Chodzi mi o twoją brzydką duszę. — Pat przebiegła wzrokiem po horrendalnej katastrofie z purpurowego jedwabiu, wyszywanej dżetami marynarce i koszuli, która dla Emmy stanowiła krawieckie hasło dnia.

Emma Guinness zaczęła się kurczyć. Zacisnęła pięści. Kolor odpłynął z jej zaczerwienionej od szampana twarzy. Wargi zrobiły się wąskie i złe. Zrozumiała. Był to przycinek do jej gustu. Przez lata wytworzyła się w niej alergiczna nadwrażliwość na tego rodzaju przytyki. Przeglądała przetwarzacz słów, jakimi był jej umysł, w poszukiwaniu właściwej obelgi, lecz posunęła się już poza sferę języka. Ta dziwka ośmieliła się jej naurągać, wrzuciwszy przedtem ciężki klucz w delikatną maszynę przyszłości. Wszystkie dawne nienawiści złożyły się teraz w stojącą przed nią kupkę mięsa i kości. Pat stała się Victoria Brougham i angielskimi wrogami z *Class*. Stała się Tonym Valentinem i absolwentkami Nantucket i Vassar z dawnej *Celebrity*. Była całym światem, który istniał tylko po to, by krzyżować plany Emmy Guinness i odmówić jej należnego miejsca w słońcu. Rozmowa dudniąc odpłynęła z głowy Guinness. W mózgu grzmiał Wagner. Nic już nie wydawało się rzeczywiste. Były tylko krwistoczerwone kolory, ostre przenikliwe

zapachy, a na czubkach jej palców, wymalowane na kolor statku kosmicznego, paznokcie dźwięczały jak pazury osaczonego tygrysa. Mogłaby rozerwać tę dziewczynę na strzępy. Zanim oderwaliby ją od drgającego ciała, tak rozorałaby jej policzki, że chirurgia plastyczna na nic by się już nie zdała. Tak przyjemnie byłoby orać krwawiące bruzdy, po szekspirowsku wyłupić oczy, słuchać wrzasków powalonego „przyjaciela”. Ku temu właśnie zmierza. Nie obchodzą jej już tanie, chytre uwagi. Nadawały się dla głupich, ucywilizowanych ludzi, którzy przestrzegali reguł gry. Emma zaś była czarna jak noc, sprzymierzona z diabłem i jego tajemnymi knowaniami. Oczywiście, że jest szalona. Ale panuje nad swym szaleństwem. I w tym cała tajemnica. Aby stać się nadczłowiekiem, trzeba się wznieść ponad konwencje. Trzeba mieć szalone marzenia i ośmielić się na dokonanie straszliwych czynów. Nie trzeba lękać się kary, gdyż nędzna zemsta społeczeństwa jest bezbolesna w porównaniu z męką nieposiadania wszystkiego, czego się chce. Nareszcie jest wolna. Płynąc nieskrępowanie w lodowatym jeziorze czystej nienawiści, w momencie szalonej epifanii, Emma Guinness ochłoneła.

— Przepraszam — rzekła. — Nie chciałam tego powiedzieć. Chyba za dużo wypiałam.

Pat, zdumiona, usiłowała nadażyć za zmianą jej nastroju.

—W porządku. -Rozumiem. Nieważne. — Zdobyła się na blady uśmiech.

—Szkoda, że nie ma tu Dicka. Byłby zachwycony tą małą pogawędką. —

Emma Guinness roześmiała się. Jej urok powrócił. Trujący gaz, który wydobywał się z moczarów jej jaźni, rozwiął się na wietrze.

Pat ledwo mogła uwierzyć w tę zmianę osobowości. Rozum kazał jej odłożyć to na stronę. Jedno nie ulegało wątpliwości. Emma Guinness była bliska jakiegoś załamania. Umysł miała błyskotliwy, lecz psychika leżała w gruzach. Była straszliwie chwiejna, a jednak nikt, kto nie był świadkiem jej wybuchu, nie uwierzyłby, że może stać się aż tak niebezpieczna. Czy powinna ostrzec Lathama? O, do diabła, nie! Nie będzie wierzył jej motywom. A zresztą Latham tyleż potrzebował ochrony, co pająk czarna wdowa przed swym partnerem.

Teraz jednak wyciągnie gałązkę oliwną.

—Słuchaj, Emmo. Wiesz, Dick i ja naprawdę nie jesteśmy... razem. To znaczy...

—Załatwiłaś to trochę lepiej niż sracz w chmurce nad Win-sconsin. — Emma roześmiała się, marząc o promieniach śmierci, wężąc krew.

—Mniej nowatorsko. Bardziej przyziemnie. — Pat roześmiała się, snując wizję kaftanów bezpieczeństwa, ludzi w białych kitlach, strzykawkę z thorazyną.

—Cześć, Pat. Cześć, Emmo. Pamiętacie mnie? Allison Vanderbilt. — Allison Vanderbilt nie wyglądała na kogoś, kogo łatwo można by zapomnieć, nie sugerował tego również ton jej głosu. Jej chłodna uroda prezentowała się pięknie w kremowym kombinezonie od Alaia, a ostentacyjnie skromne obejście było bronią klasową, którą nosiła jak pałkę.

—Jak się masz, Allison. Cudownie, że tu jesteś — rzekła Pat, wdzięczna za przerwanie rozmowy. — Czy to nie wspaniale, że bierzesz udział w naszej imprezie? Bardzo mi się podoba twoja rola. Będziesz doskonała. Czy twoja rodzina jest zadowolona?

Dziwnym trafem rodzina Vanderbiltów to temat, który unosił się wokół Allison jak poświata.

—Och, uważają, że to wspaniały dowcip. Wydaje mi się, że mama jest w gruncie rzeczy pod wrażeniem. Jest napalona na Sylvestra Stallone i wyobraża sobie, że go zaproszę. Tatuś ciągle chwali się jakąś gwiazdeczką, którą kiedyś w epoce kamiennej zabierał do „El Moroc-co”, a teraz grozi, że zmieni ciepłarnię w salę kinową. Ostrzegł mnie przed załatwianiem sobie roli przez łóżko.

—Wspaniale, że jesteś taka szczęśliwa — rzekła Pat.

—Widziałaś Tony'ego? — spytała Emma Guinness, z natury przeciwna wszelkiemu szczęściu.

Przelotny wyraz bólu w rysach Vanderbilt był jej nagrodą.

—Owszem, jest tam. Tak się cieszę, że będziemy razem pracować — rzekła Allison z niepotrzebną szczerością. O wiele łatwiej było teraz lubić Pat, skoro ona i Tony nie są już kochankami.

—Ty i Melissa powinnyście tworzyć świetny zespół — rzekła Emma. — Szczególnie jeśli Pat pokieruje ruchem. — Nikt nie czuł ochoty, by przyznać jej rację.

Pat miała dosyć.

— Jeszcze nie przywitałam się z Tonym — powiedziała szybko. — Nie mogę zaniedbywać swojego czołowego aktora.

Z sercem w gardle oderwała się od Emmy i Allison i przez tłum skierowała się ku Tony'emu.

Tony Valentino był na równi udreką i ekstazą. Przyjęcie dla prasy było piekłem, skonstruowanym z myślą o nim. Powodem tego stały się jego najśłodsze marzenia. Przeszczepując z nogi na nogę, usiłował wyrażać myśli zarazem prawdziwe, jak i taktowne, wokół niego zaś bezwzględni prasowi weterani podbijali piłki. Jakie to uczucie być mężczyzną z okładki? Co powiedziałyby na to jego zmarła matka? Czy mężczyzna chce zostać symbolem seksualnym, by mieć odskocznię do dalszej kariery, tak jak to się dzieje w przypadku kobiet? Dlaczego uważa się, że jeśli ma się ładne ciało, to taki piękniś potrafi grać? Popijał sok pomidorowy, oddychał głęboko i starał się nie zawieść zaufania Lathama. Instrukcje otrzymał wyraźne. Nie spieprz tego. Nie rozwał nikomu nosa. Graj świętego Sebastiana, póki nie zabraknie strzał. Dick Latham udzielał mu rad uprzejmie, lecz w jego głosie brzmiała groźba. Tony nie czuł się urażony. Znalazł się tam, gdzie w marzeniach chciał się znaleźć. Był wreszcie w należnym sobie miejscu. Tu, na krawędzi sławy, i przyjmie wszystko, czym w niego rzuca.

—Tony, o czym jest „Malibu”? — szyderczo spytał felietonista. Chciał się przekonać, czy ten idiota potrafi mówić.

—O obsesji. To film o pożądaniu — o bezcelowości ambicji, która jest jednak absolutnie nieunikniona. To rozprawa o sukcesie, sławie, zdobywaniu jej i stosunku do szczęścia i zadowolenia. Przeciwstawia życie spokojne żywotowi hałaśliwemu, pokój — wojnie, walce o osiągnięcie celów, które nigdy nie są nieruchome, biernej akceptacji losu. Zadaje pytanie: „Która droga jest lepsza?”

—A która droga jest lepsza?

—Nie ma na to odpowiedzi w filmach ani w życiu. Są tylko godne uwagi, starannie przemyślane pytania.

—Na przykład: „Po kiego diabła tkwimy na tej górze, słuchając pseudopsychologicznych bałwaństw jakiegoś kutasa do wynajęcia?” — wybełkotał ktoś z końca.

Pięści Valentina zbiełały. Obrócił się dookoła, by zlokalizować znajdującego się w opałach pijaczka.

— Z powodu uczucia, które prowadzi do piekła — ciekawości — odprowadzała Pat Parker. — A to, co powiedział Tony, to nie bałwaństwa. To najinteligentniejsze określenie idei tego filmu, jakie słyszałam. Powinien pan to zapisać, jeśli jest pan jeszcze w stanie to zrobić.

Zatrzymała się obok niego, a gdy spotkały się ich oczy, powróciła dawna solidarność. Kimkolwiek byli dla siebie, kimkolwiek będą, pozostali tymi samymi ludźmi, stojącymi po tej samej stronie, nad przepaścią, żyjąc niebezpiecznie. Znajdowali się pod ostrzałem i polowali na nagrody, rozmarzeni śmiałkowie, igrający z życiem. Odmiennie niż ptak Cohena, siedzący na drucie — pijany chórzysta w środku nocy, Tony Valentino i Pat Parker pozostawali wolni. Nie było to przyjemne. Nie było wygodne. Być może, nie było nawet rozsądne. Lecz było nieuchronne. Wokół nich skupili się ludzie operujący faktami — eksperci na temat status quo, tego, co można zrobić, co jest niemożliwe. Pozbawieni siły woli, a mający nadmiar edukacji, obracali monetą bezpieczeństwa. Konstruowali swe życie na pozornie trwałych fundamentach z cegły i cementu bezpieczeństwa, a za dającą się przewidzieć przyszłość płacili ciężką gotówką nudy. Na tym polegał właściwy dylemat filmu „Malibu”. Czy powinno się ulec obsesji, czy też wzdragać przed nią?

Niezauważalnie, Pat i Tony zbliżyli się do siebie. Ich ramiona zetknęły się, odsunęły, zetknęły ponownie. Nie było to spowodowane ścisaniem w tłumie. To namiętność, którą nadal czuli. Otoczeni morzem przeciętności przyłgnęli do siebie, jednocześnie zdając sobie sprawę z tego, że zaczyna się druga faza ich życia.

—Jeszcze pani nie reżyserowała. Jedyne znane nazwisko w tym filmie to Melissa Wayne. Dlaczego sądzi pani, że to się powiedzie?

—Do czego zmierza Dick Latham?

—Jak dawno zna go pani?

—Czy to taka tendencja w nowym Cosmosie — zatrudnianie ludzi bez nazwisk?

Pytania napływały szybko i gwałtownie, Pat uniosła rękę, by je odparować.

— Panowie, proszę o cierpliwość. Nie wszyscy przedstawiciele prasy już przybyli. Oficjalna konferencja odbędzie się później. Wtedy otrzymacie odpowiedź na wszystkie pytania. Zróbmy to, jak należy.

Wsunęła rękę w dłoń Tony'ego, zadowolona, że nie napotyka oporu, i wprowadziła go od dręczących gzów.

— Wyjdźmy na chwilę. Chciałabym porozmawiać — wyszeptała.

Wyszedł z nią. Przed namiotem zamknęły się nad nimi upał i cisza. Pat podeszła do skraju wzgórza, skąd rozciągał się widok jak czarodziejski dywan. Sięgali wzrokiem za Sierra Mądre, majestatyczne góry połyskiwały w upalnej mgiełce.

—Boże, ależ tu pięknie — powiedziała Pat. — W takich chwilach czuję, że naprawdę znam Alabamę.

—Jak on się miewa? — spytał Tony. Alabama stanowił neutralny grunt, bezpieczny, nie kryjący żadnych pułapek. Tony go lubił. Pat go uwielbiała.

—Jak zwykle. Nic się nie zmienia. Złości się, że zgodziłam się robić ten film, ale nie wścieka się naprawdę, tylko tak udaje.

— Nie wierzy, że film jest sztuką? Może i ma rację — rzekł Tony.

—Jedne są, inne nie. Nasz będzie. — Odwróciła się ku niemu i uśmiechnęła. Nasz film. Twój i mój. Wspólne przedsięwzięcie dwojga ludzi, którzy połączyli się, nim los ich rozdzielił. Błysk w jej oczach mówił, o czym myślała. Jego oczy myśl tę zrozumiały.

—To będzie cholerna robota — rzekł nagle Tony. Na jego twarzy mignęło przecucie przyszłych cierpień.

— Ty i ja... i Allison... i Melissa? — zarazem powiedziała i zapytała. Skinął głową, wpatrując się w promienny, rozżarzony upałem krajobraz.

— Powinniśmy być przyjaciółmi — rzekła Pat. — Powinieneś mi przebaczyć. Powinieneś mi zaufać.

Ponownie skinął głową, unikając jej spojrzenia. Pat odetchnęła głęboko. Czy słowa polepszą czy pogorszą sprawę?

— Czy zaufanie powinno zyskiwać się tak łatwo? — powiedział wreszcie. W jego głosie pojawił się wyrzut, lecz nie będzie czuł go wiecznie.

Ponownie ujęła go za rękę i wpatrzyła mu się głęboko w oczy. Ma tę jedyną okazję, by przedstawić swą sprawę. Jej serce wystawione zostało na próbę.

— Tony, posłuchaj mnie. Nie jestem dumna z tego, co zrobiłam, ale tak musiałam. Ty jeden musisz to zrozumieć. Gdy robiłam te piękne fotografie, nie miałam pojęcia, co się z nimi stanie. Proszę, uwierz mi. Nie postąpiłam tak z wyrachowania. Stało się to w sposób najbardziej naturalny na świecie. Czegoś takiego nie można zrobić pod przymusem. Chyba to czułeś. Nie prosiłam cię, byś zrobił to, co zrobiłeś. Sam o tym zdecydowałeś, ponieważ tak należało. Tak powstaje wielka sztuka. A gdy do tego dochodzi, nie można takiego zjawiska zignorować. I tak byś nie mógł. Zbyt rzadko się to zdarza. Jest zbyt ważne. Wykracza poza ludzi i ich uczucia, gdyż bez niej ludzie nie mogliby rosnać. Czy mówię z sensem? Słuchaj, mogę się mylić, ale zobacz, co zaszło z powodu tego, co zrobiłam. Wiedziałam, że tak będzie. *New Celebrity* dzięki nam stała się sensacją. Ten nowy film

dojdzie do skutku dzięki nam. Spełnia się wszystko, co chciałeś. Może nie postąpiłam słusznie, ale czy jakaś część tych wszystkich wspaniałych rzeczy, którymi jesteśmy obsypywani, nie jest moją zasługą? — Ścisnęła go za rękę. — Tony, spójrz na mnie. Powiedz mi, że wszystko jest w porządku. Powiedz, że my jesteśmy w porządku. Jeśli nie będzie między nami tak jak przedtem, zostanemy przynajmniej przyjaciółmi, bliskimi przyjaciółmi.

Jego oblicze było maską. Pat szukała w nim jakiejś reakcji. Niczego nie mogła wyczytać. W głębi duszy wiedziała, że się z nią bawi. Zmuszona została do przewidzenia, jaki wyraz pojawi się następnie na tej twarzy. Jako embrionalny reżyser musiała to podziwiać, choć jako kobieta i kochanka protestowała z krzykiem.

Nie mogła pozostawić tego losowi. Musiała wpłynąć na Tony'ego. A zatem przybliżyła się, w obrębie jego strefy bezpieczeństwa, aż jej ciało znalazło się tuż przy jego ciele. Ryzykowała odrzucenie. Wiedziała o tym. Mógłby ją za to upokorzyć, a był w tym dobry. O wiele za dobry. Lecz ciągle stanowił dla niej zagadkę. Całkowicie panował nad swoimi uczuciami. Ale miał je. Czowała, że są milimetry pod skórą. Nie odsunął się. Twardo stał w miejscu. Z braku brzytwy, której mogłaby się schwycić, ścisnęła rękę, którą pozwolił jej trzymać.

— Zdawało mi się, że aktor grający główną rolę to fucha gwiazdy — rzekła Melissa Wayne.

Zimny prysznic jej słów spłynął na Tony'ego i Pat. Odskoczyli od siebie, jakby rozdzieliła ich stalowa sprężyna.

— Przepraszam, że przeszkadzam... w tak intymnej chwili — warknęła gwiazda — lecz przynajmniej trzech fotografów uchwyciło ją przez teleobiektywy dla potomności, a ponieważ znajdujecie się na oczach większości płatnych plotkarczy Kalifornii, pomyślałam, że powinnam się tu pokreć i przywitać. Wiem, że jeszcze nie umiecie grać w te klocki, ale na planie nie mamy tajemnic. Będziemy jedną, wielką szczęśliwą rodziną profesjonalistów, wykonujących swoją pracę, niepomnych na osobiste odczucia, nie mających ulubieńców. — Wargi jej bezsprzecznie wykrzywiły się złośliwością, gdy rzucała te sarkastyczne uwagi pod adresem, wedle jej głębokiego przekonania, odrodzonych kochanków. Zewsząd czyhało na nich zagrożenie z jej strony. Tego nie wybaczy. Została publicznie spoliczkowana. Rzucono jej rękawicę. Podnosząc ją, była zdecydowana na śmiertelny pojedynek.

Pat klęła w duszy. Melissa Wayne miała tylko jedną zaletę. Sex appeal. Nie nawidziła jednego zbioru rzeczowego. Kobiet. Pochopnie doszła do przedwczesnego wniosku, że Pat z powrotem wykradła „jej” kochanka. Ta zniewaga wymaga krwi. W wyniku tego nieporozumienia reżyserka i jej główna gwiazda starły się śmiertelnie, a zdjęcia mają się zacząć za parę tygodni. Brak słów, by wytłuma- czyć, co się stało. Przemówiły gesty. Pat nie mogła przeprosić. Wpatrywała się tylko w Melissę w beznadziejnym oporze.

Melissa odwzajemniła się jej płomiennym spojrzeniem. Wtem, niespodziewa- nie, roześmiała się, odrzucając głowę do tyłu, potrząsając włosami w słońcu i wy- suwając do przodu sterczące piersi.

—Wracam na przyjęcie. Dick szykuje się do wygłoszenia jakiegoś oświadcze- nia. — Odwróciła się, jakby miała zamiar od nich odejść. Przez ramię rzuciła jesz- cze partyjską strzałę: — Do zobaczenia w scenach miłosnych, Tony. — Patrzyła jednak na Pat.

—Nie przejmuj się Melissą Wayne — rzekł Tony. — Poradzę sobie z nią.

—Masz doświadczenie? — Pat przygryzła wargę, lecz zazdrość skłoniła ją do rzucenia złośliwej aluzji.

—To nie ma sensu. — W jego głosie dźwięczał gniew. Melissa mogła zmusić ich do zawarcia swojego rodzaju przymierza, ale nie przebaczył Pat. Jego ton mó- wił, że nie powinna sobie zbyt wiele obiecywać.

—Wiem. Przepraszam — powiedziała. — Może ty dasz sobie z nią radę, ale ja nie jestem pewna.

—Melissa jest grubiańska. Po prostu nie pozwól, żeby ci weszła na głowę. Jest ambitna. Nie zawali filmu, gdy wszystko jest już prawie zapięte na ostatni guzik. Nie może sobie pozwolić na zrobienie takiego draństwa. Tu nie ma mocnych.

—Może masz rację. — Pat miała zamęt w głowie. „Do zobaczenia w scenach miłosnych” — powiedziała. Była to znamienna uwaga, ponieważ wszyscy słyszeli pogłoski o Melissie Wayne, że ma hysia na punkcie realizmu, wierzy w całego Stanisławskiego, nie znosi udawanego seksu. Reżyserowanie naładowanych ero- tyzmem scen miłosnych było i tak dość trudne, nawet jeśli chłopak, którego się kocha, nie znajduje się po niewłaściwej stronie kamery... razem z napaloną nim- fomanką, która nie wierzy w spodenki ani nawet najmniejsze majteczki pod prze- ścieradłem i której znaczenie dla kasowości filmu było tak duże, że dostawała wszystko, czego chciała.

—Damy sobie z nią radę — powtórzył Tony głosem tak twardym i zdecydowanym, jakby samo wypowiedzenie tych słów miało sprawić, że staną się one prawdziwe.

—Taaak, mam nadzieję, a i Dick nam pomoże. Zawsze możemy polegać na Dicku.

—Taaak, zawsze możemy polegać na Dicku — powiedział szyderczo.

Poczuła zimno. Nic nie zostało zapomniane. Ma przed sobą burzliwy okres. Dick Latham i Melissa Wayne to drażliwe tematy, których nie da się uniknąć.

Pat wyciągnęła rękę, by dotknąć ramienia, które właśnie się od niej odsunęło.

— Chodź, Tony, posłuchajmy, co staruszek ma nam do powiedzenia. — „Staruszek” stanowił ustępstwo. Chciała go bardziej zdyskredytować, by pokazać, że Latham nie jest dla niej ważny, lecz w ostatecznej chwili nie mogła znaleźć odpowiedniego słowa. Dlaczego? Ale to nie pora na zagłębianie się w siebie. Życie mknęło w oszalamiającym tempie. Ona i Tony nie byli znowu razem niezależnie od tego, co sądziła Melissa, lecz osiągnęli coś na kształt zbrojnego rozejmu. Ze względu na film? Jako wstęp do czegoś większego? Trudno powiedzieć.

Poszli w kierunku namiotu.

Dick Latham stał na mównicy przed mikrofonem.

— Przypuszczam, że wielu spośród was zastanawia się, gdzie zamierzam zbudować nowe studio Cosmosu — powiedział. — Z przyjemnością oznajmiam, że odpowiedź brzmi... tutaj. Właśnie tu, gdzie teraz stoimy. Wytwórnia Cosmos zostanie zbudowana na wzgórzach Malibu.

W sali rozległ się wrzask zainteresowanych głosów, gdy do zgromadzonych doszło znaczenie tych słów. Studio w Malibu, w górach, gdzie szalała wojna między przedsiębiorcami budowlanymi i obrońcami środowiska. Dick Latham zamierzał pokrajać kaniony na parcele. Usiłował zbudować nowe studio w samym sercu królestwa Alabamy. Apokaliptyczne wizje miały się ziścić.

Słowa te pomknęły ku Pat. Szczeka jej opadła, a ręka podążyła ku niej.

—Co takiego?! — powiedział stojący u jej boku Tony Valentino.

—Cosmos! Na wzgórzach Alabamy — wyszeptała w pół do siebie, w pół do niego. Zaczynała już rozumieć wszelkie powikłania. Pracuje dla Cosmosu, dla Lathama. Była po ich stronie. Cała jej wspaniała przyszłość, przyszłość Tony'ego, ich wspólne życie związane były z filmem, który stanowił czołowe przedsięwzięcie odrodzonego studia. Jeśli to zawiedzie, wszystko przepadnie. Lecz Cosmos w

Malibu oznacza, że Alabama, przyjaciel i mentor, stanie się jej zaciętym wrogiem. Będzie walczył wszystkimi dostępnymi środkami, by zniwe-

czyć plany Lathama. Pat będzie zmuszona wybrać między zającem a sforą. W żaden sposób nie uda jej się biec z oboma. Z rozpaczą spojrzała na Tony'ego. Wstrząśnięty odwzajemnił spojrzenie, stopniowo uświadamiając sobie jej dylemat.

Znowu spojrzała na Lathama. To pewnie jakiś żart. Powiedział jej, że Cosmos ma być zbudowany na pustyni. Tak się rozwodził o swojej trosce o środowisko. Pokazywał model domu, który miał być zbudowany w kanionie. Lecz choć chciała wierzyć, że to nieprawda, w głębi duszy wiedziała, że nie ma się co łudzić. Szóstym zmysłem wyczuła, że coś takiego się szykuje. Nigdy nie ufała miliardero- wi, któremu pozwalała się kochać. Wcześniej unikał jej wzroku, gdy udał, że nie sły- szał pytania na temat domu, którego nigdy nie zamierzał zbudować. Wykołował ich wszystkich. Ten skurwysyn ją kupił, wykorzystał, skusił i manipulował nią, a teraz się śmiał, prowokując do odwetu. Zapłonął w niej gniew.

Przepchnęła się przez rozgrzany tłum. Jednocześnie jej wzrok natrafił na spojrzenie Lathama. Szukał jej i teraz, w odległości czterdziestu stóp, ich twa- rze zwały się ze sobą. Z jego rysów można było wyczytać, że nie jest dumny z tej zagrywki. Nie triumfował, nie szydził z dylematu, który jej narzucił, radując się z jeszcze jednego, pustego zwycięstwa nad kobietą. Wyglądał na przerażonego, a widok lęku u Dicka Lathama powstrzymał Pat. Nigdy tego nie widziała. I chyba nikomu to się nie udało. Zrozumiała natychmiast. Dick nadal jej pragnął. Pragnął jej bardziej niż kogokolwiek od czasu tej paryskiej historii sprzed lat. Nie zdołał się oprzeć transakcji Cosmosu w Malibu, gdyż była wspaniała z punktu widzenia interesów, lecz teraz przeraził się, że może przez to stracić ukochaną kobietę. Po- nad głowami podchmielonych dziennikarzy zanosił do niej błagania. Jego twarz przemawiała z elokwencją, której pozazdrościłby mu Tony. Pat odetchnęła głębo- ko. Gniew jest sprawą tak prostą. Na jego fali podążałaby ku przyzwoitym rze- czom: górom, Alabamie, i pożegnałaby marzenia o Hollywoodzie. Lecz teraz, roz- czulona ludzkością dziwnej miłości Lathama, czuła, jak gniew z niej uchodzi, uchodzi, aż uszedł.

Po raz pierwszy w życiu Pat Parker była widzem. Nie miała pojęcia, jaki ma być jej następny krok: Odwróciła się do Tony'ego, który ją dogonił. Tony spojrział na Lathama. Tony popatrzył na Pat. Dostrzegł nic porozumienia między Pat i La- thamem.

Gdy się odezwał, w jego głosie dźwięczał smutek — smutek i rezygnacja.
— Złapał cię ten skurwysyn — powiedział.

13.

Alabama zębami ściągnął kapsel z corony i plunął nim do kominka.

—Dentysta ci tego zabronił — powiedział King z roztargnieniem.

—Dentysta — powiedział przeciągając zgłoski Alabama — modli się, żebym spadł z harleya i zarył mordą w szosę. Wtedy mógłby tanio kupić dom na Winding Way i dać betonowe zbrojenia pod tę ruinę, którą kupił pod osuwiskiem w Big Rock. Uszkodzenia od kapsla to co najwyżej nowy porsche.

Odbiło mu się dla zaakcentowania pogardy dla dentysty, po czym nadal oglądał rozległy widok.

—Więc co dziś robimy? — spytał King.

—To samo, co zawsze. Wydrukuj trochę pieniędzy, a ja zastanowię się, jak je wydać.

King roześmiał się. Znowu spojrzął na rozłożoną na kolanie gazetę.

— Jakaś podfruwajka nazwiskiem Finke napisała artykuł w *Timesie* o Malibu. Mówi, że grozi mu niebezpieczeństwo przekształcenia się w Miami Beach.
— Rozsiadł się wygodnie, rozkoszując się fajerwerkami, które zapalił, moszcząc olbrzymie cielsko i wyciągając potężne kończyny. Alabama nienawidził wstępniaków pióra gładkich przybyszów, uważających się za proroków.

Alabama nadał się.

— Przeczytałem więcej tych gówien, niż ty zrobiłeś odbitek, człowieku. Trochę historii, lista sławnych właścicieli domów, wywiady z zawodowymi plotkarzami, cierpiącymi na biegunkę słowną, parę chwytnych nagłówków i jeszcze jeden materiał pójdzie w ten kraj przeciętniaków. Do napisania takiego bałwanstwa potrzeba trochę wycinków, złośliwego oka i listu polecającego od kogoś z nazwiskiem, by zostać wpuszczonym do ludzi, którzy inaczej nie naszczaliby na ciebie nawet wtedy, gdybyś się palił. Nie mogę tylko zrozumieć, jak jakiś reporter...

Całą tę diatribę przerwał dźwięk telefonu. Alabama wolno podszedł do niego i uniósł słuchawkę.

—Halo! — warknął.

—Mówi Richard Brillstein z *Los Angeles Times*. Czy to Ben Alabama?

—Z *Timesa*? Jezus, akurat mówiłem o *Timesie*. Czego pan chce?

— Hm... jak to powiedzieć... Właśnie wróciłem z konferencji prasowej zwołanej przez Richarda Lathama, nowego właściciela wytwórni Cosmos... wie pan, o kogo chodzi?

— Znam Lathama. — Alabama nagle zrobił się ostrożny.

—Właśnie oznajmił... dokładnie przed godziną... że zamierza zbudować całe studio właśnie tutaj, obok pańskiego rancha, na wzgórzach Malibu.

—CO! — krzyknął w słuchawkę Alabama, aż go było słychać po drugiej stronie. King wyprostował się.

—Spodziewałem się, że taka będzie pańska reakcja. Tak samo ja zareagowałem. Będzie to miało spory wpływ na środowisko naturalne. Latham mówi o setkach akrów studiów dźwiękowych, hal produkcyjnych, zapleczu, co pan tylko chce. No i, naturalnie, drogi dojazdowe, wyrównane całe wierzchołki górskie i, oczywiście, kanalizacja, co doprowadzi do konfliktów z ludźmi starającymi się o prawa miejskie. Chciałem poznać pańskie stanowisko, panie Alabama. Cieszę się, że pierwszy mogłem panu przekazać tę informację, choć zdaję sobie sprawę, iż dla pana to złe wiadomości...

Lecz Brillstein nie zdobył sensacyjnej informacji, jaką stanowiłaby reakcja Alabamy. W połowie zdania Alabama odłożył słuchawkę. Zamarł w bezruchu. Ruch stał się niemożliwy wobec narastającej furii. Gniew był jego sposobem życia. Alabama często nawet przybierał rozwścieczone pozy. Jego furia rzadko miała charakter osobisty, niejednokrotnie stanowiła użyteczną taktykę w kontaktach z ludźmi, przynoszącą korzyści w postaci zastraszenia rozmówców i przeprowadzania własnych zamysłów. Teraz sytuacja była inna. Odczuwał wściekłość. Jednocześnie zimną i gorącą. Była jak blok lodu, który zdarł mu skórę z krwawiących rąk na zaśnieżonym stepie. A także jak rozpalone żelazo, syczące i skwierczące na żywym ciele w makabrycznej torturze rytualnej. Furia szarpała mu stare flaki. Mocno zacisnął pięści. Zmrużył oczy, płuca jak miechy ze świstem wpompowywały i wypompowywały wielkie hausty powietrza. Wszędzie była krew.

Przez zmrużone oczy widział ją w postaci mgiełki. Słyszał, jak tętni mu w uszach. Czuł, że wali jak sikawka strażacka w jaskini jego piersi.

—O co chodzi? — spytał King. Twarz Alabamy była czerwona. Teraz na oczach Kinga bladła. — Co zrobił Latham?

—On już nie żyje — wydusił z siebie Alabama. — Popęłił samobójstwo — wyszeptał. — Odszedł, nie ma go, można go uznać za niebyłego — wysapał.

Patrzył na Kinga, jakby ujrzał go po raz pierwszy. Pełnym niedowierzania głosem uzupełnił swoją odpowiedź.

— Ośmielił się... ośmielił się... próbować budowy swojego nędznego studia w środku moich gór.

Przekornie popatrzył na swego pomocnika. No, proszę. Wydobył to z siebie. Udało mu się to powiedzieć. To spore osiągnięcie. Należą mu się brawa. Tymczasem w mózgu chrobotła mu myśl, jak szczur w nocy. Studio, studio filmowe, usadowione jak ohydna rakowata narośl w sercu pięknych wzgórz. Przez całe życie nigdy nie spotkał się z takim wynaturzeniem. Zawarła się w nim cała okropność wszechświata. Cosmos był symbolem tandetnej błyskotliwości tanich iluzji. Latham był odrażającym diabłem rozpasanego kapitalizmu, rażącą górą gotówki, symbolem mamony i materializmu, na którego dyskredytowanie Alabama strawił lata. Teraz wszystko to razem zagroziło miłości całego jego życia. Można by od tego stracić zmysły. Z takich powodów można by ogłosić krucjatę. Miliardera trzeba powstrzymać. Nieważne, w jaki sposób. Koszty nie miały znaczenia. Jeśli wymagałoby to morderstwa, niech i tak-będzie. Komora gazowa stanowiła szczegół bez znaczenia. Własne życie Alabamy stało się nieważną błahostką wobec gigantycznego poronienia, które groziło zabarwieniem świata na krwistą czerwień. W jego obiegających pokój oczach odbijały się idee mknące po ekranie komputera jego umysłu. Co powinien zrobić? Co zrobić należy? Postanowienie to nie dosyć. Do pokonania złowieszczonego miliardera przydałaby się nadludzka chytryść. Musi się uspokoić. Musi pomyśleć.

—Nie może tego zrobić — powiedział King przerażony.

—Nie, nie może. I nie robi. Nie pozwolę mu — wymamrotał Alabama.

Przeszedł przez pokój i rzucił się na ogromnych rozmiarów kanapę. Dobrze. Myśli zaczęły mu się układać w jakimś porządku w miarę, jak umysł wydobywał się z chaosu szoku. Latham złożył publiczne oświadczenie na konferencji prasowej. Oznacza to, że musiał starannie przygotować grunt. Miliarderzy nie pozosta-

liby długo miliardkami, gdyby nie spełniali obietnic. Superbogacz musi umieć wzbudzać zaufanie. Miliardy tworzą się dzięki piramidzie bankowej. Finansiści podtrzymują ją tak długo, jak długo nie tracą zaufania. Gdy wkrada się niepewność, w stylu Kashoggi, wycofują się z interesu. Oznacza to, że Latham otrzymał zezwolenie na wybudowanie Cosmosu w górach. Nie zatwierdzono mu pewnie jeszcze planów, lecz widocznie uzyskał cichą obietnicę. Najwyraźniej działał cuda w zazwyczaj bardzo czulej na ochronę środowiska Komisji Ochrony Wybrzeża Kalifornii. Czyżby już było za późno na interwencję? To pierwsze pytanie. Ile czasu upłynie, nim kości zostaną rzucone? To pytanie drugie.

— Myślisz, że Pat o tym wie? — spytał King.

Alabama wyprostował się. Nad tym się nie zastanawiał. Historia z Cosmosem zaabsorbowała go całkowicie. Pat zgodziła się reżyserować film dla Cosmosu. Była w dobrej komitywie z Lathamem i okropną Angielką, która redagowała to głupie pismo. Niemożliwe, by nie wiedziała o Lathamowskich planach budowy wytwórni. To czyniło ją najgorszą z ludzkich istot, zdrajczynią. Nie! Alabama wzdrygnął się na tę myśl. Nie mogła być wiedzieć. Była artystką. Nauczyła się kochać góry. Do diabła, przecież je fotografowała. Nie brałaby udziału w ich brutalnym zniewoleniu. W końcu on, Alabama, który zazwyczaj wiedział o wszystkim, nic nie słyszał o tym diabolicznym planie. Latham potrafił utrzymać sekret. Musiał go przed nią ukrywać. Ale można się dowiedzieć. Zadzwoń do niej. Pat powie mu, jaka jest wstrząśnięta. Wycofa się z pracy nad filmem, podrze kontrakt z *New Celebrity* i nigdy już nie odezwie się do Richarda Lathama. Zaoferuje swe poparcie i razem z Alabamą będzie pracować, by odkręcić, co należy. Lecz ułożywszy sobie plan działania w głowie, wiedział już, że nie jest to takie proste. Pat Parker była osobą niezwykle przedsiębiorczą. Jeśli to było możliwe, stała po stronie cnoty. Lecz gdy dobro starło się z ambicją, która stanowiła motor działania Pat, co zwycięży? W talii był też dzoker, jakiś Tony Valentino. Pat pragnęła go bardziej niż powodzenia. Czy odrzuci sławę i fortunę swoją i kochanka dla flory i fauny jakiegoś wysuszonego słońcem wzgórza? Akurat. Valentino i Latham będą działać razem jak magnes, przyciągający Pat Parker ku jej marzeniom. Cóż takiego może zaoferować Alabama, co stanowiłoby przeciwwagę wdzięczności kochanka i uznania artystycznego w oczach mas? Węże i jelenie o wielkich, wilgotnych oczach, jastrzębie i myszy z kanionu, nagie skały, jałową ziemię i ciężki upał

wysokiego chaparralu. By stanąć po jego stronie, Pat Parker musiałaby być więcej niż świętą. Musiałaby być aniołem, którego tak bardzo przypominała.

— Chyba nie wiedziała — rzekł Alabama. — Ale myślę, że teraz wie. King zastanawiał się nad tym w milczeniu. Ubóstwiał Pat. Szóstym zmysłem wyczuwał, że niewiele brakuje, by została wykluczona z jego świata, że decyzja będzie należała do niej i nie przyjdzie jej łatwo.

— Jak możesz powstrzymać Lathama? Zadzwoisz do prezydenta? King nigdy nie zdołał przyzwyczaić się do faktu, że Alabama i prezydent byli przyjaciółmi. Alabama był jego przyjacielem. Był rzeczywisty. Można go było dotknąć. Śmierdział. Upijał się. Prezydent jednak, cóż, był prezydentem, tak jak Bóg był Bogiem, papież papieżem, a Orel Hershiser Orelem Hershiserem. Wizja Alabamy i prezydenta stanowiła dla Kinga płaszczyznę, na której iluzja spotykała się z rzeczywistością. Owszem, prezydent popierał ochronę środowiska, miał kiedyś indiański motocykl, uwielbiał robić złe fotografie, ale King i tak nie mógł uwierzyć w jego przyjaźń z szefem.

— Owszem, mogę zadzwonić do prezydenta i wszystkich przyjaciół w Kongresie. Mogę całymi dniami wisieć na telefonie, wydzwanając do znajomych. Mogę zaalarmować prasę, radio i telewizję, ale to wszystko wymaga czasu. Coś mi się wydaje, że akurat czasu nie mamy za dużo. Latham wie, że to nie będzie się podobało mnóstwu ludzi, którzy mogą niejedno. Jeśli podał swoje plany do publicznej wiadomości, to znaczy, że jest o krok od ich realizacji.

—Co więc możesz zrobić?

—Mogę go zabić.

King roześmiał się. Potem zaśmiał się nerwowo.

— Ale poważnie, Alabamo.

— Mówię poważnie. Mógłbym skurwysyna wysadzić w powietrze. Mógłbym go zniszczyć.

King nie odpowiedział. Nigdy nie widział Alabamy w tak niebezpiecznym nastroju.

— Albo mógłbym zrobić coś, co zmobilizowałoby opinię publiczną tak dalece, jak nikt jej jeszcze nie poruszył. Coś, obok czego nie można przejść obojętnie. Coś, co dotarłoby do ludzi, unaocznilo im potencjalną tragedię, żeby odczuli to sercem i umysłem, żeby zobaczyli... zobaczyli... żeby to zobaczyli...

W twarzy Alabamy płonął nieziemski ogień. Opromieniał go. W jego świetle dojrzał wyjście. Od razu zorientował się, co ma robić. W błysku objawienia zdobył się na przeraźliwą stanowczość. Podniósł się.

—Gdzie jest linhof? — spytał.

—Tam gdzie wszystkie aparaty. W sejfie. Dlaczego?

—Działa?

— Jasne, oczywiście. Jak cały sprzęt, Alabamo. Zawsze był w porządeczku. Kazałeś mi o niego dbać.

Alabama poczuł dreszcz przebiegający mu po krzyżu. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że dojdzie do tej chwili. Tęsknił za nią, lękał się, wzdragał przed nią, a teraz właśnie ma nastąpić. Przez tyle lat znajdował wymówki. Cegły, powiedział. Przyroda, kłamał. Zbyt wiele fotografii, zbyt wielu fotografów, blagował. Wymyślał różne powody, dla których porzucił fotografię, a wszystkie miały jeden cel — ukrycie prawdziwego. Strachu. Teraz spojrzął prawdzie w oczy. Odstawił aparaty, gdyż lękał się, że stracił zdolności artystyczne. Dziesięć lat temu miał złą passę, gdy wizualnie nic mu nie wychodziło. Dla większości artystów to demon, z którym muszą się codziennie zmagać. Alabamie zdarzyło się to jednak po raz pierwszy i przeraziło go jak wszyscy diabli. Stracił natchnienie, lecz nie próbował nawet odkręcić fontanny, która przestała bić. Dni bez pracy przeciągały się w tygodnie, miesiące i lata, a z każdą minioną sekundą uchodziła zeń odwaga artystyczna. Wymówki i usprawiedliwienia zyskiwały na sile. Nauczył się żyć w kłamstwie i oszukaństwie, a w Kingu, który wspaniale wywoływał odbitki, znalazł chętnego współnika. Wspólnie skonstruowali fasadę, która tak świetnie ukrywała prawdę. A jaka była prawda? Taka, że potężny Alabama, artystyczny bohater trzech pokoleń, jest oszustem, krętaczem i tchórzem. Piwo pomagało to skryć. Podobnie jak motocykle i bójki. A także ochrona gór, z czego uczynił swą własną, osobistą sprawę. Cóż, teraz to się skończyło. Nadszedł czas, by stanąć twarzą w twarz z demonami.

— Wiesz, co mam zamiar zrobić, King? — rzekł Alabama. King wiedział, że odpowiedź sama przyjdzie.

— Mam zamiar fotografować. Mam zamiar zrobić zdjęcia tego kanionu, który Latham usiłuje zniszczyć, a świat zapłacze, gdy ujrzy jego piękno. Zrobię fotografie, jakich nikt dotąd nie zrobił. Zrobię wszystkie zdjęcia, których obawiałem się zrobić przez lata. Mogę to zrobić. Muszę to zrobić. I zrobię.

Stał tam, drżąc pod brzemieniem powagi chwili, pragnąc krzyknąć z radości i bólu w tym momencie odrodzenia. Na oczach Kinga, zdjętego grozą na widok zachodzącej w przyjacielu przemiany, po policzkach Alabamy spłynęły łzy determinacji i ulgi.

Nad Saddle Peak wzeszło słońce, wpychając senne palce światła do kanionu. Zawisło na wierzchołku góry, jakby chciało zaczerpnąć tchu po długiej nocnej podróży na szczyt świata. Ziemia poruszyła się o brzasku. Czerń straciła swą intensywność, uwidoczniły się kształty, a dolina, chłodna i wilgotna od morskiej rosy, zbierała siły przed nadchodzącym upałem.

Alabama był gotów do magii nowego początku. Od dwóch godzin stał przywarty do górskiego zbocza, stopami wparł się w skalny występ, odrętwiałe ramiona przylegały do zimnego okrągłaka. Mahoniowy aparat obejmował cały krajobraz. Lśnił w promieniach pierwszego brzasku. King nie porzucił go w czasie tych jałowych lat. Był wypolerowany, naoliwiony i kochany. Teraz, kryjąc w swych wnętrznościach film 10/8, był gotów do użycia. Alabama głęboko odetchnął. Znajdował się milion mil od krainy nikonu, lata świetlne od terytorium hasselbladu, tu słowo napęd elektryczny brzmiało jak przekleństwo i człowiek miał tylko jedną szansę. Obraz rysował mu się w głowie, tam gdzie jego miejsce. Dziewięćdziesiątych roboty zostało wykonane. Pozostawała jeszcze część mechaniczna. Nie wolno zniszczyć doskonałego piękna, które żyło w oku jego duszy.

Przetworzył informacje przy użyciu systemu strefowego Ansel. Nie musiał myśleć. Myślało za niego doświadczenie. Luminancja jak przy słabym słońcu, powiedzmy strefa VII. A zatem, jeśli 250 nitów było na VII, 60 nitów przypadnie w strefie V. Używał filmu „Isopan”, który wykazywał podstawowe naświetlenie 1/60 sekundy przy przysłonie 8. Żółty filtr 3X, który teraz dołożył, zmniejszył je do 1/20 sekundy. Ze świstem wypuścił z nozdrzy powstrzymywany oddech, zakłócając ciszę. Widział niemal, jak słońce ogromnieje. Właściwa chwila przemiany, nim niemal jeszcze nastanie. Trzeba ją przewidzieć. W momencie gdy się jej doświadczy, będzie już za późno. Alabama sięgnął w przód. Zmniejszył przysłonę do 32. Jego palec krążył wokół wyzwalacza. Nagle coś się w nim zacięło. Ogarnęła go fala paniki. Był odrętwiały, sparaliżowany, błyskawicznie zanurzony w lepkiem chaosie, a kierujący jego umysłem chłodny profesjonalizm zdegenerował się w dysonans. W mózgu dudnił mu głos. „Nie potrafisz tego zrobić” — mówił. „Już

zapomniałeś." Roześmiał się straszliwym, szyderczym śmiechem. „Pamiętasz te wszystkie marne fotografie, którymi pogardzałeś, Alabamo? A więc dołącz do naszego towarzystwa, ty stary oszuście. Witamy jeszcze jednego kompana. Zachód słońca. Łabędzie na stawie. Proszę się uśmiechnąć, a stąd wyleci ptaszek. Wrzuc to do szuflady, Ben, kochany. Włóż do albumu rodzinnego. Zanudzaj tym krewnych w deszczowe niedzielne popołudnia." Głos w jego głowie rechotał bezradną wesołością. „Wstałeś w środku nocy, żeby wyszło takie gówno? Wspiąłeś się na szczyt, żeby harować nad taką marnotą? Och, Alabamo! Zostań przy piwie, wspomnieniach i gadaniu o tym, co by było gdyby. Fotografie zostaw tym, którzy mają jaja jak trzeba."

— Nie — powiedział głośno, wierzchem dłoni ocierając pot z czoła. Ze wszystkich sił starał się skupić. Wzgórza pokryły teraz pastelowe cienie. W łonie ciemności narastało światło. Jego duch powiedział: „Tak szybko" — lecz duch więcej nie wiedział. Jak przełamać paraliż?

Co zrobić, by zaufanie rosło jak piękno, zewsząd wyłaniające się w kanionie? W swojej samotności szukał sprzymierzeńców. Lecz w pustce sztuki nie ma przyjaciół, jedynie wątpliwości, obawy i widmowa nieuchwytność nieudolnej muzy.

I nagle przyszło. Przez tajemnicę magicznego momentu ujrzał wizję po drugiej stronie kanionu. Biały stiuk. Przysadzisty. Brzydki. Z kominów wydobywały się kłęby dymu. Neon w kolorze żywej czerwieni błyszczał nieprzyzwoitością. „Wytwórnia Filmowa Cosmos" głosił napis i Alabamie wydało się, że nawet słońce wzdrygnęło się przed ohydą tego mirażu. W głowie mu się rozjaśniło. Głos dudniący w mózgu odpłynął. Istnieje coś gorszego od porażki i pogardy świata. Oto powstała możliwość zniszczenia jego ukochanych gór. Ponownie „widział". Znowu „czuł". Nie było za późno. Teraz jest właściwa pora. Nacisnął wyzwalacz migawki i dał zdjęciu długie, jednosekundowe naświetlenie. Robiąc tę fotografię już wiedział, co ma. To będzie lepsze niż „Wschód księżycy nad Hernandez", bardziej dramatyczne niż wspaniałe „Czarne słońce" Ansela. Wiedział już, że będzie ją musiał wywoływać w specjalnych warunkach, by zachować maksymalną intensywność przedniego planu. Już widział rezultat, do ostatniego milimetra obliczył głębię pola zdjęciowego. Boże, więc się udało! Potrafił tego dokonać. Chochlik zwątpienia nie siedział mu już na ramieniu. A w torbie na plecach miał dwanaście czystych filmów.

Ben Alabama poczuł się królem życia. Wniknął w naturę, którą kochał, otwierając się jednocześnie, by natura mogła wejść w niego. Nad górami wschodziło słońce, słońce wschodziło też w jego sercu.

Plusk! Pelikan spadł z nieba jak grzmot i zniknął pod powierzchnią morza. Wyłonił się natychmiast, a srebrzysty błysk w dziobie wskazywał, że los się do niego uśmiechnął. Pod balkonem czterdziestopięcioletni chłopiec, spędzający całe dnie przy plaży, poprawił wystającą z piasku wędkę. Prócz tych współzawodników Carbon Beach, zwana „Plażą Biznesu”, była wyludniona.

—Co mam zrobić, Allison? — odezwała się Pat. Odwróciła się od balkonu. Allison wyciągnęła się na leżaku, założywszy jedną długą nogę na drugą. Miała ciemne okulary jako ustępstwo względem Kalifornii. Poza tym wyglądała jak typowa przedstawicielka powściągliwej Nowej Anglii, od klasycznie ostrzyżonych włosów po czubki idealnych palców u nóg.

—O Boże, Pat, nie wiem. Czy przypadkiem nie to ludzie nazywają dylematem moralnym?

Roześmiała się bezradnie. Na arystokratycznych wysokościach, na których działała, moralność zastąpiły maniery. Właściwy i niewłaściwy sposób postępowania nakreślono w niepisanej konstytucji wyższych sfer. Morderstwo, gwałt, podpalenie, tortury były ujęte w mgliste reguły, których szkocka niania uczyła w dzieciennym pokoju. Pewne rzeczy się robiło. Pewnych rzeczy się nie robiło. Wiedzano, jak się zachować w każdej możliwej sytuacji, gdyż reguły przyswajano sobie za pomocą osmozy podczas tysięcznych pikników nad wodą, setki pokazów konnych, dziesiątków bali, na których tańczyło się z podróżnymi z tej samej klasy w pantofelkach zawsze nieco ciasnawych. Jeśli Pat sama nie wie, co zrobić, Allison nie będzie w stanie jej poradzić.

Pat zmrużyła oczy przed blaskiem porannego słońca i westchnęła. Lepiej poznała Allison i naprawdę ją polubiła, lecz związek pięknej bogaczki z życiem był równie ścisły, jak człowieka cierpiącego na dysleksję ze słownikiem. Na jej planecie Alicji w krainie czarów karierę robiło się po to, by irytować rodzinę, pieniądze gromadziły się na rachunkach depozytowych, a przyjaciele prawie zawsze okazali się kuzynami.

— Mam wrażenie — odezwała się Allison, usiłując wyciągnąć pomocną dłoń — że pan Latham jest dość bezwzględny. To taki człowiek, który by... który

by... — zastanawiała się, jak określić bezwzględne postępowanie — który targowałby się w sklepie — wymyśliła w końcu. Zastanawiając się nad tym, z niesmakiem zmarszczyła nos. Tak zachowywali się Arabowie. I nowobogaccy, jak Latham. To takie poniżające. W końcu chodzi tylko o pieniądze.

Pat roześmiała się z tej wzruszającej naiwności. Allison rozśmieszała ją, a w tym szczególnym momencie jej życia niewielu ludziom to się udawało. Zdziwiająca, że ta przyjaźń w ogóle się rozwinęła. Allison musiała pogardzać nią za to, jak potraktowała Tony'ego, i jako niedoszła rywalka miała powody do zazdrości. Ale stało się inaczej. Allison czuła do niej sympatię właśnie, dlatego, że Pat kochała Tony'ego, i ponieważ wyczuła, że uczucie Pat trwa. W kodeksie Vanderbiltów miłość do tych samych ludzi oznaczała dobry smak. A ludziom obdarzonym dobrym smakiem można przebaczyć wszystko.

—No więc, jest żelaznym facetem, który idzie po trupach. Co mam w związku z tym zrobić?

—Cóż, może sama powinnaś z nim twardo postępować. Mogłabyś mu powiedzieć, że twoim zdaniem jego plany budowy Cosmosu w górach to naprawdę niedobry pomysł. Mogłabyś powiedzieć Alabamie, że oświadczyłaś to Lathamowi. Wówczas Alabama wiedziałaby, że zrobiłaś, co mogłaś, i nie gniewałby się. Jeśli pan Latham cię nie posłucha, miałabyś poczucie, że próbowałaś i że to nie twoja wina.

Pat ponownie się roześmiała. Myśl, że Latham zrezygnuje z interesu, gdyż Pat uważa, że to naprawdę niedobry pomysł, była mniej więcej tak samo zabawna, jak przekonanie, że skorego do gniewu Alabamę zadowoli jej niemrawa interwencja.

—A czy uważasz, że powinnam dalej pracować dla Lathama? I czy mam reżyserować film, jakby nic się nie stało, podczas gdy będą zalewać asfaltem wzgórze, Alabama zaś dostanie apopleksji?

—Ale wzgórze to działka Alabamy, nie twoja. Chodzi mi o to, że jeśli postanowi wysadzić się w powietrze, nie musisz trzymać go za rękę, gdy będzie ulatywał z dymem. — Allison wiedziała, co mówi. Działalność dobroczynna nie jest wzajemnie wymienna. Skoro ciotka Miffy miała rozszczepiony kręgosłup, wykupywało się stolik na jej przyjęciu. Nikt natomiast nie zawracał sobie głowy balem okulistycznym, nawet z zapaleniem siatkówki, gdyż rej wodziła tam ta straszna, pewna siebie kobieta, która udawała, że pochodzi z Whitneyów, chociaż tak wcale nie było.

—Alabama pomyśli, że jestem nielojalna — rzekła Pat, zastanawiając się, dlaczego musi wyjaśniać rzeczy tak oczywiste.

—Och — rzekła zdumiona Allison. Przechyliła głowę na bok, usiłując to zrozumieć. Lojalność to kluczowe słowo jej klasy. To przymiot najważniejszy ze wszystkich. W jego imię popełniano najohydniejsze czyny. Z jego powodu nie robiono najbardziej niezwykłych rzeczy. Ale z jakiegoś powodu nie pasowało do kontekstu tej rozmowy. Dlaczego?

—Ależ w Kalifornii nie wiedzą, co to lojalność — powiedziała w końcu.

Wiedziała, że zabrzmiało to dziwnie, ale w jakimś sensie miała rację. Tutejsi ludzie chętni się swym brakiem wrażliwości i skrupułów. Nikomu nie wolno było wtrącać się w ich podstawowe interesy, jakiegokolwiek by one były. Do Kalifornii przybyli właśnie po to, by uciec od sumienia i kodeksów. Nie było tu szkolnych przyjaciół, rodziny, jedyną zaś rzeczą, która na południu rodziła się z zażyłości, była pogarda. Alabama wyróżniał się „wrodzoną szlachetnością”, a ta zbitka słowna stanowiła jeden z przekonujących angielskich eufemizmów na określenie kogoś sympatycznego, lecz o niższej pozycji społecznej. Odznaczał się bezcieleśnością służących, zamieszkując tę dziwną strefę zaporową między rzeczywistością a iluzją, rozciągającą się za drzwiami z zielonego rypsu. Naturalnie tryskał energią, był cudowny i godny podziwu, ponieważ kochał właściwe rzeczy, jak sztuka i ochrona środowiska, ale na dłuższą metę stawał się mglistą postacią, która nie jest uprawniona do tego, by prosić o lojalność, a tym mniej domagać się jej. Zabawne, że Pat Parker odczuwała to inaczej, ale w końcu urodziła się przecież w Nowym Jorku, co było z jej strony lekkomyślnością.

Pat patrzyła na nadpływającą falę. Allison zadzwoniła. Może w końcu orientowała się w tym wszystkim. Czasami strusie lepiej widzą znad piasku niż sroki z czubka drzewa. Miała rację. To przecież Kalifornia, Los Angeles, do cholery, nie Lynchburg w Wirginii. I chodzi o przemysł filmowy, gdzie ludzie ryzykują, wygrywają i tracą. Spojrzała w dół na plażę. Niewielu przegranych znalazło się tu, w Carbon, gdzie Latham wynajął jej dom na czas trwania zdjęć. Bruce Willis. McEnroe. Szef od Disneya, Jeff Katzenberg. Człowiek, który był wszędzie i trząsał wszystkim — Freddie Fields. Właściciel kawiarni „Rock Café” Peter Morton. Przez lata i im prawdopodobnie zdarzało się tupnąć nie w takt. Nadwrażliwość była śmiertelnym wrogiem ekskluzywnej własności na biznes-plaży.

Czas powrócić do rzeczywistości. Jeśli chce popełnić harakiri, porzucając swe marzenia dla marzeń cudzych, nikt się tym nie przejmie. Laleczki nie wiedzą, jak płakać poza filmowym planem. Jeśli rzuci film Lathama, nigdy już nie będzie pracować w Hollywoodzie. I w imię czego? Nic nie znaczących punktów u zbierani-ny walczącej o ochronę środowiska, która nigdy nie zapłaci jej rachunków ani nie zapamięta jej nazwiska? Wdzięczności starca, który nie ma już jaj, by robić zdjęcia? Moralnej chwały ze zrobienia słusznej rzeczy? Cokolwiek zrobi, nie będzie to miało żadnego znaczenia. Góry zostaną zniewolone z nią czy bez niej. Nie będzie nawet winna współudziału. Jak Piłat może umyć ręce od całego tego żalosego interesu. Odetchnęła głęboko, usiłując nie zwracać uwagi na poczucie winy, które jej doskwierało.

— Tak, masz rację, Allison. O wzgórze walczy Alabama, to jego „dziecko”, jak to ujęłaś. Nie moje. Dlaczego mam rzucić film tylko dlatego, żeby wyka-zać z nim solidarność? To zbyt duże poświęcenie. I, do diabła, nie wiem, czy jeśli dam sobie z tym spokój, nie pograżę przy okazji całej reszty. Latham może sobie wziąć innego reżysera, ale może też odłożyć wszystko na półkę. Wtedy ty stracisz swoją szansę, a Tony swoją...

Pat wzdrygnęła się na myśl o straszliwym rozczarowaniu Tony'ego, lecz nie tak gwałtownie i szybko, jak Allison Vanderbilt.

— Boże, nie pomyślałam o tym. Tony mógłby nie dostać roli. — Nagle Allison przejęła się rozmową. Nie była to już zwykła towarzyska metafizyka i fi-lozofia moralna, szło o istotę z krwi i kości. Na jej twarzy malowała się udręka.

— Może nie powinnaś nic mówić Lathamowi — rzekła zdławionym gło-sem. Przebiegłość była jej tak obca, jak kuchnia Murzynów amerykańskich, lecz tu szła gra o życie.

— Nie, zadzwonię do niego. Dlaczego nie? Nabrał mnie. Powiem mu, że jest całkowicie pozbawiony smaku, a jeszcze bardziej dobrych manier, że jest nu-worowskim skurwysynem, który nie poznałby się na subtelnym uczuciu nawet wtedy, gdyby usiadło mu na nosie. Ulżę sobie, a jutro rano wpadnę jak gdyby nig-dy nic. Nie będzie miał pretensji. Lubi ludzi, którzy mu się stawiają, zwłaszcza jeżeli miękną, gdy przychodzi do liczenia forsy.

Allison nie była pewna. Ci ludzie byli obcy, Pat również. Jakże można przewi-dzieć ich zachowanie?

— Ale cokolwiek zrobisz, proszę cię, nie ryzykuj kariery Tony'ego, dobrze? — błagała.

— Bardzo go kochasz, prawda? — zapytała Pat.

Allison przytaknęła. Wolą nie mówić tego głośno, gdyż nie była pewna, czy głos się jej nie załamie.

—Ja też — rzekła Pat po prostu. — Myśli, że go nie kocham, że wykorzystałam go tylko ze względu na karierę. Ty pewnie też tak uważasz. Ale to nieprawda. Kocham go, jak tylko potrafię. Może nawet więcej.

—Wiem — powiedziała Allison. — A przynajmniej tak mi się wydaje. Jesteś do niego w wielu sprawach podobna. Pragniesz. Potrzebujesz rzeczy. Szanuję to, ale nie bardzo rozumiem. Ja chcę tylko tego, co on.

— A gdyby chciał mnie? — wyrwało się Pat.

Allison zamilkła. To był sprawdzian. Czyja miłość jest większa? To jak opowieść o Salomonie, dziecku i walczących o nie matkach.

— W takim razie chciałabym, aby cię miał. Pomogłabym mu w tym. Gdyby tego naprawdę pragnął...

Mówiła prawdę. Tony był jej obsesją. Władanie nie odgrywało roli. Jej uczucia były na to zbyt silne. Szybowały pod niebiosa, wysoko ponad takimi drobnostkami jak zazdrość, chciwość i zachłanność, ponad władaniem, wspólnotą i wzajemnością.

Pat podeszła do Allison i uklękła przy jej krześle. Ujęła dłoń patrycjuszki w swoją, jakby było to skrzydełko rannego ptaszka.

— Myślę, że wciąż mnie kocha, Allison. Tak czuję w głębi duszy — wyszeptała.

Allison patrzyła prosto przed siebie. Wiedziała, o co ją proszono. Proszono ją o pomoc.

— Będę się z nim dzisiaj widziała, u Getty'ego — rzekła.

Pat zabrakło tchu. Nic nie zostało powiedziane, ale wiedziała, że

Allison zgodziła się spełnić jej milczącą prośbę. Wypełniło ją uczucie ulgi, lecz jednocześnie zaczęła się martwić innymi rzeczami. Ona również będzie na tajemniczym przyjęciu u Getty'ego. Tak jak i wszyscy. Szczególnie Alabama. Prezentuje wystawę swych „najnowszych” prac — prawdopodobnie podane przez Kinga w nowej szacie fotogramy z dobrych lat sześćdziesiątych, przedstawione jako ostatnie dokonania. Spotkania z Alabamą nie da się uniknąć. Zmusi Pat, by

opowiedziała się po którejś stronie, i pod koniec wieczoru stanie się jej nieprzyjacielem. Przybędzie również Latham, a także prezydent Stanów Zjednoczonych, stary przyjaciel Alabamy, zjedzie z letniskowego rancha, które posiadał w górach Sierra Madre. Jego obecność gwarantuje środkom przekazu z Malibu uciechę epickich rozmiarów. Każda gwiazda z nieba zjawi się na przyjęciu, na którym Alabama i Latham spotkają się po raz pierwszy, odkąd miliarder publicznie ujawnił plany budowy wytwórni filmowej w górach. Bez wątpienia w karcie będą sztuczne ognie. Ale przede wszystkim Pat znowu będzie mogła ujrzeć Tony'ego. Czy Allison sprawi, że znowu między nimi się ułoży? Czy znowu będą kochankami?

Dick Latham odepchnął się od brzegu basenu i obserwował ewolucje mew nad morzem, w którym igrało stado delfinów. Jego przyjaciele ze Wschodniego Wybrzeża śmialiby się z tak daleko posuniętej dekadencji — basen z podgrzewaną wodą na tarasie sypialni z widokiem na Broad Beach od Zumy aż po Point Durne — lecz zazdrościliby mu w sekrecie. Wynikało to z wyczulonego instynktu przeżycia starych fortun. Ci, którzy zdobyli swe łupy w tradycyjny sposób, dziedzicząc, nigdy nie zapomnieli lekcji rewolucji francuskiej. Rzucający się w oczy rozrzutny tryb życia wywoływał wzburzenie u chłopstwa. W dzisiejszych czasach nie musieli ścinać głów. Ich bronią była urna wyborcza. Za jej pomocą mogli obciąć aktywa, gdy przyjęcie stawało się zbyt hałaśliwe. Nowobogaccy arbitrzy z Wall Street odkryli tę prawdę, gdy ukazali niemożliwą do przyjęcia twarz kapitalizmu. Mellonowie, Vanderbil-towie manewrowali, by tego uniknąć. Zadzwoił wewnętrzny telefon.

Latham pstryknął przełącznikiem. Zabawne było załatwiać interesy w basenie, obserwując dzieci na plaży. Wanna z pięknym widokiem to coś tak kalifornijskiego.

—Taaak — odezwał się.

—Mówi Tommy. Możesz mi poświęcić minutkę?

—Wchodź zaraz na górę.

— Świetnie. Będę za dwie.

Latham sięgnął po kunsztownie rżnięty flakonik z olejkim kąpielowym. Dlaczego pachnąca kąpiel ma przysługiwać tylko kobietom? Za dobra jest dla nich. Wlał sporą ilość w spienioną wodę i przekręcił pokrętła, by zwiększyć moc stru-

mieni. Jakie wspaniałe wiadomości przyniesie Havers? Zarobił nowe miliony? Pograżył jeszcze paru rywali? Człowiek, który miał wszystko co najlepsze, odniósł kolejne osobiste triumfy?

Havers kroczył przez bezmiary sypialni Lathama. Wzdrażał się na myśl o dyskusji nad wanną. Typowy mózgowiec czuł się nie na swoim miejscu w atmosferze pedalstwa. Tutaj męska nagość i sposób, w jaki się do niej podchodzi, to rodzaj podziemnej próby charakteru.

Jakby czytając w myślach Haversa, Dick Latham ostentacyjnie poruszył się pod warstwą banieczek. Stawianie mężczyzn w niezręcznej sytuacji i pogłębianie ich zażenowania było jego misją życiową.

— Co tam masz, Tommy?

— Chciałem ci podać ostatnie wieści co do warunków lokalizacji Cosmosu. Sądzę, że powinieneś być zorientowany przed przyjęciem u Getty'ego.

—No i jak leci? Zdaje się, że opozycja to kupa mięczaków. Nie umieli zebrać się do kupy. Zamiast zmobilizować grupy protestu, Alabama podlizuje się prezydentowi i majstruje jakąś nudną retro-spekcję u Getty'ego. Stary cap zapił się już pewnie na amen. Pełen wściekłości i nic nie znaczącego wrzasku. Cała para w gwizdek, jak powiedzieliby moi angielscy znajomi.

—Takie słuchy i do mnie dochodzą. Rozmawiałem właśnie z Fin-gletonem z Komisji Wybrzeża. Siedzieli cicho, spodziewając się nie wiem jakich awantur, a tymczasem prawie nic się nie stało — dwóch czy trzech liberalnych kongresmenów trochę poszumiało, do paru polityków przyszło więcej listów, w lewicowej prasie ukazało się kilka zjadliwych artykułów. Nic poważnego. Natomiast nie mogę zrozumieć Alabamy. Wydał jedno szumne oświadczenie i zniknął z powierzchni ziemi. Jeśli nie wyciągnie jakiegoś królika z kapelusza, mamy go z głowy. Za tydzień, dwa dostaniemy ostateczne zezwolenie, a za trzy tygodnie będą tu buldożery.

Dick Latham wpatrywał się w piasek. Jakaś dziewczyna spychała w morze deskę surfingową — mikroskopijne bikini, napięte ciało, białe jak śnieg włosy. Boże! Dlaczego ludzie w ogóle mieszkają gdzie indziej? Za osiemdziesiąt kawałków od stopy nie uzbrojonego terenu nad oceanem tutejsze ziemie stanowiły niesłychaną gratkę. Do diabła! Już na parceli o długości 125 stóp można postawić coś przyzwoitego.

A potem wystarczy wygodnie się rozsiąść, przyglądać się kobietom i czekać, póki nie zabierze człowieka fala odpływu — łatwo przyszło, łatwo poszło na południu, gdzie bezpieczeństwo jest dodatkiem, który się usuwa, i gdzie gra idzie o wszystko. Wtem, pośród tych rozmyślań, zmarszczył się z niezadowoleniem. Na pogodnym horyzoncie pojawiła się chmurka. Zrodzona z instynktu, rosła szybko, ciemniejąc, posuwając się ku centrum jego umysłu. Zaliczanie Alabamy do kategorii przegranych pijaczków to pobożne życzenia. Latham nigdy nie popełnił błędu niedoceniań przeciwnika. Gdzieś tam Alabama coś kombinuje. Latham dowie się o tym raczej prędzej niż później. I przeczuwał, że nie będzie to przyjemne.

—Co mamy w planie na weekend? — spytał Latham, wysiłkiem woli zagłuszając niepokój.

—Jutro przyjeżdża Emma i ludzie z *New Celebrity*. Pewnie będą chcieli, żebyś ich poklepał po główkach, dał podwyżki i tak dalej. Muszę powiedzieć, że zrobili kawał fantastycznej roboty. Pismo idzie jak woda.

—To dzieło Emmy. Wszystko to jej zasługa. A wydobyłem ją ja.

Dick Latham mówił ostrym tonem. Pod koniec dnia należy prześledzić strumień pieniądza, by stwierdzić, komu należy się uznanie za sprawny i obfity przepływ. Nie był to wskaźnik nieomylny, ale zazwyczaj dokładny. Uznania zaś nigdy nie miał dość. To spuścizna po ojcu.

—Tak, Dick, to był wspaniały pomysł. Naprawdę wspaniały.

—Uważaj, cały personel zabiorę jutro na lunch, ale obiad chcę zjeść w spokoju. Wezmę Emmę do „La Scali”. Mają tam wspaniałe okonie morskie, a poza tym chętnie posłucham, jak się wyżywa na wielkościach z sobotniego przyjęcia. Jak leci w Cosmosie?

—Gwałtownie poszukujemy dyrektora administracyjnego. Przeglądałeś tę krótką listę, którą ci przysłałem?

—Teraz jest krótsza. Wszystkich wykreśliłem. Oni są przegrani, Tommy. To tacy faceci, którzy znają tylko dwa słowa. Tak, dla wszystkich ważniejszych od siebie. Nie, dla stojących niżej. Potrzebuję kogoś, kto nie lękałby się podjąć pewnego ryzyka. Prawnicy i agenci obawiają się tego, a tak zwane jednostki twórcze chętnie ryzykują, ale nie przykładają większej wagi do kalkulacji. A co myślisz o jakimś słynnym psychoanalityku? Przynajmniej wiedziałby, co w trawie piszczy, i może wyniuchać, co się spodoba w Kalifornii.

—Może trafimy na jakiegoś dziś wieczór u Getty'ego. Wszyscy podejrzani zjawią się ze względu na prezydenta — rzekł Havers.

—Ciekawe, dlaczego właściwie prezydent się zjawi? — zastanawiał się Latham.

— Czy nie jest miłośnikiem fotografowania?

Latham nie odpowiedział. Wiedział o tym każdy, kto się liczył. Gdy starszek był senatorem, rzeczywiście miał wystawę tych swoich wypocin w Corcoran Gallery w Waszyngtonie. Latham był na otwarciu i razem ze wszystkimi świetnymi gośćmi chichotał, osłaniając ręką usta, rozbawiony bezczelną zarozumiałością osobowości polityka. No dobrze, a zatem stary pozer i błazen uważał się za estetę celuloideu, przyjacielem i wielbicielem Alabamy był zaś od lat. Ale to jeszcze nie wyjaśnia obecności najważniejszego człowieka zachodniego świata w elitarnym muzeum w Malibu.

—W każdym razie — rzekł Latham — jeśli będę miał okazję z nim porozmawiać, czy mam coś wyciągnąć? Co z tymi podaniami o licencji telewizyjne w Chicago? Czy nie utknęły w Federalnej Komisji Środków Przekazu?

—Tak, nie zaszkodziłoby, gdybyś to wyciągnął. Przewodniczący komisji był z nim w Yale, a właśnie został mianowany. Słowo we właściwym czasie może zdziałać cuda.

Latham nachmurzył się. Opanowała go nieprzyjemna myśl. Do czyjego ucha szeptał Alabama?

14.

Zwykłemu śmiertelnikowi trudniej było przejść przez bramy posiadłości Getty'ego, niż przedostać się przez ucho igielne, lecz Alabama nie był zwykły. Przepuszczano go machnięciem ręki, jak przystoi bóstwu, którym był. Stał teraz jak kolos przy brukowanym ceglami, otoczonym kolumnadą wejściu do muzealnego ogrodu i znad sadzawki spoglądał z wysoka ku głównemu budynkowi, zaprojek-

towanemu w stylu rzymskiej willi. Nie chciało mu się przebierać na przyjęcie. Przyszedł jako on.

Wokół niego grube ryby szeptały, jak spiskujący dworzanie w starożytnym Rzymie. W tradycyjnym stylu Malibu przybyli punktualnie, by móc wcześniej wyjść. Nietradycyjne było natomiast nerwowe napięcie, trzaskające w krystalicznym powietrzu. Czuło się niepokój. Miał przybyć prezydent. Zjawił się już Alabama w ubraniu, którego nie przyjęłyby organizacje dobroczynne, wraz z muskułarnym towarzyszem, otoczony orężem swej sztuki jak aureolą. W każdej chwili może pojawić się miliarder, by dołączyć do Streisand, Cher, Spielberga i Johnny'ego Carsona, i wszyscy ujrzą, jak zimna wojna, która toczy się w Malibu od niepamiętnych czasów, wybucha płomieniem. Tu, na ich oczach, w muzeum, które starało się być oazą spokoju, Latham i Alabama ruszą do boju tysiąclecia, w którym sędzią będzie prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki. Wytwórnia filmowa w górach Alabamy! Była to sprawa równie zapalna, jak słynne pożary zarośli, szalejące w Malibu pod koniec lata.

— King, człowieku, będzie tak, jak za dawnych czasów — powiedział Alabama. Serce wezbrało mu w beczkowatej piersi. Będąc na krawędzi wojny, nigdy nie odczuwał takiego spokoju. Powód znajdował się w górze, na ścianach, na których rozwieszono fotogramy. Po tylu latach artystycznej bezpłodności znowu poczuł moc twórczą. Wczesnym rankiem, gdy słońce wstało nad wzgórzami, walczył ze swymi demonami i wygrał. Część jego istoty doprawdy była wdzięczna filistyńskiemu bogaczowi. Okrutnie wstrząsając Alabamą Latham obudził w twardzielu brutala. Gdy wstąpił w niego diabeł, zniknęły opory, blokujące twórczą wenę, i dzieła, które wypłynęły mu z duszy, stanowiły jego szczytowe osiągnięcia. W tej chwili drzwi do sali wystawowej były zamknięte. Prezydenci lubią otwierać, a i wrażenie będzie w ten sposób większe. Fotogramy wywrą efekt dramatyczny, gdy osobistości z kręgów opiniotwórczych zaczną rozkoszować się ową ucztą oczu, którą dla nich przygotował. Przefiltrował i zintensyfikował piękno gór. Promieniowało z jego fotografii jaśniej niż z przyrody, stanowiącej natchnienie Alabamy. Tu, w bieli i czerni, kryło się piękno, które niszczyciel chciał unicestwić. Foka pod pałką myśliwego ani dziecko patrzące na lufę mordercy nie mogły wymowniej przemawiać za jego sprawą, która stanie się sprawą całego świata. Wie, że wygra. Zdjęcia były potężniejsze niż miliardy miliardera. Świadome zagadnień ochrony środowiska gwiazdy wzniosą się na fali przyływu swej sławy i zatopią Dicka La-

thama jak dziecinną łódeczkę na morzu. Nie powinien był zaczynać z Alabamą. Ani w Paryżu przed laty. Ani teraz. Ani nigdy.

Tajni detektywi rozproszeni byli w tłumie jak rodziny w placku owocowym. Z nadajnikami przyciśniętymi do uszu, w ciemnych okularach połyskujących w świetle późnego popołudnia, strzelali oczyma tu i tam, czekając na przybycie prezydenta. Towarzyskie pogaduszki zagłuszył łoskot helikoptera, kontrolującego przejazd kolumny prezydenta po biegnącej wzdłuż Pacyfiku autostradzie. Niektórzy goście spojrzeli w górę. Większości się nie chciało. Rezerwa mieszkańców Malibu wymagała powściągliwej reakcji na wszystko z wyjątkiem większych tragedii, jak powginana karoseria, naruszenie sfery prywatności i wahania w handlu nieruchomościami.

— Powodzenia, Alabamo — rzekła Cher.

Alabama uśmiechnął się, wyciągając gruzłowatą dłoń. Wynajmowała posiadłość w Malibu, lecz wkrótce kupi coś na własność, a ponadto miała dar przekonywania i właściwy stosunek do problemów ochrony środowiska.

—Mogę liczyć na twoje poparcie? — zapytał z uśmiechem.

—Zawsze. Wszędzie. Mogę śpiewać. Mogę grać. Widziałeś, jak stepuję. Ten świr nie wie, z kim ma do czynienia. Samą forszą tutaj nic nie działa. Powinien pójść po rozum do głowy i pojechać do domu.

—Może to się da zrobić. Prezydent jest w naszym narożniku. Gdy się pochyla, czuje się ciężar.

—Ty też nie jesteś chucherkiem, Alabamo.

—Zobaczymy. Zobaczymy. — Alabama zachichotał. Czuł się wspaniale. To jak huk motocykla za dawnych lat, jak poker, gdy się ma karty. W każdej chwili Latham może teraz wpłynąć przez drzwi w obłoku swego czaru, a Alabama rąbnie go prosto między oczy, wysyłające laserowe promienie fałszywej skromności. Nie ćwiczył swego przemówienia. Będzie zań mówić słuszne oburzenie. Gdy kurz opadnie, Latham dowie się zarówno tego, że jest to sprawa osobista, jak i tego, że przegrał. Paryż zostanie pomszczony. Góry będą bezpieczne.

—Czy życzy pan sobie szklanekę do piwa? — spytał krążący wokół niego kelner. Najwyraźniej był nowy w Malibu.

—Nieee — odparł Alabama, przykładając butelkę do warg i pociągając potężny łyk. Oczyma przepatrywał tłum. Wszyscy się stawili, tak jak się spodziewał. Stowarzyszenie Środków Przekazu na Rzecz Ochrony Przyrody pod przewodnic-

twem Normana i Lyn Learów było dobrze reprezentowane. Jego trzydziestu pięciu członków-utrącejuszy płaciło około dwudziestu pięciu tysięcy dolarów rocznie na takie ekologiczne cele, jak zamierzenia Alabamy. Przybył Redford, rozmawiał teraz z szefem Disneya Michaeliem Eisnerem i jego żoną Jane przy marmurowym posągu Betseby dłuta flamandzkiego rzeźbiarza. Wszyscy byli członkami Stowarzyszenia Środków Przekazu na Rzecz Ochrony Przyrody. Rywalizujące z nimi Biuro Środków Przekazu na Rzecz Ziemi reprezentowali Tom Cruise, John Ritter oraz ewangeliczna założycielka tej organizacji, charyzmatyczna Bonnie Reiss. Pokazali się nieprzejednani agitatorzy kontestatorzy. Alabama zauważył członków zarówno Rady Obrony Zasobów Naturalnych, jak i Funduszu Obrony Środowiska, pogrążonych w rozmowie z Bobem Hattoyem, regionalnym dyrektorem klubu „Sierra” z siedzibą w Los Angeles. Dyskutanci ocierali się o nagiego greckiego młodzieńca z około 530 roku p.n.e.

Lecz Alabama szukał w tłumie kogoś innego i nie mógł go dostrzec. Pat Parker została zaproszona. Czy przybędzie? Co powie? Co zrobi? Wzbierały w nim wątpliwości, w miarę jak opadało uniesienie. Poradzi sobie z prezydentem. Bez trudu załatwi Lathama. Ale jak podejść do Pat Parker, jedynej istoty na ziemi, którą uznawał za równą sobie? Setki razy skakała mu do oczu i zazwyczaj wygrywała. Ale w tamtych czasach racja była zawsze po jej stronie. Co zrobi teraz? Może wiele stracić postępując słusznie, a mnóstwo zyskać tego unikając. Gdyby stanęła przy nim, podziwiałby ją i szanował jak nikogo. A jeśli nie? *Cóż*, próbował nie myśleć o okropnościach, do których wtedy dojdzie. Wtem, ujrawszy na skraju zgromadzenia dwie osoby, doszedł do wniosku, że Pat Parker powinna być w pobliżu. Tony Valentino i Allison Vanderbilt zatopieni byli w rozmowie.

— Ona wciąż cię kocha, Tony — rzekła Allison. — Naprawdę. Ja jej wierzę.

— Prosiła cię, żebyś mi to powiedziała?

Allison Vanderbilt nie umiała kłamać. Zadawała sobie ten trud tylko dla rodziców i jeszcze paru osób.

— Niezupełnie. Ale przypuszczalnie wie, że ci powiem. — Patrzyła wprost na niego, nie obawiając się jego sarkazmu, ponieważ chciała, by był szczęśliwy, i wierzyła, że Pat może to sprawić.

—Po prostu chce, żeby robota nad filmem gładko poszła. Interesuje się tylko swoją karierą i wyłącznie o nią zabiega. Teraz usiłuje wykorzystać ciebie. Najprawdopodobniej dlatego w ogóle się z tobą zaprzyjaźniła.

—Tony, czy to takie straszne, że chce się coś mieć? Czy tak karygodne jest wykorzystywanie ludzi do swoich celów? Nigdy tego nie robiłeś?

Nie oskarżała go wprost, ale wyrzut tkwił między wierszami. Allison nie miała nic przeciwko temu, by się nią posłużono. Modliła się o to, żeby Tony ją wykorzystał. Co nie zmienia faktu, iż rzeczywiście tak zrobił.

Allison spostrzegła, jak po jego twarzy przemknęła chmurka winy. Wykorzystywała więc przewagę.

— Czasami, gdy się bardzo kocha, osoba wykorzystywana czuje się zaszczycona. A ludzie ambitni mogą prawdziwie kochać tych, którzy są dla nich dobrzy. Może tylko w ten sposób umieją kochać. Wiem, że miłość powinna być czysta, bez ukrytych pobudek, ale to się zdarza tylko w powieściach miłosnych. W prawdziwym świecie ludzie kochają tych, którzy pomagają im urzeczywistnić swe marzenia.

— Tak powiada wielka znawczyni „prawdziwego” świata. Allison przygotowała się na wymówkę, ale nie czuła urazy, gdyż wiedziała, że jej słowa dotarły do niego. Tony i Pat byli duchowym rodzeństwem. W ich życiu kariery nie da się oddzielić od miłości, jak kościoła od państwa. Jeśli takie uczucie stanowiło ich cel, obojgu przeznaczone było życie bez miłości.

—Może rozumiem świat trochę lepiej niż ty, Tony — rzekła Allison. — Ja przynajmniej zastanawiam się nad nim od czasu do czasu.

—A ja to niby nie? — Tony uśmiechnął się, by pokazać, że nie dąży do kłótni. Nie lubił walczyć z Allison. Zwyciężywszy ją czuł się jak kretyn.

— Chodzi mi o to, że nie obchodzi cię, co myślą inni, tak więc nie jesteś światowym ekspertem w dziedzinie ludzkiej motywacji. W porządku, nie musisz nim być. Nie krytykuję cię.

Uśmiechnęła się z zabawnego pomysłu, że mogłaby krytykować Tony'ego.

— Masz rację — rzekł ponuro. — Ludzie to Marsjanie. Są dla mnie absolutną zagadką.

Allison roześmiała się.

—Dla innych też. Widzisz, większość ludzi ma mądre teorie na temat tego, co wzrusza innych, i podaje je za fakty. Nikt nie zna prawdy, więc nie może im udowodnić, że się mylą. A twoim zdaniem, na czym zarabiają psychoanalitycy?

—Uważam, że Pat jest mniej tajemnicza niż ktokolwiek inny — powiedział prawie do siebie. Co, u licha, czuł do Pat Parker? Doszedł do wniosku, że trudno mu analizować takie rzeczy. Jakąś częścią swej osobowości nadal ją kochał. Uważał też, że Pat go zdradziła. Kłopot polegał na tym, że nie wiedział zbyt wiele o miłości. Sympatia, współczucie i zrozumienie nie zajmowały zbyt dużo miejsca w jego życiu emocjonalnym. Gdy myślał o Pat, pragnął jej. Jej ciało go rozpalało. Zawsze czuł się dobrze, gdy znajdowała się przy nim, gorzej, gdy była daleko. Przy niej czuł się silny. Uwielbiał z nią walczyć, gdyż przeciwstawiała mu się i nie pozwalała wciskać sobie kitu. Podziwiał jej odważną determinację, żywy temperament, talent artystyczny i naprawdę podobało mu się, jak łapczywie jadła, jak się ubierała, bawiły go też jej żarty. Nigdy go nie denerwowała, w czym była prawdziwym wyjątkiem. Naprawdę ją lubił. To go najbardziej zdumiewało. Była przyjaciółką, która za naciśnięciem guzika mogła stać się kochanką, i nigdy nie miał pewności, kiedy jakiś widmowy palec włączy prąd. Czy to miłość? Czy też Grecy mają na to jakieś subtelniejsze określenie? Nieważne! Na dobre czy złe, takie nurtowały go uczucia.

—Przebacz jej, Tony. Nie chciała nic złego, a wyszło z tego tylko dobro. Ze względu na nią, tak, ale i ze względu na siebie. I na mnie.

Tony nie odezwał się. Ufał Allison. Była tak czysta i kochała go czystą miłością. Nigdy nie powiedziała pokrętnego słowa. Wszystko, czego dla niego pragnęła, było cudowne. Dlaczego, do diabła, nie mógł jej kochać? Była piękna, niewiarygodnie piękna, i kochała się z nim z taką intensywnością, jakiej nie doświadczył u żadnej innej kobiety. Jakże łatwo byłoby ją kochać, a jednak z jakiegoś powodu było to niemożliwe.

—Czy Pat przyjdzie dziś wieczór?

—Tak, owszem.

— Co ma zamiar powiedzieć Alabamie?

— O Boże, nie wiem. Chyba mu powie, że nie jest w stanie mu pomóc.

— Nie powinna tego robić.

—Dlaczego? O co ci chodzi? — W głosie Allison zadźwięczał niepokój.

—Źle by postąpiła. Te góry to nie miejsce na wytwórnę filmową. Alabama jest jej przyjacielem. Nie może go zawieść. Do cholery, podobno jest artystką. Powinno jej zależeć na takich rzeczach.

—Ale jeśli nie stanie po stronie Lathama, nie dostanie tego filmu, który w ogóle może paść. Straci wielką szansę. Nie może podjąć takiego ryzyka.

Alarm przeradzał się w panikę. Allison myślała tylko o marzeniach Tony'ego. Nic nie może przeszkodzić w ich realizacji.

— Film mi zwisa. W końcu to tylko zabawa. I Latham mi zwisa. To skurwysyn. Był nim i będzie. Chodzi mu tylko o tę jego pierdoloną forszę. Ktoś powinien mu powiedzieć.

Allison spojrzała na niego ze zgrozą. Może jednak go nie rozumiała. Zawsze myślała, że zależało mu tylko na tym, by zostać gwiazdą. Teraz zdawał się bardziej dbać o to, by Pat Parker nie straciła swych ideałów. Boże drogi! Więc jej tyrada okazała się aż tak przekonująca? Być może mężczyzna, którego kochała, wiedział jednak, jak kochać. Wyraził przed chwilą altruistyczne uczucie, a przynajmniej tak mu się wydawało. Cóż, jeśli pragnął Pat bardziej niż tego, by jego nazwisko rozbłysło w świetle neonów, jej to jak najbardziej odpowiadało. Będzie się musiała tylko trochę przyzwyczać.

Lecz ich rozmowa dobiegła kresu.

— Patrzcie, prezydent — rzekła nowa, bardzo wzięta pośredniczka w handlu nieruchomościami, Lori McGovern.

Rzeczywiście był to on.

Prezydentowi udało się wejść bez szczególnych ceremonii, co jeszcze bardziej podkreśliło wagę jego osoby. Wpłynął na fali tajnych detektywów i po drodze do Alabamy ścisnął dłonie oraz wymienił pozdrowienia z pół tuzinem osób, które mogłyby wesprzeć jego kampanię wyborczą.

Alabama wyszedł mu na powitanie. Każdy inny osobnik o jego wyglądzie zostałby zastrzelony, nim zdążyłby zrobić następny krok. Wyglądał dużo bardziej złowieszczo niż zamachowiec, lecz był najstarszym przyjacielem prezydenta.

— Alabamo, stary druho — rzekł prezydent, obejmując go w niedźwiedzim uścisku. Naprawdę potężni mężczyźni znają wartość publicznego okazywania przyjacielskich uczuć.

—Fred, Fred, jak to dobrze, że przyjechałeś. — Alabama nie robił ceremonii. Fred był Fredem, nie „panem prezydentem”. Naprawdę jeździli razem na wypra-

wy motocyklowe, gdy miał indiańską maszynę, a Fred Fułton nie myślał nawet o karierze politycznej. Wspólnie popijali piwo i snuli marzenia o zarabianiu na życie fotografowaniem. Troszczyli się o ochronę środowiska jeszcze w tych odległych czasach, nim zajmowanie się tym zaczęło być dobrze widziane i nim rzeczywiście było się o co martwić. Teraz starzy przyjaciele połączyli się znowu w obliczu zagrożenia, w najlepszej tradycji przyjaźni. Przez telefon Alabama wszystko wyłożył. Prosił o pomoc spodziewając się, że ją otrzyma, i nie doznał rozczarowania. Latham należał do tych ludzi, których nawet prezydent nie chciałby rozgniewać. Lecz nie była to zwyczajna sprawa. Stawką było życie lub śmierć ukochanych gór Alabamy.

—Gdzie są fotografie, Alabamo? To mnie interesuje. I co zrobimy z facetem, który chce nam ukraść pierworództwo? — Fulton lubił dramatyzować. Jego trąbka zawsze brzmiała donośnie. Dlatego właśnie jego zwolennicy wygrali dlań tyle bitew. Rozejrzał się po przybyłych, skupionych wokół rzymskiego ogrodu, a jego słowa popłynęły nad nimi, by nie było wątpliwości, jakie zajmie stanowisko w tej sprawie — ramię przy ramieniu z Alabamą. Niezwykle wrażliwe czułki polityczne Fultona wychwyciły, że tłum składa się głównie z demokratów. To jego ludzie. Wiele gwiazd brało udział w wiecach w czasie jego kampanii wyborczej. Postąpią właściwie. Ale czy rzeczywiście? Latham w końcu nie zamierza zbudować tu parku rozrywki i wypoczynku. Ma to być wytwórnia filmowa. Stanowiłaby potencjalne miejsce pracy ludzi, którzy nigdy nie mają jej dość. Sprzeciw wobec tych planów oznaczałby przedłożenie ideałów nad karierę. Ludziom filmu trudno będzie dokonać właściwego wyboru.

—Chodź, pokażę ci — rzekł Alabama. Kroczył na czele wśród rozstępującego się tłumy, za nim postępował prezydent, a sławy Malibu dreptały z tyłu. Podniecenie rosło. Wystawy zazwyczaj nie kryły wielu niespodzianek. Reklamowano je, recenzowano, komentowano, aż wszyscy wiedzieli, czego się spodziewać. Tę jednakże otaczała tajemnica. Drzwi do sali fotograficznej zamknięte były przez dwa dni i nikt nie miał najmniejszego pojęcia, co się tam szykuje. Wkrótce się dowiedzą.

Tłum przepłynął przez rzymską kolumnadę zrekonstruowanej nea-politańskiej willi do westybulu wejściowego, którego podłoga wyłożona została marmurem. W ślad za przywódcą weszli na schody. Dębowe drzwi sali fotograficznej były zamknięte. W dłoni Alabamy zmaterializował się okazały klucz. Teraz je otworzył.

Cofnął się, gestem ręki zapraszając do wejścia prezydenta. Nie była to duża sala i na gładkich, białych ścianach nie wisiało wiele fotogramów. Nie musiało. To był oryginalny Alabama. Prezydent popatrzył na przyjaciela i uśmiechnął się.

— Gdzie mam zacząć? — spytał.

Alabama wskazał ręką najbliższą ścianę. Prezydent podszedł do zdjęcia. Cofnął się. Przybliżył. Pochylił się, by podziwiać szczegóły. Jeszcze raz się cofnął. Alabama stał u jego boku. W absolutnej ciszy prezydent powtórzył ten rytuał przy pięciu kolejnych fotogramach. Po czym w końcu odwrócił się ku Alabamie. Oczy błyszczały mu z podniecenia. Otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz ten jedyny raz słowa zawiodły starego wiecowego wygę. Próbował ratować się rękami. Rozłożyły się. Zatrzepotały, uniosły się w górę, opadły na boki gestem, który mówił, że to, co teraz nastąpi, będzie żałośnie niewystarczające.

— Nigdy... nigdy... — wymamrotał — nigdy nie widziałem tak pięknych zdjęć. Czy to... czy to ten kanion, który Latham usiłuje zniszczyć?

Alabama przytaknął. Malibu nastawiło ucha, by dowiedzieć się, jakie są odczucia wielkiej osobistości. Nie czekali długo.

— No cóż — powiedział prezydent Stanów Zjednoczonych — chyba mu nie pozwolimy, prawda?

Latham spóźnił się. Wyskoczył z samochodu i zwirowaną ścieżką pobiegł ku drzwiom muzeum Getty'ego. Havers i kilku prawników pędziło u jego boku. Latham miał na sobie nieskazitelny garnitur z ciemnoszarej wełny w białe prążki i jedynie stroskany wyraz twarzy mógł nasunąć myśl, że nie wszystko układa się najlepiej. Tak mówił mu instynkt. Było tu za cicho, poza obrębem imperium Lathama. Czy to Indianie zebrali się w milczącej ciemności? Czy koktajl i wystawa w muzeum Getty'ego w obecności prezydenta są najlepszym miejscem na zorganizowanie zasadzki? Jeśli tak, był gotów. Dyktował własne prawa, nie za pomocą sześciostrzałowych rewolwerów, lecz pod postacią ich najnowszych odpowiedników: pary lśniących prawników z nacięciami niezwykle korzystnych wyroków sądowych na kolbach. Jeśli padną jakieś ostre słowa, raczej niech nie dają podstaw do procesu o zniesławienie. Nie należy wysuwać żadnych niestosownych aluzji czy też zawołanych insynuacji, jakoby ktokolwiek usiłował bezprawnie wpłynąć na decyzje dotyczące lokalizacji, wydawane przez uprawnione do tego agendy. Ze zwykłym znieważeniem da sobie radę. Otrząśnie się z niego jak kaczka z

wody. Zależało mu tylko na tym, by wygrać. Sądząc z tego, jak wyglądały sprawy w Komisji Wybrzeża, właściwie zwyciężył. A jednak... a jednak...

Uchyliły się przed nim bramy ogrodu Getty'ego. Zatrzymał się. Prócz paru wałęsających się kelnerów nie było w nim żywej duszy. Chwycił za rękaw kelnera, który mu się akurat nawinał.

—Gdzie są wszyscy? Kelner wskazał palcem.

—Na górze, w sali fotograficznej, oglądają zdjęcia — rzekł. Latham ruszył wściekle. Do diabła! Powinien był pamiętać o ruchu

na autostradzie i dodatkowych zakłóceniach, spowodowanych przejazdem kolumny prezydenckiej. Inni widać wzięli to pod uwagę. Płaci frycowe w Malibu. Prawdopodobnie prezydent już tam jest. Wałęsający się wokół faceci od brudnej roboty w połyskliwych garniturach mieli na piersiach plakietki z napisem: „Ochrona”. Przyglądali mu się podejrzliwie, lecz nie podchodzili. Przeszedł przez kontrolę w bramie, a jego wygląd był dziwnie znajomy.

Ze stukotem wbiegł po schodach. Kolejka do galerii fotograficznej wila się przez hol.

— Hej, Dick — powitał go straszliwy agent z Broad Beach, który niegdyś oznajmił Lathamowi, że jego party nie wypaliło, ponieważ nie pojawił się na nim Alabama. — Alabama jest w środku z prezydentem. — Brodaty świr rzucił nazwisko fotografika głośno i wyraźnie, dając do zrozumienia, że dobrze go zna, a stojący za nim pomniejsi notable Malibu wprost nie mogli go nie naśladować.

Latham pomknął na czoło kolejki. Na nikogo nie będzie czekał. Jeśli coś mówi się za jego plecami, chciałby wiedzieć, o co chodzi. Wepchnął się do wypełnionej sali, przepychając się przed Olivie Newton-John, która była zbyt uprzejma i dobrze wychowana, by protestować. Tu niemal wpadł na Alabamę.

Odskoczył. Ich spojrzenia skrzyżowały się jak rogi walczących jeleni.

—Rysiulek-spryciulek — warknął Alabama.

—Ben Alabama — odpalił Latham. Był wytracony z równowagi. Przecwiczyl to w głowie, ale tu stanął w obliczu rzeczywistości. Alabama wyglądał na tak podłego, jak zawsze. Różnica polegała na tym, że teraz miał wszelkie po temu powody.

—Okłamałeś mnie — rzucił gwałtownie Alabama przez zaciśnięte zęby. To katastrofa. W obecności każdego, kto jest kimś w Malibu, to jest całego przemysłu filmowego, Lathama publicznie napiętnowano jako kłamcę.

—Mam tu adwokatów — rzeki chłodno Latham. — To oszczercze zniesławienie.

—To święta prawda — cedził Alabama. — Powiedziałeś mi, że chcesz na tej ziemi wybudować dom, nie śmierdzącą wytwórnię.

— Zmieniłem zdanie — rzekł Latham.

—Musisz zmienić je na powrót — rzekł Alabama, groźnie pochylając się do przodu, oczy zwięziły mu się od ogromu nienawiści.

—O tym zadecyduje Kalifornijska Komisja Wybrzeża — rzekł Latham. Nie da się zastraszyć. Jeśli Alabama przestanie panować nad sobą, Latham wygra. Zdaje się, że niewiele do tego brakowało. Był całkowicie świadom panującej w pokoju ciszy. Wszyscy starali się wyłapać każde słowo. W ciągu godziny na południu będą krążyć setki wersji tej rozmowy.

—To studio zostanie zbudowane po moim trupie. — Głos Alabamy drżał od ledwie powstrzymanego gniewu.

— Mam nadzieję, że nie, ale jeśli nie da się tego uniknąć... Latham uśmiechnął się wymuszonym uśmiechem. Starcie przybierało korzystny dla niego kierunek. Czuł to.

—Zawsze byłeś skurwysynem, Latham. Nie zmieniłeś się. Jesteś takim samym zasmarkanym bogatym szczeniakiem, jakim byłeś w Paryżu. Myślisz, że świat to taka twoja dziecinna zabawka, którą możesz rozwalić, jeśli ci się tak spodoba, no nie? No więc, to jest też nasz świat i nie pozwolimy ci go tknąć.

—Jak się masz, Latham — powiedział prezydent. Objawił się tuż przy łokciu milionera.

—Jak się pan ma, panie prezydencie — odrzekł Latham, słabnąc nieco na widok najpotężniejszej broni.

Prezydent uśmiechnął się groźnie. Jego pseudoprzyjacielski sposób bycia był najniebezpieczniejszą rzeczą, z jaką Latham zetknął się w życiu. Spotkał się z facetem trzy lub cztery razy i choć niezbyt przejmował się jego lewicującymi poglądami i sympatycznym obejściem, zawsze doceniał twardy charakter tego człowieka. Fulton znany był z popierania przyjaciół i niszczenia wrogów. Latham trzymał się od niego z daleka i pracował na rzecz przyszłego kandydata z ramienia republikanów. Lecz teraz nie dało się uniknąć z nim rozmowy.

Pośpiesznie przedstawił Haversa i swych dwóch prawniczych pretorów, nadmieniając, że są adwokatami. Ujrzał, jak oczy starego zwięzają się, gdy wyczuł, o

co Lathamowi idzie. Wszystko, cokolwiek teraz powie, podane zostanie do wiadomości publicznej. Będzie musiał starannie dobierać słowa.

— Masz pojęcie, co przed chwilą widziałem? — powiedział prezydent. Pochylił się do przodu, najwyraźniej oczekując odpowiedzi na absurdalnie postawione pytanie. Było to jedno z owych mogących doprowadzić do szału przesłuchań pod hasłem: „Zgadnij, o czym myślę”, którymi nadęci zwierzchnicy dręczyli swych podwładnych. Latham nie miał pojęcia. Kuropatwa na gruszy? Piękno świętości? Akta CIA na temat kochanki Gorbaczowa?

—Nie wiem — palnął w końcu. Zaczęła nań opadać mgiełka nierzeczywistości.

—Powiem ci — powiedział prezydent, jakby zwracał się do upartego głupiego dzieciaka. — Nie, lepiej ci pokażę. — Wyciągnął rękę i mocno uchwycił Lathama za ramię. Potem powlókł go przez raptownie rozstępujący się tłum ku ścianie sali. — W tym pomieszczeniu — zadudnił prezydent — znajdują się chyba najświetniejsze, najpiękniejsze i najbardziej poruszające fotografie, jakie widziałem w życiu, częściowo poświęconym studiom nad fotografią i jej uprawianiem. To nie są fotki. To sztuka. Wspaniała sztuka. Najwspanialsza, jaką widziałem. Przyjrzyj się jej, Latham. No dalej, przyjrzyj się.

Latham wiedział, co teraz nastąpi. Patrzył na fotografie z entuzjazmem, który rezerwował dla zamieszania na szosie. Na niego spoglądało piękno. Normalnie poruszyłoby nim, jak to było zamierzone. Nie przypominał sobie, by góry tak wyglądały. Zostały mu objawione. Przedtem, widziane przez pryzmat Biblii, wydawały mu się mroczne. Teraz stanął z nimi twarzą w twarz. Naturalnie rozpoznał kanion. Miało znajdować się tam przyszłe zaplecze Cosmosu. Potężne, milczące fotografie dokonały niesłychanego wyczynu. Wymalowały nad jego głową krwawoczerwony ślad, głoszący: Hun Attyła.

— No i co? — zadudnił prezydent.

Latham przełknął ślinę. Stary dureń może być lewicowym chuliganem i wrogiem klasowym, lecz mimo wszystko jest przywódcą Ameryki. Potęga jego urzędu otaczała go jak aura. W jakimś stopniu był Ameryką, krajem, który Latham kochał. Trzeba mu odpowiedzieć. Ale jak? Czuł napierający na niego tłum mieszkańców Malibu. Szyje wyciągały się, uszy falowały, języki gotowe były zacząć mleć.

—Są bardzo dobre — wykrztusił wreszcie. Procesy życiowe w jego ciele zamarły. Serce, jeśli jeszcze biło, robiło to rozpaczliwie słabo.

—Bardzo dobre? Bardzo dobre? — powiedział prezydent z niedowierzaniem. — Do cholery, człowieku, chcesz wsadzić swoje studio akurat w sam środek tego pięknego kanionu. Te zdjęcia naprawdę pokazują szkodę, jaką wyrządzisz. I wszystko, co potrafisz powiedzieć, to: „Są bardzo dobre”? Co z ciebie za facet, Latham? Czy ty w ogóle masz serce? Masz duszę?

Prezydent był napompowany jak balon. Wybałuszył oczy. Latham mógłby przysiąc, że zaczynał się trząść. Był to przerażający widok. Podkręcał się do ataku furii, z których słyszał i których się bardzo obawiano. Wystarczy słowo — jakiegokolwiek słowo — z ust Dicka Lathama, a wzniesie się do stratosfery.

Umysł Lathama znowu zaczął działać. Został wciągnięty w pułapkę. Nie docenił Alabamy, a teraz przebiegły stary myszołów pograżył go ze szczętem. Fotografie to cudowny pomysł, ale wywarły tak wspaniałą skuteczną głównie dlatego, że były niezwykle piękne. Chwytały za serce. Intelktualnie można popierać zabudowę wzgórz lub być przeciw niej. Po obejrzeniu fotogramów możliwy był tylko jeden werdykt: emocjonalny. Do diabła, Latham też to odczuł. Ale nie może dać się pobić. Nigdy nie da się zwyciężyć. To jest biznes i musi wygrać. Na razie może tylko postarać się, by straty nie były zbyt duże. Desperacko szukał słów, które nie podpaliłyby zapalnika prezydenta.

— Ostatnie słowo ma Kalifornijska Komisja Wybrzeża... — wykrztusił. Dalej nie dotarł.

— Komisja Wybrzeża — szydził prezydent, nie posiadając się ze zdziwienia. — Komisja Wybrzeża — powtórzył, jakby był to niesłychanie zabawny żart. — Słuchaj, Latham — warknął. — Wygrałem wybory w Kalifornii, i to nie małą liczbą głosów. Kalifornia to mój stan. Ludzie, którzy tu coś znaczą, to moi przyjaciele. A teraz uważaj. Nie mogę wpłynąć na decyzje lokalizacyjne. Nie byłoby to właściwe. Ale żaden nędzny, lokalny biurokrata, głoszący za budową studia w górach Alabamy, nigdy nie będzie moim przyjacielem. Słyszysz, co mówię? I jeszcze jedno. Zbliża się posiedzenie na temat stanu państwa, po którym odbędzie się konferencja prasowa, ochrona środowiska zaś to sprawa, o której mówią wszyscy, a wiesz, jak środki przekazu lubią konkretne przykłady. Nic nie będzie lepsze niż zdjęcia Alabamy, porozwieszane na tablicach po całej sali. A na dodatek twoje zdjęcie z profilu i en face. I jak to będzie razem wyglądało w kioskach,

gdzie sprzedają twój towar, a także w Komisji Komunikacji, gdzie wydają licencje na twoje stacje telewizyjne? No, odpowiedz mi, Latham. Bardzo jestem ciekaw.

Ale Dick Latham nie chciał powiedzieć prezydentowi, jak to będzie wyglądało. Dick Latham wiedział dokładnie — nie będzie to wyglądało dobrze. Zdażył się już opanować. Znowu zaczynał myśleć optymalnie. Cosmos stanowił zaledwie drobną część jego imperium. Nie można wystawić na szwank Przedsiębiorstw Lathama. Nie da się przewidzieć, czym coś takiego mogłoby się zakończyć. Prezydent zrobił, co do niego należało, grożąc mrożącymi krew w żyłach konsekwencjami. Wiedział o sprawie licencji na założenie prywatnej sieci telewizyjnej w Chicago. Latham, wyobrażając sobie, że spotkanie przebiegnie spokojnie, sam miał zamiar z tym wystąpić. Teraz było jasne jak słońce, co się szepnie w ucho staremu kumpłowi Fultona,, który przewodniczył Federalnej Komisji Komunikacji. Nie trzeba tego mówić głośno. Nikt nie powie nic obciążającego, lecz w rezultacie w Chicago zostanie zarżnięta dojna krowa, która zajmowała poczesne miejsce w planach dochodów Przedsiębiorstw Lathama. A i konferencja prasowa, którą zagroził mu prezydent, również nie będzie należała do najszcześniejszych momentów w życiu miliardera. Wstępniaki rywalizujących z nim gazet rozerwą go na strzępy. Podobnie jak liberałowie, zaludniający wydawnictwa. W salonach na Park Avenue spojrzenia będą równie zimne jak bufet.

Jedno nie ulegało wątpliwości. Realizowanie za wszelką cenę planów budowy Cosmosu w górach byłoby tak głupie, że aż zbrodnicze. Lecz nawet przyznając to przed samym sobą Latham wiedział, że nie może się poddać. Była to sprawa osobista. On przeciw Alabamie. A także Latham uwikłany w nie kończącą się wojnę ze spoczywającym w grobie ojcem. Do diabła, może walczyć z prezydentem. Stary pierdoła nie jest przecież Bogiem. Jest w stanie przeżyć nagonkę mediów i utratę interesu w Chicago. Po co komu forsa, jeśli nie można jej stracić, jak się chce? Ostatnie słowa były słuszne. Wszystko zależy od Komisji Wybrzeża. Jeśli się zgodzą, co w dalszym ciągu wydaje się całkiem prawdopodobne, otrzyma jednak to, na czym mu zależy.

Wyprostował się. Było samo południe. Stał twarzą w twarz z głównodowodzącym, najpotężniejszym człowiekiem na świecie, i nawet okiem nie mrugnął.

— Wysłuchałem tego, co pan powiedział, panie prezydencie, i rozumiem, że musi pan zrobić to, co do pana należy. Ale to nie zmienia moich planów. Historia

pełna jest ludzi, którzy przeciwstawiali się zmianom i walczyli z postępowaniem. Nie zamierzam być jednym z nich.

Oczy prezydenta zwęziły się, gdy słuchał tej całkowicie nieoczekiwanej odpowiedzi Lathama. Krwawy kapitalista oddał wspaniałą strzał i nie złożył broni. Choć był to czyn szalony, należy jednak podziwiać odwagę miliardera. Fulton był w każdym calu zwierzęciem politycznym. Zademontrował swe niezadowolenie. Groził i straszył, by dopiąć swego. Nie osiągnął celu. To znaczy, że należy zminimalizować straty. Władzy i prestiżu nie można trwonić w nędznych publicznych pyskówkach. Obrócił się na pięcie i nie mówiąc słowa, w otoczeniu swej świty majestatycznie opuścił salę.

Alabama nie słyszał końca rozmowy. Wyszedł, gdy prezydent wciąż mówił, a Latham nie mógł go opuścić, dojrzał bowiem w tłumie twarz, która chciała zobaczyć. Przepychał się ku niej, zachodząc z boku, by podejść do niej zniechęca. Zbliżając się, ukrył w dłoni leicę, zwisającą mu z pasa. Nie martwił się. Wiedział, że wszystko będzie dobrze, lecz musiał to odmiej usłyszeć. Musiał wiedzieć, że Pat Parker jest po stronie aniołów, po jego stronie. Znalazłszy się trzy stopy z tyłu za nią, przystanął. Pochyliwszy się ujrzał ją w wizjerze i wyszukując najlepsze ustawienie obliczał jednocześnie naświetlenie. Po czym zaczął. Będzie miała portret), o który go prosiła. Sugerował, że przehandluje zdjęcie za ferrari albo spuści za porsche, lecz ona stwierdziła, że ofiaruje je Tony'emu Valentiftowi. W obiektywie leiki wydawała się jeszcze piękniejsza, dumną głowę trzymała wysoko uniesioną, w oczach błyszczwały iskierki ożywienia. Coś wywołało uśmiech na jej twarzy. Przypominał Alabamie wstające nad górami Słońce i gdy uniósł kąci jej ust, Alabama zawołał cicho: — Pat! — Odwróciła się ku niemu, jak to sobie zaplanował, i jej uśmiech pogłębił się, gdy ujrzała jego i to, co robi. Klik! Gotowe. Doskonałe zdjęcie wykonane przez człowieka, który odnalazł swe mistrzostwo.

— Alabama, zrobiłeś zdjęcie! — powiedziała. Roześmiał się, rozprostowując swą postać i puszczając leicę.

— Nawet kilka — rzekł, szerokim gestem pokazując wiszące na ścianach odbitki.

— Wiem — powiedziała po prostu.

— Zorientowałaś się, że są nowe? — spytał.

— Zorientowałam się. Są wspaniałe. Zupełnie inne. Patrząc na nie chciałabym się rozplakać.

Roześmiał się. Prócz Kinga była jedyną osobą na świecie znającą jego sekret i jedyną też, której magiczne oko bez najmniejszych wątpliwości rozpoznałoby, że te zdjęcia są nowe, nie stare.

— Podobają ci się?

— Wychodzą poza kategorię „podobania się” czy „zachwytu”, Alabamo. — Wyciągnęła rękę i dotknęła go. — Jak to zrobiłeś? Jak przełamałeś zahamowania?

— Ty mi pomogłaś. Rozmiękczyłaś mnie. Powiedziałaś mi prawdę, do której sam nie chciałem się przyznać — że się bałem — że byłem tchórzem. Ale ostatecznie zmusił mnie Latham. Trzeba było go powstrzymać. Dalej jest jednak groźny.

Uważnie ją obserwował. Zbliżał się czas podjęcia decyzji. Przyjemnie im było się spotkać. Jak długo potrwa ta przyjemność? W co się obróci?

Pat przełknęła ślinę. Jeszcze się nie zdecydowała. Kwestia stała na ostrzu noża. Z jednej strony Tony. Z drugiej Alabamo. Z jednej Latham i film, który ma reżyserować, z drugiej fotografie gór, prześladowające swym nietrwałym pięknem na ścianach muzeum Johna Paula Getty'ego.

Oczy mu zabłyśły. Zbyt długo się grzebie. Nie powinno to być takie trudne. Sąd w jej sercu nie musi żądać dodatkowego czasu. Wtem, nad jej ramieniem, Alabamo go dostrzegł. Tony Valentino stał w pobliżu obserwując ich, a Pat Parker nie miała pojęcia, że Tony jest tuż obok.

— Z kim trzymasz, Pat? — spytał.

Pat odetchnęła głęboko. Nawet teraz nie wiedziała, co powiedzieć. Właśnie miała się zorientować.

— Z tobą, Alabamo — odrzekła.

Jego serce przepełniło uczucie ulgi. Chciał wziąć ją w ramiona i tulić w niedźwiedzim uścisku, aż prosiłaby o litość. Lecz przedtem chciał czegoś więcej. Chciał dowiedzieć się wszystkiego dokładnie, niby nie było już wątpliwości ani odwrotu.

— Nie będziesz dla niego pracować? Zostawisz film i *New Celebrity!*

— Jeśli nie zdołam go przekonać, by zrezygnował z planów budowy Cosmosu w Malibu.

— Latham może odpuścić sobie ten film. Tony może nie mieć swojej szansy. Zaryzykujesz to?

Mówiąc to Alabama wpatrywał się w oczy Tony'ego Valentina znad ramienia Pat Parker. Tony wwierał się weń gorejącym wzrokiem w najmniejszym stopniu nie pozwalając odgadnąć swych uczuć.

— Talent zawiedzie Tony'ego tam, dokąd będzie sam chciał. Nie potrzebuje mojej pomocy — rzekła Pat. Ani tego, żebym mu stała na przeszkodzie, pomyślała. Czy zdradziła go po raz drugi? Czy można zdradzić ludzi postępując słusznie? Usiłowała zorientować się w stanie swoich uczuć, lecz nie dała rady. Przepęłniała ją ulga, gdyż wreszcie podjęła decyzję, lecz równoważył ją niepokój co do nagle niepewnej przyszłości. Starą pracę straciła. Prawdopodobnie również i nową. Na zawsze utraciła Tony'ego. To wygórowana cena za cnotę.

Alabama zrobił ruch w jej kierunku, a Pat pochyliła się, by ją objąć. Tu przynajmniej czuła się dobrze i bezpiecznie. Cudownie było powrócić do bazy jego ramion po ziemi niczyjej moralnej niepewności.

— Chodźmy i od razu powiedzmy Lathamowi — rzekł. — Nie da rady nam wszystkim. Zmusimy go do ustąpienia.

Znad ramienia Alabamy Pat utkwiała wzrok w oczach Tony'ego. Alabama uśmiechnął się łagodnie. Czy miał właściwe przeczucie? Czas pokaże.

Przeprowadził Pat przez tłum gwiazd do miejsca, w którym zostawił Lathama, wbitego na cienką włócznię groźby prezydenta. Stał tam teraz, sam na sam ze swymi giermkami, wstrząśnięty i opuszczony, pośród zafascynowanego tłumu. Prezydent był niewidoczny.

— Jak się masz, Dick — odezwała się Pat.

Uśmiechnął się słabo.

— Ty też? — zapytał. Zdawał się wiedzieć.

— Zrezygnuj z tego — rzekła. — Postąpiłeś niewłaściwie. To zły uczynek. Wszyscy to teraz widzą. Alabama im pokazał.

—Nie mogę — powiedział. Odwrócił od niej wzrok. Nie sprawiał wrażenia rozgniewanego ani nawet upartego. Wyglądało na to, jakby ręce miał związane swą przeszłością, osobowością, wszystkimi tymi siłami, które ukształtowały jego niezwykle życie.

—Nie będę mogła pracować dla ciebie, Dick, jeśli się nie wycofasz. Nie będę pracować dla *New Celebrity*. Nie będę nawet mogła pozostać twoją przyjaciółką. Czy zadrzał pod sam koniec? Czy to go przynajmniej poruszyło?

— Jak chcesz — powiedział.

Pat zawrzała gniewem. „Jak chce”? Do diabła!

— Dlaczego zawsze musisz grać Boga, Dicku Lathamie? — wybuchnęła. — Lepiej wyjdiesz, odgrywając małego chłopca, który gdzieś głęboko w tobie siedzi. Obrywasz muszkom skrzydełka. Kłamiesz, oszukujesz i kradniesz, by zrobić nędzną forszę, którą i tak nagromadziłeś już w nieprzyzwoitych ilościach. Niedobrze mi się robi od twojej dumy, potęgi i straszliwego ubóstwa emocjonalnego. Powinieneś się nauczyć czułości, Dicku Lathamie, gdyż inaczej nikt, absolutnie nikt nigdy cię nie pokocha.

— Proszę, proszę — odezwał się ktoś w tłumie. Był to Robert Redford. Dick Latham podniósł wzrok i zobaczył go. Redford grał kiedyś człowieka z gór, Jeremiasza Johnsona, postać bardzo przypominającą Alabamę. Zakochał się w Utah i dzięki swej Sundance Foundation ciężiej pracował nad ocaleniem piękna przyrody niż nad rozwojem własnej kariery. Teraz publicznie opowiedział się przeciw Lathamowi.

— Dick, nie bądź złobem — powiedział ktoś inny. Był to Martin Sheen, nieoficjalny burmistrz Malibu, ten sam, którego w odległej o lata świetlne przeszłości Latham delikatnie skarcił na swym przyjęciu w Broad Beach. Był on duszą tej okolicy, a przynajmniej jej sumieniem. O n wiedział, co to czułość. Dał światu lekcję, jak ją okazywać.

Gwiazdy skupiły się wokół niego, napierając bliżej.

— Jeśli to zrobisz, nigdy nie będę pracował dla Cosmosu — powiedział Mel Gibson.

— Ani żadne z nas — przytaknęła Barbra Streisand. Chór podjął myśl. „Nie będziemy dla ciebie pracować. Nie będziemy dla ciebie pracować.” Słowa przeszły w rytmiczny zaśpiew. Na tyłach tłumu zaczęto rytmicznie poruszać rękami.

Dick Latham przełknął ślinę. W życiu człowieka są przyływy i odpływy, a jeśli sprawy załatwia się w czasie odpływu, gównem z nich wychodzi. Na niego nadszedł właśnie czas takiego odpływu. Przed nim, przyciśnięta doń masą gwiazdzistej ludzkości, stała dziewczyna, której pokochania był najbliżej po jedynej prawdziwej miłości swego życia. Słowa prezydenta nadal dźwięczały w powietrzu. Groźba względem jego imperium mediów jeszcze rozbrzmiewała mu w uszach. Teraz stał się powodem strajku sław. Gwiazdy Malibu niebawem zaczną pikietować jego studio. Jeśli będzie trwał przy swych zgubnych planach, wystawi na

szwank wszystko, co do tej pory stworzył, i Pat będzie miała rację. Nikt, żaden człowiek, nigdy go nie pokocha.

Wyciągnął rękę, a jego głos zabrzmiał zupełnie obco.

— Wygląda na to, że się przeliczyłem — powiedział. — Postanowiłem zrezygnować z wszelkich projektów budowy studia w Malibu.

Ryk aprobaty przeszył powietrze, a jednocześnie, z wolna, lecz niezawodnie, w Dicku Lathamie zaczął wzbierać gniew. Z początku był przytłumiony, potem zapłonął raźniej, aż buchnął oślepiającym płomieniem, przepędzając niezadowolenie, jak poranne słońce rozprasza nadmorską mgiełkę znad wybrzeża Malibu. Alabama wygrał. On przegrał. Lecz nie musi być tym zachwycony. A słowem, które coraz mocniej absorbowowało jego umysł, była zemsta.

Ruszył do wyjścia, przepychając się brutalnie przez tłum. Otarł się o Alabamę, którego twarz rozjaśniał uśmiech triumfu, i odezwał się doń przez zęby zaciśnięte jak pętla wokół szyi wisielca.

— Wątpię, czy zrobisz jeszcze jedną fotografię — warknął.

Pat patrzyła, jak odchodzi, i ulga z powodu jego kapitulacji walczyła z lękiem o przyszłość. Publicznie okazała swój gniew. Latham nigdy jej tego nie wybaczy. Od tej chwili stanie się jej wrogiem. To ją przerażało, ale też i smuciło. Jakąś część osobowości Dicka Lathama lubiła bardzo, może za bardzo. Odnajdywała w niej podobieństwo do siebie.

Nagle zapragnęła uciec od tych wszystkich ludzi. Nie chciała nawet słuchać gratulacji Alabamy. Nie chciała słuchać jego triumfujących pień, gdyż jego zwycięstwo było także jej porażką. Chciała być sama. Chciała się zastanowić i nabrać dystansu do tego wszystkiego. Musiała porobić plany. Musiała się przestawić w obliczu nowej sytuacji, jej świat wywrócił się bowiem do góry nogami i mogła za to winić tylko siebie. A więc dała się porwać rzece sławy do wyjścia i w korytarzu przed salą fotograficzną obróciła się w prawo, cała reszta zaś w lewo. Na drzwiach napisano po prostu: „Malarstwo i rzeźba”, lecz najważniejsze było to, że galeria, do której weszła, świeciła pustkami.

To znaczy, tak było przedtem, bo teraz wypełniała ją swoją osobą Pat i mężczyzna, który szedł za nią. Zdała sobie sprawę, że nie jest sama, gdy od marmurowej podłogi odbił się odgłos czterech kroków zamiast dwóch. Odwróciła się. Mężczyzna przystanął.

— Tony!

Nie odezwał się.

Wpatrywała się w niego bezradnie. Czy zaczną się teraz oskarżenia i wzajemne obwinianie? Czy powinna próbować jakichś wyjaśnień i przeprosin? Spadło na nią za dużo i za szybko. Czowała się wypompowana, ale nadal jej zależało — Boże, jakże jej zależało! Usiłowała odczytać coś z wyrazu jego twarzy. Co się w niej kryło? Czy kiedykolwiek się dowie? Czy ta wiedza jej pomoże? Lecz jego twarz była jak maska. Wpatrywał się w nią długim, twardym spojrzeniem, za nieporuszonymi rysami kryjąc tajemnicę swej osobowości.

I wtem, całkiem niespodziewanie, zaczął się uśmiechać.

Uśmiech zaczął się jak iskierka ognia w wysokim chaparralu. Zatańczył w kącikach ust i podążył do środka i w górę, obejmując wargi, oczy i nagle zmarszczone czoło. Owiany wiatrem, rozplómił się po całej twarzy, aż stał się paleniskiem, jaśniejszym niż słońce, ogrzewając serce Pat swym płomiennym żarem.

—Och, Tony — wyszeptała i padła mu w ramiona. Był gotów ją przyjąć. Schwycił ją i trzymał z siłą mówiącą, że nigdy jej nie puści. Tulił ją do siebie, wyciskając z niej zwątpienie i ból, a ona skryła twarz w jego sile, czując jego ciepło, moszcząc się w ukochanym ciele.

—Skończyło się — wyszeptał. Miał na myśli gniew, frustrację, gorycz.

—Czy się zaczyna? Czy to nowy początek? — zapytała cicho, rozumiejąc pod tym ich przyszłość, związek, który będzie małżeństwem, wspólną wieczność. Jego oczy przytaknęły.

Przez długie sekundy byli szczęśliwi, stojąc po prostu tuż przy sobie po długim rozstaniu, lecz potem ciała ich zaczęły się poruszać. Wzrastała zachłanność. Dotyk zaostrzył ich apetyty. Oderwała twarz od jego piersi i spojrzała ku niemu przez mgłę łez, które zasnuwały jej oczy.

— Tony!

Przesunął po jej włosach palcami, gorączkowo śpieszącymi, by doświadczyć jej raz jeszcze. Wzrokiem obiegał jej piękno, pragnąc pochwycić je na zawsze. Po czym, przyciągnąwszy ją do siebie, pochylił

się ku niej, a jego wargi pomknęły ku jej ustom. W chłodnym mroku świątyni sztuki pocałunek był ich obrączką, a bezdźwięczne usta wykrzykiwały przysięgi wierności. Złączyła się ich wilgoć. Ciała zwały w uścisku. Języki plasnęły o siebie. Oplotła mu ręce wokół pasa, a on pchnął biodrami w jej biodra, wciskając się w nią. Czowała, jak rośnie jego męskość. Czowała, jak otwiera się przed nim jej kobie-

coś. Więcej, szerzej, twardziej, delikatniej, wyżej, mokrzej, o Boże, jak strasznie mokro. Pod spódniczką płonęła. Pod dżinsami trawił go ogień. Wcisnął nogę między jej nogi, a ona pochyliła się, pólsiedząc mu na udzie, kołysząc się, pragnąc się o nie ocierać. Serce waliło jej jak młotem, w głowie huczało. Napierała nań, pieszcząc kroczem jego pulsujący żar, drażniąc go, ponaglając, podniecona tętniącą krwią, tętniącą tuż obok centrum jej istoty. Rękami przyciskała go do siebie. Udo wcisnęła między jego nogi i kołysząc się z boku na bok, ocierając się o niego, muskając mu językiem gardło, rozpląszczyła piersi na jego torsie. Przez drelich spodni czuła jego czubek. Przez fałdy spódniczki, przez jedwab majteczek czuł śliski aksamit jej ośrodka. Rozdzielały ich cząsteczki materiału. To było za mało. Odważyli się osiągnąć teraz zgodny rytm. Tańczyli w takt do muzyki żądz i wiedzy, czego pragną. Pragnęli orgazmu. Tylko to się dla nich liczyło. W zderzeniu dusz przeszłość zostanie zapomniana. Przebaczenie, wyjaśnienie, puste wymówki — wszystkie te płytkie, ponure triki słowne — staną się niepotrzebne w nagłym deszczu płynnego ciała. Ich nowy dzień zaświta wspaniałą eksplozją ciał. Było to tak bliskie. Wstrzymała oddech, na palcach zbliżając się do zakończenia. On był sztywny na skraju swego. Przyłgnęli do siebie na krawędzi, zdecydowani zatopić się w sobie. Blżej, mocniej wciskali się w siebie. Muszą stać się sobą wzajemnie, przejąc skórę, krew i kości drugiego. Później dziecko nada ich związkowi ostateczną formę. Teraz mają tylko obietnicę przyszłego szczęścia.

15.

Z wolna wracali znad morza, rozkoszując się słabnącym żarem późnego popołudniowego słońca. W Malibu na plaży panował spokój, nastrój pogody i rozleniwienia, była to przystań spacerowiczów, starych przyjaciół i młodych kochanków; przyływ omywał piasek do czysta, góry przyglądały się, a ptaki wyprawiały ewolucje na tle błękitnego jak farbka do bielizny nieba.

Gdy doszli do schodów, ujęła go za rękę, a on uściśnął jej dłoń. Odsunął się, by ją przepuścić, a Pat podeszła do wyblakłego tarasu letniego domu, jej długie nogi

biegły ku jędrnej doskonałości pośladków i sprężystego pochylenia pleców. Dostrzegł jej urodę i przełknął ślinę, postępując z tyłu.

Odwróciła się i uśmiechnęła, by pokazać, że odgadła jego myśli, że jest nimi zachwycona, po czym przeszła przez taras, oddzielający dom od plaży, i wychyliła się przez barierkę pewna, że Tony do niej dołączy. Nie odzywali się przez długie minuty.

— Nie mogłem ci przebaczyć i nie mogłem cię zapomnieć — powiedział w końcu. Nie rozmawiali o tym.

—A teraz?

—Ruszyło się.

—Co to znaczy, „ruszyło się”?

Uśmiechnęła się spokojnie. Oboje pragnęli posłużyć się językiem ciał, nie tymi słowami i zdaniem.

Roześmiał się, by pokazać, że nie bardzo wie, o co mu chodzi, i że to teraz nie ma znaczenia.

— Byłaś niewiarygodnie odważna... z Lathamem. Nigdy nie widziałem, by kobieta tak się zachowała.

Znowu się uśmiechnęła, z wdzięcznością, z ulgą. Zrobiła to, co najtrudniejsze. Jak to się często zdarza, postąpiła właściwie.

—Myślałam, że wyrzuci mnie, ciebie, wszystkich. A potem zadzwonił do mnie i powiedział: „Nic się nie stało”. Wciąż nie mogę w to uwierzyć. Czy on jest masochistą, czy co?

—Nikt skurwysynowi nie powiedział, jak się należy zachowywać. Nikt nigdy nie troszczył się o niego na tyle, by sobie tym zaprzętać głowę. Wzbudziłaś tym jego szacunek. Wzbudziłaś tym mój szacunek.

—Naprawdę?

—Przecież powiedziałem. — Tony uśmiechnął się leniwie. Prawienie komplementów nie przychodziło mu łatwo. Powtarzanie jeszcze trudniej. Po raz setny usiłował uprzytomnić sobie, dlaczego właściwie jej przebaczył, dlaczego jej zdrada nie miała już dla niego znaczenia. Czy zaważyła jej niewiarygodna odwaga w stosunku do Lathama? Jej decyzja, by przedłożyć góry Alabamy nad własną karierę? Czy jest to zasługa Allison, która przekonała go, iż Pat rzeczywiście go kocha?

—Czy Allison rozmawiała z tobą o nas? — spytała Pat, czytając w jego myślach.

—To znaczy, czy powiedziała mi to, o co prosiłaś, żeby mi powiedziała? Tak, owszem. Słowo w słowo. Uwierzyła ci.

—A czy t y mi wierzysz?

—W co?

—Kto teraz łowi komplementy? — Wyciągnęła rękę i popukała go lekko w brązową skórę przedramienia. — W to, że cię kocham — dodała głosem niższym, ochrypłym.

—A kochasz?

—Tak. Bardzo mocno. Bardzo, bardzo. Nigdy nie przestałam. — Popatrzyła mu w oczy.

—Na swój sposób. — Zaczynał rozumieć, że Pat i on kochali inaczej niż cała reszta.

— Na nasz sposób. — Ona też była tego świadoma. Zapuściła zgłodniałe spojrzenie w jego oczy.

Prawie nadeszła już pora, lecz najpierw chciała coś jeszcze zrobić.

— Hej, mam prezent dla ciebie — powiedziała, jakby dopiero co sobie przypomniała.

Podeszła do skraju tarasu i zza koszuli wyjęła schowaną tam fotografię. Wręczyła mu ją.

— Alabama zrobił ją wczoraj u Getty'ego — powiedziała. — Przysłał ją dziś rano. Chciałabym ci ją dać.

Spojrzał na fotografię, potem z powrotem na Pat i znowu na jej obraz.

— Jest piękna — powiedział. — Jednej rzeczy na świecie pragnę bardziej niż jej.

—Czego? — wyszeptała.

—Ciebie.

Uśmiechnął się leniwie i beztrósco. Prąd popłynął. Bawił się jej palcami, które wyciągnęły się do niego. Miękko przesunął po nich ręką, jak gdyby nigdy ich nie dotykał. Ciężko oparła się o niego ramieniem i pochyliwszy się złożyła głowę na jego szyi, moszcząc się tam, ciepła i pełna pożądania. Wdychał jej zapach, słodki aromat jej ciała łączył się ze słoną bryzą, subtelną wonią olejku do opalania. Potem pochylił się, aż ich głowy zetknęły się, i przez długie minuty wystarczało im to, że są blisko siebie. Morze pod nimi uderzało o piasek, a mewy wyprawiały

ewolucje w powietrzu. Przebiegały przez niego fale nie znanej mu czułości. W niej bił puls bezmiernej miłości. Nigdy nie czuli takiej wzajemnej bliskości.

— Tony — wyszeptała. — Tony... — Ale położył palec na jej ustach, mówiąc, że to nie pora na słowa. Jej urywane westchnienie przebiegło mu po palcach. Czuł jej oddech, nabrzmiały pożądaniem. Wiedział, że ich serca będą były zgodnym rytmem, wybijając niebezpieczny takt cielesnego dążenia i pragnienia zmysłów. W jej wilgotnych oczach, szeroko otwartych, świadomych swych celów, malowały się marzenia. Tęskniła do niego. Dostanie, czego pragnie.

Z wolna zmiierzali ku pocałunkowi. Z otwartymi ustami, językami w gotowości, padli ku sobie. Muskając wyschłe wargi, bez pośpiechu czekali, aż napłynie do nich wilgoć, rozkoszując się luksusem tak powolnej miłości. Zatapiaли zęby w swych ciałach, najczulej na świecie sunąc po delikatnej skórze. Ich dłonie były sprzymierzeńcami, sięgającymi do głów, by dostroić namiętność. Zatopili sobie wzajemnie palce we włosach, pocierając, pchając, ciągnąc, by czar narastał. Malibu zniknęło, piękno plaży stało się za ledwie beżowobłękitną kurtyną. Istniała tylko jako obramowanie dla kochanków, którzy na pierwszym planie fotografii oddechami przekazywali sobie miłość.

Przywarli do siebie. Ręce przeszły w ramiona i ich miękkie ciała już naprężyły się w obawie przed utratą obecnej chwili. Teraz bardziej szorstcy, opletli się mocno linami kończyn, a delikatny pocałunek stawał się już wygłodniały, żądający więcej i zdecydowany to otrzymać. Zatopili się w morzu pożądania, odświeżeni obfitością wilgoci, i pochłonięta ich płynna intymność. Z językiem na języku kołysali się zgodnym rytmem. Z biodrem przy biodrze dzielili ich twardość. Ich dusze płonęły, a oni drżeli u bram ekstazy.

Odepchnął ją, a ona nie protestowała przeciw rozstaniu, gdyż wiedziała, co obiecuje. Z blasku słońca zawiódł ją w ciemność domu, a ona podążyła jak chętna uczestniczka pogańskiej ofiary. W mroku na tyłach pokoju zatrzymał się, ponownie obracając się twarzą ku niej. Wyciągnął rękę i rozpiął jej koszulę. Przyglądał się jej pilnie, rozkoszując się najdrobniejszym uczuciem, przebiegającym po jej twarzy, gdy stała tak spokojnie, tak biernie na łasce jego niespiesznych palców. Gdy rozsunął bawełnianą koszulę, wyciągnęły się ku niemu jej piersi, korne w bezbronnej piękności. Dotknął ich, by okazać, że już doń należały, a jego ręce stały się władczyimi dłońmi zwycięskiego generała, dokonującego inspekcji łupów. Ujął jej piersi. Pochwycił sutki między palec wskazujący i kciuk. Zuchwałym pal-

cem przebiegł po krągłym wzgórku w dół, pod spód, gdzie wznosiły się pionowo z gorącej skóry torsu. Są moje, mówiły jego gesty. To majątek, który mi sprzedałaś. Nie masz już żadnych praw, z wyjątkiem prawa do dawania rozkoszy i prawa jej przyjmowania. Zadrzała z pełnym słodczy przyzwoleniem. Jej piersi zatrzęsły się pod jego dotknięciem. Oddychała ciężko, a krew płynęła gwałtownie, napędzana przyływem adrenaliny.

Opuścił ręce niżej, do paska jej niebieskich dzinsów. Rozpiął je. Łagodnie, ale stanowczo opuścił jej majtki. Nie pomagała mu. Nie chciał tego. Jęknęła, gdy materiał zsunął się z jej pośladków, i znad nagiego żołądka spojrzała na jedwabne majtki. Wstydziła się, że już były mokre na przodzie, ale i była zadowolona, gdyż on tego dokonał. To jego winą. Strumień pożądania i miłości, który z niej wytrysnął, był tak samo jego dziełem, jak i jej. Podobnie jak mocny zapach jej piżma, spowijający ich oboje w kokon intymności. Górną część jej ciała nadal okrywała koszula. Łydki jeszcze tkwiły w dzinsach. Lecz samo serce jej istoty było prawie odsłonięte. Jego wilgotne ciepło spoczywało na jedwabnej powierzchni majteczek bikini, ukazując nieczysty sekret skrywanego przez nie, pulsującego rdzenia.

Sięgnął do elastycznego paska jej majtek. Ściągnął je, aż zagrzebały się w zmiętym drelichu, osłaniającym jej uda. Rękę trzymał blisko niej, grzejąc się jej przenikliwym żarem, dręcząc połyskliwą wilgoć poniżej. Jej wargi miłosne lśniły w trójkącie, koraloworóżowe, błyszcząc w śliskim oceanie pożądania. Były tak nieśmiałe, tak piękne, tak rozpaczliwie spragnione jego dotyku. Jeszcze raz jęknęła na skraju opuszczenia i wysunęła się w przód, jej biodra gestem poddania posuwały się kilka milimetrów w kierunku Tony'ego. Jej ciało błagało o jego ciało, lecz on nie śpieszył się wiedząc, że każda milisekunda opóźnienia radości rozmnoży się stokrotnie w przyszłej rozkoszy. Jego ręka podpełzła bliżej. Dotknęła miękkich, przesiąkniętych wilgocią włosów, cofnęła się, dotknęła ich raz jeszcze. Spojrzał jej w oczy i skinieniem głowy udzieliła mu zezwolenia, którego nie potrzebował.

Jeszcze raz wysunęła się ku niemu, tym razem bardziej przynaglająco, w miarę jak wstyd zniknął pod naporem pożądania.

Położył na niej dłoń. Pat jęknęła z rozkoszy, odrzucając do tyłu głowę i ukazując mu długą, białą szyję. Masował obfitą wilgoć, a Pat ocierała się o jego rękę, uwielbiając to, co jej daje, żądając więcej. Delikatnie wędrował po jej obrzeżu, zapuszczając palec na krawędź jedwabistego otworu, odsuwając, wpychając głę-

biej. Przyklękła, posuwając się w ślad za jego palcem, jakby usiłując uwięzić go w środku, zachęcając, by zagłębiał się dalej w jej tajemne zakamarki, które należą i zawsze będą należały do niego. Posunął się wyżej, aż jego palce spoczęły w miejscu, które stało się ośrodkiem jej istoty. Dotknął go z czcią, a w jej głowie wybuchły gwiazdy.

— Oooooch — jęczała, gdy napawał się jej ekstazą. Nogi się pod nią uginały. Kolana się rozchyliły. Całe ciało ześrodkowało się na źródle rozkoszy. Pot wystąpił na jej górną wargę, ściekał kropelkami wokół piersi, połyskiem namiętności spowił jej wyprężone sutki. Nadal poruszał się w jej tajni. Zdawał się znać jej największą intymność. Wędrował po jej ciele, otwierając jego zakazane miejsca. Miał klucze do wszystkich drzwi. Już owładnął jej sercem. Teraz zabiera resztę.

Wyciągnęła do niego ręce. Musi mieć więcej. Musi mieć go teraz całego. Sięgnęła do jego dzinsów, ale ją powstrzymał: Tylko jedna osoba będzie prowadzić, tylko jedna będzie prowadzona. Położył jej ręce na ramionach. Poprowadził ją tyłem do sofy, a Pat siadła, częściowo tracąc równowagę, opadając na poduszki. Rozłożyła nogi. Błagała, by ją wziął, szybko, szorstko, tak okrutnie, jak tylko chciał, tak okrutnie, jak ona chciała, w rozpaczliwej otchłani, w której ją zostawił. Stanął nad nią, wpatrując się ze skupieniem w jej podbite ciało. Uśmiech pożądania błąkał się na jej ustach, tańczył w zamyślonych oczach. Ręką sięgnęła do sutka. Drugą wsunęła między nogi. Na jego oczach wsunęła palce do środka. Prowokowała go. Pokazywała, czego pragnie. Musi ją zadowolić albo sama to zrobi. Tak to ma wyglądać. Może być tylko jedno ujście dla natężonego erotyzmu, wypełniającego jej ciało. Musi go wyzwolić. I Tony musi to zrozumieć.

Przez długie sekundy Tony Valentino pozostawił ją samą na płaszczyźnie pożądania. Połączeni tylko oczyma, czuli, jak narastała ich potrzeba. Widziała, jak rozrasta się jego moc. Widziała, jak dudni i pulsuje jego namiętność. Proszę, powiedziały jej oczy. Zrób to teraz. Jakkolwiek chcesz. Istnieję dla ciebie. Nie mam w życiu innego celu.

Sięgnął do paska spodni. Rozpiął go. Zaraz potem guziki lewisów. Był swobodny. Wysunął się z dzinsów, spodenek i podszedł do niej. Ukląkł pod jej rozchylonymi nogami i oparł jej ręce na udach. Osunęła się ku niemu, mając oczy zamglone łzami miłości. Uniósł się na jej spotkanie i wsunęli się w siebie, każde do swego przyrodzonego domu, wreszcie połączeni — jak im było pisane.

— Kocham cię, Pat — wyszeptał.

—Kochaj mnie zawsze — odszepnęła.

Emma Guinness spuściła mikrofon między piersi. Zniknął i przez moment zastanawiała się, czy kiedykolwiek go odnajdzie. Bogu dzięki, że umocowany był na drucie. Spojrzała w lustro. Niczego się nie dało poznać — ani ukrytego mikrofonu, już ogrzewającego się w odstępnie między piersiami, ani nękającego ją niepokojem. Za pół godziny będzie jadła obiad z Dickiem Lathamem, obiektem, którego integralną częścią pragnęła niegdyś zostać. Jakiś czas temu w jej wyobraźni małżeństwo istniało jako odległa możliwość. Teraz sytuacja uległa zmianie. Latham upokorzył ją publicznie przed rywalką, Pat Parker, która była jej podwładną, i świat Guinness stał się paskudny. Zmieniła się od tego momentu. Uległa swym najmroczniejszym marzeniom. Teraz ludzie, którzy z upodobaniem ją dręczyli, przekonują się, że gdy świat toczy się wbrew mądrymu, światu, nie mądrymu, biada.

Wzięła butelkę perfum Palomy Picasso i obficie skropiła nią ramiona. Szlag by to trafił. Już zaczynała się pocić, choć użyła dezodorantu Diora. Gdy muzyka Wagnera zaczynała rozbrzmiewać głośnie, tylko superklej mógł zatkać jej pory pod pachami. Wzięła pasek z urządzeniem „Velcro” i małym mieszkiem. Magnetofon „Pearl” umościł się w środku. Wetknęła wtyczkę mikrofonu do gniazdka i zwinąwszy resztę przewodu wsunęła go za pasek. Sklep na tyłach Grosvenor Square, handlujący urządzeniami do przeciwdziałania szpiegostwu przemysłowemu, był absolutnie wyjątkowy. Aparatura do zapisu dźwięku miała urządzenie wzmacniające głos. Czas nagrania na superdługiej taśmie wynosił trzy godziny. Jeśli podczas obiadu pierdnie mysz, zostanie to uchwycone dla potomności w zapisie kwadrofonicznym. Uśmiechnęła się złowieszczo. Uprawiała już tę grę w czasach, gdy pracowała w *Class*, dzięki czemu Victoria Brougham padła w walce. Jeszcze teraz widzi, jak ta dziwka o ostrej, wąskiej twarzy przejeżdża się po właścicielce akcentu z Północy. Siedząc na krześle, zwyczajem angielskich klas wyższych z rozchyłonymi nogami, aż widać było majtki, wyglądała jak dojna krowa na mokrym pastwisku, gdy z właściwą swemu gatunkowi nieprawdopodobną arogancją używała sobie na stojącym towarzysko niżej od siebie chlebowca. Ukryty magnetofon Philipsa, stanowiący własność Emmy, uchwycił to dla potomności. Teraz sprawy wyglądały lepiej. Mogła już sobie pozwolić na najnowocześniejsze urządzenie do elektronicznego podsłuchiwania.

Uśmiechnęła się szeroko. Całkiem możliwe, że nic nie wyjdzie z pogaduszek przy obiedzie. Lecz im ciężiej pracuje, tym lepiej jej idzie. Gotowość umysłu sprzyja szczęściu. Jeśli będzie przygotowana, pewnego pięknego dnia padną słowa, które odmienia jej przyszłość. Nacisnęła: NAGRYWANIE. „Raz. Dwa. Trzy. Próba. Wszystkich was nienawidzę”. Powiedziała to cicho. „Wszystkich was nienawidzę”. Powtórzyła głośno. „Wszystkich was nienawidzę.” Nacisnęła przewijanie, potem odtwarzanie i słuchając magnetofonu, powtarzającego jej prawdę, uśmiechała się jak kot z „Alicji w krainie czarów”. Spojrzała na zegarek. Obiad był o ósmej. Przedtem drinki na plaży. Musi się pośpieszyć. W co, do diabła, ma się ubrać?

Począpała do szafy, szczęśliwie nieświadoma widocznego w lustrze obfitego zadu, kłocowatych nóg, byczego karku. Westchnęła. W szafie nie wisiała ani jedna tania sukienka. Metki pochodziły z najnowszych kolekcji. Prawie wszystkie sukienki pokazywane były na uwodzicielskich modelkach w co lepszych magazynach mód. Lecz przeglądając je zdawała sobie sprawę, że na niej zrobią klapę. Przez lata usiłowała ten fenomen zanalizować. Nigdy to się jej nie udało. Czy to wina jej sylwetki, manier, niezgrabnych ruchów? A może to kwestia cery, osobowości, feromonów, które wydzielała? A może po prostu aura, którą emanowała, kłóciła się z jej strojami, choć szczerze mówiąc nago też nie wyglądała dobrze. Ponownie westchnęła, sięgając na chybił trafił. Kreacja Bruce'a Oldfielda, którą wyciągnęła, wyglądała jak marzenie na księżnej Dianie. Wiosenne kwiaty, tra, la — zwiewne, przywodzące na myśl lato, puszyste jak dobrze wypieczony suflet. Ba! Na niej będą wyglądały jak przeładowany wieniec, złożony w krematorium z okazji zejścia nuworysza.

Wcisnęła się w suknię, jakby brnęła przez pole rzepy zimą. Podciągnęła zamki, robiąc przy tym wydech, i zanim płuca jej powróciły do normalnej działalności, wygładziła nastroszony jedwab. Brawo! Nic się nie rozdarło, choć było o wiele za ciasne. Dla poprawy nastroju jadła i tyła. Nie przychodziło to trudno w Ameryce, gdzie spożywanie słodczy było bardzo rozpowszechnionym nałogiem i gdzie pożywienie o dużej zawartości cukru smakowało najlepiej. Magnetofon wybrzuszał się w sposób bardzo wydatny. Zakręciła się w poszukiwaniu jakiegoś szala. Słońce zaszło. Wieczór w Malibu będzie chłodny. Ubrała się niegustownie, ale to nieważne. Dick Latham już ją przetestował.

Była gotowa. Przebiegła myślą listę możliwych przedmiotów szantażu. Wszystko, co ma cokolwiek wspólnego z podatkami, wygląda obiecująco. Bogacze nie znoszą ich płacić. „Tylko pŁotki pŁacą podatki” — rzekła kiedyś Leona Helmsley. Jeśli zdoła tak go wykołować, by wyjawiał rachunek w banku szwajcarskim, przedsiębiorstwo w Lichtensteinie albo coś mrocznego w tak słonecznym miejscu, jak Kajmany, zostawiłaby go w skarpetkach. Były też zwyczajne przestępstwa miliarderów: nieprawidłowe parkowanie, manipulacje akcjami, łapówki w zamian za poufne informacje, sprzeniewierzenie się powiernikom, i były również bardziej egzotyczne grzeszki, jak szwindle antytrustowe, nielegalne dofinansowania kampanii wyborczych, łapówki dawane obcym rządóm. Nie będzie to łatwe. Latham jest Amerykaninem, nie Europejczykiem z długim jęzorem, który wygadałby każdy sekret, byle rozbawić towarzystwo. Najlepiej byłoby go upić. I znowu nie nastęrczałoby to trudności w Anglii, gdzie abstynentów traktuje się z podejrzliwością, zarezerwowaną dla znajomych, którzy zwracają się do wszystkich po imieniu.

Jeszcze raz zrobiła remanent w lustrze. Czy wygląda jak szpieg? Nie. Wygląda jak worek kartofli, który jakiś kurewski ogrodnik zostawił na grządce kwiatowej. Do diabła z tym! Może już iść na obiad. Dick Latham, Pat Parker i Tony powinni mieć się na baczności. Z ich bebeczów robi sobie podwiązki, gdy będzie tańczyć na ich grobach.

Nie przyjmuję więcej telefonów. Nieważne, kto, do cholery, dzwoni. Rozumiesz? Przewodniczący parlamentu, gubernator, a w szczególności prezydent, jasne? Nie ma mnie. Mam zebranie. Umarłem. Powiedz im, co chcesz, ale nie zwracaj mi głowy.

Dick Latham rzucił słuchawkę i pchnął swoją szklankę do Haversa.

— Nalej mi jeszcze jedną szkocką — warknął.

Havers pośpiesznie usłuchał. Nigdy nie widział Lathama w takim stanie. Facet pŁonął z gniewu. Niemal widział dym, wydobywający mu się z uszu. I pił. To już trzecia szklaneczka, odkąd Havers przyszedł do biura. Miał powody. Od chwili gdy poprzedniego wieczoru wrócił do domu od Getty'ego, rozpętała się burza. Telefon dzwonił nieprzerwanie. Furgonetki kurierskie stały rzędem na drodze do Broad Beach. Prasa zaczynała się zbierać jak sępy na piachu. Na zewnątrz czekało już parę zaparkowanych telewizyjnych wozów transmisyjnych, między innymi

CNN. Fotografie Alabamy eksplodowały w świadomości kręgów opiniotwórczych kraju z siłą wybuchu nuklearnego. Wszystkie trzy poranne programy telewizyjne dobijały się o wywiad z niedoszłym gwałcicielem środowiska, ostatnio zaś telefony stały się bardziej złowieszcze. Zaczęły się telefony od bankierów. Tonem starranie spowitym w żargon prawniczo-finansowy mówili jedno, mając na myśli drugie. Martwili się — niczym szczególnym, po prostu byli zmartwieni, tak jak martwią się ludzie wiecznie zaniepokojeni, gdy zdarzy się coś niezwykłego. Machina podległa Lathamowi gładko ruszyła, by zminimalizować straty, jakich doznał w oczach opinii publicznej. Jakiś fagas został już oskarżony o manipulowanie kwestią: „Cosmos w Malibu”, i posłusznie padł na swój miecz.

Sam Latham nagrał nadawaną w sieci ogólnokrajowej dwuminutową wypowiedź, w której zapewniał wszystkich, iż wzgórza pozostaną nietknięte. W geście dobrej woli postanowił przekazać wszystkie zakupione przez siebie tereny Górskiemu Parkowi Narodowemu w Santa Monica. Na zawsze wejdą do rezerwatu — by ludzie mogli rozkoszować się przyrodą, uprawiając jazdę konną na wytoczonych szlakach. Osobiście przeprosił wszystkich, którzy niepokoiili się tą sprawą, a szczególnie Alabamę, wspaniałego starca z gór, którego czujność i geniusz artystyczny w ostatniej chwili zapobiegły tragedii ekologicznej. Mobilizując cały swój niemały czar osobisty Latham przyznał, że wszystka wina spada na niego. Ponosi całkowitą odpowiedzialność za sytuację, w której o włos uniknięto katastrofy. Jednocześnie dał do zrozumienia, że była to decyzja urzędników niższego rzędu, podjęta przez pomniejszych śmiertelników, oraz że poczyniono kroki, uniemożliwiające ponowne popełnienie takiej pomyłki.

Wyrwał szklankę Haversowi i pociągnął potężny łyk.

—Jezus, Tommy. Tyle lat starań, żeby publika miała o mnie odpowiednie wyobrażenie. Tyle pracy i ponawiających kontaktów. Nasłuchałem się tyle pierdolenia od politykierów, dałem tyle łapówek, żeby pchać sprawy naprzód, tak się starałem i teraz, za jednym uderzeniem, stałem się wrogiem publicznym numer jeden. To nas będzie kosztować, bez dwóch zdań. Licencje, nakłady, subskrypcje, Bóg wie ile wpływów. Ten skończony staruch z gór rozpieprzył mi interes.

—To przejdzie — odezwał się Havers. — Teraz nie jest dobrze, ale ludzie zapomną. Tydzień, miesiąc i nikt o tym nie będzie pamiętał. Opanowaliśmy sprawę. Szybko zareagowaliśmy. Coś oddaliśmy, przyznaliśmy, że to był błąd, mieliśmy tyle charakteru. To może nam się nawet liczyć na plus. Rozumiesz... jesteśmy

otwarci, odpowiedzialni, nie tuszujemy afer jak chłopcy z rafinerii i fabryk chemicznych. Mylimy się i płacimy za to... — Dał plamę. Z płonących oczu Lathama zorientował się, że jego tyrada chybiła celu.

— Nie wciskaj mi tego kitu — wybuchnął Latham, chciwie wysysając szkocką. — Nieźle mnie kosztował. Sto milionów. A może dwieście. Zrobił ze mnie kurka na kościele. Znalazłem się w towarzystwie facetów, którzy upłynniają odpady chemiczne, zanieczyszczają środowisko, różnych nędznych kombinatorów i kanciarzy, którzy sprzedaliby własne matki, żeby zachapać całkiem im niepotrzebnego dolara. Ja! Dick Latham! Kurwa mać, Havers, wczoraj wieczorem byłem dżentelmenem. Jak ci się wydaje, kim jestem teraz? Pariasem. Żywym trupem, pełzającym pod kamieniami z resztą towarzyskich wyrzutków. Ojciec będzie zaśmiewał się w grobie...

Dick Latham pobladł. Sprawiała to myśl o ojcu. Zacisnął dłoń na rżniętym szkłe szklanki, aż zbieleły mu kłykcie. Ręka zaczęła się trząść. Patrzył nie widzącymi oczyma skroś Tommy'ego Haversa. Gdzieś w otchłaniach piekielnych ogni ojciec będzie chichotał z jego nieszczęścia. Ma tyle miliardów, odniósł tyle sukcesów, zdobył taką władzę, a jednak jego plany może pokrzyżować zwykły śmiertelnik, i jego nieszczęściem będzie się rozkoszować ojciec, przez którego jest taki, jaki jest...

— Chcę, by Alabama został starty z powierzchni ziemi — rzekł Dick Latham głosem trzęsącym się z nienawiści. — Bez względu na koszty. Chcę doprowadzić go do ruiny.

Havers miał wątpliwości.

— Nie wiem, czy byłoby rozsądnie załatwić go teraz. Może później. Teraz wszystko wskazywałoby na ciebie. Mogłoby to nam zaszkodzić w tej delikatnej sytuacji. Cała uwaga skierowana jest na nas. Wszystko, cokolwiek zrobimy, zostanie zauważone.

Dick Latham przytaknął. Mimo trzęsącej nim furii, mimo alkoholowej mgiełki, która już zaczynała spowijać oszołomiony umysł, zdawał sobie sprawę, że Havers miał rację. Jest czas zemsty i szczęśliwej odmiany losu. Jeszcze nie nastał. Przyjdzie później.

—Chcesz, żebym tu został na dzień, dwa?

—Nie — odparł Latham. — Wracaj do Nowego Jorku. Życie musi płynąć dalej. — Przez czerwone opary gniewu przyszła mu do głowy myśl. Czy życie Ala-

bamy naprawdę musi płynąć dalej? Czy stary, zrzędlawy strach na wróble będzie żył wiecznie, radując się wspomnieniem chwil, gdy wyprowadził w pole miliardera? Czy Malibu nie jest zbyt małe dla nich obydwu?

—W porządku — powiedział z ulgą Havers, nerwowo spoglądając na whisky Lathama. Nie widział jeszcze szefa tak zalanego. Nie bełkotał na razie i na pewno nie zatoczyłby się, lecz w jego zazwyczaj spokojnych oczach pojawił się szalony wyraz. Atmosfera wieczoru tak silnie naładowana była elektrycznością, powstrzymywaną rozpaczą, że Havers, który zazwyczaj nie reagował na nastroje, poczuł się głęboko zaniepokojony.

— Na pewno nie chcesz, żebym pomógł ci się z tym uporać? — dorzucił.

— Chcesz powiedzieć, że ja nie dam sobie rady? — burknął Latham. Odwrócił się do Haversa niczym osaczony wilk. Pasja, która się w nim nagromadziła, zaczynała uchodzić.

—Ależ skąd, Dick, absolutnie nie o to mi chodziło. Chciałem tylko...

—Nie wiem, co chciałeś, Havers, do cholery. Idź już sobie, dobrze? Zarób pieniądze, które ci płacę.

Wycieraczki nie lubią, jak się je tak traktuje. Szczęśliwie nie mają głosu, by wyrazić swoje żale.

Havers wypadł z pokoju. Po raz pierwszy w życiu naprawdę żał mu było Emmy Guinness. Czekają najokropniejszy wieczór w życiu.

Dick Latham wyskoczył na taras. Emma Guinness już tam była. Odwróciła się, by go powitać.

—O, spójrz, Dick, tam na mieliźnie pływa foka. Nigdy nie widziałam foki... — Z dziewczęcym uśmiechem na twarzy niezgrabnie odgrywała niezwykłą dla niej rolę miłośniczki przyrody.

—Pierdol foki — odparł Dick Latham. Siłą rozpędu wylądował przy tacy z alkoholami, którą kelner właśnie wniósł. Chwycił butelkę szkockiej za szyjkę, jakby chciał ją udusić, i dolał do szklaneczki, która bynajmniej nie wymagała dopełnienia.

Emma Guinness przypatrywała mu się. Widziała, że jest pijany.

— Ciężki dzień? — zaczęła.

Przyciskając do ust kryształowy kieliszek, Dick Latham wydał z siebie coś na kształt ryku. Pociągnął potężny łyk słodowej whisky.

— Czy masz pojęcie, co się dzisiaj stało? — Słowa trzymały się kupy, lecz Latham akcentował je dziwacznie, a nienaturalnie staranna artykulacja wyjawiała prawdziwy stan jego umysłu. Był zalany. Był też wściekły.

Emma głęboko odetchnęła, a ukryty mikrofon otarł się o lepkie ciało między piersiami. Namierzała się na Lathama jak reporter programu: „Naoczny świadek”. Magnetofon chciał się dowiedzieć dokładnie, co przydarzyło się miliarderowi.

— Mam wrażenie, że po przeciwuderzeniu Alabamy na Cosmos poleciało trochę radioaktywnego pyłu — odezwała się Emma.

— Czy wy, Angole, wciąż uważacie, że niedomówienia są niezwykle oryginalne? — spytał chrapliwie Latham. — Ten skurwysyn mnie wyrolował. — Wypluwał z siebie słowa, jakby egzorcyzmował nimi duchy. Jeszcze nie mógł uwierzyć. Wreszcie go wyrolowano. Przeprowadziwszy tyle transakcji, operacji i manipulacji w wyższych sferach finansowego wtajemniczenia, w końcu wpadł. Szczwanego lisa przechytrzył bezsilny staruch z lasu, nie potrafiący odróżnić kredytowanego wykupu od pożyczki z krajów trzeciego świata, wykupywanej poniżej ceny nominalnej. Jezu! Czy to punkt zwrotny? Czy to moment, gdy słodycz staje się kwaśna, harmonia przeradza się w dysonans, gdy długa wspinaczka pod górę kończy się upadkiem na łeb, na szyję po drugiej stronie?

— Czy to znaczy, że będziesz musiał zbudować Cosmos gdzie indziej? Czy to koniec świata?

Emma prowadziła niebezpieczną grę. Sygnalizował jej to instynkt.

— Nie o to chodzi. Nie o to chodzi — krzyknął Latham dziwacznie piskliwym głosem. — Zrobiono ze mnie durnia. Wygrażał mi prezydent Stanów Zjednoczonych. Możesz w to uwierzyć? Prezydent rozmawiał ze mną w taki sposób, jakbym był dziesięcioletnim chłopcem. Chyba wszystkie amerykańskie gwiazdy filmowe ustawiły się w kolejce, żeby mi dołożyć... a ja tylko poszedłem do Getty'ego, żeby obejrzeć jakieś nudne fotografie, bo wydawało mi się, że tak wypada w Mali-bu. — Dicka Lathama zaczęło ogarniać silne poczucie nierzeczywistości. Miał wrażenie, że śni jakiś koszmarny sen.

— A co powiedział prezydent? Taśma słuchała.

— Nieważne, co powiedział. Ważne, do czego mnie zmusił. I do czego mnie zmusił ten szmaciarz Alabama. Zrujnował moje plany. Moje plany. Moje plany. — Wszędzie czuło się wściekłość. Przesycony był nią chłodny letni wietrzyk. Śmigła po wydmach na plaży. W oddali na mieliźnie dyszały nią foki. Nikt

nie odważył się pokrzyżować planów Dicka Lathama. Strzegły go miliardy. To po prostu jedyny powód ich istnienia na świecie. Lecz jak może się zemścić na Alabamie? Nie mógł wyprzedać akcji starego motocyklisty poniżej ich wartości. Nie dało się oszukać jego bankierów ani wyciągnąć jednej cegiełki z podstawy piramidy jego długów. Alabama nie miał styczności z finansowym światem Lathama, pozostawał też poza zasięgiem jego królestwa środków przekazu. Latham nigdy przedtem nie zazdrościł mafii. Nigdy nie będą w stanie wykorzystać zgromadzonych przez siebie bogactw, mogą najwyżej jeść przygotowane przez żony spaghetti w swych przestronnych domach w Miami, nigdy nie podskoczą wyżej nad potwornie bogatych kumpli i marnie opłacane dziwki, ale, na miłość boską, mogą rozkoszować się zemstą. Mają ludzi, którzy dla nich zabijają. Mają pachołków, którzy się tym napawają. Dysponowali ludźmi, specjalizującymi się w sprawianiu ofiarom prawdziwych przykrości, póki śmierć litościwie ich nie uwolni. Wystarczyło rzucone mimochodem słówko, paczka drobników, tajemniczy telefon do jakiegoś czającego się w mroku psychopatycznego zawodowego mordercy, i sprawa załatwiona. A co może wykuglować Latham w departamencie zemsty? Kupę tchórzliwych prawników, naprawdę wierzących w to bezczelne kłamstwo, iż pióro jest potężniejsze niż miecz; pisk elokwentnych autorów wstępniaków, których słowa, przy łucie szczęścia, zużyte zostaną do wyłożenia szuflad; przesiąknięty wódą cyrk głów do wynajęcia, gadających do znieczulonej publiczności o horyzontach nałogowego telewidza, który jest w stanie skupić uwagę najwyżej na okres jednej miliardowej sekundy. To nie wystarczało. To tragedia. Człowiek, który ma wszystko, nie będzie w stanie kupić swym wrogom prawdziwych nieprzyjemności.

— Zadziwiające, że skończony stary pierdoła ma takie wpływy — odezwała się Emma, wykazując solidarność, a zarazem usiłując rozluźnić mu język.

Opadł na leżak i nieco szkockiej prysnęło ze szklaneczki na biały len spodni.

— Chciałbym go zabić — rzekł nagle. — I może to zrobię.

To przemawiał alkohol, lecz magnetofon o tym nie wiedział. Nie miał oczu. Wyłącznie uszy.

Emma roześmiała się cicho. W duszy śpiewała z radości. Zupełnie się tego nie spodziewała. Latham, Jego Powściągliwość, mełł ozorem, a magnetofon wylapywał jego słowa.

—Zrobię sobie dzin z tonikiem — rzekła Emma chytrze, podchodząc do tacy z butelkami. Picie zachęcało do picia. Odwrócona plecami do Lathama naląła sobie odrobinę tanqueray i dopełniła szklanę schweppesem. Sącząc płyn, odwróciła się i zrobiła minę mówiącą: „mocne”. Uśmiechnęła się ponuro, dając do zrozumienia, że nigdy nie potrafi dobrać właściwych proporcji. Potem prześlizgnęła się przez taras i usiadła obok Lathama. Magnetofon mógłby go złapać z odległości pięćdziesięciu stóp. Pół tuzina było bezpieczniejsze.

—Dokąd zabierasz mnie na obiad? — spytała, mając nadzieję, że głos jej brzmi rozbijająco i dziewczęco.

— Obiad? — rzekł Latham. — Aha, do „La Scali” — wymamrotał. Jego szklanka była pusta. Czuł się nieco lepiej. Złowieszco, lecz

lepiej. Rozpierała go elokwencja. Mafii się udawało, a czymże, do cholery, oni są w porównaniu z Dickiem Lathamem? Tanimi oprychami

o śmiesznych nazwiskach i brzydkich twarzach, którzy nigdy nie zawitają do ogrodu rozkoszy i którym nigdy nie będzie wygrażał prezydent w obecności supergwiazd w muzeum Johna Paula Getty'ego. W porównaniu z nim byli małymi płótkami, tandetnymi artystami, co nie dostaną przyzwoitego stolika u Mortona, w „Le Cirque” ani w „San Lorenzo” w Londynie. Przemykali się i prześlizgiwali na dnie, między śluzem i szlamem, i można ich było kupić za miedziaki i srebniki. Owszem, nigdy dotąd nie kusiło go, by się poważnie zemścić, lecz na naukę nigdy nie jest za późno. I wszystkiego się można nauczyć. Jeszcze przed rokiem kredytowane wykupy stanowiły dlań ciemną magię, a teraz sfinansował kilka takich większych transakcji przez swoich chłopców u Kohlberga w korporacji Kra visa. Jeśli dał sobie radę z bardzo obciążonym kredytem, znajdzie sposób, by dopiec Alabamie do żywego. Jeśli tylko ruszy głową, sprawa będzie załatwiona.

— Mogę ci zrobić jeszcze jednego drinka? — spytała Emma.

Bez słowa wyciągnął do niej szklaneczkę. Zatrudniał ją. W związku z tym uważał ją za oślizgłego robala. Od tej pory ludzie, którzy dla niego pracowali, będą musieli starannie przerobić lekcję o lojalności. Jeśli chcą się wygrzewać w gwiazdnych promieniach, które od niego były, będą musieli pozawierać faustowskie pakt z diabłem. Gdy powie: „Skakać!” — tradycyjna odpowiedź: „Jak wysoko?” — już nie wystarczy. W przyszłości będzie oczekiwał reakcji typu: „Z której skały?” Pragnął, by na jego liście płac znajdowali się rycerze Henryka II, ludzie nie będący przeciwni niewielkiemu mordowi w katedrze, jeśliby miał taką

zachciankę. Taaak, Alabama jest kimś na kształt podrasowanego Tomasza Becketa w stylu kalifornijskim — twardziel, mający świra na punkcie moralności i występujący przeciw królowi. Im więcej o tym myślał, tym bardziej mu się to podobało. Czuł się lepiej. Czuł się całkiem dobrze. Rany boskie, czuł się fantastycznie. Potrzebował tylko jeszcze jednej whisky, lód można sobie darować.

Emma odwróciła butelkę whisky do góry dnem. Była już znana jako osoba nalewająca ogromne drinki. I teraz nie sprzeniewierzyła się swej reputacji. Ilość płynu w karmelowym kolorze znacznie przekraczała normalną miarę. Żywo podsunęła go pod drżącą rękę Lathama. Objął szklaneczkę, jakby zawierała odtrutkę. A może tak i rzeczywiście było.

— Bierzemy szofera? — spytała. — Jeśli nie chcesz go mieć na głowie, mogę cię odwieźć.

Latham z początku nie odpowiedział. Pil i myślał. Czy Havers zabiłby dla niego? Czy może go o to poprosić? Roześmiał się gorzko. Havers chętnie nakręciłby w zeznaniu podatkowym, dał łapówkę w zamian za uzyskanie informacji, mógłby nawet zaryzykować przekupienie tego czy owego urzędnika, ale na tym by się skończyło. Jeśli zdecydował się chodzić po ciemnej stronie ulicy, musi znaleźć jakieś kocury, które dobrze się czują w mrocznych zakamarkach. Lecz nie miał pojęcia, gdzie ich szukać. Pieniądze odizolowały go od społecznych mętów i utrzymywały jego ręce w sterylnej czystości. Teraz, gdy chciał je pobrudzić, miliardy stanowiły przeszkodę. Ponownie zaczęła go opadać czarna chmura. Pociągnął spory łyk, by ją powstrzymać.

— Weźmiemy szofera. Zawsze bierz szofera — wymamrotał. — Chodźmy. Dostyc mam siedzenia na tej choliernej plaży.

Podniósł się nagle. Zatoczył się. Wyprostował. Na ustach błąkał mu się głupkowaty uśmiech. Chwycił słuchawkę telefonu.

— Czy samochód czeka? — Cisnął ją na widełki. — Dobra, wynośmy się stąd. — Zdawał sobie sprawę, że stara się mówić jak gangster.

Majestatycznie przeszedł przez dom, nie zwracając uwagi na kamerdynera, pokojówki i szofera, który wałęsał się po podwórzu przed frontowymi drzwiami.

— „La Scala” — warknął gburowato, mijając szofera w szarej liberii.

Wyszedłszy przed dom wgramolił się do granatowego rolls-royce'a z dyskretnym ciemnoczerwonym monogramem, wymalowanym na przednich drzwiach. Wepchnął się na tył. Nie zawracał sobie głowy przepuszczaniem dam. Emma zwa-

liła się obok niego. Drzwi zamknęły się z trzaskiem. Po paru sekundach posuwali się w kierunku autostrady, obok restauracji „Trancas”.

—Jak to miejsce wygląda? — zagała z ożywieniem Emma; Mogła się odprężyć. Magnetofon będzie miał dziś pełne uszy ciekawostek. Nie ma pośpiechu.

—Kowboje i rock and roli. Sami twardziele. Jak to w Malibu. — Twardziele. Sam się nim czuł. I takim, chciałby być. Wuj wuja nie wybuja. Przypomniało mu to o Paryżu. Tak samo czuł się wtedy, gdy cała jego agresja spadała na kobiety. Obraz Alabamy znów pojawił mu się w umysłowym wizjerze. Teraz siedzi pewnie gdzieś w górach, rozkoszując się widokami i żłopiając piwo. Czyta artykuły, chwytając końcówkę zwycięskiej kanonady przez telewizję satelitarną, odbierając telefony od lewaków-mięczaków o krwawiących sercach, co tak rozpaczliwie troszczą się o naturę z wysokości swych apartamentów w wieżowcach metropolii. Nacisnął guzik, opuszczający szybę. Z letnich domów wokół zatoki Malibu buchały światła, fala uderzała o piasek plaży Escondido, leniwy wietrzyk znad morza zlewał się z zapachem skóry. Był to idealny wieczór w Malibu. Wiały wichry znad Santa Ana i noc stała się duszna, tu, nad oceanem, świeżość słonego powietrza mieszała się uwodzicielsko z gorącym suchym wiatrem z pustyni Mojave. W takich chwilach Malibu było niebiańskie. Ale w przesiąkniętym alkoholem umyśle Dicka Lathama pulsowały już głęboko i uporczywie bębny Hadesu.

Rolls mruczał statecznie, niepomny nienawiści, która zagnieździła się w jego wnętrznościach. Promienie księżycy odbijały się w wodzie z boku autostrady, a światła kutrów rybackich jaśniały na horyzoncie. Minęli uniwersytet w Pepperdine, elegancki i przytulny na tle ciemnych zarysów wzgórz. Skręcili na lewo przy Cross Creek, po czym samochód zwolnił, podjeżdżając do restauracyjnego parkingu, prześlizgując się między grupkami wypełnionych pizzą plażowiczów, którzy zamierzali jeszcze popływać, snującymi się kochankami i innymi znajdującymi się na rzeczy ludźmi, którzy wiedzieli, że gdyby Bóg zdecydował się wybrać na wakacje późnym latem, wybrałby Malibu.

W „La Scali” już ich oczekiwano. Jean, syn właściciela i szef sali, krążył wokół pulpitu, gdy Dick Latham niepewnie przekroczył próg. Emma szła jego śladem.

— Jest mi niezmiernie miło znów gościć pana u nas.

W „La Scali” wiedzieli wszystko o pozycji społecznej. Latham przebywał tu na wyżynach, w rozrzedzonym powietrzu, w którym żył Marvin Davies. No i co z

tego, że musiał się właśnie wycofać z lokalizacji studia? I tak należał do garstki wybrańców w Malibu, a skoro już o tym mowa, wszędzie indziej też. Najlepszy stolik znajdował się pod oknem z widokiem na ustronie Serra. Właśnie tam zdążyli. Po obu ich stronach rozmowy cichły.

Gdy szli przez salę, jeden ze stolików po prawej wyglądał tak, jakby obsiadły go różne gatunki szczurów. Tkwili przy nim duży albinos, zwykły brązowy szczur i para mieszańców. Najbielszy powiedział całkiem wyraźnie: „Alabama”.

Latham stanął jak wryty. Okręcił się w miejscu, gubiąc szefa sali, który poze-
głował dalej, niepomny faktu, iż oderwał się od konwoju. Latham podszedł do sto-
lika, a siedzący przy nim ludzie popatrzyli nań wyczekująco. Niemożliwe. Zbyt
dobre, by było prawdziwe. Do ich stolika przysiadzie się megaforsa. Jeśli tak, ich
akcje wzrosną, zarobią punkty. Wymienili spojrzenia. Który z nich w sekrecie
utrzymywał znajomość z miliarderem?

Latham krążył wokół stolika jak anioł zemsty. Emma stała tuż za nim.

— Kto tu mówi o Alabamie? — wycedził.

Szczury wymieniły ukradkowe spojrzenia. Nie będzie to przyjacielskie spotka-
nie. Ten człowiek przyszedł, żeby ich zniszczyć. Nie odzywali się. Brązowy
szczur zdobył się na nerwowy chichot. O ile wylewne powitanie przez Lathama
oznaczało pieniądze w banku, o tyle publiczne znieważenie z jego strony wiązało
się z odpływem gotówki. Śnieżnobiały szczur, który streszczał znajomym całą hi-
storię Alabamy — Lathama — Cosmosu, przybrał bielszy odcień bladości.

Wściekłe oczy Lathama obracały się niczym wieżyczki czołgu. Zatracił zdro-
wy rozsądek. Nie przyszło mu do głowy, że ci faceci mogą być przedsiębiorcami
budowlanymi, pragnącymi pogrzebać Alabamów tego świata równie głęboko, jak
i on. Nie wyczuł tego. Paranoja spustoszyła mu umysł. Wszechświat, który stano-
wił dlań osobisty teren grabieży, zaludnił się teraz wyłącznie jego wrogami. Oto
nowy Dick Latham. Niebezpieczny Mężczyzna i Kapitan Mocny, facet, od które-
go ludzie rozsądni trzymają się z daleka, jeśli nie chcą doznać uszczerbku na
zdrowiu. Był to nowy wspaniały kosmos krwi i poskręcanych ciał, asfaltowych
płaszczy i propozycji nie do odrzucenia. Nieistotne stało się to, że istniał tylko w
pijackich majaczeniach Lathama. Nierzeczywiste można urzeczywistnić. W połu-
dniowej Kalifornii to się dzieje cały czas.

— Powiedz swojemu przyjacielowi Alabamie — zasyczał, pochylając się
nad stołem jak drzewo na przeklętym wrzosowisku — że niedługo będzie się cie-

szyl swym żalosnym zwycięstwem. Powiedźcie, że Dick Latham osobiście go o tym zapewnia. Zrozumiano? Osobiście. Gwarantuję. — Złudzenia wszechwładzy krążyły w psychice Lathama, nurzając się swobodnie w morzu whisky. Czuł się jak Bóg. Mógłby ciskać gromy z nieba. Pomniejszych śmiertelników unicestwiałby strzepnięciem palców. Nie była to już kwestia sposobu. Chodziło już tylko o porę.

Szef sali, doszedłszy do pustego stolika Lathama, obrócił się, by ujrzeć tragedię, rozgrywającą się na tyłach. Turyści z Vegas i jego najświetniejszy gość sunęli torem grożącym kolizją. Pomknął do tyłu, by zapobiec tragedii. Chwycił Lathama za ramię i z szacunkiem go pociągnął. Nie zdawał sobie sprawy, że Latham jest zalany. W czasie poprzednich wizyt jego chłód obniżał temperaturę sali o parę kresek.

Dick Latham strząsnął rękę. Wygłosił swoją kwestię. Prawo zostało ustanowione. Wszyscy wiedzieli, jakie jest stanowisko Lathama. Teraz musiał tylko się napić. Pozwolił, by go zaprowadzono do stołu.

— Przenieś mi butelkę szkockiej z czystego słodcu — powiedział, siadając pod oknem przy akompaniamencie gwaru na nowo podjętych rozmów.

Emma usadowiła się na przeciwległej ławeczce. Jeśli strumień świadomości Lathama ma płynąć nieprzerwanie, jedzenie należy ograniczyć do minimum. Zanotowała sobie w pamięci, co do tej pory zyskała. Groźby. Gwałtowne, publiczne groźby wobec Alabamy. Było to podniecające, lecz słowa nie znaczą wiele. Jak Ameryka długa i szeroka macho z krainy Marlboro wygłaszali podobne obietnice, nie mając jaj, by ich dotrzymać.

Przyszła śliczna kelnerka zapytać, czy famous grouse, oparta na mieszance, nie na czystym słodzie, odpowiadałaby gościom. Latham minął już fazę koneserstwa. Lakonicznie skinął głową i po paru minutach powrócił do krainy whisky.

— Musimy jeszcze zastanowić się, co zamówimy — powiedziała Emma do kelnerki. Uśmiechnęła się do niej konspiracyjnie, dając poznać, że wie, iż jej partner jest pijany, ale da sobie radę.

Rozejrzała się. Twarze wyległy w wielkiej liczbie. Neil Diamond spożywał obiad ze swym pośrednikiem w handlu nieruchomościami Carolem Rapfem, ucieleśniającym ducha Malibu, bez wątpienia fetując sprzedaż swego domu w Colony za pięć milionów sześćset tysięcy dolarów gotówką. Nabywcy dopełnili warunków umowy w niesłychanym czasie dwudziestu czterech godzin. Rob Lowe, koja-

rzający się z „Bluesem o północy”, siedział przy stoliku z innym pośrednikiem, efektownie wyglądającą Betty Graham. Dalej w rzędzie najlepszych stolików Batman John Peters, niegdyś fryzjer, przyjaciel Streisand, a obecnie jeden z najpotężniejszych producentów hollywoodzkich, trzymał się za ręce z piękną aktorką.

Dick Latham osunął się na ławeczkę jak naoliwiona szmata, troskliwie trzymając szklaneczkę na kolanach. Nie widzącym spojrzeniem wpatrywał się w zatoczkę i wyżej ku domom na Serra, których światła migotały w ciemności. Wiedział, że jest pijany, nie wiedział natomiast, jakie to ma znaczenie. Alkohol roztopił instynkt, a Dick nie zdawał sobie sprawy, że dziwaczne myśli, które go nachodziły i opuszczały, stanowiły wytwór etanolu. Wiedział tylko, że czuł się raz potężny, raz bezsilny. Szkocka sprzyjała myśleniu pozytywnemu. Abstynencja popychała go ku negacji. Wniosek wydawał się dość prosty. Pociągnął jeszcze jeden łyk.

— Dlaczego tak się dzieje — zakwilił jak rozpuszczone dziecko, którym niegdyś był — daję wszystko, a nic nie dostaję w zamian?

Emma powściągnęła uśmiech. Dick Latham nie otrzymujący nic w zamian za swą szaloną hojność to ci dopiero pomysł, że boki zrywać.¹

— Może za mało się domagasz — rzekła Emma. Słowa te niemal wypnęły się jej z ust, ale skoro je wypowiedziała, przyszła jej do głowy pewna myśl. Przecięła jej umysł jak nóż masło... i zaparła dech.

— Za mało się domagam... za mało się domagam? — wybełkotał Latham, jakby próbując tłumaczyć ze słabo znanego obcego języka. — Czy każdemu... od razu... trzeba wywalać... kawę na ławę? Czy ludzie, którzy ze mnie żyją, nie powinni wykazać nieco inicjatywy, uprzedzić moje życzenia i wykonać robotę, która musi być zrobiona? Dość płacę różnym lawirantom. Czy teraz sam muszę lawirować?

— Jaką robotę trzeba wykonać, Dick? Nie rozumiem.

Dick Latham wyprostował się. Całkiem niespodziewanie rąbnął szklanką o stół. Whisky wylała się, mocząc biały obrus. Ostry dźwięk uderzenia sprawił, że rozmowy o interesach przycichły.

— Alabamę trzeba wysadzić w powietrze, zniszczyć, uśpić. Chcę go mieć nieżywego, supernieżywego, tak nieżywego, by musieli na to wymyślić nowe słowo. Czy t o jest jasne? Mogą być jakieś wątpliwości? — Oczy mu się zwięzły. Ślina pryskała z zaciśniętych warg. Kłykcie mu zbieleły. Wykrzyczał pierwszą

część. Wyszeptał drugą. — A ponieważ żaden z moich pracowników nie ma dość jaj, by zrobić dla mnie tę robotę, sam wykończę skurwysyna.

Mikrofon między piersiami Emmy Guinness nie miał najmniejszych wątpliwości co do przekazanej informacji.

Emma Guinness zamrugła, przypomniawszy sobie ziewnięcie Dicka Lathama w technicolorze, gdy siedzieli w „La Scali”. Niełatwo go było stamtąd wydostać. Dzięki Bogu, że wzięli szofera. Półsenne ciało wywleczono wśród podnieconego zainteresowania gości. Starym bywalcom przypominało to dawne, złote czasy Hollywoodu, gdy Errol Flynn i spółka wyprawiali szalone brewerie, nim cały kram sprzedano szacownym staruchom. Latham zainstalował jeszcze jednego faceta ogromnych rozmiarów na tyle rollsa, a teraz zawezwał trzeciego, gdy kamerdyner i lokaj po marmurowych schodach taszczyli go do łóżka. Emma stała na dole, ściskając mieszek u talii, i chichotała pod nosem patrząc, jak cierpiący na nudności, rzygający miliarder znika jej z oczu. Starym bywalcom przypominało to dawne, złote czasy Hollywoodu, gdy Errol Flynn i spółka wyprawiali szalone brewerie, nim cały kram sprzedano szacownym staruchom. Latham zainstalował jeszcze jednego faceta ogromnych rozmiarów na tyle rollsa, a teraz zawezwał trzeciego, gdy kamerdyner i lokaj po marmurowych schodach taszczyli go do łóżka. Emma stała na dole, ściskając mieszek u talii, i chichotała pod nosem patrząc, jak cierpiący na nudności, rzygający miliarder znika jej z oczu.

—Gdy go położycie, możecie odejść — zawołała do uchodzącego tria. — Zajmę się panem Lathamem.

—Doskonale, proszę pani — rzucił przez ramię zasapany kamerdyner, z ulgą pozbywając się odpowiedzialności za wybitnie krytyczną sytuację.

Emma spojrzała na zegarek. Wieczór dopiero się zaczął, nie było jeszcze dziewiątej. Wyszła z domu w kierunku plaży, na piasek. Zrywał się wiatr. Szarpał ją za włosy, gorący i pieszczotliwy, spowijając twarz żarem doliny. Dziś zmieniło się Malibu. Przyszła pora Santa Any. W powietrzu nadal utrzymywała się świeżość, lecz była też i obietnica czegoś jeszcze — słonecznej spiekoty, pustynnej ciszy, skwarne go, nie słabnącego upału, w którym człowiek poci się i wierci pod najcieńszymi prześcieradłami.

W głowie jej formował się plan niczym dziecinna układanka. Był niewiarygodnie prosty. Potrzebowała tylko stalowych nerwów, a świat będzie miała jak na

srebrnej tacy. Spacerując po opustoszałych wydmach, uniosła spódnicę i poszukała mieszka u pasa. Lśniący, chromowany magnetofon, który trzymała w ręce, był jej biletem do ziemskiego raju. Nacisnęła: COFANIE, a potem niemal natychmiast: STOP i ODTWARZANIE. Okrutne, śmiertelne groźby Dicka Lathama pod adresem Alabamy brzmiały czysto jak kryształ. Nie wydawał się pijany. Gdy wygłaszał swe złowieszcze obietnice, adrenalina furii przeważała uspokajające działanie alkoholu. Motyw morderstwa został już ustalony ponad wszelką wątpliwość. Podobnie jak chęć dokonania zbrodni. Pozostawała prawdopodobna przyczyna. I samo przestępstwo. Trzeba je popełnić. Bez dwóch zdań. Morderstwa zawsze wymagają ofiary. To warunek sine qua non. Cha, cha! A tak, jak najbardziej. Potrzeba trupa. Takiego trupa, jak Alabama. Teraz Emma Guinness się roześmiała. Kołysała się na boki i ryczała ze śmiechu gdzieś na samotnej plaży przed rezydencjami Dustina, Berniego Brillsteina i domem wynajmowanym przez Spielberga. Dom ów spłonął do szczętu zaraz po tym, jak jego właściciel wymienił Amy na słodką Kate Capshaw. Trzymała się za boki, by się jej nie zerwały. Mocno trzymała w dłoni magnetofon, niczym wygrany los loteryjny, którym w istocie był.

Z wolna jej śmiech ucichał. Czowała się tak dobrze — wariacko, lecz cudownie. Na zawsze rzuciła swe cumy i odcięła liny, które wiązały ją ze sprawami tego świata. Wypływała teraz na szalone, dzikie morza, gdzie wszystko może się zdarzyć, niebezpieczeństwa zaś i ewentualne katastrofy bladły wobec nieograniczonych, otwierających się przed nią możliwości. Nim przyjdzie ranek, będzie mogła urzeczywistnić wszystkie swe nienawistne marzenia.

Stała nieruchomo na wietrze. Myślała, sięgała pamięcią wstecz. Jak każdy człowiek na świecie zaplanowała zbrodnię doskonałą. W przeciwieństwie jednak do mięczaków tego świata, ona swojej dokona. Oparła wszystko na jednym wspomnieniu. Przed paroma dniami, gdy jechała z Lathamem w Testarossa, skończyła im się benzyna. Na szczęście znajdowali się tylko o parę minut od stacji Texaco. Latham śmiejąc się, rozbawiony znalezieniem się w sytuacji zwykłego śmiertelnika, zapłacił jak normalny człowiek i wyszedł ze stacji z pełnym kanistrem. Wlał paliwo do baku, pusty kanister wrzucił do bagażnika i pomknął prosto do domu, do Broad Beach, by powiedzieć szoferowi, co o tym wszystkim myśli. Kanister będzie teraz tam, gdzie go zostawił — a na nim znajdują się odciski palców człowieka, który żywi mordercze zamiary.

Pośpieszyła z powrotem do domu i skierowała się ku mieszczącemu pięć samochodów garażowi. Przystanąła nasłuchując, lecz wszędzie panowała cisza. Pograżony w nieświadomości Dick leży na górze. Służba zniknie z pola widzenia, zajmując się tym, czym zawsze się zajmuje służba, gdy jej nie widać. Miała mnóstwo czasu. Kluczyki do ferrari wisiały na tablicy przy drzwiach garażu. Wzięła je, podeszła do lśniącego czerwonego samochodu i otworzyła bagażnik. Gapił się na nią pusty kanister. Znajdował się tam, gdzie wrzucił go Latham. Schwyciła czystą szmatkę z ławki i uniosła go ostrożnie, trzymając od spodu, by nie dotknąć chromowanej rączki, na której odbiły się odciski palców milionera. Postawiła go przy baku. Rozejrzała się. Jedna ściana wyłożonego dywanem garażu zabudowana była półkami. Piętrzyły się na nich najprzeróżniejsze samochodowe cudeńka. Sklep z częściami zamiennymi dałby wszystko za wykaz towaru. Wyciągnęła kawał gumowego węża i wcisnęła jeden koniec do baku ferrari, a drugi do ust. Ssała, aż poczuła benzynę i wówczas przerzuciła ten koniec do pustego kanistra. Wysokokoktanowe paliwo z bulgotem popłynęło do nowego pomieszczenia.

Wzięła kanister i przeniosła go do nowego porsche targa, ostrożnie kładąc na obitym skórą tylnym siedzeniu, tuż obok czerwonych skórzanych rękawiczek, które nosił Latham, prowadząc swe zabawki. Ponownie spojrzała na zegarek. Kwadrans po dziewiątej. Ma przed sobą parę godzin. Nie chciała, by kamerdyner i szofer zeznali, że Latham był tak pijany, iż nie mógł ustać na nogach. Za kilka godzin dojdzie do takiego stanu, że ława przysięgłych uzna go za zdolnego do dokonania czynu, którego właśnie miała dokonać. W każdym razie środek nocy byłby najlepszy. Ludzie wtedy śpią. Śpią ludzie, którzy niebawem zostaną wrobieni, śpią świadkowie, śpią ofiary... snem śmiertelnym, snem potępionych.

Na palcach wysunęła się z garażu i przez opustoszały, słabo oświetlony dom przeszła do swej sypialni. Szybko przebrała się w dżinsy i czarny sweter polo, a potem weszła do łóżka. Nie miała zamiaru spać, lecz zamknęła oczy, by ukryć galopujące myśli. Krok po kroku przeanalizowała plan, na lewo, do kanionu Malibu, w prawo, do Piuma Drive, i w górę, do Saddle Peak. Wiedziała dokładnie, gdzie mieszka Alabama. Wiedziała dokładnie, gdzie umrze. A rankiem, gdy świat obudzi się w zapachu płomieni, Emma zażąda wszystkich nagród, które się jej słusznie należą.

A potem świat zasnuje się mrokiem dla tych, którzy ją rozgniewali — dla Dicka Lathama, który ją odtrącił, dla Pat Parker, która ośmieliła się zostać jej rywal-

ką, a przede wszystkim dla Tony'ego Valentina, który ją upokorzył i zostawił na jej duszy straszliwe blizny.

Alabama wiedział, że jest środek nocy, nie miał jednak pojęcia, która to godzina. Zawsze tak było, gdy pracował. Nie istniało nic prócz obrazów, magii i cudownych niespodzianek w ciemności — sam był zaskoczony zdumiewającym talentem, który należał jakby do kogoś innego. Obraz zaczął się właśnie wyłaniać, na papierze pojawił się widmowy kształt, a luki Alabama wypełnił z pamięci — tu jakieś drzewo, tam wiązka światła, szorstka struktura krzewów na zboczu góry. Fotografie kanionu spełniły swoje zadanie, lecz pamięć ich piękna pozostała, rozpalając spragniony sztuki umysł Alabamy. Tego popołudnia powrócił do miejsca, które już na zawsze pozostanie bezpieczne, i zrobił więcej zdjęć, by uczcić swe zwycięstwo. Było świetniejsze, niż się spodziewał. Przez noc Latham stał się pariasem. Jego życie towarzyskie było skończone. Interesy doznały poważnego uszczerbku. Bez wątplenia da sobie radę. Lecz nigdy już nie będzie błyszczał jak świeżo wybita moneta. Był zużyty, zbrukany, okres jego świetności minął bezpowrotnie, a wszystko to zorganizował Alabama... z niewielką pomocą przyjaciół.

Przeszedł przez ciemnię i spojrzął na zegarek. Trzecia rano. Wspaniale, Za godzinę czy dwie pójdzie się położyć. Może jutro pośpi dłużej. Czuł się wykończony wywiadem, który nadano w telewizji satelitarnej. Potarł oczy i powrócił na ławeczkę. Zapomniał już o radościach, jakie niesie z sobą wywoływanie. Nawet w początkach jego kariery fotografa w większości zajmował się tym King. Nie dlatego, że Alabama sobie nie radził. Po prostu w takim układzie więcej czasu pozostawało na zdjęcia. Pomyślał o Kingu, mocno śpiącym w pokoju na górze. Podniecenie ostatnich kilku dni, powrót Alabamy do fotografowania stanowiły zbyt wielkie przeżycie dla muskularnego asystenta. Wyczerpany nerwowym napięciem położył się wcześniej, połykając parę tabletek nasennych, by zapewnić sobie tak pożądaną nieświadomość. Alabama uśmiechnął się. Jak to w życiu bywa. W czasach artystycznego wyjałowienia Alabamy stał przy nim jak mur. Był niewyczerpanym źródłem energii i zachęty w latach, gdy wątpliwości i poczucie winy wirowały w piwnej mgle, a Alabama bez powodzenia zmagał się ze swymi demonami. Teraz, gdy Alabama wyrwał się na słońce odmienionych dni, King pozwolił sobie na załamanie. No i dobrze. Alabama czuł się dość silny, by podjąć każde wyzwa-

nie. Teraz dla odmiany on powinien się kimś zająć. Nazbyt długo zachowywał się bardzo egoistycznie.

Od tych rozmyślań oderwał go ostry trzask. Zabrzmiał jak świst szpicruty i dobiegał zza zamkniętych drzwi ciemni. Coś upadło. Szczotka? Mniejsza o to. Nie przyszło mu nawet do głowy, że mogliby to być włamywacze. Leniwym rabusiom z miejskich gett nie chciałoby się zapuszczać do takiej głuszy, a miejscowa odmiana prędzej napadłaby diabły w piekle niż Alabamę. Czy to King krąży w poszukiwaniu czegoś? Niemożliwe. Zagłębił się daleko w chemiczną krainę letargu i zasługiwał na ten wypad.

Hałas rozległ się ponownie, jeszcze głośniejszy. Zabrzmiał jak wystrzał z karabinu. Szlag by to trafił! Alabama popatrzył na odblask. Znajdowała się w decydującym stadium obróbki. Nie można z nią ryzykować, a nocne wstrząsy nigdy nie okazywały się groźne. Sam dałby sobie kopniaka, gdyby zrujnował arcydzieło dla przyjemności wystraszenia jakiegoś ciekawskiego kojota. Pochylił się nad zdjęciem, mrużąc oczy w niewyraźnym, czerwonym świetle, i wtedy poczuł ogień.

To już coś innego. Tego właśnie obawiali się mieszkańcy wzgórz. O tej porze roku kaniony były suche jak pieprz. Codziennie modlono się o deszcz. Alabama pośpieszył do drzwi. Przystanął. Nasłuchiwał. Głęboko wciągnął powietrze. Czy powinien otworzyć te grube, światłoszczelne drzwi? Myśli gonily jedna za drugą. Jeśli dom płonie, otworzy drzwi do piekła. Przeciwnieństwo również nie stanowiło atrakcji. Może zostawić drzwi zamknięte i upiec się w piekarniku ciemni. Usiłował zachować spokój. Prawdopodobnie to nic takiego. Jak zazwyczaj. Przeżył już pożary w górach. Boże, jak się pomyśli, było nawet zabawnie, a chaparral z czasem wracał do poprzedniego stanu. W ten sposób natura użyźniała glebę i pozbywała się śmieci.

Przyłożył rękę do drzwi od wewnątrz. Nie były gorące. To dobry znak. Napęłnił płuca powietrzem. Przykucnął. Otworzył drzwi. Wysunęły się ku niemu języki płomieni. Długie i cienkie jak głowy węży sunęły w skocznym tańcu, a ściana żaru trzaskała mu tuż przy twarzy, wypełniając umysł poczuciem niebezpieczeństwa. Pokój płonął. Cały dom również płonął. Kanion wokół też płonął w piekielnym ogniu. Szum płomieni ryczał mu w uszach trzeszcząc, sycząc, skwiercząc w neuronowej ścieżce ku zrozumieniu. Zatrzasnął drzwi, zyskując tylko cenne sekundy, i namyślał się, co robić dalej. Znalazłszy się w mrocznym łonie, rozejrzył się w złudnym poczuciu bezpieczeństwa. Na haczyku wisiał fartuch. Wanna wy-

pełniona była lodowatą wodą. Schwycił fartuch, zanurzył go w wodzie ponad wspaniałą odbitką, której świat nigdy nie zobaczy, i owinał wokół głowy i ramion. Znowu przykucnął, posuwając się z powrotem do drzwi. Dym był niebezpieczniejszy niż płomień, a rozgrzane powietrze unosiło się do góry. Musi trzymać się blisko podłogi, gdzie jeszcze jest tlen, i spróbuje przedostać się po schodach do góry. W myśli nakreślił sobie trasę ewakuacyjną. W połowie drogi na górę znajdowało się okienko. Gdyby udało mu się przez nie przecisnąć, zdołałby wydostać się z domu. Ale na pewno płonie góra. Nie będzie się gdzie ukryć. Chyba że w basenie. O, właśnie! Niektórym starym mieszkańcom wzgórz zdarzało się przeciekiwać pożary zarośli w basenie. Uznawane to było za akt niezwykłej dzielności. Mięczaki nakładały aparaty tlenowe i instalowały się w najgłębszym końcu. Ale prawdziwi mężczyźni, nie ich nędzne imitacje, oszczędzali na kosztach sprężonego powietrza. Jeśli nie ma się nic przeciwko zadymionemu powietrzu, wystarczy kawałek węża długości stopy — jeden koniec w ustach, drugi cał nad powierzchnią wody. Jeśli wytrzyma się tak przez godzinę lub dwie, ma się o czym opowiadać do końca życia. Basen znajdował się jakieś sto stóp od domu i Alabama używał go jako zbiornika. Pamiętał, że był przynajmniej w połowie napełniony.

Sprężył się przy drzwiach. Jedną ręką sięgnął do gałki, drugą przytrzymał materiał wokół głowy.

Otworzył drzwi i skoczył w ogień. Nie musiał patrzeć. To jego dom. Żar osmałał go, szarpał ubranie, lecz Alabama biegł naprzód modląc się, by ogień nie zniszczył schodów. Dolny stopień ugiął się, gdy stanął na nim całym ciężarem, lecz utrzymał go — ledwo, ledwo — rozpadając się z trzaskiem, gdy uniósł stopę wyżej. Wspinał się po płonącej drabinie, szczebel za szczeblem, aż dosięgnął zakrętu schodów. Okno będzie po prawej. Nie usiłował wymacać go ręką. Dłonie roztopiłyby się w żarze. Trzymał je zawinięte w wilgotny bawełniany materiał. Jak obrońca na boisku piłkarskim, atakujący przeciwnika ramieniem, Alabama przerzucił cały ciężar ciała na bok. Pod siłą uderzenia okno rozleciało się i pośród deszczu szkła i płonących ram Alabama przez nie przeleciał. Upadek nastąpił z wysokości sześciu stóp i wiedział, że nie może to się dobrze skończyć. Musi odnieść jakieś obrażenia. Tak się rzeczywiście stało. Upadł na ramię, którym rozwalił okno. Wywichnął je, czując przy tym przyprawiające o mdłości szarpnięcie, lecz ból był do zniesienia, stanowił bowiem luksus w obliczu śmierci. Zerknął na burzę ognia. Przed nim sad, przez który prowadziła droga ratunku, rozpalony był

jak piec hutniczy, lecz zarośla wycięto, by zatrzymać ogień. Jeśli nie będzie miał pecha, powinno mu się udać. Ruszył susami pośród iskier i spadających popiołów jak ranny niedźwiedź, którym był. Przebiegł koło trzydziestu stóp, gdy przypomniał sobie o Kingu.

Przystanął, gdy uderzyła go straszliwa myśl. Odwrócił się ku domowi. Palił się od dołu po dach. Spowijały go płomienie, owijały marmoladowe bandaże wszechogarniającego ognia. A King tkwił w środku, pogrążony w narkotycznym śnie. Serce uniosło mu się w potężnej piersi. Zastanowił się, jakie ma szanse. Najprawdopodobniej King już nie żyje. Nikt nie zdoła przeżyć piekła. Próba wejścia tam i ratowania przyjaciela może skończyć się tylko w jeden sposób. Powinien pędzić do basenu, póki ma czas. To najrozsądniejsze, co może zrobić.

Gówno prawda! Alabama nie zastanawiał się dłużej. Myślenie to podejrzana sprawa. W głowie się od tego kręci. Ważniejsze, by mieć jaja niż mózg. Odwrócił się i poszarżował ku domowi.

Drzwi z tyłu szczęśliwie zniknęły i przez aureolę płomieni Alabama wpadł prosto do wnętrza swego płonącego domu. Schody do położonych na piętrze sypialni prezentowały się znacznie lepiej niż stopnie, po których wydostał się z piwnicy. Solidniejszy dąb dłużej mógł opierać się płomieniom. Przeskakiwał po dwa naraz, zanurzając się w płonące piekło, i wiedział, że ubranie na nim płonie, gdyż czuł na skórze strzałki bólu, czuł, jak złuszcza się zeń skóra, jak na ciele wyskakują bąble, jak wewnętrzne warstwy ciała odsłaniają się i roztapiają. Z trudem poruszał się naprzód, zdając sobie sprawę, że zwalnia, w miarę jak płonąca przed nim ściana ognia staje się coraz grubsza. Lecz nie miał już odwrotu. Mógł posuwać się tylko do przodu w podróży do wieczności, która była jego przeznaczeniem — o czym wiedział. King już tam podąża — King, który oddał życie Alabamie, tak jak Alabama w geście najwyższej solidarności poświęca mu teraz swoje. Ból ustał, na Alabamę kiwała ściana ognia. Gdy dotarł do podestu, jego krok stał się lżejszy, gdyż połączył się już z ogniem. Zgrał się z nim, unosił na jego fali jako błogosławiona, cudowna część żywiołu. Tu, pod koniec życia i na początku śmierci, Alabama stał się płomieniami. Zatoczył się, lecz żeglował dalej, a umysł przepelniony był miłością do świata, który dał mu tak cudowne istnienie. Inni dołączą do niego w tym zmudnym marszu ku pięknu. Inni, jak Pat Parker, podążą jego ścieżką przez długie noce smutku ku światłu, które niebawem poznają. Będą walczyć, bo-

rykać się, cierpieć i radować, tak jak on to znosił, a potem stopią się, tak jak on stapia się ze źródłem natury w nie kończący się sen najwyższego spokoju.

Jaśniej niż najjaśniejsze fragmenty ognia płonął Ben Alabama. Iskrzył się w sercu gór, które były jego domem, a światło, co od niego biło, nigdy nie zgaśnie. Będzie żyło wiecznie w pięknie, które tworzył, i w pięknie, które ocalił.

16.

Uderzenia trzaskały w mózgu Dicka Lathama. Zapomniał, jak wygląda kac. W dawnych czasach doświadczył ich mnóstwo, ale był wówczas młody. Ten to przewrotny zabójca. Gdy Latham stanął, pokój zawirował mu przed oczyma. Gdy się położył, żołądek wywrócił mu się na drugą stronę. Chciał się napić wody, lecz nie był w stanie przebyć drogi do łazienki. Przydałaby mu się aspiryna, lecz nie utrzyma jej w żołądku. Pragnął śmierci, ale nie miał dość energii, by dokonać czegoś równie wyczerpującego. Element metafizyczny stanowił mniejszy problem. Przez dudnienie w głowie przebijały się strzepy wspomnień. W „La Scali” mówiono żenujące rzeczy, zachowywano się niewłaściwie. Do diabła z tym, nawet w warunkach ekstremalnych Dick Latham nie przejmował się idiotami. Co tam sobie o nim myśleli, to ich kłopot, nie jego. Nikt nigdy nie powiedział mu nic przykrego w oczy, a guzik go obchodziło to, co się mówi za jego plecami. Rękę przyłożył do czoła, by mózg nie rozprysnął mu się po łóżku razem z innymi obrzydliwościami, które nagromadziły się przez noc. Pokręcił głową w prawo i w lewo, chcąc się przekonać, czy ruch nie przyniesie mu ulgi. Ogarnęła go fala mdłości. Przez rolety zerkąło słońce. Sądząc z blasku promieni było wcześniej, może siódma rano. Jęknął, lecz to też było błędem. Ogłuszało go tykanie zegarka przy łóżku. Przypomniał sobie błagalny okrzyk Boba Newharta: „Alka-seltzer, proszę, nie musuj”.

Wtedy sobie przypomniał. O, nie! W każdej chwili może się teraz nastawić telewizja. Zawsze tak się budził, oglądając Bryanta i spółkę oraz ponętą Deborah Norville, która nieodmiennie nastrajała go seksownie na cały dzień. Boże, to byłaby ostatnia kropla. Serdeczność Willarda i wszystkie te geriatryczne rocznice uro-

dzin stanowiłyby okrutną i niezwykłą karę. Gdzie, do diabła, jest pilot? Zaprogramowane włączenie się telewizora można wykasować... jeśli ma się magisterium ze sterowania komputerowego z Massachusetts Institute of Technology i głowę, która nie boli, gdy się myśli.

Spróbował usiąść. Jak zwykle pilot znikł. Znowu klapnął. Rozbiła się nad nim bania z rezygnacją. Tyleż panował nad wydarzeniami, co przywiązany do słupka człowiek przed plutonem egzekucyjnym. Tamten szczęściarz będzie miał przynajmniej bezbolesną przyszłość.

Klik! Stało się. Pokój wypełniły toyoty, i dlaczego należy się śpieszyć z ich zakupem, pasty do zębów, które poprawiały smak, oraz płatki śniadaniowe, co ratują życie. A potem pojawiła się Deborah Norville, owijając zmysłowe wargi wokół wiadomości.

— Zeszłej nocy zapaliły się zarośla na wzgórzach Malibu. Ofiarą pożaru padł słynny fotografik i obrońca środowiska Ben Alabama, powszechnie znany jako Alabama. Zginął w płomieniach swego domu w górach Santa Monica. Niedawno Alabama odniósł znaczny sukces, zapobiegając budowie wytwórni filmowej Cosmos na nie uzbrojonym terenie obok rancha Saddle Peak, gdzie mieszkał. Policja podejrzewa podpalenie. Prezydent, długoletni przyjaciel Alabamy, oświadczył, że Ameryka i świat stracili wielkiego artystę oraz wielkiego człowieka. Prezydent weźmie udział w pogrzebie, który odbędzie się pod koniec tygodnia.

W Libanie...

Latham znowu usiadł. Tym razem pozostał już w tej pozycji. Kac zniknął. Spalono Alabamę. Bóg wysłuchał jego prośby. Nigdy nie wierzył w modlitwę. Teraz uwierzył. Sięgnął po telefon. Powinien czuć się podekscytowany. Był podekscytowany. Nie, nie był. Do diabła, wcale nie był podekscytowany. Zeszłej nocy pragnął śmierci Alabamy. Teraz, gdy to się stało, począł go żałować. Alabama w jakimś sensie był częścią jego życia. Dobrze się go nienawidziło, i to od dawna, jeszcze od czasów paryskich, gdy życie miało jakiś sens. Nikt inny nie znał Dicka Lathama za dobrych starych czasów. To się liczyło. Do diabła, przykro mu było, że stary myszołów nie żyje. Czyż życie nie jest niezwykle? Wilde miał rację. Gorsze od niespełnienia życzenia jest tylko jego spełnienie.

Zadzwoił telefon, na którym trzymał opartą rękę. Podniósł słuchawkę.

—Dick? Tu Tommy. Słyszałeś o Alabamie?

—Właśnie złapałem to w NBC. Nie mogę uwierzyć.

—Nigdy przedtem nie wierzyłem w zbiegi okoliczności — rzekł Havers. Ton jego głosu świadczył, że w dalszym ciągu nie jest całkowicie gotów w nie uwierzyć.

— Taaak, to zdumiewające. — Nagle myśli zwróciły się w innym kierunku. Co, do diabła, wygadywał do tych facetów zeszłego wieczoru w „La Scali”? Groził Alabamie. A teraz okazuje się, że Alabama poniósł śmierć w ogniu, który zdaniem policji podłożył podpalacz. Dwa i dwa to cztery. Może być podejrzanym. Bogu dzięki ma alibi. Nagle jego skóra zrobiła się lepka. Pod pachami pojawiły się kropelki potu. Jakie alibi? Ktoś go upił i położył do łóżka o dziewiątej. Spał sam. A rancho Alabamy jest tylko dwadzieścia pięć minut drogi stąd.

—Słuchaj, Tommy, mógłbyś tu wpaść, do Kalifornii? Chciałbym cię mieć pod ręką. Rzuć wszystko, dobrze? Po prostu przyjedź i weź ze sobą tego gładkiego prawnika od Krugera i Frencha. Wiesz, tego młodego faceta, który nosi takie szykowne garnitury, Feldermana czy Federmana...

—Feldmana? Tego, który dla nas pracował, gdy księgowy z korporacji wsadzał łapę do kasy? On jest od spraw kryminalnych.

—W każdym razie sprowadź go tutaj, dobrze? — rzekł Latham. Narastało w nim przeczucie. Usiłował połączyć strzępy wspomnień z wczorajszego wieczoru. Przez większość czasu zgrywał się na Ala Capone'a, Wielkiego Bossa, któremu nie można krzyżować planów, nie narażając się na straszliwą zemstę. Lepiej nie mógł już się z tym wybrać. Na szczęście nie ma żadnego dowodu na to, co mówił. Goście w „La Scali” widzieli, jak go wynoszono. Nikt nie weźmie go poważnie. Wszyscy uznają, że mówił przez niego alkohol. W każdym razie jedno nie ulegało wątpliwości. To nie on podpalił. Jeśli policja ma dowody, że było to podpalenie, nic nie może wskazywać na niego. W żaden sposób. W żaden.

— Dobrze się czujesz, Dick? Masz taki głos, jakbyś złapał grypę.

—Taaak, nie, świetnie się czuję, może to jakiś wirus czy coś w tym rodzaju. W każdym razie pośpiesz się, to popatrzemy, czy nie uda się uratować czegoś z Cosmosu. Może teraz, kiedy staruszek przeszedł już do historii, ludzie trochę odpuszczą. Nie liczyłbym na to za bardzo, ale co to szkodzi spróbować.

—Będę jak najszybciej — odparł Tommy Havers. Odłożył słuchawkę. Podobnie zrobił Latham. Zamyślił się na chwilę. Powinien zdobyć więcej informacji, może zadzwonić do Arnolda Yorka, wydawcy *Malibu Times*. Zawsze był bardzo uczynny i może już mieć wersję policyjną.

Otworzyły się drzwi do jego sypialni. Nikt nie zapukał. U wejścia stała Emma Guinness. Miała na sobie dzinsy i czarny sweter polo. Wyglądała jak kluchowaty włamywacz, usiłujący dostać się do mieszkania po rynnie. Trzymała coś w ręce.

— Co ty tu, do diabła, robisz? Nikt cię nie nauczył pukania? Powstrzymał go wyraz jej oczu. Bił z nich triumf. Uśmiech pochłaniał

jej twarz. Latham w życiu nie widział kogoś tak transcendentalnie szczęśliwego.

— Cóż, Dicku Lathamie, trzeba przyznać, że ty dotrzymujesz obietnic — rzekła.

Latham otworzył usta, pragnąc kontynuować od miejsca, w którym przerwał, lecz w tym momencie zaczęło się w nim krystalizować przecucie. Niejasna myśl stawała się bardziej określona, nabierając kształtu, a zarysowana wizja uwolniła skurcze w głębi jego od tyłu godzin znękanego żołądka.

—O co ci, do diabła, chodzi? — spytał Dick Latham. Lecz w głębi duszy wiedział. Emma Guinness insynuowała, że zabił Alabamę albo przynajmniej kazał go zabić, ale było w tym coś więcej. Całym swym zachowaniem dawała do zrozumienia, że ma coś, co nieodwołalnie wrobi go w zbrodnię, której nie popełnił. Usiłował zmusić swój umysł do pracy, rozważając wszelkie ewentualności. Musi to być coś więcej niż miotane po pijanemu pogrożki, ale co? Niczego nie zrobił. Jest niewinny. Jedyłą jego zbrodnią było to, że pragnął śmierci Alabamy. Lecz wyraz jej twarzy wywracał mu jeszcze bardziej i tak już znękany żołądek. Malowało się na niej mrozące krew w żyłach najczystsze zło. Twarz wykrzywiona była w wyrazie najwyższej niegodziwości, a Dickowi Lathamowi krew zastygła w żyłach, gdy uświadomił sobie, że popełnił zasadniczy błąd, za który może zapłacić wszystkim. Zawsze zdawał sobie sprawę z tego, że Emma Guinness jest okrutna i mściwa. Cechy te wydawały mu się nieważne wobec jej niewiarygodnego talentu. Nie wychwycił jednak najważniejszego. Nie zdawał sobie sprawy, że Emma Guinness jest szalona.

—Chodzi mi o to, że spaliłeś Alabamę zeszłej nocy — powiedziała Emma. Zrobiła krok do środka. Zamknęła za sobą drzwi.

—Wiesz, że tego nie zrobiłem — odparł Latham drżącym głosem.

—I co z tego, że wiem? Chodzi o to, co wie policja, no nie?

—Nie ma najmniejszego cienia...

—Dowodu wskazującego, że ty to zrobiłeś? — dokończyła Emma. Stała teraz w nogach jego łóżka. Bił od niej jakiś blask. Promieniała. Całkowicie panowała nad sytuacją. Uniosła rękę w górę, by mógł zobaczyć magnetofon.

—To cię słyszało — powiedziała po prostu. — Słuchało, gdy mówiłeś, co zrobisz Alabamie.

Ani przez chwilę nie uważał, że Emma kłamie. I wiedział, że to dopiero początek. Emma chowa w, zanadru coś jeszcze. I to coś gorszego. Czuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Żołądek wywrócił mu się na drugą stronę. To, co miała na grzbiecie, przypominało strój zażenowanego robotnika ze środkowych stanów w latach trzydziestych, który wybrał się na piknik dla emerytów.

— W Saddle Peak gliny znajdują kanister — rzekła Emma. — Ten, który przyniosłeś, gdy skończyło nam się paliwo w ferrari. Pamiętasz?

Latham z trudem przełknął ślinę. Pamiętał. Przeniósł go ze sto jardów. Odciski palców będą wszędzie. Taśma plus kanister równają się rozprawie, jeśli nie skazaniu, a areszt najzupełniej wystarczy, by go zniszczyć. Stojąca w nogach łóżka psychopatka trzymała w dłoni jego przyszłość. Mógłby wyrwać jej magnetofon siłą, lecz taśma na pewno jest wyjęta i dobrze schowana. Kanister jest już pewnie w wydziale zabójstw. Wystarczy jeden telefon, by skojarzyć odciski z jego nazwiskiem. Dick Latham już czuł kajdanki na przegubach.

Lecz nawet rozważając swą ponurą przyszłość wzdragał się przed ohydą tego, co się stało.

— Ty to zrobiłaś — powiedział cichym, lecz roztrzęsionym głosem. — Ty podłożyłaś ogień, w którym spłonął Alabama.

Roześmiała się wówczas ohydny, złowieszczym śmiechem i w zupełności starczyło mu to za odpowiedź. Zaszła w niej nagła zmiana. Zwariowała. Boże, powinien był dostrzec oznaki. Ludzie ciągle mówili o jej paranoi. Niektórzy, jak Tommy Havers, ostrzegali go, że Emma znajduje się na krawędzi choroby umysłowej. Po prostu ich nie słuchał. Nie od tej strony ją widział, a zawsze znajdzie się mnóstwo mężczyzn, gotowych zniesławić błyskotliwą, wspaniałą kobietę, szczególnie wtedy, gdy odnosi sukcesy i ma nad nimi władzę. Lecz to było kiedyś. Teraz jest inaczej. Znajdował się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. W jego sypialni stała morderczyni grożąc, że zrobi go w zbrodnię, którą sama popełniła. Błyskawicznie podsumowywał fakty. Miał motyw. Ogłosił swój zamiar zarówno publicznie, jak i prywatnie. Jego groźby znajdują się na taśmie. Skoro Emma po-

jechała w góry, by wzniecić ogień, musiała wziąć któryś z jego samochodów. Na pewno będą gdzieś odciski opon. Nie miał alibi. Spał sam. Jego odciski odbiły się na kanistrze... Jeśli jest dość stanowcza, mogła to zrobić... a stanowczość wypisana była krwią na jej twarzy.

— Czego ode mnie chcesz? — powiedział w końcu. Zawsze jest jakiś układ, zawsze był i będzie.

Emma milczała, by nasycić się tą chwilą. Jej żądanie zostanie uznane, a będzie to pierwsze z wielu. Miała materiał, o jakim marzyli szantażyści. Nadeła się. Radowały ją te słowa ze względu na to, co oznaczają i będą oznaczać w przyszłości.

— Chcę wytwórni Cosmos — powiedziała. — Chcę zarządzać nią całkowicie według własnego uznania.

Emma Guinness? Szefem Cosmosu? Żartujesz, Dick.

— Nie żartuję — odparł Dick Latham. Rzeczywiście nie żartował. Wyglądał przez okno, by uniknąć spojrzenia Haversa. W tej chwili chętnie zamieniłby się miejscami z jakimś nędznym pływakiem na plaży.

—Ależ ona nie ma pojęcia, jak prowadzić duże studio. Ja bym nie potrafił. Ty prawdopodobnie też. To będzie katastrofa. Staniemy się pośmiewiskiem całego Hollywoodu i w ogóle wszystkich, jeśli już o to idzie.

—Zdecydowałem się — rzekł Latham. — To nie jest dyskusja, tylko stwierdzenie faktu.

Havers sprawiał wrażenie zrozpaczonego. Nie zamierzał rezygnować, choć sprzeciwianie się szefowi mogło narazić na szwank jego karierę.

— A co z *New Celebrity!* Idzie świetnie, a to dzieło Emmy. Przyznasz, że sama tam wszystko zorganizowała. Jeśli odejdzie, by zająć się Cosmosem, co, do diabła, stanie się z pismem? Nie rób tego, Dick. Przynajmniej wytłumacz, czym się kierujesz. To po prostu nie ma sensu.

Dick Latham miał wzrok utkwiony w morzu.

— Ona dyktuje modę. Wie, czego chce publika. Jeśli umie wybierać ciuchy, podejmie też trafne decyzje co do filmów. O nic innego w tej robocie nie chodzi. Jakiś prawnik może podregulować jej decyzje w interesach. Wszystko będzie grało. Zaufaj mi. Nos mi mówi, że mam rację.

Havers nie przypominał sobie, by Latham kiedykolwiek przedtem mówił tak nieprzekonująco. Przypomniał sobie rozmowę z Emmą w „Canal Bar”, gdy rzuciła

pomysł, że zostanie szefem Cosmosu. Nie podchwycił go. A Latham najwyraźniej to kupił. Dlaczego? Co jest grane, do cholery? Może i było ziarnko prawdy w tym, co Latham mówił, lecz ogólnie biorąc brzmiało to naiwnie. Są kwestie marketingu i dystrybucji, zasadnicze sprawy związane z organizacją produkcji filmu, sporządzeniem kosztorysu, przewidywanie problemów, które mogą powstać. Trzeba mieć też wiarygodność w tym przemyśle, sieć powiązań z ludźmi, którzy się liczą, z gwiazdami, z wielkimi impresariami, a także z niezwykle ważnymi bankami. Dobrze było mieć z tym środowiskiem kontakty towarzyskie, a przynajmniej udawać, że się je ma, plusem też była umiejętność wytworzenia atmosfery, w której ludzie chętnie pracowaliby za mniejsze wynagrodzenie, a związki zawodowe nie zgłaszałyby zastrzeżeń. Emma Guinness nie celowała w żadnej z tych dziedzin. Nie miała pojęcia o robieniu filmu, a do tego była szkodliwa dla zdrowia psychicznego współpracowników. Dick Latham zaraz zaczął żałować swej decyzji. Interesujące było tylko to, dlaczego ją podjął.

—No cóż, Dick, sam wiesz najlepiej — rzekł Havers. — To twoja działka, ale zawsze uważałem, że Emma Guinness jest niebezpiecznie nie zrównoważona. — To był jego sposób na umycie rąk od całej sprawy. — Kiedy obejmuje posadę?

—Już objęła — rzekł Latham. Jego głos zdawał się dochodzić z oddali. Był dziwnie bezosobowy. — Teraz haruje jak wół.

Havers nie mógł się pohamować.

—Nad czym konkretnie? — zapytał. Dick Latham odwrócił się do niego twarzą.

—Przerabia scenariusz „Malibu” — odparł. Zapadło długie milczenie.

—Nie miałem pojęcia, że ten projekt w dalszym ciągu jest przewidziany do realizacji — rzekł ostrożnie Havers. U Getty'ego słyszał diatribę Pat Parker przeciw Lathamowi. Zadziałała jak katalizator względem wybuchowej reakcji gwiazd filmowych Malibu. W pewnym sensie to nie Alabama, a właśnie Pat Parker ostatecznie zniweczyła plan Lathama. Havers wyobrażał sobie, że przynajmniej ona zostanie skreślona z listy płac, razem z Tonym, Allison oraz wszystkimi innymi, którzy zawinili, dzielając jej stanowisko. Najwyraźniej tak się nie stało. Dlaczego?

—Od pewnego punktu osobiste uczucia nie powinny wchodzić w grę — kłamał Latham. — Jeśli pomysł z Pat Parker i „Malibu” odpowiadał nam przed naszym małym niepowodzeniem, to dlaczego teraz miałyby się to zmienić? Za-

dzwoniłem, by jej o tym powiedzieć. — Odwrócił się ku względnie bezpiecznemu morzu. Pat Parker i osobiste uczucia nie zostały oddzielone. Może go i rozgniewała, lecz, mocny Boże, wyglądała przy tym wspaniale. Zaparło mu dech w piersi. A nie zdarzało się to często. W chwili tej upodlającej porażki był to jedyny jasny punkt. Nazwała go dzieckiem. Rozszyfrowała go. Dzięki temu stała się wyjątkowa. Chciał należeć do jej klubu, gdzie obowiązywał charakter i dobry smak — tam mógłby się podciągnąć. Było to aż tak proste.

—A co nowa szefowa studia myśli o „Malibu”? Czy nie było drak między Guinness i Valentinem? I co ona, do diabła, kombinuje przy tym scenariuszu? Dyrektorzy wytwórni raczej się tym nie zajmują. Jakieś to wszystko dziwaczne...

Dick Latham odetchnął głęboko. Miał nadzieję, że Havers nigdy się nie dowie, jak dalece dziwaczne było rzeczywiście to, że tylko Emma Guinness dzieliła go od skazania za morderstwo pierwszego stopnia. W porównaniu z tym naprawdę nie jest ważne to, co ona tam wyprawia w Cosmosie.

Havers jednakże, w niezwykłej dlań roli psa, który trzyma kość, nie mógł popuścić.

—Ale co ona robi z tym scenariuszem?

—Podpieprza sceny erotyczne — odparł Dick Latham, śmiejąc się nerwowo.

Helikopter pikował nisko nad Saddle Peak. W dole, jak czarny dywan, rozciągały się zwęglone resztki rancho Alabamy, w porannym świetle widać było jeszcze unoszące się dymy. Pat Parker wychyliła się przez okno, w dmącym wietrze po jej policzkach pociekły łzy. Widziała teraz pozostałości domu, jak wypalona skorupa, na tle ściany kanionu. Nic nie uratowało się ze straszliwego pożaru. Usiłowała wyobrazić sobie ostatnie chwile Alabamy, odgadnąć, co myślał, gdy piekielny ogień pochłaniał jego i jego ukochany dom. Już odczuwała brak Alabamy. W miejscu, jakie zajmował w jej życiu, powstała pustka i Pat wiedziała, że nic jej nie zapełni.

Pochyliła się do pilota i dała mu znak ręką, by zszedł niżej. Przez cały dzień poszukiwali plenerów do filmu, lecz ciągle myślała o tej pielgrzymce.

— Może pan wylądować? — spytała, usiłując przekrzyczeć ryk wirnika.

Skinął głową i pikował w dół, łomot silnika odbijał się od grubych ścian kanionu.

Gdy tylko helikopter znieruchomiał, Pat wyskoczyła na spękaną ziemię. Ścieżka ognia była wyraźnie widoczna. Zaczynała się przy drodze, wysoko w górze, i biegła w dół ku domowi Alabamy, wycinając po drodze pokos zniszczenia. Prawdopodobnie wzięła początek od niedopałka, który rzucił jakiś niedbały kierowca, zdążający do domu, nieświadom spustoszenia, które za sobą pozostawił. Przecież nikt nie popełniłby świadomie tak nikczemnego czynu, choć straż pożarna i policja snuły teorie o podpaleniu.

Podeszła do opustoszałego domu, który tak dobrze pamiętała, i jeszcze raz pochwycił ją smutek. Pogrzeb odbędzie się jutro, a środki masowego przekazu poświęcą mu ogromnie dużo uwagi. Zdecydowała o tym już sama obecność prezydenta, lecz także reputacja Alabamy. Dziś Pat pożegna go osobno, w miejscu, gdzie pozostanie jego duch, tu na wzgórzach, których piękno przetrwa na zawsze w jego fotografiach. Przynajmniej odbitki były bezpieczne. Nikt, kto mieszka w Santa Monica, nie może lekceważyć niebezpieczeństwa pożaru zarośli, toteż cenne negatywy Alabamy zamknięte były w ognioodpornym podziemiu w Bank of America w Century City. Co się z nimi stanie? Alabama nie miał rodziny. Prawdopodobnie oddał je w depozyt jakiemuś muzeum, chociaż nienawidził ich i odzianych w garnitury „robiących w sztuce” biznesmenów, którzy nimi zarządzali.

Podeszła do otworu, gdzie przedtem znajdowały się duże dębowe drzwi. Widziała dom na przestrzał, przez ramy okien, w których stopiło się szkło lustrzane, aż po ukochany przez Alabamę widok. Była to rozległa panorama, wielka i wspaniała jak człowiek, który ją oglądał, i ona przede wszystkim przypominała Pat o przyjacielu, którego już nigdy nie ujrzy. Schody zniknęły, nie można było przedostać się na górę do miejsca, gdzie umarł. Lecz mogła go wyczuć. Czowała jego ducha w miejscu, gdzie na zawsze pozostanie jego dusza. Przyniosło to jej ulgę. Była blisko niego, a serce jej wypełniała czułość i żal za przyszywanym ojcem, którego utraciła.

King także umarł, jak zawsze bliski ukochanego mistrza. Raz jeszcze łzy napłynęły Pat do oczu na myśl o łagodności jego siły. Muskuły nie wyratowały go z ognia. Nic nie mogłoby tego dokonać. Pożar musiał spaść jak burza, w całkowitym zaskoczeniu. Lecz musiała przyjść panika w gorączkowych sekundach przed końcem i Pat usiłowała nie myśleć o potworności tych chwil.

Spontanicznie uklękła na osmalonych deskach podłogi i przymknawszy oczy, złożyła ręce do modlitwy.

— O Boże, obroń ich — wyszeptwała. — Gdziekolwiek są, kochaj ich tak, jak oni mnie kochali.

Emma Guinness spojrzała na morze. Wiatr znad Santa Ana uniósł smog znad doliny San Fernando, przepchnął go przez kaniony Malibu i rozłożył cienką warstwą żółtego puszkę — na powierzchni oceanu. Lecz Emmy to nie obchodziło. Czymże jest lekkie zanieczyszczenie, gdy spełniły się jej najczarniejsze pragnienia? Pochyliła się nad urwiskiem i spojrzała na znajdujące się dziewięćdziesiąt stóp pod nią poszarpane skały. Pływacy unosili się na falach. Na prywatnej plaży dziewczyna opalała się bez stanika. Bezustanny huk fal pieścił jej uszy. Odetchnęła głęboko i obróciła się ku domowi, stanowiącemu ostatni krzyk techniki budowlanej, który Cosmos wynajął dla niej. Mając posiadłość na Cliffside Drive było się prawdziwym posiadaczem. Któregoś dnia fala przypływu zabierze stojące w dole, zbudowane na palach domy. Domy na zboczach gór pochłonie ogień. Lecz urwisty cypel przetrwa tysiąc lat, póki nie zatriumfuje nad nim drażące skałę morze.

Platformę, na której stała, zbudowano na wystającym ze skał przyładku. Urządzono ją tak, by goście mogli tu posiedzieć pod ogromnym słonecznym parasolem albo poopalać się na specjalnie skonstruowanych leżakach. Muzyka z płyt kompaktowych zawodziła cicho z umieszczonego na zewnątrz głośnika. Przenośny komputer spoczywał wyczekująco na stole. Emma westchnęła. Oderwała się na parę minut od pisania, by napawać się swym cudownym światem, lecz nie może pozwolić sobie na dłuższą przerwę. Ma zbyt wiele roboty, zbyt wiele musi porozsiewać nieszczęścia, zbyt wielu zniszczyć wrogów.

Podeszła do krzesła Balansa, zbawiennego na kręgosłup, i uklękła przy nim, uginając palce w rzucającym cętkowane światło słońcu późnego lata w Malibu. Był to trzeci dzień jej urzędowania w Cosmosie, a jeszcze nie zbliżyła się nawet do tego miejsca. Miała listę najważniejszych spraw do załatwienia, a bóle porodowe nowego studia zajmowały na niej odległe miejsce. Na samym szczycie znajdowała się zemsta. Spędzała czas tu, na cyplu, pisząc, a z furgonetek wyładowywano jej nędzny dobytek na marmurowo-granitowe podłogi efektownego domu, który dla niej wynajęto. Gdzieś w środku para sekretarek odpierała ataki telefoniczne. Tu, na zboczach skały, temperatura była o parę stopni wyższa niż gdziekolwiek indziej w Malibu, a żar seksu dochodził z zielonego ekranu smith-corony. Nigdy dotąd nie pisała seksownych tekstów, ale jak rany, ma do tego smykałkę.

Obrazy bystro płynęły przez jej umysł, ożywiony wymyślonymi wrażeniami, zapachy zaś i dźwięki, smaki i dotknięcia kotłowały się w jej rozgorączkowanym umyśle. Dała sobie spokój z eufemizmami — dumną nagłością jego pożądania, nieśmiały mi komorami, zakazanymi amuletami miłości. W zamian nazywała rzeczy po imieniu, szorstko, brutalnie i cholernie trafnie, opisując wszystko tak dokładnie, by nie trzeba było niczego sobie dopowiadać. W końcu to scenariusz. Dyrektywy od dyrekcji. Wkłada im to wszystko łopata do głowy, by na planie nie było wątpliwości, co gdzie wsunąć.

Zachichotała pod nosem, sunąc palcami po klawiaturze. Czasami pisanie tak jej szło. Wówczas zdawała się dostrojona do jakiegoś wewnętrznego strumienia świadomości, a palce ledwo zdołały dotrzeć do kroku szaleńczego dyktandu, tryskającemu z jej twórczego źródła. Były to chwile rzadkie, ale cudowne, stanowiące absolutne przeciwieństwo szarych, smutnych dni, gdy każde słowo trzeba wykładać w kamieniu. Ale nie była zdziwiona. Wszystko się jej układało. Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Z chwilą gdy poddała się najmroczniejszym marzeniom, odniosła triumf. Drobne morderstwo to doprawdy niewielka cena.

Najszeptniejsza sekretarka w Hollywoodzie, którą Emma wybrała ze względu na jej uderzającą brzydotę, zawołała przez trawnik.

—Dzwoni pan Richard Latham.

—Proszę przyjąć i przekazać wiadomość — odkrzyknęła Emma. Tony znajdował się pod spodem, Melissa siedziała na nim w pozycji „na jeźdźca”. Ujęcie panoramiczne kochanków, potem zbliżenia. Emma widziała twarz Pat Parker, jej spięte ciało skulone w fotelu reżysera, gdy uwielbiany mężczyzna na jej oczach kochał się z legendą. Melissa musiała się miotać, wkładać palec w półotwarte usta Tony'ego, jęczeć i postękiwać z szalonej namiętności, gotując się do celuloidowego orgazmu. Zbliżenie twarzy Melissy. Ścieżka dźwiękowa. Narastająca muzyka. Zbliżenie twarzy Tony'ego, zatopionego w morzu lepkiej ekstazy. Czy Pat będzie patrzyła przez ręczną kamerę, by ustawić obraz? Czy Melissa naprawdę szczytuje, wykonując swój słynny trick? A jakie myśli będą chodziły po głowie Tony'emu Valentinowi, gdy pieprzył go sekspert, a jego dziewczyna patrzyła zastanawiając się, kiedy ośmieli się krzyknąć: „stop”? Emma naprawdę odczuwała niepokój. Zbijał się w galarete wraz z potem podniecenia pod pachami. Unosił się w promiennym powietrzu. Cudownie denerwująco przebiegał jej po krzyżu.

Grzmociła słowa z odnowioną intensywnością. Włączył się jej wewnętrzny przełącznik. Była podniecona. Rozpalała się. Ruszyły w niej soki, tak jak to opisywała. Stała się Melissa Wayne, pulsującą i tętniącą pod siłą tłoczenia Tony'ego Valentina. Miała go wreszcie, przykuwał ją do podłogi. Osunęła się wokół jego muskularnego ciała, wysysając z niego soki, gdy w nią wpływał. Oooooooch! Otarła się łydkami o krzesło, pokręciła tyłkiem, ruszając nim w prawo i w lewo, aż ekran zakolysał się w rytm jej erotycznych fantazji. Jezus! Roztapiała się pisząc, jak tamci zatapiali się w sobie. Była cała napalona, wyładowując się na neutralnym gruncie, a klawisze maszyny pod jej palcami zastępowały fragmenty ciał, których tak nagle zapragnęła dotknąć.

Już sam opis tej sceny doprowadzi Pat Parker do płaczu. Reżyserowanie jej wprawi dziewczynę w szal. A Tony, dumny, arogancki Tony, czyż nie będzie szczęśliwy, grając kawał miecha? Oto scena dozwolona tylko dla dorosłych. I śmierć dla poważnego aktora. A facet, który wszystko obnażył dla *New Celebńty* Emmy, będzie to potem robił na kilometrach taśmy. I za sto lat nie obsadzą go w innej roli. Jako staruszkowi zaproponują mu nakręcenie na wideo serii instruktażowych filmów o życiu seksualnym dla starszych obywateli. Śmiech zbulgotał jej w żołądku, gdy napawała się tą czarodziejską chwilą, a także wszystkimi, mającymi nastąpić w przyszłości, i waliła w klawisze jak opętana, obmyślając scenariusz diabelskiej zemsty.

Musieli przejść z podłogi do łóżka, z otwartych przestrzeni do skrytości pościeli. Tu, pod wykwinnymi prześcieradłami Melissa Wayne, królowa zbliżeń, może dokonać spustoszeń. Z tego przecież słynęła. Nie uznawała przepasek, niewidocznych majteczek ani innych rekwizytów, którymi posługują się zawodowcy. Chętnie się ich pozbywała ku większej chwale swej „sztuki”. Gdy Melissa Wayne odtwarzała orgazm na zbliżeniu, zawsze było tylko jedno ujęcie.

Palce Emmy zamieniły kochanków miejscami.

Unosi ją brutalnie, jakby nic nie ważyła. Podchodzi do łóżka. RzUCA ją na dół. Ściąga narzuty i pościel. Kobieta z wdzięcznością stacza się między nie. Odwraca się, by spojrzeć na kochanka, którego pożąda. Wargi ma rozchylone, wilgotne od żądz.

Otóż to. Znaleźli się tam, gdzie można wyrządzić największe szkody, i nie omieszka tego uczynić. Następnie okryje ich pościelą. Ona stopnieje w jego ramionach. Skwapliwie wysunie ku niemu biodra. Emma przestała pisać. To prawie

zbyt dobre, by było prawdziwe. Związek Pat Parker i Tony'ego Valentina nie przetrwa „Malibu”, które Emma właśnie obmyśla. Zadba o to dyszący seksem scenariusz, a także wyczynowo uprawiana miłość Melissy Wayne i jej realistyczna metoda gry aktorskiej. Gdy ich związek legnie w gruzach, Emma wykona swój ruch i Tony Valentino, który ją niegdyś odrzucił i upokorzył, nie zrobi tego ponownie. Będzie się czołgał na czworakach po podłodze, by ją zadowolić. Będzie błagał o możliwość zaspokojenia szefowej studia, w przeciwnym bowiem razie zniszczy jego przyszłość, o którą Tony tak obsesyjnie zabiegał. Będzie go wreszcie miała tam, gdzie chce, pokornie leżącego u swych stóp, i w bezwzględnym, upodlającym akcie poddania przemieni bohatera w osobistego niewolnika, o którym zawsze marzyła.

Palce Emmy z powrotem pomknęły do klawiatury i raz jeszcze litery zaczęły tańczyć na ekranie. Układały się w język erotyki, lecz głosiły wyrok śmierci dla szczęścia Pat i Tony'ego.

Dla wielkiego i świetnego zakończenia, które sobie zaplanowała, potrzebna była tylko jedna rzecz, a gdy się nad tym zastanawiała, do jej głowy napłynęły nagle tony Wagnera.

Melissa Wayne już była jej sprzymierzeńcem. Dziś wieczór, gdy się spotkają, podpiszą pakt krwią Tony'ego Valentina.

Emma usadowiła się za biurkiem w pozycji siły. Od stóp do głów okryta imitacjami diamentów wyglądała jak samotny myśliwy przebrany w damskie ciuszki, lecz niewidzialny napis nad jej głową głosił: SZEFEK STUDIA, i to Melissa Wayne odbyła podróż do Malibu. Siedziała teraz naprzeciwko Emmy w okrytej dżinsami płataninie kończyn i mówiąc oblizywała pełne wargi.

— Cóż, Emmo, nie mogę powiedzieć, że nie byłam zaskoczona, ale na pewno jestem zadowolona. To cudownie ze względu na ciebie, na mnie, w ogóle na kobiety.

Melissa Wayne mruzczała jak kot, którym zresztą była. Nigdy nie lubiła kobiet, żywych ani umarłych, i nie zamierzała teraz tego zmieniać. Lecz dość długo przebywała w Hollywoodzie, by docenić wagę odpowiednich szumów. Ta dziwka za biurkiem zaszła daleko z krainy magazynów. Najwyraźniej ma jaja. Trzeba się jej przypodobać, co najmniej dopóty, dopóki zajmuje główną komórkę do wynajęcia. Dogadały się przynajmniej co do tego, że mają wspólny cel — ukaranie i upoko-

rzenie tego niemożliwego Tony'ego Valentina. Jeśli ten punkt w dalszym ciągu znajduje się w programie, Melissa będzie pełną entuzjazmu sojuszniczką Emmy.

— To zabawne, nie uważasz? — zaszcebiotała Emma Guinness, przesu-
wając się w fotelu, by uniknąć imitacji diamentu, która wklino-wała się jej w ty-
łek. — Chodzi mi o to, że wszyscy znają się na filmie, a jednak każdy przyznaje,
że nie wie, jak go zrobić. Mam zamiar dobrze się bawić. Myślę, że przeniesie się
to na publiczność.

Melissa roześmiała się.

— Zawsze miałam takie motto. Dość dobrze daję sobie radę z partnerami.

Emma zawtórowała jej, zadowolona, że Melissa wysunęła ten temat. Wiedzia-
ła, że nie było to przypadkowe. W wywiadzie, którego gwiazda udzieliła jej w
swym domu w Benedict Canyon, Melissa mówiła „bez obsłonek”. Ciągnął się
mniej więcej przez dwie butelki piwa i dotyczył głównie Tony'ego Valentina. Po-
znały się dość dobrze jak na dwoje ludzi nie wierzących w przyjaźń.

—Widujesz się z Tonym? — spytała Emma.

—Nie — odparła Melissa. Przygryzła wargę na myśl o nim i o tym, jak się
wobec niej zachował. W ich dziwnym związku nie było miejsca na czułość ani
zaangażowanie, lecz dochodziło chociaż do zbliżenia ciał. Przynajmniej chciało
mu się wstrętnie wobec niej zachowywać. Wymagało to wysiłku i energii. To zna-
czyło, że jakoś był w to wciągnięty. Potem, ni z tego, ni z owego, wszystko się
urwało. Nie doszło do żadnych wyjaśnień, przeprosin ani pożegnań. W jednej
chwili był jej pirackim kochankiem, okrutnym, brutalnym i nieobliczalnym, ale
przynajmniej był. W następnym momencie zniknął. Nie mogła się do niego do-
dzwonić. Nie odpowiadał na jej listy, faksy ani telegramy. Jego agent zwodził ją w
sposób typowo hollywoodzki. Przez jakiś czas pławiła się w histerii. Myślała o
tym, żeby posłać mu zdechłe kurczaki i przebite laleczki, i jego automatycznej se-
kretarce zostawiała straszliwe wiadomości z obietnicą zemsty, a potem błagała, by
wrócił. W końcu żar jej uczuć ostygł i w nieubłaganym świetle nowego brzasku
wiedziała dokładnie, czego pragnie dla swego sadystycznego kochanka. Nawet w
dniach, gdy wykorzystana i sponiewierana leżała na podłodze, oblana jego żądzą,
chciała go zranić. Teraz, porzucona i zlekceważona, obmyślała o wiele gorsze rze-
czy dla chłopaka, który ośmielił się upokorzyć Melisse Wayne, gwiazdę, za którą
tęsknił zdrowy na umyśle świat.

—Słyszałam, że wrócił do Pat — rzekła Emma.

—Ja też tak słyszałam — powiedziała Melissa przez zaciśnięte zęby. Utkwiły w sobie nagle rozbłyśnięte oczy.

— Ale ma rolę w naszym filmie, nieprawda, Melisso? To jego szansa na sławę, czyż nie? Dzikimi końmi nie odciągnie się go od tej roli.

Melissa uśmiechnęła się. Podobała się jej zagrywka z „naszym filmem” i była to prawda. Melissa stanowiła kasową legendę. Emma miała stanowisko szefowej studia. Film należał do nich dwu. Jeśli będą trzymać się razem, nikt im nie da rady.

—To znaczy?... — wycedziła Melissa, uśmiechając się szerzej.

—Po prostu mówię, jak jest — rzekła Emma. — Tony musi zrozumieć, że my tu rządzymy. Jeśli chce grać w tym filmie, musi być grzeczny.

Melissa Wayne poruszyła się na krześle, osuwając miednicę na piętę, na której siedziała. Ona tu rządzi! Będzie Tonym rządzić! Wreszcie zapanuje nad nim. Ona będzie gryzła jego wargi, jej szpicruta trzaśnie go w bok. Konspiracyjnie pochyliła się do przodu.

—To wspaniale — odezwała się cicho, lecz z takim napięciem, że niemal można go było dotknąć.

—Chciałam ci powiedzieć, że porobiłam trochę zmian w scenariuszu — rzekła Emma z uśmiechem.

Melissa wirowała na jej fali. Dokonane przez Emmę zmiany na pewno będą dobre. Co do tego nie ma wątpliwości.

— Zasadniczo — ciągnęła Emma — wzmocniłam sceny miłosne między tobą i Tonym. I wzmocniłam element miłosny. Przedtem w tym związku panowała pewna równość. Teraz mamy usiłującego się wybić młodego aktora, szalejącego za okrutną i kapryśną supergwiazdą. Czy to pasuje do ciebie i Tony'ego, Melisso?

Wyraz twarzy Melissy mówił, że brzmiało to dla niej jak słodka muzyka. W głowie kłębiły się jej rozkoszne myśli, lecz jedna kwestia wymagała wyjaśnienia.

—A co o tym myśli Pat Parker? — zapytała.

—Nie musisz przejmować się Pat Parker, Melisso. Nie wierzę w gadanie o „twórcach”. Jest tylko reżyserką. Zrobi to, co jej powiem. Na razie nic nie wie, a jeśli nie będzie się jej podobało, może zrezygnować.

—A Latham? — Melissa wolała zabezpieczyć się na wszystkie strony. W produkcji filmowej orientacja, kto rozporządza najwyższą władzą, ma zasadnicze

znaczenie. Ledwo mogła opanować podniecenie. W jej głowie powstawał piękny pomysł. Czy Emma Guinness też o tym myśli?

— Latham da mi wolną rękę. W Cosmosie decyduję o wszystkim.

Obiecał mi to. — Emma podkreśliła znaczenie swoich słów szerokim gestem ręki.

—A zatem zrobimy bardzo rajcowny film — wyszeptała Melissa. Wysunęła różowy języczek, by zwilżyć i tak już wilgotne wargi.

—A tak, owszem — przytaknęła Emma. — Bardzo seksy, bardzo realistyczny. Melissa otrzymała zachętę. Nieszczególnie jej potrzebowała.

—W paru moich rolach — rzekła — zauważyłam, że jeśli partnerzy odpowiednio na siebie działają, sceny miłosne wychodzą cudownie w małych pomieszczeniach. Najlepiej, jeśli można iść na całość — zredukować grę do minimum, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

—Wiem dokładnie, o co ci chodzi. Zredukuj grę do absolutnego minimum. — Emma się roześmiała.

—Zastanawiam się, czy dałoby się namówić Tony'ego... — rzekła Melissa złośliwie, sprośne obrazy już tańczyły jej w głowie.

—Jestem zupełnie pewna, że by się dało, jeśli się go odpowiednio ustawi... — Niedozwolone dla młodzieży myśli rozbuchały się w mózgu Emmy. — Naturalnie Pat Parker będzie to reżyserować, prawda? Pewnie dojdzie do eksplozji. — Ze słów Emmy zdecydowanie biła wesołość.

—Taaak, wścieknie się, no nie? — przytaknęła zachwycona Melissa. — Lecz jeśli będziemy obstawać przy tym i się nie złamiemy. Jeśli będziemy trzymać się razem, żeby mieli nóż na gardle, i w ogóle wszyscy będą musieli się podporządkować... — Melissa skręcała w palcach pasma włosów, jak uparte dziecko, którym w istocie była.

—Właśnie! — Emma Guinness odchyliła się na krześle. W jej głosie dźwięczała satysfakcja.

Śpiewały zgodnie. Złączone były ze sobą biodrami. Spoila je siła nienawiści do Tony'ego Valentina i dziwaczna potęga pożądania, jakie doń odczuwały. Było to nieświęte przymierze. I niezwyknięte.

— Masz przypadkiem egzemplarz poprawionego scenariusza? Chciałabym go wieczorem przejrzeć.

Melissa Wayne była latarnią morską, wysyłającą sygnały perwersyjnego pożądania. Żądza bulgotała jej we krwi. Odraza pieniała się w duszy.

Emma wzięła z biurka scenariusz w niebieskiej okładce. Wyciągnęła go ku Melissie.

— Spójrz na pierwszą stronę — powiedziała.

Emma Guinness przewodniczyła zebraniu. Siedziała za ogromnym biurkiem i rozglądała się po pokoju jak naukowiec, badający wzrokiem klatkę z eksperymentalnymi szczurami. Obecni patrzyli wyczekująco, z minami winowajców, jakie przybierają wszystkie znakomitości

Hollywoodu w obecności kogoś jeszcze znakomitszego. Uśmiech nie schodził im z twarzy, kręcili się na krzesłach i po rozbieganych oczach widać było, że zastanawiają się, co by tu mądrego powiedzieć. Szef produkcji, tusty blondyn koło czterdziestki, najwyraźniej miał skłonności do kamieni żółciowych. Dwaj jego asystenci w identycznych brązowych skórzanych kurtkach typu „Montana”, lewisach i długich butach byli chudzi i zmartwieni, jakby otrzymali z banku pisma, grożące im odkupieniem drogich samochodów, na które nie bardzo mogli sobie pozwolić. Autor scenariusza był zrozpaczony i miał po temu uzasadnione powody. Stał przed plutonem egzekucyjnym. Producent, wciągnięty w ten projekt, zarówno dlatego, że miał umowę dzierżawną ze starym Cosmosem, jak i dlatego, że wyróżniał się mahoniowobrazowym nosem, zbierał się do zabrania głosu.

— Chciałbym powiedzieć — w imieniu nas wszystkich — że pan Latham dokonał błyskotliwie oryginalnego wyboru, zatrudniając panią jako szefa studia. Jestem gorącym wielbicielem pani nowego pisma i nie ulega dla mnie wątpliwości, że Cosmos czeka wspaniała przyszłość. Cieszę się, że będę mógł pomagać przy tworzeniu tego studia. — Wyciągnął dużą chustkę i otarł nią pot z tłustego czoła. Czy to wystarczy? Czy zabezpieczył tym swoją umowę producencką? Od pięciu lat nie wyniuchał ani jednego przebojowego scenariusza. Jeśli już kogoś mieliby wyrzucić, to właśnie jego.

Emma przytaknęła krótko.

— Zebraliśmy się tu, by omówić scenariusz „Malibu” — odezwała się tonem, w którym brzmiała uniwersalna wymówka.

Podniosła go z biurka, trzymając między kciukiem i palcem wskazującym, jakby maszynopis był skażony. Potem upuściła go. Upadł i leżał między ołówkami i telefonami, na pół otwarty, na pół zamknięty.

— Chyba wszyscy wiedzą, że go przerabiam.

Wszyscy popatrzyli na siebie wzajemnie. W Hollywoodzie władza uderza do głowy. Złudzenia zawsze były wspaniałe. Płaszcząca się służalczość podwładnych i pomysłowość ich pochlebstw wytrącała z równowagi nawet najbardziej odpornych, a i tak niewielu ich znalazłoby się w tym mieście. Ta Guinness, której mimo astronomicznych trudności udało się wyciągnąć z kapelusza taką robotę, najwyraźniej uległa chorobie zawodowej Fabryki Snów z zapierającą dech w piersiach szybkością. Już wydaje się jej, że może napisać scenariusz. Widać nie powiodło się jej jako „poważnej” pisarce. Tak jak mnóstwu naczelnych. Straciwszy nadzieje na Nobla, niedoszła intelektualistka zawzięła się na Oscara za scenariusz. Wszyscy jęknęli w duchu. Był to podręcznikowy przykład narodzin filmowego śmierdźla.

— Czy przeróbki są duże? — spytał nerwowy pismak, który stworzył pierwszy szkic.

— Nie tak bardzo duże — odparła Emma. Scenarzysta wyraźnie się rozjaśnił. Może ma jeszcze jakieś szanse. — Przede wszystkim mocniej zarysowałam sceny seksualne. Udało nam się zdobyć Melisse do tego filmu, a Streisand angażuje się po to, by śpiewała.

Tweedle Dum i Tweedle Dee, dwaj młodzi niespokojni Turcy, roześmiali się nerwowo, by pokazać, że dowcip do nich dotarł. Sceny miłosne Melissy zdążyły obrosnąć legendą. Stąd się brały jej sukcesy kasowe. I do tego te plotki — że lubi to robić naprawdę.

— Czy to rozsądne? — spróbował producent. — W filmach, które wypuściliśmy latem, seks był bardzo stonowany, a poszły świetnie.

Emma zachichotała paskudnie.

— No cóż, ma pan ogromne doświadczenie, panie... panie... — urwała, brutalnie dając do zrozumienia, że zapomniała jego nazwiska. — Wszyscy powinniśmy wysłuchać tego, co ma pan do powiedzenia, lecz w nowym Cosmosie będziemy starali się myśleć po nowemu. Dlatego właśnie Dick mnie zaangażował. Przypuszczam, że najbezpieczniej byłoby powielić filmy, które miały powodzenie w zeszłym roku. Spróbujemy jednak żyć trochę bardziej niebezpiecznie i z więk-

szą fantazją. Myślę, że akurat „Malibu” przydałoby się sporo śmiałego seksu. To film o obsesji i miłości. Wie pan, miłość i seks idą w parze. Niech pan sam czasem spróbuje.

Producent wychodził ze skóry, by okazać, że na drugie imię ma Tak. Za pomocą ręcznego hamulca zrobił zwrot o sto osiemdziesiąt stopni.

—Taaak, Emmo, masz rację. „9 1/2 tygodnia” może nie odniosło wielkiego sukcesu w kinach, ale wspaniale sprzedawało się na wideo, sto milionów poszło za granicę, a Basinger zrobiła się międzynarodową gwiazdą. Przygotowują następną część. A „Morze miłości” poszło jak burza. W epoce seksualnej typu: „patrz, ale nie dotykaj”, publika pragnie zmysłowości. Od patrzenia nie można się nabawić paskudnych chorób. Jestem za aż do momentu... No wiecie. A co na to Valentino?

—Valentino robi, co trzeba — odparła Emma, pogrążając się w zadumie zwanej „zemstą”.

Dotąd nie zapomniała i nigdy nie zapomni tego, co jej wówczas powiedział. To rezultat jej paktu z diabłem. Jej nowe życie biegnie jak w zegarku. Morderstwo i szantaż w zamian za studio i całkowitą władzę nad tymi, których nienawidziła. To idealny układ, wymagający stalowych nerwów o sile, o jakiej nie mieli pojęcia w Hollywoodzie, gdzie podobno coś takiego wynaleziono. Te wypierdki z jej biura nie mają pojęcia, na co może sobie pozwolić. Nieszczęsnym durniom wydaje się, że Latham tu rządzi. Skąd mogą wiedzieć, że władza Lathamem dużo bardziej bezwarunkowo, niż gdyby za niego wyszła? Wystarczy jeden telefon, by go wsadzili za morderstwo pierwszego stopnia. Może to zaraz zrobić. Może podnieść słuchawkę, znajdującą się na jej biurku, i powiedzieć glinom: „To Latham zrobił”. Wezmą tylko jego odciski palców i witaj, San Quentin. Później zmusi go, by oddał jej pieniądze i całą fortunę. Teraz ma to, czego pragnie — ludzi, którymi może poruszać jak marionetkami, a także władzę nad chłopakiem, który ją skrzywdził, oraz nad jego ukochaną.

—Mam wrażenie, że będzie się pani interesować pracami nad tym filmem na bieżąco — powiedział ostrożnie producent.

—Zgadza się — warknęła Emma. — Pat Parker odpowiada przede mną. Tak jak cały zespół, w porządku? Oczywiście wszyscy będziemy stosować się do życzeń Melissy Wayne. Ona jest motorem tego wszystkiego. Ona to pociągnie. To też ma otrzymywać to, co chce i kiedy chce. Zrozumiano? Jeśli powstaną jakieś

problemy, kiedykolwiek, w dzień czy w nocy, proszę się ze mną skontaktować. Nie muszę podkreślać, że poczuję się osobiście urażona, jeśli Melissa będzie miała jakiegokolwiek zastrzeżenia.

Rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu nie istniejących oznak sprzeciwu. Wiedziała, że zachęca do zmian w dotychczasowej drodze służbowej i że stanowi to pogwałcenie przyjętych zwyczajów. Nieważne. Ci idioci myślą, że gra toczy się o pieniądze. Nie mają pojęcia, że kryptonim akcji brzmi: „Zemsta”.

Przyślijcie ją do mnie — rzekła Emma. Odetchnęła głęboko. To będzie zabawa, ale niebezpieczna. Pat Parker była osobowością jej własnego kalibru. Nogi w butach do kostki miała ochotę położyć na biurku jako manifestację siły, a zatem tak zrobiła. Jaka szkoda, że nie pali. Po raz pierwszy w życiu zrozumiała pożytki płynące z cygar.

— Słuchaj, Emmo, co się tu, do diabła, dzieje? Właśnie słyszałam od jakiegoś chłopca na posyłki, że przerabiasz scenariusz. Dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

Pat wpadła całym rozpędem, strzelając z biodra. Była wściekła. Słowami jak pociski waliła w kuloodporną tarczę osobowości Emmy Guinness.

— Tak, trochę go pozmieniałam. Wiesz, jak to jest. Nikt tutaj nie umie pisać. Po tej stronie Missisipi słów używa się tylko do telefonu.

— Nie bądź taka mądra. Wy tłumacz, dlaczego mnie wyrolowałaś.

—Boże kochany, Pat, jesteś taka bezpośrednia. To nie film z Johnem Wayne'em. Uspokój się, na miłość boską.

—Nie uspokoję się. Właściwie niby dlaczego? Szefowa studia przerabia bez mojej wiedzy scenariusz i robi na ten temat zebranie, a ja o wszystkim dowiaduję się od ludzi. To bardzo nieprofesjonalne... żeby nie powiedzieć więcej.

Stała nad biurkiem Guinness, policzki jej płonęły, oczy ciskały błyskawice.

—A tak, my, stare filmowe wygi, musimy pozostać profesjonalistkami za wszelką cenę, no nie? Jako długoletnia szefowa studia jestem zbudowana twoją troską, zrodzoną z długoletnich reżyserskich doświadczeń. — Sarkazm nie gościł długo na jej złośliwych ustach. Oczy Emmy zwięzły się. — W gruncie rzeczy nie powiedziałam ci dlatego, że na pewno miałybyś zastrzeżenia, a najpierw chciałam wysondować innych, którzy już zrobili w życiu jakiś film. Wiem, że to niewiele daje, ale przynajmniej chciałam zorientować się, co im chodzi po głowach.

—Mówi się, że chcesz zrobić pornusa — rzekła Pat, nie dając sobie wcisnąć kitu i od razu przechodząc do sprawy zasadniczej.

—Pat! Pat! Mam do ciebie prośbę. Ale prawdziwą. Proszę, nie rób ze mnie idiotki. Prawda, że po moich przeróbkach film będzie bardziej zmysłowy. To mu dobrze zrobi. Dokonałam też paru zmian, by podkreślić obsesyjny charakter uczuć Tony'ego do Melissy... ale to wszystko. Chyba nie masz powodu tak się unosić. Może byś usiadła i odprężyła się?

Pat nie chciała usiąść. Chciała dowiedzieć się, co jest grane. Bo coś było. Od chwili gdy wybuchła bomba, że Emma dostaje pracę w Cosmosie, czułki Pat drgały jak oszalałe. Poznała złowieszczą stronę Angielki i wiedziała, że Emma nienawidzi Tony'ego, a jej nie znosi. Teraz osobiście interesuje się „Malibu” do tego stopnia, że aż chciało się jej wsadzać nos w scenariusz. W nowej pracy musi mieć mnóstwo ważniejszych spraw na głowie. Wszystko to wróży bardzo źle. Postawiła na bardziej śmiałe sceny seksualne — między Tonym Valentinem i lymfomańską gwiazdą; Tony zaplątał się z nią w historię, gdy jego związek z Pat czasowo się rozpadł. Pat nie mogła odpędzić dziwnego uczucia, że jest to sprawa osobista, że cały ten film, scenariusz, obsada, obłądny wybór Emmy na szefa Cosmosu to wszystko elementy spisku, mającego doprowadzić ją do szaleństwa. Zdawała też sobie naturalnie sprawę, że to niemożliwe. Film będzie kosztował co najmniej dwadzieścia milionów dolarów. Nikt nie ryzykowałby takiej forsy, by załatwić prywatne porachunki. W każdym razie to działka Lathama. Głównie i przede wszystkim jest człowiekiem interesu. Choć miał powody, by ją nienawidzić, wydawało się również, że ją kocha, a fakt, że nie odebrał jej filmu, świadczył o tym, jak wielki czuje do niej szacunek. Była też sprawa między Lathamem i Tonym. Tony uratował Lathamowi życie, co będzie się liczyło, kiedy jego akcje spadną, jeśli w ogóle do tego dojdzie.

Mimo wszystko Pat wiedziała, że dostanie w kość. Przedsmak tego już miała. Temu miały służyć zmiany w scenariuszu. Później może być gorzej. Ale znalazła się w niezręcznej sytuacji. Jakże można zgłaszać zastrzeżenia względem czegoś tak nieokreślonego, jak sceny miłosne, nie sprawiając przy tym wrażenia jakiegoś podrajcowanego kaznodziei? Musi zorientować się, na czym stoi.

— Jak mocne są te nowe sceny? — spytała. Emma uśmiechnęła się. Na to czekała.

—Powiedzmy po prostu, że nikt nie będzie pytał: „I gdzie te momenty?” — Urwała. — Naturalnie, może tak wypaść, że nie będziesz chciała ich reżyserować, Pat. Tu miałam problem. I częściowo dlatego chwilowo cię „wyrolowałam”, czy jak to tam ujęłaś. No więc, zważywszy, że ty... i Tony... i Tony... i Melissa... — Urwała. Uderzała ołówkiem o skórzane obicie biurka. — Miałam nadzieję — ciągnęła — że zdołamy wznieść się ponad osobiste różnice i trudności, ale jeśli mają być kłopoty, zajmijmy się nimi od razu.

—Słuchaj, z ludźmi dam sobie radę — warknęła Pat. — Chciałam tylko dowiedzieć się, komu Latham dał ten film — ci czy mnie?

—Tobie czy mnie — rzekła Emma, z natury niezdolna do lekceważenia błędów gramatycznych. — Ty jesteś reżyserką, Pat. Ale reżyserujesz mój scenariusz. — W jej słowach dźwięczała stal.

— A jeśli będziemy miały różne zdania?

— Jak w piosence Franka Sinatry: zrobimy na mój sposób. Pat była wściekła. Gdy się odezwała, głos jej drżał.

— Słuchaj, Emmo. Nie jestem gońcem ani popychadłem w tym interesie. Jestem reżyserką. Zgoda, nie mam największego doświadczenia na świecie i wierzę w pracę zespołową i tak dalej, ale nie mam zamiaru być twoją służącą w tym interesie. Sprawuję kontrolę artystyczną albo odchodzę, jasne? Więc przestań udawać chłopka roztrop-ka i naucz się trochę uprzejmości. Pamiętaj, że jesteś kobietą, a nie Dżingisem przelatującym Chana.

Oczy Emmy zwęziły się.

— Wyjašnjmy jedno — burknęła. — To nowe studio, ale rządzić nim będę w starym stylu, jak w średniowiecznym królestwie, a jeśli ci się nie podoba, to droga wolna. Nie mam wątpliwości — rzekła szyderczo — że wszystkie studia dookoła nie mogą się doczekać, kiedy przyjdzie do nich taka legenda kasowa jak ty. Nie krępuj się. Daj im szansę. Przejdź na drugą stronę ulicy. Dwa lata zabierze ci znalezienie agenta, nie mówiąc już o pracy.

Pat podskoczyła. A więc to tak. Ma to już z głowy. Film nie jest tego wart. Dla niego o mało co zdradziłaby Alabamę. Teraz manipulowała nią psychopatka. Owszem, pragnęła go rozpaczliwie. I w dalszym ciągu pragnie. Ale są granice. Właśnie do nich doszła. Jeśli o nią chodzi, sprawa jest skończona.

— Jeśli ty odejdiesz, polecą Tony — rzekła Emma Guinness.

Pat zastygła, lecz myśli jej wirowały dalej. W ostatnim momencie ta Guinness podniosła stawkę. Tony najwyraźniej związany jest z jej umową. Oczyma duszy ujrzała jego zrozpaczoną twarz. Pat pragnęła tego filmu, lecz Tony oddałby za niego życie. Pat o tym wiedziała. Emma najwyraźniej też. Jeśli teraz wyjdzie, nie tylko zniszczy swoją, znajdującą się w stadium embrionalnym karierę, bezlitośnie doprowadzi też do poronienia jego kariery. Kocha go. Cholera, chciałyby za niego wyjść. Czy może zdeptać jego marzenia, by zadowolić poczucie własnej godności? Co on o niej pomyśli, jeśli do tego dojdzie? Co będzie czuł, jeśli nie dojdzie? Głowę miała pełną batów i marchewek. Schwyciła się jedynej liny ratowniczej. Pora w to wciągnąć Lathama. Chciał, by robiła ten film. Dotrzymał umowy mimo diatryby, jaką wygłosiła przeciw niemu u Getty'ego. Mają niepisany kontrakt, który ich ciała uzgodniły w najstarszym porozumieniu świata. Nie była z tego szczególnie dumna, ale i nie żałowała. Zwłaszcza teraz.

Tak, Latham był jej kartą atutową. Nadszedł właściwy moment. Bez dwóch zdań. Czas nią zagrać.

Pat wróciła do biurka. Usiadła, splotła ręce na kolanach i powiedziała cicho:

— Wydaje mi się, że twoją decyzję trzeba omówić z Dickiem Lathamem.

— Tak uważasz? — rzekła Emma Guinness. — I ja tak sądzę. Wykrzywiła twarz w przerażającym uśmiechu, od którego Pat zrobiło

się niedobrze. Nie takiej reakcji oczekiwała. Przypuszczała, że Emma, upojona poczuciem władzy, oderwała się od rzeczywistości i że wzmianka o Lathamie sprowadzi ją na ziemię. Tak się jednak nie stało. Najwyraźniej Emma chowała w zanadrzu coś, o czym Pat nie ma pojęcia.

Emma nacisnęła przycisk interkomu.

— Dajcie mi Lathama — rzekła, a brak słowa „pan” świadczył o tym, że sytuacja rozwija się w sposób wysoce niepomyślny.

Głos Lathama rozległ się szybko. Zbyt szybko. Normalnie trzymałby ją ze dwie minuty za murem sekretarek.

— Tak, Emmo? — Jego głos brzmiał dziwnie.

— Słuchaj, Dick, mam tu w biurze Pat. Chcę coś wyjaśnić, ona też się przysłuchuje. Czy mam pełną władzę w tym interesie — mogę przyjmować, wyrzucać i w ogóle wszystko? Mogę wziąć kogoś innego na miejsce Tony'ego i Pat i sama załatwić ewentualne kwestie prawne według mego uznania? Możesz to po-

twierdzić tak, żeby usłyszała? Promieniała za biurkiem. Nie pytała. Była to demonstracja.

—Mam nadzieję, Emmo, że to nie będzie konieczne — rzekł Dick Latham. Jego głos dźwięczał jakby z bardzo daleka. — Mam nadzieję, że Pat będzie patrzyła na sprawy twoimi oczyma, ale tak, masz pełnię władzy. Cosmos to twoja działka. Cokolwiek postanowisz, masz moje całkowite poparcie. Oddaję ci moje głosy. Uroczyście ci to obiecuję.

—Dziękuję, Dick. — Trzasnęła wyłącznikiem i przerwała rozmowę nie mówiąc nawet do widzenia.

Patrzyła szyderczo na Pat, oczy jej błyszczały z radości, że może zademonstrować swą przerażającą potęgę.

— A więc, Pat, musisz się zdecydować — rzekła.

Pat sama o tym wiedziała. Usiłowała zrozumieć, o co naprawdę chodziło w tej niezwyklej rozmowie. Latham zachował się jak piesek pokojowy Guinness. To najdziwniejsza rzecz, jaką w życiu widziała. Co mu się, na miłość boską, stało? Ale to nie pora na takie roztrząsania. Faktem jest, że jej kartę bez wysiłku atutowano. Wszystko zależy teraz od niej. Sprawa wróciła do punktu wyjścia. Czy może zniszczyć marzenia Tony'ego ze względu na osobiste zasady? Odpowiedź brzmiała prosto. Nie. Nie może. Zbyt mocno go kochała. Zbyt mocno tego pragnął. Ze swoją dumą może zrobić tylko jedno. Musi ją przełknąć, nawet gdyby się miała udławić.

— Będę reżyserować na twoich warunkach — rzekła.

17.

Pat zagrzebała się głową w ręcznik i mościła w piasku, usiłując czuć się jak najprzyjemniej w dziewięćdziesięciostopniowym upale. Miała ochotę znaleźć się w Zumie, a jej chłopiec zrozumiał to. Tu nie było wytwornych wydm Broad Beach ani półprywatnych piasków Colony. Tu, w krainie plastikowych opakowań po olejkach do opalania, muskularnych młodych ciał i marzeń nastoletnich królowych, panowały Czulość, Miłość i „Beach Boys”. Plaża wokół pulsowała. Kije

waliły w gumowe piłki, latające talerze ślizgały się po piasku, wybuchowi mieszkańcy gett puszczali rock na cały regulator, a obywatele Los Angeles napawali się ucieczką z nieznośnego miasta. Leżący obok Pat Tony mrużył oczy, czytając scenariusz. Pat zauważyła, że od czasu do czasu mrugał oczami.

—I co o tym myślisz?

—To wielka rola. Może z tego wyjść niezły film. Tylko te seksualne kawałki. To porno. I to mocne.

—Możemy je złagodzić. Słowa nic nie znaczą w przekazie wizualnym — rzekła Pat z brawurą, której nie odczuwała. Zgadzała się z Tonym. „Malibu” to fascynujące studium obsesji. Postaci tworzyły akcję. Film w urzekający sposób opowiadał o nerwicy zwanej „miłością”. Ale seks był naprawdę odważny. Od lat Hollywood krążyło wokół pornusa ze znanymi gwiazdami, ale wyszło z tego wyłącznie rozwodnione „9 1/2 tygodnia”. „Malibu” nic nie owijało w bawełnę czy w cokolwiek innego i Pat niewiele albo wręcz nic nie mogła na to poradzić. Poprzedniego dnia uległa Emmie Guinness, a wspaniały tego powód leżał obok wystawiając brązowe, posmarowane olejkami ciało na palące promienie słońca. Instynkt jej mówił, że ten film zrobi zeń gwiazdę, co miało zarówno dobre, jak i złe strony. Jej problem był następujący: jak, do diabła, zdoła reżyserować sceny seksualne, które obmyśliła Emma?

— Ale ile możesz zmienić, skoro Latham powiedział, że Emma tu rządzi? — odezwał się Tony. — Ciekaw jestem, w jaki sposób go omotała. To dziwne, myślałem, że facet jest twardy. Brutalny, ale mądry. Tymczasem to dureń, a do tego mięczak. Guinness przerobiła go jak dziecko.

Był zdumiony. Latham go zaskoczył. Sprawiał wrażenie, jakby jego charakter uległ gwałtownej zmianie. Trudno to wytłumaczyć.

—Niełatwo będzie dać sobie z tym radę — rzekł Tony.

—Melissa poradzi sobie bez trudu.

Pat zapragnęła odgryźć sobie język. Nie chciała tego powiedzieć, lecz niejedno leżało jej na sercu. Znowu byli razem. Przeszłość nie zniknęła jednak w ciągu jednego dnia. Nie mówili o Melissie Wayne, ale Pat i całe Hollywood wiedzieli, że miał z nią romans. Jak to się skończyło? Do diabła, czy w ogóle się skończyło? Nie знаła odpowiedzi na te pytania, a teraz scenariusz wymagał reinkarnacji na ekranie pozaekranowego pożądania. Gdyby Tony był chłopcem z sąsiedztwa, rozmawialiby o tym do końca życia porozumiewając się, dzieląc swymi uczuciami.

mi, co powszechnie uznaje się za zdrowy objaw. Lecz Tony nigdy z nikim nie sąsiadował. Pochodził z jakiejś niesamowitej planety. Nie odnosiły się doń normalne zasady. Dlatego wzbudzał miłość.

—A jak ty dasz sobie z tym radę? — Odrzucił do niej tę uwagę. Jeśli mają przeżyć atak połączonych sił Guinness i Wayne, muszą być razem. Jeśli rozdziela się w tym wczesnym stadium, padną niebawem.

—Jestem już duża — odrzekła Pat czując się tak, jakby była mała. — To tylko gra. Nie jestem przeżuwaczem kukurydzy z głębokiej prowincji, któremu wydaje się, że to wszystko prawda. Całowanie się przez dwadzieścia sześć klapsów przed śniadaniem to nie zabawa, tylko harówka.

—Całowanie się nie jest problemem — rzekł Tony, ścigany zazdrosnymi spojrznięniami połowy dziewcząt na plaży. Rzucił scenariusz na piasek. — Problemem jest Emma. I Melissa.

—Martwisz się, że wypróbuje na tobie swoją słynną zagrywkę, żeby zapomnieć, że to na niby.

Nie odpowiedział. Pamiętał rzucone na łóżko ciało Wayne, gdy używał go dla gniewnej rozkoszy. Wówczas on panował nad sytuacją. Ale teraz już nie. Nie on tu rządzi i mimo oficjalnego tytułu Pat również nie. Film należał do tych dwu kobiet na świecie, które Tony'ego nienawidziły.

Pat usiadła.

— Mam wspaniały pomysł. — Roześmiała się. — Aktorki zawsze chcą reżyserować. Melissa i ja możemy się zamienić. W ten sposób wszystkie te świńskie rzeczy będziesz robił ze mną.

Roześmiał się widząc, jak Pat dzielnie usiłuje wyjść z psychicznego dołka. Dotknął jej ramienia, opierając palec na naoliwionej skórze, rysując P na jednym ciele.

— Powinniśmy pracować — powiedział. — Powinienem uczyć się roli. Ty powinnaś szukać plenerów. Co, do diabła, robimy na tej cholernej plaży?

—Kocham cię — powiedziała.

—Kocham cię z powrotem.

—Odsyłasz moją miłość?

To był ich żart. Przeturlała się bliżej niego. Czowała zapach tak męski, jakby jego ciało zawierało w sobie siłę całego świata. Chciała je polizać, posmakować jego słoność. Zrobiła to.

— Hej, to publiczna plaża.

—Nikt nie zabronił jedzenia — rzekła Pat głosem miękkim i jedwabistym.

—Owszem, to zabronione — rzekł. Parę stóp dalej trio opalonych nastolatków naśmiewało się z nich.

Pat spojrzała na rozplomienione słońce. Była cisza przed burzą. Tak, powinna pracować, lecz praca wypełni jej życie przez następny rok i nie będzie w tym radości, jedynie krew, trud, pot i łzy. Przyszła tu dziś z Tonym, gdyż wiedziała, że to ich ostatnie wspólne chwile. Wkrótce znajdą się na planie, borykając się z burzami, rozszalałym morzem i wszelkimi niebezpieczeństwami celuloidowych głębin. Mogą tego nie przeżyć. Przynajmniej będą mogli wrócić myślami do tych dni i przypomnieć sobie, jak proste było życie — olejek do opalania, hotdogi, zimna cola — gdy fala uderzała o brzeg, a wokół biegały dzieci, nie znające znaczenia słowa „troska”. Uśmiechnęła się do siebie. Oto reżyserka i gwiazdor dużego studia filmowego. Nie było nikogo na tym piasku, kto nie zamieniłby się z nimi. A jednak to ona i m zazdrościła, prostoty ich życia, ich wolności, bezpieczeństwa jutra. Wielki Bankier, jak zwykle, rozdzielał paradoksy i oksymorony. Przegrani byli szczęśliwi. Szczęściarze smętnie tkwili w więzieniu sławy. Dlaczego zatem nie odpuścić sobie? Po cóż za wszelką cenę starać się wygrać? Ta zagadka nie miała sensu. Życie jak zwykle zazdrośnie strzeże swych tajemnic i rzuca wyzwanie tym, którzy chcą je zrozumieć.

—Ciekawe, czy widzi nas teraz Alabama i King — rzekła, a głos uwiązł jej w gardle na ich wspomnienie.

—Alabama będzie zbyt zajęty próbowaniem w niebie zimnego meksykańskiego piwa — roześmiał się Tony.

Okazało się jednak, że nie miał racji. W ogromnej torbie Pat zadzwonił przenośny telefon komórkowy, a gdy się odezwała, usłyszała bardzo wyraźny głos.

— Pat Parker? Mówi Pete Withers. Jestem adwokatem u Withersa, Salisbury'ego, Caldwell'a i Carruthersa. Chcę z panią porozmawiać o testamencie Bena Alabamy.

— O testamencie?

— Tak, ustanowił panią jedyną spadkobierczynią posiadłości i kuratorką całej jego fotograficznej spuścizny. Powinniśmy się spotkać jak najprędzej — oznajmił Withers.

Pat miała szeroko otwarte usta, lecz zdołała je uruchomić.

— Też mi się tak wydaje — powiedziała.

Tommy Havers krążył po dywanie gabinetu Lathama.

— Obawiam się, że Mary Grossman nie da sobie rady w *New Celebrity* — powiedział. — Może powinniśmy podkraść Tinę Brown z *Vanity Fair* albo ściągnąć Emmę Soames z Londynu. Tak jak jest, przetrwa jeszcze przez dwa numery, a potem wszystko zacznie się rozłazić.

Dick Latham machnięciem ręki skwitował kłopoty, jakby nie miały żadnego znaczenia. Havers spojrzał na niego zdumiony. To było jego ukochane dziecko. Pismo dominowało w ich rozmowach przez ostatnie półtora roku.

— Co policja wie na temat podpalenia Alabamy? — spytał nie-
spodziewanie.

Havers zmienił biegi. Wydawał się roztargniony. Szósty zmysł mówił mu, że szef przegrywa. To ważne. Jeśli interesy zaczną się obsuwać, na niego zwałą winę.

—Właściwie nic nie wiem. Chwileczkę... Policja mówi, że dokonano tego z premedytacją. Mają odciski palców podejrzanego. Sądzą, że prowadził jakiś szykowny sportowy samochód. Na zużłtu były ślady opon. Mają odlewy. Zdaje się, iż uważają, że to porsche.

—Jest trochę tego w hrabstwie Los Angeles — zauważył Latham.

—Na kanistrze są jednak odciski palców tylko jednego faceta — powiedział Havers.

Niecierpliwiał się. Chciał iść dalej. W programie miał przewidziane omówienie ważnych rzeczy — Cosmos i zaskakujące zachowanie się Emmy w czasie wstępnych prac nad produkcją nowego, jakże ważnego filmu.

— Nie bardzo mogą zdjąć odciski palców wszystkich, którzy mają porsche, prawda? — spytał Latham. Jego głos brzmiał niepewnie.

—Nie bardzo — przytaknął Havers. — Zastanawiam się, czy celem był rzeczywiście Alabama, czy też zrobił to jakiś nadziany świr, który lubi podpalać.

—Głosowałbym na wariata — rzekł Latham. — W Kalifornii to prawie pewniak.

—A skoro już przy tym jesteśmy — ciągnął Havers. — W Cosmosie wszyscy chodzą podminowani. Pierwsze pięć dni w nowej pracy Emma Guinness spędziła na przerabianiu scenariusza „Malibu”, jakby nie miała nic ważniejszego do roboty.

Wyszedł z tego pornus jak cholera. Całe szczęście, że Wayne to się spodobało. Może to i dobre posunięcie. Parker i Valentino to nie całkiem Fellini i Cruise. Jeśli to wyjdzie, to tylko dzięki Melissie.

—Jak to przyjmują Parker i Valentino? Wiesz, są ze sobą.

—Kogo to obchodzi? — rzekł Havers. — Mogą sobie iść, jak im się nie podoba. To im potrzebny jest ten film. Oni filmowi ani trochę.

—Jako dziedziczka Alabamy, Pat Parker nikogo nie potrzebuje — powiedział krótko Latham. W ciągu jednego dnia stała się bogata. Tacy ludzie jak Havers nie doceniają potęgi pieniądza. Ludzie, którzy je mają, jak Latham, nie popełniają tego błędu.

—Nie, ona twardo się trzyma. Jej facet pieje ze szczęścia, a ona jest na niego strasznie napalona. Cosmos zaś wyklada dwadzieścia milionów, żeby sfinansować jej debiut reżyserski. Mnóstwo odbitek Alabamy wystawionych jest na aukcji w Sotheby's i Christie's. Nigdzie nie pójdzie... o ile się jej nie wypchnie.

W głosie Haversa dzwięczała nadzieja. Niewiele wiedział o produkcji filmowej, ale jako fachowiec w robieniu interesów szybko się uczył. Niejednego dowiedział się od ludzi. Uczeni w piśmie byli zgodni co do tego, że jeśli film ma mieć jakiegokolwiek szanse, trzeba rozpatrzyć wszystkie niewiadome.

—Nie doceniasz jej, Tommy — rzekł Latham. Głos miał teraz łagodniejszy. — Jest twarda i bardziej utalentowana, niż ci się wydaje. Valentino też. Zrobi, co będzie musiał.

—Taaak, i uratował ci życie. — Havers, wieczny sługa, wyczuł nową słabość u swego zazwyczaj władczygo władcy. Dzięki temu mógł pozwolić sobie na ryzyko.

—Nie o to chodzi — warknął Latham. — Facet potrafi grać. Ma w sobie to coś. Dziwię się, że tego nie widzisz, ale ponieważ nie ma to nic wspólnego z bilansem, nie można tego od ciebie wymagać. Tony jest oryginalny. Inni go nie obchodzą i potrafi dążyć do celu. Gdy ktoś go rozgniewa, może być straszny. Właściwie — Dick Latham zamyślił się — w jakimś sensie jest podobny do mnie.

Emma Guinness wpadła w powikłany chaos filmowego planu jak huragan, walący w zatoce. Sunęły za nią sekretarki, osobiste asystentki oraz kierownicy niższego szczebla. Pół idąc, pół biegnąc robili pośpieszne notatki, rozpaczliwie usiłując pozbierać perły, które rzucała przed wieprze.

—Umowa na dzierżawę studia z Universem ma być szczelna jak chiński mur, rozumiano? Powiedźcie prawnikom, że jeśli znajdzie się tam choćby jedna

luka, mogą sobie szukać pracy gdzie indziej. Podpiszę, jak będzie gotowa na piśmie, o ile ktoś jeszcze potrafi pisać. Wiem, że telefon zniszczył umiejętność posługiwania się słowem. Może fax przywróci ją do życia.

—A jakie są wieści z budowy w Malibu? — odważyła się zapytać skromna asystentka.

—Nie wiem, cholera. Właśnie pochowali starego pierdołę, który to ujał. Moglibyśmy przynajmniej wpakować mu na grób studio dźwiękowe. Lepsze to niż rozmaryn ku czci. Ale to zmartwienie Lathama. Zależy, czy ma dość dobry łeb, żeby zawalczyć.

Pośpiesznie drepczący fagasi wymienili spojrzenia. Guinness rzeczywiście wysoko mierzy, jeśli może sobie pozwolić na docinki pod adresem superszefa. A kiedy jej podniebny lot zmieni się w bezwładny upadek? Jak najprędzej, zanoszono zbiorowe modły.

— Nie może być żadnych problemów z przestrzenią w studiu. Robimy tu ten kurewski film i żeby mi się nikt tu nie opieprzał. Zrozumiano?

Owszem, ale ledwo, ledwo. Okrągłe samogłoski Guinness i dziwaczne brytyjskie słownictwo stwarzało problemy pędzącym stenotypistkom.

Emma przeskoczyła przez przewody, ciągnące się po podłodze jak żylaki, wyminęła umieszczone na wysięgnikach mikrofony i tory do przesuwania kamer, przemknęła koło garderobianych oraz tłumy charakteryzatorów. Zdażała na środek planu, ku ogromnemu podwójnemu łóżu. Przystanąła przy nim.

—Boże kochany! — powiedziała. — To nylonowa pościel.

—Nie, właściwie to nie nylon, lecz mieszanka...

— Zabierzcie ją — warknęła Emma, obcinając zastępcę kierownika produkcji jak kłosek w polu. — Jak mówię jedwabna — zagrzmiała — to tak ma być. A gdy mówię, że wyrzucam z roboty, to też tak będzie.

Wokół niej pochyliły się głowy. Nikt się nie opierał. Nie chodziło tylko o pieniądze i hipotekę, kochanki i maserati. Było w tym coś więcej. Jasne, że mogła do woli przyjmować i wyrzucać, miała bowiem władzę nad ludźmi, gdyż, w ostatecznym rozrachunku, była tak inteligentna, tak złośliwa i tak absolutnie przekonana, że ma rację. Przeciwwstawiając się jej można było narazić się na upokorzenie.

Stanowiła marzenie masochisty, najgorszy koszmar sadysty. W porównaniu z Emmą Guinness wielokrotny morderca, Freddy Kruger, okazałby się zapewne miłym staruszkiem. Dwie osoby z obsługi ściągnęły pościel.

— Na miłość boską, umyjcie te straszne łapska, zanim nałożycie jedwabne powleczenie — burknęła do personelu. — Nie chcę, żeby moja gwiazda zaraziła się jakąś chorobą społeczną.

Przełknęli to nawet gburowaci związkowcy, a przy nich trzeba uważać, co się mówi. Na każdym innym planie taka uwaga oznaczałaby koniec pracy nad filmem.

—Gdzie jest Melissa?

—Tu jestem — odezwał się głos z tyłu. Melissa Wayne rzeczywiście tam się znajdowała. Wyglądała zabójczo. Ogromny szlafrok Ralpha Polo rozpięła do połowy. Prowokacyjnie wystawały z niego nagie piersi. Miała na sobie tylko zwykłe, białe bawełniane majteczki, a w jej spojrzeniu malowała się lubieżność.

—Bardzo rozsądnie robisz, Emmo — powiedziała nadąsana — że reżyserowanie sceny miłosnej zaczynasz od stworzenia przyjemnej atmosfery.

—Melisso, wyglądasz cudownie. Gdybym była mężczyzną, zakochałabym się. Wiesz, chyba i tak się zakochałam.

Emma uśmiechnęła się służalczo do tajemnego sprzymierzeńca. Obiekty pożądania seksualnego nie grymasiły względem rodzaju czy gatunku źródeł komplementów. Zwierzęta się nadadzą. Z braku laku rośliny.

—Ach, dziękuję pani — wdzięczyła się Melissa. — A gdzież, ciekawam, podziwia się mój dzisiejszy kochanek? — dodała.

—Dziękuję Bogu za szczęśliwy los, jaki go spotkał — zażartowała Emma.

—Nie jestem taka pewna. — Melissa uśmiechnęła się. Konspiratorki roześmiały się. Za kilka chwil, gdy kamery pójdą w ruch, zacznie spełniać się zemsta.

— No dobrze — odezwała się Pat Parker. — Omówmy tę scenę. Przybyła nie zauważona przez nikogo, i widać było od razu, że nie jest w nastroju do pogaduszek. Wydawała się blada, niedospana, a rzeczowy sposób bycia nie zdołał skryć niepokoju, który z niej emanował.

— Chyba powinniśmy poczekać na drugą połowę zespołu miłosnego. W przeciwnym razie będziesz musiała się powtarzać.

Słowa Melissy były niewinne. Ale nie ton głosu. „Zespół miłosny” wyładowany był najbardziej pożądliwymi skojarzeniami.

— Niech ktoś powie Valentinowi, że jest spóźniony — warknęła Emma.

— Spóźniony na miłość — zachichotała Melissa.

Stały w milczeniu, gdy ktoś z personelu poszedł po gwiazdora. Po czym Tony przedostał się na plan w ciemnoczerwonym jedwabnym szlafroku.

—Cześć — powiedział, nie zwracając się do nikogo w szczególności, odrzucając głowę w powietrze z nonszalancją, której, jak wiedziała Pat, wcale nie odczuwał.

—Dzień dobry, Tony — wymruczała Melissa. Kocie dźwięki kojarzyły się bardziej z lampartem niż kotkiem syjamskim.

Pat zaczęła mówić pośpiesznie.

— Jak wicie ze scenariusza, dziś będziemy robić niekonwencjonalne zdjęcia. Te sceny mają zapowiadać wątki zmysłowo-obsesyjne. Chcemy dać publiczności do zrozumienia, że może spodziewać się znacznie więcej. Zgadza się, Emmo?

— O tak, zgadza się. Znacznie, znacznie więcej. Pat drgnęła, słysząc zadowolenie w głosie Emmy.

—Oczywiście, zazwyczaj przedstawia się postaci, zanim rozegrają się między nimi sceny miłosne, wychodząc z założenia, że seks między obcymi to nuda, pornografia albo jedno i drugie. Jednakże w t y m szczególnym przypadku scenariusz Emmy lekceważy tę konwencję. A my — dodała z sarkazmem — płaczemy się w matni.

—A my kroczy naprzód, aż ostatni... padnie. — Melissa Wayne roześmiała się, wykazując zdumiewającą znajomość wiersza Tennysona.

—A więc zaczynacie na podłodze, my zaś robimy panoramę na pokój, a potem zbliżenia. Następnie Tony unosi Melissę, podchodzi do łóżka, i potem są te kawałki łóżkowe.

Pat zdawała sobie sprawę, że jej suchy opis nie oddaje w pełni erotyzmu tej sceny. Nie mogła zmusić się do dokładniejszego omówienia szczegółów.

Zapadła wyczekująca cisza. Chcieli więcej wskazówek. Czekali, żeby je, do cholery, wypowiedziała.

—Scenariusz jest całkiem jasny. Wiem, że go przeczytaliście. Więc może szczegóły techniczne zostawię wam, a sama zajmę się zdjęciami i oświetleniem. Naturalnie przyjdę wam z pomocą, jeśli w trakcie wyniknie potrzeba jakichś zmian — rzekła Pat, usiłując się jakoś ratować.

—Lubię, żeby reżyser wszystko mi dokładnie mówił. To mi pomaga. Gdy mnie ktoś publicznie dmucha, potrzebuję sprzężenia zwrotnego — oświadczyła stanowczo Melissa.

— My się nie pieprzymy. My gramy — rzekł gniewnie Tony.

—Czasami to mi się myli — powiedziała Melissa, zupełnie nie zmieszana jego wybuchem. Stojący w pobliżu kamerzysta stłumił śmiech.

—To taki facon de parler — rzekła Emma. — Sposób wyrażania się po francusku. — Uśmiechnęła się z wyższością. Melissa odwzajemniła jej uśmiech.

Gwiazda śpiewała z Emmą w zgodnym duecie. Sytuacja wyglądała dużo lepiej, niż to sobie wymarzyła. Zarówno Pat, jak i Tony wyglądali na wściekłych, nieszczęśliwych i co najlepsze, absolutnie bezradnych.

—Czy masz zamiar reżyserować, czy robić gratulacyjny komentarz na bieżąco? — szyderczo spytała Pat Melissę.

—Jeśli poradzisz sobie z pierwszym, wystarczy mi to drugie — odparła złośliwie Melissa.

—Do cholery, weźmy się do roboty — rzekł Tony.

—Jaki on romantyczny — zachichotała Melissa. — Bogu dzięki, jestem zawodowcem.

—To ty powiedziałaś — wycedziła Pat.

—Czy ci wszyscy ludzie są tu potrzebni? — spytała Emma. Nie chciała, by Melissa miała jakieś zahamowania.

—Nic nie szkodzi, to mi nie przeszkadza. Nie wstydzę się swojego ciała. Jeśli zobaczą je na głównej ulicy, dlaczego ci chłopcy nie mieliby sobie popatrzeć? Zamknięty plan zachowamy na później, gdy akcja stanie się intensywniejsza.

Jakby dla podkreślenia swoich słów, ściągnęła ramiona i upuściła na podłogę aksamitny szlafrok. Jej sterczące piersi wycelowane były prosto w oczy, które je zjadały, jak to powinno być, lecz nigdy tak się nie dzieje. To jak sztuczka pokazywana na towarzyskim zebraniu — chytra, niespodziewana i wykonana zuchwale.

Pat nie mogła oderwać od nich wzroku. Emma z nie ukrywanym podziwem patrzyła na bliźniaczy oręż w wojnie, którą toczyła wspólnie z gwiazdą.

Tony głęboko odetchnął. W przeszłości wykorzystywał Melissę równie bezliźnie, jak Melissa wykorzystywałaby jego, gdyby tylko uszło jej to na sucho. Nie czuł się winny. Była twarda jak diament, a hollywoodzkie bary pełne były chło-

paczków o anielskich twarzyczkach, którym jej kapryśna żądza przetrąciła kręgosłupy. Cieleśne harce z Melissa Wayne nie przerażały tylko najdzielniejszych. On zaś nie tylko je przeżył, lecz wręcz się nimi rozkoszował, a co najlepsze, widział, jak wpadła w dołek, który sama wykopała. Teraz role się odwróciły. Ona miała władzę. Może Melisse jej pozbawić, porzucając swe marzenie. Ale nie był pozbawiony uczuć, a półnaga Melissa pobudzała tak, jak to sobie zaplanowała. Żaden mężczyzna nie mógł pozostać obojętny wobec jej piękności. Scenariusz wymagał, by się kochali. Mimo niewielkiej odległości, która ich dzieliła, niemal czuł zapach jej seksu. Będzie musiał zatracić się w roli, jak to zawsze czynił. Aby wydawało się, że to uwielbia, będzie musiał to przeżyć. By to odczuć, będzie musiał tym żyć. Na tym polegała jego metoda. To właśnie teraz robi. Pat Parker zostanie wygnana z jego myśli, Emma Guinness musi zniknąć. Będzie tylko żar ciał pod rozżarzonymi światłami i intensywność, która jego aktorstwo czyni o tyle prawdziwszym od nudnej rzeczywistości.

On też patrzył na piersi, w których utkwily wzrok Pat i Emma.

— Nieładnie się gapić — rzekła zalotnie Melissa. Pat weszła na plan.

— Chcę, żebyście zaczęli tutaj — skłamała. — Kamery mamy w trzech ustawieniach. Prosto z góry, ukośnie z prawej, ukośnie z lewej. Zaczynamy z góry, Tony powinien być na górze, pośladki nagie, nogi splecione z nogami Melissy. Ścieżka dźwiękowa nieważna, jakaś poważna klasyka czy inne gówno. Całujecie się namiętnie, z otwartymi ustami, tak żeby boczne kamery mogły złapać ruchy języka. I chcę dużo śliny. Jeśli wolicie, może być sztuczna. Niech ktoś przeciągnie gąbką Tony'emu po plecach, chodzi o pot.

— Nie bój się, przy mnie się spoci. Już to wypróbowałam — rzekła Melissa.

Pat jęknęła w duszy.

— Proszę pamiętać, że robimy tu film — odparła ostro.

— Już przedtem parę zrobiłam — rzekła Melissa — czego o tobie nie można powiedzieć.

Tony zsunął szlafrok z ramion, tak że zwisał mu wokół pasa. Asystent produkcji zwilżył mu gąbką plecy. Pat dała znak, by zapalono reflektory. Wraz z powodzią światła na planie zapanował żar. Pat i Emma wycofały się we względną ciemność na skraj planu, zostawiając dwoje „kochanków” samych.

— Czekam na to — wyszeptała Melissa. — I na następny raz. Siedząc na podłodze, obserwowała go. Po raz pierwszy robi to

publicznie. I choć jest dobry, a czuła, że będzie bardzo dobry, nie będzie to dla niego łatwe. Sięgnął do węzła paska i rozplątując go, wpatrywał się w przestrzeń. Odrzucił szlafrok poza zasięg kamery. Był nagi. Oczy Melissy napawały się obiektem swoich dążeń. To będzie jej barometr. Miała tylko jeden cel w tej scenie, jeden cel w życiu. Musiała podniecić jego męskość, sprawić, by była twarda, silna, by pragnęła jej tak, jak ona już pragnie. Skupiła się na przedmiocie swego pożądania, pragnąc, by był, stał się, żył i kochał ją, a jej ręce sięgnęły do paska majtek. Zwyczaj wymagał, by miała je na sobie, a ciało partnera powinno być tak upozowane, by je ukryć. Ale nie z Wayne taka zabawa. Prawda to prawda, a fałsz to fałsz, i ciała muszą się dotykać, jeśli serca mają zabić szybciej. To najpewniejszy sposób, by strumień płynącej do kas gotówki zmienił się w spienioną rzekę. Zdziałało to przedtem. Zdziała i teraz.

Ściągnęła z nóg majtki i odrzuciła je. Leżała na podłodze z nogami rozchyłonymi o parę prowokacyjnych cali, idealny trójkąt jasnych włosów łonowych okalał delikatne różowe wargi.

— No, Tony, proszę się ustawić. — W głosie Pat słychać było napięcie, choć rozpaczliwie starała się mówić rzeczowo.

Osunął się na nią, a ona podciągnęła się ku niemu. Ciepło jej puszystych włosów z wdzięcznością cisnęło się na jego śpiące jeszcze ciało. Zadrzał pod jej delikatnym dotykiem, jak to być miało. Sięgnęła w górę, otaczając ramionami jego szyję i przyciągnęła go do siebie, chwytając w pułapkę intymności, gdy umysły ulegają ciałom, a wola słabnie. Owionął go jej zapach. Była tak miękka i potulna, tak silna w swym dążeniu. Kamery jeszcze nie pracowały, a ona już się z nim kochała, rozgrzewając go, przygotowując do tego, co miało nadejść.

— Kamera! — krzyknęła Pat, a wargi Melissy Wayne uniosły się, by napawać się jego ustami.

Pat zaczęła się pocić. Czuła wilgoć pod pachami, i to nie z powodu lamp łukowych, lecz tego, co oświetlały. Na jednym poziomie był to tylko pocałunek. Ani pierwszy, ani ostatni z miliarda takich celuloidowych zetknięć warg i powinien mieć mniej więcej także znaczenie jak pogawędki o rozbrojeniu w Genewie. Tyle że to byli Tony i Melissa, a jedyną rzecz rozdzielającą ocierające się o siebie części ich ciał stanowiła skóra. Pat odwróciła wzrok. Spojrzała z powrotem. Opanowała ogarniające ją lepkie mdłości. Zdjęcia ledwo się zaczęły, to ona sama krzyknęła: „Kamera!” Teraz pragnęła wrzasnąć: „Stop!” Usiłowała się uspokoić. Jest

reżyserką. Musi myśleć jak obiektyw. Cały czas tak działała robiąc fotografie. Zazwyczaj była to jej druga natura. Teraz czuła inaczej. Za wszelką cenę starała się być obiektywna. Czy pocałunek był za długi, za głęboki, zbyt otwarty, zbyt powściągliwy? Niech to diabli wezmą, był idealny. I diabli ją brali. Kochankowie przed kamerą robili to serio. Tony pożerał Melissę. Ona go pochłaniała. Stykali się jak dwie kartki perfumowanego listu w kopercie. Dla Pat było to tak miłe, jak twarda cząstka w placku z dyni.

Wyłoniła się Melissa, by zaczerpnąć tchu.

— I jak idzie? — wymamrotała przez ociekające, posiniaczone wargi. Melissa uśmiechnęła się do Pat. Z nadąsaną miną spojrzała na Tony'ego, którego twarz była o cale od jej policzka. Wszystko poszło jak z płatka. Boże, to było cudowne. Tony wszedł w ducha sceny miłosnej tak, jak się spodziewała, a na twarzy reżyserki znać było spustoszenia. Gra warg stanowiła tylko zakąskę i nie przebiegała w izolacji. Dolna połowa jej ciała wiła się i skręcała z wężową zmysłowością. Już zaczęło to wywierać nieunikniony efekt na ciele i krwi chłopca, którego nienawidziła kochać. Na razie było to jeszcze niewidoczne. Wkrótce przestanie takie być. Za parę minut wszyscy się dowiedzą, że jej pragnie. Ujrzą jego żądzę. Pat Parker będzie zmuszona oglądać niepodważalny dowód jego pożądania.

— Jak idzie? — spytała Melissa.

—Świetnie — wymamrotała Pat. — Jak się czujesz, Tony? — zapytała wiedząc, że to idiotyczne pytanie. Desperacko pragnęła, by okazał jej trochę serdeczności. „Cierpię dla sztuki”, „Kocham cię”, „Ta dziwka ma nieświeży oddech” — jakieś takie zdanie brzmiałoby w jej uszach jak muzyka.

—Może powinniśmy dokończyć tę scenę — odparł zimno po dłuższej chwili. Nienawidził, gdy ściągano go z nadrzeczywistości iluzji. Dlatego właśnie scena była taka cudowna. Tam był sam we własnym, stworzonym przez siebie świecie. Krytycy przychodzili przed przedstawieniem i po jego zakończeniu, nigdy w trakcie. Ale wyczuwał ból Pat. Wypełniał on cały plan. Powinien się tym zająć, lecz nie mógł, gdyż miał tu pracę do wykonania. To była jego sztuka. Liczyło się tylko to, by była dobra. Wszystko inne to zawracanie głowy. W filmie był kochankiem, obsesyjnie pochłoniętym legendą. Teraz, w tych krótkich momentach, oznaczało to, że był tą osobą. Chciał powrócić do ciała Melissy. Pragnął zatopić się w wilgoci miłości Melissy. Fakt, że w prawdziwym życiu pogardzał nią, był myślą nie-

bezpieczną, paraliżującą jego sztukę. Dlatego za wszelką cenę starał się odegnać ją ze świadomości.

Pat usłyszała, co powiedział. Rozumiała go dość dobrze, by czytać między wierszami. Wiedziała, o czym myśli, i diabelnie ją to bolało. Ale nie było już odwrotu. Mogła zrobić tylko jedno i to właśnie zrobiła.

— W porządku, drugi klaps — powiedziała.

— Wspaniały pomysł — rzuciła Emma Guinness gdzieś z tyłu.

Pat Parker wpadła jak burza do garderoby, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Tony, siedzący przy toalecie i zmywający makijaż z twarzy, obrócił się na obrotowym krzeselku. — Ty kurewski szczurze — wrzasnęła. — Kochałeś się z nią.

— Nie pieprz głupot, grałem...

— Akurat. Wcale nie grałeś. Widziałam, że nie grałeś. Jezu, przecież ci się... wszyscy widzieli. Tony, naprawdę...

Podskoczył.

— Grałem, do cholery. Nie rób tego, Pat. Nie rób mi tego. Nie rób tego sobie. Im to jest na rękę. Właśnie tego chce Emma. I Melissa. Nie podkładaj się im.

— To przez ciebie. Do cholery, to przez ciebie, Tony. Nie kłam. Byłeś na nią napalony. Przyznaj się. No dalej, powiedz prawdę.

— To o niczym nie świadczy, Pat. Absolutnie o niczym. — Wiedział, że nie dał jej takiej odpowiedzi, jakiej pragnęła, lecz nie mógł, gdyż jej oskarżenie było prawdziwe. Jest człowiekiem. W żyłach płynie mu krew, nie woda. Nikt nie mógłby grać z Melissa Wayne i pozostać seksualnie obojętnym. Owszem, podniecała go. Wiedziała, którądy płynie prąd w mężczyźnie. Miała mapę męskiej elektryczności. No i dobrze. Taka sama była Melissa na filmie. Dlatego fikcyjny bohater, którego grał, rozkochał się w niej. Scena ta była prawdziwa, gdyż oboje aktorzy pragnęli, by była prawdziwa. W ten sposób działał Tony. Jeśli Pat tego nie rozumie, to nic nie rozumie.

Ani wyrozumiała logika, ani dobrotliwa wielkoduszność nie odgrywały głównych ról w umyśle Pat Parker.

— Może dla ciebie to nic nie znaczy, ale dla mnie znaczy cholernie dużo — krzyknęła Pat załamującym się głosem. Oczy miała zamglone. Nie chciała płakać, ale znajdowała się na krawędzi łez. Żar bijący od kopulującej pary rozgrzał plan. W porządku, był to szalony materiał, z którego powstanie wielkie kino, lecz żołą-

dek Pat wywracał się na drugą stronę. Nie musiała reżyserować, jak jej to dano do zrozumienia. Musiała tylko patrzeć, i jak dotąd było to najgorsze dziesięć minut jej życia. Na próżno usiłowała odciąć się od rzeczywistości i wycofać w prywatny, oderwany od wszystkiego świat — nie zdołała tego dokonać. Nie była introwertyczką. Wszystko u niej było na wierzchu. Uczuć nie skrywała w sercu ani w głowie, wszystkie miała wypisane na twarzy. Tam też były: niesmak, zazdrość, gniew i straszliwy, potworny ból.

—Pat, proszę, spróbuj zrozumieć... wiesz, jak to jest, usiłujemy zrobić tu coś wielkiego, coś ważnego. Ten film może być absolutnie oryginalny. Musisz wznieść się ponad takie małości — musisz.

—Nie opowiadaj mi, co muszę. Mówię ci, co ty masz zrobić. Musisz wynieść się w cholerę z mojego życia na zawsze, rozumiesz. Ja nie żartuję. Już cię nie kocham. Nawet cię nie lubię, bo jesteś tanim, bezczelnym, egotystycznym maniakiem seksualnym. Nie możesz nikogo kochać, bo za bardzo jesteś zakochany w sobie.

— Pat, posłuchaj. Posłuchaj...

Ale Pat nie była w nastroju do słuchania. Pragnęła czynu, a nie płomiennych pocałunków. Oszałałymi oczyma przepatrywała pokój. Szukała broni, pocisku, czegokolwiek, co przekształci ten absurdalny pojedynek słowny w coś prawdziwie bolesnego. Lecz garderoba Tony'ego była równie naga jak jego dusza, oszczędna jak jego uczucia. Wtem ujrzała walkmana „Sony Sports”. Spoczywał na krześle obok niego. Nie słuchał na nim muzyki. Słuchał siebie, powtarzając nędzne kwestie, które wyłącznie go obchodziły. Pochyliła się, schwyciła aparat i odsunęła się od Tony'ego. Wokół walkmana oplątany był przewód.

— Pat!

— Ty cholerny skurwysynie! — wrzasnęła. Zakręciła walkmanem nad głową, aż zawirował nad nią w powietrzu jak jaskrawożółta bomba. Nie uchylił się. Dlaczego? Za dużo ma cholernej godności. Jego jedynym ustępstwem na rzecz samoobrony było niechętnie uniesienie ramienia. To jej nie powstrzymało. Wypuściła walkmana. Plastikowy aparat prześlizgnął się w powietrzu i wbił Tony'emu w ramię. Potem odczepił się od czarnego przewodu, który go przytrzymywał, i sunął dalej, silnie ocierając się o skroń Tony'ego. Nie zatrzymał się. Pofrunął ku toalecie wchodząc w bezpośredni kontakt ze stojącą tam, oprawioną w ramki fotografią i rozbił ją w drobny mak. Dziewczyna na zdjęciu nie wydawała

się zaskoczona losem, który ją spotkał. Maria Valentino uśmiechała się ciepłym, szczerym uśmiechem, pełnym miłości i czułości, przenikającym przez rozbite szkło, które ją teraz spowijało. Piękna twarz spoglądała na nią z przeszłości poprzez spustoszenie i zdawała się mówić prosto do Pat. Nie skrzywdź mojego Tony'ego — prosiły głębokie błękitne oczy. Trudno go pojąć, ale musisz spróbować go zrozumieć. Jest dobry i potrzebuje cię. Wzajemnie siebie potrzebujecie.

Ręka Pat pomknęła do ust.

— Och, Tony! Och, Tony, tak mi przykro.

Podszedł do stołu. Oczy miał pełne łez. Podniósł zraniony portret, palcami oczyszczając go z odłamków szkła, i wpatrzył się w oczy matki, którą kochał tak rozpaczliwie. Zdjęcie było podarte u dołu, tuż obok miękkich dłoni, które tak często go pocieszały, które jako dziecku nacierały mu plecy, by usnął, które opatrywały jego rany i przytulały go, gdy potrzebował miłości, jakiej nie mógł przyjąć od nikogo innego. Z oczu spłynęła mu łza, oplakująca wspomnienia i całą miłość, która minęła nie wypowiedziana aż do owej straszliwej nocy, gdy było już za późno. Teraz została tylko fotografia matki i gdzieś stamtąd, z nieruchomych niebios, jej duch, jak zawsze, czuwał nad nim.

Odwrócił się do Pat, a twarz miał pełną smutku. Nie był zagniewany. Na jego naznaczonym żalem obliczu widniały odwieczne zmartwienia wszystkich dzieci. Dlaczego, gdy tak bardzo się kocha, tak trudno to wyrazić? Dlaczego, gdy już jest za późno, słowa przychodzą tak łatwo, a odczuwa się to tak boleśnie? Nie ma odpowiedzi dla przeszłości, są tylko źle wyuczone lekcje na przyszłość, lecz w teraźniejszości są łzy żałości, spływające po policzkach Tony'ego Valentina. Opuścił ramiona. Opadł na krzesło i ukrył głowę w dłoniach. Spomiędzy nich dochodziły łkania.

Przez chwilę Pat, wstrząśnięta, wpatrywała się weń szeroko otwartymi oczyma. Był to dla niej moment absolutnego objawienia. Patrzyła przez okno w duszę Tony'ego. Teraz wreszcie zorientowała się, czego chce. Pragnęła tego, jego drżącego serca, spowitego w piękną, bezduszną powłokę, bo tyle tylko pozwalał oglądać głupiemu światu. Na stole leżała fotografia jedynej istoty, którą kochał prawdziwie, i Pat wiedziała ze straszliwą pewnością, że pragnęła zająć jej miejsce, które ceniłaby bardziej niż własne życie. Kiedyś była zła na Tony'ego, ale od tego czasu minęły lata świetlne. Teraz uwielbiała go mocniej, niż w najśmielszych marzeniach wydawało się jej to możliwe. Uklękła przy nim i wzięła w ramiona, jak

matka tuliłaby dziecko. Przycisnęła go mocno, by wytłumić smutek, a palce podążyły w górę, pieszcząc kark, pocieszając, przeprasząc.

— Kocham cię, Tony — wyszeptała. — O Boże, tak bardzo cię kocham.

Muszę z tobą pogadać.

Melissa Wayne wspięła się na pasażerskie siedzenie studyjnego wózka golfowego i patrzyła prosto przed siebie. Fakt, że nie spojrzała na Tony'ego, świadczył o dwóch rzeczach. Niełatwo jej przychodziło wypowiedzenie tego, co miała do zakomunikowania, a chciała oznajmić coś ważnego.

Tony Valentino głęboko zaczerpnął oddechu. Poza planem nie chciał mieć nic wspólnego z Melissa Wayne. Stanowiła straszne utrapienie, a jakiegokolwiek związki mogłyby zakłócić to magiczne wzajemne oddziaływanie, o którego prawidłowe funkcjonowanie Tony tak bardzo się starał.

—Dobrze — powiedział bez entuzjazmu. — Jadę załatwić parę spraw. Zabierzesz się ze mną?

—Chcę to zrobić naprawdę — oświadczyła Melissa. Bawełna nie służyła jej do owijania tego, co miała powiedzieć. Nadal jednak na niego nie patrzyła.

Tony z trudem przełknął ślinę. Zastanawiał się, kiedy to nastąpi. Wiedział dobrze, o co jej chodzi.

— O co ci chodzi? — zapytał.

— Żeby na planie kochać się naprawdę. Tak jest najlepiej. Tylko tak można. Robiłam to już przedtem. To dobrze wychodzi.

Mówiła szybko, jakby obawiała się, że jej przerwie.

— Żartujesz — powiedział.

Teraz obróciła się ku niemu. Oparł się o kierownicę i patrzył Melissie w twarz.

—Nie, Tony, nie żartuję. Dobrze wiesz. Mówię poważnie. To ma zasadnicze znaczenie dla filmu. Zapewni mu absolutną wiarygodność. Uwierz mi. Nie ma problemu. Robiłam to przedtem... i było fajnie. — Pozwoliła sobie na prowokacyjny półuśmiech. Na pewno nie było fajnie. To było okrutne, bolesne, absurdalnie intensywne, ale nigdy fajne. Raz po raz traktował ją jak dziwkę z rogu w ubogiej dzielnicy, z którą podrygując odstawiał szybki numer na stojąco za góra pięć dolców. W ten sposób gwiazdę kina wykorzystano po raz pierwszy — rozkoszny, upokarzający pierwszy raz, za który Tony musi zapłacić spokojem ducha. I zapłaci.

—Oszalałaś — rzekł głosem pełnym niesmaku. Narastał dawny gniew, niweczący dyplomatykę na planie. Może Melissa Wayne jest słynną aktorką, ale w gruncie rzeczy to nędzna nimfomanka.

—Nie oszalałam — odparła spokojnie Melissa Wayne. — Jestem gwiazdą.

— Idź do cholery, Melisso — powiedział.

Długo nań patrzyła, a po jej twarzy przebiegały wszystkie odcienie uczuć, od początkowego szoku, przez irytację, po przeraźliwie pewny siebie spokój.

— Ciekawa jestem — powiedziała wreszcie — kto w końcu pójdzie do cholery.

Gratulacje, Tony. Przeglądałam to, co ostatnio nakręciliście. Twoja scena z Melissą jest rewelacyjna.

Emma Guinness wstała, gdy Tony Valentino wkroczył do jej biura. Usiadł na krześle naprzeciwko niej, nim zdążyła mu to zaproponować. Ani słowem nie skwitował jej pseudokomplementu. W zamian przebiegał oczami po kremowej, jedwabnej spódnicy i koszuli, które miała na sobie, a wyraz jego twarzy mówił, że chciałby je zarzygać. Najwyższą rangą osobista asystentka Emmy dostarczyła mu wezwanie na tę konferencję. Nie mógł uniknąć spotkania w cztery oczy, ale nie musiał być nim zachwycony.

— Ale powstał przy tym pewien problem.

Usiadła z powrotem, wygładzając spódniczkę na tłustych udach.

— Mam wrażenie — rzekła z wymuszonym uśmiechem — że nasza gwiazda nie jest szczęśliwa. Mówiąc „nasza gwiazda” mam oczywiście na myśli Melisę.

Tony wpatrywał się w nią napastliwie. Domyślał się, że do tego dojdzie. Melissa poszła poskarżyć się Emmie. Czy powiedziała prawdę? Czy wymyśliła jakieś inne pretensje? Najprawdopodobniej to drugie. Nie bardzo mogła jończyć Emmie, że partner nie chce jej dmuchać na planie. Nie odezwał się.

— Zdaje mi się, że jej początkowy entuzjazm wobec ciebie zanikł, jeśli wybaczysz mi to brytyjskie niedomówienie — rzekła ostrożnie Emma. — Przedstawiła długą listę skarg, sięgającą od... — zerknęła na biurko, niby sprawdzając coś w spisie — ...od „braku umiejętności zawodowych”, cokolwiek to by miało oznaczać, do... „nieświeżego oddechu”. — Roześmiała się serdecznie. — Sądzę,

że po wczorajszej scenie, kiedyście się tyle całowali, mogła wyrobić sobie zdanie na-ten temat, chociaż, wnosząc z gry, specjalnie to jej nie przeszkadzało.

Jak było zamierzone, na policzkach Tony'ego wyskoczyły dwie bliźniacze plamy gniewu. Był próżnym mężczyzną i nie lubił, jak się z niego nabijano. W całym życiu nie oskarżono go o coś tak głęboko raniącego, jak cuchnący oddech. Nieważne, że nie była to prawda. Rozwścieczył go właśnie okrutny fałsz oskarżenia. Odór cielesny, łupież, tłusta cera, brudne uszy były skazami innych ludzi, nigdy Tony'ego Valentina. Nie obrażał się, gdy uważano go za skurwysyna, zimnego i niedostępnego, małostkowego i nieczulego. To były odpryski obsesyjnej ambicji. Supermani cierpieli na takie przypadłości. Jednak tylko łachudry miały nieświeży oddech. Nie zaprzeczył temu. Byłoby to poniżej jego godności. A zatem milcząc rzucał groźne spojrzenia i czekał na to, co nieuchronnie jeszcze nastąpi.

— Uważam, że powinnam ci powiedzieć, co jeszcze mówiła. To prawdziwa litania skarg. Obawiam się, że w gruncie rzeczy chodzi o to, że jest naprawdę wytracona z równowagi. Spójrzmy dalej, o, na przykład: „nieznajomość podstawowych zasad techniki filmowej, złe aktorstwo, niekoleżeńskie zachowanie, nieprzyjemne nawyki, higiena — najwyraźniej chodzi tu o coś jeszcze poza kwestią oddechu — oraz, na ostatku, ale nie najmniej ważne, mówi, że czuła się strasznie zażenowana, kiedy się... jakby... podnieciłeś w czasie sceny miłosnej. Twierdzi, że już jej się to zdarzało z amatorami i że od tego „zawsze robi się jej niedobrze”, właśnie tak dokładnie powiedziała.

— Chciała, żebym ją naprawdę przeleciał na planie. Słyszałaś plotki. Jest z tego znana — wybuchnął Tony. — Powiedziałem jej, żeby to sobie wybiła z głowy, a teraz przyszła do ciebie z tymi wszystkimi bajdurzeniami.

— Aha — rzekła Emma Guinness z rozważą mędrca. — A więc to tak wygląda. — Udało jej się dać do zrozumienia, że na pół wierzy Tony'emu, ma jednak pewne wątpliwości. „Przekonaj mnie” — mówiły jej oczy.

„Nic z tego” — można było wyczytać we wzroku Valentina. „Nie muszę tłumaczyć się ani tobie, ani nikomu” — wypisane było na jego twarzy.

— Tony, obawiam się, że nie w pełni rozumiesz moją sytuację — odezwała się Emma tonem uprzejmej nauczycielki, zwracającej się do tępego ucznia. — Usiłuję kierować tu studiem, zrobić film, ważny, o zasadniczym znaczeniu. Cosmos jest nowy. Ja jestem nowa. Będą nas sądzić po tym, jak ta impreza wyjdzie. Jeśli będzie do niczego, nikt z miasta nie przyśle nam ludzi ani scenariuszy. W jednej

chwili przestaniemy się liczyć. Odbudowa reputacji studia będzie trwała lata... — Urwała, jakby miała jeszcze mnóstwo do powiedzenia.

—No i co z tego? — gburowato powiedział Valentino.

Emma uśmiechnęła się pobłaźliwie. B o ż e, jakżeż ją mierzył. Niczego się nie nauczył. Miała większą władzę niż Pan na wysokościach, a nadal traktował ją protekcyjnie. Rany boskie, ależ go pragnęła. Z miejsca zdarłaby zeń niebieskie dżinsy i pożerała aż do nasycenia. Pragnęła wdychać jego cudowny oddech i z pierwszej ręki zapoznać się ze stanem jego higieny osobistej. Brudnego, czystego, i co tylko jest pomiędzy tymi stanami, pragnęła go smakować i cieszyć się nim, póki swędzenie, które tak ją trapiło, nie zostanie porządnie, raz na zawsze podrapane, by więcej już jej nie kłopotać.

—A więc, jak powiedziałam, mamy duże kłopoty. Wiesz, jak jest. Najpewniejszą gwarancją sukcesu filmu jest gwiazda. Obawiam się, że w tej roli występuje Melissa, nie ty. Ona robi kasę, ale Melissa nie jest zadowolona. Jeśli sobie pójdzie, przepadliśmy. W tym mieście wszyscy wiedzą wszystko. Będą omawiać historie „z planu”. Film może paść jeszcze, zanim zostanie zrobiony. Nie mogę do tego dopuścić.

—Chcesz, żebym ją przeleciał?

Tony wysunął szczękę, prowokując Emmę, by wyrażała się jasno. Jeśli to przyzna, przynajmniej wykaże się uczciwością. Objawi się też jako oślizgła glista, która wślizgnie się bez wazeliny i poświęci ostatnią zasadę profesjonalizmu, by zarobić dolca. I co nie najmniej ważne, zrobi film bez Tony'ego Valentina. Metoda w aktorstwie ma swoje granice.

— Tego nie mówię — odparła chytrze Emma, wywijając się z zastawionej przez niego pułapki. — Przecież nie mogę tego zrobić. Ale proszę cię, byś okazał nieco zrozumienia dla mojego dylematu. Melissa jest gwiazdą. Nie jest z ciebie zadowolona. Ty jesteś nieznany. Wyczuwasz sprawę?

— Chcesz mnie wylać, bo jakaś dziwka naopowiadała ci kłamstw?

— Och, Tony, życie nie jest czarno-białe. — Nastawiona filozoficznie Emma roześmiała się kwaśno. — Tego nie powiedziałam... jeszcze.

To „jeszcze” spadło jak uderzenie szpicrutą i sprawiło, że Tony nie odezwał się. Zachował jeszcze naiwną wiarę w moc prawdy, w to, że słuszość zatriumfuje w końcu nad złem. Oczywiście, pamiętał chwile, kiedy tak się nie zdarzało, ale na ogół działało się właśnie tak. Lecz nagle zaczęło wyglądać na to, że dojdzie do na-

stępnego wyjątku, potwierdzającego regułę. Pod znakiem zapytania stała jego kariera, próba zostania gwiazdorem, co było dlań równie ważne, jak powietrze, którym oddychał, czy spożywane jedzenie. Nie miał złudzeń. Jeśli zerwą z nim kontrakt i wyrzucą z pracy nad filmem, będzie skończony. Wiedział o tym. I Emma o tym wiedziała.

— Szczerze mówiąc, Tony, ludzie zajmujący się handlową stroną tego przedsięwzięcia są zmartwieni. Strasznie martwią się tobą. Martwią się Pat. Naturalnie dam sobie z nimi radę. Należą do mnie, ale nie mogę zupełnie nie zwracać uwagi na to, co mówią. I to nie tylko faceci od marketingu i dystrybucji, ale fachmani z centrali od Lathama również. Tommy Havers dzwoni do mnie trzy razy na tydzień. Chce, żebym cię wyrzuciła, Tony. Uważa, że to najbezpieczniej, a on dba tylko o bezpieczeństwo. Nie mam kiedy pracować, bo cały czas walczę o twoje miejsce w tym filmie, a teraz, ni stąd, ni zowąd, zaczyna jęczeć Melissa, chcąc cię wykończyć. I co ja z tego mam? Dąsy, awantury i nie ukrywaną niechęć. Czy to sprawiedliwe? Co byś zrobił na moim miejscu?

Emma rozsiadła się wygodnie obserwując, jak jej pociski padają na pozycje nieprzyjaciela. Były śmiertelnie precyzyjne. To go trochę zmiękczy przed następnym atakiem. Emma uruchomiła potęgę swej wyobraźni. Była jego orędowniczką, walczącą ze smokami, by uratować mu życie, jej rękę mężnie dzierżącą miecz osmałiły płomienie, którymi buchał plugawy stwór. Powinno to obudzić w nim uczucia. Bałwaństwa często wywierały taki efekt.

— Widzę, że możesz mieć kłopoty — rzekł Tony z minimalną wielko-dusznością. — Nie wyglądają tak poważnie, jak moje.

Emma roześmiała się, by okazać, że docenia tę mizerną gałązkę oliwną.

— Cudze problemy przeważnie tak wyglądają — rzekła. Postukała ołówkiem o stół. Zawsze tak robiła, gdy miała zamiar stać się jeszcze bardziej nieprzyjemna. — Zastanawiam się, czy biorąc to wszystko pod uwagę, nie mógłbyś częściowo zaspokoić wymagań Melissy, jeśli oczywiście można być częściowo w ciąży. — Ponownie roześmiała się, by ukryć swą prośbę. — Zdaje się, że ta scena miłosna szła wam dobrze i że... mówiąc najogólniej... nie wzbudzała w tobie obrzydzenia. Może zdobyłbyś się na to, by spełnić jej życzenia, zakładając oczywiście, że twoja wersja jej rzeczywistych pretensji jest prawdziwa.

— Naprawdę uważasz, że mógłbym zrobić Pat coś takiego? — warknął Tony. W jego głosie znowu dzwięczał niesmak.

—A czy Pat będzie zadowolona, gdy z twojej kariery wyjdą nici? — rzekła Emma.

Tony nie odezwał się. Bez wątpienia Pat zapłaci tę cenę. Pytanie tylko, czy on jest w stanie ją zapłacić. W końcu wiedział, że gardzi Melissa Wayne. Kochanie się z nią miało dlań takie samo znaczenie, jak mycie zębów. Problemem była jego duma. Nie chciał, by wrobiono go w coś, na co nie ma ochoty. Lecz czy mógłby żyć ze śmiercią swych marzeń? Co bez nich pocznie? Czy życie bez nich będzie miało jakiegokolwiek znaczenie? Gdy będzie umierał, chciałby przynajmniej wiedzieć, że żył.

— Ponieważ to zrujnuje ci karierę — ciągnęła Emma. — Przecież

o tym wiesz. Plotki w Hollywoodzie krążą jak krew. Udupią cię jako humorzaste beztalencie, którego wszyscy na planie mieli powyżej uszu. Uwierzył we własną reklamę — powiedzą. Miał rozkładówkę nago w jakimś piśmie i wydawało mu się, że wie, jak należy grać. Miał okazję grać z Melissa Wayne, której podoba się każdy mężczyzna,

1 zdołał zgasić królową podniecenia. Tony, nie dość tego, że znikniesz, znikniesz, jakbyś nigdy nie istniał.

— Taaak — powiedział Tony Valentino. Odezwał się, by zyskać na czasie. Do diabła, musi mieć trochę czasu na zastanowienie się. To wszystko wydarzyło się zbyt szybko. Musi porozmawiać z Pat. Musi jeszcze raz pogadać z Melissa. Trzeba coś zrobić, by zapobiec nieszczęściu, którego scenariusz przedstawiła Emma Guinness. Każde słowo z jej ponurych przepowiedni było prawdą. Wierzył w nie bez zastrzeżeń. Miał jedną jedyną szansę. Jeśli jej nie podejmie, jedynym dźwiękiem, jakiego będzie słuchał do końca życia, stanie się trzask zamkniętych mu przed nosem drzwi. Czy może zrobić to, o co go proszono? Robił to przedtem. Dla przyjemności! Lecz zniszczy swój związek z Pat i podpisze pakt z diabłem, który na zawsze poderwie jego szacunek do samego siebie. Lecz jak przetrwa jego ambicja wśród żywych trupów, między którymi przeminie jego martwe, przyszłe życie? Znaczona karta sięgnie prawdopodobnie na Broadway, off-Broadway, poza repertuar „Styksu”. Może zupełnie porzucić aktorstwo. Wzdrygnął się na tę myśl. W wyobraźni ujrzał ciało Melissy Wayne. Widział jego wygięcia, czuł ponętne wonie, słyszał wilgotne dźwięki, które wydawało, gdy było podniecone. Potem wizja ta znikła, zastąpiona oskarżycielskim okiem Pat, po-

większym w wizjerze w momencie, gdy publicznie ją zdradzał. Kręcił się na krześle.

—Taaak, co? — spytała Emma. Pochyliła się do przodu, oceniając go, namierzając. Kiedy nadejdzie właściwy moment do ataku? Teraz? Milisekundy później. Życie to właściwe operowanie czasem. Trzeba umieć prawidłowo go odczytywać.

—Możesz kazać Melissie, żeby się odczepiła — rzekł. Ani przez sekundę nie przypuszczał, by rzeczywiście zaistniał choć cień takiej możliwości.

Emma uśmiechnęła się niemal zwycięskim uśmiechem. Prawie już dotarła tam, gdzie chciała się znaleźć, a Tony Valentino nie miał pojęcia o jej prawdziwym celu.

— Obawiam się, że Melissa nie jest osobą, której można coś kazać. — W środku uśmiechała się. Każde słowo ultimatum, które Melissa wygłosiła na wózku golfowym, konspiratorki starannie omówiły i zaplanowały. Celem Melissy było schwywanie Tony'ego na gorącym uczynku na planie. Dążenia Emmy były nieco inne.

Tony czuł, jak opada nań chmura przygnębienia, niweczając fałszywe nadzieje. To była prawda. Melissa miała najwyższą władzę. Miał poświęcić swą karierę lub dumę. Tak czy tak będzie przegrany.

— Naturalnie, jak powiadasz, oznaczałoby to różne problemy dla Pat — dumiała Emma, jakby głośno myśląc. — I tak się właśnie zastanawiam, czy dałoby się coś wykombinować...

Nie odezwał się. Tylko się w nią wpatrywał. Czuł, jak ciarki zaczynają mu przebiegać po krzyżu.

— Przypuszczam, że gdybym rzeczywiście twardo postawiła sprawę, zdołałabym cię przed tym uchronić. Nie wiem... mogłabym spróbować.

Opuściła wzrok na swe pulchne palce. Podniosła go chytrze ku Tony'emu.

— Mogłabym przygrozić Melissie, żeby się trochę uspokoiła. Iść na całość. Nie dać się szantażować. Jeśli powiem, że ty zostaniesz, i powiem, że może sobie iść, jest szansa, że nie odejdzie. W przeciwnym razie zaszkodziłaby swojej reputacji. Oczywiście, nie tak strasznie, ale już inaczej by na nią patrzono. I mogłabym się postawić Haversowi, Lathamowi, ludziom z centrali i temu gównu na dole w Cosmosie. Mogłabym powiedzieć: „Albo on zostaje, albo ja odchodzę”, i zobaczyć, jak to zadziała. Naturalnie, mogliby się mnie pozbyć. Nie jestem tu

nieodzowna. Szef studia w tym mieście żyje tak długo, jak długo żyje kwiat hibi-
skusu. Ale mogłabym spróbować. Mogłabym.

Spoglądając na wzgórze Hollywoodu z rozmarzonym wyrazem twarzy demon-
stracyjnie rozważała swe poświęcenie.

— Oczywiście w tym przypadku — ciągnęła Emma — oczekuję czegoś w
zamian. Niekoniecznie twojej przyjaźni, ale przynajmniej wdzięczności. Będzie-
my musieli bardzo blisko współpracować, żeby zminimalizować szkody, i muszę
mieć pewność co do twego całkowitego poparcia i absolutnej lojalności. Musimy
tworzyć zespół, ty i ja, i nikt nie musi o tym wiedzieć. Właściwie lepiej by było,
gdyby nie wiedzieli. To będzie nasz mały sekret, między tobą i mną. Myślę, że Pat
nawet nie powinna o tym wiedzieć... ani Melissa.

Podniosła wzrok, by zobaczyć, jak jej idzie. Czy połapał się już, co jest grane?
Czy też musi wyrażać się jaśniej?

— O co ci właściwie chodzi? — powiedział Tony Valentino. Miał przy-
tłaczające poczucie déjà vu. Był już tu kiedyś — lata świetlne minęły od tamtego
wydarzenia w audytorium Juilliarda. Nagle przejrzał. To gigantyczny spisek. Sie-
dząca przed nim istota stworzyła ten moment. Wyobrażał sobie, że kieruje swoim
życiem, że Pat kieruje swoim, że wydarzenia są przypadkowe. Ale był w błędzie.
Cały czas ona nad wszystkim panowała. Przypominali muchy schwytane w pa-
jęczą sieć, którą wysnuła ona, kobieta-pająk. Emma nigdy nie wybaczyła mu upo-
korzenia, którego odeń doznała. Teraz chciała się zemścić. Rozkładówka w *New
Celebrity*, rola w filmie, posada Emmy na stanowisku szefowej studia, umowa z
niemożliwie seksualną Melissa Wayne, wybór Pat jako reżyserki — wszystko to
było starannie zaplanowane. W tym wszystkim był jeden cel, jeden zamiar, jedno
dążenie. On. By się uratować, musiałby się jej oddać. To jego jedyne wyjście.

Emma Guinness uśmiechnęła się.

— Powiedzmy — wycedziła — że skoro dla ciebie postawię wszystko na
jedną kartę, spodziewam się, że będziemy ze sobą bardzo blisko.

Coś ty powiedział? — spytała Pat, w której oczach błyszczała wściekłość.

— Powiedziałem jej, że sama z sobą musi się pieprzyć, nikogo do tego nie
znajdzie.

Pat uśmiechnęła się lodowato. Oddałaby duszę, żeby przy tym być. Dotąd nigdy nie chciała nikogo zabić. Teraz tak. I to nie tylko Emmę Guinness. Melisse Wayne także.

—A sprawa z Melissa? — warknęła.

—Nie wchodziliśmy w to. Chyba zrozumiała, o co mi chodzi. Pat roześmiała się gorzko.

—A więc wszystko skończone.

—Taaak, na to wygląda. Albo wyskoczymy, albo nas wypchną. Popatrzeli na siebie, a miłość, którą oboje uczyli się odczuwać,

złagodziła ich gniew i rozczarowanie. W tym momencie ktoś powinien powiedzieć: Wiesz, cieszę się. Ale nikt tego nie powiedział, ponieważ żadne tak nie myślało. Zdarzyła się katastrofa. Nie ma co udawać, że nic się nie stało. Tony postąpił dobrze, słusznie, przyzwoicie, i zapłacił za to tym, czego pragnął najbardziej — swoją karierą filmową. Pat również była zrozpaczona, zarówno ze względu na niego, jak i na siebie. Przepadła jej jedyna szansa na reżyserowanie, a wszystko to z powodu zła, jakie wyrządziły dwie kobiety. Splotła rękę z jego dłonią.

— Mamy siebie — powiedziała. — Nie bylibyśmy razem, gdybyś zrobił to, czego od ciebie chciały.

Uśmiechnął się dziwnie, prawie czule. Pat chciała, by zrobił to jeszcze raz.

—Powiedz coś — poprosiła.

—Co?

—Pomyśl! Roześmiał się.

—Kocham cię?

—Nie!

—Kocham cię.

—Za drugim razem zgadłeś. Musisz poćwiczyć — zażartowała, chowając twarz w jego ciele, gdy irytacja tymczasem zanikała w obliczu ich nowej intymności. Teraz panowała między nimi więź. Była głębsza niż kiedykolwiek, wzmocniły ją katastrofy, którym stawili czoło, i wszystkie przyszłe, jakie przeżyją.

—Co teraz poczniemy, Tony? — spytała. Będąc tak blisko siebie mogli bezpiecznie rozmawiać o swej niepewnej przyszłości, o przyszłości Tony'ego.

—Będiesz miała roboty po uszy, porządkując majątek Alabamy. To robota dla dziesięciu osób.

—Przynajmniej nie musimy się troszczyć o pieniądze.

—Jestem aktorem, Pat. Muszę grać.

Była to łagodna wymówka, lecz problemy już zaczynały nabrzmiewać. Ich miłość wystawiona zostanie na próbę.

— I co zrobisz?

—Nie wiem, będę stukał do różnych drzwi, prosił, błagał, "gdzieś tam grał.

—W Los Angeles? — Tu jest Pat, tu znajduje się majątek Alabamy. Lecz nie ma tu pracy dla aktora. Wiedziała o tym. On również.

— Chyba w Nowym Jorku.

Odetchnęła głęboko. Już się zaczęło. Ambicje rozdzielały ich fizycznie. Ile czasu upłynie, nim osłabnie więź duchowa? Bez względu na racje rozumowe Tony będzie ją za to winił. Gdyby nie istniała, gdyby oboje nie istnieli, Tony pławiłby się teraz w chwale. U drzwi na scenę lodowego miasta będzie to pamiętał, gdy zaczną piętrzyć się odmowy, a marzenia rozwieją, zostawiając za sobą tylko pustą obsesję. Gdyby Tony podróżował bez obciążeń, nadal by płynął. Ona była emocjonalnym bagażem, który go pogrążył. Do diabła! Nie straci go jeszcze raz. Musi być jakieś wyjście. Jak przez zło i ciemność zdoła przedrzeć się ku światłu? Emma Guinness unosiła się w jej myślach, falujący, wdzięczący się kłęb tafty i koronek, a krwawa mgła obrzydzenia wezbrała przed oczyma Pat.

—Tony, musimy coś zrobić. Możemy skierować sprawę do sądu, nie wiem, zwrócić się do prasy, co się da. Nie możemy tak po prostu siedzieć i czekać, aż nas przerobią.

—Daj spokój — powiedział Tony. — Nie ma o czym mówić. Skarżyć Cosmos? Musielibyśmy mieć miliard dolarów, żeby tylko wnieść powództwo. Prasa, radio i telewizja rzuciłyby się na nas i nie zostawiłyby na takich pacanach suchej nitki.

Pat podeszła do niego. Uklękła.

—Tony, nie pozwolę, żeby nas rozdzielili. Nie dopuszczę, żebyśmy my to puścili. Nie. W żadnym razie. Pomóż mi. — W oczach miała łzy. Położyła mu obie ręce na kolanach. Przykrył je swymi dłońmi i usiłował się do niej uśmiechnąć.

—Sprzedam polisę i będziemy mieli dwa i pięć dziesiątych dziecka — powiedział. Tylko na tyle było go stać.

Choć była tak nieszczęśliwa, zdobyła się na stanowczy uśmiech. Myśli jej kłębiły się w poszukiwaniu choćby cienia rozwiązania.

— Spróbowałbym z Lathamem — powiedział Tony gorzko. — Uratowałem skurwysynowi życie. Ale słyszałaś, co mówił przez telefon. Oddał Cosmos Guinness jako osobistą zabawkę. Za nic nie będę zebrał u tego sukinsyna.

Słuchając go Pat zastygła i wiedziała już, co zrobi. Tony nie poprosi Lathama, żeby go uratował. Ona może. W końcu już go kiedyś o coś prosiła.

18.

Latham przemierzał plażę długimi krokami, jakby dotarcie do jej odległego krańca mogło rozwiązać jego życiowe problemy. Mówił szybko i Pat musiała dobrze nadstawiać ucha, by wychwycić słowa, które rozwiewał pustynny wiatr.

— Pat, nawet mnie nie proś. Przeszedłem przez to wszystko wczoraj. Faksy, teleksy, telefon zajęty cały dzień. Emma oszalała. Nie wiem, co jej Tony powiedział czy zrobił, ale jest kompletnie wykończona. Chce go zniszczyć, załatwić na amen, zmieść z powierzchni ziemi. Wyrzucenie go z filmu to dopiero początek. Ty pośrednio też jesteś jej celem. I ciebie wysadzi. Jest nieugięta i nie mogę przemówić jej do rozumu. Próbowałem, ale nie daję rady.

Maszerował dalej, jego pełne winy oczy unikały podejrzliwego spojrzenia Pat.

—Gówno prawda, Dick — wybuchnęła Pat — i dobrze o tym wiesz. Wynalazłeś Emmę Guinness jak jakiegoś frankensteinowskiego potwora. Ty ją stworzyłeś. Jesteś za nią odpowiedzialny. Możesz ją zniszczyć. Winien to jesteś światu. Cosmos to twoja kolejka do zabawy. Wyrzuć ją, nie nas. I tak to był zwariowany wybór. Wszyscy tak uważają.

—Nie mów mi, jak mam prowadzić interesy. — Teraz na nią spojrział. Dotknęła żywego nerwu. Nikt nie powiedział Dickowi Lathamowi, że dokonał złego wyboru. Nikt i nigdy.

—Przepraszam, Dick, ale jestem taka wściekła i smutna nie ze względu na siebie, ale na Tony'ego. Znasz tę historię. Melissa chciała, żeby Tony naprawdę ją przeleciał na planie, a potem Emma zażądała inspekcji cielesnej, żeby ściągnąć wodze Melissie. Jeśli w to wierzysz, a to wszystko jest prawdą, nie możesz puścić tego płazem. To nie jest... nie jest... — Urwała. Chciała powiedzieć: sprawiedli-

we, ale dla Dicków Lathamów tego świata nie byłoby to dość wymowne. — To nieprofesjonalne — prychnęła wreszcie.

Latham maszerował dalej. Nie odpowiedział jej od razu. Nie mógł się przyznać, że Emma ma go na własność. Nie mógł zrobić nawet najmniejszej aluzji, że jest obiektem szantażu, gdyż stałby się podejrzanym o morderstwo. Naturalnie Pat miała rację. Jak zwykle. Emma, krańcowo niebezpieczna i gwałtowna psychopatką, trzymała w dłoni jego bijące serce. Intryga, którą rozgrywała na planie „Malibu”, nie była wyłącznie nieprofesjonalna czy niemoralna. Była z gruntu zła. Wiedział wszystko o obsesji Tony'ego. Też cierpiał z powodu obsesji. Wiedział też, że jeśli nie zainterweniuje, życie Tony'ego będzie przegrane. Ale to życie Valentina, nie jego. Któregoś dnia rozprawi się z Emmą Guinness. Dysponując górą pieniędzy znajdzie jakiś sposób. Lecz będzie potrzebował cennego czasu, planu i starannego zatarcia śladów. Teraz miał pistolet przy skroni. Emma nalegała, by dał piśmienną żyro jej władzy nad personelem. To albo... Musiał jej dać, czego żądała.

—Pat, nie chodzi tu o nic osobistego. To są interesy. Muszę wybrać między szefem swojego studia, nieznaną reżyserką i gwiazdorem jednego filmu. Ty i Tony musicie odejść. Jeśli wyrzucę Emmę po paru dniach pracy, zyskam opinię człowieka, który nie może się zdecydować, i faceta, któremu nie można wierzyć. To śmierć w tym mieście. W każdym mieście. — Wzdrygnął się na tę myśl. Przy najmniej to było prawdą.

—Twoja reputacja jest taka ważna, Dick? Czy w twoim życiu nie ma miejsca na nic innego, jak przyzwoitość, moralność i dobro?

Jej smutny głos brzmiał oskarżycielsko, jakby traciła nadzieję. Odpowiedział jej niezwykle łagodnie.

— Kiedyś, dawno temu — powiedział — w Paryżu był ktoś, kto wiedział, co to przyzwoitość, moralność i to wszystko, o czym mówisz, ale straciłem tę kobietę. Pozostało mi tylko robienie pieniędzy i budowa przedsiębiorstwa, gdyż tylko to nie mogło mnie zranić. Nie zaznałem już potem spokoju ducha, odpoczynku ani radości, gdyż wszystko miało ścisły związek z interesami. Chodziło o zysk, nie przyjemność. Sprawy podstawowe, nie szczęście. Jeśli jakaś osoba czy rzecz nie przynosiła mi zysku, po prostu ją wyrzucałem. Potem zjawiałaś się ty. Byłaś inna. Przy tobie czułem się inaczej. Myślałem, że mam u ciebie szansę, ale zawsze kochałaś Tony'ego. — W jego głosie nie było oskarżenia, jedynie znużony życiem smutek z powodu tego, co mogłoby być.

—A teraz wyrzucasz mnie i Tony'ego?

—Na to wygląda.

—Nie rób tego, Dick. Spróbuj choć raz zrobić to, co należy.

—Nie mogę. Nie mam na to wpływu.

Umilkła, zła i nieszczęśliwa, lecz nadal szła obok niego po plaży.

— Co masz zamiar zrobić z Cosmosem? — spytała nagle. — Teraz, kiedy Alabama nie żyje, spróbujesz znowu budować studio na wzgórzach?

Zwolnił kroku.

—Walczyłabyś ze mną, gdybym to zrobił, prawda? Jako dziedziczka Alabamy.

—Tak jest. Ze słusznych powodów i z niesłusznych. Będę z tobą walczyć, póki nie spłoniesz w piekle.

Roześmiał się gorzko.

— I wygrasz — powiedział — podobnie jak wygrał Alabama. Wiesz, szanuję go. I ciebie szanuję.

Odwrócił się ku niej, a w oczach miał tęsknotę, tęsknotę za dziewczyną, która tak żywo przypominała mu utraconą miłość. Ale musiał oderwać od niej wzrok. Nigdy nie może jej mieć, nie po tym, co ma zamiar wyrządzić jej i Tony'emu.

— Czy będę musiała z tobą walczyć? — spytała. Zamilkł na chwilę.

— Nie. To ci mogę obiecać. Zbuduję Cosmos w Palm Desert, żeby ci pokazać, że mogę zrobić coś przyzwoitego.

Falka ulgi rozplynęła się w powodzi ogólnego rozczarowania Pat. Jak człowiek może tak postępować? O co mu chodzi z tym: „mogę ci obiecać”. Następne słowa podyktował jej instynkt.

—Dick... czy wynikły jakieś kłopoty... między tobą i Emmą?

—O co ci chodzi? — odparował szybko, zbyt szybko.

—Właściwie nie wiem. Ale ona ma taki wpływ na ciebie, jak nikt inny. To dziwne, bo jest taka zła, a ma tyle władzy.

—Gdy odpowiada się za tak duże przedsiębiorstwo, jak moje, władza to złudzenie — oświadczył. — Decyzje w interesach same się podejmują.

Pat doszła do kresu. Nic już jej nie zostało. Nadal jej pragnął. O tym wiedziała. Lecz pragnął jej nie dość mocno. Pragnął jeszcze czegoś, może potrzebował więcej. Powiedział, że powodzenia w interesach. Nie dała się na to nabrać. Sprawy przedstawiały się inaczej, niż to na pozór wyglądało.

Zatrzymała się, a on zwolnił kroku, lecz szedł dalej. Oboje wiedzieli, że ich drogi się rozchodzą. Oboje wiedzieli, że każdemu jest trochę żal.

—Do widzenia, Dick — powiedziała.

—Powodzenia, Pat — odparł.

Zaczerpnąwszy głęboko powietrza patrzyła, jak się oddala.

W ogniotrwałym pomieszczeniu w podziemiach Banku Ameryki w Century City temperatura wynosiła dokładnie siedemdziesiąt stopni. Tak było od dziesięciu lat i zawsze będzie. Pat siedziała za długim stołem i wzdychała na myśl o ogromie czekającego ją zadania. Wokół salki, w całości wynajętej przez Alabamę, biegły stalowe półki, zainstalowane specjalnie, by pomieścić życiowy dorobek wielkiego fotografa. Tu piękno zostało zabezpieczone przed światem, przed ogniem, który strawił biedne, kochane ciało, przed lawiną błota, osuwającą się ze wzgórz, przed włamywaczami, wandalami i trzęsieniami ziemi. Teraz odpowiadała za nie Pat. Musiała zdecydować, co z tym zrobić. Możliwości było nieskończenie wiele: wystawy objazdowe, stała wystawa z wymianą co jakiś czas eksponatów w Los Angeles bądź Malibu, sprzedaż wszystkich zbiorów lub ich części z przeznaczeniem funduszy na ochronę środowiska, co tak drogie było sercu Alabamy. Nie może jednak podjąć decyzji, póki nie będzie dokładnie wiedziała, czym dysponuje. Oznaczało to tygodnie, jeśli nie miesiące, przeglądania odbitek i negatywów, uporządkowanie chaotycznego systemu katalogowania, zorientowania się w fotografiach, stanowiących pogodny, choć nie pozbawiony gorzkiego esej na temat życia starego przyjaciela.

Przed nią stało dziesięć pudeł na kapelusze. Wszystkie wypełnione były fotografiami. Nic dziwnego, że przestał pracować. Fotograficzną pustkę późniejszych lat rekompensowała z nawiązką niepohamowana płodność wcześniejszego okresu.

Zdjęła wieko z jednego z pudeł i zaczęła sortować odbitki. Były to przeważnie obrazy z prywatnego życia Alabamy, migawki, jeśli takim słowem można określić niezwykłą oryginalność kompozycji, oświetlenia i ujęcia. Alabama zdobył sobie nazwisko fotografując pejzaże i ludzi, lecz jego reportaże uliczne dorównywały pracom Brassai'a, Lartigue'a i Cartiera-Bressona. Nic dziwnego, że przyszli jej do głowy fotograficy francuscy. Był to bowiem Paryż, Paryż lat sześćdziesiątych, Paryż tego okresu, gdy Alabama zrobił słynny portret Dicka Lathama.

Po latach powróciły do życia pogodne twarze spacerowiczów na bulwarach. Man Ray całował swą żonę Juliettę na brzegu Sekwany. Jean-Paul Sartre i Simone de Beauvoir trzymali się za ręce na targu kwiatowym. André Malraux i Teilhard de Chardin siedzieli, zatopieni w rozmowie, przy stoliku ulicznej kafejki. Niektóre twarze Pat rozpoznała natychmiast. Inne musiała odwrócić na drugą stronę, by odczytać napisy, sporządzone ręką Alabamy. „Man Ray i Pat Booth oglądający jego zdjęcia, 1966.” „Julienne, wściekła, maj 1965.” „Brigit-te Bardot i Roger Vadim w «La Coupole», lato 1964.”

Pat westchnęła. To była frajda. Zatracała się w przeszłości, w cudownej ucieczce od bólu terażniejszości. Wesołość lat sześćdziesiątych żyła w lśniącej powierzchni odbitek i wyobrażała sobie drogiego przyjaciela, zalewającego się absyntem lub kir royalem, przycupniętego za obiektywem, by szpiegować przyjaciół, którzy go uwielbiali.

Podniosła fotografię i nagle świat się zachwiał. Dostała gęsiej skórki. Elektryczne palce przebiegły jej po krzyżu. Odbitka rozplynęła się jej przed oczyma. Oddech uwiązł w gardle, a kark zeszywniał od wstrząsu, powodującego gwałtowny napływ adrenaliny.

Dick Latham patrzył na nią z odległej przeszłości, lecz to nie w Dicka Lathama wbiła wzrok. Patrzyła na dziewczynę u jego boku. Pat rozpoznała ją natychmiast. Ani przez sekundę nie miała wątpliwości co do jej osoby. Dziewczyna obok Dicka Lathama, uśmiechająca się do świata ze spokojną, uroczą pewnością siebie, to była jego ukochana. Lecz była też kimś innym. To dziewczyna z uszkodzonej fotografii w garderobie Tony'ego Valentina. Była jego matką... i była w ciąży.

Drżące ręce Pat odwróciły zdjęcie. Pismo Alabamy było całkiem wyraźne.

„Dick Latham i Eva Ventura — głosił napis — z dzieckiem, Paryż 1965.”

Głowa Pat płonęła. Odwróciła fotografię jeszcze raz, a tymczasem kawałki układanki ułożyły się w całość. Ventura. Ventura. W ciąży z dzieckiem Dicka Lathama.

Ręka jej śmignęła do stojącego przed nią telefonu. O Boże, byle go tylko zastała. Nacisnęła numer. Odpowiedział głos Tony'ego.

Nie było czasu na przywitania.

—Czy twoja matka nazywała się kiedyś Ventura? — krzyknęła do mikrofonu.

—Tak, dlaczego? Zmieniła nazwisko na Valentino, żeby ojciec nie mógł jej odnaleźć.

—Zostań w domu! Nie ruszaj się! Zaraz przyjeżdżam — krzyknęła Pat, ciskając słuchawkę.

Boże kochany! To prawda!

Tony Valentino jest synem Dicka Lathama.

Pat wpadła do pokoju. Trzymała przed sobą zdjęcie, wymachując nim jak biletem do nieba, którym w istocie był. Tony podskoczył.

— Co się, do diabła, dzieje?...

— Tony, o mój Boże, Tony, patrz, patrz... — Z jej twarzy biło podniecenie.

Nie potrafiła wyrazić tego słowami. Zbyt wiele miała do powiedzenia i nie wiedziała, od którego punktu zacząć. Która sprawa jest najważniejsza? Że znalazł ojca? Że ojciec jest miliarderem? Że jego ojciec jest wyłącznym właścicielem wytwórni Cosmos? W czasie pośpiesznej jazdy z Century City wydawało jej się niejasno, że niektóre kwestie są pierwszoplanowe. Teraz, w obliczu rzeczywistości, którą stanowił Tony, mogła tylko cisnąć fotografię w jego rozbawioną twarz.

Spojrzał na nią i gdy rozpoznał matkę, na jego twarzy rozlała się fala czułości.

— Skąd to wzięłaś?

Pat przemogła podniecenie i irytację. Najważniejsza rzecz, jaka kiedykolwiek przydarzyła się Tony'emu Valentinowi, działa się właśnie teraz, a on zdawał się nie rozumieć, o co chodzi.

— Popatrz na to, Tony, popatrz!

Ponownie spojrzał na zdjęcie. Patrzył na swoją matkę. Patrzył na wyduęcie na brzuchu, które nosiła jak honorową odznakę. A potem skierował wzrok na Dicka Lathama. Nadal nic nie mówił, lecz twarz mu się zmieniła. Rozkwit i podniecenie wczesnej wiosny, świetlistego, promiennego lata znikły w nagłej jesieni i śmiertelnej zimie. Pat obserwowała niezwykle barometr, jakim był wyraz jego twarzy, i wiedziała, że musi mu pomóc zrozumieć znaczenie tego, co odkryła.

— Tony, odwróć fotografię. Zrobił ją Alabama. Zobacz, co napisał z tyłu.

— Uczynił to jak w zimnym, ponurym śnie.

Pat podjęła decyzję. Doznał szoku. Jego umysł to zarejestrował, lecz nie potrafi wykorzystać informacji, że jego ojciec jest tak potężny, jego wpływy tak rozległe.

Mówiła teraz cierpliwie, cicho i ostrożnie, tak jak się mówi, gdy świat się zmienia.

— Tony, tu jest napisane: „Z dzieckiem”. To twoja matka i Dick Latham ze swoim dzieckiem w Paryżu, wtedy gdy ty się urodziłeś. To pismo Alabamy. Nigdy się nie mylił. Nie w związku ze swoimi cennymi zdjęciami. Nie rozumiesz? Dick Latham jest twoim ojcem. Jesteś jego synem.

Chciała wyciągnąć rękę, by go dotknąć, lecz była zbyt zafascynowana jego spodziewaną reakcją, gdy prawda wreszcie doń dojdzie.

Spojrzał na fotografię. Spojrzał na Pat, a jego twarz wykrzywiła się goryczą, której nigdy przedtem nie widziała.

—Wiem — rzekł po prostu.

—Cooo!

—Wiem — powtórzył. — Wiem, że Dick Latham jest moim ojcem. Usta Pat otworzyły się szeroko. Podobnie jak oczy. Przymknęła jedno i drugie, nim przemówiła. Teraz to ona nie rozumiała.

—Zawsze wiedziałeś?

—Tak.

—Ale, ale... dlaczego... — Słowa odpłynęły w ciszę. Usiłowały przemówić ręce. Bogatą mimiką starała się wyrazić niedowierzanie.

—Dlaczego tego nie rozgadałem? Powiem ci. Nie chciałem, żeby ten skurwysyn cieszył się, że ma syna. — Jego twarz była brutalna. Słowa wylatywały jak odpryski z trudem powstrzymywanego gniewu.

Pat powracała z ziemi niczyjej, z odrętwienia. Tyle miała pytań. Które najpierw? Ale mówił Tony.

—Ten kutas zostawił moją matkę. Zrobił jej dziecko i zostawił bez środków do życia, bez dachu nad głową, bez żadnej przyjaznej duszy. Zrujnował jej życie, ponieważ jest gruboskórnym, złym, podłym skurwysynem. Mam nad nim jedną jedyną przewagę — taką, że wiem, kim jest, a on nie wie, kim ja jestem. Nigdy nie miał dziecka. Teraz, kiedy jest starszy, prawdopodobnie chciałby je mieć. Do cholery, po drodze zebrał już wszystkie inne zabawki. — Pięści Tony'ego były białe. Zęby obnażyły się. Zaczął się trząść. — Żałuję tylko, że nie dałem mu się utopić. Sam bym go utopił.

—Nie! — Protest Pat zabrzmiał prawie jak krzyk. To nie tak. Tony nie ma racji. Alabama opowiedział jej całą historię. Podobnie jak Dick Latham. I obie wersje zgadzały się.

—Co to znaczy nie? Co ty o tym, do diabła, wiesz?

—Wiem, co powiedział mi Dick. Wiem, co powiedział Alabama. Dick nie zostawił twojej matki. To ona od niego odeszła. Próbował ją odnaleźć. Zniknęła. Zgoda, zachował się źle i ona się dowiedziała, ale ją uwielbiał. Chciał się z nią ożenić. Dlatego nigdy nikogo innego nie pokochał. Dlatego jest taki okropny dla kobiet.

Siła jej słów zrobiła na nim wrażenie.

—Co? — powiedział w końcu. Do uczucia nienawiści zaczęły zakradać się wątpliwości.

—To prawda. Mnie chyba wierzysz? Nie okłamywałabym cię. Kocham cię, Tony. Latham zachował się naprawdę wstrętnie wobec Alabamy w Paryżu, a twoja matka była przyjaciółką Alabamy. Potem

Latham okazał się niewierny, więc go zostawiła. Alabama powiadała, że była w najwyższym stopniu wolnym duchem, prawdziwym dzieckiem lat sześćdziesiątych. Nie robiły na niej wrażenia jego pieniądze i cały ten szpan. Gdy zobaczyła, że jest podły i małostkowy, po prostu odeszła, zabierając ze sobą dziecko. Zabrała cię ze sobą, Tony.

—Ależ nie mogła tego zrobić — przecież nic nie miała. Nigdy niczego nie mieliśmy. Czasami nie starczało nam jedzenia, było zimno, a te pokoje i ciągle przenosiny...

—Była dumna, Tony, i była wolna. Jezu, nie możesz tego zrozumieć? Jak myślisz, skąd ty masz w sobie to wszystko? Z tego jesteś skonstruowany. Zrobiłbyś to samo co ona. Nie chcesz nic od nikogo przyjąć. Raczej umarłbyś w rynsztoku, niż poprosił o pomoc. Spójrz na siebie. Sam to teraz robisz.

—Nie — powiedział i Pat nie słyszała jeszcze, by jego głos brzmiał mniej przekonująco.

—Ależ tak, owszem. — Roześmiała się, mówiąc to, gdyż wydało jej się zabawne, że w ogóle przyszło mu do głowy, przeczyć.

—Mógłby ją znaleźć, gdyby się postarał. Gdyby naprawdę chciał.

—Tony, zmieniła nazwisko. Sam to powiedziałeś. Rzuciła się do ucieczki, a ty uciekałeś wraz z nią. Chodzi o to, że nie chciała, by ją znalazł. Nie chciała milionów, domów i porządnych szkół z porządnymi mundurkami, całego tego mieszczkańskiego gówna, uroczystych balów i bezpieczeństwa od kołyski do grobu, które wysysa z tych ludzi wszelkie uczucia, pożądania i możliwości. Nie chciała tego dla ciebie. Chciała sama cię wychować, obdarzając cię całą swą miłością i mąd-

rością, i nieważne, że było wam ciężko i niewygodnie, ponieważ robiliście to, co uczciwe, dobre i słuszne, i dzięki temu stałeś się tym, kim jesteś.

—A kim się stałem?

—Człowiekiem, którego kocham — odparła po prostu i podszedłszy doń, ujęła go za ręce. Podniosła je do ust, a on nie opierał się, gdy je całowała. Lecz w oczach czaił się niepokój. Trudno porzucić nienawiść, która podtrzymuje człowieka. Trudno przyznać, że przesłanki, na których zbudowało się życie, były błędne. Wszystko w Tonym się kotłowało. Dick Latham był demonem jego życia. Z początku stanowił mglisty symbol zła, a później za pośrednictwem Pat i Alabamy przybrał ludzką postać. Trudno przychodziło traktować go jak zwykłego śmiertelnika, lecz Tony czuł dziwną poezję, posługując się nim ze wstrętem, chowając tak ważny sekret w głębi pełnego nienawiści serca. Potem przyszedł ten moment w jaskini, gdy zew krwi przeważył nad zimnym rozkazem umysłu, i zaryzykował życie, by ocalić człowieka, któremu był tak obojętny jako dziecko. Dzień po dniu obserwował Lathama i wzdrygał się ze wstrętem widząc podobieństwa między nim a sobą, gesty, rezerwę, brutalną ambicję, potrzebę zwyciężania. Pragnęli nawet tej samej kobiety. Mieli nawet tę samą kobietę, a Tony żywił do tego wieloznaczny stosunek widząc, jak Pat przyciąga do nich obu syreni zew genów. Ale co teraz? Jeśli nienawiść opierała się na złudzeniu, jakie uczucia mu pozostały?

—Co powinienem zrobić? — powiedział, pytając w istocie: co powinienem czuć?

—Musimy pójść do Dicka — rzekła Pat. — Musimy mu powiedzieć. — Nigdy w życiu nie odczuwała niczego tak silnie. Ścisnęła go za ręce, by podkreślić znaczenie swoich słów. — Musi wiedzieć. To odmieni jego życie. Może odmienić i twoje. Jest twoim ojcem, do cholery. Jak myślisz, co się teraz stanie z Emmą Guinness?

Uśmiech opromienił posępne rysy, jakby słabe słońce padło na zmarzły śnieg.

— Taaak — powiedział, a uśmiech rozlał mu się po całej twarzy. — Może wrzucić Emmę Guinness z powrotem do tego gówna, z którego się wzięła. W końcu po co są ojcowie?

Dick Latham schował głowę w dłoniach, a odgłos jego łkań wypełnił pokój. Nigdy przedtem nie płakał, ale wszystko to było tak przytłaczające, że jedyną reakcją mogły być łzy. Przeciekały mu przez palce skrywające twarz i obmyły go do

czysta. Był to moment jego odrodzenia. Ma syna. Zguba została odnaleziona. Wypełniła się pustka.

Tony Valentino stał obok ojca i zdecydowany był ukryć swe emocje, choć Dick Latham uległ wzruszeniu. Nie wiedział, co będzie odczuwał w tym momencie, ale tego się nie spodziewał. Niewiarygodna siła reakcji ojca dowiodła prawdziwości wszystkiego, co mówiła Pat. Kochał, w porządku. Ubóstwiał. Uwielbiał. Łączyło ich coś więcej niż krew. Była to miłość do jego matki. Co się teraz stanie? Dokąd ich zaprowadzi nowa więź? Już był świadom absurdalnego poczucia rywalizacji. Kto lepiej poradzi sobie w tej scenie? Kto zdobędzie palmę pierwszeństwa? Jezu! Mimo zamglonych oczu uśmiechnął się na myśl o swej chłodnej zdolności do introspekcji w takim momencie. Lecz przynajmniej nie myślał o ich ponownym połączeniu jako o wizualnym oprogramowaniu jakiegoś przyszłego występu scenicznego.

Ramiona Dicka Lathama uniosły się mocą uczuć. Tony czuł ich intensywność. Potrzebny był jakiś kontakt fizyczny, ale żaden z nich nie był w tym dobry. Mimo woli ręka Tony'ego wyciągnęła się i spoczęła na nieskazitelnym kaszmirze blezera ojca. Tu pozostała, nie wywierając żadnego nacisku, w wieloznacznym geście, który nie wyrażał jeszcze zaangażowania, ale wyraźnie pragnął przynieść pociechę. Mimo targających nim uczuć Dick Latham wyczuł tę intencję. Jego ręka zaciśnęła się na dłoni syna i spojrzał wreszcie na człowieka, któremu dał życie, na syna, który uratował jego życie.

— Nie wierzę — powiedział, ale uwierzył. Leżąc przed nim na biurku fotografia mówiła wszystko, a jego serce miało pewność. Nie było żadnych racjonalnych wątpliwości, ponieważ nic takiego nie odczuwał. Wiedział, a teraz uświadomił sobie, że w pewnym sensie wiedział zawsze. Dlaczego jego, chłodnego miłośnika kobiet, ciągnęło do zgryźliwego, rzucającego mordercze spojrzenia chłopaka? Z powodu obsesji Tony'ego. Była od razu wyczuwalna i Dick Latham rozpoznał fluidy, które emanowały również z niego. Obaj snuli mroczne marzenia o wielkości, obaj poznali ciało kobiety, która ich ze sobą poznała, a w ich rywalizacji był wzajemny szacunek ludzi, którzy są do siebie bardziej podobni, niż chcieliby to przyznać. Z jakiego innego powodu Latham uwierzyłby w początkującego aktora? Dlaczego wbrew zdrowemu rozsądkowi zaangażował go do filmu? I dlaczego w jaskiniach Santa Cruz chłopak, który udawał, że nim gardzi, ryzykował życie, by go ocalić?

Nagle ściśnięcie w gardle nie pozwoliło Tony'emu wypowiedzieć zdań, które usiłował sformułować. Przełknął, ale dalej nie mógł wydobyć głosu, a mgła w jego oczach była teraz gęstsza, silniejszy ucisk palców na ramieniu ojca. Na to nie ma scenariusza. Pisarzem było serce, a słowa powstawały w języku, którego nigdy się nie nauczył. Myśli kłębiły mu się w głowie. Był zadowolony, ale odczuwał też przykrość. Przepęniała go serdeczność, ale i niechęć. Dlaczego miałby być zadowolony z odnalezienia ojca, od którego jego ukochana matka uciekała przez całe życie? A jednak jakże nie czuć wzruszenia w chwili, gdy spotyka się krew z krwią, kość z kością?

—Tak mi... przykro... że nie ma tu mamy — wykrztusił w końcu, a z kącika oka spłynęła mu łza. Sunęła swobodnie i potoczyła się po policzku, zdradzając jego tajemne uczucia, co leży w naturze łez.

—Zmieniła nazwisko — rzekł Latham. — Żebym jej nigdy nie mógł znaleźć. Gdybyś tylko wiedział, jak bardzo ją kochałem.

Ponownie skrył głowę, a łzy popłynęły silniej, gdy przed wszystkie uczucia wysunął się smutek, odtrącając wstrząs, radość i nadzieję na przyszłość. Nigdy więcej nie ujrzy Ewy. Przez lata żył tą nadzieją, a czas przytłumił ból, lecz nie wspomnienia. Te pozostały, spowite w chwałę na ołtarzu jego serca, niezastąpione, zawsze ubóstwiane. Teraz ona nie żyje, a on nie może powiedzieć, jak mu przykro. Ileż to razy próbował mowę, która nigdy nie zostanie wygłoszona? Lecz zostawiła spuściznę. Przed nim stał syn, którego ostatnio widział w ukochanym ciele. Tam, przed nim, znajdowało się wykonane przez Alabamę świadectwo jego żywej pamięci. Tu, obok niego, znajdował się żywy dowód, żywy twór jedyne go znanego mu szczęścia. Prosił Tony'ego o przebaczenie. Chłopak odczuł to mocno.

—Myślałem, że ją porzuciłeś — rzekł. — Nie wiedziałem, że to ona cię zostawiła. — Dalej usiłował uporządkować to sobie w głowie. Ziemia jest okrągła, nie płaska. Trzeba w to uwierzyć, przyzwycząić się.

—Tak, zostawiła mnie, ponieważ byłem sukinsynem, który na to zasługiwał. — Urwał. Musiał się dowiedzieć. — Czy kiedykolwiek mówiła o mnie? Czy powiedziała kiedyś, że mnie kocha?

Latham spojrział w górę. Nadzieja zabłysła mu na twarzy.

Z wolna Tony przytaknął. Nie był pewien, czy to prawda, ale w głębi duszy czuł, że tak powinno być. Reakcja matki była zbyt krańcowa, trwała zbyt długo, jej milczenie było zbyt głuche. W tym życiu brak wierności, okrucieństwa młodo-

ści nie były tak rzadkie ani tak haniebnne. Ale haniebnny postępek Lathama zmienił życie matki i decydująco wpłynął na koleje jego losu. Konsekwencje tego matka ponosiła aż do dnia śmierci. Tak, kochała go — w każdym razie opętał ją, a to objaw najsilniejszej miłości.

Wiedział, że udziela rozgrzeszenia, i dziwnie poruszyło nim to, że rozgrzeszenia tego tak rozpaczliwie pożądanego. W dawnych czasach ojcowie istnieli po to, by opiekować się dziećmi. Lecz dawne czasy minęły. W późniejszych latach to ojca mi trzeba się było zajmować. Czy te dni właśnie nadeszły?

Latham podniósł się. Przyszłość nie zapowiada się łatwo, ale, na Boga, będzie tak cudowna. Nie jest już samotny. Ma dziedzica, twardego, prostolinijnego, przedsiębiorczego syna. Może i lepiej, że tak się stało. Tony nie był narażony na działanie zabójczego wpływu apodyktycznej osobowości Lathama. Jego rozwoju nie zdusiła w zarodku emocjonalna trucizna dążenia do władzy i zbijania fortuny. Wychowywał go anioł, w biedzie i niepewności życiowej, a siłę i prężność zyskał na intensywnych kursach przydrożnych uniwersytetów. Teraz stali ramię przy ramieniu, równi sobie, złączeni przypadkiem urodzenia, lecz nim nie skrepowani. Nie będzie tu żadnego prania brudów, wciskania ciemnoty. Hipokryzja może sobie odpuścić w stosunkach między ojcem i synem, niewinna zaś miłość naiwnego dziecka nigdy nie zatoni na rozczarowanych skałach osądu dorosłych.

Nie namyślając się wyciągnął ręce i przytulił mężczyznę, który był jego dzieckiem. W tym uścisku zawarł całą czułość, Tony zaś, wtulony w ramiona ojca, odpowiedział mu z siłą swego uczucia. Wraz z jego światem przekreślił się kurek łez, gdy łączył się z ojcem, który powołał go do życia. Zaczął łkać, puszczając wreszcie wszystkie hamulce. Gdy jego łzy kapały na ramiona Dicka Lathama, serce zalała mu niewiarygodna radość.

Była to narada wojenna. Pat Parker siedziała na brzeżku krzesła. Tony, natężając całą uwagę, przycupnął na rogu ojcowskiego biurka. Siedzący za biurkiem Dick Latham kończył opowiadać niewiarygodną historię o szantażu Emmy Guinness.

— Jak więc widzicie, nie mogłem nic zrobić z wyjątkiem jedynej właściwej rzeczy, a na to byłem za słaby. Cokolwiek by się stało, byłbym zrujnowany. Poszedłbym do więzienia. By tego uniknąć, musiałem poświęcić wasze kariery, co, w porównaniu, wydało mi się niską ceną. Teraz, oczywiście, sprawy uległy

zmianie. Nie dam się zastraszyć bez względu na koszty. Może mnie zniszczyć, ale pociągnę ją za sobą, a wy będziecie bezpieczni...

Wydawał się szczęśliwy, że do tego doszło. Dick Latham miał zrobić wspaniałą rzecz. Miał się poświęcić za odnalezionego syna i jego ukochaną. Miał przy tym wspaniałe uczucie. Czyżby ten banał rzeczywiście był prawdziwy? Czy Schweitzer w Lambarene naprawdę był bardziej zadowolony niż miliarder Donald Trump?

— Nie — wyrzekli chórem Tony i Pat. Popatrzyli na siebie i uśmiechnęli się z jednoczesności swych reakcji. Wysłuchali opowieści i w głowach jeszcze im się kręciło od niesłychanej pomysłowości zła, lecz ich dusze wzdragały się przed rozwiązaniem wysuniętym przez Dicka Lathama. Pat starała się trzymać swe myśli na wodzy, nie pozwolić im zmienić biegu pod wpływem nieprawdopodobnej nienawiści. Oczyma duszy widziała płomienie ognia, który wznieciła Emma, biegnące po zboczu, by pochłonąć człowieka, którego podziwiała i szanowała najbardziej na świecie. Zbrodnia straszliwsza niż ta wydawała się niemożliwa, lecz Emmie udało się ją popełnić. Wykombinowała ją. Do swej odrażającej, diabelskiej łaźni dodała szantaż i posłużyła się mimowolnym morderstwem jako narzędziem zemsty. Zbrodnia nie stawała się mniejsza przez to, że była dziełem kobiety szalonej. Bezwzględność tego przestępstwa czyniła je tak złowieszczy. Emma nie miała powodów, by nienawidzić Alabamy. Ledwo go znała. Nigdy z nią nie zadarł. A jednak, by pomścić osobistą zniewagę, starła go z powierzchni ziemi jak dziecięcą bazgraninę z tablicy. Ta zbrodnia tak samo zasługiwała na przebaczenie, jak ludobójstwo. Wymagało to piorunującej zemsty. Pytanie tylko, kiedy i jak tego dokonać.

—Nagrała twoją rozmowę tamtego wieczoru w „La Scali” — rzekła Pat. Myślała głośno.

—Tak, musiała się owinać przewodami jak na filmie z Jamesem Bondem.

—Mógłbyś zrobić to samo — powiedziała z wolna Pat.

—Jak to?

Ale Tony schwycił, o co chodzi.

—Tak jest. Kiedy powiesz jej, że nie masz zamiaru nas wylać, gdy nie ulegniesz jej groźbom i powiesz, żeby sobie z tym poszła na policję, możesz nagrać jej reakcję.

—Taśm nie dopuszcza się jako materiału dowodowego. — W Dicku Lathamie odezwał się prawnik, ale pomysł od razu mu się spodobał. Nagranie Emmy w „La

Scali" również nie stanowi dowodu, a jednak dokonało w Dicku psychologicznych spustoszeń. Łącznie z innymi dowodami dałoby glinom dostateczne uzasadnienie, by go przygwoździć. Emma Guinness najwyraźniej była nie zrównoważona psychicznie. Gdy się jej przeciwstawi, baba będzie się rzucać i miotać jak najgorsza przekupka, roztaczając przed nim swe ponure groźby. Co więcej, mógłby to tak urządzić, by w przyległym pokoju znajdował się Havers, a może jeszcze notariusz, policjant, do diabła, cały synod biskupów jako świadków. Jeśli umiejętnie się to przeprowadzi, nie będzie miał żadnego haka, natomiast zawisnie na nim Emma.

—Macie rację — powiedział wreszcie. — To wspaniały pomysł. Potrzebne mi będzie urządzenie nagrywające ze wzmacniaczem głosu czy coś w tym rodzaju. Prawdopodobnie każdy mój pracownik nosi coś takiego. — Roześmiał się, lecz nie na myśl o swych gęsto rozstawionych, owiniętych przewodami podwładnych. Roześmiał się, ponieważ był szczęśliwy, nie cierpiał już samotności, ponieważ miał syna.

Pat roześmiała się również, gdyż poznawała właśnie smak zemsty i jej piękno, a także dlatego, że niebawem, już wkrótce, szatan, który spalił Alabamę i usiłował zniszczyć zarówno ją, jak i Tony'ego, dostanie wreszcie za swoje.

Tony roześmiał się najgłośniej, znowu bowiem mógł być zakochany, wstrętny babsztyl we wstrętnych szmatach nie usiadzie mu już jak małpa na karku, ma ojca, a świat będzie mógł teraz poznać jego wspaniałą sztukę, którą tak bardzo pragnął mu pokazać.

Wszystko układało się w całość. Cała trójka była o tym przekonana. Zbliżali się do końca, który będzie również wspaniałym początkiem.

Emma Guinness siedziała naprzeciwko Dicka Lathama, tam gdzie przed paroma godzinami znajdowała się Pat. Biła od niej pewność siebie. Przybrała taką pozycję, w jakiej usadowiłaby się Victoria Brougham: nogi szeroko rozstawione, ręce niedbale spoczywające na poręczach, głowa swobodnie odchyłona na oparciu.

—A więc mówimy: „Do widzenia, Tony" i „Do widzenia, Pat". Muszę dodać, że żegnam ich bez żalu.

—Nie, mylisz się — rzekł Dick Latham z miną niewiniątka. — Muszę dodać coś jeszcze.

Emma uśmiechnęła się. Lubiała zagadki. Była w nich dość dobra. Spróbuje dodać: „Wszystkiego najlepszego". Dicka Lathama nie stać na nic więcej.

— Do widzenia, Emmo! — rzekł Dick Latham, nim zdążyła mu odpowiedzieć.

Roześmiała się.

—Co to ma znaczyć?

—To znaczy, że muszę jeszcze powiedzieć — do widzenia, Emmo. Śmiech Emmy nie był już tak swobodny.

—To znaczy? — rzekła, czekając na wyjaśnienie tego najwyraźniej ciężkiego Lathamowego dowcipu.

—To znaczy — oświadczył Latham — że cię wylewam.

—Co?

—Wylewam, zwalniam, wyrzucam z pracy na ulicę. Jesteś skończona, Emmo Guinness. Nie mogę mówić w imieniu trzeciego świata, ale w dwu pierwszych nie masz szans.

Jej małe oczka zrobiły się mniejsze. Jasne, że nie da się nabrać. Nie jest chyba taki głupi, by zważyć w jej niezłomne postanowienie. Może to tylko taka zagrywka, by ją wypróbować. Tak, chyba o to idzie. Usiłuje się stawiać, a gdy zobaczy, że ona ani drgnie, klapnie jak talia kart. Jakież to żalosne! Czasami ci panowie świata zachowują się jak dzieci. Wyciągają palce i chcą po nich oberwać, by się przekonać, na ile mogą sobie pozwolić. No cóż, jeśli odświętnie ubrany Dick chce, by niania Emma postąpiła surowo, to tak się stanie. Tak, by popamiętał.

— Słuchaj, Latham — warknęła. — Nie spaliłam tego starego pierdoły Alabamy dlatego, że lubię wzniecać ogień. Zrobiłam to po to, by wszystko zwalić na ciebie. Mogę cię przygwoździć dowodami, że to ty zamordowałeś, i dobrze o tym wiesz. Kanister, którym to załatwiłam, jest schowany tak, że go nie znajdziesz, a gdy wezwę policję i przegram im tę taśmę, zażądają twoich odcisków palców, miliarderze, będą się chcieli dowiedzieć, jak wyglądają opony twojego porsche. I nie będziesz nawet miał czasu, żeby je zmienić, złotko, bo jeśli natychmiast nie zmądrzejesz, zaraz do nich zadzwonię.

— I co im powiesz?

Emma spojrzała nań jak na plażowego głupka. Nigdy przedtem nie wydawało się jej, że Latham jest matołem, ale dlaczego nie? Większość ludzi nie jest zbyt bystra, robienie zaś wielkiej forsy nie wymaga inteligencji, tylko twórczego podejścia, a to są dwie absolutnie odmienne rzeczy.

Przybrała ton, jakim się przemawia do niezbyt rozgarniętego dziecka, i jak prawdziwa Angielka podniosła głos, jakby rozmawiała z cudzoziemcem.

—Powiem im, że to ty zamordowałeś Alabamę, Dicku.

—Ale ja tego nie zrobiłem. Ty go zamordowałaś. Potrząsnęła głową z boku na bok. Dobry Boże, czy choroba

Alzheimerera nie postępuje stopniowo?

— Ja o tym wiem, złotko. Ty wiesz. Sęk w tym, że policja nie wie.

— No to się dowie.

Emma otworzyła usta, by wytrącić go z tego idiotycznego samozadowolenia. Dokładnie w tym momencie podciągnął niebieski blezer, który tak bardzo jej przypominał obrazki plamiste.

Słowa uwięzły jej w gardle. Obraz rozplynał się przed oczyma.

Do piersi miał umocowany magnetofon. Do twarzy miał przyklejony uśmiech.

Emma Guinness niejasno uświadomiła sobie, że z tyłu pokoju otwierają się drzwi. Była wstrząśnięta, lecz wiedziała, co się stało. Weszła prosto w zasadzkę i życiem zapłaci za swój błąd. Przed sobą miała magnetofon. Za nią będą stali świadkowie.

Usłyszała, że mówi. Jej głos zdawał się dochodzić z odległości lat świetlnych, ale musiała otrzymać odpowiedź na jedno pytanie.

—Dlaczego? — spytała.

—Bo Tony Valentino jest moim synem — odparł Dick Latham.

Emma Guinness stała na krawędzi skały i patrzyła na rozciągające się pod nią urwisko. Zabawa się skończyła. Czas zwijać manatki. Śliczne balony unosiły się nad jej głową między czarnymi chmurami zagłady, a promienne słońce śmiało się z żalości, którą odczuwałaby, gdyby czucie było możliwe. Nawet szum przybrzeżnych falek dziwnie dźwięczał jej w głowie. Dudniły i huczały, lecz odbijały się niesamowitym echem, a mewy, szybujące na wietrze znad Santa Ana, przypominały nietoperze, pikujące o zmierzchu jej życia. Malibu wyszydziło ją. Było proste i lekkie, tak czyste, schludne i monumentalne, gdy potężne góry stykały się z morzem w miejscu odartym z trosk i wyzutym ze smutku. Stała tu jako jego przeciwieństwo, pobita i samotna, równie daleka od wszystkiego, czego pragnęła, jak od stanu łaski, którego nigdy nie zazna. Wiatr uniósł rąbek jej krótkiej spódnicy.

cy, pętającej rozrośnięte uda, i otoczył obfitą talię jak katowską pętlą. Czy wyglądała zabójczo? Samobójczo? Kto wie? Kogo to obchodzi?

Plażowicze pływali na deskach surfingowych — zbiele od słońca mózgi kierowały spłowiałe od słońca deski na przesiąkniętą słońcem plażę. Jakże zazdrościła im muskularnych ciał i rozmiękłych umysłów. Krążyła u bram piekieł, po brzegi wypełniona nienawiścią i rozpaczą, gdy na oceanie tacy sami ludzie jak ona pragnęli tylko, by doniosła ich na brzeg biała, spieniona fala, a obmyślając podróż do domu otwartym dziupem myśleli tylko o coli, pizzy i Mary-Lou. Głęboko odetchnęła, wymazując spokój Malibu. Przyszedł czas na jej własne demony. Kręciła głową z boku na bok, słuchając Wagnera. Tony Valentino jest synem Dicka Lathama. Jego dziedzicem. Człowiekiem, który pewnego dnia otrzyma na własność miliardy. Był przed nią bezpieczny. Na zawsze. Bezpiecznie może kochać i być kochanym przez Pat Parker, bezpiecznie może szybować nad światem po firmamencie sławy, będzie rozkoszować się wszystkimi marzeniami, jakie ośmielił się snuć. Jego obsesja została zaspokojona. Jej skazana jest na zagładę.

Roześmiała się teraz z żartu, który był jej życiem, i w dźwięku tym zarechotała gorycz. Pozwolili jej odejść, gdyż podejrzewali, że to się tak może skończyć — podejrzewali i pragnęli tego. No cóż, przynajmniej tyle może zrobić. U kresu życia uczyni coś dla innych. Jej ostatni gest będzie pierwszym szlachetnym postępkim.

Postąpiła krok w kierunku krawędzi i spojrzała w przepaść. Sto stóp poniżej skały wyglądały tak czysto. Czy będzie bolało? Nic nie może być dotkliwsze nad ból, który cierpi teraz. Czy spadając wyrznie o skały i połamie się przed ostatecznym zapomnieniem? To jest myśl. Trzeba technicznie przyśpieszyć pęd. Hm! To oznacza, że musi wziąć rozbieg, nim wystartuje w dół. Przez ramię zerknęła na wyprasowany na mokro trawnik. Tak, to by się nadało. Cofnęła się dwadzieścia kroków w kierunku domu. Czy to skok w dal czy wzwyż? W czasie szkolnych lekcji gimnastyki w obu konkurencjach była ostatnią fujarą. Przyklęła, jak to się robi na starcie wyścigu, i wysunęła szczękę, by zastraszyć nieobecnych współzawodników. Podświadomie czekała na wystrzał. Ale to ona była starterem i sędzią głównym, producentem, reżyserem i gwiazdą.

Była też publicznością. Rzucając się w przód zdawała sobie sprawę, jak śmiesznie musi wyglądać, zwłaszcza z góry. Mewy zobaczą jej niską, przysadzistą sylwetkę, przedzierającą się przez trawnik na krawędź skały. Uchwycą tłokowe

trzyku, zakochana w Malibu, oceanie, karmelowym piasku, zakochana w mężczyźnie, którego przyniosła jej miłość.

—Tu jest jak na końcu świata — odparł. — Tak blisko nieskończoności. Człowiek czuje, że jest częścią wszechświata. Tego dnia, gdy tu przyjechałem, kiedy chciałaś zrobić mi zdjęcie, potrzebowałem tego uczucia. Byłem taki smutny, taki zbity, ale plaża dała mi perspektywę. Życie i śmierć tu się spotykają. Umierałem, potem zjawiłaś się ty.

—Och, Tony. — Uścisnęła mu rękę, gdyż tak rzadko mówił jej takie rzeczy. Odwrócił się ku niej, a promienie księżyca oświetliły twarz, która już promieniowała miłością.

Przystanął. Przysunęła się bliżej ku niemu, a on otworzył ramiona, by ją objąć. Tu, na plaży, przywarła doń, stapiając się z nim tak, jak stapiają się życie i śmierć, i pragnęła pozostać tak na zawsze. Nie może być większego szczęścia. Tu, na piaskach Malibu, odnalazła swój raj, utraciła go i na koniec znowu znalazła.

— Przystałem już nienawidzić — odezwał się nagle, jakby z jego oczu uniesiono jakąś czarną zasłonę. — Przystałem nienawidzić

Dicka. Boże, jakaś część mnie wręcz go kocha. Przystałem nawet nienawidzić biednej Emmy.

Spojrzała nań przez mgłę łez uwielbienia.

—Plaża oczyściła z niej świat, nie uważasz? — powiedziała. Pat nie mogła przebaczyć. Roztrzaskane ciało Emmy na skałach Point Dume w idealny sposób zaspokajało jej poczucie sprawiedliwości.

—To chyba sukces filmu doprowadził ją do szału. Chodzi mi o nominację do Oscara dla filmu, dla mnie i dla ciebie. I Allison na miejscu Melissy. Szanse na to były tak małe, jak na znalezienie zgubionego ziarnka piasku na tej plaży. — Tony z niedowierzaniem potrząsnął głową.

Pat roześmiała się.

—To nie szczęście, tylko ten mały drobiazg zwany talentem. Świat będzie o tym wiedział, gdy tak się zdarzy następnym razem, potem jeszcze raz i jeszcze...

—Myślałem, że z nas dwojga to ja mam ego — powiedział, uśmiechając się do niej. — Czy zatem dostanę główną rolę w następnym filmie Pat Parker?

—Nie ma mowy! — odparła Pat. Czekwała na właściwy moment, by mu to powiedzieć. Właśnie nadszedł, a zalana księżycowym światłem plaża Malibu była

idealnym miejscem. „Albo on... albo ona." Odsunęła się od niego. Położyła rękę na brzuchu.

—Pat? — buchnęło z niego pytanie.

—Tak — odparła.

Oczy zapłonęły mu zdziwieniem, zdumieniem, radością. Pochylił się, a ona uniosła się ku niemu, a gdy zamknął wargami jej usta, połączyli się na zawsze w swoim dziecku.

RS